

GORDON DICKSON



AMBER

TOM I

SMOCZY  
RYCERZ

Fantasy

Copyright © 1981



**Gordon R. Dickson**  
**Smoczy rycerz**

# Przełożyli Edyta Madej szlachetnemu

Hubert Sawa

## Rozdział I

Był mroźny, marcowy poranek. W lesie Malencontri wstawał właśnie świt. Nosząc taką nazwę las ten powinien znajdować się raczej gdzieś we Francji lub w Italii, lecz faktycznie rósł w Anglii.

Oczywiście nikt, kto miał coś wspólnego z tym lasem – począwszy od trzech jeży zwiniętych w ciepły kłębek w nieporządnie zarzuconym liśćmi zagłębieniu w pobliskich zaroślach, a skończywszy na sir Jamesie Eckercie, baronie de Bois de Malencontri i Riveroak, śpiącym teraz ze swą żoną, panią Angelą, w ich zamku niedaleko stąd – nikt, raczcie to zauważyć, nie zwracał sobie głowy używaniem na co dzień tej sfrancuziałej nazwy. Miano Malencontri nadał okolicy jej poprzedni właściciel, który był obecnie pozbawionym ziem wygnańcem (prawdopodobnie schronił się gdzieś na kontynencie), i dobrze mu tak.

Gdy tylko sir Hugh de Malencontri znalazł się w bezpiecznej odległości, wszyscy okoliczni mieszkańcy zaczęli na powrót nazywać las jego prawdziwym imieniem, które brzmiało las Highbramble, czyli Las Wysokich Jeżyn. Cała ta historia była zresztą najzupełniej obojętna jedynemu znajdującemu się na nogach osobnikowi, który przechodził właśnie nie opodal zaniepokojonych, ale – na szczęście – bezpiecznie ukrytych jeży, i wystarczająco blisko Zamku Malencontri, by wyraźnie widzieć go pomiędzy drzewami.

Obojętność była czymś naturalnym, gdyż tym porannym wędrowcem był Aragh, angielski wilk. Nie tylko ten las, ale także i parę innych uważał on za swoje własne terytorium, nigdy więc nie zwracał sobie głowy tym, jak się nazywają.

Właściwie to bardzo rzadko przejmował się czymkolwiek. Na przykład teraz: chociaż wczesnowiosenny ranek był przenikliwie zimny, wilk nie zwracał na to najmniejszej uwagi, z wyjątkiem tego, że chłód zwiększał prawdopodobieństwo, iż ślady będą wyczuwalne przy ziemi bliżej niż zazwyczaj.

Wobec temperatury Aragh okazywał ten sam rodzaj obojętności co wobec wszystkich innych zjawisk i rzeczy – wiatru, deszczu, jeżyn, ludzi, smoków, piaszczomroków, olbrzymów i całej reszty. W jednakowym stopniu okazywałby ją także trzęsieniom ziemi, wulkanom i potężnym falom morskim, gdyby przypadkiem zdarzyło mu się z nimi zetknąć – ale jak dotąd jeszcze mu się to nie przytrafiło.

Był potomkiem wilków olbrzymich, miał rozmiary niedużego kucyka, a jego filozofią było, że jeśli napotka coś, z czym sobie nie poradzi – będzie to ostatni dzień jego życia, co i tak rozwiąże wszystkie jego problemy.

Wilk zatrzymał się, by zerknąć na zamek i na przypominający pudełko prostokąt słonecznej komnaty\* z nowomodnymi szybami w wąskich szczelinach okien. W ich szkłe właśnie zaczynał się odbijać poranny brzask. Mimo zdecydowanie niepochlebnego zdania, jakie Aragh miał na temat oszklonych okien, darzył on osobistą przyjaźnią sir Jamesa i panią Angelę, którzy, jak wiedział, spali teraz w słonecznej komnacie. Bądź co bądź straszne z nich śpiochy, żeby marnować taki piękny, rześki poranek spędzając go pod dachem.

Przyjaźń z sir Jamesem sięgała czasów, kiedy obaj (a także i parę innych osób, co trzeba przyznać) byli zamieszani w pewną drobną zwadę z olbrzymem i kilkoma podobnie nieciekawymi kreaturami na bagnach pod Twierdzą Loathly. W owym czasie sir James – choć nie z własnej winy – zamieszkiwał ciało przyjaciela Aragha, smoka imieniem Gorbash. Wilk pozwolił sobie na chwilę nostalgicznych wspomnień o tamtych minionych, ale jakże ciekawych czasach.

Jednak nagle we wspomnienia wkradło się uczucie niepokoju o Jamesa oraz Angelę – lecz przede wszystkim o Jamesa. Aragh skoncentrował całą swoją uwagę na tym odczuciu, którego jeszcze przed sekundą nie doznawał. Będąc wilkiem nauczył się zważać na sygnały wysyłane przez jego podświadomość. Ale przyczyna niepokoju ani się nie wyjaśniła, ani nie zniknęła.

Aragh powęszył jeszcze, lecz nie wyczuł w powietrzu nic niezwykłego, więc przestał o tym myśleć. Postanowił jedynie pamiętać, by przy pierwszej sposobności, kiedy znów będzie przechodził w pobliżu domku S. Carolinusa przy Dźwięcznej Wodzie, wspomnieć o tym Magowi. Czarodziej na pewno będzie umiał mu wyjaśnić, czy uczucie to zwiastowało coś, co dotknęłoby jego samego, choć trudno było sobie coś podobnego wyobrazić.

Dlatego też jako rozsądny wilk przestał myśleć o tej sprawie i pokłusował dalej, a jego szczupła, ciemna sylwetka szybko znikła z oczu jeżom, które odetchnęły z ulgą. Zdawało się, że wilk przepadł bez śladu pośród poszycia i pni drzew budzącego się lasu.

## Rozdział 2

James Eckert, a obecnie sir James, baron de Bois de Malencontri etc. – chociaż tak naprawdę rzadko się nim czuł – obudził się o brzasku w półmroku sypialnej komnaty, którą zajmował wraz ze swą żoną, Angielą, w Zamku de Bois de Malencontri.

Blade smugi światła, widoczne wzdłuż krawędzi ciężkich kotar zasłaniających słynne oszklone okno pokoju, wskazywały, że ranek jest już blisko. Obok Jamesa, przykryta całą górą futer i kap, które czyniły znośnym ten nie ogrzewany pokój o kamiennych ścianach, oddychając miarowo, spała Angie.

Zaskoczony w tym osobliwym stanie, jaki rozciąga się pomiędzy snem a jawą, Jim próbował zignorować coś, co go obudziło. Miał niejasne wrażenie, że nie wszystko było w całkowitym porządku. Czuł jakieś ogólne przygnębienie, które nie odstępowało go w ciągu kilku ostatnich ponurych tygodni. Było to doznanie trochę podobne do tej dusznej atmosfery, którą odczuwa każdy, gdy burza jest tuż nad horyzontem i zbliża się w jego stronę.

W ciągu kilku ostatnich tygodni James często przyłapywał się na tym, że nieomal żałuje swej decyzji, aby pozostać w tym świecie smoków, magii i średniowiecznych obyczajów, zamiast powrócić z Angie na dwudziestowieczną Ziemię, do bardziej szarego, ale znajomego świata – gdziekolwiek by w sferach zachodzących na siebie prawdopodobieństw mógł się on teraz znajdować.

Niewątpliwie odczuciom tym sprzyjała pora roku. Przyszedł wreszcie schyłek zimy, która, z początku ożywcza, później zdawała się ciągnąć bez końca pośród wczesnych zmierzchów, kapiących świec i pochodni oraz lodowatych murów.

Powinności związane z zarządzaniem baronią, którą objął po sir Hughu de Bois de Malencontri, poprzednim baronie, zajmowały ostatnio Jimowi wiele czasu. Budynki i drogi wymagały naprawy; czeladź oraz kilkuset chłopów wolnych i niewolnych wyglądali jego wskazówek, ponadto trzeba było porobić plany tegorocznych zasiewów. Ciężar licznych obowiązków przemienił ów dziwny świat w miejsce prawie tak samo nudne i powszednie jak zapamiętana przez Jima Ziemia dwudziestego wieku.

Zatem pierwszym odruchem Jima było zamknąć oczy, schować głowę pod okrycia i zmusić się do ponownego zaśnięcia. Chciał zapomnieć o tym, co go obudziło. Niestety, kiedy spróbował, sen już nie powrócił. Wrażenie, że coś jest nie tak, narastało, aż w końcu rozległo się w nim całym niczym cichy dzwonek alarmowy. W końcu Jim mruknął coś z rozdrażnieniem, podniósł głowę i znów otworzył oczy. Światło przenikające przez brzegi okiennych zasłon było zaledwie na tyle jasne, by niewyraźnie ukazać wnętrze sypialni.

Ogarnął go chłód – i to nie tylko z powodu zimna panującego w sypialni. Nie był już w swoim własnym ciele.

Jeszcze raz, jak wtedy, gdy przybył do tego świata za pośrednictwem astralnej projekcji, by uwolnić Angie, jego ciało stało się ciałem całkiem sporego smoka.

„Nie!” – słowo to omal nie wyrwało się Jimowi z gardła, lecz stłumił je w porę. Przede wszystkim nie chciał, by Angie się obudziła i zobaczyła go w tym stanie.

Zawładnęło nim przerażenie. Czy już na stałe zamienił się w smoka? A jeśli tak, to dlaczego? Wszystko było możliwe w tym zwariowanym świecie, w którym magia stanowiła część rzeczywistości. Być może jego przeznaczeniem było przebywać w swoim własnym ludzkim ciele tylko przez pewien czas. Może jakieś prawa, które regulowały takie rzeczy, nakazywały, że ma być człowiekiem tylko przez pół roku, a potem smokiem przez następne pół. Jeśli tak się sprawa przedstawiała, Angie na pewno by się nie spodobało, że jej mąż jest smokiem przez sześć miesięcy w roku.

Na pewno nie.

Musiał poznać odpowiedź. Jedynym możliwym jej źródłem był Wydział Kontroli, ten osobliwy, niewidzialny, tubalny głos, który zdawał się wiedzieć wszystko, ale mówił tylko tyle, ile miał ochotę. Najprawdopodobniej dysponował on czymś w rodzaju spisu magicznych kredytów ludzi obracających tym towarem. Spis taki oczywiście obejmował i Jima, po pierwsze dlatego, że przybył do tego świata magicznym sposobem, a po drugie – że brał udział w zniweczeniu złych mocy w Twierdzy Loathly niecałe dziesięć miesięcy temu.

Otworzył usta, by pomówić z Wydziałem Kontroli. O ile wiedział, byli oni czynni dwadzieścia cztery godziny na dobę – jeżeli „oni” było odpowiednim określeniem Wydziału. W porę przypomniał sobie jednak, że rozmowa z Wydziałem Kontroli mogła tak samo obudzić Angie jak nagły okrzyk „nie”, którego omal nie wydał przed chwilą.

Jedyne, co mógł zrobić, to chyłkiem wymknąć się z pościeli i oddalić od komnaty na tyle, by móc pomówić z Wydziałem Kontroli nie budząc Angie.

Powoli zaczął wysuwać swe ogromne cielsko spod okryć. Ogon wyslizgnął się bez kłopotu. Wydostał jedną nogę, potem drugą. Zaczynał właśnie przesuwając swój olbrzymi tułów, gdy Angie poruszyła się we śnie. Ziewnęła, uśmiechnęła się i wciąż nie otwierając oczu wyprostowała swoje smukłe, prześliczne ramiona w zimnym powietrzu sypialni. Przeciągnęła się i obudziła – i w tejże chwili Jim, dzięki łasce kogoś lub czegoś, kto lub co było za to odpowiedzialne, nagle powrócił do swej własnej, ludzkiej postaci.

Angie obudziła się z uśmiechem. Uśmiechała się dalej do Jima przez senną chwilę, po czym uśmiech stopniowo zniknął, a zmarszczka na czole utworzyła ledwie widoczną kreskę między jej brwiami.

Mogłabym przysiąc... – powiedziała. – Nigdzie się przed sekundą nie wybierałeś, prawda? Czułam, że... Jesteś pewien, że przed chwilą nie działo się z tobą nic niezwykłego?

–Ze mną? – zapytał Jim. – Niezwykłego? – Poczuł się nagle przebiegły i sprytny. – Ja, niezwykły? – powiedział. – Jak to niezwykły?

Nie wychodząc spod okryć Angie podparła się na łokciu i utkwiała w nim spojrzenie intensywnie niebieskich oczu. Jej ciemne włosy rozczochrały się podczas snu, ale mimo to wyglądała bardzo atrakcyjnie. Przez chwilę Jim wyraźnie był świadom bliskości jej zgrabnego, nagiego ciała odległego zaledwie o kilka cali. Ale zaraz potem to uczucie zostało wyrugowane przez niepokój.

–Nie wiem dokładnie, jak – odpowiedziała Angie. – Po prostu czuję, że coś się zmieniło i że miałeś zamiar gdzieś wyjść. Ale właściwie dlaczego już wstajesz?

–Ach? Wstaję? – Jim pośpiesznie wsunął się z powrotem pod futra. – Cóż, myślałem po prostu, że zejść na dół i zadbam, żeby wzięli się za przygotowanie śniadania. Naprawdę, pomyślałem, że – tu skrzyżował palce pod przykryciem z pięknej skóry niedźwiedziej – przyniosę ci je do łóżka.

–Och, Jim – powiedziała Angie – to takie podobne do ciebie. Ale nie trzeba. Czuję się cudownie, nie mogę się doczekać, kiedy wstanę.

Pod okryciami położyła mu dłoń na ramieniu i jej dotyk sprawił mu przyjemność – potem jednak przeraziła go nagła myśl, że gładka skóra mogłaby pod jej palcami porosnąć łuską.

–Świetnie! Doskonale! – krzyknął wyskakując spod futer i zaczynając nakładać ubranie. – Tak czy owak zejść i każę przygotować śniadanie. Przyjdź, jak możesz najszybciej, będziemy już z nim czekać.

–Ależ Jim, po co się tak śpieszyć...

Jim nie usłyszał reszty, bo był już za drzwiami, zamknął je i ruszył w dół korytarza, ubierając się po drodze. Ubierał się nie ze względu na przyzwoitość, bo miała ona raczej niewielkie znaczenie w tych średniowiecznych czasach, ale dlatego, że korytarz o kamiennych ścianach, wiodący wzdłuż wewnętrznej krzywizny wieży, był straszliwie zimny.

W bezpiecznej odległości od drzwi słonecznej sypialni zatrzymał się, zaczerpnął powietrza i przemówił w przestrzeń.

–Wydział Kontroli! – powiedział. – Dlaczego zamieniłem się w smoka?

–Twój kredyt został zaktywowany – odparł tubalny głos, mniej więcej na wysokości jego uda, sprawiając, że jak zwykle wzdrygnął się, choć wiedział, czego się spodziewać.

–Zaktywowany? Co to znaczy?

–Každy kredyt, którego posiadacz wciąż żyje i jest zdolny z niego korzystać, a nie czyni tego przez przynajmniej sześć miesięcy, jest zawsze aktywowany – odpowiedział dość sztywno Wydział Kontroli.

–Ale wciąż nie rozumiem, co znaczy „zaktywowany”! – zaprotestował Jim.

–To się tłumaczy samo przez się – odpowiedział Wydział Kontroli i ucichł.

Jim miał niejasne wrażenie, że Wydział zamilkł na dobre, przynajmniej w odniesieniu do tego tematu. Wezwał go jeszcze kilka razy, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Tak więc nadal nie wiedział, co się z nim dzieje. Nagle przypomniał sobie o śniadaniu i z ponurą miną zszedł po kręconych kamiennych schodach ze słonecznego poziomu wieży.

–...równie dobrze mógłbyś powiedzieć mi prawdę – mówiła Angie godzinę później, gdy siedzieli już nad talerzami ze śniadaniem przy wysokim stole w wielkiej sieni zamku. – Coś się stało tuż przedtem, nim otworzyłam oczy, i ja chcę wiedzieć co. Zawsze wiem, kiedy próbujesz coś przede mną ukryć.

–Naprawdę, Angie – mówił właśnie Jim, kiedy jego odpowiedź okazała się całkowicie pozbawiona sensu, ponieważ znów zamienił się w smoka.

–AAAAA! – krzyknęła Angie co sił w płucach. Wielka sień była wystarczająco



obszerna, by pomieścić trzydziestu czy czterdziestu ludzi płci obojga. Część z nich była zajęta pilnowaniem, by baron i jego pani dostali śniadanie, było tam też ośmiu zbrojnych ze straży, która zazwyczaj tam stała, oraz cały wybór innego personelu zamkowego i służby, aż do trzynastoletniej May Heather, najmłodszej i najniższej w hierarchii podkuchennej. Gdy pojawił się smok, w sieni rozpętało się istne piekło.

Z niebezpieczeństwem zżyli się wszyscy. Niespodziewane było – ogólnie mówiąc – oczekiwane i w tego typu pomieszczeniu wszelkiego rodzaju broni nie trzeba było długo szukać. W ciągu dwóch minut wszyscy obecni mieli w rękach jakieś spiczaste lub kanciaste narzędzia i, ustawivszy się jakby na kształt jeża, ze strażnikami na czele zbierali się do natarcia na smoka, który tak nagle ukazał się w sieni.

W tej chwili Angie, skończywszy już swój instynktowny, zdrowy i dość odświeżający wrzask, wzięła sprawę w swoje ręce. Rąbkiem porannej szaty koloru czerwonego wina omiotła kamienną posadzkę i majestatycznie skierowała się w stronę jeża.

–Stać! – rozkazała ostro. – Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Widzicie tu po prostu swego pana, który użył magicznych uzdolnień, by na chwilę ukazać się w postaci smoka. May, natychmiast odwieś ten topór na ścianę!

May chwyciła topór należący do poprzedniego barona. Taszczyła go teraz na ramieniu jak drwał siekierę i było bardzo wątpliwe, żeby zdołała cokolwiek z nim zrobić, nawet gdyby udało jej się zdjąć go z ramienia bez szkody dla siebie. Ale jedno zawsze trzeba było przyznać May Heather – była chętna do działania.

Teraz jednak, speszona, zawróciła w stronę ściany, na której topór zwykle wisiał.

Reszta służby i świty rozeszła się z powrotem do swoich zwykłych zajęć. Jeden spoglądał znacząco na drugiego, chowając skrzętnie w pamięci historię, którą będą mogli odtąd opowiadać. Historię o tym, jak to sir James przy śniadaniu zamienił się w smoka.

Na szczęście po chwili Jim znów znalazł się w ludzkiej skórze. Oczywiście jego szata popękała na kawałki i leżała w strzępach u jego stóp.

–Hej tam! – krzyknęła Angie do całej sali. – Jeszcze jedna szata dla wielmożnego pana!

Po paru minutach bieganiny przyniesiono Jimowi nową, nie porwaną szatę. Wsunął się w nią z wdzięcznością.

–A teraz ty, Theolufie! – kontynuowała Angie zwracając się do dowódcy zbrojnych. – Dopilnuj, by koń sir Jamesa został osiodłany, włóżcie do juków prowiant i ekwipunek. Niech przyniosą lekką zbroję i przygotują wszystko, by baron mógł niezwłocznie wyruszyć.

Theoluf, który już przy pierwszych jej słowach ruszył ku wyjściu, zawrócił na moment. Był to mężczyzna średniego wzrostu, o całkiem przyjaznym uśmiechu, kiedy już się uśmiechał, ale twarz miał mocno zeszpeconą przez blizny po jakiejś odmianie ospy.

–Natychmiast, pani – odpowiedział. – Ilu ludzi raczy mój pan zabrać?

–Żadnego! – huknął Jim głośniejszym głosem, niż zamierzał. Ostatnią rzeczą, której sobie życzył, było, by jego poddani widzieli, jak zmienia się tam i z powrotem ze smoczej

postaci w ludzką, i może zaczęli podejrzewać, że zmian tych nie kontroluje.

–Słyszałeś swego pana – powiedziała Angie do Theo-lufa.

–Tak, pani – odrzekł zbrojny, który istotnie musiałby być zupełnie głuchy, żeby nie słyszeć. Zaraz też skierował się do wyjścia na końcu wielkiej sieni. Angie zwróciła się do Jima.

–Dlaczego to robisz? – gniewnie spytała półszeptem, podchodząc bliżej.

–Sam chciałbym wiedzieć – odrzekł Jim gderliwym, ale tak samo zniżonym głosem. – Pojmujesz chyba, że nad tym nie panuję, inaczej przecież nie robiłbym tego.

–Chodzi mi o to – nalegała Angie – co takiego robisz na chwilę przedtem, zanim staniesz się smokiem, co sprawia, że tak się dzieje?

Nagle przerwała i spojrzała na niego ze ściągniętą twarzą.

–Nie jesteś znów Gorbashem?

Jim pokręcił głową. Gorbash był to smok, którego ciało zamieszkiwał na początku swego pobytu w tym dziwnym świecie.

Nie – odpowiedział – to tylko ja, w skórze smoka.

A to po prostu robi się mi bez ostrzeżenia. Ja nad tym nie panuję.

–Tego się obawiałam – powiedziała Angie. – Dlatego posłałam po twojego konia i zbroję. Chcę, żebyś natychmiast porozmawiał o tym z Carolinusem.

–Tylko nie Carolinus – słabo zaprotestował Jim.

–Carolinus! – twardo powtórzyła Angie. – Musisz to dokładnie wyjaśnić. Jak myślisz, czy uda ci się pozostać w ludzkiej skórze na tyle długo, by włożyć zbroję, dosiąść konia i zniknąć nam z oczu, zanim znów raczysz się przemienić?

–Nie mam zielonego pojęcia – rzekł Jim spoglądając na nią nieszczęśliwym wzrokiem.

## Rozdział 3

Jim miał szczęście.

Wydostał się bezpiecznie z zamku, poza zasięg wzroku, i nie zmieniając się już więcej w smoka dotarł do lasu. Na szczęście Dźwięczna Woda, gdzie mieszkał S.Carolinus, leżała niedaleko od zamku.

Carolinus był to ten czarodziej, który wraz z Jimem brał przed rokiem udział w starciu pod Twierdzą Loathly. Okazał się człowiekiem równie godnym zaufania, co zrzędlwym i zapalczywym. Był czarodziejem kategorii AAA +. Jak powiadomił Jima Wydział Kontroli, w tym świecie było zaledwie trzech Magów, którzy mieli nie tylko AAA, najwyższą przyznawaną kategorię, ale jeszcze i +, który wznosił ją ponad niezwykle poziom tych trzech liter.

Dla porównania Jim był czarodziejem – co prawda tylko z przypadku – kategorii zaledwie D. Zarówno Wydział Kontroli, jak i Carolinus dali mu do zrozumienia, że miałby naprawdę dużo szczęścia, gdyby udało mu się przez całe życie awansować do kategorii C. Najwidoczniej w tym świecie, tak jak i w dwudziestowiecznym, który Angie i Jim opuścili, albo się czuło te sprawy, albo nie.

Jak zwykle jazda przez las działała na Jima uspokajająco. Było coś cudownie odprężającego w przebywaniu na świeżym powietrzu, całkiem samotnie, na koniu, którego przez rozsądek i zwykłą oszczędność prowadziło się stępa. Nic człowieka nie nagliło i cały jego pośpiech stopniowo się ulatniał.

Ponadto w miejscu takim jak czternastowieczne angielskie lasy – w tym świecie nawet na przedwiośniu – miło było się znaleźć. Wszystkie drzewa rozrosły się dość wysoko i rzucały wystarczająco dużo cienia, żeby całe podszycie stanowiło tylko trochę trawy, która mogła pojawić się i przetrwać w co bardziej nasłonecznionych miejscach. Gdzeniegdzie rosły jeżyny, chaszczce i gęste zarośla wierzbowe, ale droga rozsądnie ich unikała, po prostu okrążając wszelkie takie przeszkody. Jak wiele innych rzeczy w tym świecie droga była także bardzo pragmatyczna. Przyjmowała rzeczy takimi, jakimi były, nie próbując ich dostosowywać do własnej woli i sytuacji.

Dzień był bardzo przyjemny. Przez ostatnie trzy dni padało, ale dzisiaj świeciło słońce i tylko kilka chmur można było z rzadka dostrzec między koronami drzew. Jak na koniec marca dzień był ciepły, ale tylko na tyle, by Jim był w stanie znieść na sobie odzież i zbroję.

Nie nosił ciężkiej, pełnej zbroi, którą przypadkowo odziedziczył po poprzednim władcy swego zamku. Zbroja ta wymagała dopasowania. Poprzedni baron de Bois de Malencontri był tak samo barczysty i mocno zbudowany, ale nie miał wzrostu Jima. Pewnych przeróbek dokonał płatnerz ze Stourbridge, ale nawet po nich pełna zbroja była wciąż niewygodna przy dłuższym noszeniu, zwłaszcza wtedy, gdy nie istniała ku temu potrzeba.

Dzisiaj Jim uważał, że takiej potrzeby nie było. Taką ciężką zbroję rezerwowało się, jak dobry przyjaciel Jima, jego sąsiad i towarzysz broni, sir Brian Neville-Smythe zwykł mawiać, do polowań na błotne smoki, do gonitw na ostre i innych istotnych spraw. Teraz Jim miał na sobie tylko skórzany kaftan, a na nim lekką kolczugę.

Całość wzmocniona była obręczami wzdłuż ramion i blachami na barkach, tam gdzie uderzenie ostrza nie musiało sięgnąć ciała, ale z łatwością mogło złamać kość pod spodem.

Miał także lekki hełm, okrywający wierzch głowy, z płytką nosala wystającą z przodu i chroniącą grzbiet nosa przed złamaniem w razie kłopotów. A na nogach miał nabiodrniki – blachy chroniące wierzch ud. Dzięki temu wszystkiemu, choć dzień mógł być nieco

chłodny dla Jima w ubraniu, jakie zwykł nosić w dwudziestym wieku, w takim rynsztunku było mu nawet troszkę za ciepło. Okolica ta należała do hrabstw środkowej Anglii i jedną nogą tkwiła już w wiośnie, a może nawet obiema. Wszystko to podniosło Jima na duchu. Co z tego, że rzeczywiście czasami zmieniał się ni stąd, ni zowąd w smoka? Carolinus będzie umiał powiedzieć mu, czemu tak się dzieje, i załatwić całą sprawę.

Im bliżej był Dźwięcznej Wody, gdzie mieszkał Carolinus, tym stawał się spokojniejszy i weselszy. Humor poprawił mu się do tego stopnia, że o mało co nie zaczął śpiewać – tak mu było dobrze.

Jednakże właśnie w tej chwili minął zakręt leśnego traktu i ujrzał przechodzącą przed nim całą rodzinę dzików. Najpierw szła locha, za nią około sześciorga młodych, a sam ojciec rodziny, odyniec, zwrócony był w stronę Jima. Prawie tak, jakby na niego czekał.

Jim zupełnie zapomniał o pomyśle z piosenką i ściągnął wodze konia.

Nie był bezbronny. Nauczył się władać bronią w ciągu długich zimowych wieczorów z sir Brianem, kiedy ćwiczył z owym szlachetnym rycerzem użycie oręża tej epoki. Nauczył się wszystkiego bardzo szybko i bardzo dobrze, co nie było dziwne, zważywszy że był urodzonym sportowcem, a kiedyś, na swojej dwudziestowiecznej Ziemi, nawet pierwszoligowym graczem w siatkówkę.

Tutaj, w czternastowiecznym świecie, nie było to mądre, żeby samotny człowiek lub nawet grupa ludzi ruszała się gdziekolwiek bez broni. Poza dzikami, jak ten, który stał przed nim w tej chwili, bywały obce wilki, niedźwiedzie, banici, wrogo usposobieni sąsiedzi i dowolna ilość innych nieprzyjaznych okoliczności.

Jim nosił zatem swój zwykły miecz, a mniejsza z jego dwóch tarcz wisiała przy siodle. Mizerykordia w swej pochwie równoważyła miecz wisząc po drugiej stronie pasa. Miała ona ostrze długie na jakieś jedenaście cali. Jednakże żadna z tych broni nie była odpowiednim narzędziem, by powstrzymać od ataku wielkiego i uzbrojonego w spore szable dzika. Takiego właśnie jak ten, którego Jim widział przed sobą.

Taki dzik nie dałby się łatwo odstraszyć nawet rycerzowi w pełnej zbroi i z kopią. Jak kiedyś powiedział Aragh, gdy dzik zdecyduje się już szarżować, jest to jedyna rzecz, o której myśli, dopóki nie będzie po wszystkim.

Do walki z dzikiem istniały stosowniejsze typy broni niż ta, którą miał przy sobie Jim. Jedną z nich była rohatyna – krótka, ale masywna włócznia okuta metalem, żeby dzik nie mógł przegryźć drzewca na pół. Miała straszliwe, zębate ostrze i około trzech stóp poniżej niego poprzeczkę. Służyła ona do powstrzymania dzika, gdyby zignorowawszy żeleźce, ruszył do szarży wzdłuż włóczni i chciał dobrać się szablami

do człowieka. Zresztą w obecnej sytuacji nawet topór May Heather byłby mile widziany.

Tymczasem jednak Jim siedział i czekał. Miał nadzieję, że rodzina składająca się z lochy i warchlaków zniknie w lesie po drugiej stronie drogi i że odyniec odwróci się i ruszy za nimi. Mimo to czuł się niepewnie. Jego koń wyraźnie się niepokoił i Jim żałował, że nie może sobie pozwolić na wierzchowca takiego, jakiego posiadał sir Brian. Miał on świetnie wyszkolonego rumaka bojowego o takim samym instynkcie ataku jak u dzika, nauczonego walczyć zębami i kopytami ze wszystkim, co stanie przed nim. Ale konie takie były warte całej fortuny i choć Jim miał na swoje nazwisko pewną ilość magicznego kredytu oraz zamek, to jego zasoby brzęczącej monety były małe.

Zasadniczym pytaniem było, czy wrodzona dzikowi żądza atakowania z miejsca każdego potencjalnego przeciwnika zwycięży jego drugie wrodzone pragnienie, by pójść dalej spokojnie za swoją rodziną. Odpowiedzi na to udzielić mógł tylko sam dzik.

W tej chwili jednak dzik najwyraźniej przemyślał już sprawę. Locha i ostatnie z młodych zniknęły w lesie. Był już czas – i dzik zdawał się to czuć – albo atakować, albo zmykać. Chrząkał i rozgrzebywał darń racicami; teraz zaś zaczął też podrzucać w powietrze małe grudki ziemi. Najwyraźniej szykował się do szarży.

W tym momencie koń Jima dosłownie wrzasnął i równie dosłownie wyrwał się spod niego, tak że Jim grzotnął na ziemię.

Spadając czuł przez moment nieznośny ucisk, który nagle ustąpił. Stwierdził, że patrzy teraz na całą tę sprawę pod nieco innym kątem.

Znów był smokiem. W trakcie przemiany dosłownie rozsadził swoją zbroję i ubranie – z wyjątkiem nogawic, zrobionych z rozciągliwego, dzianego materiału, które zamiast podrzeć się czy pęknąć na szwach, po prostu zwinęły się w dół po nogach w wałeczki. Przedstawiał teraz dość komiczny obrazek smoka spętanego czymś, co wyglądało jak kalesony zakończone dziecinnymi bucikami.

To nie było jednak w tej chwili istotne. Ważne było to, że dzik wciąż przed nim tkwił.

Mimo to sytuacja zdecydowanie się zmieniła. Dzik przestał rozkopywać ziemię i chrząkać. Zastygł, gapiąc się na smoka, który stał na wprost niego. Przez chwilę Jim nie zdawał sobie sprawy, jakie miał szczęście. Potem jednak zrozumiał.

–Wynoś się! – ryknął pełnym smoczym głosem na dzika. – Idźże stąd! Won!

Dzik, jak każdy dzik, z pewnością nie był tchórzem. Przyparty do muru nawet przez smoka, zaatakowałby go. Z drugiej strony smok nie był idealnym przeciwnikiem, nawet dla dzika, a w dodatku ten smok pojawił się znikąd. Dzik był może wojowniczy, ale jak wszystkie dzikie zwierzęta miał instynkt przetrwania. Zawrócił więc w kierunku, w którym poszła jego rodzina, i znikł wśród podszycia lasu.

Jim rozejrzał się za koniem. Zauważył go stojącego około dwudziestu jardów za nim, nieco w głębi lasu. Koń zerkał na niego i, jak mu mówił jego teleskopowy smoczy wzrok, wyraźnie się trząsał.

Jim ostrożnie uwolnił tylne łapy. Przyjrzał się nogawicom. Przynajmniej te będzie można znów założyć. Przypatrzył się reszcie ubrania i zbroi. Nawet gdyby na powrót miał ludzką postać, byłoby mu nieco trudno z powrotem ubrać się i uzbroić w te fragmenty, które leżały dookoła. Z drugiej strony zostawienie ich na drodze nie miało sensu. Pozbierał je w niewielki tobolek, który przewiązał pasem od miecza. Pas pękł, kiedy stał się smokiem, ale jego końce dawały się niezgrabnie związać.

Spoglądając na rzeczy Jim pomyślał, że mógłby spokojnie nieść tobolek na plecach, gdyby zaczepił go pasem między dwiema z trójkątnych, kostnych tarcz, które sterczały mu wzdłuż grzbietu i na wierzchu ogona.

Odwrócił się do konia, patrząc na niego z ukosa kącikami oczu, żeby nie przerazić go zwracając nań pełną uwagę. Koń przestał się już trząść, chociaż jego sierść połyskiwała od potu. Tak jak Jim myślał wcześniej, koń ten zdecydowanie nie był równy szlachetnemu rumakowi bojowemu sir Briana, Blanchardowi z Tours. Było to jednak użyteczne zwierzę, najlepsze w jego stajni, a zostawić je luzem w lesie najprawdopodobniej znaczyłoby je stracić. Z drugiej strony teraz, gdy przybrał postać smoka, koń najwyraźniej czuł się przy nim tak samo niepewnie jak przedtem dzik.

Jim usiadł i myślał. Każda próba zbliżenia się do konia przestraszyłaby go. Co więcej, każda próba przywołania go skończyłaby się tym, że słowa wypowiedziane smoczym głosem także wystraszyłyby go. Siedział więc i dalej myślał nad rozwiązaniem tego problemu.

Nagle poczuł przyływ natchnienia. Koń – rosy, gniady wałach, którego Jim w chwili nostalgii nazwał Gruchotem, na pamiątkę stareńkiego samochodu, jedyne go środka transportu, na jaki było stać jego i Angie, gdy byli na studiach podyplomowych w dwudziestowiecznym świecie – nie był bynajmniej tak wyszkolony jak Blanchard z Tours. Ale sir Brian uznał, że pewna ilość nieskomplikowanej tresury, dostosowanej do poziomu Gruchota, może być przydatna.

Jednym z najbardziej podstawowych elementów szkolenia, o których sir Brian powiedział mu na początku, było nauczenie konia, by przychodził na gwizd Jima. Jest to rzecz niezmiernie ważna dla każdego walczącego konno. Jeśli rycerz został wysadzony z siodła, a koń wciąż jest sprawny, trzeba móc przywołać go do siebie, żeby ponownie go dosiąść. Wśród hałasu i okrzyków bitewnych, szczęku mieczy o zbroje, jeszcze jeden głos nie wyróżniałby się. Gwizd natomiast mógł być przez konia słyszany i natychmiast rozpoznany pośród innych dźwięków.

Pamiętając o tym, Jim popracował nad wyuczeniem

Gruchota, żeby przychodził na gwizd, i ku jego, tak samo zresztą jak Angie i wszystkich innych, zdumieniu powiodło mu się. Była pewna szansa, że i teraz koń przyjdzie na jego gwizd. Oczywiście, jeżeli tylko to jego drugie ciało umiało gwizdać.

Nie było innego sposobu, by to sprawdzić, jak tylko spróbować. Jim ściągnął wargi, co jego smoczym zmysłem wydało się mocno dziwaczne, i dmuchnął. Najpierw nie wydobył żadnego dźwięku. Potem, tak nagle, że sam się przestraszył, ze smoczych warg wyszedł zwyczajny gwizd „chodź tutaj”.

Stojący za drzewami Gruchot nastawił uszy i poruszył się niespokojnie. Utkwił

wzrok w smoczym cielsku na drodze, ale Jim wciąż starannie unikał spoglądania wprost na niego. Po chwili znów gwizdnął.

Musiał to powtórzyć pięć razy, zanim Gruchot, jakby z trudem, zbliżył się do smoka. Gdy tak przysuwał się bokiem, Jimowi udało się pochwycić wlokące się po ziemi wodze w jedną ze szponiastych łap.

Wreszcie osiągnął to, co chciał. Mógł teraz prowadzić konia za sobą aż do domu Carolinusa. Mógł też zrobić coś lepszego. Postanowił zawiesić swój pas od zbroi na kuli siodła, by Gruchot niósł tobolek z ubraniem i rynsztunkiem. Najpierw pozwolił koniowi obwąchać pakunek z rzeczami, co najwidoczniej go uspokoiło, bo nie protestował, kiedy potężne szpony smoka zaczepiły pas o kulę siodła.

Jim spokojnie odwrócił się i poprowadził powoli Gruchota drogą. Koń najpierw zarył się czterema kopytami w ziemię, ale potem ustąpił i ruszył za Jimem.

Do domku Carolinusa przy Dźwięcznej Wodzie było niedaleko. Gdy Jim się tam zbliżył, opanowało go uczucie spokoju, z początku zaskakujące, a potem coraz bardziej zdecydowane. Zdarzało się to każdemu, kto zbliżał się do domu Carolinusa, tak że Jim już nawet nie zastanawiał się nad tym. Wiedział, że czarodziejskie moce Carolinusa nie tylko czyniły to miejsce spokojnym, ale i zabezpieczały je przed każdym niemiłym zdarzeniem. Gdyby pożar ogarnął te lasy – co było mało prawdopodobne ze względu na stosunkowo niewielką ilość podszycia w cieniu królewskich wiązów – ogień rozstąpiłby się ostrożnie w sporej odległości przed polaną Dźwięcznej Wody. I, w co Jim nie wątpił, przeszedłby obok niej z obu stron, nim znów połączyłby szyki poza nią.

W końcu Jim wprowadził Gruchota na polanę. Mimo sytuacji, w jakiej się znajdował, cieszył go widok maleńkiej polanki wśród drzew, z biegnącym przez nią strumieniem, który tworzył mały wodospad w jej przeciwległym rogu.

Nie opodal strumienia, trochę z boku, ale blisko domku stojącego za nim, znajdowała się sadzawka z fontanną. Gdy Jim i Gruchot zbliżyli się do domku, mała rybka wyskoczyła z wody i wykonawszy w powietrzu wdzięczny łuk, równie wdzięcznie zanurzyła się w niej główką naprzód. Przez chwilę Jim był gotów uwierzyć, że to, co widział, było w rzeczywistości miniaturową syrenką. Ale odrzucił tę myśl, pewnie tylko mu się tak zdawało.

Jak zwykle Dźwięczna Woda strumyka i fontanny zachowywała się zgodnie ze swą nazwą. Naprawdę dźwięczała. Nie dźwiękiem małych dzwoneczków, ale kruchym dźwiękiem szklanych kurantów poruszanych łagodnym podmuchem wiatru. Jak zwykle też po obu stronach starannie zagrabionej żwirowej alejki – prawdę mówiąc Jim nigdy nie widział, żeby ktokolwiek, nie wspominając już o Carolinusie, kiedykolwiek ją grabił – pyszniły się dwa rzędy kwietników wypełnionych kipiącym tłumem astrów, tulipanów, cynii, róż i konwalii. Wszystkie one rozwijały swe pąki zupełnie lekceważąc normalne dla nich pory kwitnienia.

Pośrodku jednego z klombów wznosił się słup, do którego przytwierdzony był pomalowany na biało szyld. Na nim czarnym, wytwornym gotykiem wypisane było imię „S. Carolinus”. Jim uśmiechnął się na widok tego szyldu i wypuścił z łap wodze Gruchota. Zostawił konia, by poskubał sobie zieloną trawę, która pokrywała grubym

kobiercem całą polanę, a sam podszedł do domku. Wiedział, że z tego miejsca Gruchot nie oddali się samopas.

Domek był nieduży, wąski i jednopiętrowy, ze spadzistym dachem. Ściany wyglądały na zrobione z niedużych, jednolicie szarych kamieni, a dach pokryty był błękitnymi jak samo niebo dachówkami. Ponad niebieskim dachem wystawał komin z czerwonej cegły. Zielone frontowe drzwi były osadzone nad pojedynczym, pomalowanym na czerwono kamiennym stopniem.

Jim podszedł do nich. Miał zamiar zapukać, ale gdy się zbliżył, ujrzał, że były lekko uchylone. Z wnętrza domku dobiegał podniesiony i rozdrażniony głos. Warczał on zawzięcie w jakimś języku, którego Jim nie rozumiał, ale który wyraźnie zawierał dużo słów brzmiących tak, jakby miały poszarpane brzegi. Mogły one oznaczać wszystko, ale na pewno nic pochlebnego.

Głos należał do Carolinusa. Mag był najwidoczniej na coś rozzłoszczony.

Jim zawahał się. Nagle zaczął mieć wątpliwości. Czarodzieja raczej trudno było zaliczyć w poczet istot cierpliwych. Wcześniej nawet nie przyszło mu do głowy, że gdy przyjdzie ze swoim kłopotem, Carolinus będzie miał własne problemy. Jednak niezdecydowanie, które opanowało Jima, szybko ustąpiło przed wszechogarniającym uczuciem spokoju panującym na polanie. Wszedł na czerwony stopień i zapukał delikatnie do drzwi. Zapukał znów, kiedy jego pierwsze stukanie zostało zignorowane. W końcu, jako że Mag wydawał się wyraźnie nie zwracać uwagi na te odgłosy, pchnął drzwi do środka i precyzyjnie się przez nie.

Pojedyncze, zagracone pomieszczenie, do którego wszedł, zajmowało cały parter domku. W tej chwili nawet odrobina światła nie wpadała przez okna i gęsty mrok wypełniał izbę, chociaż żadne zasłony czy rolety nie były zaciągnięte. Tylko na zaokrąglonym suficie widniały rozrzucone punkciki światła.

Carolinus – chudy starzec w czerwonej szacie, czarnej mycce, z rzadką, raczej źle utrzymaną brodą, stał przed czymś, co wyglądało jak kula z kości słoniowej. Miała ona wielkość piłki do koszykówki i promieniowała wewnętrznym światłem. Nieco światła umykało przez otworki w jej powierzchni i tworzyło plamki na suficie. Czarodziej zlorzeczył kuli w nieznanym języku. – Ee – powiedział niepewnie Jim.

Carolinus przestał kląć – nie mogło to być nic innego, jak tylko przekleństwa – i podniósł wzrok znad kuli, popatrzył z wściekłością na Jima.

–Dzisiaj nie przyjmuję smo... – zaczął ostro, po czym przerwał, dodając niewiele przyjaźniejszym tonem – A więc! Jamesie!

–No cóż, tak – powiedział nieśmiało Jim. – Jeśli przychodzę nie w porę...

–Czy ktokolwiek przyszedł do mnie kiedyś w porę? – warknął Mag. – Jesteś tu, bo masz kłopoty, nieprawdaż? Nie zaprzeczaj! To jedyny powód, dla którego do mnie przychodzą. Masz kłopoty, tak?

–No cóż, owszem – zająknął się Jim.

–Czy umiesz mówić, nie zaczynając każdego zdania od „no cóż”?! – zapytał Carolinus.

–Oczywiście – wybąkał Jim.

Jego cierpliwość zaczynała się kończyć. Czarodziej czasem działał w ten sposób



na ludzi, nawet na tak zazwyczaj wyrozumiałych jak Jim.

–Więc, proszę, nie rób tego – rzekł Mag. – Nie widzisz, że mam własne kłopoty?

–Raczej usłyszałem ze sposobu, w jaki mówiłeś – powiedział Jim – ale doprawdy nie wiem, co cię martwi.

–Nie wiesz?! – ripostował Carolinus. – Sądziłem, że każdy dureń by się zorientował, nawet Magister Sztuk Wyzwolonych.

Ostatnie słowa zawierały sarkastyczne żądło. W początkach ich znajomości Jim był na tyle nieostrożny, że wspomniał czarodziejowi o swoim dyplomie magistra z historii średniowiecza zdobytym na jednym z uniwersytetów Środkowego Zachodu. Dopiero później odkrył, że w tym świecie, a zwłaszcza w dziedzinie zarezerwowanej dla Magów, tytuł Magistra Sztuk wskazywał na znacznie większy prestiż i dokonania niż jego akademicki odpowiednik, jaki uzyskał na Uniwersytecie Michigan.

–Nie widzisz, że moje planetarium źle działa? – kontynuował Mag. – Pokazuje mi całkiem przekręcony obraz nieba. Widzę to na pierwszy rzut oka, ale nie mogę dokładnie określić, co się popsuło. Jestem pewien, że

Gwiazda Polarna nie powinna być tam – wskazał na odległy kąt pokoju – ale gdzie powinna być?

–Na północy – powiedział niewinnie Jim.

–Oczywiście, że na... – Carolinus przerwał nagle, utkwiał wzrok w Jimie i prychnął. Pochylając się nad globem z kości słoniowej, przesunął go o ćwierć obrotu.

Światelka zabłysły na suficie w nowych miejscach. Czarodziej spojrzał na nie i westchnął radośnie.

–Oczywiście to była jedynie kwestia czasu, póki nie znalazłem właściwej pozycji – powiedział. Przez moment głos jego brzmiał prawie dobrodusznie. Znowu spojrzał na Jima. – No więc – zapytał jak na niego całkiem spokojnym tonem – co cię do mnie sprowadza?

–Czy masz coś przeciwko temu, żebyśmy wyszli porozmawiać o tym na zewnątrz? – spytał nieśmiało Jim.

Kłopot polegał na tym, że przy jego rozmiarach, niskim suficie pomieszczenia i panujących w nim ciemnościach, wydawało mu się, że wlezie na coś, przewróci stół albo jakiś bezcenny przedmiot i znowu wprawi Carolinusa w zły humor.

–Sądzę, że możemy to zrobić – odparł Mag. – No dobrze. Proszę przodem.

Jim odwrócił się i precyzyjnie przeszedł przez drzwi na światło słoneczne. Gruchot, skubiący trawę, podniósł na chwilę łeb, by spojrzeć na nich, lecz zaraz wrócił do dużo istotniejszej sprawy pożywiania się. Jim zszedł z czerwonego stopnia na alejkę, a Carolinus dołączył do niego.

–Zatem – zagaił -jesteś tu w ciele smoka. Dlaczego?

–No właśnie – bąknął Jim.

–Co rozumiesz przez „no właśnie”? – jak echo powtórzył czarodziej.

–Chodzi mi – rzekł Jim – o to smocze ciało, to jest właśnie powód mojego przybycia. Zdaje się, że ni stąd, ni zowąd zacząłem od czasu do czasu zamieniać się w smoka. Pytałem się Wydziału Kontroli, ale powiedzieli mi tylko, że mój kredyt został zaktywowany.

–Hmmm... – zadumał się Carolinus. – Zgadza się, to już dobrze ponad sześć miesięcy, czyż nie tak? Dziwię się, że wcześniej tego nie zrobili.

–Ale ja nie chcę, żeby mi aktywowano kredyt – powiedział Jim. – Nie chcę się wciąż zmieniać w smoka i z powrotem w człowieka tak nagle, bez ostrzeżenia. Potrzeba mi twojej pomocy, by to powstrzymać.

–Powstrzymać? – Siwe brwi Maga podjechały w górę czoła. – Nie ma żadnego sposobu, żebym mógł powstrzymać kredyt od zaktywowania. Zwłaszcza że limit czasu został dawno przekroczony.

–Ale ja nawet nie rozumiem, co to znaczy, że mój kredyt jest zaktywowany! – krzyknął Jim.

–Ależ mój drogi Jamesie! – rzekł zirytowany Carolinus. – Nie powinieneś potrzebować pomocy, by dojść do tego własnym rozumem. Masz pewne saldo w Wydziale Kontroli. Saldo to energia – potencjalna, magiczna energia. A energia nie jest statyczna. Musi być aktywna, z założenia. To znaczy, że albo się jej używa, albo, tak jak najwidoczniej stało się teraz, ona sama się używa. Ponieważ nic z nią nie robisz, a wszystko, co ona wie o twoim guście i przyzwyczajeniach, to to, że byłeś kiedyś w ciele smoka, zaczęła na chybił trafił zamieniać cię to w smoka, to znów w człowieka. *Quod erat demonstratum*. Czy też w języku, który znasz...

–„Czego należało dowieść” – Jim przetłumaczył sam nieco rozzłoszczony. Był może zwyczajnym, dwudziestowiecznym magistrem, ale znał łacinę. Ponownie zmusił się do łagodnego tonu. – Wszystko to bardzo piękne – powiedział – ale jak mamy ją skłonić, żeby przestała zamieniać mnie w smoka bez ostrzeżenia?

–M y nic nie mamy – odpowiedział czarodziej. – Ty musisz zrobić to sam dla siebie.

–Ale ja nie wiem jak! – rzekł Jim. – Gdybym wiedział, nie przychodziłbym tu prosić cię o pomoc.

–W sprawach tego rodzaju nie mogę ci pomóc – odparł gderliwie Mag. – To twój kredyt, nie mój. Ty musisz się nim zajmować. Jeśli nie wiesz jak, musisz się nauczyć. Czy chcesz się nauczyć?

–Muszę się nauczyć! – powiedział Jim.

–Dobrze. W takim razie wezmę cię na ucznia – postanowił Carolinus. – Tradycyjne dziesięć procent twego kredytu będzie w tej chwili automatycznie i bezzwłocznie przelane na mój rachunek jako honorarium. Zanotowane?

–Zanotowane! – odpowiedział basem Wydział Kontroli, ze swojej zwykłej wysokości kilku stóp nad ziemią i ze zwykłym dla Jima efektem – jakby petarda wybuchła mu pod nogami.

–Psie pieniądze – narzekał czarodziej pod nosem – ale skoro to zwyczajowe wynagrodzenie...

Podniósł głos do normalnego tonu.

–Będę ci doradzał we wszelkich sprawach magicznych jak Merlinowi jego mistrz, wielki Bleys – powiedział. – Rzeknij „Nie” i umowa jest rozwiązana, rzeknij „Tak” i dajesz cały swój kredyt w zastaw za dotrzymanie obietnicy posłuszeństwa.

–Tak – podchwycił ochoczo Jim.

Pomyślał, że mógłby właściwie świetnie obyć się bez tego śmiesznego kredytu. I raczej serce by mu nie pękło, gdyby przyszło się sprzeciwić Carolinusowi w jakiejś magicznej sprawie.

–No, dobrze – mówił dalej Jim. – A teraz jeśli chodzi o wydostanie mnie z tego smoczego ciała i przeniesienie w zwyczajne...

–Nie tak szybko! – przerwał mu Carolinus. – Najpierw musimy nakarmić cię Mądrością.

Odsunął się na bok i strzelił palcami w powietrze.

–Encyklopedia! – rozkazał. Czerwono oprawny tom „Encyclopedia Britannica” zmaterializował się znikąd i upadł na żwir. Drugi tom miał właśnie pojawić się za pierwszym, zdążył się już na wpół zmaterializować, gdy ożywienie Maga zmieniło się w furię.

–Nie! Nie to, idioci! – krzyknął. – „Encyclopedie Necromantick”!

–Przepraszamy – powiedział głębokim basem Wydział Kontroli. Całkiem i na pół zmaterializowane tomy „Encyclopedia Britannica” zniknęły.

Jim spojrzał mocno zdziwiony na czarodzieja. On sam nigdy nie odezwał się do Wydziału Kontroli nawet nieco podniesionym głosem. Jakieś przeczucie ostrzegало go, że nie byłby to mądry postępek. Nawet gdyby nie pamiętał tej jednej chwili, około dziesięciu miesięcy temu, kiedy ziemia, niebo i morze przemówiły jednym głosem, powtarzając jak echo to, co właśnie wtedy rzekł Wydział. Nawet gdyby nie przypominał sobie tej chwili, miał wrażenie, że lepiej zrobi nie pyskując Wydziałowi Kontroli.

Co prawda to jedno słowo, które Wydział Kontroli powiedział wtedy, nie było skierowane do niego. Ale tak czy inaczej zapamiętał je na całe życie. I nie zapomniał, że nie pozostało ono bez odpowiedzi. Ciemne Moce, przy całej swej potędze, natychmiast z powrotem oddały mu Angie, jak tylko rozkaz został wydany. Tymczasem tutaj Mag wyraźnie traktował głos Wydziału Kontroli, jakby był to jakiś jego młodszy podwładny i to w dodatku niedorozwinięty.

–No! – ponaglił Carolinus.

Oprawiona w skórę księga, tak duża, że pierwszy tom „Encyclopedia Britannica” wyglądał przy niej jak znaczek pocztowy, ukazała się w powietrze i opadła na dół. Choć to nie do uwierzenia, ale czarodziej złapał księgę jedną dłonią tak lekko, jakby była piórkiem. Jim stał dość blisko, by móc przeczytać pochyły, złoty napis biegnący w poprzek okładki: „Encyclopedie Necromantick”.

–Opatrzona indeksem. Zgadza się – powiedział Carolinus ważąc tom w ręce. Przeszył go wzrokiem. – A teraz – zmniejsz się!

Olbrzymie tomisko zaczęło się kurczyć. Zmniejszało się i zmniejszało, aż było rozmiaru kostki cukru – aż było nie większe niż bardzo mała tabletką jakiegoś lekarstwa. Mag podał ją Jimowi, który odruchowo napiął ramię, by przejąć ten ciężar i zdziwił się, stwierdziwszy, że prawie jej nie czuł w smoczjej, łuską pokrytej łapie. Wpatrywał się w księgę.

–No – polecił mu czarodziej – nie stój tak. Połknij ją! Nie bez obawy Jim śmignął długim, czerwonym jęzorem i zawinął go wokół maleńkiego, pigułkopodobnego

przedmiotu. Następnie wciągnął go w paszczę i połknął. Księga znikła w głębi jego gardła bez żadnych wrażeń, lecz w chwilę potem poczuł się, jakby zjadł olbrzymi posiłek.

–Proszę bardzo – powiedział zadowolony Carolinus. – Oto wszystko, co młody czarodziej wiedzieć powinien. Właściwie zaś wszystko, co każdy czarodziej powinien wiedzieć – oczywiście taki, który wciąż musi używać zaklęć. Masz już wiedzę, mój chłopcze. Teraz to tylko kwestia nauki korzystania z niej. Trzeba ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć. Oto jest odpowiedź. Ćwicz! – Zatarł swe chude dłonie.

–Jak -jak mam ćwiczyć? – spytał Jim, wciąż walcząc z uczuciem, że zjadł dwa świąteczne obiady naraz.

–Jak masz to robić? – zdziwił się Mag. – Właśnie ci powiedziałem. Ćwicz! Szukaj w indeksie zaklęć, których potrzebujesz, znajdź je w „Encyclopedie” i stosuj. Tak masz robić. I kontynuuj to, aż będziesz znał ją całą na pamięć. Wtedy, jeśli masz talent, posuniesz się o krok dalej, do punktu, w którym nie będziesz potrzebował takich pomocy. Gdy już się nauczysz wszystkich zaklęć, będziesz mógł tworzyć własne. Kiedy zna się już milion zaklęć, można stworzyć bilion, trylion – ile się tylko chce. Oczywiście nie znaczy to, żebym uważał, że kiedykolwiek osiągniesz ten etap.

Jim zgodził się. Czuł, że wcale nie miał ochoty osiągać tego etapu.

–Jak długo jeszcze będę się czuł jak gęś z nadzieniem? – zapytał słabym głosem.

–A, to. – Carolinus machnął ręką niedbale. – To przejdzie za jakieś pół godziny. Po prostu musisz strawić to, co połknąłeś. – Odwrócił się w stronę domu. – Dobrze – rzucił przez ramię – to załatwia twój problem. Mogę wracać do mojego planetarium. Pamiętaj, co ci mówiłem. Ćwicz! Ćwicz!

–Czekaj! – zawył Jim.

## Rozdział 4

Carolinus zatrzymał się i odwrócił. Zmarszczył siwe brwi i wyglądał naprawdę groźnie.

–Co znowu? – zapytał, cedząc słowa powoli i złowieszczo.

–Wciąż jestem w ciele smoka – powiedział Jim. – Muszę się z niego wydostać. Jak to się robi?

–Używając Magii! – odparł czarodziej. – Jak sądzisz, po co cię wzięłem na ucznia? Jak myślisz, po co kazałem ci połknąć „Encyclopedie”? Masz środki, użyj ich!

Jim poddał swój mózg błyskawicznemu badaniu. Zgoda, czuł tam wiedzę – jakąś bryłę równie niedostępną i niestrawną jak ciężar, który czuł w żołądku.

–Połknąłem, jak mi kazałeś – rzekł zdesperowany – ale nie wiem, jak tego używać. Jak mam zamienić się ze smoka z powrotem w człowieka?

Mag uśmiechnął się złośliwie, ale srogi grymas widniejący przed chwilą na jego twarzy już zniknął.

–Aha! – powiedział. – Zakładałem, rzecz jasna, że jako asystent będziesz wiedział, jak korzystać z materiałów źródłowych. Ale jak widzę, nie wiesz.

Znów na chwilę powróciła sroga mina. Zamruczał w brodę coś jakby „... haniebne... młode pokolenie...”

–Jednakże – kontynuował głośniej – myślę, że będę musiał przerobić razem z tobą to twoje pierwsze wejście w Magię. Spójrz od wewnątrz na swoje czoło – dodał.

Jim spojrzał na niego zdziwiony. Potem spróbował zrobić to, co nakazał Carolinus. Oczywiście, nie mógł spojrzeć na swoje czoło od środka. Ale, choć to dziwne, czuł teraz, że przy odrobinie wyobraźni, może ujrzeć ciemną zakrzywioną płaszczyznę nadającą się do pisania równie dobrze jak tablica.

–Masz? – zapytał natarczywie czarodziej.

–Tak myślę – odpowiedział Jim. – A przynajmniej mam wrażenie, jakbym czuł moje czoło od wewnątrz.

–Dobrze! – pochwalił Mag. – Teraz wywołaj indeks. Jim skoncentrował się na swojej wyobrażonej tablicy i po jeszcze jednym wysiłku imaginacji odkrył, że na ciemnej powierzchni uformowały się duże złote litery, a głosiły one:

## INDEKS

–Myślę, że to też mam – powiedział, mrużąc oczy przed otaczającym go światem, jakby to miało pomóc mu zogniskować umysł na tym, co próbował ujrzeć.

–Bardzo dobrze – stwierdził Carolinus. – Teraz przywołuj, po jednym, następujące hasła. Gotowy?

–Gotowy – odparł Jim.

–Niekształt – podsunął czarodziej.

Jim dokonał czegoś w rodzaju intelektualnego wysiłku – nie było sposobu, w jaki mógłby to opisać, było to trochę j tak, jakby próbował sobie przypomnieć coś, co bardzo i dobrze wiedział. Słowo „indeks” znikło i zastąpiła je lista słów, które przewijały się od dołu jego czoła do góry, aż zniknęły z widoku. Słowa zdawały się przemykać bez końca. W mgnieniu oka odczytywał niektóre – „gruby”, „chudy”, „gdzie indziej”... ale żadne z nich nie miało sensu. Rozumiał, że to, co przeglądał, było zbiorem jakichś określeń kształtu. Ale to, jak zwolnić przewijanie lub znaleźć wśród słów to, którego szukał – nawet jeśli wiedział, czego chce – było problemem, który w tej chwili wydawał się całkowicie nierozwiązywalny.

–Smok – usłyszał warknięcie Carolinusa. Jim wyobraził to sobie.

Przewijające się dotychczas słowa natychmiast zostały zastąpione nowymi. Jim wyłowił „wielki”, „brytyjski”, „okrutny”.

–Strzałka – rozkazał Mag.

Jim usiłował wykonać polecenie. Po chwili ujrzał prostą linię, zakończoną z prawej strony czymś, co wyglądało dosłownie jak szeroki grot strzały. Wewnątrz jego czoła widniał teraz taki obraz:

### NIKSZTAŁT SMOK --

–Mam – powiedział, zaczynając odczuwać pierwsze muśnięcia radości ze swoich osiągnięć. – Na razie mam wszystko: „niekształt – smok – strzałka”.

–Ja! – rzekł Carolinus.

–Ja – powtórzył jak echo Jim, przywołując to słowo za końcem strzałki na tablicy czoła w swoim umyśle.

Na chwilę zabłysło na niej:

### NIKSZTAŁT SMOK -- JA

Nagle zrobiło mu się straszliwie zimno. Zapominając o tablicy, znów zwrócił uwagę na otaczający go świat i odkrył, że stoi nagi na żwirowej alejce czarodzieja.

–No i proszę bardzo – powiedział Mag, znów odwracając się w stronę domu.

–Zaczekaj! – krzyknął Jim. – A co z moim ubraniem? Ze zbroją? Są całe w kawałkach!

Carolinus odwrócił się powoli, a wyraz jego twarzy był zdecydowanie niesympatyczny. Jim podszedł szybko do Gruchota, odczepił pas od miecza z kuli i przyniósł go wraz z zawiniątkiem ze zbroją oraz kawałkami ubrania tam, gdzie stał czarodziej. Marcowy dzień był chłodny. A nawet, prawdę mówiąc, zimny. Żwir na alejce uwierał Jima w stopy. Jednak nie przejmując się tym rzucił zawiniątko pod stopy Maga, rozwiązał pas i zaprezentował resztki swej osobistej odzieży.

–Rozumiem – mruknął Carolinus, w zamyśleniu głaszcząc się po brodzie.

–Miałem to na sobie, kiedy zamieniłem się w smoka – powiedział Jim. – Oczywiście, kiedy przeskoczyłem w większe ciało, wszystko jakby eksplodowało na mnie.

–Tak. W rzeczy samej – rzekł czarodziej wciąż gładząc brodę. – Ciekawe.

–No i? – spytał Jim. – Powiesz mi, jak magicznie poskładać te rzeczy z powrotem?

–Uzdrowić je, to masz na myśli? – Krzaczaste brwi Maga znów utworzyły nad jego oczami linię prostą.

–Tak, o to mi właśnie chodziło.

–Naturalnie, to jest do zrobienia – stwierdził powoli Carolinus. – Ale są pewne rzeczy, które będziesz jeszcze musiał poznać. Może rzeczywiście – tak, tak sądzę.

–Co sądzisz? – zapytał Jim.

–Chyba właśnie nadeszła pora na twój pierwszy wykład jako mego ucznia – powiedział czarodziej, rzucając zamyślane spojrzenie na niebo, nim znów popatrzył na Jima. – Wyjaśnię ci teraz trochę z tego, co leży u podstaw Magii. Przysłuchuj się uważnie.

Jim zadygotał. Dzień nie był chłodny ani nawet zimny, był po prostu lodowaty. Czuł, jak dostaje gęsiej skórki na całym ciele.

Z drugiej strony jednak znał Carolinusa na tyle dobrze, by wiedzieć, że ten zajął się teraz czynnością, w której lepiej mu było nie przeszkadzać. Nie należało odwracać jego uwagi, przerywać mu, czy w ogóle robić czegokolwiek poza poddaniem się jego woli. Jim coraz bardziej żałował, że nie zna jakiegokolwiek ogrzewającego zaklęcia. Spróbował nie zwracać uwagi na gęsią skórkę i słuchać.

–Wyobraź sobie – rzekł Carolinus – jak musiało być na początku. Wtedy, kiedy człowiek był dzikusiem z epoki kamiennej, a nawet i wcześniej – wszystko było Magią. Jeśli ty i reszta twojego plemienia tłuksiecie groźnego niedźwiedzia, aż upadł i nie ruszał się więcej, to przyczyną, dla której go pokonaliście, była Magia. Nie maczugi. Nie istniał związek między waleniem w coś maczugami a uchodzeniem życia ze stworzenia, które było dla was zagrożeniem. Tak przynajmniej działo się na początku.

Czarodziej odchrząknął. Mówił do Jima, ale także do małej polany Dźwięcznej Wody i do nieba ponad nią. W rzeczywistości wykladał całemu światu.

–Przedstaw to sobie teraz, Jamesie – powiedział. – Oto czasy, kiedy wszystko dzieje się dzięki Magii, Magia zewsząd cię otacza. Magia jest we wszystkim, co robią pozostali ludzie i zwierzęta. Jeżeli nie jest to czysta Magia, to przynajmniej Magia na to wpływa. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Spojrzał na Jima.

–Ee... tak myślę – zająknął się Jim. – Mówisz, że na początku Magia była jakimś wyjaśnieniem wszystkiego, wszystkiego dokonywano za pomocą Magii.

–Nie jakimś wyjaśnieniem! – Carolinus popatrzył na niego groźnie. – Wszystko było magiczne. Jednakże z czasem te czynności, które były ogólnie dostępne i przez wszystkich wykonywane i z których nie czyniono sekretu, zaczęły tracić swoją magiczną aurę. Skutkiem tego zrodziła się myśl, że istnieją czynności magiczne i czynności nie-magiczne. I po kolei przechodziły one z jednego obszaru do drugiego.

Zważ, że dla naszych potrzeb – dla ciebie, Jamesie, i dla mnie, dla nas, którzy zajmujemy się Magią – wszystko wciąż jest Magią, u podstaw.

–Jest mi... Tak – powiedział Jim.

–Bardzo dobrze – ciągnął dalej Mag. – Zatem wyobraźmy sobie ten pierwszy raz, kiedy ktoś, kto przyzwyczajony był po prostu owijać się futrami, dostał w swoje ręce okrycie zrobione z dwóch futer, z dwóch zszytych razem skór. Szczęśliwy nosił je przez jakiś czas, aż za sprawą tej czy innej przyczyny szycie się przedarło i dwa futra rozdzieliły się. Więc człowiek ów zabrał je z powrotem do tego, od którego dostał połączone futra, „lub do osoby, która, jak słyszał, dokonała ich połączenia. Osobą tą okazała się stara, mądra kobieta plemienia.

Przerwał i spojrział surowo na Jima.

–Każde plemię w tamtych czasach posiadało mądrą kobietę. Uważano, że tak wypada.

–Tak, tak – potakiwał Jim rozcierając sobie ramiona dłońmi na krzyż. – Mów, mów.

–Kobieta wzięła od niego futra – ciągnął Carolinus – i powiedziała: „Mogę ci je znowu połączyć. Ale to bardzo tajemna Magia. Zabiorę je do mojej jaskini, a ty w żadnym wypadku nie powinieneś próbować iść za mną lub podpatrywać. Jeśli to zrobisz, w czasie najbliższej burzy piorun obedrze twoje ciało do kości”.

W tej chwili Jimowi przyszło do głowy, że nogawice, które, jak w końcu sobie przypomniał, tylko się rozciągnęły, a nie podarły, wciąż właściwie nadają się do noszenia. Naciągnął więc je, a następnie udrapował na sobie strzępy koszuli i kubraka. Nie było to wiele, ale sprawiło, że świeże powietrze stało się trochę bardziej znośne.

–Mów dalej – powiedział do czarodzieja, spoglądając jednocześnie na swoje buty, które niestety dość mocno się podarły. Mógł je bez problemu założyć na nogi, ale nie było wątpliwości, że pospadają w chwili, kiedy spróbuje podnieść nogę i zrobić krok.

–Tak więc – kontynuował Mag zatopiony w swoim wykładzie, beztrąsko ignorując Jima – mądra kobieta zabrała skóry do jaskini, a po chwili wyniosła je i – oto znów były połączone! Człowiek, dla którego zrobiła to, zapłacił jej, i wszyscy byli szczęśliwi.

Jim wciąż szukał wśród fragmentów swego ubrania jakiejś ochrony przed chłodem.

–No i co się zdarzyło, jak sądzisz? – Głos Carolinusa zahuczał mu w uchu jak wybuch bomby. Jim podskoczył, widząc, że czarodziej piorunuje go wzrokiem z odległości jakichś sześciu cali.

–Cóż, ja... ee... ona je znów pozszywała – wybąkał Jim.

–Dokładnie tak! – stwierdził Mag. – Ale wtedy szycie było aktem Magii. Ona zrobiła w skórach otwory i przeciągnęła przez nie ścięgna i to stworzyło magiczne uwarunkowanie, w którym dwie skóry musiały trzymać się razem. Rozumiesz?

–Tak – powiedział Jim, któremu szok przywrócił całkowitą uwagę.

–A teraz – ciągnął Carolinus niemalże słodkim głosem – jeśli chodzi o to, jak ta historia odnosi się do twojego położenia. Owszem, w „Encyclopedie Necromantick”



znajduje się informacja, która pozwoli ci lub też pozwoliłaby mi pokazać tobie, jak za pomocą Magii połączyć z powrotem twoje ubranie. Jednakże zakłęcie to trzeba by odnawiać z każdym wschodem słońca, co byłoby pewnym problemem. Ubranie twoje byłoby wrażliwe na każdy rodzaj przeciwdziałania ze strony innej magicznej siły. Jednym słowem Magia to nie jest najlepsze wyjście w tym wypadku. Ponieważ, mój drogi Jamesie, morał z tego, co ci opowiedziałem, jest taki, że metody, które przeszły z domeny Magii do sfery codziennych, zwykłych sposobów czynienia różnych rzeczy, są najlepszymi formami Magii! Przerwał, zmarszczył brwi i znów spojrzał na Jima.

–To przejawia się wszędzie, także i poza zajmującą nas w tej chwili sprawą założenia ci na grzbiet ubrania. – Carolinus kontynuował wykład: – Musisz zawsze pamiętać to, czego się dziś ode mnie nauczyłeś. Magia, która wkroczyła w sferę zwyczajności, to najlepsza Magia. Jej powinno się używać najpierw. Najgłębsza Magia, która jest wciąż nie znana nieprofesjonalistom, ma skłonności do odkształceń i rozpadu. Opowiem ci pewną historię.

Jeszcze raz groźnie spojrzał na Jima.

–Słuchasz mnie?

–Najuważniej.

–Ta opowieść dotyczy pewnego, znanego mi czarodzieja, który niestety nie był najlepszym spośród nas. Nie ma złych czarodziej – stwierdził Carolinus – są tylko czarodzieje, którzy pobłądzili. Są, oczywiście, pewne okoliczności łagodzące, ale – nie, nie powiem ci, jak się on nazywał. Odkryjesz to sam, kiedy – jeśli to się kiedyś stanie – uzyskasz wyższy stopień wtajemniczenia. Ale nawet mimo okoliczności łagodzących to, co uczynił, było niewybaczalne.

Mag zrobił dramatyczną pauzę.

–Czarodziej ten wolał używać swych magicznych zdolności dla doczesnych uciech – powiedział powoli, z naciskiem. – Nie powinieneś nigdy popaść w tę pułapkę Jamesie. Nigdy.

–Och, na pewno nie popadnę – odpowiedział szybko Jim.

–Dobrze – rzekł Carolinus. – Tak jak mówiłem, postanowił on używać Magii dla doczesnych uciech. Myślał, że znajdzie sposób na sprawowanie kontroli nad królestwem, jeśli sprawi, by młody książę, który dopiero co odziedziczył władzę po ojcu, zakochał się w dziewicy znajdującej się pod jego całkowitą kontrolą. Dziewica ta kierowałaby każdym krokiem czynionym przez młodego księcia, tak że stałby się on marionetką czarodzieja.

Mag znów zrobił pauzę i Jim czuł, że czeka na jakiś jego komentarz. Nic mu nie przychodziło do głowy, więc tylko zacmokał ustami: – Ts, ts.

–Tak, istotnie – mówił dalej Carolinus. – Tak więc czarodziej sprowadził najczystszy i najdelikatniejszy śnieg ze szczytu najwyższej góry, która była na tyle blisko, żeby śnieg nie roztopił się po drodze. I ulepił najpiękniejszą dziewczinę, jaką widział świat. Przedstawił ją księciu, a ten mocno się zakochał i poślubił ją wśród powszechnej radości w królestwie.

Carolinus przerwał dla zaczerpnięcia oddechu.

–W czasie całego tego przedstawiania, zalotów, ślubu, i tak dalej – kontynuował – czarodziej bardzo uważał, żeby nawet kropla wilgoci nie dotknęła dziewicy – która oczywiście, jako zrobiona ze śniegu, natychmiast roztopiłaby się. Wmówił księciu, że miała ona tak delikatną skórę, że wilgoć mogła jej dotykać tylko pod postacią Magicznego Płynu, który czarodziej sam sprowadził wielkim kosztem z drugiego końca świata. I nawet jej kąpiele muszą pozostać dla księcia tajemnicą.

–Ale... – zaczął Jim.

–Ja mówię – rzekł lodowato Mag.

–Przepraszam – powiedział Jim – mów dalej.

–Od wszystkich innych rodzajów wilgoci księżniczkę trzeba było strzec – kontynuował Carolinus. – W dniu ślubu była lekka mżawka, ale przygotowano wiele zasłon i okryć, by ochronić księżniczkę. Wszystko szło dobrze do chwili, gdy nowożeńcy wchodzili z powrotem do zamku księcia – a właściwie już króla. Nie przeczuwając żadnego niebezpieczeństwa książę porwał żonę w ramiona, by przenieść ją przez próg. Czarodziej był zbyt daleko, by go powstrzymać, nawet gdyby przewidział tkwiące w tym niebezpieczeństwo. Proóg zamku znajdował się za niewielkim mostem przerzuconym nad fosą. Książę ruszył po lekkiej pochyłości tego mostu. Niestety, nawierzchnia jego była teraz mokra od deszczu. Książę poślizgnął się i upadł. Oboje, on i dziewczyna, wpadli do fosy -jak sądzę, łatwo możesz zgadnąć, że wyszedł z niej sam.

Carolinus skończył wreszcie na głębokiej i robiącej wrażenie nucie.

Jim czuł niejasno, że oczekuje się od niego, by odkrył w tym momencie głowę i położył dłoń na sercu. Niestety, nie miał niczego podobnego do kapelusza, co mógłby zdjąć, i czułby się głupio, kładąc dłoń na sercu.

–Oczywiście roztopiła się w wodach fosy – powiedział Mag. – Tragiczne.

Jim próbował wyglądać na odpowiednio wstrząśniętego.

–Zwłaszcza dla księcia była to tragedia – ciągnął Carolinus. – Dla planów czarodzieja oznaczało to ruinę. Dla Wydziału Kontroli stworzyło to konieczność nałożenia na czarodzieja surowej grzywny – z przyczyn technicznych, które w tej chwili pozostają nieco poza twoim rozumieniem, mój drogi Jamesie. Sedno całej tej historii jest w tym – nigdy nie używaj Magii Właściwej, jeśli z powodzeniem możesz zastosować jakąś inną, powszechnie znaną jej formę, nie uważaną za Magię. Teraz sugerowałbym – i pomogę ci w tym – żebyś użył zaklęcia na tymczasowe połączenie tych części twojego stroju i rynsztunku, które są obecnie – eee – rozczłonkowane. Ale gdy dostaniesz się do domu, każ je połączyć, czy co tam trzeba będzie zrobić, używając znanych powszechnie środków. Zrozumiałeś?

–Z pewnością! – wykrzyknął Jim z ulgą, że wykład się skończył, i z radością, że znów będzie ubrany. Był raczej pewien, że Gruchot nie pozwoliłby mu dotrzeć się przy jego obecnym, przypominającym stracha na wróble, wyglądzie. A nie miał specjalnej ochoty na spacer przez całą drogę do zaniku.

Czarodziej spokojnie przeprowadził go przez całą procedurę z wnętrzem czoła, Indeks, „Encyclopedie Necromantick”, i Jim znalazł się nareszcie w drodze do domu, praktycznie rzecz biorąc odziany i uzbrojony.

W dwie godziny później dotarł do bram swego zamku, będąc bardziej niż trochę zadowolonym z siebie. Technikę przemieniania się na powrót ze smoka w człowieka miał teraz opracowaną i nie powinien mieć z nią więcej kłopotów. Pod okiem Carolinusa kilkakrotnie przećwiczył zamianę, po prostu, aby nabrać pewności, że lekcja się utrwałała. W gruncie rzeczy był to niezły dzień.

–Milordzie! – powiedział zbrojny, trzymający straż przy bramie. – Sir Brian Neville-Smythe jest tutaj.

–Och? – zdziwił się Jim. – Dobrze!

Zostawił konia i pośpieszył do Wielkiej Sieni, to znaczy tam, gdzie sir Brian najprawdopodobniej się znajdował, chyba że Angie zabrała go do oferującej więcej spokoju słonecznej sypialni. W gruncie rzeczy niewiele było takich miejsc w zamku, które nie byłyby zawsze pełne ludzi. W rezultacie Jim i Angie przyjęli po prostu średniowieczny zwyczaj życia i rozmawiania ze wszystkimi ludźmi, którzy ich otaczali. Na koniec doszli nawet do punktu, w którym ignorowali to, że się ich obserwuje i podsłuchuje, oczywiście z wyjątkiem najbardziej intymnych chwil.

W Wielkiej Sieni, przy wysokim stole, dokładnie tak, jak Jim się tego spodziewał, siedzieli sir Brian i Angie. Jim podszedł do stołu, uściśnął dłoń rycerza i przysiadł się do nich.

–Jimie! – zawołała Angie. – Co ci się stało? Jasne było, przynajmniej dla Jima, że w tej samej chwili, kiedy padły te słowa, Angie pożałowała, że cokolwiek mówiła. Ale ponieważ wygląd Jima tak czy inaczej musiał wywołać komentarze, przygotował on już sobie prowizoryczną odpowiedź.

–Och – machnął ręką – to sprawa Magii, która nie wyszła. Nic ważnego. Trzeba będzie tylko pozszywać porządnie moje ubranie i wyprostować, gdzie trzeba, zbroję.

Był świadom, że co najmniej dwadzieścia osób w sieni krążyło coraz bliżej stołu, podczas gdy to mówił.

–W rzeczy samej wyglądasz, jakbyś nieco ucierpiał na przyodziewku, milordzie – stwierdził sir Brian.

–To nic ważnego, Brianie – odparł Jim, krzywiąc się trochę na to milordowanie rycerza. Ukrył to, napełniając pośpiesznie do połowy jeden z wolnych kubków winem z dzbana, który stał między Angie a Brianem.

Kiedy spotkali się po raz pierwszy – prawie przed rokiem, w sprawie Twierdzy Loathly i sir Brian zaoferował się jako pierwszy z Towarzyszy potrzebnych Jimowi do wyrównania sił w walce z Ciemnymi Mocami z tej twierdzy – wtedy to Jim poinformował go, w czysto odruchowej próbie nadania sobie jakiejś rangi, że był baronem Riveroak w kraju, z którego przybył.

Sir Brian przyjął to całkiem naturalnie, ale zawsze zwracał się do niego po prostu „sir Jamesie”, do chwili gdy Jim objął zamek i ziemie należące do barona Malencontri. Wtedy rycerz, zwracając się do Jima, zaczął używać tytułu „milordzie”, przez co Jim czuł się naprawdę niezręcznie. Teraz byli już starymi i bliskimi przyjaciółmi. Jim nieraz kłócił się z nim w sprawie tego „milorda”, prosząc Briana, żeby po prostu nazywał go jego imieniem, James, tak jak on nazywał go Brianem. Wciąż jednak zdarzało się rycerzowi przejęzyczyć. Przyzwyczajenie było silniejsze.

Sir Brian siedział pod kątem czterdziestu pięci stopni do Jima. On, Jim i Angie stłoczyli się wokół jednego rogu wysokiego stołu; Jim siedział przy dłuższym boku, Brian przy krótkim, a Angie między nimi. Niemal każdy, kto spojrzełby na tę trójkę, zauważyłby, że istnieje coś, co różni sir Briana od Angie i od Jima.

Szlachetny rycerz, jak przypadkiem wiedział Jim, miał dwadzieścia pięć lat, czyli właściwie dobre trzy lata mniej niż Jim. Ale jakikolwiek obserwator widzący ich razem po raz pierwszy bez wątpienia uznałby, że Brian jest przynajmniej o dziesięć lat starszy.

Częściowo zawdzięczał to kanciastej, ogolonej i opalanej twarzy, na której znać było ślady niepogody. Poważny wygląd zależał także w dużej mierze od faktu, iż rycerz promieniował poczuciem pewności siebie, opanowania i naturalnego autorytetu przywódczego, czego Jimowi po prostu brakowało. Brian wyrósł, traktując jako pewnik to, że będzie przywódcą. Zawsze przewodził, przewodził i teraz, i trochę jak Aragh, angielski wilk, uważał, że w dniu, w którym to się zmieni, zginie, a w tym przypadku wszelkie pytania co do jego prawa do takiego wyglądu będą już nie na temat.

W porównaniu z Jimem i Angie Brian był biedny. Był rycerzem-kawalerem, a to znaczyło po prostu, że nie był rycerzem-baronetem. Określenie „kawaler” nie odnosiło się do jego wolnego stanu. Oczekiwał powrotu ojca Geronde Isabel de Chaney, właściciela sąsiednich dóbr, z Ziemi Świętej – który to powrót mógł nigdy nie nastąpić – aby móc prosić go o pozwolenie na małżeństwo z Geronde. Zamek rycerza, Smythe, był stary i w kiepskim stanie. Ziemi miał on niewiele w porównaniu z Malencontri. Poślubiwszy Isabel, mógłby w końcu, po śmierci lorda de Chaney, dołączyć ziemie de Chaney do swoich włości. Wtedy stałby na równi z Jimem i Angie. Teraz jednak, jak to już było od kilku lat, sir Brian żył nieomal na krawędzi ubóstwa. Ale, jak myślał Jim, nie przejmował się tym za bardzo.

–No? – zapytała niecierpliwie Angie. – Jak twoja wizyta? Czego się dowiedziałeś?

–Och, cóż – powiedział Jim – wychodzi na to, że mój magiczny kredyt w Wydziale Kontroli... – Spojrzał na rycerza. – Nie jest ci to obce Brianie, nieprawdaż? – zapytał.

–Niechybnie nie, Jamesie – odparł tamten.

–Najwyraźniej nie można mu pozwolić, by leżał beczynn timer. Muszę go używać, w przeciwnym razie on będzie używać mnie – wyjaśniał Jim. – Carolinus wyposażył mnie w odpowiednią dla korzystania z kredytu wiedzę. Jeśli pozwolicie, nie będę się nad tym dalej rozwodził, bo jest to trochę skomplikowane. Ale dał mi wiedzę i muszę teraz praktykować. Tak więc oprócz tego, co z konieczności będzie mnie zajmować, to właśnie będę robił przez następne pół roku. Będę ćwiczyl Magię.

–Możesz nie mieć na to czasu, Jamesie – rzekł poważnie sir Brian.

## Rozdział 5

Jim jedynie zamrugnął oczami, ale Angie szybciej pojęła.

–Co masz na myśli, mówiąc, że nie będzie miał czasu? – zapytała wojowniczo, nachylając się ku sir Brianowi. – Niby czemu miałby nie mieć czasu? Co mu w tym przeszkodzi?

–Prawdę rzekłszy przybyłem, żeby właśnie o tym was powiadomić. Postanowiłem poczekać na Jima i powiedzieć wam to, gdy będziecie razem, ponieważ sprawa ta dotyczy was obojga.

Na twarzy rycerza nie było ani śladu uśmiechu, a jego zachowanie było całkiem poważne. Przez chwilę Angie milczała, wobec tego Jim zapytał wprost:

–Co nam chciałeś powiedzieć?

–No jakżeż to, w miejscowości zwanej Poitiers, we Francji, stoczono wielką bitwę – odpowiedział sir Brian – Nasze wojska stanęły pod Edwardem, najstarszym synem i następcą naszego króla Edwarda, przeciw królowi Jeanowi z Francji, całemu jego rycerstwu i piechocie. I chociaż serce mi się kraje na tę wieść, jak każdemu wiernemu Anglikowi, książę Edward został wzięty w niewolę przez tegoż Jeana.

Jim i Angie wymienili błyskawiczne spojrzenia, którymi zgodzili się, że oboje nie wiedzą, co na to odrzec. Lecz rycerz z pewnością oczekiwał od nich odpowiedzi. Spojrzeli na niego.

–Wstrząsające! – powiedziała Angie z nutą prawdziwego oburzenia w głosie.

–Jeszcze jak! – pośpiesznie dodał Jim.

–Można śmiało tak powiedzieć, a nawet jeszcze więcej – ponuro stwierdził sir Brian. – Cała Anglia się burzy. Nie ma szlachcica godnego tego miana, który nie szykowałby konia, zbroi i wojska, by odbić naszego księcia i dać temu dumnemu Francuzowi nauczki!

–Ty także, Brianie? – spytała Angie.

–Na świętego Dustana, tak! – oświadczył dobitnie rycerz. Skierował na Jima palące spojrzenie swych błękitnych oczu.

–Rycerze tacy jak ty i ja, Jamesie, nie będą czekać, aż nasz suzeren, który, jak wszyscy wiemy, cokolwiek zaniedbuje sprawy państwowe, coś uczyni, ale już teraz zaczną szykować się na wyprawę.

Jim i Angie znów popatrzyli na siebie. Mówiąc o królu Brian miał na myśli, co Jim świetnie wiedział, to, że był on nałogowym alkoholikiem, zazwyczaj pogrążonym w pijackim otępieniu. Postawiony wobec konieczności podjęcia jakiejś decyzji, miesiącami mógł trząść się i unikać jej, odkładając to do dnia, w którym poczuje się stanowczy. Dnia, który – nie trzeba dodawać – nigdy dlań nie nadejdzie.

–Słyszałem już – kontynuował rycerz – że lord marszałek i kilku innych prawych panów z dworu zajmą się ogłoszeniem należytego zaciągu. Tymczasem, jeśli się da, trzeba uniknąć zwłoki. Jak najszybciej zbierzmy nasze siły i zaokrętuje się w jednym z Pięciu Portów – pewnie w Hastings.

Większość powagi w głosie Briana znikła, zepchnięta w cień przez jasną i wyraźną nutę szczerego entuzjazmu. Jim czuł, jak zamiera mu serce. Ten jego bliski przyjaciel, J mimo swych wielu pozytywnych cech, zawsze okazywał radość, którą w

tym świecie i czasach tacy jak on odczuwali, kiedy w perspektywie jawiła się jakakolwiek bitwa. Jak Jim powiedział kiedyś Angie – sir Brian i podobni jemu dosłownie woleliby walczyć, niż jeść.

–Jimie – zwróciła się do niego Angie – chyba nie musisz się w to mieszać.

–Angelo – rzekł rycerz – twoja niewieścia troska przynosi ci chlubę. Ale nie zapominaj, że James jest teraz związany obowiązkiem wobec króla, otrzymawszy ziemie Malencontri w lenno bezpośrednio od Jego Królewskiej Mości. Z racji jego feudalnych obowiązków nie pozostaje mu nic innego, jak tylko oddać siebie i choćby najmniejszą drużynę na wezwanie króla, na sto i dwadzieścia dni służby w czasie wojny.

–Tak, ale... – przerwała mu Angie, wciąż patrząc prosząco na Jima.

Jim nie bardzo wiedział, jak spojrzeć jej w oczy. Zdawał sobie sprawę, że Angie wie, iż wielu jest rycerzy, którzy znajdą taką czy inną wymówkę, by zostać w domu. Jednakże Brian, tak samo jak i większość innych rycerzy w tej szczególnej okolicy średniowiecznej, wiejskiej Anglii, nie należał do takich ludzi. A gdyby Jim został w domu, podczas gdy wszyscy jego sąsiedzi odpowiedzieliby na wezwanie, by ratować księcia, to on i Angie byłiby potem na zawsze odizolowani i traktowani jako infamisi przez tych, którzy poszli, i ich rodziny.

–Będę musiał pójść – powiedział powoli Jim do Angie. Potem zwrócił się do rycerza.

–Wybacz mi, jeśli wydawałem ci się mniej szczęśliwy niż ty słysząc te słowa, Brianie – rzekł – ale, jak pamiętasz, dopiero w tym roku nauczyłem się używać miecza, tarczy i innej broni. Gruchot nie jest prawdziwym rumakiem bojowym. Moja zbroja źle na mnie leży. Poza tym nie mam zielonego pojęcia, jak zaciągnąć ludzi, których potrzebuję, żeby wypełnić mój obowiązek wobec suzerena. Czy wiesz coś o tym, ilu ludzi miałbym dostarczyć?

–Malencontri powinno wystawić nie mniej niż ciebie i pięćdziesięciu konnych, z pełnym rynsztunkiem i uzbrojeniem – odpowiedział. – Wszystko, co mówisz, to oczywiście prawda, Jamesie. Wiem, że obawiasz się, by twoje wysiłki w tym przedsięwzięciu nie zdały się mniejszymi, niż byś pragnął. Tak samo jak – bez wątpienia – obawiasz się, że ta oto dama nie jest przyzwyczajona do strzeżenia zamku w czasie twojej nieobecności.

–Tak, to też – wtrąciła szybko Angie. – Jim nauczył się może paru rzeczy tej zimy, ale ja nie mam pojęcia, jak bronię tego zamku

–Tusze, że zdołam podsunąć jakieś rozwiązanie tych problemów – powiedział Brian. – Najpierw twój problem pani, gdyż – wybacz mi – jest on pomniejszy. Jak wiesz, masz oddaną przyjaciółkę w mojej pani Geronde Isabel de Chaney, a dla niej to nie nowina zarządzać i bronić zamku pod nieobecność jego pana. Stałaś się już dobrą i wprawną gospodynią dla wszystkich w tych murach, do wszystkiego oprócz sprawy obrony jesteś dobrze przygotowana. A jeśli idzie o obronę, to Geronde z przyjemnością przyjedzie, by pobyć z tobą jakiś tydzień, i pokaże ci, jak najlepiej poradzić sobie z każdym atakiem, najazdem czy napadem na mury zamku.

Zwrócił siężnów do Jima.

–Teraz co się tyczy ciebie, Jamesie – powiedział. – Skromność nie pozwala ci się przyznać, ale doprawdy radzisz sobie nieźle z mieczem, toporem i sztyletem. Istotnie, niewprawnie bronisz się jeszcze tarczą. I – muszę rzec szczerze – nie chciałbym cię zobaczyć z kopią w dłoni szarżującego konno na zaprawionego w bojach rycerza. Jednakowoż jesteś nieźle przygotowany, by spełnić swój obowiązek, niech mnie diabli wezmą, jeśli tak nie jest. Wiesz już sporo o walce, wielu ludzi wyruszało na wojnę wiedząc mniej. A w dodatku posiadasz ten kredyt magiczny i uczysz się zeń korzystać. Już to samo staje się bronią, która będzie miała wielką wartość dla naszego suzerena przy oswobodzaniu jego królewskiego syna.

–Ale ta sprawa zebrania ludzi zdolnych do walki, wyboru tych, którzy mają pójść, nauczania ich, co robić, a potem dowodzenia nimi w należyty sposób... – mówił Jim. – Ja nie mam o tym pojęcia.

–Nie kłopotcz się tym zbytnio – stwierdził sir Brian. – Proponuję, żebyśmy połączyli nasze siły i utworzyli jeden oddział z ludzi, których weźmiemy. Może nawet udałoby nam się także zdobyć do pomocy niektórych stronników Gilesa z Wrzosowisk. Są banitami, ale w sprawach takich jak ta nikt nie będzie wnikał zanadto w ich stosunki z prawem.

W jego jasnyniebieskich oczach pojawił się wyraz zadumy.

–Gdybyż tylko udało nam się nakłonić do współdziałania także tego mistrza łuku i strzał, Dafydd ap Hywel. Ale ci Walijszczyki zawsze mają coś przeciwko, gdy chodzi o pocziwych Anglików. Mało prawdopodobne, by chciał pomóc odbić naszego księcia, nawet jeśli Danielle z Wrzosowisk, jako jego żona, pozwoli mu pójść. Poza tym on jest jeszcze bardziej niechętny wszystkiemu, co angielskie niż większość Walijszczyków – przynajmniej jeśli idzie o naszych ludzi od długich haków. Ach, żeby mieć takiego łuczniaka w naszych szeregach!

–Zawsze mówił i Danielle to mówiła – wtrąciła Angie, wracając do przygód, które przydarzyły się im wszystkim z Ciemnymi Mocami i Twierdzą Loathly – że przyjdzie na pomoc tobie czy nam, tak jak my pomogliśmy im w razie potrzeby.

Jim nie mógł uwierzyć, żeby Angie zrezygnowała z powstrzymania go od wyjazdu na wojnę do Francji. Raczej w to wątpił. Angie nie poddawała się tak łatwo. Ale najwyraźniej, jeśli musiał pójść, chciała, żeby poszedł pod tak wprawną ochroną, jak się tylko da. A Brian powiedział prawdę, Dafydd ap Hywel był łucznikiem tak dobrym, że przechodziło to ludzkie pojęcie, nawet po tym, jak się go widziało w akcji.

–Przyjść z pomocą przyjacielowi to jedno – Jim sam odpowiedział Angie. – Iść na wojnę, żeby wspomóc króla kraju, z którym twój naród prowadził wojnę od paru stuleci, to coś innego. Prócz tego pamiętaj, że Dafydd nigdy nie naraża się na niebezpieczeństwo tylko dla przygody. Pamiętasz, że poszedł z nami do Twierdzy Loathly tylko ze względu na Danielle.

Angie westchnęła i nic nie powiedziała.

–Masz rację, Jamesie – odezwał się Brian. – Jednakże tak myślę, że nic nie stracimy pytając go. Tak samo nic nie tracimy, pytając wśród wesolej kompanii Gilesa z Wrzosowisk, czy któryś z nich nie chciałby pójść z nami do Francji, dla chwały i łupów.

–Właściwie jak szybko musicie wyjechać? – spytała sir Briana Angie.

–Jak szybko się da. – Rycerz w zamyśleniu potarł podbródek. – Chociaż miną trzy tygodnie, może więcej, zanim część moich dobrych ludzi dotrze do mnie. To ci, którzy powiedzieli, że podążą za mną na każdą wielką wyprawę, taką jak ta teraz. Na co dzień są na służbie u kogoś innego. Ci, którzy dostaną pozwolenie, przyjdą. Słyszeli już, co się stało, i wiedzą, że ich potrzebuję. Z pewnością poczekałbym, ze trzy tygodnie. Ponadto – zwrócił się do Jima – przynajmniej trzy tygodnie zajmie wtłoczenie odrobiny znajomości broni w ludzi z twojego zaciągu i nauczanie ich, jak mają się zachowywać na wyprawach takich jak ta, w obcej ziemi. Ale powinniśmy wyruszyć tak szybko, jak tylko się da. Tylko parę dni powinno nam zająć dotarcie do najbliższego portu. Ale potem najprawdopodobniej jeszcze kilka tygodni na znalezienie statku, żeby nas zabrał do Francji tam, gdzie będzie punkt zborny. Prawdopodobnie będzie w Bordeaux, choć może być i w Bretanii, która jest bliżej – aczkolwiek wybrzeże Bretanii jest niebezpieczne. Zwrócił się znów do Angie.

–Powiedzmy trzy tygodnie, zanim opuścimy dom, milady – rzekł – i nie będzie to dalekie od prawdy. Bóg wie, czasu jest niewiele.

Jeszcze raz odwrócił się do Jima.

–Dlatego powinienes od razu zacząć wybierać ludzi, których chcesz wziąć ze sobą – dodał. – To powód, dla którego tu jestem. Nie tylko, by przynieść wam wieści, ale żeby pomóc ci w paru takich rzeczach. Wezwij swojego rządcę.

Jim zwrócił się do pierwszego sługi, którego zobaczył w pobliżu podwyższenia. Był to Theoluf, dowódca jego zbrojnych.

–Sprowadź mi tu zaraz Johna rządcę, Theolufie – polecił Jim.

John rządca pojawił się z godną uwagi szybkością. Można by sądzić, że przebywał nie dalej od stołu niż Theoluf, gdyby nie to, że nie było go widać. A w Wielkiej Sieni nie było miejsca, gdzie mógłby się ukryć dalej niż pięćdziesiąt stóp od stołu, chyba że skryłby się wśród innej służby.

Stanął przed nimi wysoki, kanciastej budowy, srogo wyglądający mężczyzna po czterdziestce, który zdołał jednak zachować jeszcze większość zębów. Brakowało mu tylko dwóch z przodu, co było widać, kiedy mówił lub się uśmiechał – chociaż prawdę mówiąc rzadko się uśmiechał. Włosy, które mu zostały, miał czarne, długie i zaczesane prosto do tyłu. Nosił czapkę w kształcie bochenka chleba i nieco poplamioną jedzeniem szatę, która kiedyś należała do poprzedniego barona de Malencontri. Czapkę tę, podobnie jak i szatę, miał na sobie zawsze, tak że wydawały się one czymś w rodzaju jego liberii.

–Jego lordowska mość życzył sobie? – odezwał się sztywno.

–Tak, Johnie. Ilu mamy w zamku i osadach poza murami sprawnych ludzi w wieku od dwudziestu do czterdziestu lat?

–Ilu ludzi... – powoli powtórzył John i podrapał się w głowę przez materiał czapki.

–Tak – potwierdził Jim. – Ilu?

–Ilu ludzi między dwudziestką a czterdziestką... – znów powoli powiedział John.

–Tak, Johnie. O to pytałem – odparł zdziwiony Jim. John rządca zazwyczaj nie był tak powolny w pojmowaniu pytań czy odpowiadaniu na nie.



–No cóż – zaczął John w zamyśleniu, licząc na palcach – jest William z młyna, William znad fosy i William...

–Za pozwoleniem, Jamesie – przerwał sir Brian – ten człowiek najwyraźniej nie zna swoich obowiązków. Rządca, który nie może natychmiast podać liczby ludzi będących do dyspozycji, to gorzej niż żaden rządca. Proponuję, żebyś go powiesił i wziął kogo innego na jego miejsce.

–Nie, nie – rzekł szybko, w tempie bardziej przypominającym jego normalną mowę, John. – Wybaczcie mi, milordzie, milady i ty, szlachetny panie. Przez chwilę umysłem błądziłem gdzie indziej. Jest trzydziestu ośmiu takich ludzi, milordzie, licząc zbrojnych i wszystkich innych.

–Dziwne – rzucił rycerz, zanim Jim zdążył się odezwać – ostatnio słyszałem, że Malencontri miało powyżej dwóch setek sprawnych ludzi. Jeśli teraz jest zaledwie trzydziestu ośmiu, to istotnie to lenno jest w strasznym stanie. Zwrócił się do Jima.

–Milordzie – powiedział, wymawiając słowa bardzo wyraźnie – czy zezwolisz, abym przejął na siebie wybadanie tego oto Johna rządcy?

–Naturalnie. Oczywiście – odpowiedział z ulgą Jim. – Proszę bardzo, sir Brianie.

Rycerz przeszył spojrzeniem swoich niebieskich oczu rządcę, który jakby nieco zmalął.

–Więc tak, mój człowieku – zagaił. – Słyszałeś już zapewne o sytuacji, w jakiej znalazła się Anglia, a zatem i twój pan. Będzie on potrzebował zebrać drużynę z ludzi z majątku. Zaciąg, który będzie odpowiadał wymaganiom jego suzerena. Zostaną oni wybrani spośród zdolnych do marszu i walki mężczyzn. Mężczyzn, którzy mieszczą się w wymienionych przez niego latach, chociaż nikt nie jest za stary czy za młody, jeśli tylko jest sprawny i wytrzymały. Przeto pan twój żąda od ciebie, abys przedstawił w ciągu najbliższych dwóch godzin stu i dwudziestu takich ludzi.

–Brianie – zaczął trochę niepewnie Jim – jeżeli jest tylko trzydziestu ośmiu...

–Sądzę, iż ten oto poczciwy rządca może nieco się mylić co do liczby odpowiednich ludzi w twojej posiadłości, Jamesie. I zdaje sobie teraz sprawę z tej pomyłki, zwłaszcza że odpowie za nią gardłem, jeśli nie zdoła zebrać wystarczająco wielu ludzi, by stworzyć wymagany zaciąg. Cóż, panie rządcu? Czy zechciałbyś jeszcze raz pomyśleć o tym, kto mógłby się nadawać? Potrzebujemy ludzi w dobrym zdrowiu, silnych i pogodnego ducha. Sir James nie weźmie do tego zadania żadnych jęczydusz ani marud, na świętego Dustana! Mieliby zły wpływ na innych ludzi. Zatem! Za godzinę zbierzesz ich dla nas na dziedzińcu, aby twój pan wraz ze mną mógł ich dojrzeć, ponieważ śpieszy nam się. Możesz odejść.

–Ale – ale – ale – John rządcu odwrócił się i zaapelował do Jima – milordzie, czy takie jest wasze życzenie? Słyszałem tego szlachetnego rycerza, ale to, czego żąda, jest – no, niewykonalne. Nawet gdybyśmy mieli takich stu i dwudziestu ludzi, każdego z nich potrzebujemy tutaj i nie możemy obyć się bez nich w zamku i na polach. Trzeba zaorać ugory. W zamku są naprawy, z którymi czekaliśmy wiosny. Jest tysiąc jeden różnych rzeczy, które trzeba zrobić, a i tak już nam brak rąk do pracy.

–Jamesie – zapytał Brian, odwracając się do Jima – czy mogę pomówić z tobą na

osobności?

–Ależ oczywiście – odpowiedział Jim. Po czym podniósł głos: – Hej tam, wy wszyscy – włącznie z tobą, Johnie – wskazał palcem na rządcę – wynocha mi z sieni! Ale bądźcie w pobliżu, gdybym was chciał przywołać.

Rycerz nie odezwał się, dopóki cała służba nie zniknęła, potem odwrócił się do Jima. Ale Angie przemówiła, zanim zdołał uczynić to rycerz.

–Brianie, czy nie byłeś dla niego trochę za ostry? – spytała. – John rządcą jest u nas od czasu, kiedy przejęliśmy zamek. Jest dobrym, uczciwym człowiekiem. Zawsze mogliśmy mu ufać i zawsze służył nam najlepiej, jak potrafił. Jeśli mówi, że ma tylko trzydziestu ośmiu ludzi, to pewnie właśnie tylu ma.

–Nie myśl tak, pani – odpowiedział poważnie rycerz. – Nie wątpię, że jest taki, jak mówisz. Dobry rządcą. Poczciwy człowiek. I z tego właśnie powodu nie ustępuje od razu w kwestii oddania zdrowych ludzi na potrzebny zaciąg. Jego powinnością jest wyżywić oraz ochronić zamek i ziemię; przeto w tym celu musi starać się zachować i osłaniać najlepszych spośród poddanych.

Zwrócił się do Jima.

–Czy oboje tego nie widzicie? – zapytał. – Ten człowiek tylko targuje się z nami. Zgoda – stu ludzi to więcej, niż nam trzeba. To więcej niż wymagany zaciąg. Ale trzydziestu ośmiu to głupia liczba. To o wiele za mało. Gdzieś pomiędzy tą liczbą a moją, stu i dwudziestu, dojdziemy do porozumienia co do odpowiedniej liczby wojska. Będzie to proces powolny, on będzie się nam przeciwstawiał przez cały czas i co do liczby, i co do wartości ludzi. Zobaczycie, że pierwsza grupa ludzi, jaką zaprezentuje na dziedzińcu, niewarta będzie poprowadzenia pół mili wzdłuż drogi, a co dopiero do Francji na bitwę. Ale w końcu zdobędziemy to, czego nam trzeba. A teraz, czy mam wasze pozwolenie, by kontynuować?

Jim i Angie popatrzyli na siebie. Żyli w tym dziwnym świecie już prawie rok, dość długo, by wiedzieć, że spraw i nie załatwia się tu metodami, do jakich byli przez całe życie przyzwyczajeni. Wiedzieli także, że rycerz znał odpowiedni sposób przeprowadzenia tych spraw.

–Dalej, Brianie – powiedział Jim. – Znów jak wtedy, j gdy ćwiczyłeś mnie w użyciu broni, staję się twoim uczniem, j Ty się tym zajmij, a ja spróbuję się nauczyć, jak to się robi, j obserwując ciebie i słuchając.

–Zgoda! – rzekł rycerz. – Zatem świetnie. Sądzę, że] pozwolimy panu rządcy trochę skruszeć i zastanowić się, j czy czasem nie mówiłem poważnie o stu i dwudziestu! ludziach i o szansie, że zawiśnie, jeśli ich nie dostarczy, j Tymczasem wezwij dowódcę twoich zbrojnych i teraz z nimf porozmawiamy.

Jim podniósł głowę.

–Theolufie! – zagrzmiał.

Jakaś postać niezwłocznie wyskoczyła z wejścia naj słoneczne schody i zbliżyła się do stołu. Jim pomyślał, że wszyscy ludzie z zamku muszą tłoczyć się tam jak sardynki J tuż za wejściem, poza zasięgiem jego wzroku. Zbrojny] zbliżył się do stołu i przystanął.

–Milordzie? – powiedział.

Theoluf miał może ze trzydzieści pięć lat Jednak życie, jakie prowadził, sprawiło, że wyglądał, jak sir Brian, na więcej; na wciąż sprawnego, ale starszego. Pod wieloma! względami, myślał Jim patrząc na niego, bardzo przypominał Johna rządcę. Obaj byli ludźmi mającymi posłuch i na takich wyglądali. Obaj byli odważni i wiedzieli o tym, Theoluf był mniejszy niż rządcą. Niższy, nie tak szeroki w ramionach i raczej żylasty niż potężny. Ale swój skórzany kaftan, pokryty płytkami ze stali, oraz miecz i sztylet balansujące po obu stronach pasa nosił tak, jakby siei w nich urodził. Włosy, jak rządcą, miał czarne, ale krócej j przycięte, i nosił stalowy hełm bez nosala, który teraz na] znak szacunku zdjął i trzymał w rękach.

–Theolufie – odezwał się Jim – chcę, żebyś uważnie słuchał i udzielał jasnych i uczciwych odpowiedzi temu oto szlachetnemu rycerzowi.

–Tak, milordzie – powiedział zbrojny.

Mówił ze śladem akcentu, którego Jim nie potrafił dokładnie określić, coś pomiędzy skandynawskim a germańskim, co było dziwne w tym świecie, w którym każdy, łącznie z wilkami i smokami, mówił, jak mu się wydawało, tym samym językiem. Ale był to tylko cień akcentu. Spojrzenie ciemnych oczu Theolufa osadzonych w trójkątnej twarzy powędrowało ku rycerzowi.

–Sir Brianie?

–Theolufie – zagaił rycerz – ty i ja znamy się.

–O tak, sir Brianie – odpowiedział zbrojny z nieznacznym, cierpkim uśmiechem.

– Nawet spoglądaliśmy na siebie z przeciwnych stron tych blanków, kiedy sir Hugh de Malencontri był baronem.

–Tak było – stwierdził Brian stanowczo – ale chociaż zdarzały się okazje, kiedy byliśmy bliscy skrzyżowania mieczy, znam cię jako dobrego i wiernego człowieka twego obecnego pana, którym jest sir James. Czy mylę się w tym?

–Nie, sir Brianie – odparł zbrojny. – Komu Theoluf służy, temu służy całkowicie. Walczę teraz przeciw każdemu dla sir Jamesa i umrę dla niego, jeśli zajdzie potrzeba.

–Nie każe ci się dziś jeszcze umierać – powiedział rycerz – tylko odpowiedzieć na kilka pytań jasno i na temat. Do tej pory usłyszałeś już, jak wszyscy w tym zamku, o tym, co zdarzyło się we Francji, oraz że sir James i ja tam wyruszamy. Mamy zamiar połączyć nasze siły. Wiesz także, że sir James musi wystawić zaciąg, by spełnić obowiązki wobec swego suzerena. Teraz, czy są tutaj tacy, oprócz obecnej drużyny, którzy stanowią dobry i zdrowy materiał, by wyćwiczyć ich na zbrojnych?

–Rzekłbym, że tak – odrzekł Theoluf – ale te durne łby, co myślą tylko o sianie i żarciu, nie mają pojęcia o broni ani o walce – a co dopiero mówić o jakimś pojęciu ° tym, jak może wyglądać wojna.

–Wierzę ci – rzekł sir Brian – ale sądzę, iż przyjmujesz zbyt ciemny punkt widzenia, Theolufie. Jak mówiłem przed chwilą sir Jamesowi, ludzie ruszali na wojnę wiedząc mniej. Będziemy mieć dwa lub trzy tygodnie tutaj i trochę więcej czasu po drodze. Do ciebie i do tych ludzi, których weźmiesz, będzie należało dopatrzenie, by ci, których wybierzemy, byli gotowi, gdy nadejdzie czas. Toczyli i wygrywali bitwy tacy, co przedtem nigdy w życiu nie dzierżyli oręża w dłoni. Lecz zdajesz sobie

**sprawę, iż niektórzy z twoich lepszych ludzi muszą tu zostać, dla ochrony samego Malencontri i pani Angeli?**

**Dowódcy zbrojnych pociemniała twarz. Zapadła chwilowa cisza.**

**–Jeśli tak być musi – powiedział potem. I przeniósł spojrzenie na Jima. –**

**Jednakże ja sam, milordzie, idę z tobą?**

**Było to nie tyle pytanie, co wyzwanie. Jim choć raz i zaczął myśleć według czternastowiecznych zasad.**

**–Ty, spośród wszystkich, idziesz ze mną – rzekł. Twarz Theolufa rozjaśniła się.**

**–Ale przecież – odezwał się znów patrząc na rycerza – zrobimy, co się da, sir Brianie. Jeśli zdarzy się, że zwerbowani będą zdrowi na ciele i będą mieli nieco oleju w głowie – nauczymy ich, co powinni robić w każdej sytuacji.**

**Jednakże światelko na jego twarzy przybladło i zostało, zastąpione przez zmarszczenie brwi.**

**–Tych paru przyzwoitych kuszników, jakich mieliśmy, straciliśmy przez tego diabelskiego walijskiego łucznika, który był z wami pod Twierdzą Loathly. Szlachetny rycerzu, milordzie i ty, pani – powiedział – bardzo nam trzeba łuczników. W siłach innych, którzy ruszą uwolnić księcia J Edwarda, bez wątpienia będą łuczniczy, ale łuczniczy należący do Malencontri...**

**–A niech szlag trafi moją fatalną pamięć! – przerwał! mu sir Brian zwracając się do Angeli. – Miałem wami przekazać wiadomość, że Dafydd i jego żona, Danielle, są w drodze, by was odwiedzić. Miałem wam to przekazać,! ale przy tej ważniejszej sprawie księcia zupełnie zapomniałem. Błagam o wybaczenie.**

**–Dafydd i Danielle? – powtórzył Jim. – A czemu Dafydd miałby chcieć mnie widzieć?**

**–Jak zrozumiałem, to raczej Danielle pragnęła zobaczyć jej wielmożność – wyjaśnił rycerz. – W każdym razie wieść nadeszła w zeszłym tygodniu, że są w drodze. Powinni nadjechać lada dzień.**

**–Hmm – mruknęła Angie w zamyśleniu.**

**–Cóż – powiedział Jim – w każdym razie chętnie ich zobaczę.**

**Przerwał mu hałas przy drzwiach wejściowych do wielkiej sieni. Człowiek, którego rozpoznał jako jednego ze zbrojnych sir Briana, dosłownie wtoczył się do środka, wlokąc za sobą dwóch z własnych zbrojnych Jima. Mężczyzna nie zwracał na nich uwagi, ani na Jima czy Angie, tylko szedł prosto do rycerza.**

**–Milordzie! – sapnął, zwracając się do sir Briana i łapiąc odległy koniec wysokiego stołu, by się prosto utrzymać. – Zamek Smythe zaatakowany i omal nie zajechałem jednego z twoich koni na śmierć, by przywieźć ci wieść jak najszybciej!**

## Rozdział 6

Theolufie! – krzyknął Jim zrywając się na równe nogi. – Sprowadź ludzi, ilu się da. Niech ktoś mi przyniesie świeżą odzież i ciężką zbroję. Brianie... Ale rycerz zerwał się już od stołu i nakładał hełm.

–Ruszał za mną tak szybko, jak mozesz, Jamesie -rzucił przez ramię. – Nie mogę czekać.

Złapał posłańca za ramię i odwrócił go.

–Możesz jeszcze jechać?

–Tak, sir Brianie! – odpowiedział zbrojny, który przyniósł wiadomość. – Dajcie mi tylko świeżego konia.

–Bierz, którego chcesz z moich stajni! – krzyknął Jim, gdy rycerz zdążył już ze zbrojnym do wrót, trzymając jego lewe ramię w uścisku, którym jednocześnie podtrzymywał go i zmuszał niemal do biegu.

Jim i Angie ruszyli za nim do wrót, gdzie ktoś podprowadził już wierzchowca Briana i świeżego konia zbrojnego z Zamku Smythe. Jim i Angie zdążyli jeszcze zobaczyć, jak rycerz, mimo ciężaru zbroi, którą miał sobie, wskakuje z ziemi na siodło, ledwie tykając palca u nogi strzemienia.

Jim poczuł ukłucie zazdrości. On sam nie potrafiłby zrobić. Ale przecież Brian ćwiczył takie dosiadanie skoku od małego.

Inna sprawa, że Jim był dumny ze swojej skoczności. Jako zawodnik pierwszej ligi siatkówki był w stanie z łatwością skoczyć wyżej niż ktokolwiek inny. Ale coś w tych skokach na konia, zwłaszcza w ciężkiej zbroi – coś, co Brian potrafił robić – nie udawało mu się. Mógł wybić się dość wysoko, ale jakby nie potrafił porządnie wylądować w siodle – a to bardzo bolało.

Wrócił z Angie do zamku.

Upłynęło dobre piętnaście minut, zanim przyniesiono mu nowe, zwyczajne ubranie, o poszczególnych częściach mocno ze sobą połączonych Starą Magią, zamiast tego tymczasowo skleconego w całość w domu Carolinusa, i zanim nałożono na Jima jego przerobioną, choć niezbyt dopasowaną pełną zbroję, odziedziczoną po poprzednim baronie. Jim właściwie spodziewał się sprzeciwu ze strony Angie, ale ona najwyraźniej stawiała się mieszkanką tego świata tak samo jak on. Pocałowała go na do widzenia, zanim wdrapał się na Gruchota.

–Uważaj na siebie – powiedziała tylko.

–Wierz mi, będę uważał – odpowiedział ponuro Jim. Wgramolił się na Gruchota i poprowadził swój niewielki, naprędce sformowany oddział liczący około szesnastu zbrojnych. Theoluf jechał tuż za jego lewym bokiem na czele oddziału. Opuścili zamek, kierując się na drogę, która wiodła do Zamku Smythe, i Jim poprowadził oddział galopem.

–Milordzie – usłyszał w lewym uchu głos zbrojnego – musimy oszczędzać konie.

–Prawda. – Jim niechętnie zmusił Gruchota do kłusu.

Miał nadzieję, że dogoni sir Briana. Rozsądek podpowiadał mu jednak, że nie ma na to szansy. Rycerz będzie dawał z siebie wszystko, żeby wraz z posłańcem dołączyć do tych spośród jego ludzi, którzy mogli jeszcze bronić się przeciw

napastnikom, kimkolwiek by oni byli.

Nie można by dogonić tych dwóch, chyba że Jim i jego ludzie pognaliby konie całym pędem, a to, jak właśnie zauważył Theoluf, nie byłoby rozsądne. Jim liczył, że dowie się czegoś od człowieka Briana o napastnikach 1 sytuacji w zamku, ale wyraźnie nie było to możliwe. Najlepiej będzie, jeśli on i jego ludzie nadjadą w jak najlepszej kondycji bojowej.

Właściwie do Zamku Smythe nie było tak daleko; konno może półtorej godziny stępa. Jim ściągnął wodze nieco mocniej i Gruchot zwolnił jeszcze tempo. Nawet kiedy już tam dojadą, głupotą byłoby rzucić się do walki, zanim nie przyjrzą się sytuacji i nie porozmawiają z sir Brianem. Napastnicy mogli przewyższać ich liczebnie nawet dziesięć czy dwadzieścia razy do jednego, chociaż było rzeczą nieprawdopodobną, by naprawdę duże siły zapuściły się tak daleko, zanim doszłyby o nich wieści od innych sąsiadów.

Wszyscy zbrojni jechali teraz stępa. Jim skinął na Theolufa, żeby ten zrównał się z nim.

–Jak myślisz – spytał go – kto może atakować Zamek Smythe? To nie jest wszak najzamożniejsza posiadłość w tych stronach.

–Ale ktoś obcy mógłby uważać ją za jedną z łatwiejszych do zdobycia – zauważył zbrojny.

–Rozumiem – stwierdził Jim, nagle zamyślony. – W takim razie atakujących prawdopodobnie jest niewielu. I nie będzie to nikt z sąsiadów. Sir Brian jest w dobrych stosunkach ze wszystkimi; a w każdym razie normańskie prawo zabrania nam walczyć między sobą.

–Prawo jest tylko prawem – sceptycznie odpowiedział Theoluf. – Jednakże myślę, milordzie, że masz rację. To nie będą sąsiedzi. I nie ma w tej okolicy tak dużych zgraj banitów, żeby porwali się na podobną rzecz; a na najazdy Szkotów jesteśmy za daleko na południe. Możliwe, że napastnicy przybyli morzem i nadeszli od strony wybrzeża, na los szczęścia przeszukując ląd i wyglądając wszystkiego, co mogliby szybko zdobyć i unieść, zanim ta część Anglii powstanie przeciw nim.

Jim skinął głową. Słowa zbrojnego jasno zarysowały najbardziej prawdopodobny obraz. Nie powiedział nic więcej i Theoluf pozwolił swemu koniowi wrócić na bardziej stosowną pozycję, pół długości za Jimem, nadal po lewej jego stronie. Jechali dalej; Jim starał się, jak umiał najlepiej, panować nad zniecierpliwieniem.

Wrócił do zamku, po wizycie u Carolinusa, w południe. Teraz było już wczesne popołudnie. Nagle, całkiem z innej beczki, przypomniało mu się, że nic nie jadł. A także prawie nic nie pił – tylko pół dzbana wina, które zaczynało już wietrzeć mu z głowy. Przez to wino czuł się teraz ospały i przygnębiony – chociaż z konieczności dostosował się już do tego, że ludzie z jego otoczenia mieli zwyczaj tego popijać.

Rozmyślenia te przypomniały mu o czymś jeszcze. Odwrócił głowę i skinąwszy nią przywołał do siebie Theolufa, by móc z nim porozmawiać nie będąc słyszany przez jadących za nimi.

–Theolufie – odezwał się szeptem nieco tylko głośniejszym niż stukot kopyt ich koni – czy ludzie coś jedli od świtu?

Zbrojny spojrział na niego z półuśmiechem.

–Nie ma obawy, milordzie – odpowiedział. – Wojownik uczy się dbać o to, żeby jego brzuch zawsze był pełen, na wypadek nagłej potrzeby takiej jak ta – zawahał się i zerknął badawczo na Jima. – Czy milord coś jadł?

–W rzeczy samej nie – odrzekł Jim – przynajmniej nie od śniadania. Zupełnie o tym zapomniałem.

–Jeśli zajrzy milord do juków przy siodle – powiedział Theoluf- stwierdzi być może, że zostały zaprowiantowane, nim wyruszyliśmy.

Jim sprawdził lewą torbę i odkrył, że istotnie zbrojny miał rację. Było tam kilka grubych kawałków chleba i sera i duża flaszka wina. Był też kubek do wina.

–Czy będziemy w najbliższym czasie przechodzić przez jakiś strumień?

–Jeszcze dwa furlongi i przekroczymy mały strumyk – odpowiedział Theoluf i spojrział pytająco na Jima.

Prawdę powiedziawszy Jim wolał w tej chwili uniknąć picia czystego wina – mimo dobrze znanego twierdzenia, że włos psa jest dobrym lekarstwem na każdego, nawet najmniejszego kaca. Mniemanie to, rozpowszechnione w tym świecie tak samo, jeśli nie bardziej, jak w jego własnym, świadczyło o długim żywocie ludowych środków.

Chciało mu się pić i z chęcią zadowoliliby się samą wodą, byle tylko czystą. Na szczęście w tej okolicy można było z reguły pić bezpiecznie wodę ze strumieni. Przyszło mu teraz do głowy, że może coś w rodzaju drinka – wino pół na pół z wodą ze strumienia – mogłoby zarówno ugasić pragnienie, jak i pomóc popić chleb z serem. Zwłaszcza że ser był zbyt suchy, aby go przełknąć bez popijania.

Kiedy dotarli do strumienia, posłał oddział przodem i z Theolufem u boku zatrzymał się dość długo, by napić się wina z wodą i zjeść trochę chleba z serem. Mając coś w żołądku spojrział na świat bardziej optymistycznie, schował resztę jedzenia, flaszkę i kubek i pojechali dalej, doganiając oddział.

Zbliżywszy się do Zamku Smythe jechali wolniej; zeszli zupełnie z traktu i rozproszyli się, na wypadek gdyby napastnicy obozowali w pobliżu albo rozstawili strażę.

Jednakże ostrożność ta okazała się zbędna. Dojechali aż do krawędzi otwartej przestrzeni, którą Zamek Smythe, jak wszystkie zamki, utrzymywał ze względów obronnych wokół swych murów. Wyglądając spoza zasłony liści Jim ujrzał grupę stu lub niewielu mniej uzbrojonych ludzi o dość prostackim wyglądem. Stłoczeni byli w bezładną gromadę pod główną bramą zamku i najwyraźniej dowodził nimi wielki, czarnobrody osobnik.

Zamek Smythe był szczelnie zamknięty – to znaczy tak szczelnie, jak tylko dawało się go zamknąć. Fosa na pół wyschła, najwidoczniej nie było też czasu, by opuścić kratę, albo też mechanizm, który pozwalał ją opuszczać, nie działał. Zresztą metalowa krata, która powinna ochraniać parę ciężkich wież, przerdzewiała do stanu, w którym stawiałaby niewielki opór zdecydowanemu atakowi.

Same wrota były jednak zamknięte na glucho i wyglądały na wystarczająco potężne, by stawić znaczny opór. Ale w tej właśnie chwili Jim dostrzegł powód, dla którego zgraja atakujących nie szturmowała murów zamku. Zrąbali oni wielkie

drzewo i zaciągnęli je przed wrota; teraz zajęci byli ociosywaniem ostatnich gałęzi, by uformować prowizoryczny taran.

–Jak sądzisz, dokąd udał się sir Brian i ten jego zbrojny? – spytał Jim Theolufa.

Zbrojny stał obok niego przyglądając się zza tej samej osłony liści widokowi przed nimi. Jim instynktownie zniżył głos. Byli właściwie dość daleko i tamci nie mogli ich słyszeć, ale był to ten rodzaj sytuacji, w którym zníženie głosu zdawało się nieodzowne.

–Mam nadzieję, że ci ludzie nie złapali ich dwóch... – powiedział Jim.

–Bądź o to spokojny, Jamesie – tuż za nim odezwał się chrapliwy głos. – Są w lesie, jak wy, po drugiej stronie zamku i obserwują.

Jim odwrócił się i ujrzał Aragha, angielskiego wilka.

Aragh, jak zwykle, mimo swoich rozmiarów, pojawił się za nimi bezszelestnie. Stał na czterech łapach, z otwartą paszczą i wywieszonym językiem, uśmiechając się do Jima.

–Araghu – powiedział Jim radośnie i trochę głośniej – cieszę się, że cię widzę!

–Dlaczego? – spytał wilk. – Spodziewałeś się, że ci pomogę?

Ponieważ była to dokładnie pierwsza myśl, jaka przyszła mu do głowy, Jim zaniemówił na chwilę.

–Bo nie pomogę tobie – dodał Aragh. – Jestem tu, by pomóc szlachetnemu Brianowi. On także jest mym przyjacielem, tak samo jak ty, od czasu gdy byliśmy Towarzyszami pod Twierdzą Loathly. Myślałeś, że opuszczę przyjaciela?

–Oczywiście, że tak nie myślałem – odparł Jim. – Chciałem tylko wyrazić, że tak ogólnie cieszę się, że cię widzę.

–Ogólnie czy szczególnie jestem tu – uciął wilk. – Sporo tam obcych, nieprawdaż? I znów z wywieszonym jęzorem uśmiechnął się szeroko do Jima.

–Araghu – niecierpliwie powiedział Jim – umiesz poruszać się szybciej i ciszej niż ktokolwiek z nas, a poza tym wiesz, gdzie w tej chwili jest sir Brian i jego człowiek. Może poszedłbyś i sprowadził ich do nas, żebyśmy mogli razem poczynić plany?

–Nie ma potrzeby – odrzekł wilk. – Już są w drodze tutaj, bo powiedziałem im jakiś czas temu, że nadchodzicie. Każdy oprócz takich jak wy, ludzi, słyszałby was i te wasze wielkie konie, przedzierających się z trzaskiem przez krzaki dziesięć minut temu. Mówiłem prawdę wtedy, kiedy ty i Gorbash byliście razem w jego ciele, gdy przygadałem mu, że jest trochę nierozgarnięty. Ale przynajmniej jego uszy usłyszałyby, jak nadchodzicie, a jego nos was wywąchał na długo, zanimbyście tu dotarli. Nie żeby jakikolwiek smok mógł równać się z wilkiem w sprawach nosa i uszu, ale przynajmniej u niego nadawały się do czegoś. Wy, ludzie, macie tylko oczy. Albo tylko tego używacie. Ale wracając do twojego pytania, sir Brian z tym człowiekiem powinni być tu lada chwila.

Rzeczywiście, w chwilę później pojawił się rycerz i jego zbrojny, ten ostatni prowadził swojego konia i konia swego pana.

–Jamesie! – powiedział Brian podszedłszy do Jima. – Dobrze, że jesteś. Ilu ludzi wzięłeś ze sobą?

–Szesnastu, jak myślę, nieprawdaż Theolufie? – Jim obejrzał się na Theolufa, a



wódz zbrojnych przytaknął. – Zostawiłem rozkazy, żeby reszta zebrała się i podążyła za nami, jak tylko będzie ich przynajmniej tuzin. Obawiam się, że nie możemy liczyć na więcej niż dwunastu. Wielu z nich miało wrócić do zamku wieczorem czy dopiero za dzień lub dwa. Nawet jeśli tu dotrą, to będziemy mieli tylko jakichś dwudziestu ośmiu czy trzydziestu ludzi – włącznie z tobą i ze mną. Oczywiście jest też Aragh.

–Oczywiście – powtórzył sarkastycznie wilk. – Powinieneś wiedzieć, Jamesie, że sam jestem wart pół tuzina twoich leniwych ludzi.

–Naprawdę to potrzebujemy – powiedział sir Brian – łuczników lub kuszników. Przez nich moglibyśmy przesłać wiadomość moim ludziom w zamku. Jak dotąd, nie wiedzą nic o tym, że tu jesteśmy.

–Ilu masz ludzi w zamku – to znaczy zdolnych do walki? – spytał Jim.

W chwili kiedy to powiedział, zdał sobie sprawę z tego, iż powinien sformułować pytanie nieco bardziej delikatnie. Rycerz był wyraźnie zakłopotany.

–Obecnie – odrzekł sir Brian, podkreślając słowa odrobinę bardziej, niż to było konieczne – mam tam tylko jedenastu zbrojnych i coś z połowę tego czeladzi zamkowej, która potrafi w potrzebie posłużyć się mieczem czy inną bronią.

–Może będzie ich drugie szesnaście, wszystkich razem? – spytał Jim.

–Powiedzmy siedemnastu – odrzekł sir Brian – chociaż ostatni to mój giermek, chłopiec zaledwie. Mimo to przed nami i tak cholerny tłum. Nawet tych siedemnastu przydałoby się, gdyby mogli wypaść wtedy, kiedy my uderzymy na tych zbójców od zewnątrz.

Ponuro popatrzył na Jima.

–Oni i my razem to daje w najlepszym razie trzydziestu siedmiu, którzy mają zaatakować ponad dwukrotnie większą gromadę – mówił dalej – gdyż boję się, że nie mamy czasu, by czekać, aż reszta twych ludzi do nas dołączy. Ci tam w ciągu kwadransa zaczną używać swego pnia przeciw moim wrotom. Wrota są dobre, ale teraz tylko one bronią zamku. Gdy tylko napastnicy je rozbiją, wedrą się do środka. Boję się, że musimy zrobić, co się da, z tymi, których mamy, i to bez dalszej zwłoki. Jak już mówiłem, wrota są mocne, ale ten taran rozwali je w pół godziny.

–Ach – wtrącił się stojący obok nich Aragh, przechylając głowę na bok – idzie jeszcze dwóch i to przyzwyczajonych poruszać się po lasach trochę lżej niż wy wszyscy. Ha!

W głosie jego pojawiła się nuta radosnego zdziwienia – rzecz zaskakująca u wilka.

–To Danielle i ten jej długi walijski łucznik, którego nazywa teraz mężem – wyjaśnił.

Jim i sir Brian popatrzyli na siebie zdumieni.

–Przekazywałem ci, że wybierała się z wizytą – to znaczy wybierali się – powiedział rycerz – chociaż, jak o tym pomyśleć, Zamek Smythe i tak leży jakby przy drodze, jaką wędrowaliby do Malencontri. Ale mimo to skąd wiedzą, że tu jesteśmy?

–Jeżeli w ogóle mają coś takiego jak uszy, prawdopodobnie usłyszeli tę waszą zgrają tłukącą się po lesie – stwierdził kwaśno wilk. – W każdym razie są już tutaj.

Po chwili oboje – ta, która była Danielle z Wrzosowisk, córką Gilesa z Wrzosowisk, przywódcy banitów z Wrzosowisk, i Dafydd ap Hywel, Mistrz Łuku –

istotnie mistrz wszystkich łuczników, jeśli jest na świecie jakaś sprawiedliwość, pomyślał Jim – wychynęli spośród zieleni.

Dafydd miał swój wielki, długi łuk, który tylko on potrafił naciągnąć i naprowadzić na cel. Zrobił go sam, podobnie jak pieczołowicie wyrabiał swoje świetne strzały. Wygięte drzewce tego łuku, ze zdjętą cięciwą, niósł przewieszane przez plecy. Lewe ramię Dafydda spoczywało na temblaku z zielonego sukna.

–Ojciec jest w drodze ze swoimi ludźmi – powiedziała bez zbędnych wstępów Danielle, gdy podeszła do nich. – Usłyszał o tej grupie napastników i osądził, że skierują się w tę stronę i że Zamek Smythe może potrzebować wsparcia. Ale zebranie ludzi zajmie mu trochę czasu. Dafydd i ja wyruszyliśmy przodem, gdyż sami możemy wędrować swobodniej i szybciej. Ach, Araghu! – Przerwała, by pogłaskać wilka, który łasił się do niej i jednocześnie usiłował polizać ją po twarzy.

–Co ci się stało w ramię, człowieku? – zapytał władczo sir Brian.

–To tylko lekkie nadwężenie – zaczął Dafydd, ale Danielle przerwała mu ostro.

–Chciałeś powiedzieć: złamany obojczyk – poprawiła go. – Zapasy z dwoma z bandy mego ojca naraz. Popisywanie się jak zwykle!

–Cóż, całkiem możliwe... – powiedział łucznik swoim łagodnym, melodyjnym głosem, który tak bardzo nie pasował do jego herkulesowej postaci. Dafydd był wysoki, wyższy nawet od Jima, trzymał się tak prosto jak jedna z jego strzał. Sylwetka jego zwężała się od szerokich ramion do wąskich bioder, tak że wyglądał jak statua mająca za cel wręcz przesadne odwzorowanie fizycznych cech atlety.

–Sam bym się tym nie przejmował, żal mi jednak, sir Brianie, że ja i mój łuk nie przydamy się na wiele w tej potrzebie.

–No cóż, choć to smutne, nic się na to nie poradzi – rzekł Jim. – Sir Brian miał nadzieję, że uda nam się posłać ponad murami strzałę z wiadomością dla jego ludzi w zamku. Trzeba dać im znać, że tu jesteśmy i uprzedzić o jakimś sygnale, żeby mogli zrobić wypad w tej samej chwili, kiedy my zaatakujemy tych ludzi pod bramą. Jeśli popatrzycie,

to ujrzycie, że zaraz zaczną taranować główną bramę zamku, a sir Brian mówi, że tylko ona ich powstrzyma. Kiedy będą w środku, pokonają tam wszystkich samą przewagą liczebną.

–Istotnie nie przydam się na wiele – dodał Dafydd – ale przecież nie jesteśmy pozbawieni łuku.

Spojrzał na żonę.

–Oczywiście, że nie – burknęła Danielle, obrzucając Jima i sir Briana gniewnym spojrzeniem. – Doskonale wiecie, że mogę posłać strzałę stąd do tego zamku tak samo dobrze jak każdy łucznik.

–Z pewnością, pani – pośpiesznie odparł rycerz – tylko nie myślałem...

–Następnym razem pomyśl! – powiedziała Danielle. Aragh warknięciem wyraził swą aprobatę.

–Mniemam, że myśleliście o strzale wypuszczonej wysoko ponad głowami tych ludzi i ponad murami, tak żeby spadła na wewnętrzny dziedziniec? – ciągnęła Danielle spokojniejszym już głosem. – O ile to możliwe, z wiadomością obwiązaną

wokół drzewca... Czy ktokolwiek w twoim zamku umie czytać?

–Przynajmniej jeden, może dwóch – odparł Brian – którym udałoby się odczytać tę bazgraninę, jaką ja sam piszę. Ale mam lepszy pomysł na wiadomość. Dzi-dziękuję ci, pani Danielle. To całkiem zmienia postać rzeczy, gdy mogę dać tym w środku znać, kiedy powinni zrobić wypad. Jest nas tak niewielu, że my i oni musimy uderzyć na tamtych ludzi jednocześnie, żeby to się na coś zdało. Sir James ma jeszcze ludzi w drodze, ale w żadnym razie nie możemy już na nich czekać.

–No więc sporządź tę wiadomość – powiedziała Danielle, zdejmując swój łuk z ramienia i sprawdzając cięciwę. – Mam ze sobą igłę z nitką. Nitka przyda się, żeby przywiązać pismo do drzewca strzały. Czy ktoś tu ma czym i na czym pisać?

Jim przetrząsał torbę przy siodle. Jeśli ci, którzy włożyli tu ser i wino, nie wyjęli przy okazji innych rzeczy – och, jednak nie.

–Ja mam – oznajmił.

Zabrał ze sobą do Carolinusa pręcik z węgla drzewnego i kawałek cienkiego, białego płótna – żeby być przygotowanym, gdyby Mag chciał mu dać jakieś wskazówki, które lepiej było powierzyć nie tylko samej pamięci. Wyjął teraz płótno z torby. Jak wiedział, sir Brian, choć oczywiście ten szlachetny rycerz wstydziłby się troszkę do tego przyznać, prawie nie umiał pisać. Inna sprawa, że Jim był wychowankiem dwudziestowiecznych szkół i uniwersytetów swego rodzimego świata.

–Co chcesz, żebym napisał? – spytał Briana.

–Nie ma mowy, sam to zrobię – odpowiedział rycerz. Zabrał Jimowi materiał i sztyfcik z węgla. Rozłożył płótno na powierzchni siodła i w jednym rogu białej materii narysował coś w rodzaju piktogramu.

Jim rozpoznał obrazek poniżej rogu jako przybliżoną podobiznę rodowego herbu Briana – na czerwonej tarczy srebrny krzyż świętego Andrzeja, z dodanym czarnym jeleniem, który wskazywał, że jego rodzina pochodziła od młodszego brata któregoś z Neville'ów z Raby, hrabiów na Worcester.

Ostrzem sztyletu rycerz starannie i oszczędnie wyciął róg materiału, na którym rysował, i wręczył go, razem z nie zapisanym fragmentem i węglem drzewnym, Jimowi.

–To – powiedział – pojmą natychmiast. Trzy dźwięki mojego rogu – wskazał na instrument wykonany z krowiego rogu i zawieszony na skórzanej pętli przy kuli siodła – i zrobią wypad.

–A właściwie skąd oni mają wiedzieć, że to prawdziwa wiadomość, której mogą ufać? – zapytała Danielle.

–Ha! – sapnął sir Brian, nagle przystopowany. Pomyślał chwilę. – Na końcu wiadomości umieściłem swój herb – dodał – jak widzicie.

–Každy, kto zna twój herb, mógł zrobić to samo – rzekł Jim – zakładając, że jest tam na dziedzińcu ktoś, kto zobaczy, jak spada strzała.

–Na pewno będzie! – gwałtownie przerwał mu rycerz. – Nikt z moich ludzi nie będzie daleko od bramy, skoro stoi przed nią nieprzyjaciel.

–Dobrze, dobrze, nawet jeśli zobaczą, jak leci strzała, i podniosą ją, znajdą

**wiadomość i przeczytają – ciągnął**

**Jim – to wciąż mają prawo wątpić, czy rzeczywiście nadeszła od ciebie. Czy mógłbyś przyczepić do strzały coś jeszcze, co upewni ich, że to ty ją wysłałeś, a nie nikt inny? Sir Brian spojrział na nich nieszczęśliwym wzrokiem.**

**–Kiedyś mógłbym wsunąć na drzewce pierścień mego ojca – wyznał. I na potwierdzenie tych słów rozczapierzył przed nimi dziesięć opalonych, gołych palców. – Kiedyś w ogóle go nie zdejmowałem. Niestety, ech, na zeszłe ostatki minęły trzy lata bez jednego dnia, jak zastawiłem go u kupca w Coventry.**

**Jim poczuł nagły przyływ współczucia dla tego mężczyzny. Lombardy były w Anglii nielegalne, jak niemal wszędzie na kontynencie, ze względu na orzeczenia Kościoła przeciwko lichwie. Mimo to kwitły, a wielu spośród ich stałych klientów, którzy z takiego czy innego powodu znaleźli się w tarapatach, zaliczało się do warstwy szlacheckiej. Jim postanowił sobie w sekrecie, że zobaczy, co się da zrobić, by z powrotem wydostać dla sir Briana jego pierścień. Nie będzie to trudne, jeśli tylko właściciel lombardu jeszcze go nie odsprzedał. Prawdziwy kłopot byłby tylko ze znalezieniem sposobu na wręczenie go rycerzowi bez obrażania go czymś, co wyglądałoby na akt miłosierdzia.**

**–Mam! – zawołał nagle Jim. – Ta chusteczka pani Geronde, którą podarowała ci na znak przychylności, Brianie. Wszyscy twoi ludzie rozpoznaliby ją na pierwszy rzut oka, a nikt nie mógłby mieć tej rzeczy, tylko ty!**

**Rycerz spojrział na niego i niespodziewanie pobladł.**

**–Nigdy! – zaprotestował stanowczo. – Ta kokarda nie opuści mnie, pókim żyw.**

**–Ależ – powiedział Dafydd – to tylko na małą chwileczkę, sir Brianie. Potem będziesz ją miał z powrotem. Z pewnością jeden z twoich ludzi ukryje ją w zamku w bezpiecznym miejscu, gdy będą oczekiwać na dźwięk twego rogu. Będzie tam tak bezpieczna jak u ciebie.**

**–Nigdy! – powtórzył rycerz. – Pierwej zobaczę zgliszcza swego zamku!**

**–Posłuchaj, sir Brianie – odezwała się Danielle łagodnym tonem – jest tak, jak mówi Dafydd. Kokarda będzie całkiem bezpieczna zarówno na mojej strzale, jak i u twoich ludzi. A to jedyny pewny znak, że wiadomość pochodzi tylko od ciebie.**

**–Nie mogę! – wyrzucił z siebie i gwałtownie odwrócił się do nich bokiem. – Mówiłem, że nigdy jej nie zostawię i tego nie zrobię!**

**–Całe to zamieszanie wokół strzępka materiału – warknął Aragh.**

**–Araghu – wycedziła przez zęby Danielle odwracając się do niego – są takie chwile, kiedy wilki powinny trzymać pyski zamknięte!**

**Wilk, który nie zniósłby takich słów od nikogo poza Danielle, położył uszy po sobie, spuścił łeb i schował ogon między nogi. Danielle odwróciła się do rycerza.**

**–Mimo wszystko, sir Brianie... – zaczęła, kiedy ten nagle wybuchnął:**

**–Wy wszyscy nic nie pojmujecie – to wszystko, co od niej mam, rozumiecie? To wszystko, co mam!**

**–Wiemy – rzekła Danielle, wciąż tym niezwykle łagodnym tonem – czy sądzisz jednak, że pani Isabel chciałaby, żebyś stracił ojcowiznę z braku chęci oddania jej kokardy na najwyżej godzinę? Gdyby tu była, czy nie kazałaby ci raczej przywiązać**

**kokardę do mojej strzały jako sygnał dla twoich ludzi?**

**Przestała mówić. Cisza się przeciągała. Stopniowo napięcie opuściło rycerza. Westchnął boleśnie i jedną ręką zaczął szperać pod kolczugą, aż wyciągnął na zewnątrz zwiewny, szafranowej barwy kwadrat materiału z literami „G.d'C.” wyhaftowanymi w jednym rogu. Ucałował go, a potem bez słowa, nie patrząc na nikogo, podał chusteczkę Danielle.**

**–Odważna decyzja, sir Brianie – pochwaliła go Danielle. – Twoja pani będzie z ciebie dumna. Jak najostrożniej przymocujemy teraz nitką chustkę do mojej strzały, żeby żadna krzywda się jej nie stała w czasie lotu, ani od wstrząsu, w chwili gdy strzała uderzy grotem w ziemię na dziedzińcu. I jestem przekonana, że twoi ludzie zajmą się nią z należytą ostrożnością i respektem.**

**–Istotnie, to jedno jest pewne – odrzekł rycerz półgłosem.**

**Pokręcił głową i z wyraźnym wysiłkiem odzyskał panowanie nad sobą. Wyprostował się i popatrzył na wszystkich.**

**–Zrobimy, co będzie trzeba – powiedział. – Ale to jedno wam obiecuję. Żaden nieprzyjaciel, nawet dwukrotnie liczniejszy niż ci, których tam widzimy, nie będzie w stanie powstrzymać mnie od wejścia na mój własny dziedziniec dłużej niż godzinę.**

**–Tak też będzie – warknął Aragh, unosząc nieco ogon i głowę. – Mówiłem przedtem, że mógłbym dotrzeć do ich przywódcy, nawet gdy jest otoczony swymi ludźmi, i strzaskać mu kark. Mam to teraz zrobić?**

**Brian pokręcił głową.**

**–Nie wątpię, że mógłbyś to bez trudu uczynić – powiedział – ale czy powróciłbyś żywy, to nie jest już takie pewne, a możemy potrzebować cię w ogólnej walce. Niech sprawiedliwość sięgnie onego czarnobrodego w swoim czasie. Właściwie to ja powinienem mieć pierwszeństwo w walce z nim.**

**Pohamował się.**

**–Wybaczcie mi – ciągnął – któż mógłby wybierać sobie przeciwnika w takiej bijatyce? Niech ten, kto będzie miał okazję z czarnobrodym, zajmie się nim. Mam tylko nadzieję, że to będę ja.**

**W czasie kiedy mówił, Danielle zajęła się, używając nitki, porządnym przymocowaniem wiadomości i chusteczki do strzały. Teraz odgryzła nitkę.**

**–Gotowe – stwierdziła. – Czy mam wystrzelić strzałę teraz, czy macie jeszcze coś do ustalenia?**

**–Siądźmy na koń – powiedział rycerz. – Oprócz tego nie powinniśmy potrzebować innych przygotowań. Utworzymy linię tuż na skraju lasu.**

**Machnął ręką w przód, by pokazać, o co mu chodzi, i zbrojni Jima, którzy dosiadali już koni, zaczęli je kierować tuż poza pierwszą linię drzew.**

**–A jak tylko strzała zniknie nam z oczu za blankami, ruszamy! – zakończył. – Znów w pełni panował nad sobą i innymi. – Żaden inny znak nie jest potrzebny. Kiedy ujrzę, jak znika strzała, jadę, a wy za mną. Musimy zwalić się na tych tam tak niespodzianie, jak to możliwe, nie tylko po to, żeby ich wziąć przez zaskoczenie, ale i żeby myśleli, iż jesteśmy zaledwie przednią strażą nadchodzących wojsk.**

**Jim, jak inni, dosiadł konia. Za plecami usłyszał odgłos zwolnionej cięciwy łuku**

**Danielle. Strzała ukazała się w górze, wspinając się wysoko w niebo. Wraz z wysokością i odległością nikła, aż była wielkości zapałki, aż zdawało się, że zmieni się w kropkę i całkiem zniknie z oczu. Potem zaczęła się wydłużać i rosnąć spadając na ziemię. Obniżała się tak gwałtownie, że Jim miał wrażenie, iż nie doleci i upadnie między ludzi przed wrotami. Ale tak się nie stało.**

**Ułamek sekundy później zniknęła za szarymi kamiennymi murami Zamku Smythe i od razu wypadli wszyscy galopem z lasu, zdążając przez otwartą przestrzeń ku zgrai mężczyzn przed bramą, którzy właśnie zaczęli zamierzać się pnieniem drzewa na wrota.**

**Trzy dźwięki rogu sir Briana rozległy się głośno i czysto.**

## Rozdział 7

Jim wypadł na otwartą przestrzeń. Pęd konia niósł go naprzód, ziemia z grzmiotem umykała spod kopyt, a inni galopowali obok.

Wbrew sobie samemu poczuł, że upaja go ta chwila. Przez moment zastanawiał się, czemu nikt mu nie poradził, aby na tę część ataku zamienił się w smoka. Potem jednak dotarło do niego, że i tak będzie musiał nauczyć się ludzkich sposobów walki, a im wcześniej zacznie, tym lepiej. Zabrakło tego gwałtownego wybuchu radości, jakiego doznawał będąc Gorbashem, gdy leciał na ludzi plądrujących wioskę w rejonie Zamku de Chaney. Teraz czuł tylko zwykłe ludzkie podniecenie wywołane adrenaliną. A więc te inne odczucia były czystą „smoczą wściekłością”, o której opowiadał stary smok, stryjeczny dziadek Gorbashowego cielska. Tak więc nie czuł tej szalonej radości, ale przynajmniej się nie bał – dobre chociaż i to.

Zbliżali się niezbyt cicho. Nie tylko grzmiały końskie kopyta, ale także część zbrojnych wznosiła różnego rodzaju bojowe okrzyki, podobnie jak i sam sir Brian. Jim ujrzał przez chwilę zaskoczone twarze, gdy motłoch przed bramą odwrócił się w ich kierunku, a ci, którzy rozhuśtywali taran do następnego uderzenia we wrota, puścili go i zaczęli gmerać przy pasach w poszukiwaniu mieczy czy innej broni.

Potem obie grupy spotkały się. Z pewnością dosiadanie konia dawało przewagę. Jim miał wrażenie, że rozjechał przynajmniej trzech czy czterech przeciwników, zanim jego koń został powstrzymany tak nagle, że jeździec ześlizgnął się z siodła do przodu.

Wyłącznie instynkt, wsparty jego sportowym treningiem, spowodował, że wylądował na nogach, a nie na twarzy, a dzięki lekcjom z sir Brianem odruchowo ustawił się w pozycji ze wzniesioną tarczą i mieczem w gotowości. Przez chwilę miał swego konia za plecami, co chroniło go z tamtej strony, wykorzystując więc tę osłoniętą pozycję ostro zaatakował dwóch ludzi z mieczami, którzy stali przed nim.

Jasne było, że obydwaj wiedzieli, jak posługiwać się bronią, ale żaden nie był uczniem Briana, żaden nie miał też tarczy. Po prostu rąbali mieczami. Jim odparował cios jednego skrajem tarczy i pchnął drugiego z prawej, i niemal zdziwił się widząc, że zniknął padając przed nim. Odwrócił się ku temu z lewej, ale człowiek ów już się odsunął i Jim znalazł się twarzą w twarz z innym przeciwnikiem, który wywijał toporem młyńca nad jego głową.

Jim uchylił się w bok i topór chybił. Pchnął mieczem, ale nie ujrzał rezultatu. Walka stawała się rozmazaną plamą, w której on reagował tylko instynktownie.

Kątem oka zauważył Aragha, który nie marnował czasu na poszczególnych przeciwników, tylko prześlizgiwał się między nimi, kłapiąc paszczą na lewo i prawo i chwytając zębami wszystko, co znalazło się w zasięgu jego szczęk. Siła tych szczęk najwyraźniej była straszliwa, gdyż Jim widział, jak zamykają się całkowicie na ramionach i nogach, co musiało znaczyć, że długie zębiska wilka zatapiały się aż do kości – a nawet przez kości – tych, których kąsał. Z całą pewnością pozostawiał za sobą ludzi o jednej ręce czy nodze, która nagle stała się bezużyteczna.

Potem, co dziwne, zupełnie nagle Jim znalazł się na niewielkiej otwartej przestrzeni wśród powszechnej walki. Napastnicy i zbrojni Jima oraz kilku ludzi z

rynsztunkiem jak zbrojni, których jednak nie rozpoznał i którzy, jak pomyślał, musieli być jednymi z tych, co zrobili wypad z Zamku Smythe, walczyli wokół niego. Zdawało się, iż z niewiadomej przyczyny nie został nikt, kto zaatakowałby Jima. Było to nieomal śmiechu warte... Nagle tubalny ryk wściekłości wytrącił go z chwilowego bezruchu. Odwrócił się i zaledwie zdążył unieść tarczę, gdy wielki topór dzierzony w dłoniach samego czarnobrodego przywódcy bandy huknął ostrzem w jej zewnętrzną stronę.

Metal wytrzymał, ale siła ciosu omal nie powaliła Jima na kolana. Jakoś się wywinął. To ten brak gładkości w pracy tarczą, o którym mówił Brian. Jim nie opanował jeszcze umiejętności instynktownego ustawiania swojej tarczy pod takim kątem wobec nadchodzącego ciosu, by spowodować ześlizgnięcie się broni wroga w prawo, w lewo, w górę lub w dół. Wysuwał jedynie tarczę między siebie a przeciwnika, jakby próbując odepchnąć jego broń.

Teraz tarcza się wygięła, ale ochroniła go. Jednakże jego ramię zapłaciło pewną cenę za tę osłonę. Zmartwiało od czubków palców do barku i następny cios topora wytrącił mu tarczę z osłabionego już chwytu. Znalazł się twarzą w twarz z mężczyzną tak wysokim jak on sam i ważącym przynajmniej pięćdziesiąt funtów więcej, z bronią znacznie cięższą od miecza, który stanowił teraz dla Jima jedyny środek obrony i ataku.

Topór znów runął w dół, mierząc, jak się wydawało, w jego głowę, a potem, w ostatniej chwili, zmienił kierunek na cięcie w nogi. Jim zareagował odruchowo. Podskoczył.

Chociaż raz mógł być dumny, tak jak niegdyś, ze sprawności mięśni swoich nóg. Wyskoczył w górę znacznie ponad topór, który świsnął pod nim. Czarnobrody mężczyzna nie przestawał nań nacierać. Widać było, że świetnie sobie poczynał ze swoją ciężką bronią, ale również widać było, że nigdy nie spotkał kogoś ubranego w rycerską zbroję, kto podskakiwałby jak pajacyk na sznurku.

Jim robił uniki, wykręcał się i podskakiwał, a czarnobrody wciąż chybiał. On zaś szukał w jego atakach luki, by móc w nią pchnąć ostrze swego miecza. Lecz tamten był zbyt wprawny, by mu ją zaofiarować. Jim zaś był za bardzo pochłonięty walką, by zwracać uwagę na to, co działo się wokół niego, i naprawdę martwiło go nie to, czy zdoła w odpowiedniej chwili przerwać swą taktykę uników i wyczuć moment odsłonięcia, ale to, czy w końcu ktoś nie zajdzie go z drugiej strony i nie zatopi mu ostrza w plecach.

Czarnobrody, wypróbowałszy wszystkie ciosy ze swego repertuaru, jeszcze raz spróbował ciosu w głowę, który był tylko wstępnym zwodem przed cięciem w nogi Jima.

Czyżby zdążył zapomnieć, co się stało za pierwszym razem? A może myślał, że przeciwnik już się zmęczył i ostrze topora go dosięgnie? Jim tego nie wiedział. Wiedział za to, że może tak sobie skakać jak dzień długi. Często podczas meczu zwykł był wykonywać numer „na pajacyka”, w którym wyskakiwał w powietrze i dotykał czubków wyciągniętych stóp czubkami palców rąk, żeby podłamać na duchu zawodników przeciwnej drużyny. Teraz też podskoczył tak, że nogi miał na poziomie



głowy przeciwnika. I choć raz przyplęnęło natchnienie. Obiema nogami kopnął potężnie, wkładając w ten cios całą siłę swych mięśni. Obydwa obcasy butów Jima trafiły w cel, każdy z jednej strony szczęki. W chwilę później Jim lekko wylądował na ziemi.

Czarnobrody miał trochę szczęścia, gdyż w zbroi, którą Jim odziedziczył, nie było stalowych trzewików okrywających stopy. Jednak nie byłby człowiekiem, gdyby taki cios go nie oszołomił. Gdy Jim znalazł się naprzeciw niego, wódz bandy wciąż jeszcze trzymał się na nogach, ale topór miał opuszczony i gapił się na przeciwnika nie widzącymi oczami.

Jim był jednak zbyt przejęty, by zwracać uwagę na takie szczegóły. Wiedział jedynie, że walczy o życie i że jego wróg wciąż stał przed nim z bronią, która mogła go zniszczyć jednym uderzeniem. Bez chwili wahania, prawie odruchowo wbił ostrze miecza w potężne ciało, przez skórzany kaftan, który był jedyną noszoną przez tamtego osłoną. Ostrze weszło z wręcz zadziwiającą łatwością, a wódz napastników zachwiał się i upadł.

Jim stał i gapił się na niego. Uśmiercał ludzi, kiedy był w ciele Gorbasha, smoka, ale to był pierwszy raz, kiedy jako człowiek zabił innego człowieka, gdyż czarnobrody był niewątpliwie martwy.

Wyszedł z oszołomienia w samą porę, żeby uchylić się przed brzeszczotem miecza zmierzającego ku niemu z lewej. Raz jeszcze, bardziej dzięki odruchowi niż świadomemu działaniu, Jim zszedł z linii ciosu i oddał uderzenie. Teraz atakował go wysoki, chudy i prawie siwy rębajło. Jim mierzył w pierś, chybił, ale ostrze miecza spadło na ramię tamtego i na pół je odcięło. Mężczyzna żywy, ale poważnie ranny, zwałił się na kolana, próbując zatamować krew płynącą z rozciętego ramienia.

Przez kilka krótkich chwil Jim miał okazję rozejrzeć się wokół siebie.

Bitwa wciąż trwała, ale nie toczyła się dobrze dla jego strony. Nie widać było ani sir Briana, ani Aragha, ale ci, którzy, jak sądził, byli z Zamku Smythe, dawali z siebie wszystko. Niektórzy z nich walczyli naraz z dwoma lub kilkoma przeciwnikami.

Jim nagle przypomniał sobie, po co tu się znalazł. Jego pocięta, ale wciąż zdatna do użytku tarcza leżała zaledwie o dwa kroki od niego. Zadziwiające, ale miejsce, na którym potykał się z przywódcą napastników, pozostało całkiem puste. Mógł się tylko domyślać, że na początku walki przywódca krzyknął do swoich, żeby zostawili Jima dla niego, a tamci posłuchali. Potem wszyscy zaangażowali się w ogólną bitwę, tak więc jedynym, który próbował go zaatakować, był właśnie ten, któremu zranił ramię.

Jim podniósł tarczę i ruszył na jednego z dwójki napastników, walczących nie opodal z którymś z jego zbrojnych. Niemal natychmiast przeciwnik zaczął się cofać, prześlizgując się w tłumie. Jim zorientował się, że spotkał kogoś równie zwinnego jak on sam. Niekoniecznie dlatego, że umiał on tak samo skakać, ale że potrafił równie dobrze, a może nawet lepiej, wywijać się i uchylać. Jim, rozgrzany walką, nacierał na wroga z jedną tylko myślą – by go zniszczyć. Miał na sobie pełną zbroję, a jego przeciwnik tylko skórzany kaftan i miecz. Nic dziwnego, że sobie biega – pomyślał Jim.

Wciąż jeszcze myślał o tym, gdy jego przeciwnik, uchyliwszy się od ciosu miecza, zatrzymał się, ruszył naprzód i kopnął go bezlitośnie kolanem w krocze. Jim padł na ziemię, zwijając się z bólu. Przeciwnik rzucił się na niego z mieczem zwróconym tak, że jego czubek migotał zaledwie kilka cali przed twarzą Jima.

–Podдай się! – wrzeszczał. – Podдай się albo ci gardło poderżnę!

Nawet poprzez mgiełkę bólu, która go otaczała, Jim uświadomił sobie, że będąc odzianym w zbroję został oczywiście wzięty za kogoś wartego przytrzymania dla okupu. I, jeśli się nad tym zastanowić, to jako posiadacz Malencontri, najprawdopodobniej był tego wart. Jednak zanim zdążył odpowiedzieć, sprawę rozwiązano za niego.

Dał się słyszeć głuchy odgłos i kilka cali grotu strzały wyłoniło się nagle z piersi napastnika. Mężczyzna zakrztusił się, zsunął z Jima i legł nieruchomo.

W pierwszej chwili Jim pomyślał, że Dafydd, pomimo złamanego obojczyka, jakimś cudem ozdrowiał i posyła strzały w środek walki z prędkością pocisków broni automatycznej z czasów Jima. Tylko Dafydd zdolny był tego dokonać. Potem jednak Jim uświadomił sobie dwie inne rzeczy. Atakujący przerwali walkę i uciekali teraz, by szukać schronienia na skraju lasu za Zamkiem Smythe. Dzięki ich ucieczce wokół niego zrobiło się luźniej i Jim widział, że nie tylko Aragh i sir Brian wciąż trzymali się na nogach, ale i że za ich plecami zbliżała się pewna liczba łuczników w brązowych kaftanach. Łucznicy biegli, zatrzymywali się, by napiąć łuki i strzelić, biegli znów naprzód i znów strzelali, zmierzając w ten sposób prosto do miejsca, gdzie toczyła się walka.

Niespodziewanie nad Jimem pojawił się Brian, który chwycił mocno jego dłoń i pomógł mu wstać.

–Jamesie, jesteś ranny? – zapytał rycerz.

–Niezupełnie... ranny – mruknął Jim, wciąż zgięty wpół jak stary człowiek.

Kiedyś przekonał się, że nawet smok nie może bezkarnie rzucić się na rycerza szarżującego konno, w pełnym rynsztunku, z pochyloną do ataku kopią. I zapamiętał to sobie na całe życie, by już nigdy nie popełnić tego samego błędu. Teraz zaś postanowił zapamiętać, że póki żyje, nigdy nie przyjmie, że może bezpiecznie zbliżyć się do przeciwnika dlatego tylko, że sam nosi zbroję, a wróg jest bez zbroi i z lżejszą bronią.

–Kto nam pomaga?

–Sądzę – rzekł sir Brian – że to Giles z Wrzosowisk i jego ludzie wyszli na spotkanie jego córki i Dafydda i zarazem w tej chwili potrzeby ofiarowali nam swą pomoc.

Dafydd i Danielle także wyłonili się z lasu i zbliżali ku nim. Łucznik nadal miał rękę na temblaku, a Danielle niosła łuk opuszczony, lecz ze strzałą wciąż zaczepioną wyszczerbieniem o cięciwę. Jim chodził w kółko, usiłując się wyprostować.

–Czy na pewno nie raniono cię, Jamesie? – spytał troskliwie Brian chodząc obok niego.

Jim pokręcił głową.

–Co ci, w takim razie, dolega?

Jim odpowiedział mu, używając zwięzłych anglosaskich określeń.

Rycerz wybuchnął serdecznym śmiechem. Jim spiorunował go bardzo nieprzyjaznym spojrzeniem. Sądził raczej, że sytuacja zasługiwała na nieco współczucia, a nie na taką hałaśliwą radość jego kosztem.

–No, Jamesie – powiedział Brian, waląc go w ramię – od tego się nie umiera!

Odwrócił się do jednego ze zbrojnych Jima, stojącego nie opodal.

–Ty tam! – krzyknął. – Tu niedaleko jest wierzchowiec sir Jamesa! Zobacz, czy w torbie nie ma wina, a żywo!

Zbrojny odwrócił się i rzeczywiście ruszył biegiem. Kilka miesięcy zajęło Jimowi przyzwyczajenie się do faktu, że w tym świecie, gdy zwierzchnik wysyłał podwładnego z poleceniem, podwładny robił to biegiem, nawet jeśli był zupełnie dorosłym mężczyzną lub zupełnie dorosłą kobietą. Najbardziej dziwiła go świadomość, iż sam ostatecznie zaakceptował to, że ktoś wyższy od niego rangą mógł wysyłać go na posyłki i od niego także oczekiwano by biegu. Rzeczywiście, to był bardzo zhierarchizowany świat. Podwładni zawsze stali w obecności zwierzchnika, nawet jeśli wasalem był tylko drugi syn pana majątku, a suwerenem jego własny brat.

Zaczynał czuć się jakby lepiej, kiedy zbrojny nadbiegł z powrotem z flaszką wina, z której Jim pił już wcześniej. Sir Brian kazał mu połknąć sporą ilość czystego wina i po paru chwilach Jim odkrył, że albo sprawiło ono, że poczuł się lepiej, albo pomogło mu wmówić w siebie, że się lepiej czuje. Stopniowo dochodził do siebie i wyprostował się, tak że nie obwieszczał swej kondycji wszystkim w zasięgu wzroku.

I to nawet lepiej, bo Danielle i Dafydd byli już tuż przy nich, obok siedł sam Giles z Wrzosowisk – a Jim znał Danielle. Nie miałyby żadnych zahamowań co do wypytywania, co takiego mu się stało i prawdopodobnie uśmiełaby się równie dziko jak Brian, usłyszawszy przyczynę.

Tak się jednak złożyło, że Danielle nie miała okazji do zadawania żadnych pytań, bo rycerz przemówił pierwszy.

–Witajcie, przyjaciele! Witajcie i dzięki wam! – powiedział. – Bez pomocy was wszystkich, nie wiem, czy dałoby się ocalić Zamek Smythe!

–Pewno nie – skomentował Aragh, który właśnie do nich dołączył.

–W istocie, szlachetny wilku – rzekł Brian – sądzę, że się nie mylisz. Jednakowoż został ocalony i to jest okazja godna uczczenia. Udajmy się wszyscy do zamku, gdzie będę mógł was podjąć i zabawić w należyty sposób...

Przerwał mu wielki, dość tłusty mężczyzna w odzieniu, które było chodzącą mozaiką tłustych plam. W dłoni dzierżył on dziwny nóż, który był albo niezwykle osobliwym tasakiem, albo raczej ozdobnym toporem rzeźniczym.

–O co?... – zaczął poirytowany, gdy mężczyzna jął skubać go za rękaw na łokciu i szeptać mu coś do ucha. – Musi być...

Przestał mówić i pozwolił człowiekowi z tasakiem odciągnąć się na stronę. Z niewielkiej odległości pozostali dostrzegli coś w rodzaju gwałtownej sprzeczki toczonej szeptem pomiędzy rycerzem a owym człowiekiem, który najwyraźniej był jednym z jego ludzi z zamku.

–Wygrywanie bitew to jedna rzecz – oświadczył Aragh ponuro. – Przyjmowanie gości to co innego.

–Cśś – uciszyła go Danielle.

Jim nagle pojął prawdę. Powinien był wcześniej się zorientować. Ze strony właściciela było sprawą jak najbardziej naturalnej gościnności zaprosić do środka tych, którzy dopiero co pomogli mu ocalić zamek przed najazdem. Ale problem w tym, że w zamku Briana nie było niezbędnych środków, by wydać ucztę tego rodzaju, o jakiej myślał. Jim był całkiem pewien, że rycerz sam jadał zwykle na obiad suchy chleb i wypijał małe piwo, tak jak cała reszta jego ludzi w zamku.

Wiedział, jak obojętny był zazwyczaj Brian na to ciężkie życie. On nie zastanawiałby się wcale nad podobną dietą, jeśliby chodziło o niego samego. Lecz sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej, gdy szło o przyjęcie gości. Honor rodu, nie mówiąc już o jego osobistej dumie, zostałyby całkiem zaszargany, gdyby musiał wprowadzić gości do walącej się sieni i nakarmić ich tym nędznym jadłem, jakie na co dzień utrzymywało go przy życiu.

–Sir Brianie! – wykrzyknął w chwili natchnienia. – Czy mógłbym przerwać na chwilę twoją rozmowę z tym człowiekiem?

Rycerz odwrócił ku niemu nieszczęśliwą twarz, wymruczał rozkaz dla swego sługi, by był pod ręką, i przyłączył się do reszty. Podchodząc do nich, próbował się uśmiechnąć.

–Właśnie przyszedł mi do głowy pewien pomysł, Brianie – rozpoczął Jim. – Nie było okazji powiedzieć ci wcześniej, ale po tym, jak wyjechałeś tak nagle i jak musiałem za tobą podążyć, pani Angela kazała mi obiecać, że jak najszybciej przyprowadzę do niej Danielle. „Bez żadnej zwłoki”, powiedziała, „jak tylko zdołasz napotkać Danielle i Dafydd”. Za nic nie opuściłbym twojej uczyty, ale trudno mi nie usłuchać mojej pani. Choć równie niemożliwe wydaje mi się zabranie ci chociażby jednego, a właściwie dwojga, z pozostałych oprócz mnie gości. Właśnie nie wiedziałem, co począć, gdy przyszedł mi na myśl ten pomysł.

–Jamesie, jestem pewien, że... – zaczął nieszczęśliwym głosem rycerz, lecz Jim pośpiesznie przerwał mu w pół słowa.

–Ale wysłuchaj najpierw mojego pomysłu, Brianie – powiedział. – Czemu nie miałbyś po prostu zmienić miejsca twojej uczyty i nie urządzić jej w moim zamku? Możesz teraz skorzystać ze wszystkich zapasów z mojej spiżarni, a później po prostu uzupełnić je w dogodnej dla ciebie chwili. I w ten sposób będziemy tam wszyscy razem. Nie tylko my, ale i Angie będzie mogła być z nami, a nigdy by mi nie przebaczyła, gdyby ją to ominęło.

Rozpacz powoli zniknęła z twarzy rycerza, ustępując narastającemu wyrazowi radości.

–Jamesie – wyjąkał – jesteś doprawdy zbyt szlachetny. Nie, nie mogę pozwolić...

–Wiem, że to narzucanie się – spiesznie dodał Jim. – Właściwie to w pełni zdaję sobie sprawę z tego, jakim brakiem grzeczności byłoby z mojej strony trzymać twoich gości z dala od twojej siedziby. Może jednak, tylko ten jeden raz, mógłbyś zrobić wyjątek?

**–Jimie – powiedział Brian, potrząsając głową – nie wiem, co odrzec. Ale dzięki, wielkie dzięki. Owszem, przyjmę twoją uprzejmą propozycję i na ucztę przeniesiemy się do twojego zamku. I przysięgam na mój honor rycerski, że zostanie ci zwrócony każdy...**

**–Nieważne – uciął Jim, odwracając się i ruszając w stronę miejsca, gdzie stały konie. – Nie potrzebujemy od siebie przysięg, Brianie. Z pewnością do tej pory poznaliśmy się nawzajem dość dobrze, aby brać takie rzeczy za pewnik. A teraz z powrotem do Malencontri.**

## Rozdział 8

Jim i Angie wprowadzili kilka nowych zwyczajów, o jakich nie słyszano przedtem w zamkach takich jak Malencontri. Jeden z nich polegał na sadzaniu niewielkich grup biesiadników dookoła jednego końca wysokiego stołu, tak że każdy mógł z każdym wygodnie rozmawiać, co nie było takie łatwe, gdy wszyscy siedzieli obok siebie wzdłuż jednego długiego boku. Ten nowy sposób sprawdzał się świetnie, chyba że liczba uczających przy wysokim stole była tak duża, iż potrzeba było całej długości stołu.

Tym razem na szczęście nie było to konieczne. Jim, Angie i sir Brian – w tej kolejności – zostali usadzeni wzdłuż górnej krawędzi stołu. Jim siedział przy samym jego końcu. Naprzeciwko po kolei siedzieli Dafydd, Danielle i Giles z Wrzosowisk. Sam szczyt stołu zajmował Aragh, na ławie, która pozwalała mu się wygodnie wyciągnąć i jednocześnie utrzymać głowę i barki ponad stołem.

Poniżej znajdował się niski stół, który zajmował całą długość sieni, pod kątem prostym do wysokiego stołu. Jego górny koniec stał tuż poniżej środka wysokiego stołu, tak że razem tworzyły kształt bardzo dużego „T”. Wzdłuż boków niskiego stołu siedzieli zbrojni z Malencontri i Zamku Smythe oraz banici Gilesa, którzy też brali udział w uczcie na cześć zwycięstwa.

Przy obu stołach kuchnia Jima czyniła zadość honorowi i Malencontri, i sir Briana. Zresztą Angie w towarzystwie Danielle często do niej zaglądała, by swym sokolim wzrokiem dopilnować jej pracy. Teraz siedzący przy wysokim stole, po dobrych dwóch godzinach jedzenia i picia, osiągnęli w końcu stan nasycenia – punkt, w którym jakakolwiek fizyczna aktywność nie wchodziła w rachubę i można było zacząć poważnie rozmawiać. Aragh, który w czasie ocenionym przez Jima na jakieś trzydzieści pierwszych sekund obecności przy stole połknął około dwunastu funtów mięsa bez kości, leżał, leniwie przyglądając się biesiadnikom i tylko sporadycznie wtrącając jakąś kąśliwą uwagę.

Teraz, gdy mężczyźni poluzowali pasy, a damy opaski wokół talii, i wszyscy przechylili się do tyłu na oparcia, które Jim dopiero co kazał przymocować do ław stojących przy wysokim i niskim stole, sir Brian skierował rozmowę na temat zbliżającej się wyprawy do Francji.

–...lord James i ja postanowiliśmy połączyć nasze siły w jeden wspólny oddział i razem podróżować i walczyć – mówił do trójki siedzącej po drugiej stronie stołu. – Poczekamy tylko parę tygodni na kilku zacnych ludzi, którzy przyobiecali wcześniej służyć pode mną w takim jak ten wypadku. Przez te tygodnie będziemy oczywiście szkolić tutaj kilku niedoświadczonych młodzików z włości Jamesa. James będzie miał swój pełny zaciąg, a ja oczywiście przywiodę prawie wszystkich swoich zbrojnych i może jeszcze kilku innych ludzi, którzy będą chcieli pójść. Ale nie da się zaprzeczyć, że przydałoby nam się paru dobrych łuczników.

Spojrzał przez stół na Dafydda.

–Oczywiście byłoby cudowną rzeczą, gdybyś mógł się do nas przyłączyć, Dafyddzie – powiedział, przeniósł wzrok na Gilesa – i może ty, i tyłu spośród twoich chłopców, ilu chciałoby pójść.

Twarz Gilesa pociemniała.

–Nie – odmówił krótko. – Ja i moi ludzie bylibyśmy głupcami, porzucając bezpieczne życie, by jechać i szukać wraz z połową Anglii łupów, jeśli jakieś jeszcze zostały na spustoszonych wojną ziemiach Francji.

–A jeżeli chodzi o mnie – rzekł spokojnie Dafydd – to ja i moi ludzie mamy raczej mało powodów, by kochać królów i księżęta Anglii i by jeszcze ruszać uwolnić jednego z nich. Jeśli zaś chodzi o wojnę dla niej samej, to wiecie, co o tym myślę. Tak więc wszystko przemawia przeciwko temu, bym poszedł, nawet gdybym nosił się z zamiarem opuszczenia mej żony dla jakiegokolwiek powodu poza służącym naszemu obopólnemu dobru. – Spojrzał na Danielle czule, choć może z odrobiną smutku. – Nawet gdyby pozwoliła mi pójść – dodał.

–Masz rację! – powiedziała Danielle. – Nie będziesz mi się wplątywał w żadne takie historie.

–Z pewnością nie byłoby to mądre – dołączyła się cicho Angie, ale z taką nutą w głosie, że Jim spojrzał na nią z zaciekawionym. Ona jednak przyglądała się swojemu talerzowi i bawiła kilkoma okruchami pozostałymi z bardzo obfitego deseru, jakim ich uraczono, i którego zjedzenie w całości przekraczało możliwości i Angie, i Jima.

U szczytu stołu Aragh potężnie ziewnął, ukazując swe złowrogie, żółte kły.

–Nie jesteś chyba tak głupi, żeby mnie pytać – powiedział.

–Nie miałem takiego zamiaru, szlachetny wilku – odpowiedział Brian nieco ostrzej.

– W każdym razie łuczników nam trzeba, nie wilków.

–Gdyby na tym świecie były tylko wilki, nie byłoby wojen – stwierdził Aragh.

–Bo wcześniej byście się nawzajem pozabijały – odrzekł mu rycerz.

–Nie – leniwie skwitował wilk. – Gdyż niczego takimi walkami się nie osiągnie.

Jeżeli ten twój księżę nie potrafi wygrać bitwy, to do czego on się zda? Zostawcie go Francuzom.

–My w ten sposób nie postępujemy – głos Briana brzmiał ostro. Pohamował jednak lekkie rozdrażnienie, jakie wkradło się w jego słowa. – No dobrze – powiedział po chwili spokojnym znów głosem. – Nie potępiam nikogo za to, że nie pójdzie, jeśli nie ma takiego obowiązku. Dla mnie i Jamesa jest to oczywiście powinność.

–A także przyjemność – wtrącił Aragh. Złote oczy i zmarszczki na jego pysku zdradzały cię złośliwego rozbawienia. Rycerz go zignorował.

–Co do tego, że trzeba nam łuczników – rzekł – powinniśmy móc ich wystawić, gdy nasze siły zbiorą się na francuskiej ziemi. Zgromadzenie takie przyciągnie wielu zacnych ludzi. Najlepsi spośród rycerzy nie pozwolą, by ominęła ich taka okazja. I będzie też wielu najemników, także pieszych-kuszników, zbrojnych i łuczników, którym ich lenni panowie zezwolą, by walczyli, gdzie chcą i jak chcą. Najlepszych przyciągnie to zgromadzenie, li tylko dlatego, że będąc najlepszymi nie przepuszczą okazji, by znaleźć się wśród innych równych im rangą i umiejętnościami.

–Jak wiem, zawsze znajdą się tacy, którzy wybiorą życie z wojny i grabieży – zauważył Dafydd. – Ale nie znałem nikogo, poza rycerzami, kto byłby skłonny zajmować się tym krwawym rzemiosłem dla czystej przyjemności.

–Nie tyle o przyjemność tu chodzi, co o dumę, zarówno rycerza, jak i mężczyzny –

rzekł Brian. – Czy najlepszy kusznik z Genui będzie wygodnie siedział w domu, podczas gdy ludzie nie tak wprawni jak on dokonywać będą wielkich czynów i okrywać się chwałą? Jak mówię, wielu tam się stawi. Bez wątpienia będzie tam wielu z najgorszych. Ale z pewnością trafią tam też najlepsi.

–Tak mówisz? – powiedział łucznik bawiąc się nożem do mięsa obok swego talerza.

–Sam to widziałem – odrzekł rycerz – przy wielu podobnych okazjach, choć prawdą jest, że tak wielkiej jak ta jeszcze nigdy nie widziałem. Ale jak sam z pewnością wiesz, na każdym większym jarmarku wybiera się najlepszych łuczników z okolicy, by stawali do zawodów.

–Sam wziąłem udział w paru niewielkich konkursach łuczniczych – pochwalił się Dafydd wciąż bawiąc się nożem. – Mówisz, że i kusznicy, i łucznicy wielkiej zacności i doświadczenia tam będą?

–Pozwalasz, żeby cię podpuszczał – Danielle gniewnie odezwała się do męża. – On cię po prostu kusi tym pomysłem z wielkimi łucznikami. Tak łatwo dajesz się namówić na każdą próbę sił między tobą a każdym, kto uważa, że jest bardziej męski od ciebie.

Dafydd odepchnął nóż, podniósł głowę i uśmiechnął się do Danielle.

–W istocie – powiedział – znasz mnie aż za dobrze, mój złocisty ptaszku. Rzeczywiście łatwo kuszą mnie takie rzeczy. – Wyciągnął zdrową rękę i bawił się przez chwilę miękkimi końcami jej rudawych loków. – Nie obawiaj się – rzekł. – Gdyż oprę się każdej pokusie. I naprawdę zawsze tak będzie, pamiętaj.

–Wybacz mi, Danielle – odezwał się Brian. – Przyznaję, że rzeczywiście próbowałem skusić twego męża. Lecz przyznaję też, że była to niecna próba, i błagam o twoje, a także jego przebaczenie.

–Doprawdy, to niepotrzebne, sir Brianie – zastrzegł się szybko Dafydd. – Nieprawdaż, Danielle?

–Oczywiście, że nie – odpowiedziała, ale ton jej głosu niezupełnie odpowiadał jej słowom.

To właściwie były jedne z ostatnich słów na temat wojny, jakie padły przy stole. Połączenie obfitego posiłku oraz faktu, że dzień chylił się ku końcowi, wkrótce potem położyło kres zgromadzeniu przy wysokim stole. Jim i Angie, tak jak inni w tych czasach i świecie, zaczęli uważać zachód słońca za sygnał, by zbierać się do snu, tak samo jak braM wschód słońca za budzik. Jednak gdy znaleźli się w swojej własnej słonecznej sypialni, Angie powiedziała coś, co wstrząsnęło ich bezładną, senną rozmową.

–Wiesz, ona jest w ciąży – odezwała się. Jim przerwał ściąganie koszuli przez głowę.

–Co? – zapytał.

–Powiedziałam – powtórzyła Angie wolno i wyraźnie – że Danielle jest w ciąży. Jim przyswoił to sobie kończąc proces ściągania koszuli.

–I tak nie sądziłem, aby Brian miał jakieś realne szansę zwerbowania go – stwierdził. – Ale to naturalne, że nie ma zamiaru opuścić żony z dzieckiem w drodze.



Angie miała przygotowaną następną bombę.

–On o tym nie wie.

Jim popatrzył na nią zdziwiony, przez chwilę nic nie pojmując. Wreszcie zrozumiał.

–Dafydd nie wie, że jego żona jest w ciąży? – zapytał.

–To właśnie powiedziałam – odrzekła Angie.

–Myślałbym, że pierwsza rzecz, jaką zrobi, to powie mu o tym – zdziwił się Jim. – Czyż zazwyczaj się tak nie robi?

–Zazwyczaj – rzekła Angie.

Jim skończył się rozbierać i wsunął się pod stos futer, ostrożnie przyglądając się Angie. Znał ją. W tej chwili była albo bardzo zła, albo przynajmniej bardzo czymś wzburzona. Czymś lub kimś. Szósty zmysł Jima stawiał jednak na złość.

Jak się nauczył, w takich przypadkach cała sztuka polegała na tym, żeby uniknąć powiedzenia czegoś, co mogłoby zabrzmieć jak chociażby nieświadome przyjęcie strony tego kogoś lub czegoś, co rozzłościło Angie. Następnie najlepsze, co można było zrobić, to jak najszybciej ustalić, kto właściwie był obiektem gniewu Angie i jakiej sytuacji gniew ten dotyczył. Najlepiej było to zrobić przez spokojne, rozważne wypytywanie, ale nawet to było jak spacer po polu minowym. Bardzo często jakieś pytanie mogło okazać się tym niewłaściwym.

–Czemu więc nie stało się tak w tym przypadku? – spytał Jim.

–Bo mu po prostu nie powiedziała – rzuciła Angie.

Zdawała się nie śpieszyć do łóżka; zdecydowała najwyraźniej, że jej włosy wymagają wyszczotkowania. Jednym z niewielu luksusów, jakie posiadał poprzedni baron de Malencontri, było zwierciadło. Ustawiono je teraz w ich sypialni, a przed nim krzesło. Angie usiadła i patrząc w lustro szczotkowała włosy szybkimi, gniewnymi pociągnięciami.

–Ale chodzi mi o to – kontynuował Jim – czemu mu o tym nie powiedziała?

–Wydaje mi się, że to oczywiste – odpowiedziała zwierciadłu Angie.

–Cóż, wiesz, jaki jestem mało spostrzegawczy – powiedział Jim z niepewnym uśmiechem. – Nie zauważyłem w niej żadnej zmiany i oczywiście nigdy by mi nie przyszło do głowy, że jest w ciąży. Ale mówisz, że tobie powiedziała.

–A komu niby miała powiedzieć? – odpowiedziała Angie. – Nie ma żadnych bliskich przyjaciółek, a poza tym ja jestem starą, doświadczoną zamężną kobietą.

–Starą? – powtórzył Jim szczerze zdumiony. Nigdy nie myślał o sobie samym inaczej niż jako o bardzo młodym człowieku, a Angie była trzy lata od niego młodsza. – Ty? Stara?

–W tym świecie i dla kogoś w wieku Danielle owszem. Jestem stara! – rzekła Angie – Zamężna kobieta w średnim wieku!

–Rozumiem. – Jim pokiwał głową, choć naprawdę nic nie rozumiał. Nic mu nie zostało, jak tylko zadać bezpośrednie pytanie.

–No to dlaczego mu nie powiedziała? – spytał.

–Bo myśli, że nie będzie jej już kochał! – odpaliła Angie.

–Dlaczego nie?

–Bo utyje przez dziecko i będzie brzydka, i on się odkocha. Ot, tak po prostu!

–Dafydd? – Jim był mocno zdezorientowany. – Mimo że niewiele z nim miałem do czynienia, mogę stwierdzić, że Dafydd nie jest takim niestałym człowiekiem. Skąd ona może wiedzieć, że on nagle przestanie ją kochać tylko dlatego, że ona nosi jego dziecko?

–Och, na litość boską! – powiedziała Angie, znów do lustra. – Dlatego, że ona wierzy, że to w jej urodzie i tylko w jej urodzie on się zakochał. Jeśli ją straci, straci i jego.

–Ależ to przecież nonsens! – obruszył się Jim.

–Dlaczego? – odparła Angie. – Przecież byłeś tam, kiedy to się zaczęło. Wszyscy weszli w drzwi karczmy, on spojrzał na nią raz i powiedział „Ożenię się z tobą”.

–Niezupełnie, to nie było tak szybko – zaprotestował Jim.

–Nie – przypomniała mu Angie sarkastycznym tonem. – Najpierw kazał karczmarzowi przynieść latarnię, żeby ją sobie lepiej obejrzeć.

–To nie było tak – powiedział Jim. – O ile dobrze pamiętam, dopiero następnego dnia zaczął przejawiać oznaki tego, że się w niej zakochał.

–Co za różnica? – stwierdziła Angie. – Ona wie, że jest piękna. Jest piękna i atrakcyjna dla mężczyzn, nieprawdaż?

Angie odwróciła się na krześle i spojrzała wprost na niego.

W pytaniu było ukryte żądętko.

–No cóż, pewnie tak – powiedział Jim.

–No więc – Angie odwróciła się z powrotem do lustra – widząc, że przyciąga mężczyzn i że ten zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia, cóż innego ma myśleć, jak nie to, że zakochał się w jej wyglądzie?

–Ale czemu miałyby jeszcze teraz tak myśleć? – spytał Jim. – Przecież są małżeństwem prawie od roku. Przez ten czas musiała go poznać dość dobrze, by wiedzieć lepiej, dlaczego się zakochał.

–No pewnie, że tak – zgodziła się Angie. – Ale nic przecież nie poradzi na to, co czuje, prawda?

Następne uszczypliwe pytanie. Zdaniem Jima w wielu wypadkach ludzie mogli poradzić sobie z tym, co czuli, jeśli zdawali sobie sprawę z tego, że ich odczucia były błędne. Ale może się mylił. W każdym razie coś mu mówiło, że nie byłoby teraz mądrze przedstawiać Angie ten argument.

–Widziałeś jej minę, kiedy przed chwilą na dole nazwał ją swoim złocistym ptaszkiem – dodała Angie. – Czy nie zauważyłeś, jak się poczuła? Miała to wypisane na twarzy!

Prawdę mówiąc Jim wcale nie zauważył, żeby Danielle coś wypisywało się na twarzy, dlatego że po prostu w ogóle nie zwracał na nią wtedy uwagi. Całą swoją uwagę koncentrował na Dafyddzie.

–Właściwie to nie zauważyłem – przyznał. – A w każdym razie czego ona się po tobie spodziewała w tej sprawie?

–Że jej udzielę rady – wyjaśniła Angie. – Ona wie, że Dafydd chce pójść na tę wojnę, po to tylko, żeby się przekonać, czy będzie tam ktoś, kto uważa się za

lepszego niż on w łuku. Więc jest rozdarta pomiędzy niechęcią, by pozwolić mu iść, a niechęcią, żeby kręcił się przy niej, widział, jak robi się gruba w czasie ciąży, i przestał się w niej kochać. Spodziewała się, że znajdzie jakieś rozwiązanie.

–Znalazłaś? – spytał Jim.

–A ty znalazłeś? – spytała.

–Nie – odparł Jim. Kusiło go, żeby dodać, że nie jest kobietą i nie czuje się w tych sprawach jak ryba w wodzie, ale rozmyślił się.

–Nikt nie może odpowiedzieć jej na to pytanie poza nią samą! – powiedziała Angie.

Odłożyła szczotkę i zdmuchnęła świecę, w świetle której czesała włosy. W pokoju zapadł półmrok ledwie co rozjaśniony ostatnim blaskiem zachodu za oknami. Jim bardziej poczuł, niż zobaczył, jak Angie wdrapuje się do łóżka. Położyła się jednak i przykryła dość daleko od niego, by przypadkiem go nie dotknąć.

Nic więcej nie powiedziała na ten temat, a Jim nie zadawał już żadnych pytań, choć bardzo chciałby wiedzieć, czy Angie także wierzyła, że Dafydd zakochał się w Danielle tylko dla jej urody. Bo on, Jim, nie wierzył w to ani przez chwilę.

## Rozdział 9

Następne trzy tygodnie minęły szybko. Dafydd,

Danielle i Giles z Wrzosowisk ze swoimi ludźmi odeszli. Brian i kilku spośród jego zbrojnych stali się stałymi mieszkańcami Malencontri, zajmując się pilnie wraz z Jimem przeszkoleniem sześćdziesięciu mężczyzn, których wybrano spośród ludzi z okolicznych ziem i czeladzi zamkowej, by zapewnić wymagany od Jima zaciąg pięćdziesięciu konnych.

Z tej sześćdziesiątki zaledwie dwudziestu dwóch najbardziej obiecujących mogło zostać ostatecznie zaliczonych w poczet zbrojnych. By tak się stało, musieli wykazać, że potrafią jeździć konno i trzymać broń, jeśli nawet w tej chwili niezbyt umiejętnie, to z pewną obietnicą nabrania wprawy w przyszłości. Pozostali z tych sześćdziesięciu mieli zostać komuchami i służącymi Jima, Briana, giermka rycerza – sympatycznego, jasnowłosego, o szczerzej twarzy szesnastolatka imieniem John Chester – oraz obecnych i przyszłych zbrojnych.

Pięćdziesiąt włóczy, których wystawienia wymagano od Jima, praktycznie oznaczało pięćdziesięciu zdolnych do walki ludzi, każdego konno z pełnym uzbrojeniem, składającym się z ciężkiego sztyletu, miecza i tarczy, a w przypadku zbrojnych jeszcze lekkiego oszczepu lub włóczni.

Na koniec do ogólnego stanu liczebnego oddziału dołączyło dwudziestu sześciu ludzi Briana. W tym wszyscy zbrojni z jego zamku (oprócz pięciu) oraz pięciu spośród służby domowej i reszta składająca się z doświadczonych zbrojnych, którzy przybyli z innych stron, by walczyć pod rozkazami rycerza.

Właściwie Jim tak jak Brian powinien mieć giermka. Ale nie było już szansy, że w tak krótkim terminie uda się pozyskać któregoś z synów szlacheckich rodów z sąsiedztwa, by wyuczyć go na giermka, nawet gdyby był na naukę czas. Brian poradził, by Jim wziął jednego ze swych zbrojnych, na którym mógłby polegać, i mianował go swym giermkiem. I tak było nieprawdopodobne, by spotkali kogoś, kto poznałby się na różnicy.

W Anglii -jak Jim przypomniał sobie ze swych studiów nad historią średniowiecza w swoim prawdziwym świecie – w przeciwieństwie do Francji i niektórych krajów na kontynencie, zezwalano na to, by prosty człowiek wzniósł się do stanu rycerskiego, a wprowadzeniem do tego była służba w roli giermka. Nie było więc niczym dziwnym, gdy jakiś zbrojny stawał się giermkiem, chociaż musiał dokonać czegoś wyjątkowo godnego uwagi, by móc zostać rycerzem.

Cóż, najwyżej – zauważył Brian – gdyby stało się powszechnie wiadome, że giermek Jima to były zbrojny, nic by się nie zmieniło, poza tym, że Jim byłby nieco mniej poważany, niż gdyby służył u niego potomek rodu o szlacheckiej krwi.

Pierwsze dwa tygodnie przebiegły dokładnie tak, jak się spodziewano. Ale ostatni tydzień ożywiło przybycie dwóch gości, a każdy z nich przyniósł dla Jima wieści szczególnej wagi.

Pierwszym z odwiedzających był Secoh, błotny smok. Należał on do tej nieszczęsnej gałęzi miejscowych smoków, która wiele ucierpiała ze strony Ciemnych Mocy osiadłych w Twierdzy Loathly. Loathly była to ta sama twierdza nad brzegiem

morza, do której smok renegat, Bryagh, porwał Angie, kiedy ona i Jim pojawili się w tym świecie.

Pod wpływem Mocy z Twierdzy plemię Secoha stało się małe, słabe i, jak na smoki, bojaźliwe, a Secoh nie należał do wyjątków. Jednakże zmienił się, gdy wiekowy Smrgol, smok, dziadek stryjeczny Gorbasha, zawstydził go i zmusił, by bronił się tak, jak smok czynić to powinien – błotny czy nie błotny. Ciało Gorbasha w owym czasie zamieszkiwał Jim.

Skończyło się tym, że gdy Smrgola poraził częściowy paraliż po ataku apopleksji, Secoh wspomagał go w walce i zabiciu potężnego Bryagha w ostatecznej bitwie pod Twierdzą Loathly. Wtedy to Jim, w smoczym ciele Gorbasha, pokonał i zabił olbrzyma, sir Brian zabił larwę, a strzały Dafydda strąciły wszystkie harpie, które nadlatywały z Twierdzy. Aragh odpędzał piaszczomroki, a Carolinus powstrzymywał emanacje Ciemnych Mocy.

I tak Secoh stał się jednym z Towarzyszy Jima i pomógł mu odebrać Angie Ciemnym Mocom.

Od tego czasu Secoh był innym smokiem. Nie wahał się rzucać wyzwania innym smokom, bez względu na ich rozmiary. One z kolei mu ustępowały. Było prawie pewne, że mogły go pokonać, ale wygrana nie byłaby warta odniesienia ciężkich ran, które na pewno zadałby błotny smok nie uznający słów „poddać się” czy „wycofać”.

Pewnego popołudnia Secoh wylądował na dziedzińcu Malencontri i bez zbędnych ceregieli poczłapał na tylnych łapach do Wielkiej Sieni, rozglądając się za Jimem. Chociaż jak na smoka był raczej niewielkich rozmiarów, musiał pochylić łeb, żeby przejść przez główne wrota, a ludzie w sieni, co całkiem naturalne, uciekli przez boczne.

Rozczarowany, że nie znajduje Jima i że wszyscy od-niego uciekli, Secoh podniósł nieco głos. Głos miał także dość słaby jak na smoka, lecz mógł on wedle ludzkich kryteriów zawstydzić róg mgłowy sporego statku.

–Sir Jamesie! – ryknął. – To znaczy, lordzie Jamesie. Gdzie jesteś? To ja, Secoh. Muszę z tobą pomówić!

Uspokojony, że mniej więcej dał znać o sobie, poczłapał do wysokiego stołu, gdzie, jak mówił mu nos, zostawiono dzban do połowy pełen wina. Podnosi go i wlał sobie wino w gardło mlaskając wargami. Wino dla błotnego smoka było czymś więcej niż zwykłym luksusem. Jim nie pojawiał się, więc Secoh z żalem obwąchał pusty dzban i odstawił go na stół. Zwinął się w kłębek za stołem, opierając jedynie brodę na blacie, żeby móc jednym okiem wyglądać gospodarza, i zapadł w przyjemną drzemkę, do której smoki są zawsze zdolne, kiedy nie ma nic szczególnego do roboty.

Minęło około pięciu minut, zanim Jim i sir Brian pośpiesznie przywołani z placu ćwiczeń za murami, gdzie byli szkoleni nowi rekruci, wpadli biegiem do sieni, wsparci przez tuzin zahartowanych w boju zbrojnych.

Secoh nagle wyprostował się za wysokim stołem.

–Panie! – zagrzemiał, ale potem przypomniał sobie, że Jim będąc w ludzkim ciele nie posiadał smoczej wytrzymałości pozwalającej na słuchanie głosu innego smoka.

Spróbował obniżyć głos, lecz osiągnął zaledwie tyle, że zamiast ryczeć, tubalnie zadudnił. – Sprowadza mnie do ciebie sprawa wielkiej wagi, milordzie.

–To Secoh – oznajmił Jim. Odwrócił się do zbrojnych. – Możecie wracać do ćwiczeń.

Popatrzył, jak odchodzą, a potem podszedł z Brianem do wysokiego stołu.

–To ty, Secohu, nieprawdaż? – powiedział Jim, gdy obaj zbliżyli się do rogu stołu i zatrzymali przed smokiem. Kątem oka Jim zauważył, że sir Brian spogląda na niego z jakimś podziwem. Ręka rycerza spoczywała pewnie na rękojeści miecza.

Jim trochę się zawstydził. Rycerz albo nie zdawał sobie sprawy, albo nie pamiętał, że Jim mógł w mgnieniu oka zamienić się w smoka dużo większego od Secoha. Właściwie, pomyślał Jim, że dwa tygodnie temu sam nie byłby taki pewien swojej zdolności do dokonania tak szybkiej przemiany. Ale przez ten czas, zgodnie z zaleceniami Carolinusa, ćwiczył się w różnych rodzajach drobnych czarów, a zwłaszcza, jako że był już z tym obeznany, zamieniał się kilkadziesiąt razy w smoka i z powrotem w człowieka. Oczywiście robił to, kiedy nikt go nie widział.

–We własnej osobie, milordzie – zaszeptał Secoh. – Jest coś, o czym musisz się natychmiast dowiedzieć, Jamesie.

–Panie Jamesie, smoku! – automatycznie poprawił Brian.

–Nie trzeba, Brianie – powiedział Jim. – Każdy, kto był z nami pod Twierdzą Loathly, może mówić ze mną jak z równym. Wiesz, co o tym sędzę.

–No dobrze, jak sobie życzysz – zgodził się rycerz. – Chociaż to cholerny brak manier, kiedy jakiś smok tak robi.

–Przepraszam, lordzie Jamesie – szepnął Secoh.

–Żadnego przepraszania, Secohu – powiedział Jim. – Chcesz porozmawiać? Brianie, weź sobie krzesło.

Jim złapał jedno z krzeseł obok stołu, odwrócił je w stronę Secoha i usiadł. Rycerz poszedł w jego ślady, a smok przysiadł na zadzie.

–Czy mogę cię czymś ugościć, Secohu? – zapytał Jim. – Pół krówki? Może małą beczkę wina?

–Jeśli nie sprawię kłopotu – oczy smoka prawie że zaświeciły się jak latarnie – to kropelkę wina.

Jim zakrzyknął na służbę. Przyszli, ociągając się trochę, a po chwili wahania zbliżyli się powoli i ostrożnie, przystając dobre dwanaście stóp od Secoha.

–Wiedźcie – Jim powiedział surowo do najbliższego służącego – że ten oto szlachetny smok to Secoh, który był jednym z mych Towarzyszy pod Twierdzą Loathly. Zaliczam go do moich najbardziej zaszczytnych gości. Podawać mu wszystko, czego sobie zażyczy. Na razie wystarczy nieduża beczka burgunda.

–Beczka, milordzie? – wyjąkał służący.

–Tak powiedziałem – rzekł Jim. – Odbijcie dno i przynieście ją.

Służący odszedł i po krótkiej chwili dostarczono wino. Secoh sączył je drobnymi łykami z otwartej beczułki – nie więcej niż kwartę naraz. Najwyraźniej obawiał się, że więcej nie dostanie i chciał, żeby starczyło mu go na długo. Po paru łykach odstawił beczułkę.

–Milordzie – zaczął.

–Jamesie – poprawił go Jim. Smok kiwnął łbem.

–Sir Jamesie – zaczął znowu – jedziesz do Francji, jak rozumiem, by walczyć tam na wojnie. Jest coś, co powinieneś wiedzieć i zająć się tym natychmiast.

Przerwał.

–Angelo! – zawołał Jim. – Popatrz, kto do nas przyszedł. Secoh!

Angie właśnie nadeszła, ubrana w swoją trzecią z kolei po najlepszej suknię, w kolorze błękitu. Widocznie wieść dotarła i do niej. Podeszła prosto do smoka, który zerwał się na równe łapy, chowając ostrożnie ogon za sobą, żeby niczego nie przewrócić, i zwrócił się do niej.

–Milady – spróbował wykonać ukłon, co przy jego smoczym ciele nie bardzo mu się udało. Wyglądało to raczej, jakby rzucił swą przerażającą głową w kierunku Angie zamierzając przegryźć ją na pół. Angie jednakże nie zmieszała się, gdyż już nieraz spotkała się z podobnym objawem dworności Secoha. W odpowiedzi wykonała dyg, wiedząc, że sprawi tym smokowi ogromną przyjemność.

–Witaj w naszych progach, Secohu – powiedziała skromnie.

–Secoh przybył powiadomić mnie o czymś ważnym – poinformował ją Jim, przynosząc i ustawiając dla niej krzesło tak, żeby usiadła wraz z nim i Brianem naprzeciwko smoka. Usiedli. Secoh także usiadł.

–Z początku nigdy nie podejrzewałem, że James mógłby nie wiedzieć o tym – rozpoczął Secoh ostrożnie przyciszonym głosem. – Potem mnie zastanowiło, że może rzeczywiście nic nie wie. Więc przybyłem tu natychmiast. – Zwrócił się wprost do Jima. – Jamesie – powiedział – słyszę, że zmierzasz na tę ludzką wojnę do Francji?

–Zgadza się, Secohu – odpowiedział Jim. – W istocie, jak pewnie zauważyłeś nadlatując, właśnie się do tego przygotowujemy, sir Brian i ja.

–Więc o to chodzi w tej całej bieganinie za murami – mruknął smok. – Powiniennem się tego domyślić. Ale właściwie chciałem cię spytać, Jamesie, czy podczas pobytu we Francji masz zamiar być smokiem przez jakikolwiek czas? My, smoki, rozumiemy, że mając do dyspozycji Magię, w każdej chwili możesz stać się jednym z nas.

–Nie planowałem tego – powoli odrzekł Jim. – Jednak, jak sądzę, taka konieczność może się nadarzyć. Czemu pytasz?

–No cóż, są co do tego wszystkiego pewne przepisy i zarządzenia – powiedział Secoh. – Wiem, że większość ludzi sądzi, że my, smoki, nie odznaczamy się porządkiem i dyscypliną, ale są pewne zasady, do których dość ściśle się stosujemy. Na początek, jeśli zamierzasz we Francji być smokiem, nawet na krótko, a przynajmniej dość długo, żeby miejscowe smoki odkryły, że tam jesteś jako smok, to wiążą się z tym pewne sprawy.

–Jakiego rodzaju sprawy? – zaatakował go sir Brian.

–No... problemy... sir Brianie – wykrztusił smok, spoglądając na Jima niemal pokornie. – Po pierwsze, Jamesie, nie możesz być po prostu samotnym smokiem, smokiem bez żadnej przynależności. Nie ma czegoś takiego, chyba że jesteś smokiem renegatem, jakim stał się Bryagh. Tak więc musisz należeć do jednej z

**naszych gromad.**

**–Nie zdawałem sobie z tego sprawy – odpowiedział Jim.**

**–Och, ależ tak – powiedział Secoh z przejęciem. – I nie ma co do tego wątpliwości. Skoro byłeś w ciele jednego z naszych miejscowych smoków i skoro mieszkasz tutaj, na terytorium smoków z Cliffsides, stajesz się członkiem tej gromady, kiedykolwiek zamieniasz się w smoka – czy tego chcesz, czy nie.**

**–Rozumiem – rzekł Jim.**

**–No właśnie – powiedział Secoh. – Naturalnie ja – my bardzo byśmy chcieli mieć cię wśród nas, smoków błotnych. Ale oprócz tego, że jesteś doprawdy – ee, za wielki – przepisy na to nie pozwalają. Od początku byłeś smokiem z Cliffsides. Smokiem z Cliffsides pozostaniesz niezależnie od tego, jakim staniesz się Magiem czy czarnoksiężnikiem, czy dokąd się udasz. Tak było wśród nas smoków od czterdziestu tysięcy lat. Możesz to sprawdzić w Wydziale Kontroli, jeśli chcesz.**

**–Nie trzeba – stwierdził Jim. – Chętnie uwierzę ci na słowo. Bądź co bądź nie wątpiłbym w twoje słowa, Secohu.**

**–No cóż, dziękuję – odrzekł smok. – Teraz twoja przynależność do smoków z Cliffsides będzie czymś wielkiej wagi, skoro udajesz się do Francji, gdyż daje ci tożsamość, ojczyznę. Nie jesteś tylko, jak mówiłem, jakimś samotnym smokiem – smokiem wyjętym spod prawa – ale szanowanym członkiem smoczej społeczności. Więc jedynym sposobem na to, byś mógł we Francji być bezpieczny jako smok, jest posiadanie zgody swojej gromady na pobyt. Krótka mowa potrzebny ci paszport.**

**–Co to, do wszystkich diabłów, jest paszport? – zażądał wyjaśnienia sir Brian.**

**–Pozwolenie na wyjazd, sir Brianie – odpowiedział smok. – Świadczy ono, że ten oto sir James, ten oto lord James, ma zezwolenie swojej gromady na podróż do Francji i że cała gromada ręczy za jego dobre zachowanie, jako smoka, podczas pobytu tam.**

**–Co nie byłoby dobrym zachowaniem? – spytał Jim.**

**–Och, na przykład – kontynuował Secoh – gdybyś dostał się w jakieś tarapaty, przez które smoki w danej okolicy także popadłyby w kłopoty, a potem byś odleciał i zostawił je, żeby same sobie z tym radziły.**

**–Rozumiem – powiedział Jim. – A jak zdobyć taki paszport?**

**–O to właśnie chodzi – rzekł smok. – Na twój paszport każdy smok z gromady musiałby złożyć się po najlepszym klejnocie ze swego skarbu.**

**W Wielkiej Sieni zapadła chwila ciszy. Jim dość długo był smokiem, by pojąć, co znaczy najgorszy klejnot ze skarbu dla smoka, który go posiadał. Miał więc pewne pojęcie, co by się działo, gdyby każdy ze smoków z Cliffsides miał mu pożyczyć najlepszy klejnot, jaki posiadał.**

**–Czy jest jakaś szansa, że reszta smoków zechce rozstać się ze swoimi najlepszymi klejnotami? – zapytał Jim. – I że pozwoli, bym je zabrał do Francji?**

**–Jak myślę, będzie im trochę ciężko – powiedział Secoh. – Zazwyczaj smok udający się dokądś ma jakieś oficjalne sprawy do załatwienia dla całej społeczności albo też cieszy się wielkim poważaniem i władzą. Ale pomogę ci pomówić z nimi i sądzę, że uda się nam namówić je do tego. Ale powinniśmy wyruszyć natychmiast.**



–To znaczy w tej chwili? – spytała ostro Angie.

–Obawiam się, że tak, milady – odpowiedział smok. – Naprawdę wierzę, że uda nam się je namówić w ciągu jednego zgromadzenia. Ale może będą chcieli omówić to między sobą; pomyśleć nad tym i opóźnić sprawę przez jakiś czas. Może nawet około miesiąca. Im wcześniej więc wyruszymy, tym lepiej, a ta chwila jest najlepsza, bo najwcześniejsza, jaką mamy.

Jim spojrział na Angie. Angie spojrzała na Jima.

–Myślę, że powinienem pójść – powiedział.

–Czy nie mógłbyś po prostu nie być smokiem, kiedy będziesz we Francji? – wtrącił Brian.

–A co, jeśli zamiana w smoka okaże się przydatnym sposobem, może jedynym, na uwolnienie księcia? – zapytał Jim.

–A niech to szlag! – powiedział zakłopotany rycerz. – Jeśli tak, to przypuszczam, że musisz iść.

Tak więc w niedługim czasie potem Jim znalazł się w towarzystwie Secoha, lecąc w stronę urwiska. Tego samego, z którego przez jedno z wysoko położonych smoczych wejść po raz pierwszy wyłonił się jako smok w tym średniowiecznym świecie. Od tak dawna już nie latał, że zapomniał o tej czystej przyjemności, jaką jest dla smoka szybowanie w powietrzu.

Latanie – to znaczy używanie skrzydeł dla nabrania wysokości, aż nie znajdzie się ciepłego prądu, który wzniesie go wyżej, aż będzie gotowy, by szybować w kierunku miejsca przeznaczenia ze sztywno rozpostartymi skrzydłami – to była praca.

Natomiast unoszenie się – ciche szybowanie ponad powierzchnią ziemi na nieruchomych skrzydłach – to była sama radość. Postanowił zapamiętać, żeby w przyszłości znaleźć nieco czasu dla siebie i trochę sobie polatać, tak po prostu dla przyjemności. Może, myślał, udałoby mu się nawet zostać tak dobrym czarodziejem, by zdołać też i Angie zamienić w smoka, i wtedy we dwoje mogliby razem poszybować.

–To tam przed nami, z prawej – ocknął się z zamyślenia na głos smoka.

Ściana urwiska i jedno z wysokich wejść do jaskini były na wprost przed nimi. Secoh, który wyprzedzał nieco Jima, gładko wylądował na występie przed otworem i zniknął w środku.

Jim wpadł w chwilową panikę, czy pamięta, jak lądować w tych warunkach, ale jego smocze ciało miało odruchy, które pokierowały tym za niego. Tylne łapy złapały krawędź otworu, a skrzydła zwinęły się niemal jednocześnie, kiedy wylądował i ruszył do środka.

Weszli do zupełnie pustej, niewielkiej jaskini. Miejsca podobnego do tego, przypomniał sobie Jim, w jakim ocknął się będąc w ciele Gorbasha. Takie miejsca lubiły smoki, by zwinąć się w kłębek i spać.

–Nikogo nie ma w pobliżu – zauważył Secoh, nastawiając ucha w kierunku wyjścia z jaskini. – Muszą być na dole, w głównej grocie. Pamiętasz drogę?

–Nie wiem – zawahał się Jim. – Nie sędzę.

–Nieważne, znajdę ją – powiedział smok. Poprowadził ich z jaskini, w której

wylądowali, tunelem w skale, który wił się w dół, do wnętrza urwiska.

Szli w dół i krążyli przez jakiś czas, dłużej niż, jak to Jim pamiętał, schodziło się do głównej komnaty smoków wtedy, gdy obudził się w ciele Gorbasha. Ale Secoh robił wrażenie, że jest pewny drogi, jaką podążali, i kierunków rozgałęziających się tuneli, które wybierał. Sugerowało to, że albo był już tam wcześniej, albo podążał za swoim nosem w sposób nie całkiem dla Jima zrozumiały. On także miał teraz smoczy zmysł węchu, ale dla niego wszystkie tunele pachniały smokiem. Musiał jednak przyznać, że w miarę jak szli, zapach stawał się intensywniejszy, a po chwili dotarło do jego uszu dudnienie głosów. Im bliżej byli miejsca, które najwyraźniej było ich celem, dudnienie miarowo rosło na sile, aż dla Jima stało się jasne, że miała tam miejsce bardzo głośna kłótnia. Słyszeć w niej było bardzo wiele głosów mówiących, jak to u smoków, wszystkie naraz.

Jim i Secoh dotarli wreszcie na miejsce i wyłonili się z tunelu wysoko na obrzeżu amfiteatru w kształcie misy, który stanowił podstawę jaskini, rzeczywiście ogromnej. Ściany miała z jakiejś odmiany ciemnego granitu, całe ozdobione wzorem misternej koronki strumyków czegoś, co wyglądało jak płynne srebro. Były one nie grubsze niż ołówki, lecz gęsto pokrywały ściany. Wszystkie te strumyki promieniowały światłem i rozjaśniały całą jaskinię aż po ciemne, tworzące naturalne łuki sklepienie. Było tam prawie tak jasno jak w dzień. W tej chwili w jaskini kłębił się tłum smoków, z których każdy wydawał się toczyć spór z innym, ale, jak Jim wiedział, one po prostu gawędziły.

Panował ogłuszający hałas – a raczej taki, który powinien być ogłuszający. Jak Jim odkrył, smoczy słuch był dużo lepszy od ludzkiego, ale także, co dość dziwne, mógł znieść większe natężenie dźwięków. Człowiek byłby teraz w tej wielkiej jaskini ogłuszony, ale Jim czuł, że dla jego smoczego ciała odgłos tego ryku był zaledwie nieco ekscytujący.

On i Secoh stanęli w miejscu i czekali. Stopniowo, jeden po drugim, smoki poniżej uświadomiły sobie ich obecność. Te, które ich zauważyły, trącały smoka obok i wskazywały na nowo przybyłych. W końcu niezwykła cisza zapadła w całej olbrzymiej komnacie. Wszystkie smoki gapiły się na Jima, zupełnie ignorując Secoha. Ich oczy utkwione w Jimie wyrażały zaskoczenie i to, że go nie poznają.

Jim myślał właśnie o przedstawieniu się, kiedy jeden z obecnych smoków przemówił pełnym głosem.

–Jim! – ryknął smok siedzący w połowie wysokości na przeciwległej ścianie amfiteatru, tak duży jak sam Jim.

## Rozdział 10

Był to smok imieniem Gorbash. Jim przypomniał sobie, że największymi smokami w tej gromadzie byli zawsze Gorbash, którego ciało kiedyś zamieszkiwał, Smrgol, jego stryjeczny dziadek, oraz Bryagh, smok, który stał się renegatem i porwał Angie.

Słyszając, jak Gorbash wywołuje jego imię, Jim niezwykle wyraźnie ujrzał dni, które z nim dzielił. Gorbash był jedynym w tym średniowiecznym świecie, który zawsze nazywał go zdrobnieniem używanym przez przyjaciół i znajomych kiedyś tam, w świecie, z którego on i Angie pochodzili. Czemu Gorbash wołał „Jima” od „Jamesa”, tego już Jim nigdy nie odkrył. Z pewnością były po temu dostateczne powody. On i Gorbash dzielili to samo ciało i umysł – ciało należące do Gorbasha – i trudno byłoby bardziej zbliżyć się do siebie. Tak więc było czymś naturalnym, że Gorbash zaczął w końcu myśleć o nim jak o Jimie i nie inaczej.

Teraz wszystkie smoki przeniosły swoje zdumione spojrzenia z Jima na Gorbasha.

–Co się dzieje z wami wszystkimi?! – ryknął smok. – To ten Mag-jerzy, z którym dzieliłem swoje ciało wtedy, kiedy pokonaliśmy Bryagha i Ciemne Moce pod Twierdzą! Był tam ze mną przez cały czas, gdy odniosłem – odnieśliśmy – zwycięstwo! Przecież wiele razy wam to opowiadałem!

Wszystkie smoki w amfiteatrze jak jeden wyciągnęły szyje, by jeszcze raz popatrzeć na Jima.

–Jak dobrze znów cię ujrzeć, Jimie! – zagrział Gorbash. – Witamy cię z powrotem wśród smoków z Cliffside! No, nie stójże tak, chodź tu na dół!

Jim poczuł, że Secoh pcha go łokciem naprzód i w dół. Zorientował się, że zaproszono go do zajęcia centralnego miejsca, to jest, żeby zszedł i stanął w samym środku amfiteatru, gdzie wszyscy mogliby łatwo mu się przyglądać.

Utorował sobie drogę na dół wśród smoków. Secoh skromnie podążał za nim - jeśli można w ogóle powiedzieć o smoku, że robi coś w sposób skromny – i obaj szli, aż znaleźli się w najniższym punkcie na środku pieczary. Jim zatrzymał się i rozejrzał dokoła. Podejrzewał, że oczekują od niego wygłoszenia paru słów.

–Ja także się cieszę, że znów cię widzę, Gorbashu! – ryknął w odpowiedzi. – Dobrze jest znowu znaleźć się między wami!

–Tak – zagrział Gorbash – i wielki to zaszczyt dla wszystkich smoków z Cliffside mieć w swoim gronie smoka, nie tylko o odwadze równej mojej, ale także takiego, który jest Magiem wśród Jerzych i jednym z ich szanowanych wodzów. Wszystkim nam daje to szczególną pozycję i znaczenie w oczach wszystkich Jerzych całego świata.

Sporo tu się zmieniło, pomyślał Jim. Tak jak Secoh to przewidział, po walce pod Twierdzą i po tym, jak Jim ostatecznie opuścił ciało Gorbasha, ten wielki smok zrobił dobry użytek ze swej porcji sławy, którą przyniósł mu udział jego ciała w owej walce. Do czasu tamtej walki, jak Jim wywnioskował ze słów stryjecznego dziadka Gorbasha, nie był on zbyt poważany przez inne smoki z Cliffside.

Właściwie to nie był on szanowany, a wręcz przeciwnie, był powszechnie uważany – zresztą słusznie – za cokolwiek powolnego w myśleniu, a poza tym, co u smoków

nienaturalne, spędzał mnóstwo czasu poza jaskiniami – jak to określały smoki „nad ziemią” – zadając się z nie-smokami. Z takimi osobnikami jak wilk Aragh.

Po przygodach z Ciemnymi Mocami Jim spodziewał się pewnego polepszenia pozycji Gorbasha wśród jego smoczej braci, zwłaszcza że jego stryjeczny dziadek, Smrgol, uważany wcześniej za przywódcę, padł pod Twierdzą. Czegoś podobnego jednak nigdy się nie spodziewał. Gorbash nie tylko otoczony był szacunkiem, ale najwidoczniej miał również posłuch wśród innych smoków.

Jim zaczynał dochodzić do wniosku, że smoki odznaczały się skłonnością do wierzenia w to, w co chciały uwierzyć, nieważne, czy było to całkiem zgodne z prawdą, czy nie. Gorbash musiał widać przekonać większość z tu obecnych, że był jednym z największych, jeśli nie największym bohaterem biorącym udział w bitwie pod Twierdzą.

Większość, ale na pewno nie wszystkie.

–Zgodzą się! – odezwał się Secoh. – Ale nie tylko dlatego, że ty tak mówisz, Gorbashu! Było tam może twoje ciało, ale to James sprawił, że walczyło i zwyciężyło! Ja to wiem, pamiętasz? Byłem tam. I ja naprawdę walczyłem.

Gwałtownie zakręcił się w kółko, obrzucając wszystkie smoki palącym spojrzeniem.

–Wszyscy mnie znacie – powiedział. – Jestem Secoh! Jestem smokiem błotnym! I jestem z tego dumny. Czy ktoś ma coś do powiedzenia na ten temat? Jeśli tak, to wiecie, co macie robić!

Rozległo się szemranie i smoki z Cliffsides poruszyły się niespokojnie, ale żaden nie wystąpił, by podjąć wyzwanie Secoha, i żaden się nie odezwał. Nawet Gorbash, jak zauważył Jim.

–A teraz – kontynuował po chwili Secoh – powiem wam, dlaczego James znalazł się tutaj. Wybiera się do Francji. Znaczący to, że potrzebuje paszportu z Cliffsides. Od was wszystkich!

Oświadczenie to w zupełności wystarczyło, żeby wytrącić smoki z Cliffsides z ich milczenia. Wokół Jima i Secoha wybuchła wrzawa okrzyków. Słychać było wrzaski: „Zaraz!”, „Chwila, momencik!”, „Co on sobie myśli?”, „A dlaczego on musi jechać do Francji?” Te i kilkadziesiąt innych pytań i komentarzy odbijały się od grubo ciosanych, skalnych ścian Wielkiej Jaskini.

Przez dobre cztery czy pięć minut panowało tam istne piekło. Potem Gorbash zdołał wznieść swój głos ponad inne i samą siłą swych płuc stłumił panujący zgiełk. Jeden po drugim smoki umilkły i Gorbash pozostał jako jedyny mówca.

–Pomału! Zaczekajcie! – ryknął w świeżo zapadłej ciszy. – Jesteśmy smokami z Cliffsides czy jakąś tam bandą błotnych... to znaczący niesforną zgrają innych smoków?

–To już lepiej – mruknął Secoh teatralnym szeptem. Gorbash udał, że nie słyszy tej uwagi.

–Ten oto Secoh ma pełne prawo mówić! – obwieścił Gorbash. – Ostatecznie, tak jak mówi, rzeczywiście był pod Twierdzą Loathly. Sam widziałem, jak pomagał memu stryjcznemu dziadkowi, nieodżałowanemu wielkiemu Smrgolowi, pokonać zdrajcę Bryagha. Nie zapominajcie, że my wszyscy, każdy smok tu obecny i każdy jerzy w tej

okolicy, my wszyscy zyskaliśmy na tej walce. Gdybyśmy nie wygrali, Ciemne Moce dosięgłyby i dotknęły wielu rzeczy i istot, możliwe, że nawet nas tu, na urwisku. Moglibyśmy skończyć jak bł... jak bracia Secoha.

Wśród smoków zapanowało niespokojne poruszenie, ale żaden się nie odezwał.

–Tak więc oznacza to, że Jim i – oczywiście – Secoh zasługują na wysłuchanie.

Co zdecydujemy, to już zupełnie inna sprawa. Ale najpierw wszyscy powinniśmy ich wysłuchać. Może Ciemne Moce próbują dopaść nas od strony Francji. Czy któryś z was o tym pomyślał?

Smoki z Cliffsida już nie tylko wierciły się, ale również pomrukiwały niespokojnie.

–Zgadza się! – powiedział Secoh. – A wszyscy wiemy, że sami nie mamy żadnej możliwości obrony przeciw Ciemnym Mocom. Tylko Jerzy i ich czarodzieje mieli kiedykolwiek trochę szczęścia, spotykając się z nimi twarzą w twarz. Ale oto mamy sporo szczęścia, bo jednym z nas jest nie tylko smok, ale także jerzy i nie tylko jerzy, ale i Mag.

Odkaszlnął, z odrobiną zakłopotania.

–To znaczy początkujący Mag – wtrącił dość pośpiesznie – w każdym razie ktoś, kto wie, jak posługiwać się Magią. – Zwrócił się do Jima: – Pokaż im, Jamesie. Zmień się w Jerzego i z powrotem w smoka.

Jim podziękował swojej szczęśliwej gwiazdzie za to, że

Secoh wybrał to, co Jim najlepiej opanował. Wcześniej nie było o tym mowy. A co by było, gdyby Secoh poprosił go tak nagle o wyprodukowanie tony złota czy o coś równie niemożliwego?

–Bardzo proszę – rzekł Jim swoim najbardziej powolnym i poważnym smoczym głosem. Odczekał chwilę dla większego wrażenia, a potem zamienił się w swoją zwykłą postać.

Ledwie udało mu się powstrzymać drżenie. Jednym z bezpośrednich następstw zmiany było bowiem to, że w mgnieniu oka wszystkie smoki dookoła zdały się urosnąć do rozmiarów czterokrotnie większych niż przedtem. Jim uświadomił sobie nagle, że jest zupełnie samotnym i jak najbardziej jadalnym człowiekiem, otoczonym przez jakieś sto pięćdziesiąt smoków, z których każdy jednym kłapięciem mógłby przegryźć go na pół.

Próbował wymyślić coś poważnego, co mógłby powiedzieć, będąc w ludzkiej postaci, by wyrzucić na smokach wrażenie. Ale teraz pojął, jak nikły byłby jego dość wysoki głos w tym szczególnym miejscu i czasie. Odczekał więc jeszcze tylko kilka, miał nadzieję zapierających dech w piersiach, chwil i powrócił do swego, dającego poczucie pewności, potężnego smoczego kształtu, który był co najmniej równy największemu spośród tu obecnych smoków.

Rozległ się szmer komentarzy wypowiedzianych podekscytowanymi głosami, niższymi od *basso profundo*. Nie ma wątpliwości, pomyślał Jim, wywarłem na nich wrażenie. Szmer w końcu ucichł.

–Magu – spytał z szacunkiem jakiś smoczy głos, dochodzący gdzieś z połowy pochyłości, po lewej stronie Jima -jak odkryłeś, że Ciemne Moce próbują zaatakować nas z Francji?

–Tak – wtrącił inny głos, zanim Jim zdążył odpowiedzieć. – Czy jest jakiś powód, dla którego kierują się prosto na nas, na smoki z Cliffside?

–Nie bądź durniem – rzucił jakiś głos daleko po prawej. – Jak sądzisz, czego chcą? Naszych skarbów!

–Ciemne Moce wcale nie potrzebują skarbów! – wtrącił inny i sporadyczne szmery przeszły znowu w kłótnię na całe gardło. Tym razem spierano się o to, czy Ciemne Moce potrzebują złota i klejnotów, czy też nie.

–Zapytajmy Maga – wtrącił ten pierwszy, pełen szacunku głos, który wreszcie zdołał teraz przebić się ponownie przez inne.

Zapadła cisza.

–No? – ponaglił jakiś smoczy głos po chwili. – Chcą naszych skarbów, czy nie, Magu?

Jim niemal jednocześnie uświadomił sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, prawdopodobnie bardzo ułatwiłoby to całą sprawę, gdyby powiedział „tak”. Po drugie, wprawdzie nie wiedział, ale poważnie przypuszczał, a nawet był prawie pewien – że odpowiedź brzmiała „nie”.

–Nie sądzę, żeby chciały – powiedział.

Kolejny szmer, tym razem triumfalny, rozległ się ze strony tych, którzy nie wierzyli, by Ciemne Moce były zainteresowane smoczymi skarbami. Zduślił go mocny głos Gorbasha.

–Jamesie! – zaryczał. – Może lepiej powiedz nam dokładnie, po co chcesz jechać do Francji!

–Właściwie... – Jim miał w tym momencie ochotę odchrząknąć, ale najwidoczniej smoki tego nigdy nie potrzebowały. Dokończył więc niezbyt przekonująco – żeby uwolnić pewnego księcia. Angielskiego księcia – księcia Jerzych.

–To nie ma nic wspólnego z nami! – ryknął natychmiast któryś ze smoków, ale Gorbash w porę zduślił kolejny wybuch wrzawy, by rzucić następne pytanie.

–Jamesie – zapytał – czy rzeczywiście chcesz nam powiedzieć, że pragniesz, abyśmy dali ci po najlepszym z klejnotów, jakie każdy z nas posiada, po to tylko, żebyś mógł jechać uwolnić jakiegoś księcia Jerzych?

–Zgadza się! – wykrzyknął Secoh. – Dlaczego wy się nie nauczycie? Nigdy niczego się nie nauczycie? Co dotyczy Jerzych, dotyczy także nas, smoków! Smrgol wiedział o tym. Tuż przed ostatnią walką rozmawiał z jednym z Jerzych, który mieszka tu, niedaleko, z Jerzym zwanym sir Brianem, który w swoim czasie upolował wielu z nas, błotnych smoków. Smrgol uważał, że smoki i ludzie powinni współpracować.

–Ale żeby zaraz oddawać Jimowi mój najpiękniejszy klejnot – mamrotał Gorbash, skonsternowany.

–Przecież nie oddałbyś mu go! – powiedział Secoh. – Wy wszyscy pożyczylibyście mu tylko te klejnoty. Jedynie po to, żeby mógł zdeponować je u francuskich smoków, jako dowód, że nie robi niczego, co przyniosłoby im szkodę.

Szerokim gestem wydobył spomiędzy łusek perłę wielkości jajka rudzika i wręczył ją zdumionemu Jimowi.

**–Proszę, Jamesie! – oznajmił uroczyście. – Żeby dać innym przykład. Oto mój najlepszy klejnot!**

**Jim patrzył z niedowierzaniem na perłę. Dotychczas miał wrażenie, że Secoh jest tak biedny, iż nie wiadomo, skąd weźmie następny posiłek.**

**W tłumie rozległ się pomruk westchnień i utyskiwań. Gest Secoha przejął wszystkich, lecz, jak zauważył Jim, raczej przerażeniem niż podziwem.**

**–Szalony błotny smok! – usłyszał jedną z sarkastycznych uwag.**

**Słowa te stały się sygnałem do następnej wszechogarniającej i bardzo głośnej dyskusji między smokami w Wielkiej Jaskini. Słuchając ich, Jim poczuł, jak serce w nim zamiera. Najwyraźniej prawie wszystkie, o ile nie wszystkie, były przeciwne oddaniu swoich najlepszych klejnotów, nawet na jakiś czas. Do pewnego stopnia, zwłaszcza teraz, będąc w smoczej skórze, Jim sam był w stanie zrozumieć i czuć, jak ten pomysł mógł na nie podziałać. Smoczy skarb, rosnąc po drodze, przekazywany był z pokolenia na pokolenie. Najcenniejsze z klejnotów, znajdujące się dzisiaj w posiadaniu smoków, mogły być zdobyte nawet przed setkami lat. Poza swą wartością materialną stanowiły smocze dziedzictwo.**

**Wystawianie tego dziedzictwa na jakiekolwiek ryzyko było zarówno dla wszystkich smoków razem, jak i dla każdego z osobna, niemal nie do pomyślenia. Całkiem szczerze mogłyby uwierzyć, że Jim jest godny ich zaufania, a ponadto, że jest zdolny strzec ich klejnotów tak dobrze jak one same. Jednakże świat, który dzieliły z Jerzymi, z Ciemnymi Mocami i z innymi żywiołami – ten średniowieczny świat czternastego stulecia – był światem, w którym niespodziewane mogło się zdarzyć aż nazbyt łatwo.**

**I właśnie to niespodziewane przerażało je teraz. Przy całej wiarygodności Jima, przy wszystkich jego zdolnościach, musiały brać jeszcze pod uwagę fakt, że gdzieś jakoś mogło się coś nie powieść i wówczas żaden z nich nie ujrzałby już swego cennego klejnotu. W pewnym sensie, o czym Jim wiedział, wymagał od nich zbyt wiele.**

**Z drugiej jednak strony w tym niepewnym świecie trzeba było czasem podjąć rozpaczliwe ryzyko, i one wiedziały o tym tak samo jak on. Gdyby tylko udało mu się w jakiś sposób wytłumaczyć im, że posiadanie przez niego paszportu podczas pobytu we Francji wiązało się z takim właśnie potrzebnym, choć nieuniknionym ryzykiem...**

**W tym właśnie momencie jego rozmyślenia zostały przerwane, ponieważ zauważył, że tocząca się dookoła niego sprzeczka przybrała raczej niemiły obrót. Niektóre smoki o zdecydowanie antypaszportowych przekonaniach rozwijały swoje argumenty nie tyle przeciwko celowości podróży, na którą Jim potrzebował paszportu, co przeciwko samemu Jimowi. Przeciw oporowi stawionemu kiedyś przez niego Ciemnym Mocom i wplątaniu w to smoków. A także, żeby to ująć jak najdelikatniej, miały coś przeciwko osobistym przymiotom Jima.**

**Gorbash nie podtrzymywał ani nie zwalczał tych argumentów, raczej ostrożnie trzymał się z dala od tych dyskusji. Nie słyszało się jego głosu.**

**–Tak czy owak to nigdy nie miało z nami nic wspólnego! – wydzierał się pewien**

smok po lewej stronie Jima, w połowie wysokości amfiteatru.

Osobnik ten był raczej gruby niż wielki, ale jego głos miał tę samą siłę i brzmiał równie donośnie co głos Gorbasha.

–No więc dobrze, Bryagh był smokiem z Cliffside, zanim został renegatem i wykradł Jerzego płci żeńskiej! – ciągnął ten smok do rosnącego tłumu słuchaczy. – Zgoda, Gorbashowi zdarzyło się po prostu, że wtargnął w niego ten oto Mag. Nic nie mógł na to poradzić. To Magia i nikt, nawet smok, nie może jej powstrzymać. Ale czy ktoś nas pytał, czy chcemy zostać w to przy okazji wmieszani? Czy zapytano Gromadę z Cliffside, czy życzy sobie atakować ciemne kreatury spod Twierdzy Loathly? O, nie! Zostaliśmy w to po prostu wciągnięci niezależnie od naszej woli. Jakbyśmy w ogóle nie mieli żadnych praw!

W istocie cała ta sprawa od samego początku była sprawą Jerzych! – ciągnął dalej krzykacz. – Ten Mag wtargnął w ciało Gorbasha, nie pytając go o pozwolenie. Po pierwsze nikt z nas nie prosił o odwiedzin tego chudego, kościstego, do niczego niezdatnego Jerzego płci żeńskiej, od którego wszystko się zaczęło. Gdyby nie ten bezużyteczny, cuchnący żeński jerzy...

–Dosyć! Starczy tego dobrego! – zaryczał Jim z całej siły swoich płuc.

Był smokiem wielkości Gorbasha, a w tej chwili odkrył także, że jego głos mógł być tak samo silny jak głos Gorbasha, jeśli nie silniejszy. Prawdę powiedziawszy, znajdując się w smoczej skórze, padł ofiarą tej samej smoczej furii, przed którą ostrzegął go Smrgol, kiedy Jim był jeszcze w ciele Gorbasha. Mówiąc po ludzku, wściekłość go zamroczyła i nie zastanawiał się nad konsekwencjami. Jego nagły wybuch uciszył wszystkich, włącznie ze smokiem-krzykaczem.

–Mówisz o mojej samicy! – zagrzemiał Jim.

Poczuł wyraźnie ciepło w okolicy żołądka, jakby rozpalono ogień pod kotłem tam, w środku. Nigdy sam nie próbował ziać ogniem ani też nigdy nie widział, żeby czyniły to inne smoki w tym świecie. Może było to tylko takie powiedzenie, jednakże pasowało do wyrażenia jego obecnego nastroju i podobało mu się. Gdyby w tej chwili mógł zionąć ogniem, zrobiłby to.

–Nikt – smok czy ktokolwiek inny – ryczał – nie będzie w ten sposób mówił o Angie! Spróbujcie, a zobaczycie, co się z wami stanie! I coś jeszcze. Byłem cierpliwy i słuchałem was wszystkich, jak kłócicie się, znajdujecie wykręty i robicie wszystko, żeby nie dać mi paszportu, którego potrzebuję, paszportu, który na dłuższą metę będzie służył tak waszemu dobru, jak i dobru wszystkich innych. To jest Anglia i to, co się zdarzy jednemu, dotyczy wszystkich tutaj, Jerzych i smoków, tak samo jak i całej reszty!

–Mam tego dość! – ryczał na wszystkie smoki. – Czekałem, abyście posłuchali głosu rozsądku, ale nie uczyniliście tego. Skończyłem już z czekaniem! Secoh wam powiedział, a ja wam pokazałem, że jestem czarodziejem, praktykującym Magiem. Nie chciałem się do tego posuwać, ale nie zostawiacie mi wyboru!

Miał nagły przyływ natchnienia, przypomniawszy sobie to, co Carolinus powiedział kiedyś do żuka podwórzowego, gdy niecały rok temu próbował uzyskać dla Jima informację na temat miejsca, do którego Bryagh zabrał Angie. Żuk udzielił



niepełnej odpowiedzi, a potem zniknął im z oczu, kryjąc się pod ziemią. Słowa Carolinusa, nieco tylko zmienione, były bardzo adekwatne w tej chwili.

–Więc nie chcecie być smokami prawymi i walecznymi? – zaryczał. – Dobrze, istnieją jeszcze inne stworzenia oprócz smoków. Na przykład żuki podwórzowe!

Z kłapnięciem zamknął szczęki pośród okropnej ciszy.

Smoki wokół niego były tak ciche i nieruchome jak posągi wyrzeźbione ze skał Wielkiej Jaskini. Gapiły się na niego, zastygłe w bezruchu.

W czasie przeciągającej się chwili milczenia Jima powoli zaczęła opuszczać dzika wściekłość. Zaczął zdawać sobie sprawę ze skutków tego, co powiedział. Rzucił groźbę, nie wiedząc, co mówi. Nie miał zupełnie pojęcia o tym, jak zamienić smoka w żuka. Właściwe zaklęcia były niewątpliwie zamknięte w zminiaturyzowanym tomie „Encyclopedie Necromantick” gdzieś tam u niego w środku. Nigdy jednak po nie nie sięgał i nie znał ich teraz. Gdyby smoki sprowokowały go, by udowodnił swe słowa, mógłby jedynie pokazać, że jest zupełnie niezdolny do spełnienia swej groźby.

Przez chwilę ogarnęła go złość na samego siebie. Jak mógł być taki głupi i w taki sposób zupełnie się odsłonić? W rezultacie cała ta wyprawa tutaj na nic się zdała.

Potem, spoglądając na trwające wciąż w bezruchu smoki i patrząc w utkwione w nim jak zahipnotyzowane niemal sto par oczu, zmienił nagle swój punkt widzenia na tę sytuację. Może jednak nie wszystko było stracone.

To, że wiedział, iż niemożliwe jest dla niego spełnienie groźby i zamienienie ich wszystkich w żuki, nie oznaczało jeszcze, że one o tym wiedziały. Nie miały żadnego dowodu, który świadczyłby o tym, że nie mógł tego zrobić, ale miały całą masę dowodów na to, że mógł być zdolny to uczynić. Stwierdzono, że jest czarodziejem, początkującym Magiem. Na ich oczach zmienił się ze smoka w człowieka i z powrotem. Jeśli potrafił zrobić tyle, to czego miałby nie umieć?

Rzeczywiście, biorąc pod uwagę znane im fakty, mogły istnieć przesłanki, że jego umiejętność zamienienia ich wszystkich w żuki była dziecinną igraszką w porównaniu z zamianą siebie samego w człowieka i z powrotem w smoka.

Im dłużej im się przyglądał, tym bardziej się upewniał, że tak właśnie było. Przekonanie przemieniło się w jeszcze głębsze niż kiedykolwiek przedtem zrozumienie smoczej natury. Nagle pojął, o ile głębszy charakter miała jego groźba, głębszy, niż mógł przypuszczać.

Teraz, będąc w smoczej skórze, mógł ocenić smocze uczucia. Smoki były odrębną rasą, nie były ani ptakami, ani latającymi ssakami, takimi jak nietoperze, ani żadnymi innymi zwierzętami. Były potężnymi istotami, odmiennymi od innych i dumnymi.

Chodziło nie tylko o ich rozmiary. Były większe od prawie wszystkich innych stworzeń, ale żadną miarą nie były największe. Węże morskie były, na przykład, większe.

Głęboko w głowie usłyszał wyraźnie, tak jakby się to wydarzyło wczoraj, Smrgola przemawiającego doń na ułamek sekundy przed walką z larwą, z harpiami i z olbrzymem – prawie rok temu.

„Pamiętaj – powiedział wtedy Smrgol cicho i prawie łagodnie – że jesteś

potomkiem Ortosha, i Aqtvala, i Gleingula, który pokonał węża morskiego na mieliźnie Gray Sands. Bądź zatem mężny...”

Pod tym skąpstwem, lenistwem, egocentryzmem oraz całą masą innych niezbyt pociągających cech, smoki kryły dumę. Węże morskie były większe od smoków, ale Gleingul pokonał jednego z nich. Olbrzymy były większe i groźniejsze, ale w młodości Smrgol zabił jednego, a Jim następnego pod Twierdzą Loathly. Bycie smokiem znaczyło bardzo wiele dla każdego ze smoków.

Stać się żukiem oznaczało stracić to wszystko, co dla tych skrzydlatych bestii siedzących wokół niego znaczyło bycie smokiem, o wiele dla nich cenniejsze, jak się okazało, nawet od ich skarbów. Przez chwilę czuł wyrzuty sumienia na myśl, czym im zagroził. Potem jednak zdał sobie sprawę, że to konieczne. Naprawdę potrzebował tego paszportu. Może będzie musiał być smokiem, a to był jedyny sposób, by zdobyć paszport.

–No, więc? – spytał. Dźwięk jego głosu rozwiął urok, pod jakim wszystkie pozostawały.

Smoki odwróciły się bez słowa i powoli zaczęły wlec się w górę amfiteatru, w kierunku licznych wyjść pod stropem Wielkiej Jaskini. Bez jednego słowa. W istocie dwu-sylabowe pytanie Jima było chyba jedynym dźwiękiem, jaki wypowiedziano, nim wszystkie smoki nie znalazły się z powrotem w jaskini, a najlepsze klejnoty każdego z nich nie zostały zebrane i umieszczone w worku przed Jimem. Klejnoty nie były małe i ku zdziwieniu Jima worek wyglądał na nieco większy niż wór wypchany stoma funtami ziemniaków. Gdy ostatni smok z Cliffside dorzucił ostatni klejnot, Secoh zabrał z łapy Jima swą wielką perłę i położył ją delikatnie na czubku stosu, po czym związał worek i góry.

–Cóż – powiedział Jim, czując, że należy coś powiedzieć – dziękuję wam, smoki z Cliffside, wszystkim razem i każdemu z osobna. Będę bardzo dbał o te klejnoty i zwrócę je wam wszystkie bez uszczerbku.

Jedyną odpowiedzią ze strony zgromadzenia było powszechne, ciężkie westchnienie. Smoki, nie wyłączając Gorbasha, przyglądały mu się ponuro, gdy z Secohem u boku wspinał się po stopniach amfiteatru i wyszedł przejściem, którym tu przybył. W kilka chwil później unosił się już na skrzydłach, przyciskając szponiastą łapą do pokrytej łuską piersi worek klejnotów, i kierował się z powrotem do Malencontri.

Głos Secoha wyrwał go z zamyślenia.

–Jimie!

Odwrócił głowę i spojrzał na smoka szybującego obok niego.

–No to ja zmykam – powiedział Secoh. – Dostałeś swój paszport. Wiedziałem, że tak będzie. Byłeś świetny, kiedy im groziłeś, że pozamieniasz ich w żuki. Swoją drogą należałoby im się! W każdym razie, Jamesie – powodzenia we Francji!

Po tych słowach Secoh wszedł w obrót na skrzydle i odleciał, zostawiając Jima, by sam kontynuował podróż w stronę swego zamku.

Jim czuł, że słowa błotnego smoka nie całkiem ukoili jego cokolwiek nieczyste sumienie. Coś w jego wnętrzu uparcie mówiło mu, że uzyskał te paszportowe

klejnoty nie tylko podstępem, ale wręcz terroryzując smoki z Cliffside.

Stłumił w sobie ten głos i postanowił, że kiedyś im się za to odwdzięczy. A potem przypomniał sobie, jak Smrgol próbował namówić je, żeby przybyły i wsparły jego, Secoha, Carolinusa, Briana i innych pod Twierdzą Loathly, a one nie przyszły. W pewnym sensie pożyczanie teraz w ten sposób ich klejnotów mogłoby być uznane za zadośćuczynienie za tę odmowę pomocy.

Ale chociaż była to prawda, faktem było, że nie poczuł się od tego ani trochę lepiej.

Rozmyślenia trwały zaledwie parę minut, zanim nie obniżył lotu, by wylądować na szczycie wieży wznoszącej się nad Wielką Sienią, tuż powyżej jego i Angie słonecznej sypialni.

Samotny strażnik stojący na wieży, widząc zbliżającego się Jima, ustawił włącznik w pozycji bojowej, a później zasalutował mu nią. Jak wszyscy inni w zamku wiedział, że Jim nosi czasami smoczą skórę i był zdecydowany nie okazywać trwogi na widok tego wielkiego potwora o potężnych zębach, który wylądował parę stóp od niego.

–Dobrze – powiedział Jim – teraz możesz mnie tu zostawić samego.

Strażnik natychmiast zniknął na schodach, zbiegając przez poziom słoneczny w dół do Wielkiej Sieni.

Powód, dla którego Jim wydał mu rozkaz odejścia, prawdopodobnie nie brzmiałby zbyt sensownie dla ludzi z zamku; ale z drugiej strony nie musiał tak brzmieć.

W gruncie rzeczy, pomyślał Jim przenosząc się z powrotem z ciała smoczego w swoje własne i ostrożnie podnosząc worek z klejnotami, chodziło po prostu o to, że nie przyzwyczał się do paradowania nago nawet przed ludźmi ze swego własnego zamku.

Średniowieczne nastawienie wobec takich spraw było całkiem odmienne. Ubrania, jak zdawali się sądzić ci ludzie, służyły ciepłu i wygodzie; i myśleli bardzo dobrze. Ale skromność była pojęciem, które musiało się dopiero wśród nich zakorzenić. Nie miałyoby to dla nich znaczenia, gdyby Jim przyjął zwyczaj nienoszenia ubrań przez większość czasu. Byłoby to zaledwie jednym z dziwactw ich pana. Ale Jim osobiście odczuwałby to inaczej.

Zaniósł klejnoty na dół, do słonecznej komnaty, postawił w kącie i przykrył kilkoma futrami – choć był całkiem pewien, że tak czy inaczej będą zupełnie bezpieczne w tym pokoju. Po pierwsze, nikt z ludzi z jego zamku nie odważyłby się dotknąć żadnej z jego rzeczy, czując przed nim jako czarodziejem nie mniejszy strach, niż przedtem czuły smoki. Po drugie, widok wora tych rozmiarów, pełnego klejnotów niewiarygodnej wielkości, wystarczyłby, żeby każdy ewentualny złodziej zastanowił się raz jeszcze.

Jim naciągnął nogawice, koszulę, kaftan i buty, po czym ruszył w dół po kamiennych, kręconych schodach biegnących wzdłuż ścian wieży, do Wielkiej Sieni.

Gdy wszedł tam, zdziwił się widząc Angie siedzącą przy wysokim stole z drugim z ich niespodziewanych gości.

Carolinus.

–Magu! – wykrzyknął, śpiesząc do tego końca wysokiego stołu, gdzie siedzieli

naprzeciw siebie czarodziej i Angie. Dostawił krzesło dla siebie. – Właśnie ciebie pragnąłem ujrzeć!

–Oni wszyscy mi to mówią – zamruczał Carolinus. – Właściwie wstąpiłem, bo miałem ci coś do powiedzenia, chociaż nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć co.

–Carolinus dopiero co przybył, Jimie – powiedziała Angie. Z wdziękiem zwróciła się z powrotem do czarodzieja.

Mag jak zwykle odziany był w długą, czerwoną, dość wyświechtaną szatę i czarną myckę, kontrastującą z jego rzadką siwą brodą, ułożoną w szpic. Znad brody jego niebieskie oczy rzucały groźne spojrzenia na nich oboje.

–A może napijesz się mleka? – zapytała go Angie.

–Nie, zdaje się, że demony wrzodu udało się całkowicie wyegzorcyzmować dzięki temu twojemu mlecznemu zaklęciu, Jamesie – rzekł Carolinus. Do kubka przed sobą nalał wina ze stojącego na stole dzbana. – Muszę powiedzieć, że mnie cieszy, iż mam to z głowy. Mleko to pokarm najbardziej paskudnie smakujący ze wszystkich, jakie kiedykolwiek wynaleziono. A wmuszają go w bezbronne dzieci! Barbarzyństwo!

–Myślę, że dzieci odnoszą się do tego nieco inaczej niż ktoś taki jak ty, Magu – powiedziała Angie uspokajająco.

–Są jeszcze zbyt małe, by myśleć; oto dlaczego – tłumaczył się czarodziej. Odstawił kubek z winem, upiwszy z niego nieduży łyk. – O czym to ja miałem ci wspomnieć? To w związku ze sprawą twojego wyjazdu do Francji.

–Och – powiedział Jim – słyszałeś o tym?

–Któż by, gdziekolwiek w promieniu pięćdziesięciu mil, o tym nie słyszał? – odparł Mag. – Nie żebym musiał czekać i dowiadywać się tego ze zwykłych plotek. Wiadomość doszła do mnie natychmiast, gdy podjąłeś decyzję, by pojechać. To wtedy uderzyło mnie, że jeśli masz zamiar zrobić coś podobnie głupiego, to trzeba cię ostrzec przed... – Przerwał bębniąc nerwowo czubkami palców o blat stołu. – Właśnie, przed czym? – zapytał sam siebie i zamilkł, najwyraźniej zajęty przeszukiwaniem własnej pamięci.

Jim i Angie grzecznie siedzieli cicho przez parę chwil, a potem, jako że Carolinus zdawał się kompletnie zagubiony we własnych myślach, Angie znów się odezwała.

–Rozumiem, że nie całkiem pochwalasz wyjazd Jima do Francji, Magu – zagaiła.

–Ach! To! – powiedział Carolinus ocknąwszy się z drgnięciem. – Och, nie wiem. Niezłe doświadczenie, i tak dalej. Zwłaszcza dla młodego czarodzieja, który i tak wiele się jeszcze musi nauczyć i to na każdym polu.

Spojrzał surowo na Jima.

–Tylko nie daj się czasem zabić! – przestrzegł. – Skończone marnotrawstwo, ludzie dający zabijać się na prawo i lewo, bez żadnego powodu. To, cośmy zrobili pod Twierdzą Loathly, miało przynajmniej jakiś cel. Ale ta sprawa z galopowaniem do Francji, żeby przywieźć z powrotem jakiegoś młodzika, który w ogóle nie powinien się tam znaleźć – śmiechu warte!

–Mam zamiar zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby nie dać się zabić – powiedział szczerze Jim. – Ale wracając do sprawy wyjazdu do Francji, bardzo się cieszę, że tu jesteś. Nie mogłeś przybyć we właściwszej porze. Mam do ciebie bardzo

istotne pytanie.

–Na pewno przypomniałbym sobie, gdybym tylko mógł przestać próbować sobie przypomnieć – mruzczał do siebie czarodziej. – Mam to dokładnie na końcu języka, ale nie mogę znaleźć słów.

–Widzisz – odchrząknął Jim – gnębi mnie pewien drobny problem. Mam na górze wielki worek przepięknych klejnotów.

–Lubisz klejnoty, tak? – powiedział Carolinus, wciąż jakby nieobecny. – Muszę przyznać, że mnie samego one nigdy nie obchodziły. Jednakże wielu ludzi je lubi. Masz tobie, a prawie to miałem! Na Belzebuba i Czarne Dzwony Piekieł!

–Klejnoty! – powtórzyła jak echo Angie wpatrując się w Jima. – Powiedziałeś: klejnoty, Jimie?

–Tak, tak – zbył ją Jim – opowiem ci to później, Angie. Rzecz w tym, Carolinusie, że to najlepsze klejnoty ze skarbu każdego smoka z Cliffside.

–A, tak – mamrotał Mag, znów popijając ze swego kubka. – Paszport. Oczywiście. Powinienem być sam o tym pomyśleć. No, ale nie mogę myśleć o wszystkim, a to nie takie ważne jak ta sprawa, którą próbuję sobie przypomnieć.

–Jimie! Dostałeś klejnoty na paszport? – zapytała Angie. – Gdzie one są? Chciałabym na nie zerknąć.

–Na górze w słonecznej – odparł Jim wciąż koncentrując uwagę na Carolinusie. – Rzecz w tym, Magu, że tworzą one bardzo nieporęczny pakunek. Myślałem właśnie, że gdybyś udzielił mi jakiejś wskazówki co do znalezienia tego zaklęcia, które pozwoliło ci zmniejszyć „Encyclopedie Necromantick”...

–Niemożliwe! – uciął czarodziej. – Pamiętaj, że jesteś czarodziejem zaledwie klasy D, Jamesie. I to, prawdę mówiąc, sporym ignorantem klasy D. To zaklęcie zmniejszające jest co najmniej klasy C. Chyba że jesteś dość utalentowany, żeby znaleźć je w „Necromantick” samemu i nauczyć się, jak go używać. Nie, nie, wykluczone. Krok po kroku, Jamesie. To jedyny sposób na zrobienie postępów. Naucz się chodzić, zanim spróbujesz pobiec.

–Ale ten worek klejnotów jest praktycznie połowy mojego wzrostu! – zaprotestował Jim.

–Naprawdę? – spytała Angie.

–Tak, tak Angie – powiedział Jim lekko poirytowany – jak mówiłem, jest na górze w słonecznej. Pokażę ci, jak tylko skończymy tutaj.

–W słonecznej? – Angie pośpiesznie wstała. – I tak muszę tam po coś skoczyć. Wyjdę tylko na chwilę.

–Magu, musisz mi pomóc – rzekł Jim poważnie. – Jestem odpowiedzialny za klejnoty, które muszą być warte więcej niż cały skarb królestwa razem wzięty. Jak mam to ciągać za sobą i ustrzec się przed złodziejami? Prawie każdy zdolny do myśli o kradzieży zaryzykowałby gardło nawet dla jednego z tych klejnotów. Możesz sobie wyobrazić, w jakiej sytuacji się znajdę, jeśli stracę choćby jeden z nich?

–No dobrze – ustąpił Carolinus. – Możliwe, że mimo wszystko będę musiał pomóc. Zmniejszę ci te klejnoty.

–Pójdę je przynieść – powiedział Jim.

–Nie, nie, nie trzeba! – Mag machnął ręką i worek, który Jim tak starannie przykrył futrami w słonecznej komnacie, pojawił się na wysokim stole między nim i Carolinusem. Angie usiadła gwałtownie z powrotem.

–Czy nie otworzyłybyś... – zaczęła, kiedy worek nagle zmniejszył się do czegoś, co wyglądało jak okruszek na stole.

Czarodziej sięgnął i podniósł go. Worek był mniejszy niż „Encyclopedie Necromantick” po tym, jak Mag zmniejszył tomiszczę, żeby Jim mógł je połknąć.

–Proszę bardzo – wręczył go Jimowi. Jego ton głosu stał się rozdrażniony. – No co tak siedzisz? Połknij to.

–To też mam połknąć? – powtórzył Jim, myśląc z niepokojem o masie worka plus masie „Encyclopedie Necromantick”, nawet zmniejszonych, w jego wnętrznościach. A jeśli coś się stanie i nagle postanowią powrócić do swoich naturalnych rozmiarów? Ekspłodowałyby razem z nimi.

–Oczywiście! – powiedział Carolinus. – Chcesz nosić je bezpiecznie, nieprawdaż? Czy jest bezpieczniejsze miejsce niż wewnątrz ciebie? Nie martw się, nie przeleci przez ciebie, ani on, ani „Necromantick”.

Jim położył maleńki przedmiot na języku i przełknął. Utkwił mu trochę w gardle, więc popił go winem. Angie westchnęła jakby z żalem.

–Ale – ciągnął Mag – ostatni raz zmniejszam coś dla ciebie. Musisz się nauczyć stać na własnych nogach. Ucz się. Studuj. Ćwicz! Trzeba ćwiczyć!

Wstał nagle.

–No cóż, muszę iść – rzekł. – Przy okazji, Jamesie, jeżeli będziesz chciał wydobyć te klejnoty, po prostu kaszlnij dwa razy, kichnij raz i potem jeszcze raz kaszlnij. Żeby je zmniejszyć – kaszlnij raz. Gdybyś kiedykolwiek potrzebował wydostać „Necromantick”, to na początku są trzy kasznięcia, dwa kichnięcia, a potem pojedyncze kichnięcie.

Jim poszperał w kieszeni kaftana szukając rysika z węgla drzewnego i pośpiesznie zanotował te informacje na blacie stołu.

–Choć właściwie ta „Necromantick” powinna zostać przy tobie na całe życie – jak długo zdecydujesz, że będzie ono trwało – zakonkludował Carolinus. – A zatem, żegnajcie.

Odwrócił się i zaczął majestatycznie kroczyć w stronę odległego wyjścia z Wielkiej Sieni. Jim i Angie wstali i pośpieszyli za nim. Dogonili go w połowie drogi do frontowych drzwi. Jak na kogoś w tym wieku i wyraźnie kruchego czarodziej potrafił poruszać się z zadziwiającą żwawością. Odmierzał długie kroki i szedł dalej.

–Ach, wiosna – powiedział do nich, kiedy znaleźli się po obu jego stronach – zawsze była moją ulubioną porą. Przez jakiś czas moje kwiaty i pora roku będą do siebie

lepiej pasować niż w jakimkolwiek innym czasie – na Sagitariusa! Walnął się w czoło nie gubiąc kroku.

–Szarotki! – zawołał. – Czemu nigdy nie pomyślałem nawet o szarotkach? Jedyne, jakich brakuje wśród moich kwiatów. Szarotki. Tak, stanowczo muszę je mieć... Szarotki, szarotki...

Ostatnie dwa słowa Carolinus wyśpiewał głosem chrypliwym i niewiarygodnie niemelodycznym.

–Piękny kwiat! Przepiękny! – ciągnął.

Doszli do frontowych drzwi i Jim pchnął prawe skrzydło, by wypuścić ich troje na dziedziniec. Razem podeszli do wejścia na most zwodzony; głucho zabrzmiały ich kroki na jego drewnianej powierzchni, kiedy przeszli nad wodami fosy, która pomimo Jima i Angie wysiłków, pomimo wydawanych ludziom z zamku rozkazów, wciąż potrafiła pachnieć dość podle, zwłaszcza z bliska.

Jim i Angie żywili nadzieję, że ciągłe bagrowanie, skierowywanie odprowadzenia ścieków w inną stronę i kilka innych zabiegów w końcu doprowadzą do stanu, w którym – choćby woda niezupełnie nadawała się do pływania – będzie można wytrzymać w pobliżu fosy. Nie po raz pierwszy Jim błogosławił swoją reputację czarodzieja. Przy każdym zwyczajnym panu służba zamkowa dawno by już wyraziła swój opór wobec tego rodzaju zmian, jakie on i Angie próbowali wprowadzić.

Odgłos ich kroków przebrzmiał niemal natychmiast, gdy z mostu zeszli na miękką wiosenną ziemię, niestety trochę błotnistą i zupełnie pozbawioną w tym miejscu trawy.

–No tak, dziękuję wam za gościnność. Dobrze było was oboje znów zobaczyć. Myślę, że po prostu zmaterializuję się w moim domku; to najszybszy sposób – wyciągnął obie ręce w bok na wysokości ramion i zaczął obracać się powoli. Gdy Angie i Jim patrzyli na niego, obraz jego postaci począł się trochę rozmazywać.

–Żegnajcie! – Nawet jego głos był już niewyraźny; zdawał się brzmieć cienie i trochę dalej, niżby powinien. – Ha! – krzyknął z daleka.

Nagle przestał wirować. Jego sylwetka zrobiła się wyraźna, ręce opuściły się wzdłuż boków, a głos, kiedy znowu przemówił, miał swoją zwykłą siłę. Łypnął niebieskimi oczyma na Jima.

–Właśnie przypomniałem sobie, Jamesie – powiedział – powód, dla którego wpadłem zobaczyć się z tobą. Król Francji, Jean, ma bardzo potężnego ministra imieniem Malvinne.

–Tak? – zapytał Jim. – Czy to będzie dla mnie ważne?

–Możliwe – powiedział Carolinus. – On jest Magiem. Potrójne A; oczywiście nie ma plusa po swoich trzech A tak jak ja. Ma tam wielki majątek nad Loarą poniżej Orleanu. Byłoby bardzo roztropnie, gdybyś trzymał się od niego z daleka. Znakomity Magister Sztuk. Wybitne zrozumienie cudotwórstwa. Genialny. W college'u nazywali go Śmierdziel...

Jim drgnął. Po raz pierwszy słyszał o istnieniu w tym innym świecie jakiejś szkoły, a co dopiero college'u.

–Wstrętne małe bydlę – rozkręcał się Mag. – Sam nigdy go nie znośłem. Uważaj na niego.

I z tymi słowy znowu wyciągnął ramiona, zakręcił się gwałtownie, aż stał się zamazaną plamą, i zniknął.

## Rozdział 11

W pięć dni później Jim i Brian ustawili swój oddział w szyku i ruszyli do Hastings. Był to najbliższy z Cinque Ports, Pięciu Portów, ligi portów morskich, w których skupione były siły angielskiej floty wojennej w tamtych czasach. Hastings był głównym wśród tych portów, do których zaliczano też New Romney, Hythe, Dover i Sandwich, a potem – jak Jim wiedział – dodano do nich Winchelsea i Rye.

Wymarsz oddziału był niemal świętem. Od kilku już tygodni Angie okazywała niefrasobliwą postawę wobec wyjazdu Jima. Ale w noc poprzedzającą ten dzień, gdy leżeli pod stosem futer w solarnej sypialni, nagle wybuchnęła płaczem i kurczowo go do siebie przytuliła.

–Nie jedź – poprosiła.

Jim robił, co mógł, żeby ją pocieszyć, ale musiał także zwrócić jej uwagę na to, jak niepraktyczna byłaby dla niego zmiana decyzji, teraz, w ostatniej chwili. Tylko na samym początku mógł być odmówić pójścia – a i nawet wtedy naraziłby się na pogardę ze strony wszystkich sąsiadów w okolicy, najprawdopodobniej nie wyłączając też samego Briana.

–Teraz muszę już jechać – tłumaczył Angie. Długo jednak trwało, zanim minął jej ten wybuch uczuć.

–Jest ten Malvinne, przed którym ostrzegał cię Carolinus – powiedziała.

–Nie bądź głuptasem – odparł Jim, głaszcząc ją po włosach. – Nie zbliżę się do niego na odległość całych mil. Czemu niby miałbym go spotkać?

–Nie wiem – płakała Angie. – Wiem tylko, że jeśli pojedziesz, to zdarzy ci się coś, co nie będzie mi się podobało. Jeżeli w ogóle wrócisz!

Nie znajdując żadnej dobrej odpowiedzi, Jim tulił ją tylko w ramionach, aż w końcu oboje usnęli.

Następnego dnia Angie była tak pogodna jak zawsze. Czy była to jednak pogoda prawdziwa, czy też poza, jaką przybrała ze względu na Jima – nie sposób było stwierdzić. Jim podejrzewał, że to tylko maska. Ale to, co powiedział jej poprzedniej nocy, było faktem. Nie mógł teraz zmienić zdania.

Tak więc wyruszyli. Jim i Brian otwierali pochód na lekkich wierzchowcach, a ich rumaki bojowe prowadzili za nimi giermkowie. Skierowali się niemal wprost na południe, omijając Londyn, gdyż Brian lękał się, że uroki stolicy mogłyby skusić ich ludzi. Większość z nich nigdy nie odwiedziła miejsca większego niż Worcester czy Northampton. Poniżej Reading skręcili na wschód, minęli Gilford i skierowali się bezpośrednio na południowy wschód, do Hastings.

Było to miasto portowe zbudowane wzdłuż dwóch dolin, które zbiegając ku morzu przecinały kredowe urwiska wybrzeża. Większość ważnych budynków tłoczyła się w pobliżu brzegu morza, łącznie z gospodą, do której dwa i pół tygodnia wcześniej Brian posłał dwóch zbrojnych, by zajęli dla nich kwatery. Gospodę tę nazywano „Pod Złamaną Kotwicą”, a Brian i jego ojciec korzystali już z niej wcześniej w czasie swych podróży do Hastings.

Miejsca w gospodzie były przeznaczone tylko dla Jima, Briana i ich giermków. Reszta ich ludzi będzie musiała zadowolić się schronieniem, jakie dadzą im stajnie



gospody lub też sąsiednie, gdyby te w gospodzie okazały się zbyt małe. Mogli spodziewać się, twierdził rycerz, że w Hastings będzie się roiło od szlachejnych panów i ich wojsk kierujących się do Francji.

Karczmarz był potężnym, dobrodusznym, ale i sprytnie wyglądającym mężczyzną po czterdziestce. Włosy zaczęły mu się już przerzedzać, ale muskuły jego na w pół obnażonych ramion były twarde jak postronki, gdy stał przed gospodą, by powitać gości.

–Wielce mnie to cieszy – pozdrowił go Brian – że miałeś dla nas miejsce, poczciwy Selu. Jak przewidywaliśmy, miasto jest pełne przyjezdnych.

–W samej rzeczy, sir Brianie – odrzekł karczmarz. – Jeśliby jednak zostało choć jedno wolne miejsce, byłoby wasze, ze względu na was samych, jak i na waszego ojca. Zaczny był to szlachcic i wielce poważany przez mego ojca, który miał tę karczmę przede mną.

Odwrócił się w stronę Jima.

–A to będzie lord James z Malencontri – powiedział pochylając głowę w lekkim ukłonie. – Witajcie, panie. Jeśli zechcecie pójść za mną, sir Brianie i wy, milordzie, zaprowadzę was na górę do waszej kwatery.

Jim stwierdził, że ich kwatera nie okazała się niczym nadzwyczajnym. Był to dość duży pokój, prawie pusty, jeśli nie liczyć raczej małego łóżka w jednym kącie. Miał za to dwa kwaterowe okna wychodzące na ulicę.

–Nikt nie będzie wam zakłócał spokoju, sir Brianie, milordzie – zachwalał gospodarz. – Łóżko jest oczywiście dla waszych szlachejnych mości, no i jest sporo miejsca na podłodze dla giermków i na bagaże, które będziecie życzyli sobie tu wnieść. Jeśli idzie o miejsca w stajni, mogę się zająć ponad połowę waszych ludzi. Ugodziłem się z kilkoma sąsiadami, że pomieszczą w stajniach resztę.

–Dobrze się nami zajmujesz, karczmarzu – rzekł Brian. – Nie tylko nas gościsz, ale i gościsz zacie.

–W tej gospodzie zawsze dobrze opiekowano się gośćmi – odrzekł skromnie karczmarz i wśród ukłonów wycofał się z pokoju.

Drzwi, jak zauważył Jim, nie miały ani skobla, ani haczyka. Ale w końcu dość dużo nauczył się już o tym świecie i ludziach, by pojąć, że karczmarz zakładał, iż jeśli będą tu trzymać jakieś kosztowności, to zawsze ktoś przy nich będzie.

–Zostań na razie tutaj – powiedział rycerz do Jima. – Wezmę giermka i odszukam przedstawicieli królewskich w tym mieście. Dowiem się czegoś co do naszych szans na szybkie wypłynięcie. Tymczasem, jeżeli sobie życzysz, łóżko jest całe twoje.

Jim grzecznie podziękował za łóżko, mówiąc, iż z racji uczynionego ślubu, zanim nie zrobi czegoś dla uwolnienia księcia, będzie spał na ziemi. Prawdziwym powodem tej decyzji było to, że bez sprawdzania wiedział, iż łóżko roi się od wszy i pcheł. Sir Brian może mógłby w nim leżeć całą noc, a nawet spać mocno, ignorując ugryzienia i swędzenie. Jim jednak nigdy się tego nie nauczył i żywił nadzieję, że nigdy nie będzie musiał.

Rycerz wyszedł, zabierając ze sobą giermka, Johna Chestera, by móc w razie czego przesłać Jimowi jakąś wiadomość przez tego młodego człowieka. Jim nawet

lubił Johna Chestera. Nie był to prawdę mówiąc najbystrzejszy młodzieniec, i fakt ten dawał się łatwo poznać z jego szeroko otwartych, niewinnych szarych oczu, jasnobłond włosów i twarzy, która dobrze pasowałaby do kogoś o jakieś cztery lata młodszego niż ten szesnastolatek. Mimo wszystko był lojalny, drobiazgowo uczciwy i najwyraźniej uwielbiał Briana.

Jim został sam z Theolufem, którego wyniósł do pozycji swojego giermka. Wojownik imieniem Yves Mortain zastąpił Theolufa jako wódz zbrojnych.

–Theolufie – rozkazał Jim – idź do mojego jucznego konia. Jest już pewnie w stajni. Przynieś moje kosztowności i potrzebne rzeczy, a zwłaszcza ten siennik wypchany miękkim materiałem, który zrobiła dla mnie pani Angela. Przynieś to tutaj.

–Tak, panie – powiedział giermek i pobiegł.

Zostawszy sam, Jim rozejrzał się po pokoju i pogratulował sobie, że nie próbował dzielić łóżka z Brianem. Nie mówiąc o pchłach, wszach i wszystkim innym, co mogło gnieździć się w pościeli, sprzęt ten wielkością ledwie wystarczał na jedną osobę, a cóż dopiero na dwie. Myśl, że miałyby spać tak przytulony do rycerza jak do Angie, była raczej mało kuszącą perspektywą.

Właśnie skończył oglądać łóżko, kiedy na dole wybuchła kłótnia, której odgłosy przedostały się do pokoju przez cienką podłogę. Słyszał głos karczmarza i kogoś jeszcze dość wyraźnie, by pojąć sens sprzeczki, choć nie mógł zrozumieć wszystkiego, co było mówione.

Do kogo by ten głos nie należał, żądał on, by karczmarz oddał mu ten właśnie pokój, który przydzielono Jimowi i Brianowi.

Pomimo nabytej w przeciągu zeszłego roku mądrości, która nauczyła go trzymać się roztropnie z dala od wszelkich nieporozumień, w tym przypadku poczuł się jednak do pewnej odpowiedzialności. Sięgnął po swój pas z mieczem, który zdjął przed chwilą, i zapiął go z powrotem wokół bioder, tak że znów był uzbrojony. Nie dlatego, żeby miał najmniejszy zamiar używać miecza – prawdę mówiąc miał gorącą nadzieję, że nie dojdzie do takiej okazji – ale dlatego, że szlachcic po prostu nie pojawiał się publicznie bez miecza. Zszedł na dół.

W wielkiej wspólnej izbie, która zajmowała większą część parteru gospody, tuż przy frontowych drzwiach, stał twarzą w twarz z karczmarzem nieco tęgawy młody człowiek, o kilka lat młodszy od Jima. Miał haczykowany nos i włosy koloru toffi na okrągłej czaszce. Jego gęste wąsy zwężyły się ku końcom tak zajadle najeżonym jak ton jego głosu. W kolorze były bledsze niż włosy. Pod wąsami widniały szerokie usta i mocna, zdecydowanie zarysowana szczeka. Mimo że był prawdopodobnie o jakieś pół głowy niższy od Jima, widać było, że jest to raczej twardy gość.

–Twój pradziadek prowadził tę gospodę, czy nie? – gość ten zawzięcie domagał się odpowiedzi, gdy Jim zszedł po schodach.

–Oczywiście, sir Gilesie – odpowiedział mu karczmarz – ale to było osiemdziesiąt lat temu, a nigdy nie słyszeliśmy ani słowa od waszej rodziny od tamtej pory aż do dnia dzisiejszego.

–Mimo wszystko – rzucił tamten – twój pradziad obiecał mojemu dziadowi, że pod tym dachem zawsze znajdzie się dla niego miejsce, tak czy nie?

–No cóż, obiecał, sir Gilesie – powiedział karczmarz – ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że wasz szanowny pradziadek, czy ktokolwiek z waszej rodziny, pojawi się, nie wysyłając przedtem wiadomości, żeby przygotować się na jego przybycie. A tak się składa, że właśnie oddałem ostatni wolny pokój, jaki miałem, szlachetnemu rycerzowi i lordowi z zachodnich okolic.

–Która obietnica była pierwsza? – ryknął niski szlachcic. – Ta złożona memu dziadowi, czy ta ostatnio złożona tym dwóm szlachetnym panom – kimkolwiek oni są?

–Oczywiście, ta złożona waszemu dziadowi – odrzekł karczmarz – ale, jak już wyjaśniałem, sir Gilesie, nie dostałem żadnej wiadomości o waszym przybyciu, a od nich wiadomość dostałem. Ponadto sami widzicie, że miasto jest pełne szlachetnych panów ze wszystkich stron Anglii, a wszyscy gorąco pragną znaleźć kwatery dla siebie i swoich ludzi, zanim dostaną się na statki do Francji. Cóż innego mogłem począć, nie wiedząc, że ktoś z waszego rodu nadjeżdża, niż oddać pokój, który inaczej stałby pusty, kiedy wielu go pragnęło?

–Daj ich tu do mnie! – ryknął sir Giles. – Niech mi się pokażą. Jeśli zdarzy się, że będą pragnęli zaniechać w pokoju tego, co prawnie mi się należy, będą mogli pójść w swoją stronę. Jeśli nie – ja, sir Giles, po ich trupach dowiodę swego prawa do tej kwatery!

Groźnie podkręcił sobie prawego wąsa.

–Smutkiem przejęłaby mnie podobna dysputa między szlachetnymi panami nad izbą w moim domu – powiedział karczmarz. – Ponadto, z całym respektem, sir Gilesie, muszę przyznać, że czuję, iż oni mają większe prawa do tego pokoju niż wy – to znaczy w tych okolicznościach...

Przerwał nagle, widząc zbliżającego się Jima.

–Milordzie! – powiedział. – Jestem zasmucony.

–Nie znam tego szlachetnego pana! – rzucił sir Giles piorunując wzrokiem Jima.

Jim poczuł, jak mimo jego szlachetnych intencji kielkuje w nim ziarenko gniewu.

W tym sir Gilesie było coś tak wojowniczego i ognistego, że zdawał się automatycznie rozgrzewać każdego, kto znalazł się w zasięgu jego głosu czy wzroku.

–Milordzie – jąkał się karczmarz – pozwólcie, że przedstawię sir Gilesa de Mer. Sir Gilesie, oto szlachetny lord James, baron Malencontri i Riveroak.

–Ha! – rzekł sir Giles kręcąc wąsa i rzucając ogniste spojrzenie na Jima. – Milordzie, zajmujesz mój pokój!

–Jak wciąż zaznaczam, sir Gilesie – wtrącił się karczmarz – nie jest to wasz pokój. Został już oddany sir Jamesowi i jego towarzyszowi broni, sir Brianowi Neville-Smythe.

–A gdzie jest ten sir Brian? – dopytywał się sir Giles.

–Chwilowo się oddalił – powiedział karczmarz. – Niemniej powróci wkrótce do pokoju, który z całą pewnością jest jego i sir Jamesa.

Sir Giles wysunął lewą nogę, lewą dłoń wsparł na biodrze i zawadiacko wysunął szczękę, przewiercając oczami Jima.

–Sir Jamesie – zagrzmiął – kwestionuję twoje prawo do mego pokoju! Wyzywam

cię, byś własnym ciałem bronił swego doń prawa. Wyjdźmy na dziedziniec. Możesz uzbroić się, jak chcesz. Ja uczynię podobnie albo, zaniechawszy dogodności właściwego mi rynsztunku i oręża, będę się z tobą potykał, jak stoję!

Sprawy istotnie przybrały paskudny obrót. Gdy tylko skończył mówić, sir Giles odwrócił się i ciężko stąpając wyszedł przez drzwi na dziedziniec. Tam odwrócił się i stał, czekając, aż Jim za nim podaży. Nie widząc innego wyjścia, Jim zrobił to.

Wyszedł na wybrukowany dziedziniec. Zaraz też wyraźnie dostrzegł, jak okrągły i gładki stał się bruk od ciągłego użytku, a także że jest dość śliski z powodów, w które wolałby raczej nie wnikać. Dzień był jasny i wesoły, niebo tak niebieskie jak morze, a gdzieniegdzie rozsiane były małe kłębuszki białych chmur.

–A niech mnie diabli, panie! – rzucił sir Giles. – Straciłeś głos? Chcesz się poddać i porzucić kwaterę, czy będziesz się ze mną potykał jeden na jednego, z bronią twego wyboru?

Sir Giles, tak jak Jim, miał tylko miecz zwisający u pasa i był bez zbroi. Jim miał przykrą świadomość, jaka byłaby odpowiedź sir Briana – radosna zgoda na walkę. Z drugiej strony pamięć Jima przypomniała mu w niemiły sposób głos sir Briana, taktownie określający jego władanie tarczą jako nierówne. Jim w ciągu ostatniego roku nabrał nieco wprawy w używaniu broni tego świata i tej epoki, ale prawdę mówiąc sir Brian nie chwalił go zbyt często. Czy miałby jakąś szansę przeciw komuś tak gwałtownemu jak sir Giles, który prawdopodobnie ćwiczony był w sztuce użycia broni od czasu, gdy zaczął raczkować? Jim sądził, że raczej nie. Musi jednak odpowiedzieć – albo walczyć. Umysł jego pracował szybko.

–Ociągałem się nieco z odpowiedzią, sir Gilesie – wyrzekł w końcu powoli – ponieważ myślałem nad sposobem wyjaśnienia ci tej sprawy bez ubliżenia takiemu rycerzowi jak ty.

–Ha! – przerwał mu sir Giles i dłoń, którą wcześniej opuścił, zacisnął z powrotem w pięść i oparł na biodrze.

–W istocie rzeczy – ciągnął Jim – podjąłem ślub. Ślubowałem nigdy nie dobywać klingi, dopóki nie skrzyżuję jej z ostrzem jakiegoś francuskiego miecza.

W chwili gdy wypowiedział te słowa, Jim poczuł, jak słabo i głupio muszą one brzmieć, zwłaszcza dla tak wojowniczej osoby jak sir Giles. Była to najśłabsza wymówka z możliwych, ale pierwsza, jaką zdołał wymyślić. Przygotował się na to, że tak czy inaczej będzie musiał dobyć miecza i walczyć i zdziwiła go nagle zmiana postawy u człowieka, który stał naprzeciw niego.

Było to tak, jakby cały ogień i wściekłość opuściły nagle sir Gilesa, zastąpione przemożnym zrozumieniem i współczuciem. W jego oczach dosłownie zabłysły łzy.

–Szlachetny to ślub, na wszystkich świętych! – wykrzyknął spoglądając na Jima. Postąpił krok ku niemu. – Gdybym tylko miał dość wiary w siebie, aby choć spróbować podobny ślub uczynić! Daj mi swą rękę, panie. Szlachcic, który potrafi znieść wszelkie zaczepki, każdy afront i zniewagę, aby utrzymać swe spojrzenie twardo utkwione w ten cel, ku któremu zmierzają teraz wszyscy zacni Anglicy, jest doprawdy dzielny człowiekiem.

Złapał dłoń wyciągniętą odruchowo przez Jima i uściskał ją serdecznie.

–Nie mógłbyś nigdy obrazić mnie, sir Jamesie, mówiąc mi o takim ślubie. Oddałbym prawą rękę, żeby samemu pomyśleć o takim ślubie i mieć wiarę, że go dotrzymam – nie zważając, że karą za niedotrzymanie go byłoby wieczne potępienie!

Jim był oszołomiony. Całkiem zapomniał, jak w tym świecie ludzie tego rodzaju co Brian i sir Giles dosłownie czcili odwagę w każdej formie. W istocie dla większości z nich był to odruch. Nagła ulga sprawiła, że niemal zaczął się trząść. Nie sprawiła jednak, by zmarnował okazję, jaką zauważył teraz przed sobą.

–Może zatem, sir Gilesie – zaproponował – zgodziłbyś się rozwikłać tę trudność dzieląc ten pokój z sir Brianem i ze mną. W samej rzeczy, jeśli sobie życzysz, możesz podzielić łóżko w tym pokoju z sir Brianem, bowiem uczyniłem jeszcze jeden ślub, który ogranicza mnie do spania na podłodze.

–Ależ niech mnie diabli! Niech mnie! – odpowiedział sir Giles, z nadmiaru uczucia omal nie ścierając palców Jima na proszek. – Szlachetny i wielkoduszny! Taki, jaki zawsze powinien być rycerz. Będę zaszczycony, milordzie. Będę szczęśliwy i zaszczycony, dzieląc pokój z wami dwoma, tak jak proponujesz.

–Więc może teraz kazałbyś komuś wnieść tam twoje rzeczy – dodał Jim. – Ja powiem karczmarzowi – odwracał się mówiąc to i przerwał odkrywszy, że nie tylko karczmarz, ale i chyba prawie wszyscy z gospody stoją tuż za nim albo spoglądają z okien i drzwi na sir Gilesa i niego.

–Tuszę, że nie masz żadnych obiekcji, by sir Giles dołączył do nas w pokoju, zacny karczmarzu? – spytał.

–Ależ najmniejszych, milordzie. Zupełnie żadnych. Sam pošlę kogoś po rzeczy sir Gilesa, jeśli tylko powie mi, gdzie można je znaleźć.

–Mój człowiek ma je z naszymi końmi na zewnątrz dziedzińca – odparł sir Giles z niedbałym ruchem ręki. Odkaslnął, nieco zażenowany. – Inni oczywiście zjawią się w swoim czasie.

–Zatem pozwól, bym cię zabrał na górę, sir Gilesie – powiedział Jim – a może karczmarz przyśle nam trochę wina.

Doprowadził go na górę i wkrótce potem przyniesiono im wino. Zręcznie omijając łóżko, Jim usiadł na jednym ze stosów ubrań i derek, które leżały na podłodze. Sir Giles szybko pojmując wskazówkę, że Jim we wszystkich sprawach musiał ograniczać się do poziomu podłogi, wybrał inną stertę blisko niego.

–Za pozwoleniem, milordzie – powiedział sir Giles, kiedy zajęli się pierwszymi kubkami pełnymi kiepskiego czerwonego wina, którego dostarczył im karczmarz. Jim skrzywił się nieznacznie, widząc, jak większość zawartości kubka znika w gardle jego towarzysza przy pierwszym łyku. Sir Giles, jak większość ówczesnych rycerzy, zdawał się pić jak ktoś, kto zagubiony na pustyni w końcu natknął się na źródło wody. – Lękam się jednak, że nie wiem, gdzie może leżeć twoje gniazdo rodzinne. Wstyd mi się także przyznać, że nie rozpoznaję nazwy ani – co to było – Malencontri? Ani też w pamięci mojej nie utkwiała nazwa Riveroak.

–Malencontri leży na wzgórzach Malvern – odrzekł Jim – właściwie niedaleko od Worcester. Faktycznie leży pośród terenów łowieckich Malvern, z których większość należy do hrabiego Gloucester. Ale ja sam otrzymałem Malencontri bezpośrednio od

króla.

–Jestem ci zobowiązany za tę złą grzeczność wyjaśnienia mi – odpowiedział sir Giles. – Ja sam jestem rycerzem z Northumberland. Nasza rodzina od wielu pokoleń mieszka na wybrzeżu Morza Germańskiego, które niektórzy nazywają Pomocnym, trochę tylko na południe od Berwick. A twoim towarzyszem jest szlachetny rycerz sir Brian Neville-Smythe? O jego włościach także nic nie wiem.

–Jego domostwo, Zamek Smythe – powiedział Jim, obserwując, jak sir Giles z roztargnieniem napełnia sobie kubek po raz trzeci – jest właściwie dość blisko mojego Malencontri, także w okolicy Malvern. Staliśmy się towarzyszami w trakcie pewnej drobnej sprawy związanej z siedzibą Ciemnych Mocy, zwaną Twierdzą Loathly.:

–Na świętego Dustana! – Sir Giles żywo pochylił się ku niemu, w swym entuzjazmie rozlewając trochę wina. – Czy jesteś zatem tym Smoczym Rycerzem, bohaterem historii o Twierdzy Loathly? Mówi się, że w walce w pojedynkę pokonałeś olbrzyma.

–Prawdę mówiąc tak też i było – przyznał Jim. – Oczywiście byłem wtedy w smoczey postaci, jeśli zdarzyło ci się słyszeć tę historię.

–Słyszeć, milordzie?! – zawołał sir Giles. – Cała Anglia i Szkocja o tym słyszały. Przedsięwzięcie jak najbardziej zaszczytne.

–Miło, że tak mówisz – powiedział Jim – właściwie była to konieczność. Moja żona, pani Angela...

Przerwał słysząc dźwięk znajomego głosu przedostający się przez cienką podłogę izby.

–Ale o ile się nie mylę – rzekł – sir Brian zaraz do nas dołączy. Wybacz mi na kilka chwil, podczas gdy pomówię z nim na boku.

–Na boku? – powtórzył sir Giles zaintrygowany.

–Powinienem być rzec na osobności – poprawił się Jim. – Potrwa to tylko minutę czy dwie. Potem przyjdziemy obaj. Jestem pewien, że ucieszy się widząc cię tutaj.

–Ha! – sapnął sir Giles, na chwilę znów się ożywiając. Jednakże najwyraźniej przemyślał raz jeszcze temat gwałtownej odpowiedzi na jakiegokolwiek obiekcje Briana przeciw jego obecności i tylko rozsiadł się znowu ze swoim kubkiem wina. – Ależ oczywiście, milordzie. Będę was tu oczekiwał.

Gdy mówił te słowa, Jim był już w pół drogi do drzwi. Spotkał rycerza, gdy ten wchodził po schodach, i zatrzymał go. W jak najkrótszych słowach wyjaśnił, co się zdarzyło i dlaczego ktoś jeszcze dzieli z nimi teraz ich izbę w gospodzie.

–Aha – przytaknął ze zrozumieniem Brian, kiedy Jim wyjaśnił, jak ten drugi rzucił mu wyzwanie. Potem spojrzał na Jima trochę niepewnie. – Czy naprawdę położyłeś taki ślub na swój oręż, Jamesie? Nic mi o tym nie mówiłeś.

–Wybacz mi Brianie – tłumaczył się Jim. – Są takie sprawy... Sam rozumiesz... – konspiracyjnie zniżył głos -...ten ślub wymieniał tylko mój miecz...

Na twarzy rycerza pojawił się szczęśliwy uśmiech.

–Nic więcej nie mów, Jamesie – powiedział. – Sprawa Magii czy też coś między twoją panią a tobą, nie wątpię. Wybacz, jeśli byłem wścibski.

**–Nie ma o czym mówić, Brianie – odparł Jim czując drobne wyrzuty sumienia. – Chodź na górę i poznaj tego sir Gilesa de Mer. Jest nieco popędliwy, ale równie szybko się uspokaja. Myślę, że go polubisz.**

**Tych ostatnich parę słów było zarówno komentarzem Jima, jak i pobożnym życzeniem z jego strony. W głębi umysłu rodził mu się niemiły obraz Briana i Gilesa skaczących sobie od razu do oczu. Ku jego zdziwieniu jednakże nazwisko tego drugiego rycerza zdawało się już rycerzowi znajome.**

**–Sir Giles de Mer – powtórzył w zamyśleniu – to bardzo dogodnie. Mam ci coś do powiedzenia, Jimie i, co osobliwe, dotyczy to też tego sir Gilesa. Ależ tak, prowadź mnie zaraz do tego szlachcica.**

## Rozdział 12

Jim obawiał się, że Giles i Brian mogliby natychmiast zacząć skakać sobie do oczu. I było to w pewien sposób uzasadnione, gdyż obaj rycerze byli, choć każdy z nich w inny sposób, bardzo zdecydowanymi indywidualnościami. Okazało się jednak, że nie musiał zaprzętać sobie tym głowy.

–Sir Gilesie – powiedział przedstawiając ich sobie, gdy znaleźli się na górze w pokoju – oto mój stary przyjaciel, sir Brian Neville-Smythe. Brianie, oto jest zacny rycerz sir Giles, którego właśnie zaprosiłem, by dzielił z nami kwaterę, jako że spodziewałem się znaleźć tu izbę, a gospoda jest niestety przepelniona.

–Ha! – Sir Giles dobrodusznie podkręcił czubek prawego wąsa. – Zaszczyt to dla mnie i przyjemność poznać cię, sir Brianie.

–Równy to honor spotkać i poznać cię, sir Gilesie – odparł Brian. – Właśnie miałem rzec sir Jamesowi, że powierzono mi ważną dla niego wiadomość. Co dość osobliwe, mam także przekazać wieści tobie, sir Gilesie.

–Tak powiadasz? Wieść dla mnie. – Na twarzy Gilesa widać było mieszaninę umiarkowanej wojowniczości i zakłopotania. – To nader dziwne. Nie sądziłbym, że ktoś w tej chwili w Hastings wie, że tu jestem, a co dopiero mówić o wysyłaniu do mnie wiadomości.

–Wyda ci się to może mniej dziwne, kiedy usłyszysz, od kogo jest ta wiadomość – powiedział rycerz. – Wieści dla was obydwóch są od szlachetnego rycerza, sir Johna Chandosa.

Nazwisko to wywarło pewne wrażenie nie tylko na sir Gilesie, ale i na Jimie. Jak pamiętał ze swoich studiów nad historią czternastego stulecia, sir John Chandos był świetnym dowódcą wojskowym i bliskim przyjacielem Czarnego Księcia, jak nazywano następcę tronu Anglii. Zaliczał się do fundatorów Orderu Podwiązki, który to rycerski order został ustanowiony przez Czarnego Księcia w naśladownictwie Okrągłego Stołu Króla Artura. Mówiono też o Chandosie jako o „Kwiecie Rycerstwa”. Co taki człowiek miałby mieć wspólnego z kimś takim jak on sam, było nie do odgadnięcia, myślał Jim.

Tymczasem sir Giles wypowiedziawszy słabe „ha!” wykręcał sobie prawego wąsa prawie z korzeniami. Albo, myślał Jim, ma jakiś powód wiedzieć, czemu sir John Chandos wysłałby dla niego wiadomość, albo jest zupełnie oszołomiony niewiadomym powodem tego wezwania – tak jak i ja.

–W obu przypadkach wiadomość jest ta sama – ciągnął sir Brian. – Sir John życzy sobie, aby każdy z was przybył do niego jak najszybciej.

–To znaczy natychmiast? – spytał niepewnie Jim.

–Trudno, żeby znaczyło to cokolwiek innego, Jame-sie – powiedział rycerz marszcząc brwi, a w jego głosie zabrzmiała nuta delikatnej wymówki.

–Naturalnie! Od razu. Oczywiście – zawtórował sir Giles głosem lekko stłumionym ze zdumienia. – Gdzież sir James i ja będziemy mogli znaleźć łaskawego sir Johna?

–Zabiorę was do niego – odrzekł Brian.

Wyprowadził ich na ulicę. Miejscem, do którego zmierzali, okazała się inna, większa gospoda, nieco bardziej odległa od linii brzegu. Wyglądała na całkowicie



**zajętą przez kogoś ważnego.**

**Nad jej frontowym wejściem wisiało pół tuzina flag z herbami, z których Jim nie potrafił rozpoznać żadnego. Zanotował za to sobie w pamięci, żeby poduczyć się heraldyki. Zajmował się nią trochę, ale głównie herbami swych sąsiadów. Tutaj, gdzie zebrała się spora część angielskiego rycerstwa i gdzie prawie wszyscy rozpoznawali na pierwszy rzut oka herby przynajmniej najważniejszych osobistości spośród siebie, mógłby znaleźć się w tarapatkach, gdyby wykazał się zbyt rażąco ignorancją.**

**Brian przepuścił ich przez frontowe drzwi i Jim ujrzał, że wielka wspólna izba tego przybytku była prawie cała wypełniona stojącymi ramię przy ramieniu ludźmi, w większości świetnie odzianymi. Jim, który zazwyczaj nie zwracał większej uwagi na to, w co był ubrany, nagle wyraźnie uświadomił sobie, że ani on, ani Brian, ani sir Giles nie byli zbyt dobrze odziani w porównaniu z obecnym tu towarzystwem.**

**Rycerz poprowadził ich wzdłuż ścian do schodów wiodących na wyższe piętra, w odległym końcu izby, gdy nagle jeden ze wspaniale odzianych mężczyzn złapał go za rękaw.**

**–Stój, człowieku! – powiedział ów osobnik. – Zostań na swoim miejscu. Kiedy będzie przechodził pokojowiec, przemów do niego, i jeśli masz tu istotnie jakąś sprawę, przedstawiś mu ją!**

**–Powiedziałeś do mnie „człowieku”? – zapytał sir Brian. – Zabieraj tę swoją przeklętą rękę. I z kim właściwie, do wszystkich diabłów, mam dyshonor mówić? Ręka tamtego opadła.**

**–Jestem wicehrabia Mortimer Yerweather, czł... – o mało nie powtórzył słowa „człowiek”, ale się powstrzymał – i nie będzie do mnie w ten sposób mówił byle rycerzyna. Wywodzę swój rodowód od króla Artura.**

**Sir Brian wyłożył mu, używając dosadnych, skatologicznych terminów, co może sobie zrobić ze swoim rodowodem.**

**–A jeśli chodzi o mnie, milordzie – zakończył – to jestem z Neville'ów z Raby i nie potrzebuję spuszczać oczu w niczyjej obecności. Odpowiedz mi za to!**

**Obydwaj mężczyźni chwycili za rękojeść mieczy.**

**–Z przyjemnością – zaczął sir Mortimer, kiedy dobrze zbudowany i bardzo dobrze ubrany mężczyzna z ciężkim srebrnym łańcuchem, z którego zwisał jakiś medalion na szyi, wcisnął się między nich.**

**–Natychmiast przestańcie, szlachetni panowie! – rozkazał groźnie. – Co? Burdy w tej akurat komnacie? – nagle przerwał. – Sir Brianie!**

**Utkwił spojrzenie w twarzy rycerza. Ton głosu zmienił mu się zadziwiająco, choć pozostała w nim surowość.**

**–Opuściłeś nas zaledwie pół godziny temu. Nie spodziewałem się ujrzeć ciebie z powrotem tak prędko.**

**–Tak się składa, sir Williamie – odpowiedział Brian zostawiając w spokoju swój miecz i mówiąc spokojniejszym tonem – że znalazłem już i prowadzę tu ze sobą obu szlachetnych panów, o których była mowa.**

**–Wspaniale! – uśmiechnął się sir William. – Sir John chce zobaczyć was natychmiast. Chodźcie za mną.**

Mając już odejść, odwrócił się i popatrzył na sir Mor-timera.

–Co do ciebie, milordzie – rzekł surowo – nie byłoby od rzeczy, gdybyś zwracał uwagę na swoje maniery w tym miejscu. Sir John przyjmie cię, kiedy zechce cię przyjąć.

Odwrócił się do Briana.

–Chodźcie, ty i tych dwóch, których prowadzisz.

Sir William powiódł całą trójkę po schodach wśród spojrzeń wszystkich oczu w izbie.

Jim czuł się dość niepewnie wchodząc po schodach za ich potężnym i pełnym godności przewodnikiem. Właściwie to „zażenowanie” nie było zbyt dobrym słowem dla oddania obecnego stanu jego uczuć.

Wiedział o istnieniu instynktownej smoczjej wściekłości w swoim smoczym ciele – i uważał ją za przydatną. Także w walce z napastnikami na zamek sir Briana poczuł się opanowany przez nią do tego stopnia, że dopiero jakiś czas po walce zauważył kilka skaleczeń i siniaków, i miejsca, gdzie źle dopasowana zbroja otarła mu skórę do krwi.

Jednak dwudziestowieczne wychowanie jego własnego świata nie przygotowało go zbyt dobrze do życia w tego rodzaju społeczeństwie, gdzie, jak się zdaje, trzeba było być gotowym do eksplozowania gniewem w mgnieniu oka. W miarę jak dorastał, uczono go czegoś wręcz przeciwnego.

Istotnie, kiedy Brian i sir Mortimer stali tam na dole twarzą w twarz, pierwszą myślą Jima było, jakby tu załagodzić to starcie, choć w trakcie wymiany zdań czuł, jak sir Mortimer Yerweather zaczyna coraz bardziej działać mu na nerwy.

Teraz zdecydował, że gdzieś po drodze będzie musiał wyrobić sobie szybsze odruchy – czy to wbrew naturze swego wychowania, czy nie. Miał w tym świecie do odegrania pewną rolę, a to najwyraźniej było jej częścią.

Na piętrze budynku wprowadzono ich do pokoju niewiele większego niż sypialnia w ich gospodarstwie i podobnie umeblowanego. Typowe, miernych rozmiarów łóżko z rozgrzebaną pościelą stało wpasowane w jeden kąt izby. Chudy mężczyzna w średnim wieku z kilkoma prostymi kosmykami czarnych włosów pozostałymi na prawie łysej czaszce stał przy wysokim pulpicie, pisząc gęsim piórem na czymś, co wyglądało Jimowi na pergamin. Drugi mężczyzna w ciemnoniebieskim kubraku zdołał w jakiś sposób rozsiaść się nonszalancko na twardym krześle o idealnie prostym oparciu. Siedział przy małym kwadratowym stolczku, na którym leżało trochę papierów, a także stał nieodzowny dzban i kubki do wina. Mężczyzna w niebieskim kubraku pił z kubka, ale odstawił go, gdy weszli.

Stołek odpowiednio wysoki, by wygodnie siedziało się przy stole, był przysunięty do boku stołu, a cztery podobne stary dookoła pod ścianami.

–Sir Johnie – odezwał się sir William, gdy trzej rycerze zatrzymali się tuż przed stołem – oto, wedle twojego życzenia, sir Brian Neville-Smythe powrócił z tymi dwoma szlachcicami, o których mówiłeś.

Mężczyzna za stołem (mógł to być tylko sam sir John Chandos, pomyślał Jim) wyprostował się nieco i pochylił do przodu, opierając przedramiona na stole.

**–Dobrze, Williamie – odrzekł. – Zostaw nas teraz samych.**

**Spojrzał na mężczyznę zajętego w kącie pisaniem.**

**–Cedricu – powiedział.**

**Mężczyzna odłożył ostrożnie gęsie pióro i wyszedł za sir Williamem z pokoju.**

**Sir Chandos odwrócił wzrok od drzwi i spojrzał na trzech mężczyzn stojących przed nim.**

**Ów sławny mąż obdarzony był szczupłym ciałem dobrze zbudowanego nastolatka, choć Jim domyślał się, że miał on dobrze po trzydziestce, a może nawet po czterdziestce.**

**Odznaczał się pewnym spokojnym wdziękiem, ale bez takiej fircykowości czy pretensjonalności, jaką prezentował sir Mortimer Yerweather w sali na dole.**

**Zachowanie jego było raczej podobne do złowróżbnego, leniwego wdzięku któregoś z wielkich, a niebezpiecznych przedstawicieli rodziny kotowatych.**

**Jim zafascynowany przyglądał się sir Johnowi. Kiedy był na studiach, nie istniał żaden znany obraz czy opis sir Johna Chandosa pasujący do mężczyzny, przed którym stał. To, że człowiek ów był nie tylko inteligentny i uzdolniony, ale także przyzwyczajony do rozkazywania, promieniowało od niego jak ciepło od kominka.**

**Nie poprosił ich, aby usiedli. Nie zaoferował im też wina, które stało na stole.**

**–Szlachetni panowie – powiedział łagodnym głosem – wojen nie wygrywa się tylko bitwami. Zwłaszcza tej wojny, w której głównym celem jest bezpieczne uwolnienie naszego miłościwego księcia, oby Bóg go strzegł. I właśnie do tego innego, a koniecznego sposobu potrzebuję was trzech. Chociaż być może ty, sir Brianie, uznasz, że twoja rola będzie wymagała nieco więcej, jeśli idzie o walkę, niż pozostałych dwóch rycerzy.**

**Sir John przyjrzał im się po kolei, przenosząc wzrok z jednego na drugiego, jakby osądzał i ważył ich spojrzeniem. Brązowe oczy pobłyskiwały złotymi plamkami, tak jak i przerzedzające się ciemne włosy na głowie.**

**–Aby bezpiecznie sprowadzić naszego księcia do domu – ciągnął – niewątpliwie musimy zmierzyć się w bitwie z wojskami króla Jeana z Francji. Wygramy tę bitwę albo przegramy, wedle woli boskiej. Niemniej faktyczne uwolnienie księcia będzie zależęć w wielkiej mierze od was trzech, panowie, i jeszcze od paru innych.**

**Przerwał, jakby dając im chwilę czasu na przetrwanie tej informacji.**

**–Obawiam się, że żaden z was – kontynuował – nie ma doświadczenia w tego rodzaju misjach. Musicie jednak pojąć, że trwałość tego królestwa nie opiera się jedynie na szarżowaniu z mieczem i kopiań w pełnym galopie na pierwszego nieprzyjaciela, jaki się nawinie, ale na wielu sprawach czynionych po cichu i często, z konieczności, w sekrecie. Co znaczy, że czyniący je nie mówią o nich ani w trakcie ich wykonywania, ani też później. Takiego właśnie milczenia będę żądał od każdego z was, a zwłaszcza milczenia na temat jakichkolwiek powiązań waszych czynów ze mną i z koroną Anglii. Czy rozumiecie mnie, panowie? Wszyscy odpowiedzieli tak. Jim zdziwił się, że jego własny głos był równie pełen szacunku jak głosy jego towarzyszy. Nie spodziewał się spotkać z tego rodzaju autorytetem u żadnego rycerza czy szlachcica w tym świecie.**

–W takim razie dobrze – powiedział sir Chandos. Zerknął na jeden z pergaminów leżących w nieporządnym stosie na stole, obok dzbana z winem.

–Co wam teraz powiem, na zawsze musi pozostać w tajemnicy. Mamy we Francji pewnych doradców, którzy mogą dostarczyć nam informacji, potrzebnych do wykonania zadania, które wam dam. Życie tych ludzi może zależeć od tego, czy potrafiacie trzymać usta zamknięte.

Popatrzył na nich chwilę, marszcząc brwi, po czym znów spojrzął na dokument.

–Ci doradcy są naszymi przyjaciółmi, lecz we Francji uchodzą za szczerze oddanych służbie koronie francuskiej – podjął. – Niektórzy mogliby powiedzieć, że praca, jaką wykonują, jest niegodna szlachcica, i to samo da się powiedzieć o zadaniu, z jakim was wysyłam.

Znowu spojrzął na nich, ale nie marszczył już brwi.

–Mówię wam, że nie jest to słuszna ocena – powiedział. – Raczej są to właśnie zadania, które tylko prawdziwy szlachcic może wykonać, ponieważ wymagają one od wszystkich biorących w nich udział, aby nie walczyli w świetle i chwale, ale by walczyli w ciemności i trudzie. Waszym zadaniem, sir Gilesie i sir Jamesie, będzie uwolnienie osoby naszego księcia skądkolwiek, gdzie król Francji może go więzić. Twoim, sir Brianie – spojrzął na rycerza – będzie pośpieszyć z niewielkimi siłami, jakie możesz zgromadzić, z pomocą tym panom wtedy, kiedy będą cię potrzebować. Będziesz zatem podążał za nimi, wedle znaków i wskazówek, jakie zostawią co do ich trasy, w odległości może dnia drogi, i spotkasz się z nimi w Amboise, w głębi Francji. Potem poczynicie takie plany co do odbicia księcia, jakie uznacie za stosowne. Czy to rozumiałe?

–Tak, sir Johnie – rzekł sir Brian.

–Wy, sir Gilesie i sir Jamesie – ciągnął Chandos – zostaliście wybrani do zadania właściwego uwolnienia księcia ze względu na pewne specjalne... talenty, jakie każdy z was posiada. Wiecie obaj, czym one są, bez mojego mówienia o tym, a jeśli któryś z was nie zna zdolności drugiego, to niech tak już zostanie, chyba że kiedyś zażyczycie sobie poczynić na ten temat zwierzenia. Wystarczy powiedzieć, że hrabia Northumberland mówił mi wiele o tobie, sir Gilesie; a ty, sir Jamesie, jesteś już dobrze znany po twojej potyczce pod Twierdzą Loathly w całej Anglii – dzięki pieśniom i opowieściom. Wszyscy trzej wypłyniecie z jutrzejszym rannym odpływem do portu Brest we Francji. Czy któryś z was umie czytać i pisać?

–Nauczono mnie liter – obwieścił sir Giles podkręcając prawego wąsa z odrobiną dumy – i umiem nieco czytać i pisać po łacinie. Także potrafię składać litery, by pisać trochę po angielsku.

Sir John skinął głową zadowolony. Zwrócił się do Jima.

–Tak – stwierdził Jim.

Sir Chandos uniósł brwi.

–Mówisz jak ktoś dziwnie pewien siebie, sir Jamesie – rzekł. – Czy mam rozumieć, że piszesz i czytasz bardzo dobrze?

–Umieję pisać po łacinie i po angielsku, a właściwie to i po francusku – powiedział Jim.

Sir John odwrócił jedną z kart na stole przed nim tak, aby leżała czystą stroną do góry.

–Jeśli łaska, przynieś pióro, które zostawił Cedric, sir Jamesie – polecił – i pisz na tym dokumencie tak, jak ci będę dyktował.

Jim przyniósł pióro, a widząc, że na pulpicie, którego używał Cedric, stoi też mały kałamarz z atramentem, przyniósł go także do stołu sir Johna.

Zanurzył pióro w atramencie, otarł z końcówki nadmiar płynu i zastygł z piórem nad papierem. Nagle przyszło mu coś do głowy.

–Wybacz mi, sir Johnie – rzekł – zapomniałem, że może mój charakter i rodzaj pisma nie będą ci znajome. Jeśli życzysz sobie, będę stawiał litery drukowane, chociaż będzie to trwało dłużej, niżbym pisał kursywą.

Sir John uśmiechnął się. Jim poczuł niejasno, że pomyślał on, iż próbuje wycofać się ze zbyt przesadzonego stwierdzenia. Jednak Chandos nie zrobił żadnej uwagi, tylko oparł się wygodnie.

–Napisz to – powiedział – „Jest na morzu pięć francuskich statków”.

Jim zapisał te słowa drukowanymi literami na pergaminie, zostawiając między słowami spore odstępy, żeby nie było żadnych wątpliwości, jakie litery należą do jakiego wyrazu. Zatrzymał się i zerknął w górę, czekając na resztę tego, co sir John planował mu podyktować, lecz zobaczył, że rycerz przygląda mu się ze znowu wzniesionymi brwiami.

–Z pewnością szybko sobie radzisz z piórem, sir Jamesie – zauważył. – Rzadko widywałem skrybów, którzy poruszaliby nim tak szybko. Myślę, że chyba spojrzę na to, zanim podam ci resztę zdania – być może nie będzie to już konieczne.

Odwrócił arkusz tak, że litery widział teraz nie do góry nogami, i przyjrzał się im marszcząc czoło.

–Rzeczywiście piszesz dziwnie, sir Jamesie – mruknął. – Biorąc jednak wszystko pod uwagę, łatwo je odczytać. Mówiłeś jednak o dwóch sposobach pisania?

–Tak, sir Johnie – powiedział Jim – te słowa pisałem drukowanymi literami. Zazwyczaj jednak ja i inni ludzie tam, skąd pochodzę, używamy raczej liter pisanych niż drukowanych, kiedy chcemy zanotować jakąś informację na papierze – czy pergaminie, jak w tym przypadku.

–Chętnie zobaczyłbym ten drugi rodzaj pisma. Nazwałś go...

–Kursywą, sir Johnie – przypomniał Jim. – Za twoim pozwoleniem, napiszę jeszcze raz te same słowa kursywą poniżej tych drukowanych, żebyś mógł zobaczyć różnicę.

–Ależ naturalnie, zrób tak – zgodził się sir Chandos przyglądając mu się badawczo.

Jim odwrócił kartę pergaminu i napisał te same słowa charakterem pisma tak czytelnym, jak tylko potrafił. Potem odwrócił kartę tak, że tekst leżał naprzeciwko Chandosa, który przyjrzał mu się.

–Istotnie to jest trudne do odczytania, jeśli nawet nie niemożliwe – powiedział. – Choć nie wątpię, że mamy skrybów, którym udałoby się to zrobić. Muszę być jednak z tobą szczery, sir Jamesie, i rzec, że zadziwiasz mnie prędkością tego drugiego

rodzaju pisma. W tym przypadku nie przyda nam się to jednak. Lepiej pisz tym pierwszym sposobem – jak to znowu nazwałś?

–Drukiem – przypomniał Jim. – Za pierwszym razem zapisałem te słowa drukowanymi literami.

–Im więcej się im przyglądam, tym bardziej zdają się być cudownie przejrzyste, jeśli nawet nieco dziwne – powiedział sir John. – Z pewnością dla naszych celów nadają się świetnie, gdyż trzeba będzie może przesyłać tam i z powrotem jakieś krótkie pisemne wiadomości. Dla mojej własnej przyjemności, czy byłbyś jednak skłonny zademonstrować, jak piszesz po łacinie i po francusku?

–Chętnie, sir Johnie – rzekł Jim i zrobił tak, kreśląc te same słowa.

–Cudownie! – wykrzyknął sir Chandos z podziwem, potrząsając głową nad następnymi dwiema linijkami, które Jim napisał drukiem i zwykłym pismem odręcznym. – Nie powiem, żebym mógł odczytać którąś z tych kursyw, ale nie wątpię, że ty sam potrafisz. I może jakiś kleryk, zwłaszcza francuski kleryk, mógłby je obie odczytać, zwłaszcza to, co postawione zostało sposobem, który nazywasz drukowanym. To się świetnie nada.

Przyjrzał się Jimowi dokładniej.

–Tuszę, że zdolność, jaką mi tu pokazałeś, ma coś wspólnego z tym osobliwym talentem, o jakim mówiłem przedtem?

Jima kusiło, by powiedzieć, że w jego świecie i czasie mnóstwo było ludzi umiających pisać, tak jak to właśnie pokazał. Jednak rozsądek kazał mu trzymać język za zębami.

–Wybacz mi, sir Johnie – powiedział. – Na to pytanie zakazano mi odpowiadać.

–Aha – odezwał się sir Chandos z wielką powagą. Przytaknął. – Oczywiście. To ma coś wspólnego z tym twoim talentem. Rozumiem. Nic więcej nie powiemy. Zostało jeszcze tylko parę innych spraw.

Zdjął z palca jeden z kilku pierścieni, jakie nosił na obu dłoniach, i podał go Jimowi.

–Sir Jamesie – powiedział – ty, jako szlachcic najwyższy tu rangą, będziesz nosił ten pierścień. Kiedy dotrzecie do Brestu, ty i sir Giles zajmiecie kwatery w gospodzie z zielonymi drzwiami. W istocie zwie się ona „Gospodą pod Zielonymi Drzwiami”, oczywiście we francuskiej mowie. Okaże się, że będą tam miejsca. Czekać tam, aż spotka się z wami ktoś, kto pokaże wam identyczny pierścień z tym. Radziłbym, żebyś nosił go wchodząc do gospody, a potem trzymał na widoku, aż zobaczysz kogoś z drugim takim samym. Ten człowiek będzie miał dla was słowo co do tego, jaki ma być wasz następny krok. No, a teraz zostaje już tylko sprawa twojego godła.

–Godła? – zawtórował zdezorientowany Jim.

Ale sir John zwrócił się już ku drzwiom i głośno zawołał. Dotychczas mówił tak cicho, że Jim nie zorientował się, iż był on tenorem. Teraz jednak, gdy zdecydował się krzyknąć, okazało się, że jego głos jest obdarzony cechą niezwykle donośności. Jimowi przypomniał się fakt, że gdzieś tak do dziewiętnastego wieku korzystne było, aby oficerowie piechoty byli tenorami, gdyż ich wyżej ustawione głosy słyszane były przez ludzi znacznie lepiej wśród bitwy i wystrzałów. Tenor sir Chandosa był

przenikliwy jak u śpiewaka operowego.

–Cedricu! – zawołał.

Prawie natychmiast drzwi otworzyły się i w przejściu stanął chudy, łysiejący mężczyzna, którego pióra pożyczył sobie Jim.

–Sir Johnie?

–Sprowadź tarczę sir Jamesa i malarza – polecił sir John.

Cedric wyszedł zamykając za sobą drzwi.

–Hrabia Northumberland – powiedział sir Chandos zwracając się do Jima – w czasie narady u Jego Królewskiej Mości miał przyjemność dowiedzieć się, że Jego Wysokość przyznał ci herb. Niewątpliwie w kraju, z którego pochodzisz, macie swoje własne herby. Niemniej uznano, że póki jesteś jednym z nas i żyjesz w naszej Anglii, powinienes, jak każe prawo, nosić angielski herb. Wygląd jego jest także w pewnym stopniu określony przez prawo. W każdym razie z Londynu został przysłany człowiek doświadczony w malowaniu herbów, mający wszystkie potrzebne informacje, który właśnie ukończył malować ten herb na twojej tarczy.

–Na mojej tarczy? – powtórzył Jim. Ostatnim razem, kiedy ją widział, tarcza stała w gospodzie, pod opieką Theolufa, razem z całą resztą bagażu należącego do trzech mężczyzn.

–Wysłałem Johna Chestera po tarczę zaraz po tym, jak po raz pierwszy rozmawiałem z sir Johnem – wyjaśnił sir Brian. – Powiedział mi, że byłeś wówczas zajęty rozmową na dziedzińcu z sir Gilesem, więc nie chcąc ci przeszkadzać, po prostu poszedł na górę, pomówił z Theolufem, zabrał tarczę i przyniósł ją tutaj.

–Aha – powiedział Jim.

Prawdę mówiąc nosił swoją tarczę w futerale, to znaczy okrytą płóciennym pokrowcem, od chwili kiedy opuścili Malencontri. Dotąd jeszcze nie zdecydował się, żeby na jej gładkiej, metalowej powierzchni umieścić jakikolwiek herb, chociaż sir Brian zapewniał go, że mógłby umieścić na niej taki herb, jaki tylko chciał. Żaden inny rycerz nie sprzeciwiłby się temu, chyba że zdarzyłoby mu się skopiować herb kogoś innego. Naprawdę był nieco zdziwiony, że Jim nie umieścił natychmiast na swojej tarczy herbu, jaki niewątpliwie posiadał w swoim odległym kraju Riveroak, z którego przybył. Wahanie się Jima brało się z poczucia winy, że przypisał sobie nie tylko nie istniejącą pozycję, ale i fałszywy herb, który wymyślił na oczekaniu, kiedy po raz pierwszy spotkał rycerza.

Kiedy tak rozmyślał, drzwi otworzyły się i wrócił Cedric, a za nim mały człowieczek o artretycznie pochylonych plecach. Mógł on mieć nieco ponad czterdzieści lat, gdyż włosy dopiero zaczynały mu siwieć i miał większość zębów, ale ze swego zachowania i pomarszczonej, wysuszonej skóry wyglądał na lat siedemdziesiąt.

Mały człowieczek niósł tarczę Jima, już bez pokrowca, ale z licem odwróconym od Jima. Cedric podszedł do stołu, w milczeniu odebrał swoje gęsie pióro i wrócił do pulpitu. Mały człowiek wystąpił naprzód, kiwnął głową sir Johnowi, a potem pozostałym trzem, i oparł tarczę na ostrym zakończeniu, z licem wciąż odwróconym od Jima.

–I cóż, Mistrzu Herbowy? – spytał sir Chandos. – Skończyłeś?

–W rzeczy samej skończyłem, sir Johnie – odrzekł mały człowieczek skrzypiącym głosem – chociaż farba jest wciąż wilgotna, tak więc radziłbym, aby żaden z was, szlachetni panowie, nie dotykał tarczy jeszcze przez jakąś godzinę. Czy mam pokazać godło?

–Po to tu właśnie jesteś, człowieku – powiedział sir John z lekkim rozdrażnieniem.

Nie wydawało się, żeby mały człowieczek poczuł się obrażony czy onieśmielony reakcją sir Chandosa. Odwrócił tylko tarczę, by pokazać jej przednią stronę.

Jim przyjrzał się jej. To, co ujrzał na metalowej powierzchni, było stojącym na tylnych łapach smokiem otoczonym cienkim pasem, bardzo cienkim pasem złota, które wyglądało bardziej na prawdziwy metal niż farbę, gdyż nie połyskiwało wilgocią, jak pozostałe użyte kolory. Cała reszta tarczy była jednolicie ciemnoczerwona.

–Pojmujesz, że jest angielskim prawem i prawem wszystkich chrześcijańskich krajów – rzekł sir John – że każdy o twoich – eee – talentach zawsze powinien posiadać trochę czerwieni w swoim herbie, iżby każdy inny szlachetny rycerz, mając powód do dysputy z tobą, został w porę ostrzeżony o tym, jaką przewagę mógłbyś uzyskać ze względu na to uzdolnienie.

Jim zrozumiał od razu. Teraz znał się zaledwie tyle na Magii, żeby czyniło go to niebezpiecznym w warunkach normalnej walki – jeśli wzięło się pod uwagę fakt, że mógł zmieniać się z człowieka w smoka – ale nie było niczym dziwnym, że ktoś, kto potrafił używać wszelkich form sztuki magicznej, mógł być uważany za posiadającego niesprawiedliwą przewagę nad rycerzem, który Magii nie znał. Był to raczej uprzejmy rodzaj przestrogi – pomyślał Jim – zwłaszcza że uważano za całkiem normalne, jeśli wielcy rycerze atakowali o wiele mniejszych i słabszych niż oni sami, oczywiście pod warunkiem, że zaatakowany był istotnie rycerzem i nosił broń. Nauczył się jednak wiele miesięcy temu nie kwestionować zwyczajów tego świata, tylko je akceptować i dostosowywać się do nich.

Jednakże teraz wymagane były jakieś wyrazy wdzięczności.

Odwrócił się do sir Chandosa.

–Jestem wielce zobowiązany Jego Królewskiej Mości i hrabiemu Northumberland za ten herb – powiedział – a także tobie, sir Johnie – odwrócił się do małego człowieczka – i tobie, Mistrzu Herbowy. Będę zaszczycony nosząc ten herb przyznany mi przez króla Anglii. Czy zechcesz przekazać wyrazy mojej głębokiej wdzięczności i podziękowania Jego Królewskiej Mości i szlachetnemu hrabiemu, gdybyś kiedykolwiek znalazł się w okolicznościach, które na to pozwolą, sir Johnie? Byłbym ci za to doprawdy niewymownie wdzięczny.

–Naturalnie, z przyjemnością, sir Jamesie – rzekł sir Chandos. – Wypowiadasz swoją wdzięczność w najbardziej szlachetny sposób, jak sądzę, i jestem pewien, iż hrabia i Jego Królewska Mość będą myśleć podobnie.

Z tyłu przy pulpicie do pisania Cedric odchrząknął. Sir John popatrzył na niego przez chwilę, a potem znów spojrzął na trzech rycerzy.

–Jak widzę, czas jednak nagli – westchnął. – Mam wiele do zrobienia, czyniąc wszelkie przygotowania, okrętując tyle naszych wojsk, ile się da. Tak więc możecie



**odejść, szlachetni panowie. Z pomocą boską połączymy się wszyscy we Francji.  
Jim, Brian i sir Giles z ukłonami wycofali się z pokoju.**

## Rozdział 13

Właśnie wstawał świt.

Jim stał przy lewym nadburciu na bardzo małym, podobnym w kształcie do wanny stateczku, na którym przedzierali się nocą w dół przez Kanał Angielski i wzdłuż wybrzeży Francji. Kapitan, wbrew temu, co sir John mówił o wyruszeniu nazajutrz z odpływem, nalegał, by odbili z odpływem późno w nocy, tego samego dnia, w którym sir John Chandos przeprowadził z nimi rozmowę.

Powody, dla których kapitan chciał tak uczynić, były całkiem jasne. Właściciele statków i kapitanowie po obu stronach kanału między Anglią i Francją zdawali sobie sprawę z tego, że królestwa te niedługo znów będą toczyć wojnę. Znaczyło to, że statki będą częściej kierować się na południe. Na otwartym morzu każdy statek mógł być statkiem pirackim, jeśli zauważył okręt mniejszy i wyglądający na łatwy do zdobycia. Ten kapitan, podobnie jak większość innych szyprów, był jedynym właścicielem swego statku. Gdyby go stracił, straciłby środki utrzymania się przy życiu.

Kapitan i zarazem właściciel statku twierdził, zaklinając się na sporą liczbę świętych, by świadczyli o prawdzie jego słów, że noc będzie jedyną rozsądną i bezpieczną porą na zabranie trzech takich ludzi jak oni do Brestu. Nie byłoby tak przy złej pogodzie, ale teraz i wiatr, i księżyc, prawie w pełni, sprzyjały im.

Jednakże mimo tych dobrych warunków konstrukcja statku, a także wody, które przemierzali, uczyniły tę podróż bardzo burzliwą. Sir Giles czuł się dobrze, ale sir Brian chorował prawie od chwili, kiedy opuścili Hastings. Jim odkrył już we wczesnej młodości, że z jakiegoś tajemniczego powodu był odporny na morską chorobę, tak więc teraz przejmował się tylko tym, jak taka łupinka przetrwałaby, gdyby nadszedł sztorm. Szczęśliwie przez całą noc pogoda, jak to wcześniej przewidywał kapitan, była aż niewiarygodnie dobra.

Po północy minęli wyspy na kanale. Potem kapitan trzymał statek z dala od lądu, choć był najwyraźniej jednym z tych nawigatorów, którzy woleli w każdej sytuacji widzieć linię brzegu na horyzoncie – Jim wiedział, że wszyscy nawigatorzy byli tacy w tym czasie. Jednak wraz z rozjaśnianiem się nieba kapitan sterował bliżej ciemnej linii, którą Jim ostatecznie rozpoznał jako ląd, nie zaś krawędź nisko wiszących, ciemnych chmur.

Teraz, gdy budził się jasny, bezchmurny dzień, Jim ujrzał, że znajdowali się dość blisko wybrzeża, które z obu stron ciągnęło się po horyzont.

Na dziobie statku ujrzał barczystą sylwetkę kapitana, który stojąc na szeroko rozstawionych nogach, wpatrywał się przed siebie. Podeszedł do niego wzdłuż burty statku.

–Gdzie jesteśmy? – zapytał.

–Wchodzimy na wysokość Brestu – odpowiedział kapitan, nie odrywając oczu od wody i lądu przed nimi. – Niech nas Bóg ma w swojej opiece – przeżegnał się – gdyż w tych wodach pełno jest skał i muszę...

Nie dokończył zdania. Nagły wstrząs targnął całym kadłubem i statek gwałtownie stanął.

–Co to? – dopytywał się Jim.

–Strzeżcie nas wszyscy święci! – krzyknął kapitan, dosłownie załamując ręce. – Tak jak się obawiałem, złapało nas! Całkiem stoimy!

Jim spojrział zdziwiony na tego mężczyznę, który nie ruszył się, żeby cokolwiek zrobić, tylko stał w miejscu, wykręcał sobie ręce, a w oczach błyszczały mu łzy. Za Jimem rozległ się szybki tupot nóg i pół tuzina ludzi tworzących załogę statku podbiegło, tłocząc się na dziobie wkoło kapitana i wpatrując się w wodę przed nimi. Istotnie statek stał pewnie i nie poruszył się, mimo iż wiatr wydymał pojedynczy żagiel nad ich głowami.

–Widzicie coś? – Jim usłyszał, jak jeden z nich pyta.

–Nie – odpowiedział mężczyzna koło niego, wciąż wpatrując się w wodę.

–Co się dzieje? – Jim spytał kapitana, – Czemu nic nie robicie?

–Tu nie ma nic do zrobienia, szlachetny rycerzu! – odpowiedział kapitan, wciąż na niego nie patrząc. – Te skały są jak żelazo. Utkwiliśmy tu na dobre, póki nie sześniemy z braku jada i wody albo nas wiatr w końcu nie zwieje i nie zatoniemy przez tę dziurę, którą na pewno skała wydarła nam w poszyciu.

–Z pewnością coś moglibyście zrobić – powiedział Jim. – Macie na pokładzie tę małą łódź. Dlaczego nie opuścicie jej za burtę, nie przywiążecie jej liną do statku i nie sprawdzicie, czy nie da się nas odholować z uwięzi?

Ale kapitan tylko głową bez słowa pokręcił, a po twarzy strumieniami płynęły mu łzy.

–Coś nie w porządku? – w uchu Jima zabrzmiał głos sir Briana.

Jim odwrócił się i dostrzegł rycerza przy swoim boku.

–Zdaje się, że wpadliśmy na skałę, Brianie, na podwodną skałę – powiedział Jim. – Próbowałem skłonić kapitana, żeby coś zrobił, ale on chyba myśli, że to nie ma sensu.

–Łąd jest nie dalej niż dwie czy trzy mile stąd, a on myśli, że to nie ma sensu? – parsknął rycerz. – A cóż to za strachajło, że tak łatwo się poddaje? – Podniósł głos. – Ach, ty... – Walnął kapitana pięścią w ramię tak, że tamten zachwiał się na nogach, ale wciąż nie odpowiadał. Zdawał się pogrążyć w szaleństwie żalu i rozpacz.

Brian wciąż na niego wrzeszczał, ale żeglarz nie zwracał nań uwagi. Jim obejrzał się przez ramię. Położył dłoń na ręce rycerza, by przyciągnąć jego uwagę.

–Gdzie sir Giles? – spytał.

–Nie wiem, do cholery! – warknął Brian, jeszcze raz waląc pięścią kapitana. – Ty, obudź się no! Jesteś mężczyzną czy jakimś zarzyganym niemowlęciem, żeby tak sterczeć, płakać i nic nie robić?

Równie dobrze mógłby przemawiać do człowieka pogrążonego w transie.

Jim, wiedziony nagłą ciekawością, zostawił go, żeby sobie sam radził z kapitanem, i przeszedł wzdłuż całej długości statku, szukając Gilesa. Było rzeczą niezwykle dziwną, że rycerz ten nie przyłączył się do wszystkich stojących na dziobie statku, gdzie działo się całe to zamieszanie.

Śródkręcie małego stateczku, jak i ładownie, zastawione było skrzyniami i belami. Wszystkie one były mocno przywiązane, żeby się nie przesuwwały w trakcie

żeglugi. W rezultacie tego Jim musiał przepychać się między towarami, spośród których część spiętrzona była powyżej jego głowy, i uważać, żeby nie zaczepić nogą i nie potknąć się o liny, które mocowały cały ten ładunek. Skutkiem tego nie ujrzał sir Gilesa, aż nie zbliżył się do rufy statku i wypadł na niego nagle, zza rogu wielkiej sterty baryłek.

Ku jego zdumieniu rycerz właśnie kończył zdejmować ubranie. Bez niego był bardzo okrągły i różowy, tak że wyglądał jak cherubinek z białymi wąsami. Jim przyglądał mu się w zdumieniu.

–Co zamierzasz, Gilesie? – spytał.

–Niech to szlag, no dobra, gap się, jak chcesz, do diabła! – Sir Giles spiorunował go wzrokiem. – To porządna krew, w mojej rodzinie zdarzało się to od pokoleń. Wcale się tego nie wstydzę – tylko nie łaż w kółko rozgadując o tym pierwszemu lepszemu Tomowi, Willowi czy Halowi. Jeśli chcesz wiedzieć, to mam zamiar przyjrzeć się tej łodzi od spodu i zobaczyć, na czym siedzi!

Całkiem nagi podbiegł do burty, wdrapał się na nią, pozornie zastygł na minutę; potem skoczył do wody i wylądował w niej z głośnym pluskiem. Jim, który odruchowo szedł za nim, zbliżył się do burty w samą porę, aby zobaczyć, jak w zetknięciu z morzem rycerz zamienia się w gładką, szarą postać foki. Foka wyprostowała się, wytknęła głowę z wody na moment, by spojrzeć na Jima oczami sir Gilesa, szczerknęła raz, potem odwróciła się, zanurkowała i znikła.

Jim stał i przez długą chwilę przyglądał się ciemnej powierzchni morza. Więc to ten szczególny talent czy zaleta sir Gilesa. Był on tym, co określało się jako *silkie*\*, kimś, kto, żeby przytoczyć stare określenie, jawił się „człowiekiem na ładzie i foką w morzu”.

Jim odwrócił się i pośpieszył z powrotem na dziób, gdzie Brian dosłownie maltretował biednego kapitana. Reszta załogi statku stała z boku i nie wykazywała ochoty do wtrącania się. Było ich sześciu, a każdemu w pochwie u pasa zwisał długi nóż. Ale ze względu na miecz przy boku sir Briana albo też dlatego, że wywodził się ze stanu rycerskiego, nie przeszkadzali mu. A może obwiniali kapitana o to, że wpadli na skałę, i było im po myśli zobaczyć, jak obrywa porządną burę – w każdym razie pozostawali tylko widzami.

Jim skrzywił się. Pod pewnymi względami sir Brian był najłagodniejszym i najuprzejmiejszym z ludzi, ale także żył według zbioru surowych zasad, do których i Jimowi, i Angie niezwykle trudno było się stosować. Podszedł i złapał rycerza za ramię, żeby go powstrzymać.

–Brianie! – zawołał. – Co ty robisz?

Rycerz odwrócił głowę ze srogą miną, ale jego twarz złagodniała, kiedy zobaczył, że to Jim.

–Ależ Jamesie – zdziwił się – ten człowiek stracił rozum. Próbuję tylko wlać mu trochę oleju z powrotem do głowy.

–Tak nie można – zaprotestował Jim. – On jest po głębokim wstrząsie emocjonalnym.

–Głębokim... – Brian wytrzeszczył na niego oczy. – Ee... Jamesie, chodzi ci o coś

magicznego?

Jim użył słów, które po prostu przyszyły mu do głowy. Nie pomyślał, jak one brzmią w języku, którym mówił w tym świecie, ani czy gdyby umiał znaleźć jakieś poprawne ich tłumaczenie, Brian pojąłby cokolwiek z ich sensu. Przez chwilę kusiło go, żeby mu to wytłumaczyć, ale już kilka razy przedtem próbował; nie udawało się przekroczyć bariery między myśleniem średniowiecznym a dwudziestowiecznym, technologicznym – i to nauczyło go trzymać język za zębami.

Nie było szansy, że rycerz zrozumie cokolwiek z tego, co mu teraz powie. Z punktu widzenia Briana było czymś jak najbardziej naturalnym walić w głowę, której coś zaszkoziło, tak długo, aż klepki poukładają się we właściwym porządku. W ten sam sposób ktoś we właściwym świecie Jima kopałby albo walił w jakąś maszynę, mając nadzieję, że zaskoczy i wróci do stanu używalności.

Poza tym należało teraz porozmawiać o ważniejszych sprawach. Jakkolwiek niedorzeczne by się to wydawało, był to jeszcze jeden przypadek, w którym prościej było zwyczajnie skłamać.

–Można by to tak określić, Brianie – powiedział Jim – ale jest w tej chwili coś ważniejszego. Musimy porozmawiać o tym na osobności.

–Całkiem słusznie – przytaknął rycerz, odwracając się od wciąż nie reagującego kapitana. – Przejdźmy na tył tego statku... Stać! – Ostatnie słowo krzyknął głosem świadczącym o całym jego doświadczeniu w dowodzeniu wojskiem. – Pierwszemu, który dotknie tej łódki bez rozkazu sir Jamesa albo mojego, obetnę rękę!

Kilku ludzi z załogi, którzy zaczęli przesuwać się w kierunku szalupy, przeznaczonej zazwyczaj do przewożenia nie więcej niż trzech osób, ale mogącej prawdopodobnie zmieścić jeszcze jedną, natychmiast stanęło.

–A teraz, Jamesie – powiedział rycerz zwracając się do Jima – chodźmy na stronę.

Skierowali się do tyłu przez paki i bele. Brian obejrzał się raz czy drugi przez ramię, by upewnić się, że nikt z załogi nie ruszył się z miejsca, w którym ich zostawił. Pozwolił Jimowi zaprowadzić się za stertę baryłek, gdzie na pokładzie leżało ubranie sir Gilesa.

–A to co? – spytał schylając się, żeby podnieść kubrak, i zerkając przez pobliską burtę statku. – Istotnie, nie miałem pojęcia, że ten szlachcic umie pływać. Musi pływać prawie tak jak ryba, żeby zejść pod wodę na głębokość dna statku.

–To właśnie chciałem ci powiedzieć, Brianie – rzekł Jim. – Normalnie uszanowałbym tajemnicę Gilesa. Jednakże sam zobaczysz, gdyż sądzę, że...

Rycerz przerwał mu, odwrócił się, wystawił głowę zza baryłek i krzyknął w kierunku dziobu statku:

–Ha! – Stał przez chwilę patrząc tam, a potem odwrócił się do Jima. – Jeden z nich wyglądał, jakby mimo wszystko próbował wymknąć się do szalupy. Z nimi to będzie prawdziwe *sauve qui peut*\*. A gdy kilku znajdzie się w łodzi i uda się na wybrzeże, nie sądzę, żeby tu jeszcze wrócili, aby przewieźć resztę w bezpieczne miejsce, tak jak zrobiliby to szlachcic. Tak, ale ty coś mówiłeś, Jamesie?

–Miałem powiedzieć ci coś o Gilesie – rzekł James. – Rodzaj sekretu rodzinnego.

**Jak mówię, normalnie nie zdradzałbym jego tajemnic, ale obydwaj razem będziemy musieli rzucić mu linę i wyciągnąć go na pokład, kiedy wróci. Tak czy inaczej sam byś zobaczył. Brianie, sir Giles umie zmienić się w fokę, kiedy zanurza się w morzu.**

**–Aha – odpowiedział rycerz w zamyśleniu – silkie. Kiedy wspomniał o swoim domu rodzinnym w Northumberland, nad morzem, na wpół się tego spodziewałem. Jamesie... – Odwrócił się i znów wystawił głowę zza baryłek. Jim nie widział wyrazu jego twarzy, ale Brian spoglądał na dziób przez długą chwilę, zanim znowu się odwrócił. – Jamesie, ta banda rzezimieszków znajdzie się w szalupie i zwieje, chyba że prawie cały czas będziemy ich trzymać na oku – powiedział. – Jeśli jednak obaj będziemy potrzebni tutaj, przy nadburciu, będą mieć dosyć czasu, żeby dostać się do łodzi, i uciekną – a może my będziemy potrzebować tej szalupy. Mogę utrzymać ich tam, gdzie są, jak długo na nich co chwila patrzę, ale w momencie kiedy pomyślą, że o nich zapomniałem, ruszą się z miejsca i zwieją.**

**–Tak – powiedział Jim. – Jak sądzisz, co możemy zrobić?**

**–Mógłbym po prostu stać nad nimi – rzekł rycerz – ale jak mówisz, jestem tu potrzebny. To ty możesz tak ich nastraszyć, że nie będą śmieli drgnąć. Pokaż im swoją tarczę. Powiedz im, że jesteś czarownikiem i rzucisz na nich jakieś zaklęcie, które zmieni ich w ropuchy czy coś takiego, jeśli się ruszą. Potem będziemy mogli bezpiecznie odwrócić się do nich plecami. Żaden nie będzie śmiał ruszyć się z miejsca, nawet żeby ocalić swą duszę.**

**Jim poczuł muśnięcie wewnętrzznego smutku. Niewinna wiara Briana w zdolność Jima do stosowania Magii jakiegokolwiek pożądanego rodzaju dotychczas nie przynosiła Jimowi większych kłopotów. Najwyraźniej z punktu widzenia rycerza albo było się Magiem, albo się nim nie było. Jeśli zaś było się Magiem, to powinno się móc zrobić każdą rzecz z tych, które robią Magowie. Brian wierzył w to bez względu na fakt, iż został dokładnie poinformowany, że Jim ma tylko rangę D w Wydziale Kontroli, podczas gdy ktoś taki jak Carolinus jest jednym z trzech Magów na świecie z rangą AAA+.**

**Jim nie miał zielonego pojęcia, jak zamieniać ludzi w ropuchy, niezależnie od tego, czy się ruszyli, żeby spowodować tę zmianę, czy nie. Po zastanowieniu przyszło mu jednak do głowy, że jeśli rycerz tak całkowicie wierzy w to, co on mógłby zrobić, to i żeglarze będą najprawdopodobniej wierzyć w to tak samo.**

**–Znakomity pomysł, Brianie – powiedział. – Właśnie tak zrobię. Tymczasem czy zechcesz powyglądać za Gilesem tam za burtą?**

**Wskazał ręką.**

**–Chętnie – odparł rycerz. Podeszedł do burty i wychylając się poza nią zaczął wpatrywać się w wodę.**

**Jim okrążył baryłki i ujrzał nagle, niespokojne poruszenie, kiedy dość luźna grupa na dziobie znów stłoczyła się ciasniej. Znalazł na pokładzie swoje rzeczy i wydobył tarczę. Zdjął z niej pokrowiec i zaniósł ją na dziób do żeglarzy. Kapitan, ciągle w szoku, wciąż popłakiwał.**

**–Widzicie tę tarczę? – zapytał Jim, spoglądając na załogę tak srogo, jak tylko umiał.**

Wlepili w nią oczy.

–Wiecie, co oznacza na niej ta czerwień? – spytał władczo. – Niech mi jeden z was odpowie!

–Je-jesteście Magiem, panie? – wyjąkał jeden z nich po długiej przerwie.

–Dobrze! – powiedział Jim. – Widzę, że macie trochę pojęcia o świecie. Bardzo dobrze. – Prawą ręką puścił tarczę i zrobił kilka skomplikowanych ruchów w powietrzu między sobą a żeglarzami. Odsunęli się od niego. – Mieńcieza eis puchywro! – zaintonował z powagą. – Teraz pierwszy z was, który ruszy się choć na krok z dziobu, na którym stoicie, na zawsze zostanie zamieniony w ropuchę. I będzie tak, aż wrócę i zdejmę z was zaklęcie!

Między żeglarzami zapanowało przerażenie. Już i tak wydawało się, że stali tak blisko, jak tylko się dało, ale teraz skupili się jeszcze ciaśniej. Jim odwrócił się i podniósł tarczę, po drodze naciągając na nią pokrowiec. Odłożył ją do reszty swego bagażu. Usłyszał teraz głos Briana wykrzykującego coś na rufie. Pośpieszył, by dotrzeć do przyjaciela.

Gdy okrążył stertę baryłek, sir Brian przechylał się przez nadburcie.

–Poczekaj chwileczkę, aż przyjdzie James! – wykrzykiwał za burtą statku. Jim podszedł do niego w samą porę, żeby zobaczyć na dole fokę, która pływała w kółko i spoglądała na nich.

–O tym, jak się dostać na pokład, mogeś pomyśleć, zanim wskoczyeś do morza – powiedział rycerz do foki. – Jeśli to ma być przykład northumberlandzkiego pomysłu...

Foka pod nim szczeknęła dwa razy, a szczeknięcia te nie zabrzmiały pochlebnie.

–O, jesteś, Jamesie – powiedział Brian. – Giles już jest z powrotem. Mówiłem mu właśnie, że za chwilę wrócisz. Przyniosłeś ze sobą linę?

–Nie – odparł Jim. – Nie pomyślałem o niej przy tym rzucaniu zaklęcia na żeglarzy, by utrzymać ich w miejscu. Czy zechciałbyś poszukać jakiejś liny? Ja w tym czasie będę miał sir Gilesa na oku.

–Zaraz wrócę – rzekł rycerz odchodząc ze swego miejsca obok Jima. – To nie potrwa dłużej niż chwilę. Pełno tego cholerstwa na pokładzie.

–Wszystko w porządku, Gilesie? – spytał Jim przechylając się przez nadburcie. – Czy odkryłeś coś istotnego dla nas?

Foka zaszczekała do niego. Szczeknięcia wciąż były gniewne, ale nie miały już tak ostrego wydźwięku jak te, którymi odpowiedziała Brianowi. Wciąż jednak brzmiały co najmniej niecierpliwie.

–Proszę bardzo – powiedział Brian pojawiając się przy boku Jima. Trzymał koniec półcalowej linki.

Razem rzucili ją foce przez burtę, a ta wyskoczyła ponad wodę. W miarę wynurzania się foce wyrastały ramiona, którymi chwyciła za linę. Wynurzając się z wody foka przemieniła się z powrotem w gołego sir Gilesa, który, nie bez wysiłku i przekleństw, na wpół wspiął się, a na wpół dał się podciągnąć po burcie statku i pomóc sobie przeleźć przez nadburcie na pokład.

–Diabelnie tu na górze zimno! – wyjąkał trzęsąc się. – Zupełnie nagle przemarzłem

do kości! Dajcie mi coś, czym mógłbym się wytrzeć.

–O tym też pomyślałem – powiedział Brian. – Rozciąłem jedną z beli. Oto sztuka jasnozielonego sukna z Lincoln, którą odciąłem mieczem.

Giles wyrwał je rycerzowi z ręki i zaczął się wycierać do sucha.

–Tu na gorze? Zimno? – spytał Jim. – No to woda musiała być lodowata.

–Ależ skąd. Doprawdy, całkiem przyjemna – powiedział Giles wycierając się – Ale, oczywiście, byłem w swoim innym ciele.

Ponieważ woda w morzu, zwłaszcza w tej okolicy, daleka była od uznania jej za ciepłą przez rozebranego człowieka, Jim z łatwością uwierzył, że przybieranie ciała foki zamiast ludzkiego jest jedynym sposobem, by zanurzenie się w niej mogło być dla kogoś przyjemnością.

–Co znalazłeś? – dopytywał się Brian z ożywieniem.

–Za chwilę, Brianie – przerwał Jim. – Gilesie, Brian oczywiście posiada teraz wiedzę o – ehm – talencie twojej rodziny, do którego nawiązywał sir John Chandos. Obaj znacie mój. Jestem Magiem.

–Istotnie – rzekł pokornie Giles. – Dowiedziałem się tego jeszcze w gospodzie. Jeśli uraziłem cię swą ignorancją co do twej prawdziwej rangi, milordzie Magu, najszczerzej błagam o wybaczenie.

–Nonsens – przerwał mu Jim. Spodziewał się, że Giles, będąc silkie, nie będzie brał faktu znajomości Magii przez Jima tak poważnie jak Brian i inni.

–Mam zaledwie klasę D, co czyni ze mnie czarodzieja bardzo podrzędnej rangi.

–Jednakowoż – wtrącił gładko Brian – potrafił rzucić zaklęcie na żeglarzy tam na dziobie, by nie uciekli z tą łódką, którą mamy na pokładzie. I tak mogliśmy swobodnie się zająć wyciąganiem cię z wody.

–Ha! – powiedział sir Giles. – To dobrze. To bardzo dobrze. Gdybyś łaskawie podał mi moją spodnią odzież i nogawice, milordzie.

–Gilesie – odezwał się Jim podając mu ubranie – wracając do tego, co właśnie mówiłem, byliśmy ze sobą po imieniu, o ile pamiętasz. Proszę, zostańmy przy tym. Ty jesteś silkie. Ja jestem początkującym Magiem. Sir Brian to po prostu zacny i męzny rycerz. Jednakże tu jesteśmy wszyscy trzej równi i wszyscy dobrymi przyjaciółmi. Więc mów mi James.

–Jak sobie życzysz. To bardzo uprzejmie z twojej strony, mi... Jamesie – odparł sir Giles szybko się ubierając. – Bardzo szlachetnie, w istocie, biorąc pod uwagę, że ja tylko urodziłem się jako silkie, podczas gdy, o ile wiem, zrozumienie Magii wymaga wielkich i przerażających studiów. Ale jeśli tak chcesz, Jamesie – pośpieszył, by przerwać Jimowi, który znów chciał się odezwać – to niech i tak będzie. I Brianie, jeśli mój słownik był nieco zbyt grubiański przed chwilą, kiedy byłem w wodzie, a ty stałeś nade mną...

–Tych parę szczęknęć... – machnął ręką rycerz. – Nie słyszałem nic, co mogłoby obrazić.

–Jesteś także bardzo uprzejmy, Brianie – powiedział Giles kończąc się ubierać. – A teraz co do statku. Naprawdę wcale nie siedzi tak mocno i wcale nie jest przedziurawiony.



–Kapitan nie będzie posiadać się z radości, kiedy to usłyszysz – stwierdził Jim – ale mów dalej. Jak więc wygląda sytuacja tam na dole?

–Po prostu wjechaliśmy dziobem tak jak na piaszczysty brzeg, na niedużą skałę w kształcie wieży – odpowiedział Giles. – To wystający fragment większej skały, która ciągnie się w dół aż do dna. Ale, jak się wydaje, mimo że statek tkwi na dobre, nie jesteśmy mocno unieruchomieni. Jednak przyływ nas z niej nie zdejmie, ze względu na to, jak skała nas trzyma. Jedyne sposobem uwolnienia się to cofnąć statek. A to da się zrobić, jeśli mamy dość krzepy. Jeśli kapitan i jego chłopcy dadzą mi dłuższą linę, to mogę popłynąć z nią z rufy i zawiązać wokół innej ostrogi skalnej niedaleko stąd. A używając tej maszyny, którą mają na pokładzie do podnoszenia ciężarów i innych takich...

–Kołowrót z blokadą – podsunął Jim

–Nieważne, jak to się tam nazywa. Trzeba będzie opuścić żagiel, bo wiatr z tej strony pracowałby przeciw naszym wysiłkom, dociskając nas bardziej do skały. Ale jeśli zrzucą go i użyją tego kołowrotu z blokadą, żeby zwiększyć siłę, to jestem pewien, że uda nam się uwolnić statek.

–No to tak właśnie zrobimy – powiedział zdecydowanie sir Brian. – Zajmijmy się tym od razu.

Żałodze kazano się przenieść z dziobu na rufę. Zrzucano żagiel, a długą, mocną, chyba cumowniczą linę porządnie zamocowano na rufie. Kapitanowi, który wrócił do życia, słysząc, że jest nadzieja dla jego statku, wyjaśniono, co zamierzają zrobić. Trzej rycerze zanieśli drugi koniec liny dość daleko na dziób, żeby Giles mógł jeszcze raz wskoczyć do morza i zamienić się w fokę na osobności. Tęgawy młody rycerz jeszcze raz się rozdział.

–Ale jak masz zamiar przywiązać coś takiego nie mając rąk? – spytał Jim.

–Nie widzę trudności – odrzekł Giles. – Zaniosę koniec liny w zębach za tę dalszą skałę, potem dookoła niej, ponad nią i dookoła tej części liny, która prowadzi do statku, aż zrobię węzeł. Potem po prostu go zaciągnę. Powinien przesunąć się wzdłuż tego drugiego końca liny i oprzeć się mocno o naszą kotwiczną skałę. Zobaczysz, że nie będzie z tym kłopotu. Trzeba tylko, żeby marynarze przyłożyli się z krzyża i zrobili swoją część roboty.

–No to siup – powiedział Brian, gdy rycerz się znów rozebrał. – Poczekamy, aż wrócisz, i zadbamy, żebyś mógł się wytrzeć i ubrać. A potem wrócimy na rufę i wydamy kapitanowi rozkazy.

Wszystko poszło zgodnie z planem Gilesa. Kiedy wracali, Jim zasugerował, żeby pomóc żałodze ciągnąć za koniec krótszej liny, nawiniętej na kołowrót z blokadą, do którego z kolei zamocowano linę zawiązaną przez Gilesa wokół podwodnej skały. Sir Brian jednakże lekko przeszedł do porządku nad tą sugestią.

–Jesteśmy rycerzami i ludźmi pewnej rangi – powiedział. – Gdyby to było potrzebne, moglibyśmy pomóc. Ale pozwólmy im najpierw wykazać zapał i pomozolić się nad tym. Z pewnością potrafią dać sobie radę z taką drobnostką, jak ruszenie tego z miejsca, tak jak mówił Giles.

Jim pozostał przy swoim zdaniu, ale machnął na to ręką.

Żeglarze przymocowywali już dłuższą linę do kołowrotu z blokadą i krótszą liną. Lina od kołowrotu, którą mieli ciągnąć, nawinięta była na coś w rodzaju wąskiego bębna z hamulcem, który mógł być uruchamiany nogą przez człowieka dzierżącego linę najbliżej bębna, by utrzymać w miejscu każdy zysk na linie, jaki mogli zrobić. Kapitan z przejęciem wypytywał sir Gilesa.

–A jak właściwie powiedziałaś, panie, że rufa statku... Rycerz wyjaśnił mu to łagodnym głosem. Jimowi przyszło do głowy, że Giles, przez całe życie mieszkając tak blisko morza, miał już przedtem coś wspólnego ze statkami i ludźmi, którzy na nich żeglowali.

–To zaledwie kawałeczek skały – odpowiedział – z małym nachylnym w górę rowkiem, i w ten rowek wepchnęła się rufa twojego statku – ale tylko na parę cali. Ściany szczeliny utrzymują kil w wyprostowanej pozycji, ale przychwyciły go tylko za koniec. Dlatego wydaje się, że statek utkwiał. Ale tylko ledwie, ledwie. Krótkie pociągnięcie do tyłu ściągnie go.

–Chwała Bogu i wszystkim świętym! – powiedział kapitan. – Słyszycie, chłopcy? Mocne pociągnięcie, ale krótkie. Jeden spory wysiłek i znów płyniemy! Więc jeśli wszystko gotowe, natężcie się i do roboty!

Najwyraźniej wszystko było gotowe, bo mężczyźni splunęli w dłonie i wszyscy razem cofnęli się o pół kroku, naciągając linę, którą trzymali. Bęben obrócił się o pół obrotu. Cuma wyprostowała się, podnosząc się wyżej nad wodę, tak że bliższa była teraz linii prostej niż łuku, jakim poprzednio zwisała. Jeszcze dwa razy pozyskali w ten sposób trochę długości liny. Wciąż jednak statek się nie poruszył.

–Dalej! Dalej! – zagrzewał ich kapitan. – Ciągnąć, chłopcy!

Mężczyźni ciągnęli i pomrukiwali. Zyskano jeszcze kilka cali, ale statek wciąż się nie ruszał, a lina wyciągająca, której dalszy koniec zniknął w wodzie, zdawała się tak nieporuszona, jakby była raczej rzeczą sztywną niż giętką.

–Może powinniśmy ich wychłostać i w ten sposób wydobyć z nich więcej wysiłku – zaproponował sir Brian w zamyśleniu.

–Chyba można by – zgodził się Giles.

–Nie! – krzyknął Jim, a kapitan odwrócił się twarzą do dwóch rycerzy, jakby chciał własnym, szerokim ciałem zastąpić im drogę i powstrzymać przed jakąkolwiek próbą osiągnięcia jego ludzi.

–Nie, nie, panowie – zaprotestował. – Moim chłopcom nie brak dobrych chęci. Bez obrazy, ale wy, którzy jesteście zawsze na łodzi, nie macie pojęcia o tym, czym jest ruszenie statku tej wielkości choć o parę cali, nawet gdyby utkwiał tylko na ostrzu igły. Ale nam się uda!

Damy radę, chłopcy! – krzyknął odwracając się do swoich żeglarzy i łapiąc za koniec liny, na którą napierali. – Dalej, razem. Za mną, teraz.

Chrapliwie zaczął śpiewać:

*Nie ma pana morski wąż...*

Sześć innych szorstkich głosów dołączyło do niego, tak że śpiewali razem:

*Lecz wy, chłopcy, macie,*

*Trzymaj mocniej, rwij go wciąż,*

***Wyciągnij go za gacie!***

***Rwij i ciągnij! Wszyscy razem!***

***Rwij i razem w górę!***

***Rwij i ciągnij, dzielnyś błazen!***

***Wyciągnij go za sznurek!***

W trakcie pierwszej części śpiewu i próby ciągnięcia nic się nie stało, ale przy ostatniej strofie statek szarpnął się i drgnął. Wydawało się jednak, że wcale nie poruszył się w tył, a tylko zatrzęsł w miejscu. Pieśń jednak była zaraźliwa. Jim złapał za kawałek liny za grubym kapitanem i zaczął ciągnąć, śpiewając z resztą. Za nim chwycił linę Brian, a za nim Giles.

Wysiłek, połączone, harmonijnie ryczące głosy, wszystko to zjednoczyło ich razem i zdawało się dodawać im sił, z których istnienia nie zdawali sobie sprawy.

***Nie ma pana morski wąż,***

***Lecz wy, chłopcy, macie,***

***Trzymaj mocniej, rwij go wciąż,***

***Wyciągnij go za gacie!***

***Rwij i ciągnij! Wszyscy razem!***

***Rwij i razem w górę!***

***Rwij i ciągnij, dzielnyś błazen!***

***Wyciągnij go za sznurek!***

Gdzieś wśród tego potu i wysiłku nad wysiłkami statek nagle zadrżał i ruszył się nieco do tyłu. W chwilę potem kołysał się z ruchem fal i wszyscy wyczerpani rzucili linę, zastygając w milczeniu.

–Płyniemy! – krzyknął kapitan. Osunął się na kolana, złączył dłonie i wzniosł oczy do nieba. Bezgłośnie poruszał wargami modląc się.

Jeden po drugim żeglarze poszli za jego przykładem i oglądając się Jim zobaczył, że Brian i Giles także padli na kolana.

Otumaniony, zażenowany, nie całkiem będąc pewien, czemu to robi, sam ukląkł, złączył dłonie i trwał tak, choć nie czuł w sobie modlitwy. Jakoś mimo wszystko nie mógł dłużej stać.

Po chwili kapitan podniósł się i wszyscy wstali. Wydał komendę i żeglarze rozbiegli się do swoich obowiązków.

W niewiele ponad dwie godziny później statek zacumował w Breście, a Jim z Brianem, Gilesem i kilkoma żeglarzami zeszli po trapie do miasta.

## Rozdział 14

Kapitan powiedział im, gdzie znaleźć „Gospodę pod Zielonymi Drzwiami”, i wysłał z nimi trzech żeglarzy, by zanieśli ich bagaże. Tu, w Breście, było już ciepłe późne przedpołudnie. Słońce mocno przygrzewało z jasnego nieba, co wcale nie łagodziło smrodu portu ani ulic, przez które się przepychali.

Do ulic średniowiecznych miast, pomyślał Jim, on i Angje będą musieli się przyzwyczaić. Po chwili zastanowienia stwierdził jednak, że jeszcze się do nich nie przyzwyczał. Potem zaabsorbował go inny temat.

Na razie żeglarze nieśli ich rzeczy za nimi, ale gdy dostarczą je do pokoju w gospodzie, pójdą sobie. Jim zaczął żałować, że nie ma z nimi jego nowego giermka, Theolufa, ale to było niemożliwe.

Ludzie Jima i ludzie sir Briana musieli całą grupą poczekać na późniejszy, większy statek. W tym czasie ktoś musiał objąć nad nimi komendę, a w tym świecie komendę zawsze oddawano osobie o najwyższej społecznej randze. Albo jeśli było dwóch równych rangą, temu o większym starszeństwie.

Niestety, jedynym, kogo mogli zostawić, a kto miał pewną pozycję, był giermek Briana, John Chester. Kiedy Jim wreszcie to pojął, poczuł się nieswojo na myśl, że ten szesnastolatek o niewinnych oczach będzie sam komenderował osiemdziesięcioma trzema starszymi od niego zbrojnymi. Niektórzy z nich dobiegali czterdziestki i mieli za sobą długie lata wojennych doświadczeń i dzikiego życia.

Protesty Jima na nic by się nie zdały, a i tak nie było nikogo innego, kto mógłby przejąć komendę, jeśli on, Brian i Giles mieli wyruszyć samotrzeć, jak życzył sobie tego sir John Chandos. Był to jedyny sposób, żeby zwracali na siebie jak najmniej uwagi. Jima kusilo, żeby sprzeciwić się mianowaniu Johna Chestera, ale prawie cały rok przeżyty tutaj nauczył go, że wiele rzeczy po prostu musiał zaakceptować.

John Chester był szlachetnie urodzony. Był bardzo młodym i niedoświadczonym szlachcicem, ale mimo wszystko szlachcicem. Nie byłoby w porządku oddać go pod rozkazy pierwszego lepszego zbrojnego i nieważne, jak doświadczony byłby ten prosty człowiek. Ergo, John Chester będzie musiał nauczyć się dowodzić, czy się do tego nadawał, czy nie. Jim myśląc o tej sytuacji wręcz załamywał ręce, dopóki nie zobaczył, jak Brian rozmawia po cichu, lecz nagłym tonem ze swoim dowódcą zbrojnych, w pewnym oddaleniu od innych, we wspólnej izbie gospody, jeszcze w Hastings.

Pojmując nagle, jak można było takie rzeczy załatwić, rozejrzał się za Theolufem, a nie widząc go poszedł na górę do pokoju, który dzielił z Gilesem i Brianem. Byli zbrojni, a obecnie już giermek, siedział tam. Kiedy Jim wszedł, Theoluf wstał.

–Theolufie – powiedział Jim – o ile się nie mylę, będziesz zastępcą dowódcy pod młodym Johnem Chesterem?

–Istotnie, milordzie – odpowiedział Theoluf. – Jestem teraz giermkiem i przewyższam rangą każdego zwykłego zbrojnego, takiego jak Tom Seiver, który dowodzi ludźmi z Zamku Smythe.

–I jak wiem – ciągnął Jim – potrafisz utrzymać w ryzach taką grupę ludzi i zmusić ich, by szli tam, gdzie chcesz. Nie jest prawdopodobne, żebyś pozwolił im wymknąć

się spod kontroli, zbyt dużo pić, bić się czy też wałęsać.

–Nie, milordzie – powiedział giermek z ponurym uśmiechem. – Czy milord bał się, że ludzie nie dotrą tam, gdzie powinni dotrzeć, z całą bronią i zdolni do walki?

–No cóż, niezupełnie bałem się, Theolufie – rzekł Jim. – Jak pewnie wiesz, lubię Johna Chesjera, ale nie widział on tyle świata co ty i większość ludzi, których ty i Tom zabierzecie ze sobą za morze. Może więc stanąć przed decyzjami, które mogą być trochę za trudne...

Jim zawiesił głos. Nie wiedział naprawdę, jak poruszyć ten temat z giermkiem w taki sposób, żeby pozostać w zgodzie z regułami społecznymi. Ale Theoluf już go wyprzedził.

–Rozumiem, o co chodzi milordowi – podchwycił. Jeszcze raz uśmiechnął się swoim ponurym uśmiechem. – To porządny młody szlachcic, pan John Chester. Niech milord będzie spokojny, że ujrzy Johna Chestera i wszystkich ludzi w miejscu, które zostanie ustalone na spotkanie, kiedy nadejdzie czas. Ja i Tom Seiver odpowiemy ci za to głowami, gdyby się tak nie stało.

–Dzięki, Theolufie – powiedział Jim. – Ufam ci.

–Żaden z moich panów ani zwierzchników – rzekł giermek – nigdy nie zawiódł się na tym zaufaniu, milordzie. I nie zdarzy się to teraz.

Jim wrócił do wspólnej izby na dole z o wiele lżejszym sercem.

Wspomnienia te wróciły do niego, gdy tak wędrowali w kierunku „Gospody pod Zielonymi Drzwiami”. Jego własne położenie przypominało trochę położenie Johna Chestera i zbrojnych. Oto nosił pierścień, który miał pozwolić angielskiemu szpiegowi skontaktować się z nimi w tym miejscu, a działo się tak dlatego tylko, iż przed nazwiskiem miał słowo „baron”.

I sir Brian, który do tej pory poznał go tak dobrze, i sir Giles z pewnością musieli dostrzec nieporadność Jima w zachowywaniu się tak, jak powinien czternastowieczny człowiek o pewnej randze, nie mówiąc już nic o rycerskiej walce. Jednak obaj zdawali się akceptować tę sytuację bez zastrzeżeń. Być może był to rodzaj podwójnej skali ocen w myśleniu, która pozwalała Brianowi widzieć swego króla jako pijaka i człowieka zupełnie niezdolnego do podejmowania decyzji, a jednocześnie przypisywać mu wszelkie cnoty, jakie monarcha miał wedle tradycji posiadać.

Zastanowiło Jima, że być może Brian mógł tak myśleć po prostu dlatego, że król był jego królem i dlatego mógł w myślach czynić dlań specjalne ustępstwa – żeby nie powiedzieć usprawiedliwienia. Z pewnością było tak też w przypadku pani Geronde Isabel de Chaney, ukochanej rycerza. Jednym ciągiem mógł o niej mówić tak, jakby była całkowicie nierzeczywista i absolutnie doskonała, jak najlepszy produkt wyobraźni trubadura, a w chwilę potem opowiadać o niej jako o doprawdy bardzo rzeczywistej kobiecie z krwi i kości. Wyraźnie nie widział sprzeczności między tymi dwoma punktami widzenia, przy których na zmianę obstawał. Isabel była jego panią.

Być może – zaledwie być może – fakt, że sir James Eckert, rycerz i baron de Malencontri, i jednocześnie absolutnie o niczym nie mający pojęcia James, na wpół czarodziej, był przyjacielem Briana, umożliwił mu taki szczególny sposób patrzenia

na Jima.

Jim zastanawiał się też, czy do tej pory Brian i Giles, którzy zdawali się być na dobrej drodze do zawarcia przyjaźni, nie zrobili już tego samego, co Theoluf i Tom Seiver poczynili w sprawie Johna Chestera. Mogli zawrzeć coś w rodzaju cichego porozumienia, że zajmą się Jimem i pokierują nim w odpowiednią stronę, jednocześnie starannie dbając, aby jego prestiż na niczym nie ucierpiał.

Tak sobie rozmyślał do chwili, gdy znaleźli się przed wejściem do „Gospody pod Zielonymi Drzwiami”. Weszli do dużej wspólnej izby zastawionej długimi, jak na pikniku, stołami. Z obu stron stały przy nich ławy. We wnętrzu panował półmrok, przyjemny po rosnącym skwarze dnia na zewnątrz, ale zapach wspólnej izby był nie wiele lepszy, jeśli w ogóle różnił się od smrodu ulic i portu. Karczmarz, który podszedł, by ich powitać, w niczym nie przypominał tego, którego poznali „Pod Złamaną Kotwicą” w Hastings.

Ich nowy gospodarz nazywał się Renę Peran. Był młodym człowiekiem, raczej tłustawym niż mocno zbudowanym, z wyraźnie od paru dni nie goloną ciemną szczecinią na brodzie. Miał też jakąś mroczną podejrzliwość w oczach. Stwarzał wrażenie, że nie ufa im od pierwszego wejrzenia. A może nie lubił Anglików.

Mimo to wykonał zwykle powitalne manewry karczmarza, ale z jawnie fałszywą serdecznością. Jego zachowanie zdawało się mówić, że stanowią dla niego niepożądaną przeszkodę w pracy i że cieszyłby się mogąc się ich pozbyć i wrócić do swego zajęcia.

Wprowadził ich do izby na górze, może nie tak obszernej jak ta „Pod Złamaną Kotwicą”, ale prawie tak samo czystej. Łóżko było nie tyle meblem, co po prostu podwyższeniem, mniej więcej tego samego kształtu i rozmiarów co zwykle średniowieczne łóżka, jakie widywał Jim, i jak zwykle stało w kącie pokoju.

Znajdował się tam również stół i dwa stołki. Niechętnie, jak się zdawało Jimowi, karczmarz wysłał jednego ze służących po dodatkowe dwa stołki, gdyż Brian zaznaczył, że jest ich trzech, ale mogą mieć przynajmniej jednego gościa. Żeglarze położyli ich dobytek tam, gdzie im kazano, i wyszli, każdy z niedużym napiwkem od Jima. Jim pośpiesznie sam dawał te napiwki, bo wiedział, że sir Brian, o ile w ogóle ma pieniądze, to niezbyt dużo, i podejrzewał, że sir Giles był w podobnym położeniu, jako że jego rozprawianie o służącym, który ma do niego dołączyć, nigdy nie zaowocowało pojawieniem się tej osoby. Przy okazji zamówił też na górę trochę wina.

Wino przyniesiono prawie natychmiast. Dzban i kubki dalekie były od tego, co Jim nazwałby czystością. Otwarcie wypłukał jeden z nich odrobiną wina i wytarł czystą ściereczką wydobytą spośród swoich rzeczy. Robił to często w tym świecie i sir Brian, a także najwyraźniej sir Giles pogodzili się z tym, jako z czymś mającym związek z Magią.

Samo wino zrobiło im jednak niespodziankę. Kiedy rozsiedli się przy nim za stołem, Jima zaskoczył fakt, że było tak dobre jak najlepsze, jakiego próbował kiedykolwiek w Anglii. To młode wino o jasnoczerwonej barwie i smaku świeżości kusilo go, żeby zrobić uwagę na temat tego, jakie było dobre, ale skoro ani Brian, ani Giles nie uważali za konieczne wspomnieć o tym, pomyślał, że będzie może mądrzej

potraktować to jako rzecz oczywistą.

–No cóż – powiedział sir Giles i pociągnął spory łyk ze swego kubka, zanim znów zaczął mówić – skoro tu już jesteśmy, co mamy zrobić najpierw?

–Czekać, jak sądzę – zaproponował Brian.

Obaj spojrzeli na Jima. Zadawał on już sobie to pytanie, ale teraz po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że być może w radzeniu sobie z tą sytuacją miał pewną przewagę, której ci dwaj byli pozbawieni. Sir John wyglądał w tym świecie na kogoś w rodzaju szefa angielskiego wywiadu. Jako taki zadziwił Jima połączeniem cech człowieka swojej własnej epoki historycznej, który po prostu wydawał poddanemu rozkaz osiągnięcia czegoś, nie wdając się w szczegóły co do sposobu, w jaki ma on tego dokonać, i cech prawdziwie inteligentnego, myślącego człowieka z czasów Jima. W pewnym sensie był on na wpół średniowieczny i na wpół nowoczesny.

–Nic innego nie możemy zrobić – powiedział Jim. Spojrzał w dół na pierścień, który dość luźno siedział na środkowym palcu jego prawej dłoni. – Pokręcę się tu po gospodzie i pozwolę, żeby widziano ten pierścień; i zobaczymy, co się stanie.

–Niech to zaraza! – zaklął sir Brian. – Bardzo nie lubię tego rodzaju oczekiwania.

–Jednakże – mówił Jim patrząc na niego i sir Gilesa – myślę, że to konieczne.

Pamiętajcie, że mieliśmy zachowywać się spokojnie; zwracać na siebie jak najmniej uwagi – oprócz uwagi tego, kto powinien się z nami skontaktować.

–Prawda – warknął Brian – i nie spieram się z sir Johnem co do mądrości takiego postępowania. Lecz mimo wszystko, nie jest to proste dla kogoś mojego usposobienia!

–Ani mojego! – powiedział sir Giles.

On i Brian ceremonialnie stuknęli się kubkami przy tym stwierdzeniu.

Istotnie, w ciągu następnych paru dni Brian miał wystarczające powody do narzekań, a Jimowi trudno go było za to winić. Ani on, ani Giles nie byli stworzeni do tajnej roboty. Właściwym polem do popisu było dla nich pole otwartej bitwy, z nieprzyjacielem wyraźnie widocznym przed nimi. Chociaż nie mając nic do roboty poza piciem, pili, zdaniem Jima, troszkę za dużo, obchodząc rozmaite gospody i szynki Brestu.

Trzeciego dnia obydwu rycerzom znudziło się picie.

Działo się to zgodnie z prawidłowością, jaką Jim zauważył w tym świecie. Jego mieszkańcy zdawali się, według dwudziestowiecznych pojęć, strasznie dużo w siebie wlewać, ale piwo było słabe, a wino nienadzwyczajnie mocne. Poza tym prezentowali wobec napojów alkoholowych zupełnie inną postawę niż ta, do której Jim przywykł w dwudziestym wieku. Piwo czy wino piło się, żeby łatwiej przełknąć jedzenie, chętniej niż wodę, od której można się było rozchorować, i dlatego też, że oba stanowiły uniwersalny środek odprężający, przeciwbólowy i taki, po którym człowiek z reguły czuł się lepiej.

Pewna ilość wina, na przykład – Jim odkrył to, mimo wszystkich swoich środków ostrożności – mogła wprowadzić człowieka w stan, w którym ignorował on swędzenie ugryzień wszy i pcheł, zawsze obecnych we włosach i ubraniu. Łatwiej także było zapomnieć o twardości ław czy stołków, na których się siedziało, o zimnie

czy gorącu, jakie w danej chwili trzeba było znosić, i o wielu innych nieprzyjemnych rzeczach.

W rezultacie, o ile Jim mógł to stwierdzić, zdawało się, że chociaż prawie każdy znany mu rycerz zdrowo popijał, to nie znalazł wśród nich ani jednego alkoholika, oprócz może króla Edwarda. Bez wątpienia, kiedy stawali się zbyt starzy, żeby robić cokolwiek poza siedzeniem w domu przy ogniu, wtedy wpadali powoli w alkoholizm. Ale przyjęte zwyczaje i rozpierająca ich własna energia nie pozwalały im siedzieć zbyt długo bez ruchu, nawet dla przyjemności, jaką mogło im ofiarować wino.

W myślach przeprosił swoich dwóch kompanów, kiedy odkrył, że trzydniowa pijatyka pozwoliła im zebrać znaczną ilość informacji o innych Anglikach w Breście, a także o ogólnych warunkach panujących w mieście, a nawet co nieco o samej Francji, zgodnie z ostatnimi pogłoskami i plotkami.

Prawie co do jednego człowieka angielskie siły w Breście prezentowały to samo znużenie co Brian i Giles. Wiele mówiło się nad dzbanami wina o wypadach i najazdach, włącznie z pomysłem wymarszu na Francuzów bez czekania, aż przybędzie z Anglii reszta Korpusu Ekspedycyjnego. Milord hrabia Cumberland, który tutaj dowodził, miał ogromne problemy z powstrzymaniem ich przed takim posunięciem – tym bardziej że sam potajemnie w gruncie rzeczy miał na to ochotę.

W tym czasie Brian i Giles palili się do zajęcia się czymkolwiek, co Jim mógłby zasugerować jako pożyteczne.

–Rozumiem, że nie miałeś żadnego kontaktu z tym człowiekiem, kimkolwiek on jest, który ma nas tu spotkać? – spytał Brian rano czwartego dnia, kiedy siedzieli w swoim pokoju, zawzięcie pracując nad wędzoną rybą, twardą gotowaną baraniną i świeżym chlebem, które przysłano im na górę na śniadanie.

–W ogóle ani śladu – powiedział Jim.

–To może spokojnie potrwać tydzień albo kilka – wtrącił się sir Giles, z ustami pełnymi baraniny i chleba.

–Może nie doszło do niego jeszcze słowo o tym, że tu jesteśmy, albo też tego kogoś, kto ma nas tu spotkać, coś zatrzymało w drodze do nas.

–Jednakże – podsunął sir Brian popijając wino ze swojego kubka i odstawiając go hałaśliwie na stół – nie jest bynajmniej za wcześnie na to, żebyśmy zaczęli rozglądać się za końmi. A także za całym innym sprzętem, jakiego możemy potrzebować w podróży, gdziekolwiek trzeba nam będzie jechać.

–Nie sądzisz, że sir John prawdopodobnie zajął się transportem dla nas? – spytał Jim przyjaciela – Przecież zorganizował nam kwaterę w tej właśnie gospodzie.

–Kwaterę... to proste – powiedział rycerz, mając usta tak samo pełne jak sir Giles przed chwilą. Przeżuł parę razy i przełknął, a potem odezwał się wyraźnie: – Co do takich spraw, jak sposób dostania się tam, gdzie mamy się dostać, ktoś taki jak sir John będzie ufał, że sami go sobie znajdziemy, tak jak liczyłyby na siebie, gdyby był na naszym miejscu.

Spojrzał na Jima znacząco.

–To znaczy zatem, że musimy kupić co najmniej trzy konie – powiedział – lepiej byłoby sześć, żebyśmy mogli użyć pozostałych trzech jako jucznych zwierząt do



niesienia naszych rzeczy. Ale ceny na wszystko, co czworonożne i nadające się do czegoś, będą wysokie.

Jim od razu pojął, o co mu chodziło. Był jedynym z pieniędzmi. Istotnie miał trochę złotych monet wszytych w ubranie, które nosił, a monety mniejszej wartości ukryte w podszewce innych ubrań czy w pochwie swego miecza; więcej, niż trzeba było, by pokonać drogę do Francji i z powrotem. On sam był raczej nieudolnym posiadaczem ziemskim, w sensie sprawienia, by posiadłości przynosiły mu niezły dochód. Z drugiej strony jednak sir de Bois de Malencontri, rycerz, który zbiegł do Francji zostawiając Jimowi Malencontri do wzięcia, miał, żeby wyrazić się delikatnie, lepkie ręce. Zamek był dobrze zaopatrzony w wiele wartościowych przedmiotów, z których część wyglądała podejrzanie podobnie do srebrnych naczyń, jakich używało się w kościele do odprawiania nabożnych praktyk.

Przygotowując się do tej podróży Jim sprzedał niektóre z tych przedmiotów w Worcester. Zapłacono mu monetami z rozmaitych kruszców – miedzianymi, srebrnymi i złotymi. Były wśród nich zarówno francuskie, jak i angielskie, a nawet trochę niemieckich i włoskich. Ale w tej epoce monety szacowało się i akceptowało ze względu na zawartość szlachetnego kruszcu, niezależnie od ich pochodzenia.

Sir Neville-Smythe dawał do zrozumienia, bynajmniej nie delikatnie, że przyszedł czas, by Jim wyłożył fundusze na zakupy, które właśnie zaproponował.

Jim rozumiał już, że nie było to ze strony sir Briana wyrachowaniem. Gdyby ów rycerz miał pieniądze, prawdopodobnie poszedłby i kupił; i nie myślałby wcale o tym, ile bogactwa mu zostało, aż do momentu, gdy jego sakiewka byłaby pusta. W chwili tej zwróciłby się do swego kompana czy kompanów, jeśli byliby oni szlacheckiego pochodzenia, i po prostu zaakceptowałyby fakt, że zaspokajają jego potrzeby.

W ten sposób załatwiano takie sprawy wielu ludzi z jego sfery. Na tej samej zasadzie jakiś rycerz mógłby złożyć wizytę innemu i spędzić u niego sześć miesięcy jako gość, biorąc sobie w tym czasie, cokolwiek było mu potrzebne; nie zastanawiając się ani przez chwilę nad tym, ile to mogło kosztować gospodarza, a gospodarz ze swojej strony nie zwracałby wcale uwagi na koszty utrzymania swego gościa.

W związku z tym we trzech naradzili się nad sytuacją na rynku koni. Jak odkrył Jim, wieści nie były zbyt pomyślne. Istniały dwa źródła, z których można było zdobyć jakiegokolwiek wierzchowce. Pierwszym sposobem na zdobycie tych potencjalnie dobrych było kupienie ich od przebywających w Breście rodaków, którzy przywieźli swoje konie z Anglii. Drugim był miejscowy targ koński.

Te przywiezione z Anglii były w posiadaniu rycerzy lub innych ludzi, którzy bardzo niechętnie by się rozstali z nimi, jako że nie mieliby jak ich zastąpić. Dlatego też ceny były wysokie. Zapewne świadomość, jak ciężko dostać pożądane rumaki, skłaniałaby Anglików tu przebywających do podwyższania tych cen jeszcze bardziej.

Z kolei na miejscowym targu, zdaniem sir Briana i sir Gilesa, sprzedawano rzeczony czworonogi, ale były one w kiepskiej kondycji, zdolne służyć zaledwie jako juczne zwierzęta.

Doszli więc do oczywistego wniosku, by kupić trzy dobre konie, jeśli się uda takie

dostać, od innych Anglików, i trzy juczne na miejscowym targu.

Zdawać się mogło, że Brian i Giles wcześniej już pomyśleli, by zbadać możliwości takich właśnie zakupów, bo szybko ustalili, jaka ostatecznie może być cena obu rodzajów koni. Jimem nieco wstrząsnęło, kiedy ją usłyszał, jako że nawet w najgorszych przypuszczeniach nie wyobrażał sobie, że mogły kosztować tak dużo. Po prawdzie miał dosyć pieniędzy, żeby za to zapłacić, a nawet więcej, ale za to żadnej możliwości oszacowania, ile jeszcze wydatków ich czeka.

Niemniej wyjął potrzebne monety i wręczył je Brianowi, który jako jego dawniejszy przyjaciel miał w tego rodzaju sytuacji pierwszeństwo przed sir Gilesem.

Obydwaj rycerze wyszli. Jim został sam ze swoimi pchłami, wszami i z pokusą, żeby wypić dość wina, by móc ich nie zauważać. Powstrzymywało go jedynie przyzwyczajenie całego życia i fakt, że wciąż było zaledwie przedpołudnie. Choć tamtych dwóch nie mogło tego podejrzewać, jego oczekiwanie stało się o wiele bardziej nużące niż ich, częściowo dlatego, że nie mógł szukać pociechy w alkoholu w ten sposób co oni, a także dlatego, że był uwięzany w tej gospodzie, w której karczmarz z dnia na dzień robił się coraz bardziej kwaśny i przykry. Mimo to szedł na dół do wspólnej izby, gdzie byłby bardziej widoczny dla tego, kto mógłby szukać kogoś takiego jak on, noszącego pewien pierścień. Znalazł sobie miejsce przy jednym z wolnych stołów, zawołał o jeszcze jeden dzban wina i kubek – wspominając przy okazji, że resztki śniadania powinny zostać uprzątnięte z ich pokoju.

Mówiąc to ponosił pewne ryzyko. Na górze zalegały ich bagaże, nie strzeżone i narażone na splądrowanie nie tylko przez służbę z gospody, ale i przez kogoś z zewnątrz.

Jim jednakże zajął miejsce, z którego mógł obserwować schody i widzieć, jeśli ktoś obcy spoza czeladzi z gospody wszedłby na górę. Zadbał także o to, by służba z gospody wiedziała, że jest czarodziejem, a na koniec zostawił na górze w pokoju swą tarczę bez pokrowca, żeby jego herb i kolory mogły zostać dostrzeżone.

Przeciętny człowiek z ulicy mógł nie umieć czytać – „mógł” było delikatnym określeniem, biorąc pod uwagę, że większość rycerzy i szlachty nie umiała czytać – ale w każdej warstwie uczono się odczytywać godła i herby. Nie miał więc wątpliwości, że czerwony kolor, oznaczający, iż jego właściciel jest czarodziejem, wystarczy, żeby odstraszyć każdego, kogo kusiłoby zabrać coś z pokoju.

Ze znaku na tarczy świadczącego, że jeden z trzech rycerzy posiadał moce magiczne, każdy złodziej naturalnie wywnioskowałby, że dobra były strzeżone przez jakieś zaklęcie lub też, jeśli nie było żadnego zaklęcia, że czarodziej miał jakieś sposoby, by wiedzieć, czy ktoś nie próbuje zabrać czegoś, co tam schowano.

Tak więc mimo wszystko Jim nie niepokoił się o ich dobytek. Tarcza przydała się, gdyż było ich tylko trzech i nie zawsze ktoś mógł pilnować dobytku. Nikogo w tym francuskim porcie nie udałoby się im wynająć do pilnowania rzeczy. Istniało prawdopodobieństwo, że opłaciliby po prostu kogoś, kto poczęstowałby się tym, czego miał pilnować.

Magiczna groźba była o wiele bardziej przekonująca, realna i można było na niej polegać. Ludzie skłonni są bardziej bać się czegoś, czego nie znają i nie mogą

**zobaczyć, niż czegoś, co widzą i znają.**

**Zasiadł więc sobie ze swoim dzbanem wina, szykując się do spędzenia kolejnego dnia na udawaniu, że pije, podczas gdy naprawdę czekał, aż jakiś angielski szpieg zacznie go szukać.**

**W ciągu tych długich dni czekania Jim nabrał nawyku ćwiczenia Magii. Ograniczył się do ćwiczenia drobnych magicznych sztuczek – przesuwania troszkę jakiejś nie rzucającej się w oczy ławy przez izbę lub też lekkiego zmieniania koloru jakiegoś fragmentu stolarki.**

**Ćwiczył także, i zaczęło mu się to w końcu udawać, powodowanie, by wino w jego dzbanie po trochu zniknęło. Coś takiego było koniecznością, gdyż nie mógł siedzieć cały dzień i pić, nie upijając się do nieprzytomności.**

**Odkrył, że nie chodziło tu jedynie o to, żeby wino zniknęło. Musiał je dokądś wysłać. Zgodnie z tym, wysyłał po kubku do wody portu, jakieś trzysta jardów od gospody. W ten sposób zręcznie pozbywał się wina i zyskiwał pretekst, żeby od czasu do czasu zamówić jeszcze jeden dzban. Dzięki temu służba i karczmarz nie widzieli w tym nic szczególnego, że tak siedział przez cały dzień i zabijał czas – jakby na coś czekając.**

**Jego dwudziestowieczne akademickie wykształcenie odruchowo zmuszało go, żeby szukał jakichś zasad stojących za tym, czego się uczył, Zasad, na których opierała się Magia. Carolinus pouczając go, jak się zmieniać z człowieka w smoka i z powrotem, dał mu właściwie bardzo niewiele wskazówek co do tego, jak korzystać z mocy zawartych w olbrzymiej „Encyclopedie Necromantick”, którą połknął.**

**Zaczynał podejrzewać, że „ten brak wyjaśnień był czymś zamierzonym. Z jakiegoś powodu czarodziej chciał, żeby Jim odnalazł swój własny sposób na korzystanie z „Encyclopedie”. Wskazywało to, że Magia byłaby raczej sztuką niż nauką, sztuką, w której żaden z dwóch adeptów niczego nie robił dokładnie tak samo. To, co Mag ofiarował Jimowi, było końcowym produktem magicznych procesów, a nie samym procesem.**

**Jim musiał sam znaleźć sposób na robienie takich rzeczy. W miarę kontynuowania ćwiczeń potwierdzał się fakt, że tego się właśnie po nim spodziewano. Na przykład ta sprawa z „wypisywaniem” rozkazu, jak sugerował Carolinus, na tablicy wyobrażonej po wewnętrznej stronie czoła, wychodziła świetnie z pewnym rodzajem czarów, a z innymi wcale.**

**Zorientował się, że może zamienić się w smoka i z powrotem. Mógł także przesunąć trochę ławę tutaj, w głównej izbie gospody, jak długo na nią patrzył. Jednak z chwilą kiedy odwracał głowę, zdawało się, że nie może jej wcale poruszyć.**

**Jego wysiłki pozbywania się wina z dzbana zupełnie się nie udawały, dopóki nie przedstawił sobie portu w chwili, w której spoglądał nań z burty statku, kiedy przybijali do brzegu. Tak jakby gdzieś w głębi jego umysłu musiało znajdować się miejsce przeznaczenia lub przynajmniej jakieś jasne jego wyobrażenie. Tak samo wyraźny musiał być obraz tego, co zamierzał wysłać, zmienić czy poruszyć.**

**Zaczął nawet badać tę teorię. Sprawdził, czy mógłby zapamiętać jakąś ławę po drugiej stronie izby i pozycję, w jakiej się znajdowała wobec stołu, przy którym stała,**

i całej reszty pomieszczenia. Popracowawszy nad tym przez jakieś dwadzieścia czy trzydzieści minut, wreszcie osiągnął sukces, przesuając ją bez patrzenia.

Magiczne ćwiczenia całkowicie go pochłonęły. Raczej przypadkiem, niż z jakiejś innej przyczyny, tuż po tym, jak w końcu bez patrzenia przesunął ławę, zauważył mężczyznę, który wszedł do izby w gospodzie. O tej porze izba była prawie pusta; oprócz Jima siedziało w niej tylko dwóch ludzi, i to w sporej odległości od siebie.

Nowo przybyły od razu przykuł uwagę Jima.

Było w nim coś niezwykłego – niezwykłego w tym sensie, iż nie wyglądał jak ktoś, po kim można by oczekiwać, że wybierze na miejsce postoję taką akurat gospodę. Poza tym ledwie wszedł, zatrzymał się, by pozwolić oczom przyzwyczaić się do półmroku we wnętrzu, które rozjaśniało tylko kilka małych okienek wychodzących na ulicę.

Była to rzecz zwyczajna, każdy, kto wchodził do gospody, robił coś takiego. Jednakże ten człowiek stanął na dłużej, niż Jim by się spodziewał; a ponieważ przyglądał mu się uważnie, dostrzegł, że przybysz także przypatruje się ludziom siedzącym w izbie.

Przez parę ostatnich dni Jim siadywał z prawą dłonią opartą na stole, by widoczny był pierścień na środkowym palcu. W pierścieniu osadzony był krwistoczerwony kamień, w którym wycięta była pieczęć. Kamień ten chwycił odrobinę światła, które wpadało przez najbliższe okno, tak że nawet w półmroku wnętrza widoczny był w całej izbie.

Oczy nowo przybyłego spoczęły na pierścieniu i pomknęły dalej. Potem przybysz niedbale odwrócił się i ruszył w stronę Jima.

Był wysokim, szczupłym mężczyzną po trzydziestce, ale skórę na twarzy miał nieco opaloną i postarzałą. Blizna długa na kilka cali ściągała mu policzek. Byłby zdecydowanie przystojny, gdyby nie nos – haczykowany jak u sir Gilesa, jednak nie tak mięsisty. W istocie wszystkie kości twarzy miał cienkie i ostre. Emanowała z niego wład-czość, której pospolite odzienie nie mogło ukryć. Poruszał się z lekkością i pewnością zdradzającą kogoś w doskonałej kondycji fizycznej. Miał szerokie bary i trzymał się prosto.

Zatrzymał się przy stole Jima i bez zaproszenia opadł na ławę po drugiej stronie, naprzeciw niego.

Bez słowa odwrócił lewą dłoń wnętrzem do góry, pokazując, że to, co z wierzchu wyglądało zaledwie na złotą obrączkę, od strony wnętrza kryło kamień z wrytym na nim herbem, takim samym, jaki Jim miał w swoim pierścieniu. Wystawiwszy go na chwilę na spojrzenie Jima, znów zamknął dłoń w pięść, ukrywając kamień.

–Jesteś tym Smoczym Rycerzem – zapytał cichym wyraźnym barytonem – od sir Johna Chandosa?

–Obawiam się jednak, że nie znam twego nazwiska, panie.

–Moje nazwisko jest tu bez znaczenia – powiedział tamten. – Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie możemy pomówić na osobności?

–Oczywiście – odrzekł Jim. – Na górze.

Jim zaczął się podnosić, ale tamten pokręcił zdecydowanie głową, więc znów

usiadł.

–Nie teraz – powiedział przybysz. – Dziś wieczorem. Wrócę. Osobny pokój, o ile rozumiem?

Oczami pobiegł w kierunku schodów. Jim skinął głową.

–Zatem dziś wieczorem – rzucił mężczyzna podnosząc się – kiedy będzie w koło więcej ludzi, tak że nie będzie zwracać się takiej uwagi na moje przyście i wyjście. Czekaćcie mnie więc na górze.

Odwrócił się, skierował do drzwi i wyszedł. Przez chwilę na tle jasnego prostokąta drzwi zarysowała się jego ciemna sylwetka bez wyraźniejszych cech, potem zniknęła.

## Rozdział 15

Zanim Brian i Giles powrócili, nastąpiło późne popołudnie. Znaleźli i zakupili potrzebne konie i dosłownie nie posiadali się z radości. Nalegali, by Jim wyszedł na dziedziniec je obejrzeć, zanim zostaną odprowadzone do stajen.

Kiedy Jim zobaczył zwierzęta, pojął, czemu chcieli, żeby je obejrzał. Nie tyle czuli się odpowiedzialni za pieniądze, które im dał, co pragnęli pochwalić się, że wrócili z nie byle czym. Na dziedzińcu stało sześć koni. Jim nie przebywał jeszcze w tym świecie dość długo, by stać się prawdziwym ich znawcą, jednak nauczył się tyle, że dostrzegał różnice między poszczególnymi zwierzętami. Nie sposób było pomylić się co do tego, które miały być pod wierzch, a które juczne. Konie juczne były mniejsze, o sierści bardziej szorstkiej i wyglądały na niedożywione. Wszystkie konie wierzchowe były dobre, lecz jeden zdawał się wręcz wspaniałym okazem, już wyekwipowanym – podobnie jak pozostałe dwa – w siodło i ogłowie, które Brian i Giles najwidoczniej również kupili tego dnia.

Niestety dwa pozostałe wierzchowce, chociaż nie wyglądały, jakby je źle karmiono czy też źle traktowano, były bardzo przeciętne. Na niedoświadczone oko Jima – nie na poziomie rumaka dla szlachcica lub damy. Prędzej już takie zwierzęta można by dać zbrojnym.

–Ten – powiedział Brian poklepując siodło najlepszego wierzchowca – jest twój, milordzie.

Tytuł dodany przez rycerza na końcu dał Jimowi w samą porę wyraźną wskazówkę. Miał jeździć na najlepszym z wierzchowców nie dlatego, że pieniądze były jego, ani też dlatego, że przewodził tej wyprawie. Była to po prostu kwestia rangi. Miał wyższą rangę od innych, zatem musiał mieć lepszego konia. Znowu powtarzała się sytuacja jak z Johnem Chesterem.

Jednak to, że będzie jeździć na najlepszym, wcale mu nie odpowiadało. Też zimy, pod kierunkiem Briana, nauczył się władania rycerską bronią w walce pieszej, ale wciąż prawie nic nie wiedział o tym, jak nią władać walcząc konno.

Gdyby we trzech dostali się w tarapaty, co biorąc pod uwagę warunki panujące w tych czasach i trasę ich podróży było bardziej niż prawdopodobne, to ten jeden dobry koń powinien być między kolanami kogoś takiego jak sir Brian czy sir Giles, kogoś, kto siedząc na nim mógłby być przydatny w walce. Przydatność Jima ograniczyłaby się w takim przypadku tylko do tego, że mógłby się wymknąć albo spróbować zająć jednego z przeciwników tak, żeby Giles i Brian mogli załatwić resztę. Przewidywał jednak kłopoty w wytłumaczeniu tej sprawy pozostałym dwu rycerzom.

Ponieważ jednak należało omówić ważniejsze sprawy, takie jak ta, że szpieg w końcu skontaktował się z nim, Jim zdecydował się odłożyć ten problem na później. Może wpadnie jeszcze na jakiś pomysł, jak grzecznie namówić jednego z nich – osobiście wolałby sir Briana, którego zdolności w posługiwaniu się bronią znał – żeby wziął tego najlepszego. W każdym razie Brian i Giles przyprowadzili go tutaj, żeby pochwalić się swoim zakupem, i do niego należało odpowiednio się zachować.

–Doskonale! – powiedział. – Wspaniale! Powiodło się wam dużo lepiej, niż się

spodziewałem. Zwłaszcza ten pierwszy koń!

Tamci dwaj rozpromienili się, a Brian krzyknął na chłopców stajennych, żeby zabrali wierzchowce do stajni.

–To wszystko robota Briana – powiedział Giles. – Nigdy nie widziałem udatniejszych rzutów. Ale chodźmy na górę, tam będziemy mogli porozmawiać. Myślę, że przydałoby się trochę wina, nieprawdaż Brianie?

–Tak, Gilesie, o tak – przytaknął rycerz.

Gdy przybiegli chłopcy stajenni, Brian oddał im wodze, z kilkoma srogimi napomnieniami, żeby porządnie się wszystkim zajęli. Następnie we trzech weszli do gospody, przeszli przez wspólną izbę i wspięli się po schodach.

Jim zauważył, że tamci dwaj byli najwyraźniej w świetnych humorach. A i jego gratulacje, i ich radosne humory były z pewnością uzasadnione. Musiał przyznać sam przed sobą, że w tym obcym mieście bez pomocy i przy swojej ograniczonej wiedzy na temat wszystkiego, co średniowieczne, włącznie z targowaniem się, które musiało się łączyć z kupowaniem koni, miałyby szczęście, gdyby udało mu się kupić konia dorównującego któremuś z tych jucznych. A prawdopodobnie skończyłoby się to tym, że wydałby na niego wszystkie swoje pieniądze.

Ale już w pokoju czekała na niego następna niespodzianka. Wsadzwszy obie dłonie do sakiewki, która zwiisała mu u pasa od miecza, Brian wyciągnął dwie pełne garście i rzucił na stół stos pieniędzy.

Monety toczyły się i dźwięczały uderzając jedna o drugą, a Jim patrzył na nie zdumiony.

–Przecież tu jest więcej, niż wam dałem, kiedy wychodziliście! – powiedział.

Brian i Giles wybuchnęli gromkim śmiechem, poklepując się nawzajem po plecach, zachwyceni jego zdziwieniem. W tym momencie kobieta, która przyniosła wino, zapukała do drzwi i natychmiast weszła, co widać było zwyczajem po obu stronach Kanału Angielskiego. Brian szybko odwrócił się plecami do służącej, żeby ukryć pieniądze, i prędko zgarnął je z powrotem do sakiewki.

Kobieta, stawiając wino na stole, spojrzała na nich dziwnie, po czym twarz jej rozjaśniła się, kiedy Brian dał jej większą monetę, niż się spodziewała. Dygnęła i wyszła.

Obydwaj rycerze rozsiedli się przy stole i nalali kubki do pełna, Jim poszedł za ich przykładem.

–Powiedzcie mi, co się stało – rzekł.

Rycerze znów się roześmieli triumfalnie, klepiąc się nawzajem po plecach.

–Jak powiedziałem wprzód – rzekł Jimowi Giles – to wszystko robota Briana. Brianie, opowiedz mu!

–Cóż, żaden z Anglików z końmi wartymi zachodu, a święty Stefan wie, że miejscowi nie mają takich – powiedział rycerz – nie chciał nam sprzedać niczego, co miało cztery nogi.

Przerwał i pociągnął spory łyk z kubka.

–I nic dziwnego – kontynuował. – Wiedzą, że takich koni nie da się tutaj niczym zastąpić, chyba żeby sprowadzić je statkiem z domu. Próbowaliśmy tu,

**próbowaliśmy tam, ale nie mogliśmy znaleźć nikogo chętnego do sprzedaży.**

**Znów przerwał, najwyraźniej dla dramatycznego efektu.**

**–Mów dalej – ponaglał go niecierpliwie Giles.**

**–Potem trafił się nam łut szczęścia – mówił Brian do Jima. – Natknęliśmy się na Percy'ego, młodszego syna lorda Belmonta, któremu właśnie przysłano statkiem z Anglii całe stado. Miał je zabrać ze sobą dla ojca i jego świty. Milord Belmont zajął już małe, lecz wygodne kwatery dla swojego towarzystwa jakieś pięć mil za miastem. Sir Percy i zwierzęta dopiero co zeszli ze statku i spotkaliśmy się, zanim jego ojciec miał możliwość zobaczyć syna albo konie.**

**Jeszcze raz przerwał dla wzmocnienia efektu. I jeszcze raz Giles go ponaglił.**

**Obaj grają jak dobrze przygotowana para komediantów-amatorów – pomyślał Jim, wewnątrznie ubawiony.**

**–No cóż... – zaczął sir Neville-Smythe, przeciągając słowa ze złośliwą uciechą. Giles nie mógł już znieść tej zwłoki.**

**–Widzisz, Jamesie – wtrącił prędko – sir Percy miał pewne długi, których jego ojciec by nie pochwalił...**

**–Ja powiem, Gilesie – przerwał mu pośpiesznie Brian. – Sir Percy miał pewne prywatne długi, z powodu których lord Belmont straszliwie by się gniewał. Krótko mówiąc – potrzebował pieniędzy.**

**–I kupiliście konie od niego? – spytał Jim.**

**–Taka była moja pierwsza myśl – powiedział Giles. – Ale ten oto sir Brian miał lepszy pomysł. Długi sir Percy'ego to były drugie z gry w kości.**

**–Jest on hazardzistą? – spytał Jim.**

**–Więszego niż on jeszcze nie było, przysięgam – zaklinał się sir Brian. – Już to, że czuł kości w dłoni, sprawiało, że świeciły mu się oczy. Choć nie zauważyłem tego, dopóki nie zaproponowałem mu, żebyśmy zagrali w kości o konie. Ich wartość przeciwko samym zwierzętom, a zwycięzca bierze wszystko.**

**Jim zamrugał oczami i miał nadzieję, że nic więcej nie dało się zauważyć na jego twarzy. Nagle zdał sobie sprawę, że rykerz był gotów niefrasobliwie stracić stosunkowo dużą ilość gotówki, jaką wręczył mu Jim, próbując zdobyć konie, których potrzebowali, grą w kości. Uderzyło go to niemal tak, jak jeden z ciosów Briana w hełm w czasie ich ćwiczebnych bijatyk zeszłej zimy.**

**–Najpierw – mówił dalej Brian – przegrywałem, jak się zdawało, za każdym rzutem, jaki robiłem. Percy cieszył się niezmiernie.**

**Jimowi serce zamarło. Mimo że zgadywał wynik całej sprawy, na samą myśl, że jego pieniądze spokojnie przegrywano, kiedy nie było sposobu na ich uzupełnienie, dopóki nie będą z powrotem w Anglii, robiło mu się zimno.**

**Sir Neville-Smythe kontynuował:**

**–W rzeczy samej zostało mi już tak mało monet, że powiedziałem Percy'emu, iż wycofam się z gry, chyba że chciałby stawiać przeciwko mnie podwójnie, aby dać mi szansę na powetowanie strat.**

**–Brianie! – krzyknął Jim. – Szedłeś na takie ryzyko! Przecież wystarczyłoby, żeby nie popuścił, i nie tylko nie miałbyś koni, ale i tylu pieniędzy, by kupić je gdzie indziej.**



–Nic podobnego, Jamesie – odrzekł rycerz. – Jak ci mówiłem, oczy mu się świeciły od samego trzymania kości w rękę. Wyczułem tego człowieka. Nie mógł powstrzymać się od hazardu tak samo jak większość mężczyzn od wzięcia udziału w krzepkim turnieju, gdy siedzą beczynn timer na trybunie i patrzą, jak inni wymierzają rzetelne ciosy na ich oczach. Och, narzekał, że takich rzeczy się nie robi, ale kiedy mu wyłożyłem, że w tym przypadku nie ma wyboru, poddał się.

–I co potem, zacząłeś wygrywać? – spytał Jim.

–No cóż, nie. Najpierw dalej przegrywałem w każdej turze – odparł Brian.

–W istocie – wtrącił Giles. – Myślałem, że sprawa robi się jak najbardziej poważna. Ale – ha! Wierzyłem w Briana.

–I ta wiara była uzasadniona – powiedział szybko rycerz. – Pokróćce, Jamesie. W końcu zacząłem wygrywać. Percy się pocił i ostatecznie, kiedy nasze fundusze na stole znowu były równe, z czystej przyzwoitości musiałem wrócić do równych stawek. Ale teraz już go wyczułem. Człowiekowi, który potrzebuje wygranej, nigdy się to nie udaje. On desperacko chciał wygrać. Dlatego przegrywał. I przegrywał. I przegrywał. I przegrywał... aż wygrałem od niego z powrotem nie tylko wszystkie swoje pieniądze, ale i wszystko, co on miał ze sobą.

–Po czym, z wyrazami ubolewania, że tak mu nie dopisywała fortuna – uzupełnił Giles – powiedzieliśmy mu, że musimy oddalić się razem z naszą wygraną.

–I pozwolił wam zabrać także swoje konie? – zapytał Jim.

–Cóż innego miał zrobić – zdziwił się Brian – skoro jest szlachetnego rodu? Zrobiłem mu przysługę, kupując od niego siodło i ogłowia i dając za nie pieniądze. Nie da się jednak zaprzeczyć, że zostawiliśmy tam bardzo nieszczęśliwego człowieka.

Prawdę mówiąc Jim czuł się trochę winny i ogromnie współczuł sir Percy'emu, który musiał teraz stawić czoło swemu rozgniewanemu ojcu, bez koni i bez pieniędzy. Jednak obaj rycerze najwyraźniej nie dzielali tych uczuć.

–Jamesie, czy to nie wielce szczęśliwy dzień dla nas? – promieniał sir Brian. – W tej chwili ani ja, ani Giles nie pamiętamy, którego to dzisiaj świętego. Ale dowiem się i zapamiętam na przyszłość, kiedy będę musiał liczyć się z jakimś ryzykownym przedsięwzięciem, skoro wyraźnie ów dobry święty – kimkolwiek może być – wspiera mnie w tym właśnie czasie. Sądzę, że powinniśmy zamówić więcej wina. Ale najpierw... – Raz jeszcze sięgnął do sakiewki, wysypał z niej pieniądze na stół i popchnął w stronę Jima.

–Milordzie – dostojnie oświadczył – oto pieniądze, które mi powierzyłeś. Przyjmij też tę błahostkę więcej jako świadectwo tego, że twój lojalny i oddany sługa, sir Brian, wypełnił swoją powinność.

Skonsternowany Jim popatrzył na górę pieniędzy. Powinien istnieć jakiś sposób, żeby wykorzystać ten moment, pomyślał – w chwilę potem go znalazł.

–Skoro tak dobrze zajęto się nimi – odrzekł tonem zbliżonym do dostojnego tonu rycerza – nie widzę lepszego dla nich użytku, niż pozostawić je w tak zdolnych rękach. – Wyciągnął ramię i kantem dłoni podzielił monety w przybliżeniu na połowy. – Niech każdy z was weźmie połowę – powiedział – i zatrzyma lub wyda, jeśli zajdzie konieczność, dla naszych wspólnych potrzeb.

Jim odczuwał wewnętrzną radość. Choć raz udało mu się postąpić zgodnie ze zwyczajami wyższych sfer tego świata i osiągnąć przy tym swój własny cel. Jedną z zasad mocno zakorzenionych w tym społeczeństwie była hojność zwierzchników wobec podwładnych. Obdarowani powinni byli odczuwać wdzięczność. Odmowa przyjęcia takich podarunków byłaby z ich strony niemal obrazą. Jim nie pomylił się w swoim sędzie.

Z radością i należycie wyrażonymi podziękowaniami Brian i Giles zebrali swoje stosiki pieniędzy i nie próbując nawet policzyć monet, by sprawdzić, czy wartość obu części była równa, wepchnęli je do swoich sakiewek. Jim był w pełni usatysfakcjonowany. Udało mu się przeprowadzić coś, co chciał zrobić od jakiegoś czasu, to znaczy znaleźć jakiś możliwy do przyjęcia sposób na zaopatrzenie kieszeni tych dwóch w gotówkę, by mogli sobie poradzić w nieznanym kraju.

–A teraz wino! – zarządził Giles.

Obaj kompani Jima byli najwyraźniej w nastroju do świętowania. On sam niezupełnie miał na to ochotę – nie chciał spotkać się ze szpiegiem w towarzystwie dwóch na wpół pijanych rycerzy. Ponadto chciał, żeby wysłuchali, czego się dowiedział, a sam mógł sprawdzić przy tym swoją pamięć.

–Jak najbardziej – poparł propozycję Gilesa. – Jednakże sugerowałbym, żebyśmy pili raczej niedużo. Mamy przed sobą ważny wieczór. Szpieg, który miał się ze mną skontaktować, zrobił to dzisiejszego popołudnia. Wróci wieczorem tu, do tego pokoju, żeby z nami porozmawiać.

Wieść ta, jak przewidywał, natychmiast podziałała na ich wyobraźnię. Wszystkie myśli o świętowaniu poszły na bok. Czas do wieczora zszedł im, zwłaszcza Brianowi i Gilesowi, na niecierpliwym oczekiwaniu i na dyskusji o tym, co może wiązać się z uwolnieniem księcia.

Owo snucie przypuszczeń doprowadziło ich do zgodnego wniosku, że książę musi być trzymany gdzieś w ukryciu, gdzie niewątpliwie jest dobrze strzeżony przed wszelkimi próbami odbicia. Zwłaszcza że król Francji, Jean, z pewnością zdawał sobie sprawę z tego, iż dobrze pilnując tego młodego człowieka, zyskiwał wysoką kartę, której mógł użyć w grze w najdogodniejszym dla siebie momencie. Jeśli w ostatecznym rezultacie angielska armia pokonałaby przeciwników i pustoszyła kraj, można by ich powstrzymać obietnicą powrotu księcia. Albo jeśli Anglicy zostaliby po raz drugi pokonani, wtedy za księcia można by uzyskać rzeczywiście bardzo wysoki okup – włącznie ze zrzeczeniem się przez Angielską Koronę praw do spornej części ziem francuskich. Zwłaszcza do starego królestwa Akwitanii oraz miast Calais i Guines.

Jednakże gdzie trzymano księcia i jak silnie go strzeżono, mogli tylko zgadywać. Musieli poczekać na przybycie szpiega, który być może miał im więcej o tych sprawach do powiedzenia.

Wreszcie przyszedł. Był jeszcze wczesny wieczór, jak Jim sądził, mogła być siódma czy ósma, ale dla znecierpliwionych Briana i Gilesa było już dość późno. Jim przedstawił gościa swoim dwóm towarzyszom i zamówił na górę dość wina, by starczyło im na jakiś czas. Potem kazał powiedzieć karczmarzowi, że nie życzy sobie,

aby im przeszkadzano, i wystawił za drzwi swoją tarczę jako ostrzeżenie dla każdego intruza.

Kiedy wystawiał tarczę, szpieg przyglądał mu się z ledwo skrywanym drwiącym półuśmiechem.

–Po cóż ta tarcza, panie? – spytał. – Przyciągnie tylko uwagę do nas i naszego spotkania.

–Dlatego, że uważam to za konieczne, panie – odparł Jim.

Podeszli do stołu i usiedli. Kubki napełniono winem w atmosferze nieco napiętego milczenia. Szpieg otwarcie przyglądał się Brianowi i Gilesowi krytycznym okiem, a i oni jemu z nie skrywaną wrogością.

–Nie pasuje mi – odezwał się Brian, przerywając milczenie, zanim Jim mógł rozpocząć jakąś bardziej sensowną rozmowę – siedzieć przy stole z człowiekiem, który nie chce powiedzieć mi swego nazwiska i rangi. Skąd mam wiedzieć, że jesteś szlachcicem?

–Przedstawiłem temu oto szlachetnemu panu – powiedział szpieg ruchem głowy wskazując Jima – swoje listy uwierzytelniające dziś po południu.

Spojrzał wprost na Jima.

–Czy wystarczy ci, panie, że jestem tym, kim twierdzę, że jestem, i szlachcicem, jako że sir John nie zatrudniłby nikogo innego w takiej potrzebie.

–Tak – rzekł Jim. – Oczywiście. Brianie, jestem pewien, że nasz gość jest szlachetnego rodu, i wiem, że jest tym, którego wysłano nam na spotkanie. Pozostaje tylko wysłuchać, co ma nam do powiedzenia.

Szpieg popatrzył na sir Neville-Smytha.

–Czy to wystarczy, panie? – spytał.

–Widzę, że musi – odparł rycerz ponuro – lecz biorąc pod uwagę twoje zajęcie, pojmujesz, że ktoś taki jak ja może w to powątpiewać.

Teraz głos Briana brzmiał na pół szyderczo. Taki ton był u niego rzadkością. Jednak rozdrażniony, potrafił być tak gburowaty i umyślnie obraźliwy jak każdy inny średniowieczny rycerz.

Niemniej aluzja była na tyle nie dopowiedziana, że gość mógł ją zignorować. Niczego podobnego jednak nie uczynił. Zerwał się nagle na nogi i pięściami walnął w stół po swojej stronie, piorunując ich wszystkich wzrokiem.

–Na Boga! – krzyknął. – Będę traktowany jak człowiek honoru, którym jestem! Gdyby nie pewne nadzwyczajne okoliczności, nie byłoby mnie tutaj w tej chwili. Jestem lojalnym sługą króla Jeana i najchętniej widziałbym takich jak wy Anglików w morzu – czyli inaczej martwych – zanim kiedykolwiek postawiliście stopy we Francji. Gdyby nie te specjalne okoliczności, przysięgam, że wolałbym być z wami Anglikami na odległość miecza, nie stołu. Dla naszej Francji byliście plagą i przekleństwem.

To przez tego padalca, tego czarodzieja Malvinne'a, wchodzę z wami w ten nieszczęsny alians. On i tylko on jest jedynym złem, gorszym niż Anglicy. Winien jest zniszczenia mojej rodziny i śmierci mego ojca. To krew mego ojca i jego śmierć, której objąć myślą nie mogę, domaga się, by przekląć tamtego. Dlatego robię tyle dla was, Anglików. Ale to wszystko! Nie ma we mnie żadnej dla was sympatii. Ani dla

**tego nic nie wartego wyrostka, którego zwiecie księciem i którego macie zabrać stąd z powrotem do kołyski, gdzie jego miejsce.**

**Teraz i sir Giles, i sir Brian zerwali się na równe nogi.**

**–Nikt w ten sposób nie będzie nazywał naszego następcy tronu w mojej obecności! – warknął Brian z dłonią na rękojeści miecza, pochylając się ku szpiegowi przez stół. – Na Niebiosa, przeprosisz go tu i teraz za wypowiedzenie takich słów!**

**Gość stał nieruchomo jak tancerz, który ma właśnie skoczyć, i także z dłonią przy mieczu. Jego twarz była kompletnie pozbawiona wyrazu, a oczy miał utkwione w twarzy rycerza.**

## Rozdział 16

–Siadać, wszyscy trzej! – polecił Jim, który jako jedyny nie poderwał się. Zdziwił go dźwięk własnego głosu. Brzmiał w nim autorytet, jakiego nigdy by się po sobie nie spodziewał. Nie tylko rozkazywał, ale i był całkiem pewien, że rozkaz zostanie spełniony.

Po chwili trzej mężczyźni powoli usiedli, wciąż bez słowa wpatrując się jeden w drugiego.

–Jesteśmy tutaj – powiedział Jim – żeby zobaczyć, co da się zrobić w pewnej sprawie. Brianie, Gilesie, ten oto szlachcic jest nam potrzebny. A ty, mesire – Jim zmierzył oczami przybysza – potrzebujesz nas, w przeciwnym razie wcale byś się z nami, Anglikami, nie zadawał. To, przed czym stoimy, nie wymaga, żebyśmy darzyli się wzajem wielkim afektem ani też dbali o to, kim jesteśmy lub możemy być. Chodzi tylko o wymianę informacji! – Uderzył pięścią w stół. – To jest powód, dla którego tu się spotkaliśmy, i zajmiemy się tym teraz. – Nie spuszczał oczu z przybysza. – Twoje upodobania i uprzedzenia, a także powody, dla których tu jesteś, są tylko twoją sprawą, panie – rzekł. – To samo dotyczy nas trzech. Te rzeczy nie podlegają dyskusji. Jesteśmy tu, żeby uwolnić naszego księcia i jeśli to możliwe, zabrać go bezpiecznie do domu. Ty tu jesteś, żeby udzielić nam informacji, które pomogą nam to zrobić. Tak więc zacznij od tego, że powiesz nam, z czym przyszedłeś. Przez długą chwilę szpieg siedział na swoim stołku i ciemnobrązowymi oczyma w szczupłej twarzy z napięciem wpatrywał się w Jima. Potem napięcie opuściło go. Odprężył się, wziął swój nie tknięty kubek wina, pociągnął spory łyk i odstawił kubek na stół.

–Jak sobie życzysz – powiedział bezbarwnym głosem. – Nie powiem nic więcej o tym, co czuję, jeśli inni też nie będą nic mówić.

Napił się raz jeszcze wina; tym razem Giles, Brian, a trochę później po nich i Jim również podnieśli swoje kubki i wypili w tej samej chwili. Gest ten stał się czymś w rodzaju cichej umowy zawartej przy stole.

–Możecie nazywać mnie sir Raoulem, jeśli to sprawi, że będzie nam się łatwiej rozmawiać – powiedział ich gość. Zmienił pozycję na stołku, wyciągnął swoje długie nogi po jednej stronie stołu i oparł łokcie na blacie, trzymając w zamyśleniu swój kubek w obu dłoniach. Mówił znad jego brzeżka.

–No cóż, znalazłem waszego księcia, choć niewiele miałem przy tym roboty, gdyż był dokładnie tam, gdzie się spodziewałem. Trudności zaczęły się potem, kiedy próbowałem znaleźć jakąś drogę, żeby was zabrać do niego. I dać wam szansę wyjścia z tego z życiem.

Odstawił kubek, sięgnął w zanadrze swojego kubraka i wyjął mały, zwinięty kawałek białego płótna.

–Mam tutaj mapę.

Rozwinął materiał na blacie stołu, a wszyscy wyciągnęli szyje, żeby mu się przyjrzeć.

Zdaniem Jima tego rodzaju mapę lepiej narysowałby uczeń trzeciej klasy w świecie, z którego przybył. Na mapie widniał nierówny gryzmoł, najwyraźniej oznaczający wybrzeże, i górna połowa jakiejś ryby, wystawiająca głowę z części

będącej morzem. W głębi łądu, wzdłuż wgłębienia w kształcie litery „V”, co Jim wziął za ujście rzeki, którą żeglowali w górę, widniała nazwa miasta Brest. Napisana była ona atramentem, dziwnymi, ale możliwymi do odczytania, jakby drukowanymi literami. Wszystkie linie narysowane na mapie prowadziły prosto od punktu do punktu. Od atramentowej kropki poniżej słowa BREST wiodła,

biegnąc dookoła południowej części niziny Bretanii i w głąb łądu, linia do następnej kropki, nad rzeką Loarą, oznaczającej ANGERS. Następnie, cały czas wzdłuż Loary, linia prowadziła na wschód, do jeszcze jednej kropki, symbolizującej TOURS. Stamtąd linia prowadziła dalej na wschód, ale też trochę bardziej na północ, znów podążając wzdłuż Loary, obok kropki opisanej jako AMBOISE, do innej, niedaleko za nią położonej, o nazwie BLOIS. Z Blois linia biegła do położonej dalej kropki, oznaczającej ORLEAN. W jakichś trzech czwartych odległości z Blois do Orleanu znajdowała się kropka z dużą literą „M” i zaledwie przybliżonym szkicem jakiegoś drzewa obok. Za nim, nad rzeką, widniał kwadratowy budynek z naszkicowanymi wieżami i basztami.

Sir Raoul postukał szczupłym palcem w dużą literę „M”, drzewo i opatrzoną wieżami podobizną budynku.

–Chateau, to, co wy, Anglicy, nazwalibyście zamkiem czarnoksiężnika Malvinne'a – powiedział. – Z zewnątrz wyda wam się miejscem o bardzo miłym charakterze, otoczonym altanami, alejkami i ogrodami. Minąwszy je dojdziecie do samego chateau, które jest tak potężnie zbudowane jak niejedna ostoja chrześcijaństwa, dość mocno, by odeprzeć całą armię. W środku są wielkie, bogate komnaty, ale także lochy, straszniejsze ponad wszelki opis, i inne rzeczy, o których żaden człowiek nie wie.

Przerwał, by przez chwilę przyjrzeć im się nieco ironicznie.

–Ale wszyscy jesteście paladynami, nieprawdaż? – zapytał. – Nie, wybaczcie mi. Mam prędko język, który czasem mówi, zanim zdążę nałożyć mu cugle. Lecz doprawdy chateau Malvinne'a to nie miejsce, które jakakolwiek zacna dusza chciałaby z własnej woli odwiedzić.

Przerwał patrząc na nich.

–Bez obrazy – mruknął sir Brian.

–Jestem ci dłużny, mesire, za twoją uprzejmość – powiedział szpieg. – Od tej chwili będę próbował mówić delikatniej. W gruncie rzeczy będziecie mieli szczęście, jeśli uda wam się dotrzeć chociaż do tych przyjemnych okolic chateau. Po pierwsze, musicie przedrzeć się przez las, który za sprawą Malvinne'a wyrósł wszędzie wokół tego miejsca.

Las splątanych ze sobą drzew, gdzie, jeśli nie będziecie się mieli na baczności, gałęzie mogą was złapać i przytrzymać, aż zginiecie z głodu. Poza tym przez cały czas włóczą się po tym lesie niektórzy z setek uzbrojonych sług, których on sam stworzył – kreatur na poły zwierzęcych, na poły ludzkich, które niegdyś były mężczyznami i kobietami.

–Dobry Boże! – wykrzyknął Jim, całkiem zapominając o swej zwykłej ostrożności, tak że bez zastanowienia przemówił w powietrze poza nimi: – Wydział Kontroli! Czy

ten rodzaj Magii jest dozwolony?

–Nie jest zabroniony, choć nie zachwalany, Magom klasy AA i wyższej – odpowiedział niewidzialny głos basem z wysokości jakichś trzech stóp nad podłogą na lewo od Jima.

–Chrońcie nas wszyscy święci! – wykrzyknął sir Raoul. Popatrzył na Jima oczami o rozszerzonych źrenicach i szybko się przeżegnał. – Mimo wszystko dostałem się jednak w ręce Malwinne'a!

Jim spojrział na dwóch rycerzy z poczuciem winy. Na Brianie nie zrobiło to żadnego wrażenia, bo słyszał już kilkakrotnie ten głos w towarzystwie Jima albo Caro-linusa. Ale sir Giles był niemal tak mocno wstrząśnięty jak sir Raoul. Tego ostatniego Jim pośpieszył uspokoić najpierw.

–To tylko głos takiego Wydziału Kontroli, któremu wszyscy Magowie muszą składać raporty i któremu mogą zadawać pytania – wyjaśnił. – Niewątpliwie Mahdne także z niego korzysta, ale nie mógłby go użyć, żeby nas znaleźć, tak samo jak my nie możemy użyć Wydziału, żeby odnaleźć Malwinne'a. Wydział po prostu sprawdza, ile kto z nas ma Magii. Poza tym mówiłem ci, że jestem tylko terminatorem w Magii.

–Chrońcież mnie wszyscy anieli przed takim terminatorem! – powiedział szpieg. Ale twarz jego powoli odzyskiwała kolory, a źrenice oczu zmalały do normalnych rozmiarów. Lekko drżącą ręką napełnił znów winem kubek i wypił go jednym haustem.

–Nie chciałbym już więcej usłyszeć tego głosu – dodał. – I tak naprawdę twoje wyjaśnienie nie zadowala mnie. Jeszcze raz dowodzi, że wszyscy Magowie, jak Malwinne, są w głębi duszy tacy sami. Tak jak on jest złem, oni są źli.

–Nie, nie. Posłuchaj mnie, proszę, sir Raoulu – rzekł z przejęciem Jim – to tylko kwestia charakteru poszczególnych Magów. Znam innego czarodzieja, o bardzo wysokiej klasie, który zaledwie parę dni temu mówił, jak bardzo nie cierpi Malwinne'a i jego postępowania.

Jim koloryzował trochę to, co powiedział mu Carolinus. Jednakże po kłopotach z uczynieniem szpiega na tyle tylko towarzyskim, na ile był przez tych kilka chwil, zanim przemówił Wydział Kontroli, nie chciał utracić tej odrobiny dobrej woli, którą udało się wykrzesać z francuskiego rycerza. W tych okolicznościach, pomyślał, lekkie podkoloryzowanie faktów nie zaszkodzi. Poza tym prawdopodobnie Carolinus, sądząc z tego, co ostatnio mówił, myślał tak, jak to przedstawił Jim.

–Nie przekonasz mnie – mówił ponuro sir Raoul. – Wszyscy Magowie to stwory zła. Jak inaczej mogliby zajmować się tym, co przechodzi zwykłą wiarę i zrozumienie?

–Och, przestań – powiedział Jim. – Byli przecież i dobrzy Magowie.

–W rzeczy samej! – wtrącił sir Brian. – A potężny Merlin? A Carolinus? Ludzie, którzy czynili wiele dobrego i zawsze byli po stronie tych, którzy służyli słusznej sprawie.

–Ha, tak – odpowiedział szpieg, patrząc na niego z ukosa. – Zawsze przytacza mi się imiona Magów, którzy istnieją tylko w wspomnieniach i legendach.

–Carolinusto nie baśń – przekonywał go Jim. – Jest w istocie moim nauczycielem

w Magii. Mieszka w odległości mniejszej niż siedem mil od mojego własnego zamku de Bois de Malencontri.

Sir Raoul spojrział mu prosto w oczy.

–Jest baśnią, jak to wszyscy wiedzą w tym kraju!

–Mówię ci – powiedział James – że nie jest! Jest mądrym czarodziejem, który żyje obecnie!

–Aż jakiego powodu miałbym w to wierzyć, poza tym, że ty to mi mówisz, a sam jesteś Magiem? A ja się nauczyłem nie ufać Magom! – odparował francuski rycerz.

–Sir James mówi prawdę – warknął Brian. – Od mego Zamku Smythe do domu Carolinusa jest mniej niż dziewięć mil. Często widywałem go i jego domostwo.

Szpieg spoglądał to na jednego, to na drugiego.

–Chcecie mi powiedzieć, że ów Carolinus, który dla wszystkich w naszej Francji jest tylko baśnią, nie tylko żyje, ale i żyje dzisiaj w Anglii? – zdziwił się. – Jak mogę w to uwierzyć?

–Czy uwierzysz, czy nie, to zależy od ciebie – odrzekł Jim. – Ale przyjedź kiedyś do Anglii i bądź mym gościem w Malencontri. Sam cię przedstawię Carolinusowi. Przekonasz się, że jego dom bardzo różni się od domostwa Malwinne'a. Tak jak i on sam jest inny. Czy wasze baśnie mówią, że jest zły?

–Nie – powoli przyznał sir Raoul. – Tak jak Merlinowi, przypisują mu wszelkiego rodzaju dobre uczynki. Przysięgacie, że żyje?

–Przysięgamy – odpowiedzieli chórem Jim i Brian.

–No to powiem wam tak – rzekł francuski rycerz z namysłem, wyprostowując się na stołku i spoglądając to na jednego, to na drugiego. – Jeśli rzeczywiście dostaniecie się żywi do zamku Malwinne'a, uwolnicie swojego księcia, wyprowadzicie bezpiecznie i sprowadzicie do Anglii, to jak tylko najwcześniej się da, złożę ci zaproponowaną wizytę i sam zobaczę tego Carolinusa.

Podniósł palec.

–Nie tylko, żeby zobaczyć kogoś, kto nazywa siebie Carolinusem – kontynuował – ale żeby ujrzeć czarodzieja o tym imieniu, który dowiedzie, że jest tak dobry, jak Malwinne jest zły. Tak dobry, jak mówią legendy o Carolinusie. Ślubuję na honor, że to uczynię.

–W każdej chwili będziesz mile widziany – powołał zaproszenie Jim. – A teraz, czy możemy wrócić do tego, co miałeś nam powiedzieć; jak moglibyśmy przedostać się przez ten las, mimo tych wszystkich jego uzbrojonych stworzeń, i wejść do zamku, by odnaleźć naszego księcia?

–Tak. Dobrze – powiedział po chwili sir Raoul. Jeszcze raz pochylił się nad stołem. – Uważajcie teraz.

Znów postukał palcem w literę „M” na mapie.

–Jak powiedziałem – ciągnął – byłem pewien, że wasz księżę będzie trzymany w zamku Malwinne'a. Mag kieruje królem we wszystkich sprawach, prowadzi go jak człowiek widzący ślepego. Ale nawet gdyby nie miał takiego wpływu na naszego króla Jeana, król sam chętnie oddałby czarnoksiężnikowi waszego księcia – na imię ma Edward, jak mniemam? Król dostrzegłby korzyść w pozostawieniu waszego



księcia Edwarda w ręku Malwinne'a; trzeba by czegoś więcej niż zwyczajnej wyprawy, żeby go stamtąd wykraść.

Przerwał i napił się wina.

–Jak mówiłem, przypuszczałem, że księżę Edward tam będzie – kontynuował – ale nie mogłem być tego absolutnie pewny. Nie mogłem jednak sam przedrzeć się do zamku, by to sprawdzić. Mówiłem wam, że Malwinne zniszczył moją rodzinę. Mówiłem poważnie. Nikt z mego rodu już nie żyje. Ale spośród wszystkich mój ojciec został zabity najhaniebniej, choć to opowieść, która teraz was nie interesuje. Wystarczy powiedzieć, że gdyby ktoś mojej krwi dostał się na ziemie tego zamku, czarnoksiężnik dzięki swojej Magii natychmiast zostałby ostrzeżony i bez wątplenia uwięziłby mnie, by się upewnić, że mój ród został raz na zawsze wyniszczony. Miałem tylko jedną nadzieję – powiedział po chwili, podnosząc na nich wzrok. – Pokładałem ją w jednym z biednych, zaklętych stworzeń Maga, z górną połową ciała ropuchy, a dolną połową człowieka. Kiedyś był to jeden z najlepszych sług mego ojca, dowódca jego zbrojnych. Gdy Malwinne zniszczył mój dom rodzinny, spodobało mu się zabrać tych z naszej służby, którzy przeżyli, i przekształcić ich w te swoje stwory. Było ich tuzin, nie więcej. Wszyscy poza jednym zmarli w ciągu pierwszego roku, gdyż w ten sposób zaklęci, nie trzymali się mocno życia. Od byle wiatru chorowali i umierali; albo też jakiś drobny wypadek, który zwykłego człowieka powstrzymałby od pracy na jakiś tydzień, ich przyprawił o śmierć w przeciągu godziny.

–Na Boga! – krzyknął sir Brian. – To podłe czyny! Szpieg popatrzył przez chwilę na rycerza z pewnym zdziwieniem, a może nawet z odrobiną wdzięczności. Twarz miał tak wyćwiczoną w skrywaniu uczuć, że trudno było cokolwiek z niej odczytać. Mówił dalej:

–Zamek Malwinne'a jest dla mnie zabójczy. Jednakże las nie grozi mi większym niebezpieczeństwem niż jakimkolwiek innemu człowiekowi nie posiadającemu zezwolenia Maga, żeby tam wejść. Przez kilka tygodni czałem się w tym lesie, kryjąc się, kiedy przechodził któryś z jego zbrojnych stworów, tak żeby nie napotkał mnie nikt, tylko ten, którego szukałem. Mogłem rozpoznać go po bliźnie od cięcia szabli na jego obliczu; bo albo za sprawą kaprysu czarnoksiężnika, albo przez jakieś ograniczenie czarownika, który go przemienił, bliźnę, której dorobił się jako człowiek, zachował w swoim nowym wcieleniu.

–I przyszedł w końcu? – spytał Jim.

–Przyszedł i poznał mnie. Bernard ma na imię. Chciał pomóc, choćby kosztem własnego życia, byleby tylko powstała szansa uderzenia w Malwinne'a.

Francuski rycerz odchylił się na stołku i wziął głęboki oddech.

–Mówiąc krótko – powiedział – jeśli dojdziecie do pewnego miejsca w lesie, o którym wam powiem, i będziecie tam czekać, noc w noc, w określonych godzinach, to w końcu Bernard do was dotrze. A kiedy się spotkacie, wtedy zaprowadzi was bezpiecznymi drogami do zamku. Lecz wówczas zostanieie sami. Dalej nie będzie śmiał pójść z wami, bo część jego zaklęcia sprawia, że jest kimś, kto strzeże lasu i terenów wokół zamku, i nie mógłby przedstawić żadnego rozsądnego powodu, dla

którego znalazł się wewnątrz zamku. Od tego miejsca będziecie musieli liczyć na samych siebie.

Rozważali jego słowa. Zamyślony sir Raoul nalał sobie i wypił jeszcze pół kubka wina.

–Powiedziałeś, że ten Bernard wskaże nam, jak się dostać do komnaty, w której trzymany jest książę? – odezwał się w końcu Brian. – I, jak przypuszczam, poda nam jakieś wskazówki, jak uwolnić go z tego miejsca. A potem, jak mamy się stamtąd wydostać?

–Obawiam się, że sporo zależeć będzie od was samych – odpowiedział szpieg. – Jeśli uda wam się wyjść z wieży, Bernard będzie czekał w pewnym miejscu – o ile nie rozkażą mu zajmować się jego obowiązkami – by znów przeprowadzić was przez las na zewnątrz.

–I żadna inna pomoc nie jest nam dostępna? – Sir Giles szarpał wąsa.

–Gdybym mógł wam ofiarować większą pomoc, chętnie bym to uczynił – rzekł sir Raoul. – Jest jak jest, gdyby nie Bernard, nie mógłbym wam zaoferować nic więcej oprócz informacji o położeniu samego zamku i moich modłów, żeby udało się wam dostać do środka i wyjść z waszym księciem.

–Skoro to wszystko, co możesz nam ofiarować, no to jest to wszystko i już – skwitował Jim.

Położył dłoń na mapie.

–Jest jednak parę innych spraw – powiedział – w których mógłbyś nam pomóc. Po pierwsze, możesz dać nam lepsze pojęcie o kraju, przez który będziemy podróżować. Poza tym, ile zabierze to czasu. A także, na co możemy natknąć się po drodze, mam na myśli innych wrogów czy też problemy.

–To uczynić mogę – odpowiedział francuski rycerz, znów pochylając się i opierając łokcie na stole.

Zaczął mówić. Jego znajomość okolic i ziem, które mieli przebyć, była równie encyklopedyczna, jak jego mapa była fragmentaryczna. Jim bardzo żałował, że nie ma przyborów, żeby zrobić notatki. Potem jednak przypomniał sobie z poprzednich doświadczeń z sir Brianem, że i on, i Giles, będąc typowymi ludźmi swoich niepiśmiennych czasów, byli przyzwyczajeni do przyswajania i zapamiętywania takich zasłyszanych wiadomości. Były to czasy, w których pan powierzał długą wiadomość wysłannikowi, a ten, kilka dni lub nawet tygodni czy miesięcy później, odtwarzał ją słowo po słowie komuś innemu w innym miejscu. Krótko mówiąc uszy mieli wytrenowane do słuchania, a umysły wyuczone, by zapamiętywać.

Tak więc, choć Jim starał się, jak mógł, żeby nadażać za tym, co mu mówiono, zorientował się, że będzie musiał polegać na pozostałej dwójce co do większości szczegółowych informacji. Postanowił sobie, że po wyjściu sir Raoula znajdzie przybory do pisania i zrobi własną mapę i notatki z tego, co sam zapamiętał, i z tego, co rycerze będą mu mogli powiedzieć.

Opowiadanie zajęło kilka godzin. I Giles, i Brian mieli kilka bardzo ważnych pytań co do kraju i ewentualnych przeciwników, których mogliby napotkać. Interesowali ich ludzie, ich konie i broń, którzy mogliby stanąć im naprzeciw, a także występowanie

wielkich i niebezpiecznych dzikich zwierząt, dostępność żywności i wody po drodze, i wiele innych spraw, które mogły Jimowi przyjść do głowy, ale prawdopodobnie by nie przyszły, póki miał szpiega przed sobą.

W trakcie rozmowy sir Raoul podchmielił sobie nieco, tak że zanim spotkanie dobiegło końca, wszyscy byli już serdecznymi przyjaciółmi.

–Będziemy musieli zakupić prowiant i być może wynająć jakąś służbę, żeby zajmowała się końmi – powiedział sir Brian myślący tylko o konkretach od chwili, kiedy gość wyszedł. – Gdyby ludzie, których zostawiliśmy za sobą z Johnem Chesterem, byli tutaj, moglibyśmy wziąć kilku z nich. Teraz być może udałoby mi się pożyczyć na krótko jednego czy dwóch od któregoś z Anglików w mieście, ale to doprawdy niewielka szansa.

–W każdym razie – rzekł radośnie sir Giles – będziemy tak zajęci, jak przystoi rycerzom, poczynając od jutrzejszego wczesnego ranka. Jak tylko zdecydujemy się co do prowiantu i innych potrzebnych rzeczy, mogę zająć się ich zakupem. Ty, Brianie, możesz w tym czasie rozejrzeć się, czy uda się pożyczyć jakichś pewnych ludzi. Wynajmować miejscowych, to ponosić pewne ryzyko, ale może, jeśli będziemy ich dobrze pilnować, nic się nie stanie, gdyż będą tak samo zależni od nas, jeśli chodzi o obronę, jak my od nich, jeśli chodzi o dobrą służbę.

Na tym zakończył się wieczór.

Następnego ranka Brian i Giles wstali i wyszli o świcie, po szybkim, choć – przynajmniej według oceny Jima – gargantuicznym śniadaniu. Zastanawiał się, jak ludzie mogą tyle jeść i nie tyć. Przypomniał sobie potem, że istniały okresy między chwilami takiego obżarstwa, kiedy jedzenia było istotnie niewiele – nawet dla rycerzy. Ludzie w tej epoce mieli instynkt dzikich zwierząt; napelniali sobie żołądki, kiedy sprzyjała temu okazja, na wypadek gdyby miała się przez jakiś czas nie powtórzyć.

Kiedy tamci dwaj wyszli, Jim udał się na poszukiwanie przyborów, za pomocą których mógłby spisać to, co zapamiętał z poprzedniego wieczora. Przeszukując Brest (dotychczas prawie nie wychodził z gospody), znalazł w końcu sklep, w którym zachwalano usługi kogoś o umiejętnościach skryby do pisania listów pod dyktando. I ten ktoś dał się skłonić do rozstania się ze swoim piórem, atramentem i pręcikami z węgla drzewnego, a także z cienkimi arkuszami pergaminu. Wszystko to za sumę, która wydała się Jimowi dość wygórowana. Utargował ją do pewnego poziomu, ale miał przykrą świadomość, że bardzo daleko mu w tym do umiejętności Gilesa czy Briana.

Wrócił do gospody i resztę poranka spędził przy stole dosuniętym do jednego z okien, żeby mieć więcej światła, notując wszystko, co mógł sobie przypomnieć z opowieści Raoula, o ile się dało, dokładnie i po kolei. Zostawiał przerwy między liniami, żeby móc dopisać wszelkie informacje, które Brian i Giles mogliby potem dorzucić.

Spróbował też narysować mapę, nanosząc na nią wszystkie cechy terenu wymienione przez szpiega, jakie mógł sobie przypomnieć. Stanowiła ona ulepszenie mapy francuskiego rycerza, lecz niezbyt wielkie, gdyż Jim nie był dobrym rysownikiem. Ale była przydatna, a na arkuszu pergaminu zostało sporo miejsca na

wpisanie dodatkowych danych zebranych od jego dwóch towarzyszy. Zrobił trzy kopie notatek i mapy.

Tego wieczoru przy kolacji we trójkę poczynili ostateczne plany. Tylko Jim i Giles mieli wyjechać bezzwłocznie. Brian, jak zarządził sir John, miał zostać w Breście i objąć dowodzenie ludźmi, którzy przybędą późniejszym statkiem, a następnie podążać śladem Gilesa i Jima. Postanowili obaj zostawiać znaki, dzięki którym rycerz będzie mógł sprawdzać, czy istotnie idzie za nimi, a musiał podróżować dość prędko, żeby ich dogonić – przynajmniej z początku.

Mimo wszystko, chociaż nie znaleźli żadnych sług do pomocy Gilesowi i Jimowi w podróży, ich ostatnia kolacja przerodziła się w radosną biesiadę. Oczywiście byli w mieście ludzie, których można by nająć, ale wszyscy miejscowi i dwaj towarzysze Jima żadnemu nie ufali. Mimo to Giles i Brian byli w świetnych humorach. Jim nie mógłby tego zmienić, nawet gdyby chciał. Tamci dwaj stworzeni byli do czynu i w końcu, po siedzeniu przez kilka dni jak na szpilkach, mieli znów co robić – to znaczy przynajmniej Jim i Giles mieli się czym zająć, a Brian miał nadzieję przystąpić do działania za kilka dni.

–Sądzę – powiedział Brian, gdy siedzieli nad resztkami posiłku, wciąż radośnie popijając wino – że sir John dopatrzy, żeby przysłano ich do nas jak najszybciej. Wyraźnie sprawa uwolnienia księcia była dla niego wielkiej wagi. Myślę, że możecie jechać, nie obawiając się, że kiedy wyruszę, będę za wami daleko z tyłu.

Po raz pierwszy cała ta przygoda z uwalnianiem księcia, nierealna i jak z awanturniczej powieści, zaczęła przybierać w umyśle Jima twarde kształty rzeczywistości. Z jakiegoś powodu, którego nie potrafił określić, zrobiło mu się nagle zimno.

## Rozdział 17

Droga, którą obrali Jim i sir Giles, posługując się poprawioną przez Jima wersją mapy sir Raoula, poprowadziła ich przez rzekę Aulne na południowy wschód do Quimper i wzdłuż południowego wybrzeża, przez Lorient, Hennebont, Yannes, w głąb łądu do Redon. Tereny przybrzeżne były ziemiami, przez które podróżowało się dość przyjemnie, ale kiedy zaczęli się posuwać w głąb Francji, Jim poczuł się nieco wstrząśnięty. Zniszczenia spowodowane przez wojujące armie były tutaj zbyt widoczne, by zachować dobre samopoczucie.

Mijali więcej ruin, niżby miło było zobaczyć. Ludność wiejska z reguły ukrywała się przed nimi, a mieszkańcy miast, w których się zatrzymywali, zachowywali się z dystansem, jeśli nie chłodno. Działo się tak, gdy posuwali się naprzód, do Angers, gdzie w końcu dotarli do Loary.

Od dwóch tygodni byli zupełnie sami. Jim miał wrażenie, że Gilesowi wcale to nie przeszkadza. Podobnie jak Brian zdawał się on traktować świat jak olbrzymią scenę wielkiej, nie kończącej się przygody. Nawet bardziej niż Brian wydawał się czerpać ogromną przyjemność tylko z tego, że żyje. Jim wciąż martwił się, czy Brianowi uda się połączyć z ich ludźmi i dogonić ich tak, jak to rozkazał sir John. Poza tym miał też na głowie większe, ukryte zmartwienie.

Podczas całej drogi nie zobaczył, nie wywąchał ani nie odczuł obecności żadnych francuskich smoków.

Można by powiedzieć, że było to co najmniej dziwne. Za każdym razem, kiedy znajdował się w swoim smoczym ciele w domu, był świadomy, że w pobliżu były inne smoki. Dokładnie jak to się działo, nie mógł powiedzieć, ale uczucie to było prawdziwe. Secoh zapewniał go, że gdy dostanie się do Francji, poczuje obecność miejscowych smoków i powinien skontaktować się z pierwszym, na jakiego trafi.

Każdej nocy, którą spędzali w polu, Jim zostawiał sir Gilesa przy ognisku i odchodził dość daleko w las, by bezpiecznie zamienić się w smoka. Przyjąwszy tę postać, czynił wszelkie możliwe wysiłki, żeby wyczuć w pobliżu obecność innych smoków. Nie czuł jednak nic.

To go zastanowiło. Umiał znaleźć tylko dwa możliwe wyjaśnienia. Albo smoki zgromadziły się w innych stronach – stałe działania wojenne na tym terytorium mogły zmusić je do przeprowadzki – albo jakoś udawało im się tak dobrze przed nim ukryć, że nie mógł nawet poczuć ich obecności.

To drugie wytłumaczenie wydawało mu się wątpliwe. Nie byłoby sensu w tym, żeby smoki mogły wyczuwać bliskość innych osobników swego rodzaju, jeśli ten zmysł można by w jakiś sposób zablokować. Z pewnością ziemia i skały nie mogły tego sprawić. Za każdym razem, kiedy był w swoim smoczym ciele, tam w Malencontri, był tak świadom Cliffsida z jego gromadą smoków, jak mógł być świadom chmur burzowych na horyzoncie w skądinąd jasny letni dzień. I działo się to mimo faktu, że Malencontri dzieliło od wzniosłej, litej skały Cliffsida ponad pięć mil – czyli około piętnastu mil angielskich.

Jednakże pierwszego dnia jazdy za Tours, zdążając w kierunku Amboise, na prostej drodze do Orleanu i zamku Malvinne'a, gdy w ciemności, z dala od ognia,

przemienił się w smoka, poczuł obecność innych smoków. Były prawie dokładnie na północ od miejsca, w którym rozbili obozowisko na noc. Zmienił się z powrotem w człowieka, założył ubranie i głęboko zamyślony dołączył do Gilesa przy ognisku.

–Gilesie – rzekł – jest coś, co do tej pory zatrzymywałem dla siebie i co wciąż muszę trzymać w sekrecie. Jestem zmuszony na krótką chwilę oddalić się od ciebie.

Może byś pojechał dalej do Amboise i zajął dostatecznie duży pokój dla nas dwóch w najlepszej z tamtejszych gospod. Zajmie mi to pewnie kilka dni, ale dołączę do ciebie. Jeśli nie zjawię się w ciągu trzech dni, jedź do Blois i czekaj na mnie.

Przykro mi, że muszę taić coś przed tobą, ale to część mojej roli w całej sprawie.

–Ha! W rzeczy samej – powiedział dobrodusznie rycerz, popijając z kubka, który napełnił z jednej z flaszek wina, w które zaopatrzyli się w Tours. Ich poprzednie zapasy zmniejszyły się wydatnie do czasu, kiedy tam przybyli. Głos jego nie wskazywał, pomyślał z ulgą Jim, by był choć trochę urażony, że nie dopuszcza się go do sekretu.

–Tak – kontynuował Jim. – W Blois zrób to samo. Weź pokój i czekaj. Jeśli z jakichś przyczyn nie dogonię cię wcale, to czekaj, aż pojawi się Brian. Jeśli nie pokażę się do tego czasu, do ciebie i Briana będzie należało uczynienie, co możliwe, by uwolnić księcia. Pamiętasz wskazówki, jakie dał nam sir Raoul, żebyśmy znaleźli to miejsce w lesie, gdzie mamy spotkać się z Bernardem – tym byłem zbrojnym jego ojca, który został zmieniony przez czary Malvinne'a?

–Ha! Tak! – powtórzył Giles, kręcąc wąsa. – Ale czy to znaczy, że Brian i ja nie powinniśmy próbować cię odnaleźć?

–Myślę, że uwolnienie księcia Edwarda jest sprawą większej wagi – odparł Jim.

–Prawda. Tak trzeba – powiedział rycerz. – Ale nie jestem szczęśliwy, myśląc, że moglibyśmy cię utracić, Jamesie. Sądziłem, że któregoś dnia mógłbyś odwiedzić mnie w moim domu w Northumberland.

Jim był głęboko wzruszony. To samo przytrafiło mu się z Brianem. Ci rycerze tak samo szybko zawierali głębokie przyjaźnie, jak i robili sobie wrogów na całe życie; a teraz raczej przejrzyste, brązowe oczy Gilesa lśniły podejrzeniem. Jim nigdy całkiem nie przywykł do braku skrępowania, z jakim ci czternastowieczni mężczyźni wybuchali płaczem.

–Ja... – musiał przerwać i odchrząknąć. – Sądzę, że nie ma takiego niebezpieczeństwa. Tylko tyle, iż nieprzewidziane okoliczności mogą zatrzymać mnie tak długo,

że byłoby lepiej, abyście dalej działali sami. Upewniałem się tylko, że omówiliśmy wszystkie możliwości z wyprzedzeniem. Doprawdy spodziewam się ujrzeć ciebie w Am-boise, a jeśli nie tam, to powinienem być w Blois dzień czy dwa dni po tym, jak się tam zatrzymasz.

–Przynosi mi ulgę słyszeć, że tak uważasz – powiedział rycerz – doprawdy, przynosi ulgę. Jesteś szlachetnym panem, którego polubiłem i podziwiam, Jamesie!

–I ja ciebie polubiłem i podziwiam – rzekł Jim. Przyszła mu na myśl powszechna droga ucieczki tego świata. – Wiesz, napijmy się szklaneczkę wina za to!

–Z chęcią! – odpowiedział niemal gwałtownie Giles. Napełnili kubki i wypili, a do

tego czasu, kiedy kubki stały się puste, chwila wzruszenia minęła.

–Wszystkie moje konie i sprzęt zostawię z tobą – kontynuował Jim. – Zabiorę tylko ubranie, pas, miecz i sztylet. I krótką linkę, dla której będę miał specjany użytek.

–Ha! Linkę? – zapytał rycerz, a potem się pohamował. – Wybacz mi, Jamesie. To twoje odejście jest sekretne i nie powinienem wypytywać. Czy nie będziesz też potrzebował jakichś prowiantów?

–Dzięki – powiedział Jim. – Prawdę mówiąc, sam o tym nie pomyślałem. Ale owszem, trochę mięsa, chleba i wina, to nie taki zły pomysł – ale tylko nieduża ilość. Rodzaj żelaznych racji, jakie rycerz mógłby zabrać ze sobą, żeby przetrwać całodzienne polowanie.

–Tak mało – zamruczał sir Giles. – Ha! Wybacz, Jamesie, znów wtrącam się do czegoś, co jest wyłącznie twoją sprawą.

Popatrzył na swój pusty kubek. Z tego, co zauważył Jim, wypił około półtorej flaszki wina, jakie przynieśli ze sobą.

–W takim razie najlepiej, żebyśmy położyli się wcześniej – powiedział rycerz. – Wyruszysz o świcie, Jamesie? Czy trochę później?

–Sądzę, że o świcie. Tak – odparł Jim. Wydało mu się, że przechwycił w zadumany głos Gilesa rodzaj delikatnej sugestii, żeby nie wyruszał aż tak wcześniej. Ale obecność smoków, którą wyczuł, nie była bliska. Może będzie musiał poświęcić cały dzień, żeby je odnaleźć.

Był bardzo wdzięczny Carolinusowi za zmniejszenie worka klejnotów, które stanowiły jego paszport, do rozmiarów nadających się do przełknięcia. Mógł zrobić tobolek z ubraniami, mieczem, sztyletem i całym jedzeniem i pić, które brał ze sobą, i przywiązać to wszystko dookoła karku tak, żeby porządnie się trzymało podczas lotu. Ale wolał sobie nie wyobrażać, że miałby dźwigać jeszcze klejnoty.

Ułożył się po drugiej stronie ogniska, naprzeciw sir Gilesa, owinięty w parę zapasowych płaszczy. Do tego stopnia przywykł do twardego życia tego świata i stulecia, że wkrótce również zasnął. Zbudzili się obaj o świcie, zjedli śniadanie, po czym Jim zgodził się, by rycerz towarzyszył mu do miejsca, gdzie mieli się rozstać.

Sytuacja ta stwarzała świetne rozwiązanie dla problemu, o którym nie pomyślał aż do czasu, kiedy był gotów do wyruszenia. Przedtem wystarczyło mu tylko odejść od ogniska, żeby zdjęć ubranie i w ciemnościach zmienić się w smoka. Ale teraz był dzień i nigdzie w pobliżu nie było lasu, w którym mógłby dokonać przemiany.

Mógł oczywiście zostawić tutaj Gilesa i zabierając swoje jedzenie, picie i linkę, powędrować przez ugory, które otaczały dukt z obu stron, aż doszedłby do jakiegoś zagłębienia czy innego miejsca, gdzie rycerz nie mógłby go zobaczyć w jego nowym wcieleniu.

Z drugiej strony wędrowanie przez otwartą przestrzeń tylko z mieczem dla obrony – bo nawet tarczę zostawił z Gilesem – stanowiło zagrożenie dla osobistego bezpieczeństwa. Po tych wszystkich latach wojny okoliczni wieśniacy byli tak samo skłonni napadać na bezbronnych podróżnych jak ktokolwiek inny. Dwóch rycerzy na koniach, z bronią i tarczami, wystarczyłoby, żeby powstrzymać ich od takich prób.

**Ale samotny piechur byłby w niebezpieczeństwie.**

**Nie było powodu, dla którego sir Giles nie mógł mu towarzyszyć do miejsca, gdzie byłby zakryty od strony drogi, zostawić go tam i wrócić. Jim mógł poczekać, aż rycerz zniknie mu z oczu, i wtedy dokonać przemiany.**

**Doszedł do tego punktu w swoich rozmyślaniach, gdy nagle poczuł wyrzuty sumienia. On widział, jak Giles zmienia się w smoka. Obaj byli towarzyszami broni. Ponadto rycerz nie tylko był świadom, że Jim był czarodziejem, ale że znano go jako Smoczego Rycerza, słyszał także historię o walce pod Twierdzą Loathly.**

**Nie było powodu, żeby nie zmienić się w smoka od razu, na oczach sir Gilesa. Jedynym problemem było, jak nie wystraszyć koni. Przypomnił sobie, jak Gruchot się zachował, kiedy niespodziewanie zamienił się w smoka w drodze do Carolinusa. A Gruchot był przecież do niego przyzwyczajony – choć trzeba przyznać, nie do tego, że Jim zamieniał się w smoka.**

**–Gilesie – zagał Jim, gdy zawiązał tobolek, w którym miał jedzenie i picie – do tego-, co mam zamiar zrobić, muszę zamienić się w smoka. Nie chcę przestraszyć koni, więc może powinniśmy je tu zostawić i odejść trochę dalej, zanim dokonam przemiany.**

**–Ha? – powiedział rycerz. – Z pewnością nie spodobałaby im się twoja przemiana w smoka w odległości kilku stóp od nich. Myślę, że powinniśmy mocno je przywiązać do tamtego uschniętego drzewa, żeby się nie urwały, gdy zaczniesz się zmieniać, o ile planujesz zrobić to w zasięgu ich wzroku.**

**Nie było w pobliżu żadnych żywych drzew, a drzewo wspomniane przez Gilesa było martwym kikutem, który wyglądał, jakby uderzył weń piorun. Stało niecałe dziesięć jardów od drogi. Przywiązali mocno konie i ruszyli dalej przez wysoką do kolan, nie koszoną trawę pól, aż znaleźli się dobre sto jardów od zwierząt.**

**–W tej odległości nie powinienem już ich przestraszyć – powiedział zatrzymując się w końcu Jim.**

**–I tak nie mogą się urwać – odrzekł rycerz. Patrzył, jak Jim zdejmuje ubranie, po czym wziął je od niego i zawiązał w węzełek liną, do której przytwierdzone już były pakunki z jedzeniem i piciem.**

**–Przywiąż te rzeczy dookoła mojej szyi, gdy już się zamienię w smoka – polecił Jim. Giles przytaknął.**

**Stojąc bez ubrania Jim wypisał wewnątrz swojej czaszki równanie i natychmiast stał się smokiem.**

**–Klnę się! – wykrzyknął rycerz gapiąc się na niego. – Myślałem, że jestem przygotowany na twoją przemianę, Jamesie, ale nie spodziewałem się, że będziesz aż tak dużym smokiem.**

**–Nie wiem, czemu jestem taki duży – odpowiedział Jim ze swego smoczego ciała. – Chyba że ma to coś wspólnego z moimi rozmiarami jako człowieka. Przywiążesz ten tobolek mocno wokół mojej szyi? Dzięki. No to zmykam.**

**Giles skończył przymocowywać tobolek do pokrytej łuską szyi Jima.**

**–Tak mocno wystarczy, Jamesie? – spytał usuwając mu się z drogi.**

**–Nie może być lepiej – odrzekł Jim. – No to tymczasem żegnaj, Gilesie.**



Niecierpliwie będą wyglądał szybkiego z tobą zobaczenia.

–Ja też, Jamesie – odpowiedział rycerz. – Szczęśliwej drogi!

Jim skoczył w powietrze, wymachując skrzydłami, i niemal natychmiast zaczął się wznosić z prędkością, która zadziwiła go, gdy pierwszy raz próbował latać w ciele smoka. Osiągnąwszy wysokość, na której był ciepły prąd wznoszącego się powietrza, przez chwilę szybował, zataczając koła i dostosowując swój teleskopowy smoczy wzrok, by dostrzec maleńką figurkę Gilesa daleko w dole. Figurka pomachała mu, a Jim w odpowiedzi pokiwał skrzydłami.

Potem znów popracował skrzydłami, osiągając większą wysokość. Musiał wzbijać się przez pewien czas, zanim znalazł następny prąd wstępujący i zaczął szybować, podążając za odczuciem przyciągającym go do smoków, które były w pobliżu.

Tak jak wtedy, kiedy leciał z Secohem do Cliffsides, poczuł, że umiejętność szybowania budzi w nim radość. Z pewnością wydawało mu się to najprzyjemniejszym sposobem podróżowania, jaki kiedykolwiek wymyślono. Znów postanowił sobie zapamiętać, by przy okazji więcej tak popodróżować.

Dzień był bezchmurny i ciepły jak na tę porę roku. Temperatura podnosiła się już gwałtownie. Dawało się to zauważyć nawet na tej wysokości. Rzeczywiście, gdyby nie wiatr, jaki sam wytwarzał lecąc, mogłoby mu być zbyt ciepło, by było to przyjemne. A tak zupełnie oddawał się czystej radości lotu.

Umysłem błdził po różnych, nie powiązanych ze sobą sprawach. Myślał o Angie tam, w Anglii, i żałował, że nie ma sposobu, by przesłać jej list i jednocześnie mieć pewność, że dojdzie do niej przed jego powrotem – o ile w ogóle tak się stanie. W tych czasach listy po prostu przekazywano sobie z rąk do rąk, aż znalazły się w miejscu przeznaczenia. W rezultacie ich dotarcie do adresata było częściej sprawą szczęścia niż czegoś innego.

Myślał o Gilesie i o tym, że mimo wybuchowego temperamentu i prostoduszności, jaką odznaczał się na równi z Brianem i niemal wszystkimi innymi osobami spotkanymi przez Jima w tym świecie, był człowiekiem sympatycznym.

Po części, jak Jim powiedział sobie teraz, było tak dlatego, że rycerz przy swoim nieumiarkowanym charakterze miał równie nieumiarkowany zasób cechy tutaj pospolitej – był otwarty, bezpośredni i nie zwlekał z okazywaniem uczuć. On, Brian i inni, podobni do nich, zachowywali się prawie jak dzieci. Mogli być nagle bardzo szczęśliwi albo nagle bardzo smutni, albo się nagle strasznie rozgniewać, i tak samo nagle wracał im znów dobry humor.

Dla Gilesa świat był nie kończącą się serią ciekawostek. Na każdym zakręcie była niespodzianka. Co więcej – rycerz wręcz spodziewał się, że tak będzie. Z jego punktu widzenia wszystko było możliwe.

Często zdarzało się, że kiedy umysł Jima błdził całkiem gdzie indziej, przychodziło mu nagle na myśl rozwiązanie jakiejś wcześniejszej zagadki. Tak jakby w głębi jego umysł wciąż rozpracowywał problem i w końcu przedstawiał rozwiązanie.

Ponownie zaczął myśleć o Carolinusi i Magii, i o zdecydowanych próbach Maga nakłonienia go, żeby sam nauczył się magicznego rzemiosła.

Przyszło mu teraz do głowy, że przypuszczalnym powodem takiego postępowania było to, co już kiedyś, przelotnie, nasunęło mu się na myśl. Magia nie była nauką, tylko sztuką. Przeistaczała się w naukę tylko wtedy, gdy raz została zastosowana w sferze powszechnego użytku i stała się ogólnie zrozumiała. Jak historia zszycia futer w ubranie, którą czarodziej zilustrował swój wykład.

Fakt, że Magia była sztuką i niczym innym jak tylko sztuką, wyjaśniał bardzo wiele rzeczy. Po pierwsze, nie istniała w zasadzie jedna określona Magia albo jedno konkretne zaklęcie na każdą sytuację. Każdy Mag sięgał do dostępnej mu puli energii, której zużycie śledził Wydział Kontroli, i z niczego więcej jak z czystej energii kształtował magiczne rozwiązanie problemu, którym się zajmował.

Ostatecznie, czym jest sztuka, Jim zapytał sam siebie. Próbował wymyślić definicję, która obejmowałaby pisarzy, malarzy, aktorów, muzyków, kompozytorów, rzeźbiarzy... wszystkich, którzy mogliby zmieścić się pod parasolem tego słowa. Odpowiedź brzmiała, że sztuka jest procesem. Procesem podobnym do równania, które Carolinus mu zaproponował, żeby sobie wyobraził we wnętrzu czoła, by zamienić się ze smoka w człowieka i z powrotem.

Sztuka, rzekł Jim do siebie – nieco zdziwiony, że znalazł się w tak głęboko filozoficznym nastroju – była procesem, a zatem jakikolwiek proces został przez artystę wybrany, praca nad nim musiała postępować według pewnego wzoru.

Najpierw artysta musiał wyobrazić sobie coś, co nie zostało wyobrażone przedtem. Jak człowiek z epoki kamiennej stojący na wzgórzu, obserwujący ptaki na niebie i marzący o lataniu. Działała tu zwykła wyobraźnia. Potem z tego skrawka surowej wyobraźni musiał wyłonić się coś co dla sztuki było jedyne w swoim rodzaju: koncept, który byłby czymś bardziej konkretnym niż tylko ogólnym życzeniem wyobraźni. Musiał on podsuwać jakieś specjalne środki, za pomocą których wyobrażenie mogło przemienić się w rzeczywistość; tak jak rysunek ornitopera Leonarda da Vinci był próbą konceptualizacji ludzkiej maszyny latającej. Potem ogólny szkic musiał być udoskonalony przez liczne eksperymenty w procesie tworzenia, aż w końcu stawał się wyraźnym przedstawieniem ostatecznej wersji.

Przyszło mu nagle do głowy, że owe trzy etapy – wyobrażenie, konceptualizacja i przedstawienie sobie roboczego rozwiązania – oznaczały te właśnie stany umysłu, których życie w średniowieczu uczyło takich ludzi jak Brian i Giles unikać. Od ludzi tej epoki oczekiwano, że nie będą rozmyślać nad zmienianiem swego otoczenia, ale raczej akceptować je i godzić się z nim. Im lepsi byli w akceptowaniu i przyjmowaniu rzeczy takimi, jakie je widzieli, tym większe mieli szansę na sukces w ramach struktur i zwyczajów swojego społeczeństwa.

Nic dziwnego, że droga nauki, na którą skierował Jima czarodziej, nazywana była Magią. Nic też dziwnego, że będąc produktem cywilizacji, w której dużo z Magii stało się nauką i technologiczną rzeczywistością, łatwiej było mu wejść na drogę Magii, niż komuś takiemu jak jego dwaj przyjaciele, z całą ich odwagą i innymi zaletami.

Ocknął się z rozmyślań, zdając sobie sprawę, że bardzo już zbliżył się do źródła owego odczucia, które przyciągało go w tym kierunku. W rzeczy samej odczucie to prowadziło go teraz do punktu znajdującego się tuż przed nim w dole, na

powierzchni ziemi.

Spojrzał w tym kierunku i może o milę czy dwie przed sobą zobaczył kępę drzew, którą trudno byłoby nazwać lasem, a która otaczała otwartą przestrzeń. Na środku polany stało coś, co wyglądało jak zamek.

Jim dostosował widzenie najlepiej, jak pozwalał mu na to teleskopowy smoczy wzrok, i dostrzegł, że zamek, choć istotnie prawdziwy, w dużym stopniu był ruiną. Otaczająca go fosa była sucha, a zewnętrzny mur rozpadł się. Szybując skierował się tam.

Dzień, zgodnie z tym, jak się zapowiadał, był gorący. Kiedy Jim zbliżał się do ziemi, ruch powietrza zaczął zamierać, tak że w końcu opadał niesiony tylko dzięki rozpostartym skrzydłom. Zatrzymał się z szarpnięciem tuż nad ziemią i wylądował z głuchym łoskotem nie opodal suchej fosy zrujnowanego zamku. Zwodzony most, w zadziwiająco dobrym stanie, łączył brzegi fosy i wskazywał drogę do wielkiej pary podwójnych wrót, których jedno skrzydło było lekko uchylone, odsłaniając wąską pionową szczelinę ciemności poza nim.

Tu, na ziemi, powietrze było całkiem nieruchome, tak że dzień zdawał się pozbawiony najłżejszego podmuchu wiatru. Mimo że jasne słońce oblewało wszystko swymi promieniami, a drobne źdźbła trawy próbowały tu i ówdzie przebić się przez nagą ziemię, bezruch i zrujnowany wygląd zamku wywierały złowieszcze wrażenie. Ale to z wnętrza budowli dobiegał Jima „zapach smoka”.

Poczłapał naprzód (smok poruszający się na tylnych łapach mógł tylko człapać, kiedy szedł) – a odgłos stawiania łap, obciążonych całym ciężarem, który na nich spoczywał, huczał ciężko wśród zupełnej ciszy, jaka go otaczała. Dotarł wreszcie do dwojga wysokich wrót. Były tak wielkie, że nad głową sięgały jeszcze połowy jego wzrostu. Każde ze skrzydeł, otwarte, mogłoby go przepuścić.

Załomotał łapą we wrota i czekał. Po chwili zastukał znowu, ale wciąż brak było odpowiedzi. Pchnął więc wrota na oścież i wszedł do pomieszczenia, które okazało się mimo wszystko niezupełnie pozbawione światła. Była to mroczna, wielka sień oświetlona tylko dwoma podobnymi do szczelin oknami, po jednym z każdej strony wrót wejściowych.

–Czy jest ktoś w domu?! – zawołał, choć dobrze wiedział, że ktoś był. Mógł go, ja czy ich wyczuć. Po chwili ciszy znudziło mu się czekanie na odpowiedź.

–Wiem, że tam jesteście! – krzyknął. – Nie spodziewacie się chyba, że oszukacie innego smoka? Wyłażcie, wyłażcie, kto szuka ten znajdzie! – Wbrew sobie samemu ostatnie słowa wykrzyknął na śpiewną nutę, tak jak w dzieciństwie.

Jeszcze sekundę trwała cisza, a potem długa płachta białego płótna opadła przed nim i zaczęła się marszczyć, gdy nią kołysano w tył i w przód. Płótno musiało mieć ze czterdzieści albo i więcej stóp, pomyślał Jim, żeby sięgać tam, gdzie było zamocowane, gdzieś poza zasięgiem wzroku, w ciemności u sklepienia sieni.

–Odejdź! – zagrzmiał potężny, głuchy smoczy głos. – Jeśli cenisz sobie swoje życie, odeeejdź!

Przejrzyste próby zniekształcania głosu i falująca biała materia, którą wyraźnie poruszano u góry, przypomniały Jimowi o dniach zabaw w dzieciństwie podczas

Halloween. O mało się nie roześmiał.

–Nie bądź śmieszny! – odkrzyknął. – Nigdzie nie idę! – podniósł głos o jeden ton. Nie był jeszcze taki sam jak ten, który słyszał, ale już całkiem bliski.

–Jesteś angielskim smokiem! – zagrział głos. – Nie masz tu czego szukać! Odeeejdź!

–Owszem, jestem angielskim smokiem – zaryczał Jim w odpowiedzi – ale mam paszport, który powierzę odpowiedzialnemu francuskiemu smokowi!

Na chwilę zapadła cisza. Potem głos, którego słuchał, przemówił jeszcze raz, zgoła innym tonem.

–Paszport? – powiedział głos. – Poczekaj tam. Biała materia została błyskawicznie uniesiona w górę, a potem rozległ się odgłos szurania, najpierw nad głową Jima, potem w kierunku tyłu sieni i wreszcie zbliżający się na dół do niego. Jim czekał. Po chwili doszedł go dźwięk zbliżających się ciężkich smoczycych kroków i ukazał się nie jeden, ale dwa smoki. Oba wyglądały na niedożywione, a jeden był wyraźnie mniejszy. Większy smok musiał być kiedyś tak duży jak Jim, ale znać po nim teraz było wiek i ciało skurczyło mu się na wielkich kościach.

–Jak masz na imię? – zapytał smok głębokim, chropawym basem.

Nic dziwnego, pomyślał Jim, że głos jego brzmiał głucho, gdy krzyczał spod sufitu sieni. Sam wyglądał jak pusty w środku, trafnym określeniem jego byłby worek kości. Musiał być starszy niż Smrgol, nie był jednak takim dobrotliwym smokiem jak tamten. Wyglądał staro i złośliwie.

–James – przedstawił się krótko Jim. Większy smok spojrzał na mniejszego.

–Idiotyczne angielskie imię – powiedział do towarzysza.

Mniejszy smok przytaknął swą złośliwie wyglądającą wąską głową – Jim dostrzegł, że była to samica. I nagle zrozumiał, że trafił na coś, co wśród angielskich smoków było rzadkością – na parę, która żyła poza jakąś smoczą gromadą. Oczywiście większego smoka błyszcząły chciwością.

–Gdzie jest paszport? – zapytał. Jima coś ostrzegło.

–Na zewnątrz – odpowiedział. – Pójdę po niego. A wy dwoje, na razie, zostańcie tu.

Większy smok chrząknął niechętnie, ale żadne z nich nie drgnęło, kiedy Jim odwrócił się i wyszedł przez wrota. Przeszedłszy przez fosę Jim zatrzymał się na gołej ziemi wśród rzadkiej trawy przed zamkiem i ustawił plecami do wejścia.

Rozpaczliwie usiłował sobie przypomnieć wskazówki Carolinusa co do wydobywania z siebie paszportu i przywrócenia mu właściwych rozmiarów. Gdyby tylko Mag nie skomplikował sprawy mówiąc mu jednym tchem, jak wydobywać „Encyclopedie Necromantick”.

Jego umysł poszukiwał i wreszcie znalazł. Żeby wyjąć worek z paszportem, musiał kaszlnąć dwa razy, kichnąć raz i potem kaszlnąć jeszcze raz. Przedtem nie zastanawiał się nad tym, że będzie w ciele smoka, gdy przyjdzie mu to wykonać. Oczywiście, zawsze mógł się zamienić z powrotem w człowieka, ale po tym, jak ujrzał tych dwoje w zamku, nie czuł najmniejszej ochoty do porzucenia, choćby na chwilę, ochrony swojego silnego młodego ciała. Ale nic przecież nie straci próbując.

Usiłował kaszlnąć. Ku jego radości smoki potrafiły kaszleć. W samej rzeczy kasłał bardzo dobrze. Zrobiwszy to raz, zrobił raz jeszcze. Co potem? Ach tak, kichniecie.

Jednakże wyglądało na to, że prawdziwego kichnięcia nie da się wykonać na zamówienie. Zaczął odczuwać niepokój. Mimo że tamte dwa smoki nie poruszyły się, kiedy szedł do drzwi, był teraz niemal pewien, że czuje na sobie ich spojrzenia przez wrota, które były wciąż uchylone – jak odkrył, nie dawały się mocniej przymknąć.

–Apsiiik! – powiedział z nadzieją.

Nic się jednak nie stało. Żaden worek klejnotów nie zaczął mu pęcznieć w środku. Zaczął się trochę gorączkować. A co, jeśli czarodziej, od czasu do czasu taki roztargniony, po prostu nie wziął pod uwagę tego, że smoki były niezdolne do kichania? Rzeczywiście, czy ktoś kiedyś słyszał, żeby smok kichał?

Zdesperowany pochylił się, zerwał źdźbło nędznej trawy i spróbował połaskotać sobie jedno z nozdrzy od wewnątrz. Ale prawie nie czuł tej trawy w środku potężnego nosa. To nie było wyjście.

Może gdyby wziął coś trochę dłuższego i twardszego... Rozglądał się po ziemi i wreszcie dostrzegł, około piętnastu stóp od niego, suchą starą gałązkę, która miała tę zaletę, że była długa na co najmniej dwanaście cali. Zbliżył się do niej, usiłując to zrobić tak nonszalancko, jak tylko mógł, wciąż odwracając się grzbietem do szczeliny w uchylonych wrotach. Doszedłszy do gałązki, rozejrzał się po okolicy i popatrzył na niebo, zanim – tak mimochodem – sięgnął i zgarnął patyk. Kryjąc go za swoim zwalistym ciałem, spróbował połaskotać się nim w nosie od wewnątrz.

Akurat to jego nozdrze poczuło. Suchy patyk, który miał kilka zgrubień po niegdyś pączkujących listkach, drapał go i na chwilę wycisnął łzy z oczu. Ale wciąż nie wywołał kichania.

No cóż, smocza morda była długa, dlatego też i jego nozdrza były długie. Nadal spora część nosa była przed nim. Wepchnął patyk tak głęboko, jak zdołał. Przez chwilę czuł ostry ból, a potem przepotężnie zakręciło go w nosie. Następnie straszliwe kichnięcie zwało gałązkę poza zasięg wzroku. Jim pośpiesznie kaszlnął.

Kiedy w końcu przestał mrugać załzawionymi oczami, zobaczył, że stoi przed nim na ziemi worek z klejnotami – jego paszport. Chwycił go, odwrócił się i wrócił do zamku.

Do chwili gdy znów przekroczył frontowe drzwi, niosąc worek, tamtych dwoje zdążyło wrócić z powrotem tam, gdzie ich zostawił. Ale spojrzenia mieli utkwione, jak zahipnotyzowani, w worku.

–Patrz! – wykrzyknęła smoczyca.

Głos miała tak samo chrapliwy jak jej towarzysz, ale jednak znacznie wyższy i brakowało mu właściwości potężnego dudnienia jak u tamtego. Oboje wyglądali na tyle samo lat.

–Ech, ci Fenicjanie – zadudnił większy smok – przybywający na wyspy Scilly i do wielu innych miejsc jakieś dziewiętnaście stuleci temu. I że też te angielskie smoki najwięcej na tym skorzystały... – Spojrzał prosto na Jima. – A więc – powiedział – podaj paszport!

–Momencik – odparł Jim wciąż trzymając worek przy sobie. – Jakie są wasze

imiona?

–Sorpil – mruknął większy smok po chwili milczenia. – Jestem Sorpil. A to moja samica, Maigra. A teraz daj mi ten paszport.

–Daj nam paszport! – rzuciła Maigra.

–Nie tak prędko – powstrzymał ich Jim. Był bardzo wdzięczny Secohowi, że podczas ich powrotnego lotu ze smoczej siedziby w Cliffside do Malencontri objaśnił on go co do zobowiązań, jakie zaciągnie wobec swoich francuskich gospodarzy, jak i co do odpowiednich zobowiązań, jakich podjęcia spodziewać się należało z ich strony.

–Czy zapewniacie mnie, że oboje jesteście w dobrych stosunkach ze swoimi krajanami i że macie upoważnienie, by przyjąć ten paszport w ich imieniu?

–Oczywiście, oczywiście – mruknął smok. – Teraz daj go tutaj.

–Nie bądź taki w gorącej siarce kąpany – powiedział Jim, pożyczając sobie jedno z ulubionych smoczyczych powiedzeń stryjecznego dziadka Gorbasha. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, odbędziemy cały rytuał przekazania. Zgadzacie się na to, nieprawdaż?

Obydwoje mieli skwaszone miny. Lecz Jim wiedział, że nie miały wyjścia. Jeśli chciały dostać jego paszport w swoje pazury, były zobowiązane nie tylko udzielić mu poprawnych odpowiedzi, ale nawet nakarmić go i przenocować u siebie, w rzekomo przyjacielskim geście. Był to rodzaj dobijania targu.

–Więc zapewniacie mnie, że jesteście w dobrych stosunkach ze smokami z sąsiedztwa – rzekł Jim. – Rozumiecie, że sprawdzę to wasze oświadczenie u następnego francuskiego smoka, jakiego spotkam?

–Tak, tak! – zapiszczała smoczyca, a przynajmniej według smoczej miary jej głos był piskiem. Mało nie podskakiwała z podniecenia, nie spuszczając oczu z paszportu.

–Rozumiem – warknął Sorpil. – Oboje rozumiemy.

–Tak, tak! – znów powiedziała Maigra.

–Ze swojej strony – powiedział Jim, daleko już posuwając rytuał – daję wam słowo, że nie uczynię nic, co mogłoby przysporzyć trudności czy kłopotów smokom z Francji, a jeśli przypadkiem tak się stanie, podejmuję się naprawienia lub usunięcia tej trudności czy problemu, zanim opuszczę Francję, i to nie narzucając się smokom z Francji w celu uzyskania pomocy. Wysłuchaliście i zapamiętaliście to moje oświadczenie?

–Tak – stwierdził z niesmakiem smok.

–Z drugiej strony – powiedział Jim – w przypadku, gdyby mnie źle we Francji potraktowano, na skutek postawy lub czynów francuskich Jerzych albo innych mieszkańców tego lądu, mogę w razie potrzeby wezwać na pomoc wszystkie francuskie smoki, i pomoc ta zostanie mi uprzejmie wyświadczona.

Tym razem nie było natychmiastowej odpowiedzi. Sorpil i Maigra popatrzyli na siebie nawzajem, potem spojrzeli na paszport i znów na siebie. Chwile mijały bez odpowiedzi z ich strony.

–No? – zapytał w końcu Jim. – Odpowiedź brzmi „tak” czy „nie”? Może powinienem po prostu wracać do Anglii?

–Nie, nie – zapewniła go szybko smoczyca.

–Teraz ty nie bądź taki w gorącej siarce kąpany – zamruczał smok. Zwrócił się do Maigry. – Myślisz, że inni...

–Musielibyśmy, oczywiście, zapłacić – powiedziała smoczyca.

Popatrzyli na siebie przez długą chwilę, potem na paszport i znów na siebie. Wreszcie jeszcze raz zwrócili oczy na Jima.

–Przyjmujemy – sapnął ciężko Sorpil. – Zgadzą się.

–Świetnie – stwierdził Jim.

–A co właściwie planujesz tutaj robić? – spytał smok. Jim, który miał właśnie przekazać paszport, przytrzymał go przy sobie.

–Tego nie muszę ci mówić – odparł.

Sorpil zaklął bardziej po jertzowemu niż po smoczemu.

–Myślałem po prostu, że moglibyśmy jakoś być ci pomocni, to wszystko – rzekł z niezadowolaniem.

–Cóż, w każdym razie dziękuję – odparł Jim – ale co tu będę robił, to moja prywatna sprawa, i spodziewam się, że nie będę ścigany czy szpiegowany przez żadne miejscowe smoki. Czy to zrozumiałe?

–Tak! – pisnęła smoczyca.

–Więc niniejszym daję wam ten paszport na przechowanie aż do mego wyjazdu – oświadczył Jim. – W której to chwili, pod warunkiem że nie złamię zasad naszej umowy, zwróćcie mi go dokładnie w tym samym stanie. Rozumiecie, że jest on tylko gwarancją mojego dobrego sprawowania się podczas pobytu tutaj.

–Oczywiście! – rzekł smok. – A teraz przekaż mi go i zabierzemy cię do środka i nakarmimy. Czy nie tego właśnie chcesz?

–Sądziłem, że jest to w zwyczaju – odpowiedział Jim, przekazując paszport.

–Och, tak – powiedziała Maigra tonem nieszczerze zachęcającym. – No to chodź.

Jim ruszył za nimi i poprzez mroczną sień w jeszcze ciemniejsze zakamarki zamku.

## Rozdział 18

Przy kolacji Sorpil i Maigra czynili spóźnione wysiłki udając dobrodusznym gospodarzy. Niezbyt im to wychodziło, bo jak stwierdził Jim w czasie posiłku, picia wina i rozmowy, tych dwoje zwracało się równie kwaśno do siebie nawzajem, jak i do wszystkich innych – z wyjątkiem ich chwilowego gościa.

Drobne, kąśliwe uwagi, jakie do siebie kierowali, miały skłonność do wkradania się w ich rozmowy nawet wtedy, kiedy próbowali osłodzić atmosferę kolacji syropem konwersacji. W dodatku obojgu najwyraźniej bardzo zależało na skłonieniu lub podpuszczeniu Jima, by wyjawiał, czemu przybył do Francji i co tu zamierza robić.

Byli w tym jednak wyjątkowo niezręczni, zapewne na skutek braku wprawy. W istocie Jim podejrzewał, że obywali się oni bez jakiegokolwiek kontaktu, nawet z innymi smokami, już od bardzo długiego czasu.

Smoczyca, mówiąca szybciej, wpadała w środek powoli i starannie wypowiedzianych przez jej męża zdań. Sorpil od czasu do czasu przerywał rozmowę, by ją za to skarcić. W rezultacie ich wysiłki wykradzenia Jimowi jego sekretów były wielce ograniczone, bo nie potrafili działać zespołowo, a właściwie zdarzało im się nawet działać przeciw sobie.

Tymczasem Jim zdążył dowiedzieć się już czegoś o nich.

–To château – odrzekł smok w odpowiedzi na jedno z pytań Jima – początkowo, oczywiście, należało do Jerzych. Zabrałem im go około stu i dwudziestu lat temu.

Miałem już całkiem dosyć tego, że tu siedzieli i obdzierali wieśniaków ze skóry, nic nie zostawiając do życia dla pary smoków, oprócz kilku wychudzonych kóz. Tak więc...

–Właściwie, zanim Sorpil dokonał tego swojego ataku na Jerzych w chateau – przerwała mu Maigra – wzięli już niezłe lanie od grupy waszych angielskich Jerzych. To dlatego château jest takie zniszczone...

–Ale to ja mówię, Maigro, jeśli pozwolisz – wtrącił dobitnie smok. – Jak mówiłem, kiedy odeszli tamci Jerzy, o których wspomniała Maigra, odczekałem do czasu, kiedy wszyscy powinni spać, i wchodząc przez tę część château, przez którą się przełamano, w pojedynkę...

–Byłam z nim – powiedziała smoczyca – ale to się naturalnie dla niego nie liczy. W gruncie rzeczy to...

–To było w nocy – powiedział Sorpil – i większość tych ich małych światełek – no, jakże oni nazywają te rzeczy...

–Świece! – rzuciła Maigra.

–Wszystkie ich świece były zgaszone – powiedział smok – a oczywiście oni są praktycznie ślepi, dopóki nie zdobędą jakiegoś oświetlenia.

Jim i pozostałych dwoje smoków wieszali w sieni prawie tak wielkiej jak ta, do której wszedł przez frontowe drzwi, rozjaśnionej tylko poświatą księżycy wpadającą przez kilka wysokich okien umieszczonych po jednej stronie komnaty. Oczywiście nie przeszkadzało to Jimowi w smoczym wcieleniu – smoki czuły się całkiem dobrze w prawie zupełnej czy nawet całkowitej ciemności, choć było im nieco wygodniej poruszać się przy niewielkiej ilości światła. Księżycowa poświata wpadająca przez



okna była idealna.

–Więc ich w większości wyłapałem, jednego po drugim, w ich pokojach i na korytarzach, i nie miałem problemu z wybiciem ich. Jeden czy dwaj sprawili mi trochę kłopotu, ale oczywiście byli na piechotę i nie mieli swoich łusek, więc...

–Więc właściwie w ogóle nie miał prawie żadnych kłopotów – zadrwiła smoczyca. Sorpil na chwilę odwrócił ku niej głowę i spiorunował ją wzrokiem, zanim odezwał się znów do Jima.

–Więc przejeżdżaliśmy to chateau ponad sto lat temu – ciągnął – a od tej pory wieśniacy przynoszą daninę nam, zamiast Jerzym. Efektem tego jest to świetne jadlo i napoje, które mogliśmy ci dziś zaoferować.

To stwierdzenie na temat jedzenia i picia jest co nieco przesadzone, pomyślał Jim. To prawda, że trzy owce świeżo zarżnięte, które Maigra podała do stołu w całości, ze skórą, kośćmi i wnętrznościami, były stosunkowo tłuste i dość smaczne ze smoczego punktu widzenia. Wino także było niezłe i Jim właściwie nie spojrzałby na nie inaczej niż z aprobatą, gdyby nie miał już za sobą kilku tygodni doświadczeń z tym, co we Francji rzeczywiście było dostępne z win.

Wielka baryłka, której wierzch smok odbił z czymś w rodzaju uroczystego szerokiego gestu, żeby każde z nich mogło zanurzać w niej ludzkiej roboty dzbany, używane jako kubki do picia, zawierała wino, nieco lepsze niż niektóre z najgorszych, jakich Jim próbował od czasu, gdy zszedł na ląd w Breście. Daleko mu było do najlepszego, jakie dotychczas pił.

Jim podejrzewał, że uraczono go winem tego gatunku, jaki podawany był do ich zwykłych kolacji, licząc na to, że angielski smok nie pozna się na różnicy. Ocierało się to bardzo blisko o obrazę gościa. Założeniem związanym z paszportem było, że dla tymczasowych celów Jim był właścicielem stanowiących go klejnotów, a zatem smokiem, którego należało traktować z najwyższym szacunkiem

–Dokąd się stąd udajesz? – spytała nagle smoczyca swoim ostrym głosem, przerywając mężowi i kończąc w ten sposób jego bez wątpienia mocno podkoloryzowaną relację z tego, jak zdobył chateau.

–Na wschód – odparł Jim specjalnie niejasno, zwijając się trochę wygodniej przy stole dostosowanym rozmiarami dla Jerzych.

Byli już po jedzeniu, a Jim wypił dość wina, nawet jak na smoka, by poczuć się zrelaksowanym i odprężonym. Sądził, że beczka napoczęta przez Sorpila była do tej pory przynajmniej w połowie opróżniona.

–Ale chodzi mi o to, jaką drogą, jaką trasą? – dopytywała się Maigra.

–Och – powiedział Jim – myślałem, że po prostu będę wybierał drogi tak ogólnie na wschód, wiesz. Nie przywiązuję specjalnej wagi do tego, którą dokładnie trasą podróżuję.

–A powinieneś! – rzekła smoczyca. – Po ponad stu latach, kiedy tylko my próbowaliśmy utrzymać ich w ryzach, wieśniacy na mile dokoła stali się ogromnie zuchwali. Sorpil i ja nigdy nie lądujemy na zewnątrz, chyba że jesteśmy razem. Dwudziestu czy trzydziestu wieśniaków atakujących naraz, z widłami, sierpami i innymi takimi rzeczami, kiedy jest się samemu – zwłaszcza jeśli jest się takim małym

smokiem jak ja – to zagrożenie, które trzeba traktować poważnie.

–Cóż, jeżeli powiecie mi, jakie są granice waszego terytorium – powiedział Jim – po prostu wylecę poza nie, zanim wyląduję na ziemi. Nie żebym uważał, iż nie dałbym sobie rady z dwudziestoma czy trzydziestoma uzbrojonymi wieśniakami, gdybym musiał.

Wbrew niemu samemu, wino wyzwalalo w nim nieco instynktownej smoczej dumy z własnych rozmiarów i siły. W istocie w tej chwili, w odprężeniu wywołanym winem, myśl o poradzeniu sobie z dwudziestoma czy trzydziestoma uzbrojonymi wieśniakami znajdował jako coś raczej atrakcyjnego. Nie miał zbyt wielu wątpliwości, że mógłby zabić większość z nich, a resztę odegnać.

Przypomniał sobie, jak pierwszy raz wleciał między grupę konnych zbrojnych należących do sir Hugh'a de Bois de Malencontri, poprzedniego właściciela jego zamku i jego wroga, i roztrącił ich jak kręgle. Oczywiście zdarzyło się to zanim sir Hugh, w zbroi, na bojowym rumaku i z kopią, nauczył go, że istniały sytuacje, w których nawet smok chciałby wycofać się przed pojedynczym Jerzym – to znaczy człowiekiem.

Wspomnienie kopii, która przebiła go przy tej okazji i omal nie zabrała życia jego i Gorbasha, właściciela ciała, w którym przebywał, wywarło na nim ożywiające wrażenie.

–Co proponujesz? – zapytał Maigrę.

–Cóż, na początek – odpowiedziała – powinieneś pozwolić mi opowiedzieć o najlepszej drodze, najbezpieczniejszej drodze. Poza tym powinieneś podróżować piechotą, dzięki czemu nie zauważą cię tak wielu wieśniaków, by mogli się zebrać i zacząć na ciebie. Najlepszą trasą dla kogoś pragnącego opuścić nasze tereny jest droga przez las na północny zachód stąd i potem z powrotem na zachód, aż dojdzie się do wielkiego jeziora.

Przerwała, żeby sprawdzić, czy za nią nadąża.

–Mów dalej – poprosił.

–Podążaj brzegiem tego jeziora, dookoła, w swojej drodze na razie na zachód – powiedziała. – Z jakichś przyczyn tutejsi wieśniacy nie są tak skłonni atakować, jeżeli jest się blisko jeziora. Żaden z nich nie umie pływać. Tak że nawet jeśli cię zaatakują, możesz wskoczyć do jeziora (przy brzegu jest dość płytko dla kogoś takiego jak my, Jerzemu byłoby tam po szyję) i będziesz bezpieczny od wszystkiego, poza tym, czym mogą próbować w ciebie rzucać.

Jim uśmiechnął się do siebie trochę złośliwie. Smoczyca nie wiedziała, że był takim dziwnym smokiem, który potrafił i lubił pływać.

Odkrył to, kiedy przekraczał piechotą Fens po drodze do Twierdzy Loathly, gdzie musiał płynąć, żeby dostać się od jednego skrawka lądu do drugiego. Nie wiedział wtedy jeszcze, że jego smocze ciało jest cięższe niż woda, tak że spróbował przepłynąć kawałek bez zastanowienia. Już w wodzie, po początkowej chwili paniki odkrył, że jeśli tylko wystarczająco mocno poruszał łapami i ogonem – machając nim i tam, i z powrotem, jakby robił to wąż morski – mógł nie tylko utrzymać się na wodzie, ale i posuwać naprzód. Było to męczące, ale możliwe.

**Żaden smok, którego znał Jim, nigdy tego nie próbował, a wszystkie mocno wierzyły, że pójdą na dno jak kamień, jeżeli wejdą do wody zbyt głębokiej, by móc w niej stać i trzymać głowę nad powierzchnią.**

**Mimo wszystko uznał, że rada Maigry była dobra. W myślach przeprosił ją za podejrzenie, że ani jej, ani**

**Sorpilowi nie było na rękę pomaganie mu. Było to naturalne przypuszczenie, zgodne z tym, czym była smocza natura, ponieważ jeśli cokolwiek by mu się stało, zatrzymywali jego paszport. Z drugiej strony, ona też wypła parę dzbanów wina z baryłki i dzięki alkoholowi nieco złagodniała.**

**Na pewno miała swoją atrakcyjną, łagodniejszą stronę, przynajmniej kiedy była młodsza, pomyślał. Inaczej byłoby rzeczą niezrozumiałą, że ktoś taki jak Sorpil, który musiał być potężnym smokiem, gdy oboje byli młodzi, mógłby się z nią ożenić.**

**–Dziękuję ci, Maigro – powiedział, a usłyszał, że słowa te zabrzmiały bardzo sennie. Do zamku wszedł przed południem, a ich jedzenie i picie, jak zwykle wtedy, kiedy brały się za to smoki, było długotrwałą sprawą. Światło księżycy powinno powiedzieć mu, że zajmowali się tym od ośmiu czy dziewięciu godzin. Jednak zdawało się, że czas przeleciał szybko.**

**W każdym razie był niewątpliwie śpiący.**

**–Macie dla mnie jakieś miejsce – spytał – czy mam po prostu zwinąć się tutaj?**

**Nie miał nic przeciwko zwinieniu się w kłębek tam, gdzie siedział. Z drugiej strony do smoczego instynktu należało wyszukiwać sobie do spania małe, odosobnione miejsce. Ze strony Sorpila i Maigry byłoby zwykłą gościnnością znaleźć mu takie miejsce – być może w jednej z mniejszych komnat zamku, nieważne, w jakim stanie.**

**–Wskażę ci miejsce! – Smoczyca zerwała się raczej rześko na nogi.**

**Smok został na miejscu, burcząc zaledwie coś, co brzmiało jak „dobranoc” połączone z beknięciem o iście smoczey sile.**

**Jim poszedł za Maigrą. Poprowadziła go przez kilka korytarzy, parę razy w górę i na dół po schodach, cały czas w prawie zupełnych ciemnościach. Ale z jego uszami i nosem, które mówiły mu, gdzie ona jest, podążał za nią, nie martwiąc się o to, że mógłby źle stąpnąć czy zablądzić.**

**Przyprowadziła go w końcu do, jak podejrzewał Jim, sypialni jednego z poprzednich mieszkańców zamku. Zostawiła go tam, a on zwinął się wśród szczątków nielicznych mebli. Ostatnią jego myślą przed zaśnięciem było, że zamki we Francji zdawały się mieć więcej prywatnych pokoi niż zamki w Anglii.**

**Spał, jak to normalnie smoki, bez snów i głęboko. Kiedy się obudził, pokój rozjaśniało światło dnia. W ścianie znajdowało się tylko jedno wąskie okno, ale słońce zdawało się świecić prosto przez nie, tak że pokój był pewnie tak jasny, jak tylko mógł być. Różnica po ciemnościach nocy zaskoczyła nieco Jima, któremu godziny między momentem zaśnięcia a przebudzenia zdawały się zaledwie czymś więcej niż chwilą.**

**Ziewnął rozdziawiając potężne szczęki i wysuwając swój długi, czerwony jęzor w pełnym kurzu powietrzu komnaty. Potem rozwinął się i rozprostował – wszystko oprócz skrzydeł, gdyż nie było tam dość miejsca, by je wyciągnąć – i używając nosa**

w połączeniu z pamięcią, zszedł na dół drogą, którą przyprowadzono go tu poprzedniego wieczora.

Znalazł drogę do komnaty, w której jedli, pili i rozmawiali. Ani Maigry, ani Sorpila nie było w pobliżu. Z owiec nie zostało nic poza paroma roztrzaskanymi kośćmi, z których wyssano szpik. Otwarta przez smoka beczka była w czterech piątach pusta.

Jim uraczył się dzbanem wina, wlanym w gardło jednym ruchem i odkrył, że jest cudownie ożywcze. Wypił jeszcze jeden dzban, po prostu dla zasady.

Pewnie był już czas ruszać. Niczego więcej nie uzyska od swoich gospodarzy. Smoczyca, znajdując się pod łagodzącym wpływem wina, dała mu najwyraźniej najlepszą radę, jaką mógł dostać od któregokolwiek z nich.

Zamierzając już wyjść przez podwójne frontowe wrota, po raz ostatni odwrócił się, by krzyknąć kilka słów do gospodarzy, z których żadne nie pofatygowało się, by się z nim pożegnać.

–Tu James! – krzyknął. – Właśnie wyruszam. Dziękuję za waszą gościnność, niebawem wrócę, żeby odebrać paszport. Żegnajcie! – Jego głos zamarł, odbijając się i wracając echem z coraz bardziej odległych zakątków zamku. Żaden dźwięk nie nadszedł w odpowiedzi.

Odwrócił się więc i wyszedł.

Był jeszcze jeden gorący, bezchmurny dzień. Jim wędrował pieszo, zgodnie ze wskazówkami, jakich udzieliła mu Maigra. Wyruszył później, niż zamierzał. Przez to jedzenie i picie poprzedniego wieczoru przespał prawie całe przedpołudnie.

Dwie godziny później dostrzegł plamę błękitu, która najwyraźniej była jednym końcem jeziora, wspomnianego przez smoczycę. Stał zorientowany się, jak bardzo się zadyszał. Dyszał tak mocno, że każdy z odległości pięćdziesięciu stóp usłyszałby, jak sapie niczym parowóz wspinający się pod górę. Szczęki miał szeroko otwarte, a jego czerwony jęzor zwisał bezwładnie między przednimi zębami jak oklapnięta flaga.

Jim zapomniał o prostym fakcie, iż smoki naprawdę nie były stworzone do podróżowania piechotą. Z natury były stworzeniami poruszającymi się w powietrzu, jeśli już trzeba im było podróżować. A poza tym dzień był gorący.

Nigdy się przedtem nie zastanawiał nad faktem, że smoki, z ich skórą prawie nie do przebicia, nie miały żadnych gruczołów potowych na powierzchni ciała jak ludzie czy niektóre zwierzęta. Pozbywały się nadmiaru ciepła dysząc, tak jak to robi pies. Niestety, miały sporo większe rozmiary i wagę niż pies, a wędrowanie na piechotę dość prędko powodowało akumulację ciepła wewnątrz ciała. Tymczasem dzień ten nie należał do takich, w które łatwo pozbyć się skutków gorąca.

Nigdy wcześniej Jim nie zetknął się z tym problemem. Dwie poprzednie podróże na piechotę, jakie odbył jako smok, miały miejsce w chłodniejszym klimacie, i za każdym razem działo się to w okolicznościach, w których był emocjonalnie wytrącony z równowagi i nie zwracał większej uwagi na wysiłek fizyczny.

Za pierwszym razem zamartwiał się, że coś mogło przytrafić się Angie uwięzionej w Twierdzy Loathly. Za drugim razem był to zakończony fiaskiem marsz w celu odebrania Zamku Malencontri sir Hughowi. Jim był wtedy pełen zgorzknienia i

niechęci do siebie. Dużą różnicę między tymi podróżami stanowiła też temperatura dnia. Marsz do Malencontri zakończył się w rześystym deszczu, który go chłodził.

Jednak obecnie nie działało się nic, co mogłoby odciągnąć jego uwagę od tego, jak niezwykle było mu gorąco i niewygodnie i jak bardzo czuł się udręczony. Stojąc tak i sapiąc pomyślał, że faktycznie szlag go prędzej trafi, niż dłużej to zniesie.

Maigra naturalnie założyła, że miał tylko dwie możliwości – lecieć albo podróżować piechotą, dokładnie mówiąc na tylnych łapach. Oczywiście nie zorientowała się, że rozmawia z Magiem, który tylko tymczasowo znajdował się w smoczym ciele i miał dzięki temu trzecie wyjście – przybrać z powrotem ludzką postać.

Jim zapisał potrzebne magiczne równanie wewnątrz swego czoła i po chwili stał nareszcie nagi i wypromieniowywał gorąco całym swoim ciałem. Lina, która podtrzymywała jego dobytek, zwisała teraz luźno z jego o wiele węższej szyi i ramion.

Jim zdjął tobolek, po czym ubrał się. Jednym końcem liny przewiązał płótno, w którym umieścił flaszkę z winem i jedzenie, a z reszty liny zrobił luźną pętlę, którą przełożył przez głowę i ramię, tak że węzełek zwisał mu na biodrze z drugiej strony jak pendent ponad rękonością sztyletu.

Nie był może teraz w tak korzystnym położeniu do stawienia czoła półtuzinowi czy więcej uzbrojonych francuskich wieśniaków, ale z drugiej strony nie rzucał się w oczy tak jak wtedy, kiedy szedł jako smok.

Poza tym, gdyby naprawdę go zaatakowano, miał zawsze możliwość zmienić się dla samoobrony z powrotem w smoka. Jeśli miejscowi ludzie byli skłonni tak samo wierzyć w Magię jak wszyscy inni, których do tej pory spotkał w tym świecie, to sam fakt, że zmienia się w smoka na ich oczach, powinien wystarczyć, żeby rozbiegli się w panice.

Teraz czuł się dużo lepiej – pominąwszy ogromne pragnienie spowodowane nie tylko winem wypitym poprzedniej nocy, ale i tymi dzbanami opróżnionymi z rana. W związku z tym skierował się pośpiesznie do jeziora, gdzie miał nadzieję napełnić się po same uszy chłodną wodą.

Im bliżej był jeziora, tym boleśniej czysty i orzeźwiający jawił się w jego wyobraźni smak chłodnej wody. W końcu ledwie mógł się powstrzymać, żeby nie biec. Nie zrobił tego, nie dlatego, że obawiał się, iż znów się zgrzeje i spoci – w ludzkim ciele dość łatwo się ochładzał – ale dlatego, że powstrzymywało go pewne uczucie dumy.

Czy Brian ruszyłby biegiem, by pokonać zaledwie parę ostatnich jardów dzielących go od wody, do której i tak dotarłby w sekundę czy dwie? Nie, pomyślał Jim, jego przyjaciel wzgardziłby podobną ludzką słabością. Chcąc nauczyć się, jak być czternastowiecznym odpowiednikiem oficera czasów wojny, Jim powinien być w stanie okazać nie mniej opanowania. Ostatecznie nie umierał przecież z pragnienia. Po prostu suszyło go po wypiciu zbyt dużej ilości wina.

Tak więc zdołał podejść statecznie do miejsca na brzegu jeziora, gdzie mógł się położyć i napić z jego powierzchni. Woda była dokładnie tak zachęcająco niebieska i piękna, jak to sobie wyobrażał. A kilka pierwszych łyków smakowało tak wyśmienicie, że mimo wszystko stracił panowanie nad sobą i zaczął łykać wodę całymi haustami

**tak szybko, jak tylko mógł.**

**Przerywając na chwilę dla złapania oddechu miał wreszcie możliwość dostrzec, jak woda, skoro przestał ją mącić swoim picciem, ukazała mu jego własne oblicze patrzące w górę na niego, zdawać by się mogło tuż spod powierzchni. Przyglądał mu się zauroczony – a po chwili zaczął się gapić ogarnięty czymś więcej niż tylko zauroczeniem.**

**Twarz spoglądająca na niego nie była jego twarzą. Była to twarz pięknej dziewczyny o długich jasnych włosach. Uśmiechała się do niego – czy raczej jej twarz uśmiechała się do niego – jak się zdawało zaledwie kilka cali pod powierzchnią wody. Obraz ten był zbyt wyraźny, żeby był jakąkolwiek halucynacją.**

**–Zaraz, zaraz! – powiedział głośno Jim, unosząc się na dłoniach i kolanach, ale wciąż wpatrując się w toń.**

**Twarz wyłoniła się z wody i okazała się połączona z głową, a w miarę wynurzania się dalej, z całą resztą przepięknej dziewczyny. Od jej uśmiechu Jimowi zakręciło się w głowie.**

**–Jesteś, ukochany – westchnęła. – W końcu, nareszcie jesteś. Pójdź ze mną.**

**Jej głos dźwięczał miękko. Wyciągnęła rękę i oplotła małą dłoń wokół dłoni Jima, i zanim się zorientował – nie zdawał sobie wyraźnie sprawy z tego, jak to się stało – został wciągnięty w głąb jeziora.**

**Zdażył zauważyć, że okolice brzegów jeziora nie były bynajmniej tak płytkie, jak twierdziła Maigra. Opadały stromo do nieznannej głębokości, w istocie tak daleko, że nie mógł w tej chwili dostrzec dna. Smok, który wierzył, że nie umie pływać, wpadając czy będąc wepchniętym tu do wody, natychmiast poszedłby na dno i zatonął bez szans na wyratowanie się.**

**Ale nie miał czasu roztrząsać perfidii wskazówek smo-czycy i możliwości smutnego końca, którego uniknął tylko dlatego, że ciepło dnia skłoniło go do zamiany w człowieka. Zbyt był pochłonięty faktem, iż jest miarowo coraz głębiej wciągany w jezioro.**

**W ludzkim ciele umiał całkiem znośnie pływać. Nawet nurkował z maską w wodzie głębokiej na piętnaście czy dwadzieścia stóp. Jednak w chwili obecnej nie miał żadnej maski ani rurki, a z jakiegoś powodu zupełnie nie umiał się przeciwstawić zdolności tej dziewczyny do wciągania go w głąbie jeziora. Miał wrażenie, że nawet gdyby walczył, nie przyniosłoby mu to nic dobrego, a poza tym nie miał siły woli, by się przeciwstawić.**

**Utonie. To nieuniknione.**

**Jednak dopiero gdy o tym pomyślał, zdał sobie sprawę, że jeśli miałby utonąć, to do tej pory czułby już pewne tego symptomy. Założył, że wstrzymywał oddech, ale tak nie było. Oddychał całkiem normalnie – pod wodą.**

**To w ogóle nie miało sensu. Albo woda została zastąpiona jakimś bąblem powietrza wokół niego, co było niemożliwe, albo też oddychał wodą, jakby była powietrzem, co było nawet bardziej niż niemożliwe.**

**–Cudownie, że się w końcu zjawiłeś – mówiła przed nim złotowłosa dziewczyna, nie zadając sobie trudu, żeby odwrócić głowę. – To ostatnia rzecz, jakiej się**

spodziewałam. Miałam na oku tego paskudnego smoka, który się zbliżał i zbliżał. A potem nagle zniknął.

W jej głosie pojawiła się zaduma.

–Nic z tego nie rozumiem – powiedziała bardziej do siebie niż do Jima. – Nigdy przedtem nie spotkałam smoka, który by to zrobił. I przecież kierował się prosto do jeziora. Tak łatwo mogłam go utopić!

–Dlaczego – dlaczego miałabyś ochotę utopić smoka? – zapytał oszołomiony Jim.

–Jak to dlaczego? Przecież to takie obrzydlistwa! – odrzekła dziewczyna. – Te wielkie, brzydkie, nietoperzowate skrzydła i pokryta łuską skóra. Faj! Szkoda, że nie znam sposobu na to, żeby pozbyć się ich wszystkich. Tymczasem robię, co mogę, topiąc te, które podchodzą blisko. Przyciągam je na skraj wody moją Magią, a potem, oczywiście, skoro mam już je w swej mocy, nie mogą mi uciec. Wciągam je prosto do wody, i... – Głos jej nabrał radosnych, dziewczęcych brzmień. – Topią się same!

Jim wewnątrz zadrżał.

–Rybki są mi takie wdzięczne – ciągnęła dziewczyna. – Na jednym takim smoku znajdują tyle do jedzenia. Byłbyś zaskoczony, ile. To jeden z powodów, dla których mnie tak bardzo wszystkie kochają. Oczywiście, że kochają. To znaczy – kochałyby mnie tak czy inaczej, po prostu muszą. Ale kochają mnie tym więcej dlatego, że dają im wciąż do jedzenia smaczne martwe smoki. – Przerwała. – No, może nie wciąż. Ale raz na jakiś czas daję im jakiegoś smoka.

Dotarli do dna jeziora i zstępowali do czegoś w rodzaju podwodnego zamku, który jednakże był bardziej szeroki niż wysoki. Ściany jego wyglądały na zrobione z muszli i błyszczących szlachetnych kamieni, i wielu kasetonów z czegoś, co wyglądało jak prawdziwa macica perłowa połyskująca opalizujące pod wodą. Ławica małych niebieskich rybek rzuciła się ku nim poprzez wodę czy powietrze, czy czymkolwiek było to, co ich otaczało, i wykonała rodzaj skomplikowanego tańca wokół złotowłosej dziewczyny.

–Och, to wy! – powiedziała do nich pieszczotliwie. – Wiedziałyście, że zaraz wrócę. Przyproceedziłam najpiękniejszego mężczyznę na świecie. I zostanie tu z nami już na zawsze. Czy to nie będzie cudowne?

Jimowi przyszło do głowy, że byłoby miło, gdyby zapytała jego o zdanie co do pozostania tam, gdzie teraz był, na zawsze. Widział pewne ujemne strony, które mogły uczynić z tego faktu coś dalekiego od najcudowniejszej rzeczy, jaka mogła go spotkać.

Poza wszystkim innym miał pewne sprawy na łodzi. Nie żeby dziewczyna nie była śliczna. Była, aż dech w piersiach zapierało. Kiedyś myślał, że Danielle to prawdopodobnie najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek w życiu widział. Ale to małe stworzonko promieniowało czymś przekraczającym zwykłą piękność. Tak samo nie mógł się bronić przed jej siłą przyciągania, jak nie mógł uwolnić nadgarstka z uścisku, którym go tu na dół sprowadziła.

Dziewczyna wciąż przemawiała do swoich małych rybek.

–Wiecie, że nigdy bym was nie zostawiła tak naprawdę na długo. Zostawić moje drogie maleństwa? Nigdy! Wiecie, że was kocham, i wszystko w tym jeziorze, i to

jezioro. Tylko po prostu nie mogłam się oprzeć temu wspaniałemu mężczyźnie, którego znalazłam na brzegu. Za to nie możecie mnie przecież winić, prawda?

Tymczasem byli już daleko we wnętrzu podobnej do pałacu budowli. Weszli do komnaty o ścianach wyłożonych macicą perłową i udrapowanych delikatnymi jak pajęczyna tkaninami we wszystkich odcieniach zieleni i niebieskiego. Tkaniny zdawały się mienić w podwodnym blasku. Fotele były nie tyle fotelami, ile miękkimi, wielkimi, wielokolorowymi wzniesieniami do wyciągnięcia się. Ale głównym elementem umeblowania pokoju – jeśli można to było nazwać meblem – była ogromna bogata konstrukcja, wyglądająca jak okrągłe łoże bez wezgłowia czy podnóżka, za to ze stertą puchatych poduszek wysoko spiętrzonych na jednym brzegu.

Właśnie na te poduszki przyholowała Jima dziewczyna. Nie był pewien, czy właściwie szli, unosili się, płynęli, czy po prostu przesuwali się w tej dziwnej atmosferze koloru wody, którą można było oddychać. W każdym razie spoczęli właśnie na tych poduszkach. Tu dziewczyna puściła Jima, tak że zapadł się głęboko. Były bardziej miękkie niż wszystko, czego dotychczas dotykał, tak że prawie w nich zniknął, w na pół wyciągniętej, na pół podpartej pozycji.

–A teraz... – powiedziała złotowłosa dziewczyna siadając ze skrzyżowanymi nogami na powierzchni łożka czy też może kilka cali ponad nią – Jimowi niełatwo było to stwierdzić. Chociaż powietrzno-wodna atmosfera, która ich otaczała, wydawała się przezroczysta, to nadawała wszystkiemu rodzaj lśnienia, które zacierało ostrość konturów. – Czego mój najdroższy pragnąłby najpierw?

–Cóż, ee, jeśli nie masz nic przeciwko temu – wyjąkał Jim – to paru wyjaśnień.

Spojrzała na niego, a usta jej ułożyły się w idealne „O” z zaskoczenia.

–Wyjaśnię?

–Tak – powiedział Jim. – Miło z twojej strony, że nazywasz mnie najprzystojniejszym mężczyzną na świecie, ale wszyscy wiedzą, że nim nie jestem. Jeśli już, to jestem w istocie jednym z naj... – Szukał odpowiedniego słowa. – Jednym z najbardziej nieprzystojnych, jakich można spotkać.

–Ależ skąd! – zaprotestowała dziewczyna. – A nawet gdyby, to wciąż kochałabym cię dokładnie tak samo i z tą samą wielką namiętnością. Jestem osobą wielkich namiętności, wiesz.

–Aha – bąknął Jim.

–Tak, naprawdę – powiedziała z przejęciem dziewczyna. – My, Pierwotne – właściwie jest nas tylko kilka, ale w każdym razie wszystkie spośród nas – jesteśmy istotami o wielkich, wielkich namiętnościach!

–Och, wierzę ci – wykrztusił Jim.

–Tak – westchnęła lekko. – Głupi ludzie nazywają nas wodnymi wrózkami. Ale to tylko dlatego, że nie pojmują różnicy między zwykłą wodną wrózką a Pierwotną. Pierwotna to coś o wiele, wiele subtelniejszego niż zwykła wodna wróżka. Wodne wróżki to tylko wróżki, które żyją w wodzie. To prawda, posiadły trochę Magii. To prawda, są nieśmiertelne. Ale nie mają żadnych wielkich zdolności, już na pewno zdolności przeżywania wielkich wzruszeń jak Pierwotne, a ze wszystkich



Pierwotnych, nawet jeśli sama tak mówię, jestem zdolna do największych wzruszeń. Zawsze byłam i zawsze będę zdolna. Popatrzyła na Jima ciekawie.

–Jak masz na imię, mój najmilszy?

–No cóż – James – przedstawił się Jim.

–James... – wypróbowała, jak brzmi jego imię. – Dziwne imię, ale ma swój urok.

James. Nie jest tak śpiewne jak niektóre inne, ale mimo wszystko, to dobre imię.

James.

–Jeśli nie masz nic przeciwko, chciałbym też poznać twoje imię – powiedział Jim.

–Moje imię? – Spojrzała na niego zaskoczona. – Myślałam, że wszyscy znają moje imię. Jestem Meluzyna. Jak mogłeś nie wiedzieć? Ostatecznie jestem tylko jedna. Nie ma żadnych innych Meluzyn.

–Cóż, widzisz – zaczął się tłumaczyć Jim – jestem Anglikiem.

–Ach, Anglikiem! – powiedziała Meluzyna. – Słyszałam o Anglii i Anglikach. Więc jesteś jednym z nich. Nie wydajesz się zbyt odmienny – może poza tym dziwnym imieniem. Ale starczy już o tych imionach.

Zajrzała Jimowi w oczy swoimi głębokimi, niebieskimi ślepiami, zwiększając moc swej atrakcyjności z czegoś, co się zdawało Jimowi wielkością pięciuset watów, do około tysiąca.

–Porozmawiajmy o pilniejszych sprawach – zamruczała jak kotek. – Och, mój miły, czego teraz pożądasz najbardziej na świecie? – I podkreśliła moc o następne pięćset watów.

Jim z rozpaczą przymknął oczy.

Nie, pomyślał, nie wolno mi. Nie chcę tu zostać na zawsze i kochać się z jakąś pierwotnicą. Chcę jechać do domu, do mojego własnego zamku, do Angie, i raz na jakiś czas zabijać olbrzyma albo uwalniać księcia, czy coś takiego... O czym ja myślę? W każdym razie nie mogę. Jeżeli ulegnę raz, to ulegnę znowu, a potem może mi się to spodobać. A potem mógłbym zechcieć zostać tu na dnie jeziora na zawsze. I co wtedy? Co się stanie, kiedy się mną znudzi, jak musi się nudzić mężczyznami, w których od czasu do czasu się zakochuje? Prawdopodobnie robi z nimi coś niewyobrażalnego. Muszę się z tego wydostać. Angie, pomóż mi!

–Głowa mnie boli – powiedział słabo Jim.

## Rozdział 19

Nie spodziewał się, że to podziała, ale podziałało. Na jego uwagę o bólu głowy Meluzyna stała się przejmująco troskliwa i nalegała, żeby odpoczął i wyspał się. Na inne rzeczy będzie mnóstwo czasu później.

Możliwe, pomyślał Jim, że ta jej Magia przyciągania działała i na nią samą tak, że kiedy sądziła, iż jest zakochana, naprawdę była do głębi zakochana i gotowa poświęcać się dla dobra umiłowanej osoby. W tym świecie był w stanie uwierzyć we wszystko. Odkrył, że ludzie mogli tu w jednej chwili być ogromnie czuli i troskliwi, a w następnej dosłownie ziać nienawiścią, i nikt z ich otoczenia nie widziałby w tym najmniejszej sprzeczności.

Dziewczyna zostawiła go samego, a on usnął.

Kiedy się obudził, jeszcze nie wróciła. Jednakże w parę minut po jego przebudzeniu pojawiły się niektóre z małych rybek, jakie wykonywały akrobacje wokół Meluzyny. Nadpłynęły, okrążyły go i zaczęły przynosić mu różne rzeczy. Parę niosło w pyszczkach źle oszlifowane, ale sporej wielkości klejnoty, jedna przydźwigała wielką kiść winogron, tak ciężką, że musiała się mocno napracować płetwami, by dopłynąć do Jima.

–Nie lubię winogron – powiedział jej.

I była to szczerza prawda. Nigdy naprawdę nie przepadał za winogronami i w gruncie rzeczy, jako człowiek, nie dbał też o wino. Dopiero jako smok odkrył radości, jakie ono przynosi.

Rybka, jakby wyczerpana, upuściła winne grono na łóżko i odpłynęła. Jednak w chwilę później wróciła z następnym winnym gronem.

Ta sama determinacja zdawała się charakteryzować wszystkie pozostałe rybki. Słuchały może dziewczyny, ale na pewno nie słuchały Jima. Wciąż tylko obsypywały go nie chcianymi podarkami. Na koniec cała ich ławica, wymachując z trudem płetwami, dotarła do niego niosąc jakąś opalizującą, zieloną materię.

Potem przyniosły śmieszny kapelusz, który wyglądał jak skrzyżowanie czapki kuchmistrza i wygnięcionego cylindra.

Wokół niego rosła sterta podarunków, a on cieszył się, że Meluzyny nie ma w pobliżu i że może spokojnie pomyśleć, z dala od jej magicznego uroku, promieniującego na niego z mocą przeolbrzymiego reflektora.

Jego reakcja, gdy próbowała skusić go do cielesnego obcowania, była czysto odruchowa. Ale teraz, myśląc trzeźwo, zdawał sobie sprawę, że postąpił rozsądnie. Nawet jeśli chciała go zatrzymać na zawsze, jak mówiła – a doprawdy nie wierzył w to ani przez chwilę – to ktoś taki jak ona musi zakochiwać się na nowo w momencie, w którym nowa męska twarz pojawia się na horyzoncie. Ale nawet gdyby naprawdę zamierzała go na zawsze przy sobie zatrzymać, to problem tkwił w tym, że on nie chciał zostać tu na zawsze. Z wielu, wielu powodów.

Głównym z nich była Angie. Istniała ogromna różnica między fizycznym pociąganiem do kogoś takiego jak Meluzyna a głęboką emocjonalną reakcją – miłością – jaką czuł do Angie.

Właściwie nie wyobrażał sobie życia bez Angie. To byłoby, jakby amputowano mu

połowę jego samego, wzdłuż środka ciała, od czubka głowy do pięt. Angie miała coś, czego Meluzyna nie będzie mieć nigdy. Nie wiedział dokładnie, co to było, ale sama świadomość, że ona istnieje, znaczyła dla niego bardzo wiele. Nawet jeśli wyjeżdżał gdzieś, jak teraz do Francji, to świadomość, że ona jest w Malencontri i że on w końcu do niej z powrotem dotrze – bo nie miał zamiaru pozwolić, żeby cokolwiek przytrafiło mu się po drodze – sprawiała, że jego reakcje na życie były całkiem odmienne.

Musiał się stąd wydostać. Uciec z tego jeziora, jak najdalej od Meluzyny. W myślach poszukiwał gorączkowo powodów, jakie mógłby jej przedstawić, żeby zabrała go znów na brzeg jeziora.

To prawda, jej magiczny urok zadziałał na niego, kiedy on był jeszcze na brzegu, a ona w wodzie. Nie był jednak wtedy nawet w przybliżeniu tak silny, jak teraz, na dnie jeziora.

Czuł, że gdyby wydostał się na suchy ląd, potrafiłby zacisnąć zęby, odwrócić się i odejść od niej tak daleko, aż jej Magia przestałaby już na niego działać. Przyjął, że ktoś taki jak ona nie podaży za nim. A nawet gdyby poszła, to coś mu mówiło, że nie będzie miała tego rodzaju mocy, jaką dysponowała w jeziorze.

Doszedł w swoich przemyśleniach do tego punktu, kiedy nagle jak wybuch granatu wewnątrz czaszki przypomniało mu się, że on sam jest co najmniej początkującym adeptem Magii. Jeżeli jej przewaga nad nim leżała w sferze czarów, to powinien być w stanie przeciwstawić jej własną Magię, o ile będzie wiedział, jakie czary zastosować.

Ta ostatnia część była najtrudniejsza. Informacja, której potrzebował, była bez wątpienia ukryta w „Encyclopedie Necromantick”, ale nauczył się już, że nie może po prostu sięgnąć i wydostać jej, tylko dlatego, że tego chce. Po pierwsze, musiał jasno zdefiniować to, czego potrzebował. Potem musiał dojść do tego drogą, którą już na swój użytek odkrył. Z tego, co wiedział, każdy Mag używał innej możliwej metody, każdy swojej własnej, a dla niego metodą tą wydawało się: wyobrażenie, konceptualizacja i przedstawienie.

No dobrze, powiedział sobie. Usiadł na łóżku ze skrzyżowanymi nogami i spróbował zastosować ten sposób do rozwiązania swojego problemu.

Pierwsze pytanie: Jakiej Magii potrzebuje, żeby się stąd wydostać?

Nie, po zastanowieniu pomyślał, że to będzie drugie pytanie. Pytanie pierwsze brzmiało: Czym jest Magia, która mnie tu zatrzymuje?

Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że mógłby to być inny rodzaj Magii od tej, której on by użył. Meluzyna określała siebie jako Pierwotną. Mogła być pierwotną w tym samym sensie, w jakim Giles był silkie. Tak że to, co było w niej magiczne, stanowiło cechę przyrodzoną, nie zaś coś, czego się nauczyła.

Jeśli tak właśnie było, to pytanie powinno brzmieć: Czym dokładnie jest ta jej wrodzona Magia?

Cóż, wydawała się być podzielona na dwie sfery. Jedną było to, co dawało jej władzę nad wszystkimi istotami w wodzie i w pobliżu wody. Drugą, jej umiejętność zmieniania wody w powietrze zdatne do oddychania.

Najwyraźniej nie miało to znaczenia, czy Jim oddychał wodą w tej chwili i uchodziło mu to płazem, czy też woda dookoła niego zamieniała się w powietrze i nim właśnie oddychał.

Miał!

Podstawą kontroli, jaką Meluzyna sprawowała nad ludźmi tak jak nad nim, był fakt, iż posiadała umiejętność uczynienia ich zdolnymi lub niezdolnymi do oddychania pod wodą. Prawdopodobnie miała go też w przypadku smoków. Jednak wyraźnie wołała, żeby smoki wypełniały się wodą, skoro już znalazły się pod powierzchnią. Z drugiej strony, w jego przypadku, wołała, żeby oddychał wodą, jakby była powietrzem, lub też oddychał wodą zamienioną w powietrze. To znaczy, że wszystko, co musiał zrobić, to...

–Au! – krzyknął Jim.

Potał sobie prawą stronę głowy. Tuzin trzających się małych rybek właśnie upuściło mu na głowę niedużą sztabkę złota. Spiorunował je wzrokiem.

–Nie chcę tego! – zawołał. – Nie chcę ani złota, ani klejnotów, ani winogron, ani żadnego innego towaru, który mi przynosicie. Nie chcę tego, rozumiecie mnie?! Nie chcę tego!

Rybki znów odpłynęły gromadką – sądząc po ich poprzednich wyczynach, po to, żeby znaleźć coś innego i mu przynieść. Znów potarł głowę, po czym spróbował powrócić do myśli przerwanej przez złotą cegiełkę.

Miał już pierwszy element swojej metody. Musi wyobrazić

sobie, że istnieje sposób, żeby mógł wyjść stąd; iść pod wodą do brzegu jeziora aż na powietrze – a woda dookoła niego będzie wciąż zdatna do oddychania, dopóki nie wydobędzie się na zewnątrz i zacznie oddychać w prawdziwej atmosferze.

Skoncentrował się na wyobrażeniu sobie, że tak właśnie robi. Oto, myślał, przechadzam się po dnie jeziora, doskonale oddycha mi się wodą, chociaż uciekam od Meluzyny. Moje własne czary zamieniają wodę dookoła mnie w jak najbardziej zdatne do oddychania powietrze. Mam tyle powietrza, ile chcę. Mogę głęboko wciągać je w płuca. Mógłbym nawet biec, jak szybko bym chciał, i wciąż moje płuca miałyby mnóstwo powietrza z mnóstwem tlenu, by pompować go do organizmu i podtrzymywać ciało w akcji. Oto jestem, biegnę po dnie jeziora, zaczynam wspinać się na brzeg i oddycham sobie spokojnie...

Dobrze, ale co mam napisać na wnętrzu czoła, żeby sprawić, bym mógł oddychać wodą w ten sposób? Wiem, że odpowiedź jest gdzieś tam w środku, we mnie, w „Encyclopedie Necromantick”, ale wciąż nie przychodzi mi na myśl właśnie ta rzecz, której mi potrzeba...

–Och! Obudziłeś się – odezwał się za nim głos Meluzyny. Wskoczyła na łóżko obok niego, lądując na kolanach. – A sio!

Ostatnie słowa skierowane były do małej ławicy rybek, która teraz mozoliła się z czymś, co wyglądało jak korona zrobiona w całości z macicy perłowej. Rybki odwróciły się i odpłynęły.

–Tak się cieszę, że już nie śpisz, najdroższy – mruczała dziewczyna. – Czy czujesz się już zupełnie dobrze?

–Tak – powiedział Jim, a potem zdecydował, że powinien w to włożyć nieco entuzjazmu. – Tak, dziękuję. Istotnie czuję się już dużo lepiej.

–No to świetnie – ucieszyła się Meluzyna. – To może teraz...

–A jak tobie minął dzień? – spytał Jim. Zaskoczona popatrzyła na niego.

–Mój dzień? – spytała.

–No cóż, dzień czy noc, ten czas, który spędziłaś z dala ode mnie, podczas gdy spałem – wyjaśnił Jim.

–Chcesz wiedzieć, co się ze mną działo od czasu, kiedy zasnąłeś? – zapytała dziewczyna przyglądając się mu. – Nikt nigdy, to znaczy zazwyczaj nikt, nie zadaje mi tego rodzaju pytań.

–No cóż, widzisz – powiedział – kiedy dwoje ludzi, tak jak ty i ja...

–Och, tak – westchnęła.

–Kiedy dwoje ludzi, tak jak my – powtórzył Jim – czuje do siebie sympatię, to ich uczucie staje się czymś większym, piękniejszym, jeżeli interesują się nawzajem tym, co robią, nawet wtedy, kiedy nie są razem.

Meluzyna popatrzyła na niego mocno zaintrygowana i pokręciła głową.

–Jesteś strasznie dziwny, Jamesie – stwierdziła. – Czy to się bierze z faktu bycia Anglikiem?

–Och, tak – odparł Jim – my wszyscy tak to odczuwamy w Anglii. To dlatego ludzie tam tak bardzo się nawzajem kochają.

–Brzydcy, brutalni, angielscy barbarzyńcy, wszędzie dookoła pełno smoków, i bardzo się nawzajem kochają? – powiedziała z niedowierzaniem.

–Och, tak. Bardzo się kochają, bardzo. Uwierz mi na słowo – rzekł Jim.

–Oczywiście, uwierzę ci we wszystko na słowo, najdroższe serce – obiecała Meluzyna – po prostu trochę trudno mi się z tym oswoić, nic więcej... Brzydcy, brutalni... Dlaczego sądzą, że ich miłość jest silniejsza, jeżeli wiedzą o tym, co robili, kiedy byli osobno?

–Och, to sprawia dużo więcej, nie tylko umacnia ich miłość – tłumaczył Jim. – To nadaje ich miłości całkiem nowy wymiar. Nikt, kto tego nie doświadczył, nie potrafi sobie wyobrazić, jaka to różnica. Ale żeby odpowiedzieć na twoje pytanie: powodem, dla którego to zwiększa ich miłość, jest fakt, iż myślą o sobie nawzajem nawet wtedy, kiedy są osobno, i tęsknią do tego, żeby znów być razem. Dlatego chcą wiedzieć o sobie wszystko, co można wiedzieć, nawet to, co to drugie robi, kiedy nie ma go w pobliżu.

–To przedziwne zapatrywanie, Jamesie – mówiła z przejęciem Meluzyna. – Zaczynam jednak widzieć, że coś w tym może być. Jestem tylko strasznie zaskoczona, że jeśli coś podobnego istnieje, nie przyszło mi to już przedtem do głowy.

–To dlatego, że twoja zdolność kochania jest tak wielka – zapewnił ją Jim. – Jest tak wielka, że nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby szukać poza nią czegoś, co by ją jeszcze zwiększyło.

–To prawda – zgodziła się. – Przynajmniej ta część o tym, że moja miłość jest tak wielka, to prawda, więc przypuszczam, że i reszta też może być prawdą.

Złożyła dłonie razem na kolanach.

–No cóż – powiedziała – sądzę, że wiem, jak spędziłeś czas od chwili, kiedy widziałam cię ostatnio. Spałeś aż do niedawna, prawda?

–Tak – odpowiedział Jim. – Ale skąd wiesz? Niedbale machnęła ręką w kierunku sztabek złota, strojów, klejnotów i innych przedmiotów porzucanych na łóżku.

–Och, byłoby tych rzeczy dużo więcej, gdybyś obudził się wcześniej – stwierdziła. – Mówiłam moim rybkom, żeby obserwowały cię bardzo uważnie i zaczęły dawać ci różne prezenty, jak tylko się obudzisz.

–Rozumiem – powiedział Jim. – No, to mnie mamy z głowy. Tak czy inaczej jestem pewien, że twój dzień był o wiele ciekawszy. Opowiedz mi o nim.

–No cóż, nie mogę po prostu wylegiwać się cały czas tak jak ty, kochanie – rozpoczęła Meluzyna. Uspokajająco położyła dłoń na przedramieniu Jima. – Nie żebym zazdrościła ci tego, że możesz odpoczywać. Chcę, żebyś miał wszystko, co najlepsze. Ale jeśli chodzi o mnie... Cóż, to jest naprawdę bardzo duże jezioro, wiesz, dużo głębsze, niż wygląda z góry, i żeby o nie zadbać, mam pełne ręce roboty. Mój drogi mały ludek – moje rybki i inne podwodne stworzenia, które tu żyją – jest bardzo pocziwy, ale nie poradziłby sobie nigdy z utrzymaniem jeziora w prawdziwym porządku, gdybym nie zawiadywała całością spraw.

Zwróciła na niego na chwilę swoje zniewalające oczy. Jim przytaknął, żeby pokazać, że ją dokładnie rozumie.

–Tak więc zawsze jestem zajęta okrążaniem jeziora i sprawdzaniem, czy wszystko jest jak trzeba. Na przykład dzisiaj – czy raczej przez tę część doby, noc i poranek, które przespałeś – byłam zajęta wszędzie dookoła jeziora. Głęboko rosnące wodorosty radzą sobie świetnie, ale wodorosty w pobliżu powierzchni nie udają się tak dobrze, jak powinny. Są trzy dość małe strumienie, które zasilają to jezioro, ale ostatnia zima była dosyć sucha. Nie zebrało się wystarczająco dużo śniegu i w rezultacie poziom jeziora troszeczkę opadł. Niewiele, rozumiesz, nie na tyle, żeby uszkodzić moje płytko rosnące rośliny – takie jak sitowie, które wystaje z wody – ale dosyć, żeby mogły poczuć się trochę kiepsko, zwłaszcza te już w pełni wyrosnięte.

Przerwała i westchnęła.

–Zawsze coś się dzieje – powiedziała. – Cóż, naturalnie niewiele mogę zrobić z tymi strumieniami, chyba żebym chciała wybrać się do źródła każdego z nich. Ale spowodowałam, żeby źródła na dnie jeziora popracowały trochę mocniej i dały nieco więcej wody. Sądzę, że za jakieś cztery czy pięć dni sitowie będzie się już czuło zupełnie dobrze. Potem była sprawa kości ostatniego smoka, którego utopiłam w jeziorze.

Przerwała i skrzywiła się.

–Nie cierpię nawet patrzeć na ich paskudne kości, i wszystkie moje rybki o tym wiedzą. Mają za zadanie splywać na dół i nanosić na kości muł i szlam, tyle ile zdołają, dopóki ich nie zakryją, ale nie pracowały nad tym, jak powinny. Nie znoszę być dla nich ostra, ale pomówiłam z tymi w bezpośrednim sąsiedztwie smoczycy kości dość surowo. Jednakże po tym, jak przemówiłam im do rozumu, użyłam niektórych z moich własnych zdolności, żeby nanieść szlam na kości, ten jeden raz.

Jestem pewna, że następnym razem poradzą sobie lepiej.

–Na pewno – zawtórował Jim. – Czy cokolwiek mogłoby nie zdobyć się na większy wysiłek po tym, jak w ten sposób przemówiłaś?

–Nic, oczywiście – zgodziła się dziewczyna. – Wszystkie obiecały sprawić się lepiej i wiem, że tak zrobią. Rzecz w tym, że mieliśmy kilka smoków naraz, około miesiąca temu, i było dla nich dość dużo do jedzenia, tak że nie oczyściły wcześniej tego smoka do; końca. Więc to nie całkiem ich wina. W każdym razie tym się już zajęłam. Potem sprawdziłam wylęgarnię pereł; i tam wszystko w porządku. Wolę słodkowodne perełki niż te obrzydliwe słonowodne, które zdają się lubić Jerzy – och, nie miałam na myśli takich Jerzych jak ty, Jamesie, tylko o wiele mniej wrażliwych Jerzych, takich jak większość z nich. Niektórzy z nich są prawie tak okropni jak smoki.

–Wiem – powiedział Jim. – Niektórzy z nas, Jerzych – ale przecież nie do mnie należy to mówić. Naprawdę chciałbym zobaczyć to twoje cudowne jezioro. Opowiadasz tak realnie, że mogę je prawie sobie wyobrazić.

–Chciałbyś? – Meluzyna wpatrywała się w niego. – Jesteś najdziwniejszym z ludzi, Jamesie. Ale bardzo bym pragnęła pokazać ci je. Naprawdę uwielbiam moje jezioro i nigdy właściwie nie miałam okazji pochwalić się nim nikomu. Możemy pójść od razu, jeśli chcesz. To znaczy, jeśli jesteś wypoczęty i przeszedł ci ból głowy?

–Czuję się świetnie – zapewnił ją Jim. – I nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę resztę jeziora.

–No to chodź! – zawołała śpiewnie, unosząc się znad łóżka. Jim poczuł, że unosi się razem z nią. Znów trzymała go za nadgarstek.

–Nie musisz mnie trzymać – powiedział, gdy holowała go przez pałac w stronę głębi jeziora. – Pójdę z tobą.

–Och, racja. – Dziewczyna puściła jego nadgarstek. – Tylko skup się na tym, żeby się trzymać blisko mnie, a nie będziesz musiał zawracać sobie głowy chodzeniem.

Jim zrobił tak i okazało się, że miała rację. Razem przesuwali się przez zagonek wysokich pierzastych wodorostów i w końcu wyłonili się na otwartą przestrzeń poza nimi. Czarna, płaska równina rozciągała się wokół, aż odległe jej części gubiły się w lśnieniu wody.

–To moje równiny mułowe – wskazała Meluzyna. – To najniższa część jeziora. Czyż nie są piękne?

–Ee... tak – powiedział Jim. – Są takie... takie...

–Gęste i czyste – uzupełniła za niego. – Wiem, co masz na myśli. To nie kończąca się praca, sprawdzanie, czy wszystko, co na nich osiadło, zostało pokryte lub wepchnięte pod powierzchnię. Ale nie sądzę, żeby gdziekolwiek istniał lepszy kawałek równin mułowatych, z pewnością nie we Francji.

–Wierzę ci – powiedział Jim. Przepłynęli ponad równinami mułowymi.

–Dalej brzeg jeziora jest płytszy – mówiła dziewczyna po drodze. – Tam są grządki z ostrygami i znacznie więcej roślinności. Tam też były te smocze kości, o których musiałam ostro pomówić z rybkami. Zazwyczaj próbuję sprowadzić smocze kości na równiny mułowe. Tak ładnie znikają w mule. Po dniu czy dwóch nie ma śladu po nich.

To w pewnym sensie problem. Prawie wszystko na równinach mułowych zostaje wessane w głąb tak szybko. Muszę się upewniać, że moje rybki zjadły już, co chciały ze smoka, resztę bowiem zabiera się tutaj. Jeżeli na szkielecie zostało choć trochę ciężaru, to znika z oczu, niemal kiedy się patrzy.

Roześmiała się nagle wysokim, szczęśliwym dziewczęcym śmiechem.

–Możesz sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy dużych rozmiarów smok wpadnie prosto na równiny mułowe? To się prawie nigdy nie zdarza, ale możesz to sobie wyobrazić? – zapytała Meluzyna. – Po prostu idą na dno. Powinieneś zobaczyć ich wyraz twarzy – to znaczy, jeśli można nazwać to, co mają, twarzą!

–Och, tak – powiedział Jim. – To mi przypomina, że jeszcze cię nie spytałem, czemu tak bardzo nie lubisz smoków?

–No cóż – odpowiedziała dziewczyna – po pierwsze, są tak dalekie od podwodnego świata, jak to możliwe. Nie są nawet na łądzie, tylko ponad nim, w tym paskudnym czymś nazywanym powietrzem. To znaczy powietrze nie jest zupełnie takie złe. Oczywiście sama nim mogę oddychać, ale bywa ono czasami czymś paskudnym – suchym, kwaśnym i śmierdzącym.

Dotarli już do samego końca mulistych równin i wkraczali na teren wyrzeźbiony w małe wąwozy i wzniesienia, wszystkie prowadzące w górę. Meluzyna pokazała mu swoje perłodajne ostrygi – które posłusznie rozdziawiły się na jej rozkaz, i rozsunięte wewnętrzne części, zaprezentowały perły. Jim podziwiał je należycie, a potem starannie przyjrzał się wodorostom, które mu wskazywała.

Wyruszyli otoczeni przez hordę małych rybek, które zazwyczaj kręciły się koło niej w pałacu, ale wkrótce po tym, jak zapuścili się nad muliste równiny, zostały one w tyle. Teraz widzieli wokół siebie ryby rozmaitych rozmiarów, aż po monstrualne szczupaki. Jeden z nich, jak ocenił Jim, musiał mieć cztery i pół stopy długości. Podpłynął do dziewczyny, wykonał coś w rodzaju głębokiego pokłonu w wodopowietrzu, a kiedy porozmawiała z nim i pogłaskała go, znów odpłynął.

W końcu Meluzyna odwróciła się.

–Czy to nie cudowne? – westchnęła, gdy sunęli razem ponad dnem jeziora.

–Z pewnością tak – zgodził się szczerze Jim.

Istotnie miał powód do tej szczerości, ponieważ w trakcie obserwowania tego końca jeziora zobaczył, że dużo łatwiej byłoby wyjść na brzeg tutaj, niż wspiąć się na prawie pionowe podwodne ściany brzegu, z którego tu się dostał.

Gdyby tylko mógł wyrwać się dziewczynie, powiedział sobie, to nie powinien mieć kłopotów z wspięciem się na brzeg jeziora i wydostaniem na ląd. Potem, już na łądzie, zaryzykowałby ucieczkę od niej. Być może w pewnej odległości, poza miejscem, gdzie mogła wyczuć, że smok jest w pobliżu, mógłby znów się w niego zamienić i pośpiesznie odlecieć daleko poza zasięg jej mocy.

Gdy śpieszyli z powrotem w kierunku pałacu ponad mulistymi równinami, umysł jego błądził wokół czegoś, co zarysowywało się jako rozwiązanie magicznego nakazu – zakłęcie wydawało mu się teraz zupełnie nieodpowiednim słowem – który utrzymywałby wokół niego powietrze, gdyby uciekł Meluzynie. Wykonał parę subtelnych małych testów, podczas gdy entuzjastycznie go oprowadzała, specjalnie



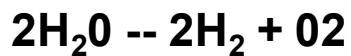
odchodząc od niej na pewną odległość, żeby zobaczyć, jak daleko może się odsunąć, zanim straci otoczkę wody zamienionej w powietrze, którą najwyraźniej stworzyła dla niego. Jak się wydawało, krytyczna odległość nie przekraczała dziesięciu stóp.

Z drugiej strony, tam w pałacu, nawet kiedy jej nie było, wciąż był otoczony atmosferą zdatną do oddychania. A co z rybkami, które zdawały się przepływać przez tę atmosferę, jakby była rzeczywiście wodą.

Ale to pomniejsza kwestia. Rozwiązanie umożliwiające oddychanie pod wodą z wykorzystaniem jego własnej Magii właśnie uformowało mu się w głowie.

Potrzebował czegoś, co mógłby sobie wyobrazić. Czegoś ze swojego własnego doświadczenia – i nagle wpadł na to. Przypomniał sobie jedno z doświadczeń na lekcjach chemii, kiedy jeszcze chodził do średniej szkoły. Był to prosty eksperyment, w którym metalowy twornik zanurzano w wodzie i puszczano prąd elektryczny. Bąbelki gazu powstawały na obu końcach, gdy woda dzieliła się na dwa produkty – wodór i tlen – które wchodziły w jej skład.

Równanie było proste:



W istocie proces ten zasugerował mu mały, śmieszny wierszyk.

*Jestem twornik O<sub>2</sub>, gruby czy też chudy,*

*Szybko bąbeleczeni O<sub>2</sub> wskakujcie do budy!*

Okropna była to poezja, ale pozwoliła mu przedstawić sobie to, czego potrzebował.

Kiedy sunęli dalej nad dnem, dyskretnie wyciągnął ramię w bok, po przeciwnej stronie, niż szła dziewczyna, która cały czas szczebiotała i tak czy inaczej nic by nie zauważyła. Wewnątrz czoła zapisał:

## JA -- O<sub>2</sub> TWORNIK

Natychmiast z czubków palców zaczęły wypływać mu bąbelki. Pośpiesznie przepisał polecenie wewnątrz czoła, odwracając je. Bąbelki natychmiast przestały wypływać.

Cicho westchnął z ulgą. Jeden problem rozwiązany.

Teraz potrzebował odpowiedzi na to drugie pytanie, to znaczy: jak opuścić jezioro bez wiedzy Meluzyny.

Zorientował się jednak, że w tej chwili żaden z tych problemów nie naglił aż tak. Teraz powinien skupić się nad tym, co może zrobić, żeby uniknąć tego, co najwyraźniej miała na myśli dziewczyna, gdy tak coraz bardziej i bardziej zbliżali się do komnaty z wielkim łóżem. Nie mógł wykorzystać po raz drugi numeru z bólem głowy. Nawet gdyby znów ustąpiła, z pewnością zaczęłaby coś podejrzewać. Szkoda, że nie znał jakiegoś sposobu na to, żeby ją głęboko uśpić. A przynajmniej sprawić, żeby stała się tak senna, by myśl o kochaniu oddaliła się na chwilę. Myśli Jima rozpaczliwie podążały tym śladem.

Jedyną rzeczą, która przyszła mu do głowy, było, że opanował sztuczkę Carolinusa z zamienianiem wina w mleko, jako lekarstwo na wrzody żołądka. Była to jedna z pierwszych małych magicznych sztuczek, jakich Jim spróbował po powrocie od Maga i nauczeniu się, jak się zamieniać ze smoka w człowieka i vice versa. Wypróbował, jak samemu zamienić wino w mleko.

Jim lubił mleko tak samo, jak nie kochał winogron. Ale mleko nie było czymś często obecnym w menu w Malencontri. Prawdę mówiąc, o ile się orientował, nikt, włącznie ze służbą, nie pijał go. Chociaż w chatach daleko za murami ludzie należący do jego majątku prawdopodobnie żuli i połykali wszystko, co w ogóle było jedzeniem, żeby tylko wszelkimi dostępnymi środkami utrzymać się przy życiu.

W każdym razie nigdy nie zebrał się na odwagę, żeby zażądać dla siebie w Malencontri mleka. Zamiast tego usiłował jak czarodziej opanować sztukę zamieniania wina w mleko.

I powiodło mu się.

Okazało się to całkiem proste. Teraz już lepiej rozumiał, jak to było możliwe. Wiedział, jak smakuje mleko, i mógł sobie wyobrazić ten smak na języku. Wiedział też, jak smakuje wino. Dość prosto było więc napisać na wnętrzu czoła:

## WINO -- MLEKO

I jakiegokolwiek naczynie trzymał w ręku, robiło się w nim białe, i okazywało się, że zawiera zamiast wina mleko.

Zaczynał rozumieć, że powodem, dla którego tak łatwo mu to przyszło, był fakt, że i wino, i mleko mógł sobie tak dokładnie wyobrazić. Teraz, jeśli tylko Meluzyna napiłaby się mleka, mógłby zamienić je w jej żołądku w wino, i być może by się upiła. Na tyle mocno upiła, żeby stracić zainteresowanie czułym obejmowaniem Jima. Choć, jak się zastanowić, jeśli była taka jak wszyscy inni średniowieczni ludzie, to musiałaby pewnie ją całą napęłnić winem, żeby straciła przytomność.

Niestety był pewien, że nie pijała mleka. Prawdę mówiąc dno jeziora byłoby ostatnim miejscem, w którym dostępna byłaby krowa czy cokolwiek innego dającego mleko. Niektóre z morskich ssaków produkują mleko, ale to przecież słodkowodne jezioro.

Tymczasem dotarli już z powrotem do pałacu. Zbliżywszy się do łóżka, rozsiedli się na nim.

–Mój kochany – szepnęła dziewczyna spoglądając czule na niego – masz zupełną rację. Kocham cię jeszcze bardziej za to, że interesujesz się moim jeziorem.

–To dobrze – powiedział Jim. – To znaczy, jestem bardzo szczęśliwy, bo sam dokładnie czuję to samo.

–Naprawdę? – spytała, a jej magiczna moc skoczyła o dobre tysiąc watów.

Jim rozpaczliwie szukał wyjścia. Dzisiejsza wycieczka wkoło dna jeziora umocniła tylko jego instynktowne przekonanie, że jeśli podda się uczuciom Meluzyny, to złapie się jak na haczyk i nigdy nie znajdzie dość odwagi i siły woli, żeby od niej uciec. Raz jeszcze w determinacji przeszukał swój umysł i pod presją naglącej potrzeby, jak to zwykle bywa, wpadł na dobry pomysł.

–Czemu nie napijemy się najpierw trochę wina? – zaproponował. – Możemy wypić toast za nasz wspólnie spędzony dzień, za oglądanie jeziora, za samo jezioro. Myślę, że to dobry pomysł. A ty?

–Ależ... tak – odpowiedziała. Klęczała, jak przedtem, przy jego boku na łożu. – Jesteś najniezwyklejszym człowiekiem, Jamesie, i masz doprawdy prześwietne pomysły.

Zwróciła się do małej ławicy rybek, które zawsze kręciły się koło niej.

–Wina – zażądała – i kryształowe puchary, najpiękniejsze, jakie mam.

Promieniała patrząc na Jima.

Nadpłynęło wino. Małe rybki walczyły z pełną butlą, którą położyły na łożu obok dziewczyny, razem z dwoma bardzo ozdobnymi, wymyślnymi pucharami z rżniętego szkła, jakiego Jim nie widział do tej pory w tym świecie.

–Sądzę, że powinniśmy wypić ze dwie butelki, nieprawdaż? – spytał Jim.

–Czemu nie – zgodziła się Meluzyna i zachichotała. Klasnęła w dłonie i popatrzyła na swoje rybki. – Jeszcze jedna butelka.

–I coś do otwierania – zasugerował Jim.

–Phi – prychnęła i niedbale machnęła dłonią. – Jeżeli powiem butelce, żeby się otworzyła, to się otworzy.

Podniosła jeden z ozdobnych pucharów i podała go Jimowi, wzięła drugi w lewą rękę, a prawą uniosła butelkę.

–Korku! – zawołała patrząc groźnie na butelkę. – Wylaź!

Korek posłusznie wystrzelił w powietrze. Dziewczyna napełniła swój puchar, potem puchar Jima. Najwyraźniej, jak zauważył Jim, lubiła takie musujące białe wina. Postawiła butelkę z powrotem na łożu.

–Tylko stój prosto – ostrzegła ją.

Odwróciła się od butelki i uniosła puchar, by stuknąć się z Jimem.

–Za nas, ukochany – uśmiechnęła się.

Wypiła. Jim też wypił. Jak podejrzewał, wino było szampańskie – raczej słodki szampan, ale niezwykle smaczny. Nawet on, w swojej ludzkiej postaci, doceniał to.

Popatrzyli na siebie znad na wpół opróżnionych pucharów.

–Och, jestem taka szczęśliwa – powiedziała Meluzyna z lekko błyszczącymi oczami. – Mam moje śliczne jezioro i mam ślicznego ciebie, i wszystko będzie zawsze wspaniale.

Przez chwilę, z niewyjaśnionych przyczyn, Jim poczuł wyrzuty sumienia. Słyszał, jak ta istota radośnie rozprawiała o ciągnięciu smoków na śmierć i upewnianiu się, czy ich kości całkiem zatoneły w mulistych równinach. Ale przy tym wszystkim zdawała się całym sercem tak szczęśliwa i zakochana w swoim jeziorze, i w tej chwili w nim samym. Nagle poczuł się jak przebrzydła świnia na myśl o ucieczce od niej.

Jednak wiedział, że jest to ostatecznie, co powinien czuć, jeśli ma zamiar uciec.

Sięgnął po wino i napełnił ponownie ich puchary. Odstawił butelkę, która tym razem stanęła prosto z własnej woli.

–Za twoje wspaniałe jezioro i za wszystkie wspaniałe w nim rośliny i stworzenia – powiedział.

Znow wypili, mniej więcej połowę tego, co za pierwszym razem, ale wciąż sporo.

Rybki przybyły z następną butelką i postawiły ją koło otwartej (gorliwie naśladowała swoją poprzedniczkę stojąc prosto), po czym uniosły się i zaczęły krążyć tuż ponad ich głowami.

–To po prostu cudowne – stwierdziła dziewczyna, kiedy skończyli pierwszą butelkę.

Jim miał rację. Naprawdę piła jak wszyscy inni ludzie średniowiecza, których spotkał.

–To najcudowniejszy dzień, jaki przeżyłam. Napijmy się jeszcze wina. – Napełniła wciąż w trzech czwartych pełny puchar Jima aż po wrąbek i swój własny, pusty. – I to jest różnica – dodała pochylając się ku Jimowi. Wino z jej pucharu zaczęło się wylewać, ale zatrzymało się w powietrzu, podniosło i wróciło z powrotem do pucharu. – Nikt nigdy przedtem nie rozumiał, co to znaczy być Meluzyna. Nikt nie rozumiał ani odrobiny Meluzyny. Biedna Meluzyna!

–Tak – przyznał Jim trochę nieobecny głosem – to musi być niełatwe. Musi być ci bardzo ciężko.

Jego umysł zajmował się głównie poskładaniem w całość pomysłu, który przyleciał do niego na skrzydłach wspomnienia o Carolinusie zamieniającym wino w

mleko. Przypomnienie nie szło łatwo. Żeby nie zwracać jej uwagi, wypił około półtora pucharu wina, lecz te puchary były zwodnicze. W każdym musiało się mieścić dobre pół litra płynu.

Skoncentrował się. Należało przemienić coś, co nie było środkiem upajającym, w coś, co nim było.

Albo – pomysł ten rozbłysł mu nagle jak światło wewnątrz czaszki – substancję mniej upajającą w bardziej upajającą!

–Setki i setki, i setki lat – mówiła dziewczyna wpatrując się w przykrycie łoża – a to naprawdę wcale nie moja wina. Ostatecznie ktoś taki jak ja, mający w sobie krew królewską – mam w sobie krew królewską, wiesz?

Szarpnęła Jima za rękaw, żeby przyciągnąć jego uwagę.

–Królewską krew? – powtórzył Jim. – Och, byłem tego prawie pewien, sądząc z twojego wyglądu.

–Zgadza się – powiedziała Meluzyna – królewska krew. Jestem naturalną córką Elimasa, króla Albanii. Moją matką była wróżka Pressine. Ale on, mój ojciec, był taki okrutny. Nawet nie wyobrażasz sobie jak okrutny. Więc po prostu musiałam zamknąć go we wnętrzu góry. A co ty byś zrobił? Jestem przekonana, że też zamknąłbyś go w górze!

Znów szarpnęła Jima za rękaw.

–Nie zgadzasz się?

Brandy! Myśl ta eksplodowała w głowie Jima. Tak, przejście od wina do brandy byłoby najbardziej naturalnym posunięciem na świecie, skoro brandy robiło się z wina.

Tymczasem dziewczyna zmieniła już temat.

–Nie sądzisz, że mamy już dość wina? – spytała. Odstawiła puchar i machnęła dłonią. Małe rybki zebrały się i porwały nie tylko jej puchar i dwie butelki, ale i puchar z dłoni Jima, wciąż jeszcze w ponad dwóch trzecich pełny. Jim popatrzył na Meluzynę i spostrzegł, że jej atrakcyjność wyraźnie rozbłysła aż do co najmniej dwóch tysięcy watów. Staął wobec faktu – teraz albo nigdy. Pośpiesznie napisał na wewnętrznej stronie czoła:

## MELUZYNA -- WINO MELUZYNA -- BRANDY

Dziewczyna rzuciła mu się w ramiona.

–Och, jestem taka samotna! – zakwiliła.

Jim zamknął oczy, zrozpaczony i bezradny. Za późno. Spóźnił się tylko troszeczkę. W głowie miał pustkę. Nie mógł już wymyślić niczego, co jeszcze mogłoby go uratować. Siedział tak przez długą chwilę, czekając, aż Meluzyna zacznie tulić się do niego lub poruszy w jego ramionach, ale nic nie zrobiła.

Ostrożnie otworzył oczy i popatrzył na nią.

Miała zamknięte oczy, długie rzęsy ocieniały jej policzki. Wyglądała jak uśpione dziecko, a kiedy Jim przemówił do niej, ani nie otworzyła oczu, ani nie odpowiedziała.

Nagła zmiana dobrze ponad litra wina w brandy w żołądku – wróżki czy nie – odniosła swój efekt. Meluzynie urwał się film.

### Rozdział 20

Zaniepokojone rybki Meluzyny zebrały się dokoła niej, kiedy ją położył. Nie zwracały w ogóle uwagi na Jima, co było mu na rękę.

Zerwał się na nogi i ruszył do wyjścia z pałacu. Za ledwie wy dostał się poza jego obręb, kiedy na jednym oddechu przeszedł z oddychania czymś, co zdawało się być normalnym powietrzem, na coś, co wydawało się na wpół wodą. Pośpiesznie zapisał na wewnętrznej stronie czoła magiczną formułę, która zmieniła go w elektrodę wytwarzającą tlen, i atmosfera dokoła niego oczyściła się. Bąbelki wypływały z końca jego ręki. Dla eksperymentu spróbował wyciągnąć drugą rękę, ona także wytwarzała bąbelki. Rzeczywiście teraz zauważył, że czuje łaskotanie na całym ciele włącznie z głową. Najwyraźniej wydzielal tlen każdym punktem powierzchni ciała.

Skierował się ku odległemu brzegowi jeziora. Ponieważ nie szedł z dziewczyną, już nie sunął ponad powierzchnią dna jeziora, ale musiał iść po nim jak po zwyczajnym łądzie. Wzdrygnął się na myśl o mulistych równinach, lecz przypomniał sobie, że nie rozciągały się do samych brzegów jeziora. Dlatego też skręcił w kierunku najbliższego brzegu, tego, z którego Meluzyna wciągnęła go do wody. Odkrył tam dość skaliste podłoże, miejscami wygięte pod ostrym kątem w górę w prawie pionowe klify, których ściany otaczały dno jeziora w tym miejscu. Mimo to mógł tędy iść dalej w kierunku odległego krańca jeziora, gdzie byłoby całkiem łatwo wydostać się z wody.

Dopiero kiedy dotarł w ten odległy kraniec jeziora, z podwodnymi wąwozami i pagórkami, z dala od mułu, uświadomił sobie, co jeszcze może przeszkodzić mu. Krawędź, po której szedł, biegła dookoła morza mułu, tak że całkiem przyjemnie wędrowało mu się po podwodnych zboczach, wśród wodorostów. Potem dotarło do niego, że istoty, które mu towarzyszą, stają się zdecydowanie coraz bardziej groźne – a miały czym grozić.

Gdzieś po drodze małe rybki, takie jak te, które usługiwały dziewczynie w pałacu, zaczęły się tłoczyć wokół niego, trzymane na dystans najwyraźniej tylko przez otaczający go bąbel tlenu. Na szczęście Magia, która produkowała tlen, sprawiała też, że zostawał on przy Jimie na dnie jeziora, zamiast ulecieć na powierzchnię i

wystawiać go na działanie nie tylko wody, ale i mieszkańców jeziora.

Żadna z tych rybek, mimo swoich małych rozmiarów, nie wyglądała przyjaźnie. Jim zwracał na nie bardzo mało uwagi, dopóki nie dotarł do najdalszego brzegu jeziora. Tam ich liczba zaczęła gwałtownie rosnać, powiększana o dużo większe ryby. Kiedy woda wokół Jima zaczęła robić się coraz jaśniejsza i czuł, że do powierzchni jest nie dalej niż jakieś piętnaście czy dwadzieścia stóp, był już kompletnie otoczony nie tylko przez małe rybki, ale i przez szczupaki. Szczupaki wielkości tego czteroipółstopowego okazu, który przywitał się z Meluzyna, gdy przechodzili tędy wcześniej

Nie było wątpliwości, że szczupaki nie były przyjaźnie usposobione. Kłapały paszczami na skraju bąbla, ale żaden nie mógł, czy też nie chciał wejść do wewnątrz. Jim zastanawiał się przez chwilę, czy to Magia powstrzymuje je od wtargnięcia do środka, czy też fakt, że bąbel był praktycznie z czystego tlenu. Gdyby nie to, że woda dookoła w pewnym stopniu zwilżała gaz, podejrzewał, że już wcześniej czułby się niezbyt dobrze oddychając nim. I tak jego usta, gardło i nos stawały się coraz bardziej suche.

Ale teraz powierzchnia wody nie była już daleko. Wkrótce wystawił nad nią głowę i zobaczył, że jest zaledwie około dwudziestu jardów od brzegu. Ruszył w jego kierunku, a bąbel powietrza wciąż otaczał te jego części ciała, które były jeszcze pod wodą. W końcu wyszedł na skalistą płyciznę, która poprowadziła go ostro w górę, poza wody jeziora. Stał wreszcie na lądzie, absurdalnie i nienaturalnie suchy od czubka głowy do pięt, a spora ławica szczupaków kręciła się gniewnie wzdłuż brzegu za jego plecami.

Najpierw poczuł niezmierną ulgę. Potem przyszła obawa. Ostatecznie Meluzyna nie była taką sobie zwykłą ludzką istotą. Była Pierwotną – albo, jeśli jej ojciec rzeczywiście był królem Albanii, być może tylko w połowie Pierwotną.

W każdym razie, nie można było stwierdzić, jak szybko dojdzie do siebie po tej sporej porcji brandy ani jak zareaguje. Nie będzie raczej zadowolona z tego, że Jim oszukał ją i uciekł. Pytanie tylko, co w związku z tym zrobi?

Czy po prostu będzie siedziała dalej w jeziorze i żywiła do niego urazę, mając nadzieję, że kiedyś w przyszłości odpłaci mu za to? Czy spróbuje podążyć za nim, by schwycić go na nowo? Przy tych wszystkich niewiadomych najlepsze, co mógł wymyślić i zrobić, to wy dostać się jak najszybciej z tej okolicy.

Zamierzał wędrować pieszo, aż nie znajdzie się poza zasięgiem jej zdolności wyczuwania smoków. Ale jeśli wciąż spała snem dobrze wypełnionego alkoholem sprawiedliwego, to nie było po prostu powodu, dla którego miałby odkładać rozpostarcie skrzydeł i szybkie oddalenie się od jeziora. Zdjął ubranie, zawiązał znów swój tobolek i zawiesił go sobie na szyi, dość luźno, żeby nie zadusił go, kiedy stanie się smokiem – i zmienił wcielenie.

Poczuł wielką ulgę, gdy znalazł się znów w smoczym ciele. Z ciałem tym wiązał się cały zespół smoczyczych uczuć i postaw. I podczas gdy w ludzkiej postaci miał może trochę za dużo wyobraźni, by się niepokoić, to w smoczym ciele miał jej o wiele mniej. Dzięki temu jego zmartwienie tym, jak może zareagować Meluzyna, wyraźnie

się zmniejszyło. Jako smok miał też dużo więcej zaufania do swoich rozmiarów, siły i gotowości do zadbania o siebie.

Zastanowiło go, że w smoczym wcieleniu jego poglądy były dużo bliższe średniowiecznemu punktowi widzenia niż w ludzkim.

W każdym razie czas było już lecieć. Wyskoczył w powietrze, rozpostarł skrzydła i zaczął wzbijać się na większe wysokości. Dogodne prądy ciepłe znalazł dopiero około dwóch tysięcy stóp nad ziemią. Zaczął wtedy szybować w kierunku Amboise i drogi do Orleanu, przy której stał gdzieś zamek Malvinne'a.

Było późne popołudnie i choć było to jak najbardziej naturalne, czuł się nieco dezorientowany. Pamiętał, ile czasu spędził w łóżu dziewczyny i ile czasu zwiedzał z nią toń jeziora, lecz instynktownie czuł, że powinien wyjść z jeziora mniej więcej o tej samej porze dnia, w której dostał się do środka – mianowicie w południe.

W istocie, chociaż zdawał sobie sprawę, że jest inaczej, czuł, jakby czas w ogóle nie powinien płynąć, podczas gdy przebywał pod wodą. Wiedział, że stracił przynajmniej dwie noce, jedną u Meluzyny, a jedną z Sorpilem i Maigrą. Miejsce, w którym zostawił Gilesa, nie było prawdę mówiąc aż tak odległe od Amboise. Do tej pory rycerz niewątpliwie dotarł już tam i zainstalował się w gospodzie. Późna pora dnia mogła jednak stwarzać niejakie problemy.

Sir Raoul udzielił im pewnych informacji na temat Amboise, ale i tak Jim był pewien, że jest to miasto otoczone murami. Prawie wszystkie średniowieczne miasta takie były. Zazwyczaj mur nie był niczym więcej niż tylko wysokim częstokołem, otaczającym całkowicie główną część miasta, ale tylko nieliczni ryzykowali wznoszenie zabudowań na zewnątrz tych murów.

Mury nie służyły wyłącznie obronie. Wykorzystywano je także do kontrolowania ludzi żyjących w środku i sprawdzania, kto przybywał. Bramy zamykano o zachodzie słońca, a to znaczyło, że ktokolwiek chciał wymknąć się z miasta i nie zostać rozpoznany przez strażę przy bramie, był uwięziony w obrębie murów do rana.

Podobnie też ktoś, kto próbowałby wejść, a wydawał się jakkolwiek podejrzany czy groźny, mógł być aresztowany przez strażę, rozbrojony, zabrany do miasta i oddany pod sąd. Co więcej, mury pozwalały miastu pobierać podatki za dobra przywożone czy wywożone z miasta w celu sprzedaży. Z punktu widzenia skarbu miasta była to sprawa potrzeby i porządku.

Na skrzydłach, tak jak teraz, Jim posuwał się dużo szybciej, niż mógłby poruszać się Giles w dole, po ziemi, nawet konno. Jednak zachód słońca był już bardzo blisko, a skoro raz już zawarto bramy, nie byłoby mądrze z jego strony próbować dostać się do środka, czy to wlatując jako smok, gdyż ktoś by go zobaczył, czy też jako człowiek, próbując przekupić strażę, by na chwilę otworzyły bramę lub też w inny sposób pozwoliły mu wejść. Nie byłoby to roztropne po prostu dlatego, że zwykle pamięta się dokładnie każdego, kto wchodził do miasta w podobnych okolicznościach.

Gdyby nie mógł dostać się do środka, zanim zamkną bramy, jedynym rozsądnym wyjściem byłoby spędzić noc na zewnątrz, oczywiście w smoczym ciele. Potem, zamieniwszy się w człowieka, mógłby zmieszać się z tłumem wchodzących i



wychodzących przez bramę w blasku dnia. Miał już przygotowaną na ten cel historyjkę. Był zbyt dobrze ubrany jak na zwykłego zbrojnego, ale mógł twierdzić, że jest rycerzem, którego koń miał wypadek, czy też padł pod nim, i powiedzieć, że jego świta ruszyła przodem do miasta poprzedniego dnia. Mógł nawet podać im imię sir Gilesa, chociaż to prawdopodobnie nie było konieczne. Historyjka i niewielka łapówka – nie było szansy, że uda się wejść bez jakiegokolwiek łapówki; przy bramach miejskich, jeżeli się w ogóle przez nie przechodziło, płaciło się albo podatek, albo łapówkę – powinny pozwolić mu dostać się do środka bez hałasu. W ten sposób mógłby prześlizgnąć się i zostać w krótkim czasie zapomniany. Potem zostawałaby tylko kwestia odszukania sir Gilesa.

Rozmyślał o tym, gdy nagle uświadomił sobie, że powinien być ostrożniejszy. Już od pewnego czasu leciał wzdłuż drogi do Amboise, ufając, że odległość od ziemi i jego podobieństwo do innych latających stworzeń takich jak ptaki, wystarczy, by nie rzucał się w oczy tym, którzy mogli podróżować na dole. Teraz przyszło mu jednak do głowy, że każdy, kto przyjrzałby mu się dokładnie z ziemi, musiał dość prędko zorientować się, że nie był z niego żaden ptak, tylko smok. Ptaki mogły nie zwracać na siebie uwagi. Smoki zwracały. Ponieważ szansa, że dostanie się do bram

Amboise przed zachodem, była i tak niewielka, pomyślał, że byłoby mądrzej, gdyby wylądował na ziemi. Przybrałby znów postać człowieka i szedł dalej piechotą, jak daleko się da, zanim zapadnie noc. Potem, pod osłoną ciemności, mógłby z powrotem zamienić się w smoka – gdyż smoki mogły spać równie dobrze na powietrzu, ignorując takie drobiazgi jak zmiany temperatury czy przelotne deszcze – i wyspać się porządnie przez noc. Wstałby o świcie, powrócił do ludzkiej postaci i odzienia, i ruszył, by dojść do bramy z porannym tłumem.

W istocie niegłupim pomysłem byłoby znaleźć się w pierwszej ciżbie, która przejdzie przez bramę. O tej porze strażnicy mają wielu ludzi do sprawdzenia i prawdopodobnie będą chcieli załatwić ich jak najszybciej. Zebrać od nich podatki, łapówki czy co tam jeszcze mieli do dania, i wpuścić ich.

Jim oceniał, że musi mieć do tej pory przynajmniej dwudniowy zarost, co uprawdopodobniłoby jego historyjkę o tym, że jest rycerzem, który gdzieś na drodze stracił konia. Być może mógłby opowiedzieć historię o tym, że uwagę jego zwrócił jakiś dziki zwierz, którego, jak sądził, łatwo będzie dogonić i zabić mieczem czy włócznią. I podczas tej pogoni, z dala od drogi, jego koń złamał nogę i musiał go dobić i porzucić.

Zgodnie z tym pomysłem rozejrzał się za jakąś kępą drzew i szybko obniżył lot. Po wylądowaniu zmienił się z powrotem w sir Jamesa Eckerta, Smoczego Rycerza, i ruszył jeszcze raz piechotą w stronę gościńca wiodącego do Amboise, które, jak oceniał z powietrza, było odległe o jakieś pięć mil.

Gościniec nie wyróżniał się niczym specjalnym. O tej porze roku był suchy i pełen kurzu. Był też głęboko pocięty koleinami i pocętkowany wybojami, które piechur i może koń mogliby ominąć, ale z którymi wóz miałby już cięższą przeprawę. Lecz, jak było widać, wozy często musiały podróżować tą trasą, która wiodła w końcu do Paryża.

Jim wciąż jednak wędrował wolniej, niż zamierzał. Pogodził się z faktem, że nie ma żadnej szansy dotrzeć do bram przed ich zamknięciem. Zaczął się rozglądać za jakimś miejscem do spędzenia nocy jako smok i zobaczył, że niedaleko przed nim droga skręca w dość gęsty las; a także ku jego zdziwieniu jej nawierzchnia nagle się poprawia. Ktoś musiał nieźle popracować nad tym jej odcinkiem.

Wszedł już głęboko w las i myślał właśnie, że jest to chyba dokładnie to miejsce, w którym chciałyby zwinąć się w kłębek na noc, kiedy usłyszał dźwięk jakby kościelnych dzwonów dochodzący z przodu.

Był jeszcze zbyt daleko od Amboise, żeby mógł to być jeden z miejskich kościołów. Zaciekawiony, lekko przyśpieszył kroku, a o wiele równiejsza nawierzchnia drogi pomagała mu w tym, równoważąc to, że tutaj, w cieniu drzew pełnych letniego listowia, nie tak łatwo było ocenić głębokości kolein i wybojów, jak w słonecznym schyłku dnia.

Dzwony wciąż były gdzieś naprawdę blisko. Drzewa się przerzedzały. Po chwili Jim wyszedł pomiędzy nich dokładnie na moment zachodu słońca, kiedy promienie były czerwienią na otwartą przestrzeń i ozłacały cały kompleks dużych, wzniesionych w większości z szarego kamienia budynków. Do jednego z wielkich budynków, do wnętrza jego skrzydła o spadzistym dachu, zmierzała, jeden za drugim, grupa postaci w brązowych szatach, z dłońmi ukrytymi w rękawach.

Na ich czele szedł tęgi mężczyzna, ubrany jak oni, z kapturem zsuniętym z głowy i opacką laską w prawej ręce. Przed nim szła mniejsza samotna postać niosąca drąg, na którym osadzony był krucyfiks. Krucyfiks zdawał się złoty, gdyż chwycił ostatnie czerwone promienie słońca i płonął oślepiająco na tle ciemnego kamienia budynku.

Jim zatrzymał się. Widział przed sobą klasztor z mnichami zmierzającymi na nabożeństwo w normalny, wieczorny czas nieszporów. Stał i patrzył. Zachód słońca, masywne budynki, czerń otwartych wrót, rząd wolno poruszających się postaci i miarowe, powolne bicie dzwonu ponad głową, wszystko to poruszyło w nim niespodziewanie jakąś głębszą strunę uczucia. Droga, którą szedł, prowadziła w stronę budynków, a potem znów w dal. Przyszło mu na myśl, że ta chwila i cały ten obraz były wyobrażeniem ucieczki od krwawego zewnętrznego świata, którą w tych czasach tylko średniowieczny Kościół mógł ofiarować.

Przez chwilę coś dziwnego przyciągało go w kierunku tych postaci i budynków. Nie był stworzony na jednego z nich, ale po raz pierwszy poczuł głęboko w sobie, jak człowiek tych czasów mógł chcieć odwrócić się plecami do reszty świata i wstąpić do tego specjalnego, odosobnionego sanktuarium, gdzie walki rycerzy i książąt, i Ciemnych Mocy nie miały dostępu. Nic nie mógł na to poradzić. Stał i patrzył, aż ostatni z mnichów zniknął w środku, aż drzwi się zamknęły, a dzwon przestał w końcu rozbrzmiewać.

Słońce zachodziło już ostatecznie za otwarty horyzont po lewej stronie Jima. Przeszedł więc na przelaj od odcinka drogi, na którym stał, a który prowadził do klasztoru, do odcinka poza nim, który wiódł z powrotem do zewnętrznego świata.

Wkrótce był już na drodze i zmierzał do miasta, którego wciąż jeszcze nie było widać. Przez krótki czas droga była zadbana i o dobrej nawierzchni, ale niebawem

wróciła do swoich kolein i wybojów, i ogólnego stanu zniszczenia, w którym się znajdowała od chwili, gdy zaczął nią iść.

## Rozdział 21

W ciągu zaledwie kilku minut po ominięciu klasztoru droga wyprowadziła Jima poprzez następną grupę drzew na szeroką, otwartą przestrzeń. Ścisłej mówiąc, oczyszczoną przestrzeń, taką jak inne oczyszczone przestrzenie istniejące dla celów obronnych wokół wszelkich zamków i osad, gdziekolwiek i jakichkolwiek rozmiarów by były. Po przeciwległej stronie widniało w całej swej okazałości Amboise.

Bramy były zamknięte.

Tego właśnie należało oczekiwać, ale Jim poczuł irytację na myśl o całonocnym opóźnieniu. Mimo to, wszak nic nie mógł na to poradzić, ruszył z powrotem, żeby znaleźć sobie miejsce na nocleg.

Ostatnia kępa drzew była zbyt rzadka, żeby dostarczyć prawdziwej osłony czy zabezpieczenia. Jim przeszedł z powrotem całą drogę do klasztoru i zagajnika poza nim. Zagajnik ten był o wiele gęściejszy i rozleglejszy. W trakcie zagłębiania się w nim, po tym jak kilkakrotnie strzeliły go w twarz jakieś gałęzie, a kilka korzeni podstawiło mu nogę, Jim zdecydował, że równie dobrze może zamienić się w smoka już w tym momencie, i zrobił to.

Wędrowało mu się znacznie lepiej. Nie tylko czuł się pewniej w ciemności, ale miał nos, parę uszu i rodzaj zwierzęcego wyczucia ziemi pod stopami, czego nie miał przedtem, a co znacznie ułatwiło wchodzenie w głąb lasu. Teraz po prostu przedzierał się przez kępy krzaków i małych zarośli młodniaków. Dzięki swemu ciężkiemu smoczemu cielsku był w stanie nie tylko rozgarniać cieńsze pnie na boki, ale mógł także nie zwracać uwagi na te, które odskakując uderzały go po grubej, łuską pokrytej skórze, gdy przechodził.

Lasek okazał się bardziej szeroki niż głęboki i było to Jimowi na rękę. Zszedł kilkaset jardów z drogi dla pewności, żeby być bezpiecznym, i właśnie rozglądał się za wygodnym zagłębieniem, w którym mógłby zwinąć się w kłębek, kiedy o mało nie wpadł na wznoszącą się w lesie skałę.

Nie było to duże wypiętrzenie. Wyglądało raczej jak wielki, prostokątny odłam skały, który został postawiony na jednym końcu, tak że trochę mniej niż sto stóp wystawało ponad ziemię. Sama skała pozbawiona była roślinności, tylko dookoła jej podstawy rozrosły się jakieś chwasty, a nieduże krzaki skupiły się, obramowując ją jak okrągło przycięta broda. Ściany skały nie należały do tych, na jakie łatwo byłoby wdrapać się jego smoczemu cielsku. Wycofał się więc trochę, znalazł miejsce, które dałoby mu przestrzeń na rozpostarcie skrzydeł, rozłożył je i wyskoczył w powietrze. Poleciał w górę, w kierunku szczytu skały.

Dotarł tam niemal natychmiast. Rzeczywiście skała nie mogła mieć więcej niż sto stóp wysokości. A jednak wystawała ponad czubki drzew i miała dość płaski wierzchołek. Właściwie jego powierzchnia była nie tylko płaska, ale i nieco wygładzona przez czas i pogodę, tak że tworzyła naturalne miejsce do zwinienia się w kłębek. Jim zaczął się w nim układać.

Dzięki swojej grubej smoczniej skórze czuł się wygodnie pomimo szorstkiego kamienia, na którym spoczywał. Spoglądał sennie poprzez drzewa, dostosowując swój teleskopowy smoczy wzrok do widoku miasta Amboise, w którym zaczynały

teraz rozbłyskiwać światła. Na tle ogólnych ciemności miasto zdawało się być bliżej, niż było w rzeczywistości, prawie jakby leżało w niewielkiej odległości od skalnej iglicy, na której się usadowił. Senny zabawiał się myślą, że leży w miejscu istotnie bliskim murom miasta. Nagle jakiś głos odezwał się tuż poniżej niego.

–Co tu robisz? – zapytał głos.

Był to głos smoka.

Jim zupełnie się ocknął i spojrzał w dół. Nawet w ciemnościach mógł dostrzec skrzydlaty kształt trzymający się kurczowo wybrzuszenia na skalnej iglicy, jakieś piętnaście stóp pod nim. Prawie tak jak nietoperz przywierający do szorstkiej ściany jaskini.

–Jeśli o to chodzi – odpowiedział – to co ty robisz tutaj?

–Mam prawo tu być – odparował niewyraźny smoczy kształt. – Jestem francuskim smokiem. A ty jesteś na moim terytorium.

Smoczy temperament Jima, tak skory do reagowania na wyzwanie jak ludzkie temperamenty Briana czy Gilesa, rozgrzał się o kilka stopni.

–Jestem gościem w waszym kraju – powiedział. – Zostawiłem paszport, który przyjęły dwa francuskie smoki o imionach Sorpil i Maigra...

–Wszyscy o tym wiemy – zaczął tamten smok. Jim przerwał mu to przerywanie.

–A to daje mi swobodę poruszania się po waszym kraju. Nie muszę ci mówić, co tu robię. To moja sprawa. A poza tym kim jesteś, żeby mnie wypytywać?

–Nieważne, kim jestem – powiedział tamten. Jego głos był zdecydowanie wyższy niż Jima, a z tego, co Jim mógł dostrzec, był on lub ona także znacznie mniejszym smokiem. – Ze strony francuskiego smoka to całkiem naturalne, że chce się dowiedzieć, co robisz na jego obszarze.

–Może to i naturalne – odparł Jim – ale obawiam się, że każdy francuski smok, który chce coś takiego wiedzieć, będzie musiał się bez tego obyć. Jak powiedziałem, moja sprawa to moja sprawa – i niczyja inna. Niczyja inna – wliczając w to i ciebie.

Zapanowała długa cisza. Jim czekał, aż ten drugi coś powie lub zrobi, mówiąc sobie, że trzeba mu tylko jeszcze jednego wścibskiego pytania, a rzuci się ze szczytu skały na tego natręta...

Ale, najwyraźniej, nie miało się tak zdarzyć.

–Pożałujesz, że nie odpowiedziałeś nam jak przyjaciółom. Poczekaj, a zobaczysz! – odgryzł się w końcu obcy smok. Z nagłym trzepotem skrzydeł odleciał ze skalnej iglicy w ciemności nocy.

Minęło dobrych kilka minut, zanim Jim się uspokoił. Jego smocze uczucia, raz wzbudzone, nie chciały wyciszyć się tak szybko jak ludzkie. Skierował swoją uwagę na Amboise, żeby oderwać myśli od zakończonej rozmowy, ale płynąca w jego krwi strużka adrenaliny popchnęła go w złym kierunku.

Zaczął nagle myśleć o sobie nie jak o smoku, który ulokował się tu, w tym bezpiecznym miejscu, na spoczynek, ale jak o smoku, który zaczął się w miejscu dogodnym do ataku. Miejscu, skąd mógł rzucić się w dół, w kierunku miasta i porwać sobie mały tłusciutki kąsek – Jerzego, którego mógłby przynieść z powrotem na skałę, by podełek-tować się nim.

Szokująca natura tych rozważań wyrwała go z zamyślenia. Nigdy naprawdę nie uważał Jerzych za jadalnych dla smoków; z pewnością nigdy, kiedy sam był smokiem. W istocie był przekonany, że nie mógłby się zmusić do zjedzenia człowieka. Jednak jako smok zjadł już kilka świeżo zarżniętych, zupełnie surowych zwierząt, ze wszystkim oprócz kopyt i kości, i doprawdy ogromnie mu smakowały. Był nieprzyjemnie pewien, że normalny smok mógł uważać również ludzi za jadalnych. Jedyne powód, pomyślał, dla którego smoki w obecnych czasach nie jedzą Jerzych, to kłopoty, jakie podobne postępowanie spowodowałyby na nie.

Smoki ponad wszystko wołały życie jak najspokojniejsze. Chociaż lubiły sobie powalczyć, gdy się już w coś wplątały, to zazwyczaj rozglądanie się za walkami było już zbyt kłopotliwe. Ponadto większość z nich wyrobiła sobie przez stulecia zdrowy szacunek dla możliwości Jerzych, nawet zanim jeszcze nastąpiły czasy uzbrojonych w kopie rycerzy na koniach. Przede wszystkim było już zbyt wielu Jerzych.

Jim znów poczuł senność. To także było naturalne smocze zachowanie. Smoki lubiły pić, lubiły jeść i lubiły spać. W razie braku jedzenia i picia sen przychodził odruchowo. W chwili kiedy kończył tę myśl, zamknęły mu się oczy i mocno zasnął.

Obudził go pierwszy blask przedświt. Nie było w tym nic dziwnego, gdyż leżąc na owej skale miał prosto przed oczami linię horyzontu. Na wschodzie, poza miastem, nadchodzący dzień zaczynał rozświetlać niebo. Jak każdy zdrowy smok rozbudził się w jednej chwili, nie czując się ani trochę senny, ani też zeszywniały czy ociężały po spędzeniu całej nocy będąc zwiniętym w kłębek.

Był głodny i spragniony, ale smoki potrafiły ignorować takie rzeczy, przyzwyczajone do obywania się czasami bez jedzenia i picia przez dość długie okresy, aż jedno czy drugie stawało się dostępne.

Sfrunął na dół, do podstawy skały, i zamienił się z powrotem w człowieka. Ubrał się i ruszył do Amboise. W jakieś dwadzieścia minut później był już przy pierwszej linii drzew, nieco na lewo od drogi. Przyglądał się bramie. Tłumek oczekujący przed nią liczył jakieś trzydzieści czy czterdzieści osób i przynajmniej połowę tej liczby wozów i zwierząt pociągowych.

Słońce wstawało. Wspinało się coraz wyżej na niebo, lecz bramy pozostawały zamknięte. Jim powiedział sobie, że tego właśnie należało się spodziewać. Straże otworzą bramy wtedy, kiedy im będzie wygodnie, zważając jednak na fakt, iż miejscowi kupcy i niektórzy wpływowi mieszkańcy miasta mogliby protestować przeciwko zatrzymywaniu ich potencjalnych klientów lub dostawców. W którymś momencie odruch posłuszeństwa wobec zwierzchników przeważy wrodzone lenistwo strażników.

Wreszcie bramy otworzyły się. Do tego czasu słońce już nie tylko wstało, ale i było widoczne spoza murów samego miasta. Było już co najmniej pół godziny po właściwym wschodzie.

Kiedy tylko podwójne wrota zaczęły się otwierać, Jim wyszedł szybkim krokiem pomiędzy drzew na drogę i ruszył w ich kierunku. Nie musiał zanadto się śpieszyć. Oba skrzydła bramy były szeroko otwarte i pierwsi z ciżby dopiero zaczęli przechodzić obok strażników, gdy dotarł do tłumku wciąż oczekujących na swoją

kolej.

Przesuwając się w kolejce, Jim mógł trochę pomyśleć o swoim wejściu. Zdecydował, że należy zachować się w sposób możliwie typowy dla rycerza. Jak w podobnej sytuacji zachowałyby się sir Brian i Giles? Nie znaczy to, że obaj byli idealnymi przedstawicielami swojej klasy. Byli dość wyniośli, ale nie byli dość nieprzyjemni. Postanowił więc dodać odrobinę przykrego zachowania do swojej interpretacji rycerza bez konia i na obolałych nogach, który od wczoraj pozostawał był na świeżym powietrzu.

Ludzie byli dość gęsto stłoczeni wokół bramy, a średniowieczna ciżba nie była tłumem, przez który ktoś mógłby przejść w dwudziestowieczny sposób, grzecznie szepcząc „Przepraszam” i „Czy mógłby pan mnie przepuścić?” Wiedząc o tym Jim wykorzystał swoje rozmiary i wagę i uderzył w tłum tam, gdzie, jak sądził, był najrzadszy, podobnie jak w futbolu bek uderza w ścianę liniowych przeciwnika.

–Z drogi, hołoto! – ryknął przepychając się barkiem do przodu.

W tłumie nie widział nikogo ani trochę tak wysokiego jak on, było jednak kilku mocno zbudowanych osobników, z których paru bez wątplenia przewyższało go wagą. A w tym przypadku masa mogła być decydującym czynnikiem.

–Ty tam, człowieku! Do mnie!

Ci, przez których się przedzierał, odwracali się na chwilę, by na niego spojrzeć. Ale sposób, w jaki przemówił, nazywając ich hołotą i zwracając się do strażnika „człowieku”, sprawił, że cofnęli się i zrobili mu przejście. Strażnik, który miał właśnie przyjąć podatek lub łapówkę od człowieka w poplamionej mąką odzieży z wózkiem zaprzęgniętym w muła, odwrócił się z gniewem. Zmienił jednak postawę na widok ubrania Jima oraz miecza i sztyletu zwisających mu u pasa.

–Przepuście mnie natychmiast! – rzucił Jim, omal nie rozdeptując strażnika, który użenie odstał na bok. – Na waszych cholernych drogach i polach cholernie dobry koń złamał sobie nogę i spędziłem w tych cholernych lasach całą cholerną noc! Masz – przepuście mnie!

Ze słowem „masz” rzucił strażnikowi monetę. Był to srebrny ecu, co było datkiem o wiele za dużym, żeby wręczać go w takiej jak ta sytuacji. Ale była to najmniejsza moneta, jaką miał przy sobie w tej chwili. Miał nadzieję, że ta przesadna łapówka zostanie wzięta przez strażnika za dowód, iż ten oto szlachcic, kimkolwiek może być, po stracie konia i spędzeniu nocy w lesie jest zupełnie wytrącony z równowagi. – Dzięki, milordzie, wielkie dzięki! – powiedział strażnik, pośpiesznie skrywając monetę w zaciśniętej dłoni, tak że natychmiast znikła z widoku. Nie mógł w żaden sposób wiedzieć, czy Jim był lordem, czy nie, ale użycie tego tytułu w niczym nie wadziło, a mogłoby mu bardzo zaszkodzić, gdyby zaniedbał oddania rycerzowi należnych mu honorów.

Jim precyzyjnie przesunął się obok niego i chwilę później był już na ulicach miasta. W pół minuty potem skręcił za róg i całkiem zniknął z oczu straży przy bramie.

Skręcił w boczną uliczkę, tak wąską, że wyciągnąwszy ramiona mógłby po obu stronach dotknąć dość nieestetycznych ścian. Uliczka zasłana była wszelkiego rodzaju nieczystościami, zwierzęcymi i ludzkimi, i biegła między wysokimi ścianami

budynków lub równie wysokimi masywnymi murami. Jim siedł nią tak długo, póki nie znalazł przecznicy. Boczny zaułek byłby dla niej lepszym określeniem, pomyślał. Skręcił w lewo, podążając drugą, która, jak sądził, powinna zaprowadzić go w głąb miasta.

Uliczka ta jednak wiła się i kiedy ponownie skręcił w lewo, znów ujrzał przed sobą spory jej odcinek. Dopiero po pewnym czasie błędzenia trafił na ulicę szeroką i zadbaną, taką, która najwyraźniej była główną ulicą wiodącą od bramy. Tym razem, na szczęście, był już poza zasięgiem wzroku tych przy bramie.

Potrzebował jakiejś informacji, żeby odnaleźć sir Gilesa. Najlepszym sposobem jej uzyskania było znaleźć jakikolwiek sklep i zapytać, czy sklepikarz użyczy mu bądź wynajmie kogoś za przewodnika, kto zabrałby go do różnych gospod w mieście. Jim nauczył się po bolesnych doświadczeniach na ulicach Worcester i innych średniowiecznych miast, które odwiedził, że same tylko rady, jak dojść ze sklepu do gospody, kończyły się ponownym zagubieniem po przejściu pierwszych pięćdziesięciu kroków.

Szedł zatem dalej, aż znalazł sklep i warsztat szewski. Tam ubił interes z majstrem w sprawie wynajęcia jednego z pomocników. Doświadczenie nauczyło go, by raczej wynajmować jednego z ludzi pracujących w sklepie niż kogoś, kogo przywołaliby dla niego gwizdem z ulicy. Bardzo często osoba sprowadzona z ulicy była kimś, komu sklepikarz dał znak, by poprowadził przybysza do jakiejś pułapki, gdzie można by go było obrabować, jeśli nawet nie zamordować. Pracownik miał zazwyczaj dla właściciela sklepu pewną wartość i mniej było prawdopodobne, że zaprowadzi Jima w zasadzkę.

Znów należało przeprowadzić tę transakcję tak, jakby robił komuś łaskę. Jim straszliwie kłął, walił pięścią w kontuar, był nieuprzejmy na każdy sposób, jaki potrafił wymyślić. I czuł, że wzięwszy to wszystko razem, udało mu się bardzo dobrze odegrać kogoś szlacheckiego stanu, kto zupełnie nie był w dobrym humorze.

Wiedział, że takie zachowanie sygnalizowało tym, z którymi rozmawiał, dwie rzeczy. Po pierwsze, że przy najmniejszej prowokacji użyje miecza, który wisiał mu u pasa. Po drugie, że równie dobrze może mieć w mieście wpływowych przyjaciół, którzy tym, co mieli z nim sprawę, mogą zrobić jeszcze więcej nieprzyjemności niż on sam.

Szarada udała się. Najwyraźniej w mieście dobrze wiadano, że są w nim Anglicy i że przewodzi im jeden niski rycerz z bujnymi, sterczącymi wąsami. Ta ozdoba górnej wargi – w czasach kiedy prawie wszyscy rycerze byli gładko wygoleni – sama w sobie stanowiła znakomity znak rozpoznawczy.

Sir Giles i kilku innych Anglików dopiero co przybyli do miasta. Stanęli w największej w mieście gospodzie i zajęli ją w całości, ponieważ przyprowadzili ze sobą sporą grupę, jak to określił szewc, dziko wyglądających sług. W istocie tak wielu, że większości trzeba było znaleźć i wynająć kwatery po różnych szopach, a nawet domach innych mieszczan. Rzemieślnik nie znał żadnych imion, ale wiedział, że jeden z Anglików ma ze sobą bardzo wielkiego i groźnie wyglądającego psa, którego najwyraźniej przywiózł, by strzegł jego izby i dobytku.



Nie żeby takie środki ostrożności potrzebne były w Amboise, twierdził szewc. W rzeczywistości trzymanie takiej bestii było dla miasta niemal obrazą. Z drugiej strony cóż można poradzić na niektórych wielkich panów? Zwłaszcza wielkich panów z... no cóż...

W tym momencie szewc jakby nagle sobie przypomniał, że rozmawia z jeszcze jednym z takich Anglików, a nie z rodakiem Francuzem. Pozwolił zatem zdaniu zawisnąć bez dokończenia i zaczął kląć na terminatora, że stoi sobie i zatrzymuje szlachetnego pana, zamiast jak najszybciej zaprowadzić go prosto do gospody.

Terminator pośpiesznie poprowadził Jima. Ten podążał za młodzikiem, wciąż zastanawiając się nad tym, czy sklepikarz poważnie myślał, iż on, Jim, naprawdę uwierzy, że nie istniało niebezpieczeństwo kradzieży, nawet w najlepszej gospodzie miasta. W tym wieku, na lądzie czy na morzu, dwa prawa górowały nad wszystkim innym. Jednym było prawo przetrwania. Drugim było prawo możliwie największego zysku – choć różne sfery pożądały go z różnych przyczyn.

Wieśniacy, najbiedniejsi z biednych, pragnęli zysku, żeby utrzymać się przy życiu. Ludzie tacy jak ten szewc potrzebowali zysku, żeby zdobyć lepszą pozycję wśród równych sobie. Ludzie z warstwy szlacheckiej, od Briana i Gilesa poczynając, aż po same koronowane głowy królewskiej krwi, pragnęli zysku nie tylko, aby móc zaspokajać swoje zachcianki, ale żeby czynić pańskie gesty czerpiąc z zasobnego skarbcza.

W istocie wyższe sfery, o ile Jim mógł się zorientować, żyły do pewnego stopnia publicznie, jak na scenie. Od królów aż po zwykłych rycerzy ludzie odgrywali role, które, jak wierzyli, wyznaczył im Bóg. I podczas gdy zaspokojenie własnych potrzeb zajmowało bliźniutkie drugie miejsce, to na pierwszym było jawić się na scenie świata jako najlepszy z możliwych przedstawicieli tego, czego się po nich spodziewano.

W rezultacie rycerze mieli zachowywać się po rycersku, od królów oczekiwano królewskich postępów, dokładnie w taki sposób, w jaki aktor starej daty przedstawiałby rycerza czy króla na użytek publiczności, która za to płaciła.

Ale oto już byli na miejscu, w gospodzie. Wejście do niej nie różniło się niczym od innych dziur-w-murze, jakie mijali po drodze, w których sklepy zdradzały swoją obecność lekkim uchYLENIEM drzwi, jako sygnałem, że są otwarte i czynne.

Drzwi gospody także były uchylone. Jim popchnął je i wszedł. Nie dał napiwku terminatorowi i nie zwolnił go, dopóki nie upewnił się, że był we właściwym miejscu. Uspokoił go jednak karczmarz, który natychmiast wyszedł mu na powitanie – tym razem był to człowiek tak wysoki jak Jim, ale chudy i wąsaty. Nie miał takich dumnych i zadzierzystych wąsów jak sir Giles, ale długie, cienkie i czarne, zwisające smętnie po obu stronach szerokich ust. Karczmarz potwierdził fakt, że nie tylko sir Giles jest tutaj, ale także i inny rycerz.

–A ten drugi rycerz – zapytał Jim – jakie ma imię i rangę?

–Sir Brian Neville-Smythe, Wasza Lordowska Mość – odparł karczmarz. Wymówił ten tytuł zadziwiająco niskim głosem. – Zdaje się, że są przyjaciółmi i oczekują jeszcze jednego przyjaciela. Czy Wasza Lordowska Mość to może baron James de Bois de Malencontri?

–Tak – powiedział Jim i o mało nie zapomniał przy tym zrobić odpowiednio groźnej miny, tak był uszczęśliwiony, że Brian jest tutaj, najprawdopodobniej z ludźmi, których miał przyprowadzić, i że obaj z Gilesem oczekują go. – Prowadź mnie do nich natychmiast.

–Oczywiście – odpowiedział karczmarz i odwrócił się ku schodom, które w tej, jak i w innych znanych Jimowi gospodach, prowadziły wprost na pierwsze piętro.

–Aha, i daj napiwek temu chłopcu za mnie – rzucił Jim. – Dodaj to do mojego rachunku.

Zręcznie poradziwszy sobie ze sprawą braku drobnych na napiwek dla pomocnika szewca, Jim poczekał, aż karczmarz dał chłopcu drobną monetę i ruszył za nim po schodach, gdy ten poprowadził go do przyjaciół.

Powitanie było hałaśliwe. I Giles, i Brian przywitali Jima, jakby był dawno utraconym bratem.

Zawsze zastanawiała go skłonność ludzi tego świata do robienia tak wielkiego szumu przy powitaniu kogoś, kogo nie widzieli zaledwie dzień czy dwa. W końcu pojął jednak, że w tych czasach dwóch ludzi, którzy się żegnali, stawało przed sporą szansą, że nigdy się już nie zobaczą. Śmierć była tu dużo bliższa i o wiele bardziej prawdopodobna niż w dwudziestym wieku. Nawet zwykła wizyta w sąsiednim mieście mogła oznaczać przypadkową albo zamierzoną zagładę, tak że osoba wyjeżdżająca mogła już nie powrócić, przynajmniej nie żywa.

Jim w końcu dostosował się do zwyczaju powitań i do nieuniknionego uczczenia, jakiego taka okazja wymagała. W rezultacie tak był pochłonięty przez kilka pierwszych minut witaniem się z Brianem i Gilesem, że dopiero potem zauważył wielkie, pokryte ciemnym futrem cielsko rozciągnięte wygodnie na boku na bagażach, które przywiózł ze sobą Brian.

Jim odwrócił się do niego.

–Aragh! – powiedział.

Wilk otworzył jeszcze przed chwilą zamknięte oczy i na wpeł podniósł głowę znad wypchanej torby, na której leżał.

–A kogo się spodziewałeś, Jamesie? – warknął. – Rozpieszczonego pieska jakiejś damy?

–No cóż, nie – odparł Jim. – Cieszę się tylko, że cię widzę. Ale...

–Ale teraz masz zamiar spytać mnie, co tu robię, tak? – spytał Aragh.

–W gruncie rzeczy, tak – przyznał Jim. Miał zamiar to wyjaśnić obszerniej, ale wilk znów mu przerwał.

–To nie pytaj – powiedział, po czym zamknął oczy i znów opuścił głowę.

Jim odwrócił się do swoich dwóch przyjaciół i spojrzał na Briana, który lekko wzruszył ramionami i pokręcił głową. A więc najwyraźniej on także nic nie wiedział. Postanowił więc na razie odłożyć tę sprawę na później. Tymczasem Giles zdążył już zamówić nieodzowny dzban wina i kubki. Rozsiadłszy się zatem przy stole w ich kwaterze, Jim zaczął nadrabiać zaległości w wieściach o tym, co działo się z jego kompanami.

Giles, po tym jak zostawił Jima, przeżył pozbawione

wydarzeń półtora dnia jazdy, zanim dotarł do Amboise i ulokował się w gospodzie. Był tam jednak zaledwie godzinę, gdy na zewnątrz rozpoczęło się zamieszanie. Zszedł na dół i ujrzał Briana nadjeżdżającego z resztą ludzi.

Jak można się było spodziewać, wjazd za bramy miasta takiej liczby uzbrojonych osobników spowodował znaczne poruszenie. Zwłaszcza że uzbrojeni ludzie okazali się Anglikami, a nie Francuzami, chociaż prawdę mówiąc poczciwi obywatele tych miast mieli w zwyczaju krzywo patrzeć na każdego, czym rzemiosłem była wojna i walka.

–Wrzawa podniosła się u bram – opowiadał Brian, przejmując wątek po Gilesie – ale skoro przy bramie było czterech ze straży, a żaden z nich nie był na tyle przytomny, by nas zauważyć, zanim znaleźliśmy się przy jej słupach, po prostu przejechaliśmy obok nich. Potem podążaliśmy główną ulicą, póki nie udało nam się złapać kogoś za kołnierz, żeby nam pokazał największą i najlepszą gospodę w tym mieście.

–Mogę to sobie wyobrazić – powiedział Jim. Istotnie mógł.

–Nowe zamieszanie powstało już tu, w gospodzie – ciągnął rycerz. – Było nas za dużo, żeby znalazło się miejsce dla wszystkich, nawet w stajniach i szopach. Na szczęście nasz karczmarz – widziałeś go?

–Tak – odrzekł Jim. – Powiedział mi, że obaj tu jesteście i przyprowadził mnie do was.

–Długa z niego tyka i nie wygląda na nic takiego – powiedział Brian -jednak mimo wszystko uczciwy z niego człowiek. Tak uczciwy, pójdę o zakład, jak nikt, kogo napotkasz w tym mieście. O ile się nie mylę, kiedy był młodszy, sam był zbrojnym. W każdym razie on jeden ze wszystkich zachował zimną krew. Zajął się tym, żeby każdy z naszych ludzi znalazł jakiś dach nad głową, i zaplanował, jak dostarczać wszystkim jedzenie. A potem przyprowadził mnie na górę do sir Gilesa.

–I bardzo się ucieszyłem widząc go – dorzucił Giles radośnie podkrecając wąsa. – W razie gdybyśmy natknęli się na jakąś bandę Francuzów, mamy teraz ładny, mały oddział. Poza tym czułem, że skoro on już jest tutaj, to ty nie możesz pozostawać za bardzo z tyłu. I, na świętego Cuthberta, oto jesteś.

–Tak – powiedział Jim – i cieszę się, że jestem z powrotem z wami.

Popatrzył na Briana.

–Prawdę mówiąc miałem pewną nadzieję, ale nie spodziewałem się ciebie tak szybko, Brianie – mówił – zwłaszcza że tylu ludzi miałeś ze sobą. Przy okazji, ilu przyprowadziłeś?

–Trzydziestu dwóch – odpowiedział rycerz. – Reszta jest wciąż za nami z Johnem Chesterem i Tomem Sewerem. Przyprowadziłem tylko doświadczonych wojów, włącznie z twoim nowym giermkim, Theolufem. A jeśli chodzi o to, że dogoniliśmy was tak szybko, to tylko za sprawą tego, że zaokrętowano ich wkrótce po naszym wyruszeniu. Za to możemy podziękować...

Jim uniósł głowę.

–Araghu – powiedział spoglądając na pozornie uśpionego wilka – czy jest w pobliżu ktoś, kto mógłby nas słuchać przez dziurę w podłodze, rurę w ścianie czy

coś podobnego?

–Żadnego smrodu waszego rodzaju, poza wami trzema, w promieniu dobrego tuzina długości mojego ciała – odpowiedział wilk nie otwierając oczu.

–Dziękuję, Araghu – rzekł Jim. Zwrócił się znów do Briana: – Jednakże sądzę, iż od tej pory powinniśmy tak czy inaczej unikać wymieniania głośno imion pewnych ludzi czy nazw miejsc. Być może żadne uszy nas nie słuchają, ale nie zaszkodzi się zabezpieczyć.

–Masz zupełną rację, Jamesie – powiedział Brian, a Giles wymruczał, pełen zachwytu, zgodę. – W każdym razie mogliśmy poruszać się prędko i dotrzeć do miasta przed tobą. Oto masz całą sprawę w kilku słowach.

–Duszę się w tym pudle – odezwał się Aragh, ale kiedy Jim spojrzał na wilka, wciąż leżał on z zamkniętymi oczami i zdawał się nieruchomy. – Kiedy stąd wyruszamy?

–Czy jest jakiś powód, dla którego nie moglibyśmy wynieść się stąd jutro? – spytał Jim pozostałych dwóch rycerzy.

Obaj pokręcili głowami.

–Chociaż powinniśmy omówić parę spraw – powiedział Brian. – Pamiętasz, Jamesie, że nasz przyjaciel doradzał, abym został z ludźmi z tyłu. Patrząc z jego punktu widzenia, mogło się to wtedy wydawać najrozsądniejsze. Ale teraz ja sam radzę, byśmy zostawili ludzi pod ich dotychczasową komendą. Niech idą za nami razem z tymi, których przyprowadziłem ze sobą, oprócz jednego, który powinien być nam szczególnie przydatny i w żadnym razie nie można go zostawić w odwodzie. Nas pięciu pójdzie przodem. Rozmawialiśmy już trochę o tym z Gilesem i możemy wyłożyć ci resztę powodów, kiedy już ruszymy w drogę i będziemy mogli mówić swobodnie.

–Nas pięciu, to jest licząc Aragha – wtrącił sir Giles.

–Absolutnie licząc Aragha – dobiegł głos samego wilka.

–Oczywiście, Araghu – przytaknął szybko Jim. Spojrzał jednak ciekawie na Briana.

–A więc kto jest tym piątym?

–Minąłeś go po drodze we wspólnej izbie – odpowiedział rycerz. – Niełatwo go dostrzec, bo lubi schować się w kącie i na ogół spokojny z niego człowiek. Jest z nami walijski łucznik.

## Rozdział 22

Dafydd? – zapytał Jim z niedowierzaniem. Twarze Briana i Gilesa nie wyrażały żadnych uczuć. Najwyraźniej chodziło o coś, czego Jim będzie sam musiał się dowiedzieć, najprawdopodobniej wprost od Dafydda. Z drugiej strony, o ile znał Dafydda, pytanie go wprost o cokolwiek nie miało sensu. Otrzymałby miłą, spokojną, nic nie mówiącą odpowiedź i pewnie grzeczną aluzję, że nie powinien zajmować się cudzymi sprawami.

Biorąc to pod uwagę, przestał na razie myśleć o tym wszystkim i pogrążył się w uroczystym świętowaniu z okazji spotkania.

Następnego dnia tylko w pięciu znaleźli się na drodze do Blois i zamku Malvinne'a. Gdzieś za Amboise Jim pomyślał o zadaniu kilku z tych pytań, które tłukły mu się po głowie. Powietrze lekko się ochłodziło, choć i tak był to ciepły letni dzień. W okolicy tej już od dwóch tygodni nie padało i skutki tego były widoczne. Droga była bardziej niż zwykle pełna kurzu.

Trzej rycerze jechali przodem, obok siebie, na swych rumakach bojowych.

Tuż za nimi jechał Dafydd. Długie nogi podkurczył po obu stronach konia, żeby utrafić stopami w strzemiona opuszczone na ostatnie dziurki, na jakie pozwalały puśliska. Walijczyk, już bez temblaka, na jednym ramieniu przewieszony miał łuk, a na drugim kołczan ze strzałami, dokładnie zabezpieczony na wypadek nagłej zmiany pogody. Za nim piętrzył się tobołek z jego osobistym dobytkiem i narzędziami, jakich używał do obróbki drzewca łuku i strzał. Na uwięzach za jego koniem podążały trzy juczne konie z bagażami i zapasami.

Aragh zniknął w chwili, w której znaleźli się pod osłoną drzew poza miastem. Jim doprawdy nie winił go za to. Wiedział, jak wilk nienawidzi zamknięcia w czterech ścianach. Kilka nocy spędzonych w czymś, co musiało być dla niego dziką mieszaniną zapachów i hałasów, wystarczało aż nadto, żeby usprawiedliwić jego chęć pobycia w samotności.

Był pewien, że wilk znów do nich dołączy, jeśli nie pod koniec tego dnia, kiedy rozbiją obóz na noc, to w ciągu następnych kilku dni. Z pewnością przyłączy się do nich, gdy miną już Blois i będą zmierzać prosto do zamku Malvinne'a.

Istniała jednak inna sprawa, którą należało teraz zbadać. Jim przeprosił Gilesa i Briana i zwolniejszy zrównał się z Dafyddem.

–Wybacz, że nie znalazłem wcześniej czasu, żeby z tobą pomówić, Dafyddzie – zagaił. – Nie potrafię ci nawet powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że jesteś z nami.

–W rzeczy samej, cieszę się, że ty się cieszysz – odpowiedział łucznik swoim spokojnym głosem. – To dobrze, że przynajmniej jeden z nas uważa moją tu obecność za rzecz dobrą.

–W takim razie sam nie uważasz, że to dobrze? – spytał Jim.

–Wcale nie jestem pewien – powiedział Dafydd – czy to dobrze albo czy powinienem tak myśleć. Nie zaprzeczę, że, jak to zawsze bywało, pociągają mnie nieznanne miejsca i ludzie, którzy mogą być mocni w haku czy w kuszy – czy w każdym innym orężu. Gdyż interesują mnie, widzisz, ci, którzy użycie broni czynią sztuką, nieważne, jaka mogłaby to być broń. Jednak nie mogę powiedzieć, że jestem

szczęśliwy znajdując się tutaj; choć nie jestem też naprawdę nieszczęśliwy. Taka dziwna mieszanka uczuć mnie ogarnia, sir Jamesie, iż doprawdy nie wiem sam, co w tej chwili odczuwam.

–Z pewnością jest to możliwe, żeby jakaś sytuacja podobała się komuś z jednego punktu widzenia, a nie podobała z innego – stwierdził Jim. – Sam w to czasami popadam. Jednakże jest to coś, co zazwyczaj samo się w końcu rozwiązuje. Jedno uczucie lub drugie bierze górę i tak już zostaje.

–Doprawdy nie sędzę, że zdarzy się tak w przypadku moich uczuć – powiedział łucznik przypatrując się ponad uszami konia drodze przed nimi. – Skoro oba moje uczucia zrodziły się z przyczyn pozostałych na tej wyspie, z której obaj przybyliśmy, wątpię, żeby rozwiązały się tutaj. Jednak ty, sir Jamesie, i pozostali dwaj szlachetni rycerze jesteście dobrymi przyjaciółmi i dzielną kompanią. Tak więc, nie żałuję, że jestem tutaj.

–Miło mi to słyszeć – odparł Jim. – Jeśli mogę zrobić cokolwiek, żeby ci pomóc, powiedz tylko.

–Zrobię tak – obiecał Dafydd – w istocie... Rzucił spojrzenie w kierunku Briana i Gilesa, którzy wysunęli się nieco bardziej do przodu, by kurz nie leciał prosto w twarz Jima i łuczniaka, chociaż chodziło im głównie o Jima. Stukot kopyt ich koni i ożywiona rozmowa sprawiały, że nie mogli usłyszeć nic z tego, o czym Jim i Dafydd rozmawiali.

–Tak – mruknął Walińczyk w kierunku końskich uszu – być może wykorzystam twoją uprzejmą ofertę pomocy, sir Jamesie. Być może mógłbyś udzielić mi jakowejś rady, gdybyś w tej sprawie miał jakąś radę do zaoferowania.

–Co tylko będę mógł – powiedział Jim.

Dafydd podniósł oczy znad uszu konia i spojrzał z ukosa na Jima.

–Obaj jesteście żonatymi mężczyznami, nieprawdaż? – odezwał się. – Nie mam zamiaru pozwalać sobie na równanie się z twoją rangą, sir Jamesie, ale to jest coś, co mamy ze sobą wspólnego, czy nie tak?

–Oczywiście – odpowiedział Jim. – Ale jeśli chodzi o rangę, to zapomnij o tym, Dafyddzie. Jesteśmy starymi przyjaciółmi w tym sensie, który czyni pozycję rzeczą bez znaczenia.

–Doprawdy miło, że tak mówisz – rzekł łucznik. – Wiec zadam ci pewne pytanie. Czy zdarza się, że czasem pani Angela ogromnie cię zaskakuje?

Jim roześmiał się.

–Często – powiedział.

–Srodze jestem zakłopotany z powodu Danielle – odezwał się Dafydd – i, zważ, nie z żadnej błahej przyczyny. Niemal od chwili gdy po raz pierwszy ją ujrzałem, ofiarowałem jej całe swoje serce. I potem, o ile to było możliwe, dałem jej wszystko, co pozostało, tak że od pewnego czasu należę do niej – sercem, ciałem i duszą. Przysięgłbym także, że nie mniej uczyniła dla mnie, tak że nie moglibyśmy się już bardziej kochać ani być bardziej szczęśliwymi, niż byliśmy. I rzeczywiście, byliśmy szczęśliwi, aż do miesiąca czy dwóch, zanim opuściłeś Anglię. Potem nadszedł dziwny dla nas czas, kiedy zdawało się, że jakoś nic nie mogę zrobić dobrze.

Przerwał i przez długą, długą chwilę jechał w milczeniu, przyglądając się uszom swego konia.

–Mów dalej – ponaglił go w końcu Jim. – To znaczy, jeśli chcesz.

–Chcę – powiedział Dafydd – bo natknąłem się w tym na coś, co przekracza wszystko, co pojąłem z życia przez te lata, które przeżyłem. Zawsze widniała przede mną prosta droga. Jeśli coś było potrzebne, wystarczyło mi tylko sięgnąć w głąb samego siebie, żeby to znaleźć. Jeśli to była sztuka łucznicza, sięgnąłem i znalazłem. Jeśli to była sztuka wyrabiania strzał, sięgnąłem i znalazłem. Jeśli było to mistrzowskie strzelanie z łuku, to także znalazłem. A kiedy znalazłem Danielle, którą kocham, trzeba było tylko, jak mi się zdawało, znaleźć odwagę, by jej o tym powiedzieć. Znalazłem na to odwagę i przysiągłbym, że to ta odwaga sprawiła w końcu, że Danielle mnie pokochała i że od tej pory wszystko między nami było dobrze.

Jima kusiło, żeby coś powiedzieć, ale potem pomyślał, że najlepiej będzie pozwolić mu zdążyć wedle własnego tempa i chęci. Po chwili łucznik westchnął głęboko i znów przemówił:

–Przyznam, że na początku mogłem powiedzieć coś takiego, że żałuję, iż nie mogę być we Francji i sprawdzić, czy są tam ludzie łuku, czy to długiego, czy też kuszy, z którymi naprawdę mógłbym się zmierzyć. Od pewnego już czasu bowiem nie spotkałem nikogo, dla prześcignięcia którego potrzebowałbym zmusić się do choćby niewielkiego wysiłku – rzekł. – Nie pamiętam dokładnie, co powiedziałem ani jak to ująłem. Nie jestem nawet pewien, czy to powiedziałem. Ale chętnie uwierzę, że coś takiego mogłem rzec. Jednak od chwili, w której Danielle uznała ten pomysł za niepożądany, porzuciłem myśl o wyjeździe i powiedziałem to. Nie pamiętam dokładnie tych słów, ale jestem pewien, że jej to powiedziałem. Że jest dla mnie pierwsza i najważniejsza, ważniejsza nawet niż sztuka łucznicza czy cokolwiek innego w moim życiu. Jim czekał.

–Więc nie myślałem już o tym – ciągnął Dafydd – aż mniej więcej do miesiąca przed twoim wyjazdem. Wtedy – nie wiem jak – zaczęło się wydawać, że wszystko, co mówię, mówię źle, czy też, że wszystko, co robię, robię nie w porę, tak że, widzisz, w naszym życiu stałem się dla niej bardziej zawadą niż pomocą.

–Tak – mruknął Jim zachęcająco.

–Potem złożyliśmy wam wizytę, żeby Danielle mogła spędzić trochę czasu z twoją panią. I została w Malencontri, nie mając prawie wcale czasu dla mnie albo bardzo mało. Większość czasu – zdawałoby się, że cały, jaki mogła – spędzała z panią Angela. W tym okresie jej niezadowolenie ze mnie wcale się nie zmniejszyło. Wciąż postępowalem i mówiłem nie tak, aż wreszcie powiedziała mi stanowczo, że powinienem pojechać do Francji i dołączyć do was, jeśli tego właśnie chcę. W każdym razie żeby zostawić ją samą i nie zawracać jej głowy, dopóki po mnie nie pośle.

Łucznik odwrócił do Jima twarz zadziwiająco wymizerowaną smutkiem.

–W istocie nigdy nie spodziewałem się usłyszeć od niej czegoś takiego – powiedział – ani nie znałem ku temu powodu. Nie znam go też i teraz. Wiem tylko

jedno, tam, gdzie ona jest, nie jestem mile widziany. A zatem, skoro nic lepszego nie mogłem zrobić, wyruszyłem tą samą co ty drogą i w Hastings dogoniłem Johna Chestera i twoich zbrojnych tuż przedtem, zanim wsiedli na statek.

Przestał mówić. Przez chwile jechali dalej w milczeniu. Na dłuższy czas Dafydd powrócił do wpatrywania się w uszy własnego konia, ale w końcu spojrzął znów na Jima.

–Nie masz mi nic do powiedzenia, sir Jamesie? – spytał. – Żadnego wyjaśnienia, które pomogłoby mi zrozumieć, co mi się przytrafiło, żadnej rady?

Jim czuł się rozdarty wewnątrz. Pamiętał, co Angie powiedziała mu o obawie Danielle, że raz zobaczywszy ją rozdętą ciążą, Dafydd przestałby ją kochać. Nie był to jednak jego sekret i nie mógł zdradzić go łucznikowi, a nie istniało nic innego, co mógłby powiedzieć mu na pocieszenie. Nawet gdyby ochoczo poświęcił całą fortunę, żeby tylko móc to zrobić.

–Jedyną pociechą czy nadzieją, jaką mogę ci ofiarować – zaczął w końcu powoli mówić, słysząc ze zdziwieniem, że wyraża się jak sir Brian czy sir Giles, nieco bardziej wyszukany językiem tego świata -jest to, że w takim jak ten przypadku zawsze istnieje jakaś przyczyna i prędzej czy później kobieta powie co to jest, jeśli tylko naprawdę kocha. A daję ci moje słowo, że wierzę prawdziwie, iż Danielle kocha cię tak samo, jak zawsze cię kochała.

–Gdybym tylko mógł w to wierzyć. – Dafydd nie był do końca przekonany.

Ponownie zapadło milczenie i tym razem trwało aż do chwili, kiedy Jim pojął, że łucznik skończył już ze zwierzeniami. Zebrał więc wodze i podjechał naprzód dołączając do Gilesa i Briana.

–Dafydd jest bardzo nieszczęśliwy – zagaił, kiedy zrównał się z tamtymi dwoma.

Giles spojrział na niego nieco zdziwiony. Brian patrzył prosto przed siebie zaciskając szczęki.

–Na Boga – powiedział – każdy z nas układa sobie własne życie, i to życie jest jak dom, do którego trzeba być zaproszonym, zanim się tam wejdzie. Jeśli zostanę zaproszony, zrobię, co tylko zdołam. W przeciwnym razie każdy z nas ma swój własny dom, w którym żyje, a te domy obecnie zajęte są nie Dafyddem, lecz tym, co leży przed nami. Najwyższy czas, żebyśmy porozmawiali o tym, a nie o innych sprawach, skoro jesteśmy już na otwartej drodze i nikt nie może nas podsłuchać. Nagle popatrzył na Jima.

–Chyba że magicznie? – spytał. – Jamesie, czy można nas podsłuchać magicznym sposobem?

–Obawiam się, że nie jestem jeszcze takim Magiem, aby móc odpowiedzieć na to z całą pewnością – powiedział Jim – ale jestem prawie przekonany, że to niemożliwe. Co nie wyklucza takiej możliwości. Ale po prostu nie sędzę.

–Więc pomówmy! – prawie wybuchnął sir Giles. – Na świętego Cuthberta, dość mam tych szeptów i milczenia o tej sprawie. Mamy przed sobą ziemie człowieka, który trzyma w niewoli naszego następcę tronu. Zajmijmy się tym, jak może zostać uwolniony i bezpiecznie stąd zabrany.

–Jeśli pamiętasz, to radą sir Raoula było – powiedział Brian – abyśmy w lasach



otaczających zamek czarodzieja spotkali tego, który był przedtem człowiekiem ojca sir Raoula. A człowiek ów wskaże nam sposób na wejście i odnalezienie miejsca, gdzie trzymają naszego księcia. Wskazówki co do odnalezienia miejsca spotkania wszyscy mamy wyryte w pamięci.

–Ee... tak – powiedział Jim z poczuciem winy. Jego wskazówki były zapisane.

–Lecz powstaje pytanie – ciągnął rycerz – czy te wskazówki wystarczą, abyśmy mogli odnaleźć to miejsce. A jeśli z jakiegoś powodu były sługa jego ojca nie będzie mógł wyjść i znaleźć nas tam, mimo że będziemy czekać przez kilka nocy? Im dłużej będziemy kręcić się po tym lesie, tym bardziej prawdopodobne, że napotkają nas inni strażnicy Malwinne'a. Dlatego nie byłoby źle poczynić plany na wypadek, gdyby trzeba nam było obejść się bez pomocy tego sługi.

–Jakie plany możemy poczynić? – spytał sir Giles. – Jeśli zamek jest tak obszerny, jak każe nam wierzyć to, co mówił sir Raoul, mogłoby nam zająć całe tygodnie przeszukanie go tylko dookoła, aby znaleźć bezpieczne wejście.

–Tak – zamyślił się Jim – to prawdziwy problem. W tej akurat chwili nie widzę sposobu na rozwiązanie go.

–Być może, że ja go mam – powiedział Brian. – Dlatego właśnie zaproponowałem, żebym poszedł z wami, Jamesie i Gilesie, a także, żeby zabrać z nami Aragha i Dafydd. Czy nie uderzyło was, jak szczęśliwie dobrana jest nasza piątka jako oddział mający znaleźć dostęp do nieznanego zamku i miejsca, w którym trzyma się kogoś jako więźnia?

Zamilkł zamyślony.

–Z łucznikiem – kontynuował po chwili – posiadamy teraz środki, żeby cicho, na odległość, zabić każdego strażnika, którego musimy się pozbyć. A w wilku mamy nie tylko kogoś, kto może nas ostrzec, że wróg zbliża się do nas po cichu w ciemnościach, ale także kogoś, kto w razie potrzeby może wytropić drogę do wejścia, którym jakikolwiek strażnik wyszedł z zamku, tak że będziemy mogli poczynić własne plany, jak się tam mamy przedostać.

–Ale zakładasz – powiedział Giles – że do zamku będzie więcej niż jedno wejście. Niewiele zamków ma więcej niż jedno wejście, a jeżeli istnieje dodatkowe, to jest ono sekretną drogą ucieczki pana zamku, dobrze ukrytą i prawdopodobnie silnie strzeżoną.

–Zgaduję – powiedział Brian – że w zamku takim jak ten, strzeżonym zarówno przez Magię, jak i oręż, może być więcej niż jedna, a nawet kilka dróg wejścia i wyjścia.

Popatrzył na Jima i Gilesa znacząco.

–Jedno dla dużych grup ludzi i koni, jedno lub więcej takich tajemnych wejść, o jakich mówisz, Gilesie. Ale także inne wejścia i wyjścia dla pomniejszych zamkowych sług. Jak mówię, to z mojej strony tylko przypuszczenie, ale sądzę, że to przypuszczenie słuszne. Co więcej, jedynym, który może odkryć, czy to prawda, jest wilk, który – jeśli będzie uważał to za słuszne – mógłby pójść przodem lub po prostu przeszukać teren, podczas gdy my będziemy czekać w wyznaczonym miejscu na tego, kto ma się tam z nami spotkać. Wilk przyniosłby nam jakąś wiadomość o

wejściu, z którego moglibyśmy skorzystać, gdyby ten były sługa się nie pojawił.

Jim poczuł się bardziej niż tylko trochę mało znaczącą osobą. Wtedy kiedy schodzili na ląd w Breście i kierowali się do miejscowej gospody, myślał o tym, że tylko jego pozycja sprawiała, iż nominalnie był głową tej wyprawy i że Brian albo Giles byliby znacznie lepsi jako jej dowódcy. Z pewnością zapatrywania Briana i to, co do tej pory im powiedział, potwierdzały to.

To prawda, że Jim nie był specjalistą od zamków. Znał Malencontri, znał Zamek Smythe i Zamek Malvern, który był siedzibą de Chaneyów, rodziny damy serca Briana. Ale to było wszystko i musiał przyznać teraz przed samym sobą, że nigdy nie zajął się zbadaniem żadnego z tych zamków, włącznie z własnym Malencontri, od strony ich przydatności do obrony lub możliwości przedostania się do nich nieprzyjaciół z zewnątrz.

Tę noc spędzili przy drodze, obozując na powietrzu. Aragh nie wrócił. Późnym popołudniem następnego dnia dotarli do Blois i przenocowali w gospodzie, gdzie wilk, oczywiście, także się nie pokazał. Dopiero kiedy byli o dwa dni drogi za Blois, dołączył do nich. Tymczasem Jim bardzo się starał wymyślić jakiś sposób na to, żeby za pomocą Magii odkryć, jaki był powód udziału Aragha w wyprawie.

Miał niejasne wrażenie, że Carolinus mógłby naprowadzić go na trop tej przyczyny, gdyby tylko starszy czarodziej miał taką ochotę. Pozostawało tylko pytanie, jak porozumieć się z nim. Powinien istnieć, myślał Jim, jakiś magiczny odpowiednik telefonu. Czy przynajmniej jakaś forma komunikacji, która mogłaby skontaktować jego umysł z umysłem Maga.

Dopiero drugiej nocy za Blois przyszło natchnienie.

Mity pełne były tego rodzaju rzeczy, jakich szukał. Co więcej, uderzyło go, że istniał podobny mechanizm stosowany w psychologii.

Mitologia z pewnością graniczyła z Magią w tym sensie, że bardzo często Magia była w niej obecna. Jednym z najbardziej powszechnych magicznych zdarzeń w mitologii było to, że ktoś śnił o czymś, co miało potem się sprawdzić albo zdarzało się w innym miejscu lub też działo w innym miejscu w tym samym czasie.

Oczywiście gdyby jego Magia zdołała przywołać taki sen, to powinien być w stanie nawiązać kontakt między sobą a Carolinusem.

Tej nocy, zanim zasnął, starannie zapisał na wewnętrznej stronie czoła:

## JA/SEN -- SEN/CAROLINUS

Im więcej o tym myślał – kiedy leżał owinięty w swoje derki pod gwiazdami, przy stygnącym żarze ogniska, za którym spoczywały ciemne wzniesienia, będące ciałami jego trzech towarzyszy – tym bardziej podobał mu się ten pomysł. Jego umysł rozważał ten problem na wszystkie strony. Zrobił, co mógł, żeby wymyślić powody, dla których taka niezdarna formuła miałaby zadziałać lub nie. Wreszcie, wyczerpany przeskakowaniem tam i z powrotem od jednej możliwości do drugiej, zapadł w głęboki sen.

Przez chwilę jego myśli krążyły i przesuwały się przez serię nie związanych ze sobą sennych marzeń, co było bardzo zwyczajne i częste, kiedy zaczynał zasypiać. Potem przyszła chwila pustki. Następnie, niespodziewanie, znalazł się przed domkiem Carolinusa przy Dźwięcznej Wodzie. Zbliżał się właśnie świt. Czarodziej i Aragh byli tam obaj, stali na zewnątrz domu na ścieżce między kwiatami. Jedynym problemem z tym snem było to, że wszystko stało do góry nogami.

–Co to ma być? – odezwał się ostro we śnie do Wydziału Kontroli. Gdy tylko przyśniło mu się, że wypowiada te słowa, poczuł się zdziwiony swoim własnym zuchwalstwem. Jeszcze nigdy w życiu nie odezwał się tak szorstko do Wydziału Kontroli. Lecz we śnie Wydział mu odpowiedział, i to dalekim od złości, pokornym tonem.

–Och, przepraszamy – odrzekł tubalny głos i widok odwrócił się właściwą stroną do góry. – Właściwie – ciągnął głos – to ty byłeś do góry nogami.

Jim zastanawiał się, jak mógł być do góry nogami, skoro, o ile mógł to stwierdzić, wcale go tam nie było. Wydawało mu się, że jest pozbawionym ciała punktem widzenia, niewidoczną parą oczu. A także najwyraźniej niewidoczną parą uszu, bo właśnie zorientował się, że słyszy rozmowę między Magiem a wilkiem.

–Cóż, wszystko w porządku – przynajmniej tutaj – mówił Carolinus. – Powinieneś czuć to równie wyraźnie jak ja. Szkoda, że nie mogę tego samego powiedzieć o innych miejscach. Wiesz, że James pojechał do Francji?

–Tak – warknął Aragh. – Mówiłem mu, że to głupota!

–Głupota jest kwestią punktu widzenia, wilku – powiedział czarodziej. – Co jest głupotą dla ciebie, nie musi być głupotą dla Jamesa, sir Briana czy wielu innych ludzi.

–Wszyscy dwunożni... – zaczął gderliwie Aragh i urwał. – Bez obrazy, Magu. Nie mówiłem o tobie. Ale przysięgam, prawie wszystko na dwóch nogach ma tyle rozsądku co motylek.

–Świat się kręci nie tylko opierając się na rozsądku, zdrowym rozsądku, który, jak mniemam, masz na myśli – powiedział Carolinus. – Ta sprawa z uwięzieniem księcia we Francji nie jest w niczym podobna do sprawy Twierdzy Loathly, prawda? Nie taka to prosta sprawa jak wtedy, że złem usadowionym w ciemnym miejscu, ze stworami zebranymi poniżej, gotowymi walczyć ze wszystkim, co nadejdzie. Ze złem ślącym legiony takich stworów jak piaszczomroki, żeby pokonywały każdego, kto się mu sprzeciwia. Wcale nie taka sprawa jak z Twierdzą Loathly, prawda? Wilk popatrzył na czarodzieja zbójeckimi oczami.

–Jeżeli chcesz mi coś powiedzieć, Magu, powiedz to po prostu – rzekł. – Moja droga zawsze była prostą drogą. Nie mam żadnego zamiłowania do ciemnych aluzji i sprytnego przekręcania słów.

–Dobrze – zgodził się Carolinus – no to powiem ci bez ogródek, że ta sprawa jest taką samą potyczką z Ciemnymi Mocami jak ta pod Twierdzą Loathly, w której uczestniczyłeś. Lecz tym razem jest osłonięta światowymi ambicjami i marzeniami ludzi, więc nie jest tak widoczna jak przedtem. Mimo to jest to znowu ta sama historia. Istnieje zagrożenie i James, Brian, a teraz nawet Dafydd, idą mu naprzeciw. I są jedyną nadzieją na powstrzymanie zła od wyrwania się na świat i poczynienia wielkich szkód, tak jak nam to groziło poprzednim razem. Wszyscy tam są – oprócz ciebie.

–Nie moja rzecz – warknął wilk.

–To znaczy, nie chcesz uznać tego za swą rzecz – powiedział czarodziej – i dla poparcia tej ślepoty udajesz, że twoi przyjaciele nie potrzebują cię i że James wraz z innymi idą przeciw wrogowi, który wcale nie jest potężniejszy od nich.

Aragh znowu zawarczał, lecz tym razem bez słów i z zakłopotaniem.

–Mówisz wielkimi słowami, które mają w środku mało sensu, jak zwykle, Magu – stwierdził. – Prosiłem, żebyś jasno mi powiedział, jaka jest sytuacja, ale ty wciąż krążysz i krążysz. I nie zmierzasz prosto do sedna sprawy. No to po co dałeś znać, żebym tu przybył? Czego ode mnie chcesz i czemu uważasz, że powinienem ci to coś dać?

–Powiem ci tak – rzekł Carolinus – bo jesteś zrzędlwym, upartym, samolubnym angielskim wilkiem i trzeba ci samemu znaleźć odpowiedź na to twoje pytanie – inaczej nigdy byś w nią nie uwierzył. Rozumiem, że wiesz, co to jest wilcze szczenię?

–Czy wiem? – Aragh wywiesił język w grymasie bardzo podobnym do śmiechu. – Nie tylko wiem, ale jest obecnie wiele dorosłych już wilków, które... ale nieważne. Moje życie to moje życie. Tak, wiem, co to jest wilcze szczenię i jak wygląda. Co z tego?

–Czy wysłałbyś wilcze szczenię do walki z innym, w pełni dorosłym wilkiem? – spytał czarodziej.

–Twoje pytania stają się nieco szalone – oczywiście z całym szacunkiem, Magu – powiedział wilk. – Naturalnie, że nie. Ani nie wysłałbym szczeniaka – nie żebym w ogóle nie mógł wysłać, skoro angielski wilk to angielski wilk i niezależnie od wieku robi to, co chce, a nie to, co ktoś inny każe mu zrobić – ani nie wysłałbym dwuletniego wilka przeciw takiemu, który przeżył pięć lat i zaznał wilczych praw. To by było jak wysyłanie owieczki prosto w moją paszczę.

–To, co sądzisz o wysłaniu młodego czarodzieja klasy D przeciwko Magowi klasy niemal tak wysokiej jak moja – AAA? Czy nie przypominałoby to trochę wysłania dwuletniego wilka przeciw pięcioletniemu? A nawet szczenięcia przeciw dorosłemu wilkowi?

–Mówisz o Jamesie i jego wiedzy jako czarnoksiężnika...

–Czarodzieja, jeśli łaska, wilku! – rzucił Carolinus. – Między nami, którzy pracujemy nad Sztuką, „czarnoksiężnik” to nie jest ładne określenie. Jestem Magiem

**i James też jest Magiem. Ten, przeciw któremu zmierza, może zasługiwać na miano, jakiego właśnie użyłeś.**

**–Więc – powiedział wilk – mówisz mi, że James potrzebuje mnie we Francji?**

**–Tak – odparł Mag.**

**–No to pójdę – zdecydował Aragh – chociaż nie cierpię podróżować poza Anglię. I zrobię, co mogę, żeby wspomóc Jamesa i innych moich przyjaciół, ale tylko dlatego, że są to moi przyjaciele.**

**Roześmiał się nagle i cicho, szeroko otwierając szczęki, a jego mordercze zęby zabłysły ponuro w świetle słońca.**

**–Mogę im pomóc przeciw wszystkim, poza wilkami – powiedział.**

**–Wilkami? – spytał Carolinus. – Dlaczego nie przeciw wilkom? Czy francuskie wilki to twoi przyjaciele?**

**Aragh zaśmiał się znowu.**

**–Przyjaciele? Wszystko, tylko nie to – odpowiedział. – Ale między wilkami też istnieją zasady, Magu – nawet jeśli ty i twój rodzaj mało o tym wiecie. Będę na terytorium francuskich wilków. Muszę tam ustępować każdemu z nich albo walczyć ze wszystkimi wilkami we Francji, a nawet ja nie wierzę, żebym mógł pokonać wszystkie francuskie wilki.**

**Zamknął paszczę i przekrzywił głowę spoglądając kpiąco na Carolinusa.**

**–A ty, Magu? – spytał. – Kiedy my wszyscy będziemy zajęci zagranicznym czarnoksiężnikiem, czy jak go chcesz tam nazywać, to gdzie będzie ta pomoc, którą ty możesz ofiarować?**

**–Byłem w to zamieszany, jeszcze zanim się zaczęło – odpowiedział cierpko czarodziej. – Chociaż ty tego nie widziałeś i może nigdy nie zobaczysz, jak jestem w to zamieszany.**

**Jego głos, jak na Carolinusa, zrobił się niezwykle łagodny.**

**–Ze wszystkich królestw, na jakie są podzielone ludzkie i nieludzkie istoty tego świata – powiedział – najbliższym temu, które powstrzymuje Ciemne Moce i ich stwory, jest królestwo nas, Magów, Araghu. Gdyż nasza Sztuka to niebezpieczna nauka, ciężka nauka, długa nauka i taka, która nigdy się nie skończy. Tak jak nasza odpowiedzialność za to, by pomagać powstrzymać Ciemne Moce, nie kończy się nigdy. Zawsze – my, którzy nazywamy siebie Magami – jesteśmy na pierwszej linii każdej bitwy przeciw tym mocom i wszystkiemu, nad czym panują, włącznie z naszymi pobratymcami, którzy przeszli na drugą stronę i stali się czarnoksiężnikami.**

**–Zatem... – zaczął wilk, ale czarodziej podniósł dłoń i go powstrzymał.**

**–Lecz powody są takie, jakich nikt, poza Magiem mojej lub bliskiej mi klasy, nie mógłby pojąć – powiedział. – Z tych to powodów w tej chwili Jim musi wystąpić przeciw temu, który nazywa siebie Malvinne'em, sam jeden, mimo że Malvinne góruje nad nim niczym potężna góra nad takim małym domkiem jak mój. Podczas gdy ja, równy Malvinne'owi lub większy od niego, muszę stać z boku i pozwolić, żeby zdarzyło się to, co ma się zdarzyć. Nie mogę teraz się w to włączyć. Ale ty możesz, Araghu, i ogromnie mi ulżyło, gdy usłyszałem, że tak zrobisz. Bo będziesz Jimowi potrzebny; i nikt inny cię w tej potrzebie nie zastąpi.**

**–Zawsze cię znałem jako uczciwego człowieka, Magu – mruknął wilk – więc poprzestańmy na tym. Jim już wyruszył na wybrzeże i w tej-chwili być może jest na statku płynącym do Francji. Jeśli nie, to może go jednak dogonię, zanim wypłynie, co ułatwiłoby znacznie moją przeprawę przez wodę. Choć i tak znalazłbym sposób. Zrób tylko dla mnie jedną rzecz. Nie mów Jimowi, że robię to z sympatii do niego. Nie trzeba, by zaczął myśleć, że niech tylko wpadnie w jakieś tarapaty, a Aragh zaraz przyleci biegiem. Jestem wolnym wilkiem i sam podejmuję swoje decyzje.**

**–Obiecuję ci – powiedział Carolinus – że nie powiem mu ani słowa o tym, że robisz to z miłości do niego.**

**–Dobrze – stwierdził Aragh. Odwrócił się i momentalnie zniknął.**

**Śniąc Jim patrzył, jak czarodziej stoi sam na alejce przed swoim małym domkiem. Przez chwilę stał, jak gdyby zamyślony, potem odwrócił się i we śnie było to tak, jakby podchodził prosto do Jima, którego tam jednak nie było. Jego twarz rosła i rosła, aż zasłoniła niemal całą resztę obrazu.**

**–Od tej chwili zaczyna się prawdziwy sprawdzian – odezwał się Mag – ale nie próbuj więcej tak się ze mną łączyć. Malvinne też ma sny.**

**Jim obudził się. Noc dokoła niego była cicha, z wyjątkiem lekkiego wiaterek, który błędził między nim a gwiazdami. Przez kilka chwil miał głowę pełną tego, co dopiero widział, a potem wspomnienie zaczęło blednąć, aż zaczął zastanawiać się, czy nie był to rodzaj jakiegoś snu spełniającego życzenia, który wywołał sobie dla pociechy.**

**Położył się i znowu zapadł w głęboki sen bez snów.**

## Rozdział 23

Gdy niecały rok temu Jim i inni zbliżali się do Twierdzy Loathly przed ostateczną bitwą z jej stworami, zarówno ziemia, powietrze i woda, jak i wszystko zawarte w tych trzech żywiołach nosiło oznaki tego, do jakiego rodzaju miejsca się zbliżali. We wszystkim była jakaś szarość, apatia i ogólny smutek – podobny niemal do śmierci.

Jednakże teraz, gdy w końcu zbliżyli się do zamku Malvinne'a, nic takiego nie było widać w otaczającym ich blasku dnia. Było późne popołudnie, ale słońce wciąż jasno świeciło. Pojawiło się parę chmur, które zebrały się na wschodzie, tak że w żaden sposób nie przysłaniały słonecznego światła. Nieco sucha, lecz zielona letnia trawa gęsto pokrywała ziemię, drzewa były pełne liści, a tu i tam rozkwitały kępami letnie kwiaty.

Jakiś czas temu, kierując się wskazówkami sir Raoula, zjechali z głównej drogi w punkcie, którego polecił im szukać. Droga do zamku Malvinne'a, powiedział francuski rycerz, bywała widoczna tylko wtedy, kiedy czarnoksiężnik tego chciał. W przeciwnym razie większość przejeżdżających mijala jego majątek, nie widząc go i nigdy nie podejrzewając, że tam się znajdował.

Po raz pierwszy dostrzegli chateau Malvinne'a z dosyć sporego wzniesienia. W oddali widać było niebieski nurt Loary, tuż za gmachami, które pod pewnymi względami, od strony architektury, przypominały zamek, chociaż budowla była dużo rozleglejsza niż wszystkie widziane wcześniej przez Jima.

Całość skrzyła się w blasku słońca.

Tylko ciemny las, ten czarny gęsty las – który musiał otaczać chateau na szerokość mili czy półtorej, tak że całkowicie odgradzał go od wód Loary – był pierwszym przejawem ciemności przypominającej tę, którą widzieli wokół Twierdzy Loathly.

Czerń ta nie była jedynie czernią ciemnego lasu, ale lasu, który był dosłownie czarny, lasu o czarnym podszyciu – krzewach, karłowatych drzewach i może nawet samej trawie – chociaż nie można było być tego pewnym z tej odległości i mogła to być po prostu czarna ziemia pod drzewami.

Same drzewa rosły obok siebie tak gęsto, że cały las wyglądał jak pojedyncza kępa ciernistych zarośli. Żadne z drzew nie wyrastało wysoko. Jim oceniał, że rzadko które sięgało wyżej niż piętnaście czy dwadzieścia stóp. Ale nie musiały być wysokie, gęstość rozrostu i płatanina gałęzi wystarczały za wyjaśnienie przeznaczenia tego lasu i jego reputacji.

Ale, powiedział sobie Jim, muszą być tam jakieś ścieżki, inaczej ci, których Malvinne wysyłał, żeby patrolowali las w poszukiwaniu intruzów, nie mogliby się przezeń przedrzeć. Lecz ścieżki te mogły być – jak ścieżki labiryntu – wystarczająco bezpieczne dla tych, którzy je znali, stanowić zaś pułapkę dla każdego, kto ich nie znał i wtargnął pod ciemne gałęzie.

Wszyscy, włącznie z Araghem, odruchowo przystanęli na szczycie zielonego wzniesienia. Siedzieli w milczeniu, spoglądając w dół na cel swej podróży. Poza drzewami zamek skąpany był w ostatnich promieniach słońca. Tylko złowieszcza szarość jego zwieńczonych blankami wież, murów i strzelnic wydawała się

zapowiadać coś niedobrego. Strzyżone ogrody, altany, niewielkie sadzawki i trawniki znajdujące się wokół podstawy zamku wyglądały atrakcyjnie, lecz tam gdzie zaczynał się sam zamek, wszystko wyglądało jak w najsroźszej fortecy, z jedną różnicą, mianowicie nie było fosy.

Kiedyś Jim roześmiałyby się na tę myśl – ale teraz przyszło mu do głowy, że mimo wszystko fosa mogła tam być. Niewidoczna dla ich oczu tak jak droga od posiadłości do głównego traktu, za sprawą Malwinne'a ukazująca się, gdy zbliżali się odwiedzający, których pragnął gościnnie przyjąć.

–Poczekamy przynajmniej do zmierzchu – powiedział Jim, ze zdziwieniem słysząc w swoim głosie rozkazującą nutę. – Potem, kiedy światło zacznie przygasać, przeprowadzimy rozpoznanie w tych lasach. Tymczasem powinniśmy chyba znaleźć jakieś miejsce, w którym się ukryjemy aż do zachodu słońca.

–W rzeczy samej, masz rację Jamesie – poparł go Brian. – Najmądrzej byłoby znaleźć miejsce na kryjówkę dla nas nie tylko na teraz, ale i na dłużej, jeśli trzeba będzie czekać. Coś mi mówi, że skontaktowanie się z tym czymś, co kiedyś było człowiekiem, zajmie nam przynajmniej kilka dni.

–Spójrzcie na dół, trochę na lewo od nas, może ze ćwierć angielskiej mili – odezwał się Aragh. – Spójrzcie tam, gdzie na stoku wzgórza jest zagłębienie. Nie ma tam drzew ani innej roślinności, która mogłaby je osłonić, ale jeśli dobrze zgaduję, to zagłębienie zakręca i albo będzie tam jakaś mała, zamknięta kotlinka, albo jaskinia.

Wszyscy spojrzeli. Doskonały zmysł obserwacyjny wilka pozwolił mu dostrzec to, co umknęło pozostałym. Przelotne spojrzenie pominęłoby coś, co zdawało się, jak powiedział Aragh, zaledwie zagłębieniem na zboczu wzgórza. Ale teraz, gdy przyjrzeni się dokładnie, dostrzegli cienie w jego głębi, które mogły oznaczać, że kotlinka ciągnęła się dalej w zboczu wzgórza.

–Zjedźmy tam na dół – powiedział Brian. Zjechali i okazało się, że wilk miał rację. Kotlinka okazała się zagłębieniem w stoku wzgórza, które ciągnęło się dalej i skręcało na prawo, tak że wypiętrzona ściana ziemi zabezpieczała ich przed dostrzeżeniem z lasu lub zamku poniżej. Mały strumień spływał ze wzgórza, sączył się dookoła zagłębienia i biegł dalej w dół w kierunku drzew. To nie tylko dobra kryjówka, pomyślał Jim, ale i bardzo dobre miejsce na obozowisko.

Było to jednak chłodne obozowisko, gdyż zamek stał zbyt blisko, by ryzykować rozpalenie ognia. Szczęśliwie zaopatrzeni byli w gotowane mięso, chleb oraz ser; to właśnie wraz z winem zmieszanim z wodą ze strumienia stanowiło ich kolację.

Gdy zjedli, rozsiedli się w świetle kończącego się dnia, rozmawiając w tym poczuciu bliskiego koleżeństwa, jakie przychodzi na ludzi, którzy razem mają dokonać czegoś niebezpiecznego. Jedynie Aragh miał mało do powiedzenia. Leżał na ziemi jak lew, na brzuchu, ze wzniesioną głową i wyciągniętymi razem przed siebie przednimi łapami. Chociaż zamku i lasu nie można było stąd dostrzec, wilk nieprzerwanie miał wzrok skierowany na zakręt wzgórza, który skrywał przed nimi ten widok. Najwyraźniej nawet teraz trzymał straż.

Pozostali długo porównywali swoje mapy i to, co zapamiętali, nim doszli do porozumienia, gdzie przypuszczalnie powinni, na skraju lasu, znaleźć wejście na



ścieżkę. Ścieżkę, która poprowadzi ich wśród drzew aż do miejsca, gdzie będą mogli skontaktować się z tym, kogo mieli spotkać. Może będą musieli przeszukać około stu jardów wzdłuż skraju lasu, ale nie więcej.

Po ustaleniu tego wszystkiego rozmowa zeszła na inne sprawy.

Sir Brian był nie tylko najstarszym, ale i jedynym synem swojego ojca, tak że nigdy nie było żadnych wątpliwości co do tego, że odziedziczy Zamek Smythe. Tymczasem okazało się – w jednej z tych chwil szczerości, które zdarzają się ludziom przed ryzykownym przedsięwzięciem – że Giles był zaledwie trzecim synem w swej rodzinie, miał zatem niewielkie szanse na jakiegokolwiek dziedzictwo. Ponadto jako rycerz z Northumberland, bez żadnych przyjaciół czy stosunków na południu Anglii, by już nie wspomnieć o przyjaciółach czy stosunkach na dworze królewskim, niewielką miał szansę na osiągnięcie lepszej pozycji w życiu.

–Szczерze mówiąc, nigdy na coś takiego nie liczyłem – powiedział rycerz do Jima, Briana i Dafyddda.

Żaden z nich nie skomentował tego, a szczególnie Dafydd, którego widoki na polepszenie pozycji życiowej były jeszcze mniejsze od szans Gilesa. Mimo wszystkich jego zdolności i mistrzostwa w łuku istniało małe prawdopodobieństwo, żeby zyskał wyższą pozycję społeczną w tym świecie. Dla niego najwyraźniej awans taki nie był istotny, jednakże dla kogoś z warstwy szlacheckiej wydawał się niemal obowiązkiem (oprócz tego, że awans był powszechnie pożądanym). Celem każdego szlachetnie urodzonego było w taki czy inny sposób zyskać ziemię, tytuł, wyższą rangę w życiu, a stan rycerski stwarzał ku temu możliwości.

Dla Briana prawdę mówiąc też stanowiło to konieczność, jeśli pragnął ożenić się z Geronde Isabel de Chaney. Byli sobie przyrzeczeni, kiedyś jej ojciec, zanim wyruszył na krucjatę, zaaprobował to narzeczeństwo. Wciąż istniała jednak możliwość, że wróciwszy z powrotem do domu, zmieni zdanie, zwłaszcza jeśli zyska w Ziemi Świętej bogactwo i sławę. Mógłby wtedy zacząć oczekiwać czegoś więcej od tego, kogo jego córka powinna poślubić.

Giles jednak, choć pochodził ze szlacheckiego rodu, przyznał, iż jest względnie pogodzony z tym, że nie osiągnie wielkiego nazwiska czy bogactwa na świecie.

–Jednego tylko życzę sobie – zwierzył się przyjaciołom. – Tego, bym, zanim umrę, miał możliwość dokonania jednego wielkiego czynu, nawet jeśli w trakcie spotka mnie śmierć.

Słowa te wytrąciły nawet Dafyddda z jego zwykłego milczenia.

–Nie moją jest rzeczą radzić rycerzowi, jak powinien żyć czy umierać – odezwał się. – Lecz wydaje mi się, że więcej dobrego można powiedzieć na temat życia i dokonania tego, co się w życiu da dokonać niż o śmierci, czyli końcu bycia użytecznym dla świata.

Jim niemal spodziewał się, że sir Giles wybuchnie teraz gniewem, tak jak normalnie przy każdej oznace sprzeciwu, ale northumberlandzki rycerz był w nastroju dziwnie spokojnym i refleksyjnym – niemal melancholijnym.

–W istocie – zgodził się, lecz powiedział to łagodnie – nie tacy jak ty, Dafyddzie, mają mówić mnie czy innemu rycerzowi, jak żyć czy umierać. Ale to jest różnica w

naszej pozycji. Zważ, że wielu rycerzy chciałoby poświęcić się całkiem jakiejś wielkiej sprawie, nawet kosztem życia, lecz wstrzymują ich obowiązki i powinności względem rodzin, żon, a nawet nazwisk. Przypadek uczynił mnie jednak wolnym od takiej odpowiedzialności. Mój ojciec ma dwóch starszych synów i dwóch młodszych, więc rodzinnym dobrom nie grozi, aby miały popaść w obce ręce. Nie tylko nie mam żadnych specjalnych zobowiązań wobec żadnego zwierzchnika – poza tym, co teraz nas tu sprowadza – nie mam nawet zobowiązań względem mego rodu i jego miana, oprócz tego, by nie zostało zaszargane przez moje uczynki. A zatem jestem wolny, aby dokonać przynajmniej jednej wielkiej rzeczy, zanim umrę. I to jest moim marzeniem oraz pragnieniem.

–Jesteś zbyt młodym człowiekiem, by myśleć o śmierci, Gilesie – odparł Jim.

Wiedział, że sam jest zaledwie o kilka lat starszy od rycerza z Northumberland, ale czuł się nieskończenie bardziej dojrzały. Nie tylko ze względu na swoje małżeństwo, ale także dzięki swojemu wychowaniu w świecie znacznie wyprzedzającym ten w kwestiach naukowych i społecznych. W tej chwili czuł się wobec Gilesa jak ojciec, jeżeli nie jak dziadek.

–Czy gdybym był starszy, tak samo chętnie potrafiłbym poświęcić wszystko? – spytał go Giles. – Nie, teraz jest dla mnie pora na szukanie przygód i być może w tej sprawie bezpiecznego wyprowadzenia księcia z tamtego zamku będę miał taką szansę.

Dla Jima, który nie miał najmniejszego zamiaru umierać, czy nawet dać się zranić, jeśli będzie mógł tego uniknąć, dążenie rycerza było szokujące. Nie kojarzyło się ono z niczym więcej, jak tylko z okropnym marnowaniem czyjegoś życia. Było jednak jasne, że Giles nie wymyślił sobie tego pod wpływem chwili. Pomysł ten najwyraźniej dojrzewał w nim od długiego czasu; może nawet przez większość życia. W tej chwili spór nic by nie dał, lecz mógłby zaszkodzić. Jim zdecydował się więc nie odzywać.

I Brian, i Dafydd zdawali się być tego samego zdania. Aragh albo zdania nie miał, albo też czuł, że to, co Giles chce robić, zależy od Gilesa, i nie jest jego sprawą ani zmartwieniem. Z tego, co wiedział Jim, wilk mógł popierać to, co umyślił sobie Giles. Taka postawa pasowałaby do dzikiego wieku, w którym wszyscy żyli.

Kiedy ich dolinka znalazła się w głębokich ciemnościach, a słońce zaszło za wzgórzem za ich plecami i drzewa poniżej były już zaledwie rozmazanymi plamami w półmroku, postanowili się ruszyć. Jim zdecydował, że Aragh powinien prowadzić, żeby wrażliwemu instrumentowi, jakim był jego nos, nie przeszkadzał zapach ludzi przed nim idących. Razem posuwali się w dół, w stronę tego odcinka lasu, gdzie, jak sądzili, powinno być wejście na ścieżkę. Zejście po bezdrzewnym zboczku było łatwe, a stopy znajdowały oparcie.

Kiedy dotarli do brzegu lasu, musieli przeszukać tylko kilka jardów, zanim znaleźli przejście, które – jak się im wydawało – było tym opisanym przez sir Raoula. Prowadziło wprost pomiędzy plątaninę drzew przed nimi.

Przejście to dokładnie pasowało do szczegółowego opisu, jaki dał im Francuz. Sterczała tam świeżo złamana gałązka na końcu konara, skierowanego na zewnątrz lasu, co miało być znakiem, że nie tylko była to właściwa ścieżka, ale i że osobnik,

którego mieli spotkać, będzie ich szukał.

Z bliska jednakże las wydawał się jeszcze bardziej groźny niż z daleka. Większość drzew była tak niska jak jabłonie, nie znaleźli na nich jednak ani śladu owoców, tylko trochę guzowatych narośli zamiast listowia. Gałęzie rosły pod ostrymi kątami. Biegły nie więcej niż sześć cali w jakimkolwiek kierunku, a potem ostro skręcały w innym. Zgrubienia na tych skrętach zwężały się w kolce, może nie całkiem takie jak ciernie, ale równie ostre. Trzej rycerze odruchowo dobyli mieczy, kiedy gęsiego weszli w las za wilkiem. Zerkając w tył z czoła pochodu, Jim zobaczył, że nawet Dafydd wyciągnął długi nóż, który nosił w dopasowanej pochwie na lewym wysokim bucie.

Wśród drzew znaleźli się w prawie kompletnych ciemnościach. Chociaż kiedy oczy się przyzwyczaiły, gasnący blask dnia dał im nieco słabego oświetlenia. To było wszystko, dopóki chwilę później księżyc, prawie w pełni – który wzeszedł, zanim jeszcze zaszło słońce – nie podniósł się ponad zarośla i nie zesłał swoich promieni między pnie drzew.

Aragh pewny siebie sunął naprzód. Jim początkowo szedł za nim prawie po omacku, potem uświadomił sobie, że mógłby polepszyć swoją zdolność widzenia tego, co się z nimi dzieje. Napisał na wnętrzu czoła:

## JA -- SMOCZY WZROK, SMOCZY SŁUCH I SMOCZY WĘCH

Natychmiast wzrok zmienił mu się na taki, jaki miałby w smoczym wcieleniu. Nie była to jakaś znacząca, poprawa, ale widział więcej, niż mógł dostrzec jako człowiek. W dodatku mógł teraz do pewnego stopnia używać nosa, tak jak to robił wilk, żeby upewnić się, że są wciąż na ścieżce.

Nie żeby ktoś idący ścieżką mógł o niej zapomnieć. Miała ona nie więcej niż trzy stopy szerokości i przy każdym nieostrożnym ruchu można było zawadzić ręką lub nogą o jedno z drzew. Przy takim przypadkowym kontakcie niemal zawsze napotykało się zaostrome narośle gałęzi, a każde ich draśnięcie zdawało się zdolne przeciąć dosyć gruby materiał lub skórę. Szli jednak dalej, a jedyną rzeczą ułatwiającą im drogę był fakt, że w miarę jak księżyc wznosił się i rozjaśniał, sama ścieżka stawała się dużo wyraźniejsza.

Jim na chwilę przywrócił sobie ludzkie widzenie, żeby sprawdzić, na ile dobrze widzieli jego dwunożni towarzysze. To, co odkrył, trochę go zaszokowało. Pozbawiony smoczego wzroku, z jego zdolnościami w przystosowaniu się do odległości i ciemności, nawet twarz Briana widział jako zamazaną plamę. Odkręcił się znów do przodu, w samą porę, by uniknąć wpadnięcia na drzewo po prawej stronie, i wrócił do smoczego wzroku.

Ścieżka wiała się w sposób zadziwiający. Jim już dawno stracił wyczucie kierunku. Pochylił się do przodu i szepnął, wiedząc, że czujne uszy wilka wyłapią to:

Araghu – spytał – myślisz, że wciąż zmierzamy w stronę zamku?

–Zmierzaliśmy jeszcze parę zakrętów temu – odpowiedział wilk tak cicho, że Jim ledwie dosłyszał jego głos. – Od tego czasu najprawdopodobniej poruszamy się równolegle do niego przez las. Zauważ, że pod stopami mamy tylko ziemię.

Nie pomyślał o tym wcześniej, ale teraz, kiedy Aragh o tym napomknął, jego własny, polepszony zmysł węchu potwierdził, że na poziomie gruntu niczego zielonego nie dało się wywęszyć. Zresztą dziwne byłoby, gdyby coś takiego tam znalazł, skoro te drzewa muszą przesłaniać światło nawet w najjaśniejszej porze dnia.

–Czuję większą plamę wolnej ziemi niedaleko przed nami – ciągnął wilk tym samym cichym głosem. – Najlepiej byłoby, gdybyśmy tam przystanęli i zdecydowali, co robić. Prawdę mówiąc, może nie będziemy mieli innego wyboru, tylko tam stanąć.

Jim nie pojął dokładnie znaczenia ostatnich słów Aragha. Zwrócił jednak uwagę na coś, co przegapił wcześniej, ciesząc się, że dzięki smoczemu wzrokowi widzi lepiej. Nagle uświadomił sobie, jak oddychają jego trzej ludzcy towarzysze.

Wszyscy poza Dafyddem, który szedł ostatni, oddychali ciężko i z trudem. Brian nawet mrucał coś pod nosem. Przy odrobinie wysiłku i pomocy smoczego słuchu Jim rozróżnił co nieco z tego mruczenia.

Rycerz jednostajnie kłął do siebie.

–...Cholerny, zaś... – głos Briana urwał się, gdy rozległ się dźwięk rozdieranego materiału. Najwidoczniej wpadł na jedną z ostro zakończonych narośli.

Znów rozległy się prawie bezgłośnie przekleństwa. Idący za Brianem Giles i

Dafydd milczeli – Giles niemalże dziwnie, tak jakby wstrzymywał oddech. Rosnące zaniepokojenie o towarzyszy ogarnęło Jima.

Znów szepnął do Aragha:

–Jak daleko jeszcze do tej otwartej przestrzeni?

–Jest tuż przed nami. Co się dzieje z twoim nosem, Jamesie? – szepnął ironicznie wilk. – Od paru minut wężysz jak smok. Nie mów mi, że sam nie możesz sobie tego wywachać.

Jim powęszył. Z pewnością był przed nimi mocny zapach ziemi, gołej ziemi; zapach nieco podobny do woni ścieżki pod ich stopami, ale z odcieniem trochę bardziej wilgotnym i cuchnącym.

Wkrótce doszli do miejsca, o którym mówił Aragh. Wilk wysunął się do przodu i odwrócił pyskiem do pozostałych. Jim, gdy tylko wszedł, usunął się na bok, aby idący za nim także mogli przejść.

Przez chwilę stali tam, w nierównym kółku, i przynajmniej Brian skorzystał z okazji, żeby złapać oddech. Teraz Jim usłyszał, że Giles robi to samo. Oddychał ciężko, niemal z wysiłkiem. Oddech Dafyddda był równy, a o ile Jima słuch nie mylił, Aragh nie oddychał wcale, tak bezgłośnie wciągał i wypuszczał powietrze.

Jim pomyślał, że być może dotarli do miejsca spotkania z pół człowiekiem, pół ropuchą, który kiedyś był zbrojnym u ojca sir Raoula. Do miejsca tego udało im się dostać jednak zdecydowanie zbyt łatwo i prosto. Wskazówki Francuza mówiły, że znajdą małe ukryte zejście ze ścieżki na prawo między drzewami, potem muszą trochę się cofnąć, aż dotrą do miejsca dość szerokiego, żeby mogli stanąć tam wszyscy razem. Tymczasem teraz ścieżka poprowadziła ich prosto na tę otwartą przestrzeń.

Co więcej, korzystając z pełni księżyca i swojego smoczego wzroku, Jim rozejrzał się dokoła i zobaczył co najmniej trzy inne nierówne, ciemne koła, będące wylotami dalszych ścieżek. Wyraźnie było to miejsce, gdzie spotykały się dróżki wiodące przez las. Jak mieli stwierdzić, który z tych trzech otworów zaprowadzi ich w kierunku zamku, a nie w przeciwnym, w głąb otaczającego ich lasu?

Po raz pierwszy w jasnym świetle księżyca padającym na wszystkich Jim mógł dobrze przyjrzeć się Brianowi, Gilesowi i Dafyddowi. Wszyscy byli poznaczeni ostrymi, cierniowatymi naroślami gałęzi drzew. Dafydd miał najmniej zadrapań na twarzy i dłoniach ze wszystkich. Brian wciąż kłął pod nosem, Giles nie odzywał się wcale, ale z jego twarzy i rąk dosłownie kapła krew.

Gilesie! – powiedział Jim, podchodząc o krok bliżej do niego. – Co ci się stało?

–Nie widzę tak dobrze w nocy – odparł rycerz nieco zmienionym głosem. – To cecha dziedziczna w mojej rodzinie już od kilku pokoleń. Nie zwracajcie uwagi.

W tym czasie odwrócił się ku niemu Brian.

–Gilesie! – powiedział głośno, zszokowanym tonem. – Człowieku, wyglądasz, jakbyś walczył z Królem Kotów! Jak to się stało, że tak marnie na tym wyszedłeś, gdy reszta z nas tylko... – W głosie jego pojawiło się niewielkie wahanie -...tylko lekko się podrapała?

–Jak mówiłem Jamesowi – zaczął rycerz, wciąż tym nieswoim głosem – to rodzaj

prawie ślepoty, która nawiedza całą moją rodzinę w nocy. Nie sądziłem, że może to w ogóle tutaj przeszkadzać, i istotnie, nie sprawiało mi kłopotu. To wszystko drobne draśnięcia.

–Jeszcze kilka takich, a wykrwawisz się na śmierć – odezwał się Brian, ponownie zniżając głos.

Odwrócił się do Jima.

–Musimy jakoś go opatrzyć i upewnić się, że od tej pory będzie trzymał się środka ścieżki.

–Całkowicie się zgadzam – stwierdził Jim zatroskany. – Brianie, ty i ja możemy odedrzeć doły naszych koszul, żeby zrobić bandaże na jego ręce i twarz.

–Protestuję! – sprzeciwił się Giles cicho, ale nieco mocniejszym tonem. – Obowiązkiem rycerza jest ignorować takie drobiazgi.

–Być może – przyznał ponuro Jim. – Ale jeszcze trochę i zaczniesz zostawiać ślady krwi, po których każdy będzie mógł nas wytropić.

W tym czasie on i Brian wyciągnęli już rąbki swoich koszul i zajęli się rwaniem ich na paski. Przy dość słabych sprzeciwach Gilesa owinęli mu obie dłonie i nadgarstki i całą twarz oprócz oczu i nosa, końcówki oddartych pasków zaś pozawiązywali, aby umocować bandaże.

–Od tej chwili – zdecydował Jim – idziesz między Brianem a mną, Gilesie, i trzymasz mnie rękoma za pas, a Brian będzie trzymał z tyłu za twój pas, żeby cię prowadzić i utrzymywać na środku ścieżki.

Brian zwrócił się do wilka.

–Czy masz jakieś pojęcie, gdzie jesteśmy, Araghu? – spytał. – Albo którą z tych ścieżek powinniśmy pójść?

–Zamek leży w tym kierunku – odpowiedział wilk, wskazując pyskiem w stronę zbitej ściany drzew między dwoma wylotami ścieżek. – W tej chwili jesteśmy mniej więcej w środku lasu. Co do tego, którą drogą, wiem nie więcej niż wy. Z drugiej strony, gdybym był sam, może bym po prostu poszedł pod drzewami prosto do punktu, gdzie las urywa się przy otwartych terenach zamku.

Dopiero teraz Jim przyjrzał się dokładnie wilkowi. Był on zupełnie nie podrapany. Mimo rozmiarów czworonożnego przyjaciela Jim zrozumiał, że tamten prawdopodobnie mógł zrobić to, o czym mówił. Osłonięty swym futrem, mógł prześlizgnąć się między drzewami, mniej czy bardziej po linii prostej, aż wyszedłby po drugiej stronie lasu.

Ale to nie rozwiązywało problemu pozostałych wędrowców.

## Rozdział 24

Którą z tych trzech wybierzemy? – zapytał szeptem po długiej chwili milczenia Brian. – Z pewnością musimy iść dalej, bo wskazówki sir Raoula mówiły, że miejscem spotkania będzie wąska ścieżka, z ukrytym wejściem, na prawo od tej, którą szliśmy. Jak, na Boga, można ukryć wylot ścieżki w tej plataninie?

Pytanie było z tych, na które nie oczekuje się odpowiedzi. Jednak prawie natychmiast wilk odpowiedział na nie.

–Oczywiście zastawiając przejście fałszywym drzewem – powiedział. – Oto co przychodzi z niedopuszczania mnie w pełni do waszych tajemnic.

–Co przez to rozumiesz, Araghu? – spytał Jim.

–To, że z całym prawdopodobieństwem przeszliśmy już obok tego sekretnego przejścia – odparł wilk. – Jakiś czas temu minęliśmy po prawej stronie drzewo, które zostało odcięte u podstawy, a potem postawione z powrotem. Cięcie zamaskowano pyłem ze ścieżki, zwilżonym do konsystencji błota i przyklepanym dookoła pnia. Zwilżono go winem i to takim, które było już wtedy kwaśne albo, co też możliwe, miało od tej pory sporo czasu, żeby skwaśnieć. Poczulem to, kiedy przechodziliśmy, ale wcale nie zastanawiałem się nad tym, bo nikt z was nie podsunął mi myśli, że takie fałszywe drzewo może ukrywać przejście, którego szukacie.

Przemowa ta spotkała się z ponownym milczeniem. Jim potępił się w duchu za skrytość, a po sekundzie uderzyło go, że pewnie Giles i Brian robią to samo. On miał jednak najwięcej powodów po temu, gdyż jego smoczy węch – choć o wiele mniej sprawny niż Aragha – powinien był jednak wyczuć zapach skwaśniałego wina, jeśliby tylko odpowiednio zwracał na wszystko uwagę.

–Zatem, oczywiście, wracajmy do tego fałszywego drzewa! – zaproponował Giles przerywając milczenie.

–Słusznie – zgodził się Jim. – Dafyddzie, czy zajmiesz znów miejsce na tyłach?

–Zważ, że już miałem taki zamiar – obruszył się Dafydd.

Ruszyli z powrotem, znów gęsiego, ścieżką, którą dopiero co nadeszli. Jediną różnicą było to, że wilk posuwał się trochę szybciej, z pewnością kogoś, kto już zna cel swojej podróży. Reszta szła za nim. Jim odkrył, jak niemiły mu jest fakt, iż musi jeszcze raz przebyć drogę, która zostawiła już na nim swoje ostre ślady. W chwilę potem dołączyło do tego poczucie winy. Był mniej poraniony przez cierniste gałęzie niż którykolwiek z nich, wyłączając oczywiście Aragha. Działo się tak, o czym wiedział, dlatego że miał przewagę swoich smoczyczych zmysłów, które pozwalały mu z większą pewnością trzymać się środka ścieżki. Dafydd też radził sobie zaskakująco dobrze.

Szybszy krok wilka zmusił ich wszystkich do zwiększenia tempa. Ponieważ Giles trzymał się teraz od tyłu pasa Jima, a Brian trzymał z tyłu za pas Gilesa, trudno im było przyspieszyć. Jim miał właśnie odezwać się do Aragha i powiedzieć mu, żeby zwolnił, kiedy wilk zatrzymał się raptownie tuż przed nim.

–Tutaj – mruknął nie odwracając głowy – jest to fałszywe drzewo.

Dzięki smoczemu wzrokowi Jim mógł zauważyć, że ciemność ścieżki jakby opływała pień drzewa nie wyższego niż przeciętna bożonarodzeniowa choinka.

Postąpił ostrożnie krok w kierunku Aragha, który usunął się, żeby zrobić mu miejsce. Następnie pochylił się, żeby obwąchać pień. I rzeczywiście, jego nos wyczuł słaby ślad zapachu jakby octu winnego. Ostrożnie sięgnął pomiędzy dwie ostro uzbrojone gałęzie, aż złapał nieprzyjemnie szorstki i kłujący pień drzewa. Wyciągnął je na ścieżkę i cofnął się z nim, robiąc przejście pozostałym.

Ukazała się kolejna bardzo wąska ścieżka, tak że wszyscy oprócz Aragha musieli iść bokiem. Mimo to, z wilkiem na czele, weszli tam. Jim ruszył za nimi, ustawivszy fałszywe drzewo z powrotem na miejscu.

Drzewo trzymało się prosto na swoim pieńku dzięki temu, że jego gałęzie splatały się z gałęziami sąsiednich drzew. Jim miał u pasa manierkę z wodą, ale na wąskiej ścieżce nie było miejsca, by przykucnąć i sporządzić trochę świeżej błotnistej papki dla ukrycia miejsca, w którym pień drzewa opierał się na pniaku. Będą po prostu musieli zaryzykować i mieć nadzieję, że ich obecność nie zostanie odkryta, zanim ten, kto ma ich spotkać, nie przyjdzie i ich nie znajdzie.

Jim doszedł do małej polanki, gdzie inni już stali. Była ona wielkości może połowy tego skrzyżowania, gdzie łączyło się kilka różnych ścieżek i gdzie zatrzymali się przedtem, żeby omówić następne posunięcie. Ponieważ było tak mało miejsca, kolczaste drzewa zmusiły ich do stłoczenia się. Wyższe gałęzie drzew splątane nad ich głowami przesłaniały dochodzące tu światło księżyca. Nawet nie mogli zobaczyć się nawzajem tak wyraźnie jak na oświetlonym księżycem skrzyżowaniu, gdzie zbiegały się ścieżki. Mimo to widzieli się nieco lepiej niż na samej ścieżce.

–Radziłbym – odezwał się Brian – żebyśmy teraz usiedli, napili się i coś przegryźli. Oczekiwanie może się przedłużyć. Sugerowałbym też, żebyśmy, jeśli ten, kto ma się z nami spotkać, nie pojawi się do zachodu księżyca, opuścili to miejsce i wrócili na dzień do naszego obozowiska na wzgórzu. Myślę, że nie będziemy chcieli chodzić tymi leśnymi ścieżkami w świetle słońca, jeśli da się tego uniknąć.

–Istotnie – przytaknął zamaskowany i urękawiczniony sir Giles.

–Ja też się zgadzam – dorzucił Jim.

Wszyscy usiedli, z wyjątkiem Aragha, który znów położył się w swojej lwiej pozie. Z czasem powietrze ogrzało się trochę od ciepła ich ciał. Siedzieli w milczeniu, patrząc, jak księżyc przesuwają się w dół i znika między poplątanymi konarami drzew.

Dwukrotnie wilk niemal bezgłośnie ostrzegł ich, żeby byli cicho, i w obu przypadkach, po jego ostrzeżeniach, ktoś przeszedł główną ścieżką niecałe piętnaście stóp od nich.

Lecz żaden z przechodzących nie zatrzymał się przy drzewie, które kryło przejście do miejsca, gdzie się znajdowali. W końcu, kiedy nie było już widać księżyca, choć nieco jego światła opromieniało wciąż niebo nad nimi, Brian odezwał się znowu z prawie nieprzeniknionej ciemności.

–Najlepiej chodźmy już – dobiegł ich jego głos. – Musisz nas znów poprowadzić, Araghu, bo klnę się, że nie widzę własnej ręki przed twarzą.

Istotnie, nawet ze smoczymi zmysłami Jim niewiele lepiej widział, dokąd idą. Wstali, chwytając się za ręce, a on złapał za koniec ogona wilka. Posuwali się razem, dopóki Aragh gwałtownie się nie zatrzymał. Wówczas Jim wyciągając ponad nim rękę



chwycił fałszywe drzewo, choć złapanie za pień kosztowało go kilka zadrapań, i odstawił je na bok. Wyszli na główną ścieżkę.

Jim z powrotem umieścił drzewo na pniaku. Potem, używając wody ze swojej manierki, kierując się przy tym dotykiem i nosem Aragha, ponownie pokrył złączenie między pniem a drzewem gliniastą ziemią ze ścieżki. Wszyscy skręcili w lewo, ruszając z powrotem ścieżką, którą na początku weszli do lasu.

Kiedy wyszli z lasu, niebo na wschodzie nieco się już rozjaśniło. Nie bardzo to poprawiło widoczność, ale po przygnębiającej atmosferze lasu poczuli się tak, jakby opromieniło ich jasne światło dnia. Odnaleźli powrotną drogę do obozowiska. Tam wszyscy położyli się, owinęli w to, co mieli, i przygotowali do snu.

–Dokąd posłałeś wilka? – podparł się na łokciu i spytał niepewnym głosem Giles, gdy wszyscy byli już prawie gotowi do zaśnięcia.

–Pewnie poluje na coś do zjedzenia – odpowiedział Jim – Pamiętaj, że w lesie nie było dla niego nic do jedzenia czy picia, a jednak czekał tam z nami.

–Rzeczywiście, rzucił się do tego strumienia tuż przed odejściem. Widziałem go – usłyszeli głos Briana. – Ale on da sobie radę, Gilesie. Odpocznijmy teraz, bo przysięgam, że przynajmniej ja potrzebuję tego.

Najwyraźniej wszyscy tego potrzebowali, bo przespali cały dzień, póki słońce nie uniosło się ponad krawędź ich dolinki i zaświeciło im prosto w oczy, aż obudzili się spoceni.

Przez następne trzy noce odbywali tę samą pielgrzymkę do miejsca kryjówki. Wciąż jednak nikt nie przychodził. Giles gotów był już dać spokój z tym czekaniem i powiedział, by spróbowali szczęścia na jednej z innych ścieżek.

–Bądź trochę bardziej cierpliwy – odpowiedział mu Jim. – Ten ktoś, kto ma nas spotkać, nie wie nawet, w jakim tygodniu nadejdziemy, a co dopiero dniu. Ponadto może być i tak, że ten ktoś jest w stanie sprawdzać to miejsce tylko raz na jakiś czas. Mogą go trzymać przez cały tydzień na daytimej straży, a nie nocnej.

Odczekali jeszcze trzy noce bez rezultatu. Do tego czasu nawet Brian zaczął się skłaniać ku myśli, że powinni porzucić nadzieję doczekania się pół człowieka, pół ropuchy.

–Słuchajcie – powiedział Jim, kiedy znowu zbliżał się zmierzch – spróbujmy jeszcze raz tej nocy. Dziś i tak nie możemy zrobić nic innego, a nie mamy żadnego planu, którą ze ścieżek wybrać, jeśli pójdziemy dalej niż do naszej kryjówki. Dajmy temu niegdysiejszemu zbrojnemu jeszcze jedną szansę skontaktowania się z nami.

Rycerze ustąpili, choć Jim nie mógł się oprzeć skrytemu wrażeniu, że stało się tak bardziej dlatego, że uznawali go za przywódcę, niż dlatego, że ich przekonał.

Jak tylko zrobiło się ciemno, wrócili do lasu. Raz jeszcze poszli ścieżką do sekretnego miejsca oczekiwania.

Udało im się bez przeszkód dostać do kryjówki, a księżyc zaledwie zaczynał się wspinać, kiedy Aragh znów ostrzegł ich, że ktoś nadchodzi. Stanęli na nogi z bronią w pogotowiu. Dafydd trzymał swój długi nóż, a pozostali miecze.

Wszyscy usłyszeli odgłos zbliżających się kroków. Tym razem zatrzymały się. Dokładnie w tej samej chwili księżyc przedarł się przez wyjątkowo gęstą plataninę

gałęzi i oświetlił ich jasno. Spiętemu Jimowi wydało się, jakby skierowano na nich reflektor.

Usłyszeli, jak fałszywe drzewo zostaje chwycone i odsunięte na bok. Potem cichy, jakby rechoczący głos odezwał się – zaledwie na odległość wyciągniętej ręki przed nimi:

–Sir Raoul wysłał mnie, żebym was wypatrywał. Odprężyli się, ale nie całkiem. Jim uświadomił sobie, że tak mocno ściska rękojeść miecza, aż go bolą palce. Rozluźnił trochę chwyt, ale wciąż trzymał swój miecz w pogotowiu.

–Jeżeli jesteś tym, którego mieliśmy tu spotkać – odrzekł głosem tak cichym, by doszedł tylko do tamtego – wystąp naprzód, ale bez broni w rękach.

–Moje ręce są puste – zarechotał głos.

Rozległ się delikatny szmer i w chwilę później ciemna postać zbliżyła się do ich kryjówek. Z jeszcze jedną dodatkową osobą było tam tak ciasno, że prawie czuli na twarzach swoje oddechy. Przybysz znalazł się teraz w poświacie księżyca i w tym świetle pokazał im zwykłe ludzkie dłonie, a były one puste.

W tej samej chwili Jimowi przebiegł po karku dreszcz. Pomimo ludzkich dłoni i ramion, i ludzkich nóg to, co przed nim stało, było mocno zniekształcone. Górna część ciała wydawała się jakby rozdęta, a głowa była nienaturalnie wielka i płaska.

–Podaj swoje imię – szepnął Jim.

–Jestem Bernard – odpowiedział tamten swoim cichym rechotem – który kiedyś był człowiekiem jak ty, panie rycerzu. Bo sądzę, że jesteś rycerzem, gdyż sir Raoul nie wysłałby nikogo pomniejszego, by spotkał mnie w takim celu. Jestem tym, czym mnie widzicie, już od lat – i dziękuję Bogu w niebiesiech, że patrzycie na mnie w tych ciemnościach, nie w świetle dnia, gdyż sam ledwie mogę spojrzeć na siebie do sadzawki ze spokojną wodą i znieść to, co widzę.

–Wszystko w porządku – powiedział Jim; groteskowy kształt przed nim wzbudzał jego współczucie. – Weź nas tylko do takiego miejsca, skąd możemy dostać się do zamku, i wskaż nam, gdzie znajdziemy naszego księcia. Po to tu jesteś, czy nie tak?

–Tak! – odrzekła postać. – Dwanaście lat udaję dobrego służącego w tym miejscu, czekając na szansę, żeby odplacić Malwinne'owi za to, co zrobił mojemu panu i jego rodzinie. Teraz ta szansa nadeszła i dałbym za nią wszelką nadzieję, jaką mam na miejsce w niebie. Zabiorę was do zamku i za mury – zaledwie za mury, bo po prawdzie nie wolno mi przebywać wewnątrz. Potem powiem wam, jak umiem najlepiej, gdzie możecie znaleźć młodzieńca, o którym mówicie. Od tego momentu wszystko będzie zależało od was. Proszę was tylko o jedno.

–O co? – spytał Jim.

–Żaden z was nie będzie próbował przyjrzeć mi się dokładnie, kiedy będę waszym przewodnikiem – powiedział Bernard. – Obiecujecie mi to, na najświętszą Marię.

–Obiecujemy – odparł Jim.

Brian, Giles i Dafydd wymruczeli potwierdzające odpowiedzi.

–Proszę, oto twoja obietnica – powiedział Jim. – Ale czy nie będą cię podejrzewać, jeżeli znajdziemy naszego księcia i uciekniemy z nim? Czy nie byłoby lepiej, żebyś poczekał i dołączył do nas, kiedy będziemy odchodzić, i zostawił za sobą to miejsce?

Postać wydała chrapliwy, gorzki chichot.

–Gdzie bym się podział na tym świecie? – odrzekł stwór, który kiedyś był Bernardem. – Nawet święci mnisi w klasztorze zatrzasnęliby drzwi przede mną. Nawet trędowaci odwracaliby się i kryli przede mną. Nie, co ze mną zrobiono, to już zrobiono. Zostanę tutaj z nadzieją, że nadejdzie jeszcze jedna szansa, żeby wymierzyć cios Malwinne'owi.

–Ale jeśli zaczną cię podejrzewać, nawet tylko podejrzewać – tłumaczył Jim – to może cię to wiele kosztować.

–Nie dbam o to – zarechotał Bernard. – Nie mogą mi już zrobić nic, co by równało się temu, co już mi uczynili. A teraz chodźmy, bo jest jeszcze trochę drogi do przejścia, a być może będziemy musieli w trakcie tego zatrzymać się i ukryć. Gdybym był sam, mógłbym pójść prosto do zamku. Ale w tyle osób na pewno zwrócilibyśmy uwagę.

Niecierpliwie podniósł głos.

–Chodźmy już! Na wszystkie świętości, chodźmy!

Odwrócił się, nie czekając na odpowiedź, i wyszedł bokiem przez wąskie przejście na szerszą ścieżkę. Reszta poszła za nim. Gdy już byli na ścieżce, z powrotem ustawił drzewo i używając tym razem czystej wody z flaszki u pasa, oblepił złączenie błotem tam, gdzie drzewo było przecięte. Zrobiwszy to wyprostował się, ale nie ruszył natychmiast do przodu. Zamiast tego znów do nich przemówił.

–Droga, którą was poprowadzę – powiedział – nie jest najprostszą drogą do zamku, ale najpewniejszą dla was przez ten leśny labirynt. Idąc zauważycie, że będziemy zawsze skręcać na prawo. Ten sposób zaprowadzi nas w końcu do ogrodów na terenie pałacu. Podobnie, jeśli uda wam się uwolnić i uciec wraz z księciem, wejdźcie do lasu w tym samym miejscu, gdzie go opuścicie, i cały czas skręcajcie na lewo. Ostatecznie wyjdziecie z lasu na wzgórze. Stamtąd niech Bóg was prowadzi, gdyż ja nie będę mógł.

Mieli nieco drogi do przebycia do wewnętrznego skraju lasu. Ale Bernard poprowadził ich tak pewnie i spiesznie, że prędko ją przeszli.

W końcu dotarli do ogrodów zamku Malwinne'a. Różnica w porównaniu z lasem, kiedy stanęło się przed nim tak nagle, była szokująca.

Noc stała się naraz ciepła i śliczna. Księżyc, zaledwie parę dni po pełni, opromieniał jasnym światłem różne altany, trawniki, klomby i starannie zagrabione zwirowe alejki, którymi zbliżali się do ciemnej sylwety zamku widniejącej przed nimi. Wilgoć z wielu fontann i małych sztucznych jeziorok zdawała się łagodzić powietrze i sprawiać, że zapach zakwitających nocą roślin, wypełniający ogrody, zawisał na wysokości głowy i nie dawał się rozwiać lekkim powiewom wiatru, które nadlatywały od czasu do czasu.

Szybko przeszli przez alejki. W nie więcej niż dziesięć minut dotarli do kamiennych murów zamku. Drzwi niewiele większe od frontowych drzwi domów, do jakich Jim przywykł w swoim dawnym świecie, widniały przed nimi.

Bernard otworzył je i wprowadził ich do pustego pomieszczenia. Po czym zatrzymał się.

**Tutaj was opuszczam – rzekł.**

**Jim rozejrzał się w koło. Ściany były z kamienia, a sufit z ciężkich, blisko siebie osadzonych belek. Podłoga z gołych kamiennych płyt, nie wysłana średniowiecznym zwyczajem chodnikiem z sitowia czy traw ani też prawdziwym tkanym dywanem, jak ze świata Jima.**

**Izba była szeroka i długa, ale sufit nie wznosił się wyżej niż na stopę nad ich głowami. Ogólnie mówiąc nie było to nieprzyjemne miejsce, ale ogromnie się różniło od bardzo przyjemnego ogrodu, który właśnie opuścili.**

**–Stąd – ciągnął Bernard – idźcie śmiało. W tym zamku spotkać można wiele całkowicie ludzkich postaci, które służą czarnoksiężnikowi; niektórzy z jego sług są szlacheckiego stanu. Choć może zapamiętaję was przez tego psa. Szkoda, że nie pomyślałem o tym wcześniej. Mogliście go zostawić w lesie.**

**–W żadnym razie – warknął Aragh.**

**Bernard podskoczył. Należało nazwać to podskokiem, gdyż było to więcej niż zwykle drgnięcie ze zdziwienia. Izba, do której weszli, oświetlona była kagankami płonącymi jasnym ogniem w uchwytych wzdłuż ścian. Dobrze rozjaśniały one pomieszczenie, ale tu i tam pozostawiały głębokie połacie cienia. Bernard stał w jednym z tych cieni, tak że jego postać i wygląd wciąż były ukryte przed oczami innych.**

**–Czy to wilk? – zapytał.**

**–Nie inaczej – stwierdził Aragh. – I idę z całą resztą, a ty o nic nie pytaj, tak jak my nie pytamy ciebie.**

**–No dobrze – westchnął po chwili Bernard. Pochylenie jego głowy w cieniu zdradzało, że wciąż przygląda się wilkowi. – Pewnie wszyscy inni wezmą go za psa tak jak ja. W każdym razie, wróćmy do moich wskazówek. Rozumiem, że wilk posiada wyczucie kierunku?**

**–Inaczej chodziłbym głodny przez wiele dni w minionych latach – odparł Aragh – zważywszy, że zdarza mi się przebyć piętnaście mil od miejsca, gdzie coś upolowałem, do innego miejsca i nie wrócić, aż dopiero następnego dnia inną trasą. Daj nam swoje wskazówki.**

**–A zatem, widzicie tę odległą ścianę – ciągnął Bernard, wskazując na najdalszą od nich ścianę i drzwi w niej. –**

**Przejdźcie przez te drzwi i wyjdźcie lewym wyjściem z następnego pokoju. Skręćcie natychmiast w prawo i przez szereg sal takich jak ta trzymajcie się ogólnie tego kierunku. Niektóre sale będą puste. W innych miejscach przygotowuje się jedzenie lub wykonuje inne prace. Jak powiedziałem, jesteście najwyraźniej szlachciami... Spojrzał przelotnie na Dafydd.**

**–A przynajmniej trzech z was. Będzie więc to całkiem naturalne, że zlekceważycie innych i będziecie dalej szli swoją drogą. Poruszajcie się pewnie, jakbyście nie tylko znali drogę, ale i wypełniali jakieś ważne polecenie Malwinne'a. Jeśli będziecie trzymać się tego kierunku, mimo licznych bocznych przejść, przez następne dziewięć pomieszczeń, jakie miniecie – zawahał się – to dotrzecie do podstawy wieży, w której trzymany jest wasz książę. W tym momencie znajdziecie się w największym**

**niebezpieczeństwie.**

**Przerwał.**

**–Tak, tak, człowieku! Mów! – powiedział niecierpliwie Brian.**

**–Przejdziecie przez drzwi, które są gładkie z tej strony, ale z ozdobnego rzeźbionego i polerowanego drewna z drugiej. Zaprowadzą was one do miejsca pełnego dywanów i o wiele wyższych i większych komnat. Trzymajcie się prawej strony, a dojdziecie do podstawy schodów, które wiodą na wieżę. Poznacie, że to te, bo stopnie są kamienne, bez materii, kobierców czy innego pokrycia.**

**–Jak szerokie są stopnie? – spytał Brian. – Czy dość szerokie, żebyśmy wszyscy czterej mogli wchodzić ramię przy ramieniu?**

**–Upłynęło trochę czasu, odkąd je widziałem – odrzekł Bernard. – W istocie parę lat; gdyż wszedłem na te schody jako człowiek, a zszedłem tym, czym teraz jestem. Żadnym zmysłem nie przeczuwałem, kiedy tam szedłem, co mnie czeka. Wypytywań, tortur i śmierci właściwie się spodziewałem, lecz to mnie nie niepokoiło. Takie rzeczy trzeba uważać za część życia każdego, kto decyduje się zostać zbrojnym. Ale tego – tego się nie spodziewałem. Jednakowoż, żeby wam odpowiedzieć w sprawie schodów – nie.**

**–Więc jak szerokie? – nalegał Brian.**

**–Być może dość szerokie dla trzech, jeśli się ściśnięcie – objaśniał Bernard. – Ale radziłbym, żebyście, jeśli chcecie mieć swobodę dobycia mieczy, szli najwyżej po dwóch na stopniu. Zauważycie, że jedną stroną przylegają one do muru. Będą ciągnęły się dalej przy murze, spiralnie, wzdłuż wewnętrznej ściany wieży przez kilka poziomów. Po tym, jak je miniecie, będą już tylko gołe stopnie i mury wieży pnące się w górę i w górę. Uważajcie, gdyż zewnętrzne krańce stopni wiszą nad otchłanią, która będzie coraz większa, kiedy będziecie wspinać się w górę, i skończy się dopiero, gdy dotrzecie na szczyt wieży. Na jednym z górnych poziomów trzymany jest wasz książę.**

**Przerwał, jakby tak długa przemowa zmęczyła jego chrapliwy głos.**

**–Na jednym z tych poziomów – ciągnął – jest także sekretna pracownia samego czarnoksiężnika. Tak więc widzicie, że trzyma swego więźnia cały czas blisko swoich najbardziej tajnych tajemnic, a zatem bez wątpienia strzegą go nie tylko skoble i zamki, ale także i Magia – bo nikt nie jest tam mile widziany, chyba że wezwany specjalnym rozkazem.**

**Przerwał i skierował się z powrotem w kierunku drzwi.**

**–Idźcie zatem – powiedział – i niech się wam poszczęści. Życzyłbym wam boskiej pomocy, ale wątpię, żeby Bóg słuchał takich stworów jak ja. A jeśli zdarzy wam się zabić Malwinne'a podczas próby wydostania księcia, możecie rozkazywać mi przez resztę moich dni.**

**Otworzył drzwi za sobą, ale zawahał się, zanim je przestąpił.**

**–Spróbuję być gdzieś na zewnątrz wyjścia, kiedy zejdziecie – dorzucił na koniec. – To mało prawdopodobne, gdyż przez większość czasu nie jestem wolny, aby robić, to co chcę. Ale kiedy będę wolny, będę w pobliżu. Więc zbytnio na mnie nie liczcie, tylko idźcie szybko do wylotu tej ścieżki, którą przyszliliśmy i której kazałem wam tak**

**dobrze się przyjrzeć. Kiedy tam będziecie, macie już w połowie szansę wydostania się na wolność, jeśli tylko stworzy Malwinne'a nie będą blisko za wami.**

**Wyszedł i drzwi zamknęły się za nim.**

**–Ruszajmy – zaproponował ochoczo Giles. – Mógłbym przysiąc, że czuję, iż jego wysokość czeka na nas na górze.**

**Ruszyli razem. W pierwszej izbie, do której weszli, nie było nikogo, a w drugiej zaledwie kilku ludzi, niektórzy w pełni ludzcy, niektórzy półzwierzęcy, układali worki, jak domyślił się Jim, wypełnione zbożem lub innym pożywieniem, a zatem komnata ta stanowiła rodzaj spichrza czy składu.**

**Nikt się do nich nie odezwał ani oni nie odezwali się do nikogo, szybko przechodząc przez komnatę i przez drzwi po lewej stronie.**

**Weszli do kuchni, jak się zdawało przeznaczonej do przyrządzania ptactwa, za nią było więcej pomieszczeń, w których układano różne rzeczy albo je zabierano spod ścian, pod którymi leżały już w stosach. Droga ta nie zajęła im wiele czasu i stanęli przed drzwiami, które powinny być ostatnie.**

**Zatrzymali się tam na moment. Wszyscy spojrzeli na Jima.**

**On popatrzył na drzwi, żałując, że nie ma sposobu, żeby przez nie widzieć. Był przekonany, że gdzieś tam w środku niego tkwił jakiś rodzaj Magii, która dałaby mu taką możliwość. Ale umysł jego nie potrafił przedstawić sobie takiej Magii, która by to umożliwiała.**

**–Co do tego, co jest za nimi, to musimy po prostu zaryzykować – powiedział w końcu i idąc przodem, otworzył drzwi i wsunął się przez nie do pomieszczenia za nimi.**

**Bernard nie przesadził mówiąc o różnicy. Komnata, do której weszli, była prawie tak wielka jak wszystkie, które dotychczas minęli, razem wzięte. Ściany jej wznosiły się do sufitu na wysokość trzydziestu lub pięćdziesięciu stóp, a posadzka pokryta była nie jednym dywanem, ale niezliczonymi małymi kobiercami, które dawały ten sam efekt. Trochę ozdobnych mebli, podobnie jak w rozmaitych gospodach, w których zatrzymywali się – co, jak się nauczył Jim, było średniowiecznym zwyczajem – stało pod ścianami.**

**Komnata ta wypełniona była ludźmi. Wszyscy oni byli młodzi, przystojni i o całkowicie ludzkich ciałach, wszyscy też ubrani w kosztowne, a nawet czasem fantastyczne szaty. Stali grupkami, jakby rozmawiając, ale w przeciwieństwie do innych ludzi, których Jim i reszta napotkali wcześniej, ci zwrócili na nich uwagę. Przerwali rozmowy i otwarcie przypatrywali się im czterem i Araghowi.**

## Rozdział 25

Nie zatrzymujcie się! – rozkazał półszepem Jim.

Cała piątka ruszyła majestatycznie naprzód, ignorując spojrzenia, komentarze i kilka przyciszonych wybuchów śmiechu. Szli naprzód, wzdłuż ściany po prawej, w stronę podstawy schodów, jakby powodował nimi bardzo ważny obowiązek.

W chwili kiedy stało się jasne, że kierują się do schodów, uwaga zebranych w komnacie odwróciła się od nich, jakby świadomość tego, dokąd zmierzają, czyniła ich nie tylko już nieinteresującymi, ale i czymś, czego lepiej nie dociekać.

W ciszy wspinali się na schody, a jedynym dźwiękiem był odgłos ich kroków na kamiennych stopniach. Aragh, jak zwykle, poruszał się bezszelestnie.

Po wielu stopniach przeszli przez otwór w sklepieniu i schody biegnące spiralnie wokół ścian wieży zaprowadziły ich poza zasięg wzroku tych na dole. Spoglądali teraz w dół na inną komnatę, równie bogato urządzoną – nawet z małą sadzawką i fontanną zainstalowaną w rogu – w której jednak nie było żywego ducha.

Poszli dalej do góry.

Kiedy był jeszcze mały, Jim odkrył, że prawie zupełnie nie miał lęku wysokości, który tak dokuczał wielu innym ludziom. Wykorzystywał to jako chłopiec, żeby popisać się przed przyjaciółmi, idąc tam, gdzie oni nie śmieli pójść za nim. Przestał tak robić dopiero wtedy, kiedy jeden z jego przyjaciół, najwyraźniej przerażony, ale zdecydowany zrobić to samo co Jim, spróbował przejść za nim po krawędzi szerokiej zaledwie na dwa cale, wpadł w panikę i o mało nie spadł w objęcia śmierci.

Otrzeźwiony świadomością, że jego szczególna zdolność nie jest czymś do zabawy, Jim przestał się popisywać. W następnych latach prawie o niej zapomniał. Wracała mu na myśl tylko w tych sytuacjach, w których zdawał sobie sprawę, że jest z nim ktoś inny, kto może bać się wysokości.

Z tych wszystkich powodów bezwiednie ruszył zewnętrzną stroną schodów, gdzie stopy stawał zaledwie parę cali od krawędzi szarego kamienia, przy którym nie było żadnej bariery, a tylko spadek aż do sklepienia ostatniego piętra, które minęli.

Na niższych kondygnacjach wieży nie było jeszcze tak źle, ale wkrótce rozpoczęli długą wspinaczkę w kierunku kolistego sklepienia, wysoko ponad nimi, które świadczyło o istnieniu piętra na szczycie wieży. Teraz otwarta przestrzeń przy krawędzi prawego buta Jima stawała się coraz głębsza. Pogratulował sobie, że zaczął iść w tym miejscu, oszczędzając przyjaciołom zawrotów głowy, które mogliby tam odczuwać.

Zerkając na towarzyszy zobaczył, że te złożone sobie powinszowania miały uzasadnienie. Obok niego Brian trzymał się muru, w którym zamocowany był każdy stopień. Za nimi Giles i Dafydd odruchowo stłoczyli się razem także blisko ściany. Stopień niżej nawet wilk był dużo bliżej muru niż zewnętrznej krawędzi schodów.

Wspinali się jednakże dalej. Choć Jim nadal nie odczuwał lęku wysokości, to gdy zwiększyła się przepaść przy jego prawym bucie, zaczął częściej spoglądać w kierunku zwężającej się spirali schodów, które szły w górę i w górę, i w górę ku najwyższemu poziomowi wieży. Po raz pierwszy uderzyło go, jak niepewna była to droga, ze stopniami wystającymi z muru jak wsporniki.

Ich końce były schowane głęboko w ścianie, żeby zrównoważyć ciężar stopni i tych, którzy by po nich szli. Jednak istniała możliwość, że jakiś blok pęknie i puści, rzucając tego, kto na nim stanie, w otchłań poniżej, gdzie śmierć była pewna.

Myśląc o tym Jim sam dostał lekkiego zawrotu głowy, gdy spojrzął w górę na zdającą się nie mieć końca spiralę schodów w nagich murach wieży. Jednakże przyglądając się im, zaczął zmieniać zdanie na temat wytrzymałości tych stopni. Zauważył, że na całej długości były one podparte od spodu grubymi trójkątnymi wspornikami, które wystawały z muru. Musiały mieć co najmniej sześć czy osiem stóp przy murze i zwężyły się hakiem na zewnątrz do miejsca, gdzie miały ze dwie stopy grubości pod zewnętrzną krawędzią stopnia.

Schody mogły wyglądać krucho z jego perspektywy, gdy patrzył w górę wieży, ale najwyraźniej kruche nie były. Zbudowano je nadzwyczaj solidnie.

W tym momencie rozmyślenia jego przerwał Brian.

–Wspinamy się w szybkim tempie – powiedział bez tchu. – Może nie zaszkodziłoby odpocząć chwilę czy dwie, a potem iść dalej nieco wolniej, skoro przed nami, jest, jak się zdaje, jeszcze wiele stopni?

–Oczywiście. – Jim przystanął, słysząc, że ci za nim także się zatrzymują.

Ku jego zdziwieniu, jego własny głos też był zdyszany. Zatopiony w myślach nie zauważył, jak wspinaczka dawała się im we znaki, a jednocześnie, nie zdając sobie z tego sprawy, zwiększał tempo. Nie mieli powodu, żeby tak gnać po tych schodach. Gdyby Brian nie zwrócił na to uwagi, w ciągu następnych paru minut jego własne ciało zmusiłoby go, żeby przyjął do wiadomości fakt, że traci oddech i męczy się.

Brian oparł się o mur po lewej stronie, ciężko łapiąc oddech. Poniżej Giles tak samo przylgnął ramieniem do wewnętrznego muru, a Dafydd wyciągnął rękę za plecami Gilesa i na niej się oparł. Jeszcze niżej Aragh nie opierał się o nic, ale pysk miał otwarty i dyszał z wywieszonym jęzorem.

Jim zdziwiony był trochę, że udało mu się tak wykończyć swoich towarzyszy, z których wszyscy, jak wiedział, byli w lepszej od niego kondycji. Pokazywało to po prostu, jak zajęcie czymś myśli mogło do pewnego stopnia zablokować odczucie fizycznej niewygodności – chyba że w jakiś sposób wtrąciły się do tego jego zdolności magiczne, tak że podświadomie i magicznie rozkazał płucom dostarczać mu więcej tlenu.

Ta ostatnia teoria wydała mu się nieco naciągana, ale jednocześnie zmusiła go do zastanowienia. Sklął siebie po cichu za to, że wcześniej o tym nie pomyślał. Malvinne najwyraźniej nie trzymał na tych schodach żadnej straży. Być może wierzył całkowicie, że strach tych, którzy mu służą, powstrzyma ich od wspinania się na schody bez odpowiedniego zezwolenia. Czy to jednak prawdopodobne, żeby taki Mag zaufał tylko temu?

Nie, stwierdził Jim.

Gdzieś tam na górze czarnoksiężnik musiał zastawić jakieś magiczne pułapki na każdego głupiego czy nie chcianego intruza. Najpierw myśl ta napełniła go przerażeniem, gdyż bardzo dobrze wiedział, że Malvinne zdolny był urządzić pułapki, które znacznie przekraczały jego własne magiczne zdolności pojmowania. Chyba



**że... Mag ufał w brak podejrzeń i doświadczenia tych, którzy mogliby spróbować wspiąć się na schody tak jak Jim i jego przyjaciele.**

**Mimo wszystko Jim, ze swoją niewielką znajomością Magii, nie potrafił sobie wyobrazić, jakiego rodzaju pułapki Malvinne, przy swojej znacznie większej wiedzy, mógł zastawić. I w tym tkwił problem. Jim nauczył się na błędach, że aby stworzyć jakąkolwiek magiczną przemianę, musiał umieć wyobrazić sobie i to, od czego wychodził, i to, co miało być rezultatem. Ponieważ nie miał pojęcia, jakiego typu pułapki to będą, nie miał możliwości wyobrażenia ich sobie.**

**Z jednej strony naciskała go konieczność, z drugiej brak wiadomości. Musiało być z tego jakieś wyjście...**

**Nagle coś wpadło mu do głowy. Szybko napisał na wnętrzu czoła:**

## **JA/WIDZIEĆ -- MAGICZNE RZECZY W GÓRZE NA CZERWONO**

Jak zwykle nie pojawiło się żadne specjalne odczucie, które mogłoby mu powiedzieć, czy jego magiczna próba powiodła się. Jak do tej pory pewny sukcesu mógł być tylko wtedy, kiedy widział zachodzącą zmianę, która pokazywała, czy mu się udało. Na przykład jak wtedy, kiedy zamieniał się w smoka lub kiedy sprawił, że mógł oddychać w jeziorze Meluzyny. Teraz więc musiał pozostać w niepewności co do powodzenia ostatniej magicznej próby. Popatrzył w górę wieży, ale nie zauważył żadnej różnicy.

–Trzeba iść dalej – powiedział Brian.

Rycerz złapał już oddech, Jim słyszał, że także stojący za nim Giles i Dafydd oddychają już bardziej normalnie. Spojrzał do tyłu i zobaczył, że wilk przestał dyszeć.

–Racja – stwierdził. – Chodźmy.

Znów zaczęli się wspinać, tym razem jednak wolniej. Brian miał całkowitą słusność co do szybkości, z jaką pokonywali schody. Bardzo łatwo było zmęczyć się idąc w pośpiechu po takich stopniach. Gdyby były to schody tego typu, do jakich Jim przywykł w budynkach dwudziestego wieku, nie byłoby tak źle. Ale te stopnie, choć tylko na osiemnaście cali szerokie, wznosiły się każdy dobre dwie stopy nad poprzednim, tak że wchodzenie po nich, zwłaszcza szybkie, nie było wcale łatwe. Teraz w powolnym i równym tempie wspinali się bez większych trudności.

Przebyli już około połowy drogi między miejscem odpoczynku a spodem pierwszego z górnych pięter wieży, kiedy Jim dostrzegł coś, co sprawiło, że raptownie stanął. Brian zatrzymał się obok niego, inni także przystanęli.

–O co chodzi, Jamesie? – spytał Brian.

–Myślałem po prostu, że coś zobaczyłem – powiedział Jim. – Dajcie mi zejść ze dwa stopnie w dół.

Zszedł na stopień Aragha i spojrzał w górę. Jednak nawet tu kąt widzenia nie był dość dobry, więc zszedł jeszcze z pół tuzina stopni. Znajdujący się ponad nim pozostali towarzysze przyglądali mu się – wszyscy poza wilkiem, który zdawał się lekko szczyrzyć zęby w uśmiechu, jakby z tajemnego żartu.

Na stopniu, na którym w końcu się zatrzymał, był nie tylko dalej pod tym, co chciał ujrzeć, ale i nieco po drugiej stronie wieży od tego punktu, tak że patrzył nań w bardziej prostej linii. Tym, co wpadło mu w oko, był czerwony kolor. Teraz widział go wyraźnie. Ostatni stopień przed miejscem, w którym schody sięgały krawędzi górnego podestu, świecił czerwienią, włącznie ze wspornikiem pod spodem. W istocie cała konstrukcja połyskiwała przytłumionym blaskiem, jakby została wyrzeźbiona w jednym kawale matowego rubinu.

–Wypróbowałem trochę Magii, szukając pułapek, które Malwinne mógł zastawić na wchodzących w górę – powiedział towarzyszom, kiedy do nich dołączył – i jedną odkryłem. To ostatni stopień podestu.

Znów ruszyli w górę schodów. Myśli Jima krążyły wokół tego ostatniego stopnia. Pierwszym rozwiązaniem, jakie przyszło mu na myśl, było to, że cały stopień i wspornik tkwiły w ścianie jak na zawiasie, tak że w chwili kiedy ktoś na nim stanął,

dodatkowy ciężar sprawiał, że stopień obracał się, zrzucając nieszczęśnika w długi, zgubny lot ku sklepieniu komnat daleko w dole.

Nie myślał jednak o tym więcej, aż znaleźli się na samej górze, a wtedy odkrył dodatkowy problem. Stopień, który widział naznaczony czerwienią, nie był podobny do niższych stopni. Miał on dobre osiem stóp szerokości. Znaczyło to, że było bardzo mało prawdopodobne, by udał się komuś skok w dal z miejsca ze stopnia poniżej. Pułapka była nieco bardziej złożona, niż to sobie wyobraził.

Zarządził postój, żeby wszyscy się nad tym zastanowili.

–Wygląda na to, że jesteśmy porządnie i skutecznie zatrzymani. Każde dotknięcie tego stopnia wyśle na dół tego, kto to uczyni. Czy ktoś ma jakieś pomysły?

Wśród jego towarzyszy zapadła śmiertelna cisza. Brian i Giles gapili się na coś, co dla nich musiało wyglądać jak normalny stopień, wyłączwszy jego niezwykłą szerokość. Dafydd także się zastanawiał, ale z bardziej zadumanym wyrazem twarzy. Aragh tylko przyglądał mu się bacznie, wysuwając trochę do przodu głowę, z postawionymi uszami i zamkniętym pyskiem.

–Hańba nam, jeśli zawrócimy! – odezwał się Giles po długiej chwili milczenia.

–Tak – powiedział Brian.

Ale wciąż żaden z nich nie podsunął myśli, jak przebyć tę lukę.

W końcu Jim wpadł na pomysł. Niespecjalnie mu się on spodobał, ale wydawał się jedynym możliwym wyjściem, jakie ktokolwiek z nich umiał wymyślić. Odchrząknął, żeby zwrócić uwagę reszty.

–Mam pewien plan – rzekł. – Nie jestem nim zachwycony i wątpię też, żeby wam się spodobał.

–Podobanie się nie ma wiele wspólnego z obowiązkiem – powiedział sir Brian, a Giles mruknieniem przytaknął. Dafydd skinął tylko głową, a wilk popatrzył na Jima żółtymi oczami.

–Mogę zamienić się w smoka i sam przefrunąć nad tym stopniem – wyjaśnił Jim. – Problem w tym, jak was tam przenieść. Wszyscy ważycie zbyt wiele, żebym was po prostu podniósł i przefrunął z wami.

–Czy to możliwe? – spytał Giles. – Pamiętaj, Jamesie, że jesteś bardzo wielkim smokiem. Ponadto zdaje mi się, że słyszałem wiele razy o smokach chwytających ludzi, żeby ich porwać i... ee... ugh... pożywić się nimi w ukryciu.

–Myślę, że odkryjesz, iż większość takich historii ma niewielkie oparcie w faktach – odpowiedział ponuro Jim – a jeśli mają, to porwane było jakieś małe dziecko lub ktoś ważący nie więcej niż sto funtów, skoro smok zdołał podnieść go i odlecieć z nim. Wierz mi, wiem, co mogę zrobić jako smok, i nie ma sposobu, żebym przeniósł dorosłego człowieka na jakąkolwiek odległość i utrzymał się w powietrzu.

Zwrócił się do Briana.

–Ale pozwólcie mi wyjawić resztę tego, co planuję. Na tych schodach nie ma miejsca, żebym zamienił się w smoka.

Aragh wyszczerzył zęby w uśmiechu. Brian zmarszczył brwi, a oczy Gilesa stały się wielkie jak spodki.

–Jamesie – zapytał Giles – czy zawsze tak z tobą jest? Zamieniasz się odruchowo

w smoka, kiedy znajdziesz się w powietrzu?

–Cóż, niezupełnie – powiedział Jim. – Ale sądzę, że będę miał dosyć czasu, żeby zamienić się w smoka i wzlecieć w górę, zanim spadnę na dół i coś sobie zrobię.

Przerwał na chwilę, myśląc, że wyrażenie „zanim coś sobie zrobię” było chyba niedopowiedzeniem.

–Potem, kiedy będę już smokiem, będę nadlatywał i przenosił was pojedynczo ponad tym stopniem – kontynuował Jim. – A zatem wszyscy oprócz wilka będziecie musieli zrobić jedną rzecz. Zdejmijcie pasy i zawiążcie ich końce wokół dłoni tak, by nie mogły się rozluźnić, i trzymajcie resztę pasa nad głową, żebym miał za co uchwycić szponami tylnych łap. Załapaliście?

–Jeśli chodzi ci o to, czy cię pojmy, Jamesie – odrzekł Brian – to w samej rzeczy tak. Poza tym resztę mogę sobie wyobrazić. Chcesz, żeby każdy z nas, jeden po drugim, chwycił się ciebie, gdy nas będziesz przenosił na podest? Mam rację?

–Absolutną rację – potwierdził Jim.

–Tak – powiedział Brian – nie po to polowałem z sokołem od czasu, kiedy skończyłem dwanaście lat, by nie wiedzieć teraz nic o tym, co może być przydatne w takiej sytuacji.

–Chcę, żebyście zrobili dla mnie jeszcze jedną rzecz – mówił dalej Jim. – Ten, którego będę miał unieść w górę, powinien stać na stopniu sam, a cała reszta przynajmniej trzy stopnie niżej, żebym miał dość miejsca nadlatując. Stawajcie proszę tak blisko krawędzi stopnia, jak uda wam się zmusić do tego. Będę potrzebował przy ścianie miejsca na skrzydło. Stawajcie w rozkroku, z ugiętymi nogami, gotowi do skoku. A kiedy poczujecie, że chwyciłem pas nad waszą głową, skaczcie! Skaczcie tak, jakbyście sami mieli przeskoczyć cały ten stopień przed wami, bez mojej pomocy. Rozumiecie?

Wszyscy trzej skinęli głowami.

–Teraz jeszcze jedna rzecz. Będę musiał zdjąć ubranie, żeby zamienić się w smoka. Inaczej rozerwałbym je na strzępy. Więc zrobię to od razu.

W samej rzeczy już zaczął zdejmować to, co miał na sobie.

–Weź mój pas – powiedział Jim do Dafydd – i zrób luźną pętlę wokół grzbietu i brzucha Aragha, tuż za jego barkami, ze sprzączką na górze. To mi pozwoli chwycić go jakoś, unieść i przenieść nad stopniem. Ty, Araghu, też mógłbyś mi pomóc, skacząc w tym samym momencie naprzód.

–To mogę zrobić – powiedział wilk sceptycznie. – W istocie gdyby do tego doszło, może potrafiłbym sam zrobić taki sus, nawet bez twojej pomocy – chociaż to by było ledwie o włos, naprawdę o włos. Sądzę jednak, że zapomniałeś o czymś, Jamesie. Ten twój pas nie na wiele się przyda, jeśli będzie leżał płasko na moich barkach. Lepiej już, żebyś od razu chwycił mnie szponami, żeby mnie podnieść. Tak czy inaczej możesz to zrobić próbując złapać pasek skóry leżący na moim grzbiecie.

–Dwóch z nas mogłoby kucnąć po obu stronach Aragha – zaproponował Giles. – Dość nisko, żeby być poniżej jego grzbietu, i z obu stron podnieść pas, żeby wystawał nad jego barki i dał ci trochę miejsca, by go złapać. Co ty na to, Jamesie?

–Brzmi nieźle – odrzekł Jim.

Był już prawie nagi i uświadomił sobie, że w wieży było nieprzyjemnie zimno. Gęsia skórka na ciele, myśl o skoku ze schodów i zmienianiu wcielenia w locie zaczęły przyprawiać go o mdłości. Wysokości się nie obawiał, ale igranie z możliwością samobójstwa było czymś, czego nawet jego obojętność na wysokość nie mogła zignorować.

W końcu był już kompletnie nagi. Zawiązał całe swoje ubranie w koszulę i przerzucił je bezpiecznie przez magiczny stopień na podest. Potem odwrócił się do krawędzi stopnia, na którym stał, i zawahał się. Granitowy kamień pod podeszwami jego stóp był zimny.

Wydało mu się, że zbyt długo się waha. Świadom był spojrzeń pozostałych. Dafydd zapiął już pas Jima wokół piersi wilka, tuż za barkami. Na szczęście pas ten kiedyś należał do sir Hugh'a i był o wiele za duży jak na potrzeby Jima. Ponad barkami Aragha wystawała całkiem spora pętla.

Nie można już było dłużej tego odkładać. Jim skoczył. Na ułamek sekundy przed skokiem próbował sobie powiedzieć, że wykonuje tylko swobodny lot jak ktoś ze spadochronem na plecach. Jednak myśl ta była jakoś nieprzekonywająca. Znalazł się nagle w powietrzu, a odległy dach pędził mu z dołu na spotkanie. Prawie wpadając już w panikę, zapisał rozkaz przemiany na wewnętrznej stronie czoła.

Poczuł wstrząs, kiedy skrzydła otworzyły się z trzepotem i odruchowo zaczął frunąć. Gdy przeleciał koło towarzyszy stojących na stopniach, przyhamował w samą porę, by uniknąć roztrzaskania się o sufit, wznoszący się zaledwie dziesięć stóp nad podestem, na który wszyscy chcieli się dostać. Znow zapomniał, jak potężną siłę nośną może w krótkim czasie wytworzyć swymi skrzydłami smok.

Jednak gdy opuściły go resztki paniki, opadł spiralą w dół wewnątrz wieży, co zmusiło go do bardzo ciasnych zwrotów, a potem zaczął znow wznosić się w górę.

Aragha trzeba było wziąć jako pierwszego albo drugiego, ponieważ dwóch z pozostałej trójki musiało przykucnąć obok niego i unieść pętlę skórzanego pasa. Jim wzbil się w górę, skręcił pod ostrym kątem do schodów, przechylił się, aby lewym skrzydłem nie otrzeć się o kamień, i spróbował chwycić za pas.

Chybił. Opadł na dół, skoncentrował się, wzleciał w górę i spróbował jeszcze raz.

Znow chybił. I znow. Wreszcie, gdy był już prawie doprowadzony do rozpacz, jego szpony ciasno zamknęły się na pętli pasa. Wilk pod nim skoczył i razem przenieśli się nad magicznym stopniem na podest.

Jim puścił pas w samą porę, żeby nie walnąć w mur, w który wprawione były drzwi z ciemnego drewna.

Ostro skręcił w bok, opadł w dół mniej więcej pięćdziesiąt stopni i znow podfrunął wyżej. Praktyka opłacała się. Potrzebował tylko dwóch prób, żeby podnieść i przenieść na podest Dafydda, i tylko po jednej na przeniesienie każdego z dwóch rycerzy.

Prawie wleciał na ścianę obok ciemnych drzwi po tym, jak bezpiecznie przeniósł jako ostatniego Giles'a.

W porę odbił w bok i skręcił ku środkowi wieży. Nawet jej pełna szerokość stanowiła wąskie miejsce dla tak wielkiego latającego stwora jak on. Skręcił, opadł

trochę, znów się wspiął i zapikował krótko ku otwartej przestrzeni podestu. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zmienić się w człowieka natychmiast po wylądowaniu, ale potem zdecydował, że zbyt trudno byłoby zgrać to w czasie.

Przyhamował więc i wylądował z głuchym grzmotnięciem.

Uderzenie było głośniejsze, niż przewidywał, i najwyraźniej jego towarzysze myśleli tak samo. Dwa miecze i długi nóż natychmiast ukazały swe ostrza, a Aragh obnażył zęby. Wszyscy czterej stłoczyli się koło ciemnych drzwi jak tygrysy przy bramie, za którą znalazła schronienie ofiara.

Jim pośpiesznie zmienił się znów w człowieka. Trzęsąc się z zimna ponownie się ubrał. Zdjął swój pas z wilka i przypasał znów miecz i mizerykordię. Przynajmniej raz czuł się dziwnie bardziej bezbronny jako smok niż jako człowiek. Teraz poczuł się dużo pewniejszy i bardziej zdolny do obrony samego siebie w ludzkiej postaci i ludzką bronią. Dobył miecza i dołączył do grupy przy drzwiach.

–Czas by było dostać się do środka – powiedział.

## Rozdział 26

Jim szedł pierwszy, mając oczy szeroko otwarte na wszystko, co czerwone. Wkroczyli do czegoś w rodzaju korytarza, z którego cztery wejścia prowadziły do dalszych, osobnych komnat, zajmujących resztę miejsca na tym poziomie wieży. Komnaty te były mniejsze niż na dole, gdyż wieża zwężała się ku górze, a sklepienie znajdowało się nie więcej niż piętnaście stóp ponad niezliczonymi dywanami rozłożonymi na posadzkach.

Meble, choć wciąż ubogie wedle dwudziestowiecznych pojęć, według czternastowiecznych były bogate i liczne. Ciężkie gobeliny zwieszały się od sufitu do podłogi, pokrywając każdy cal ściany, oprócz miejsc, gdzie znajdowały się szczeliny okien.

Były one nieco szersze niż zazwyczaj i miały przynajmniej sześć stóp wysokości. Każde z nich obramowane było czerwienią, a spojrzawszy przez nie, Jim zrozumiał czemu. Dzięki Magii w ciągu dnia mogły wpuścić więcej światła niż zwykłe okna o podobnych rozmiarach i dawały odpowiednio rozleglejszy widok na okolicę z tak wysokiego punktu wieży. Przypominało to prawie penthouse\* z panoramicznymi oknami ze świata Jima, umieszczony na tej samej wysokości.

Ostrożnie, z bronią w pogotowiu, przeszukali wszystkie pokoje, ale, jak zresztą prawie natychmiast obwieścił Aragh, nikogo tam nie było.

–Choć jest ktoś na górze – dodał wilk. – Czuję człowieka, ale nie wiem, kto to. Spiralne schody, niemal tak szerokie jak te, którymi dopiero co weszli do wieży, prowadziły prosto na wyższe piętro. Weszli na górę i odkryli kilka następnych pokoi wokół o wiele mniejszej, centralnej komnaty. Pokoje były cztery i każdy miał porządnie zamknięte drzwi, które dla oczu Jima jarzyły się czerwienią.

–Tych drzwi strzeże Magia – powiedział przyjaciółm. – Jeśli uda nam się odkryć bez dotykania, za którymi może być książę, to zdobędziemy punkt w tej grze. Araghu, dasz radę to stwierdzić?

Wilk podszedł blisko po kolei do każdych drzwi, tylko blisko, bo przystawał dobre sześć czy osiem stóp od nich, węsząc i nasłuchując z przekrzywionym łbem.

–Ktoś jest za tymi drzwiami – mruknął, zbadawszy je wszystkie i wróciwszy do trzecich drzwi. – Jak sądzę, jeden człowiek, słyszę, jak oddycha. Zdaje się, że śpi.

–To musi być nasz książę! – zawołał sir Giles ruszając naprzód. – Wejdźmy i zabierzmy go stąd.

–Gilesie, stój! – rzucił szybko Jim.

Rycerz zatrzymał się i odwrócił ze zdziwionym, niemal urażonym wyrazem twarzy.

–Pamiętasz, jak mówiłem, że strzeże ich Magia? – przypomniał mu Jim. – Każda próba ich otwarcia musi bez wątpienia zaalarmować Malwinne'a – jeśli nie gorzej!

Giles cofnął się, a Jim stanął wpatrując się w drzwi. Przyjaciele przypatrywali się jemu.

–Nie możesz ich zaczarować, żeby się jakoś otworzyły, Jamesie? – spytał Brian po długiej chwili.

–To właśnie próbuję zrobić! – odburknął Jim, a potem poczuł się głupio, że tak oschle się odezwał. – Wybacz, Brianie. Jestem zajęty koncentrowaniem się na tym,

**jak ominąć tę Magię.**

**–Nic nie szkodzi, Jamesie – powiedział poważnie rycerz. – Wiesz, że dobrze znam Carolinusa. Od Maga można spodziewać się takich rzeczy.**

**Jim nigdy nie wpadłby na to, że konieczność podobnej koncentracji może być jakimś wyjaśnieniem opryskliwości Carolinusa. Teraz jednak nie miał czasu zastanawiać się nad tym. Jego myśli mknęły naprzód.**

**Im więcej nad tym rozmyślał, tym bardziej upewniał się, że cokolwiek strzegło tych drzwi, poza wszystkimi innymi nieprzyjemnościami dla otwierających, miało zaalarmować osobiście samego czarnoksiężnika, że ktoś próbuje dostać się do jednego z jego strzeżonych pokoi. Mało było prawdopodobne, że zaufałyby służbie w zajęciu się czymś tak poważnym jak wtargnięcie do komnat, które najwyraźniej stanowiły jego prywatny apartament.**

**Cokolwiek innego mogły uczynić te czary – na przykład usmażyć niedoszłego intruza na chrapko – z pewnością były tak ustawione, że Mag sam nie zostałby zraniony przez nie ani nie wywołałyby alarmu wchodząc do komnaty. Nie było możliwe, żeby Jim zrozumiał Magię strzegącą drzwi. Mógł się jednak spokojnie założyć, że gdyby potrafił przełączyć to magiczne zabezpieczenie z Malvinne'a na siebie, mógłby może ukryć przed czarnoksiężnikiem fakt tego przeniesienia i jednocześnie uniknąć pułapek zastawionych na każdego, kto próbowałby dostać się do jednego z tych pokoi.**

**Pomyślał chwilę, a potem napisał na wnętrzu czoła:**



## **JA/NIE MALVINNE -- MAGICZNE OSTRZEŻENIE ITP./JEŚLI TE DRZWI OTWARTE**

Jak zwykle, kiedy tworzył w głowie magiczne polecenie, czynił też próby wyobrażenia sobie czegoś, co uosabiałoby to polecenie. W tym przypadku stworzył obraz czegoś podobnego do świetlistego promienia, który zmienia kierunek od Malwinne'a, gdziekolwiek był, do niego.

Także, jak zwykle, nie zobaczył ani nie usłyszał niczego odmiennego wokół siebie i nie odczuł żadnej specjalnej zmiany.

Wciąż patrzył na drzwi i zastanawiał się, co zrobić dalej. Teoretycznie drzwi zostały rozbrojone. Teraz on powinien być tym, który zostałby ostrzeżony, i cokolwiek jest w tych drzwiach niebezpiecznego, nie powinno działać przeciw niemu, jeśli spróbuje je otworzyć. Nie dowie się jednak tego, dopóki nie spróbuje wejść do pokoju.

Drzwi, oczywiście, nie miały żadnej klamki dwudziestowiecznego typu. Zamiast tego w miejscu, gdzie powinna być klamka, tkwiła mała sztabka – zaledwie na tyle duża, żeby dłoń wygodnie ją objęła i mogła pchnąć. W chwili gdy dotknie tej sztabki, będzie wiedział, czyjego czary powiodły się, czy nie.

–Dobrze – powiedział do pozostałych, biorąc głęboki wdech i nie odwracając się do nich. – Odsuńcie się wszyscy. Mam zamiar spróbować wejść przez te drzwi. Jeśli wejdem bezpiecznie, być może i wy będziecie mogli to uczynić. Odsunęliście się?

Głosy zza niego zapewniły go, że tak.

Wypuścił powietrze, które powstrzymywał, wziął jeszcze jeden oddech, wyciągnął rękę, złapał za sztabkę i pchnął. Gdy to zrobił, zdał sobie nagle sprawę, że drzwi mogło zamykać jeszcze coś tak prostego i zwykłego jak rygiel. W tej chwili jednak napierał już swoim ciężarem, żeby je otworzyć.

Żaden śmiertcionośny magiczny grom go nie trafił. Tylko głęboki, podobny do gongu dźwięk zabrzmiał mu trzy razy w głowie, a po nim głos, który powiedział: „Niebieska komnata została otwarta. Niebieska komnata została otwarta. Niebieska komnata została otwarta...”

Głos wciąż powtarzał te słowa i Jim zaczął już myśleć, że będzie tak ciągnął bez końca, kiedy raptownie zamilkł. Jim rozejrzał się po pokoju i zobaczył młodego człowieka, który właśnie się budził na małym łóżku wsuniętym w kąt, takim, jakie były powszechne wszędzie, gdzie Jim dotychczas się znalazł.

Jak dotąd wszystko było w porządku. Pozostawało jedynie pytanie, czy Malwinne nie został ostrzeżony przez jakiś uboczny element czarów. Jeśli tak, jeśli mimo wszystko został zaalarmowany, to szybko ruszą za nimi jego ludzie. Wtedy im prędzej się stąd zabrają, tym lepiej.

Jim wszedł do pokoju. Młody człowiek – „chłopak” byłoby lepszym słowem – siedział na krawędzi łóżka i przecierał oczy. Wyglądał młodziej niż na pierwszy rzut oka, na szesnaście czy dziewiętnaście lat, jak sądził Jim, chociaż czasem nie dawało się tego stwierdzić, patrząc na te świeże angielskie twarze, które wyglądały młodo, póki czas, pogoda czy blizny nie pozostawiły na nich swoich niezatartych śladów.

**Dostrzegł też w tym chłopaku coś z prostoduszności Johna Chestera. Lecz jednocześnie i coś wyszukanego. Coś, co albo było wynikiem wychowania, albo opanowaniem pokrywającym dającą się jednak dostrzec niewinność.**

**Ubrany był dość prosto, ale jego odzienie było bogate. Spał, jak wielu ludzi w tym świecie, w tym samym ubraniu, w którym chodził w ciągu dnia. Oprócz nogawic miał na sobie granatowy cote-hardie z naszytymi w wielu miejscach maleńkimi klejnotami lub też kawałkami mieniących się jak klejnoty szkiełek, które chwyciły i odbijały światło, kiedy się poruszał. Włosy miał kasztanowate, krótko przycięte, a na szyi złoty łańcuch, na którym wisiał jakiś medalion. Wzoru na nim Jim nie potrafił rozpoznać. Para wysokich do kostek butów z miękkiej skóry stała obok łóżka i młodzieniec włożył je, zanim przemówił.**

**W tej chwili Jim uświadomił sobie, że skoro on bezpiecznie dostał się do środka, to może i inni też mogliby wejść. Odwrócił się, żeby im to powiedzieć, i stwierdził, że już weszli.**

**Obaj rycerze przyklękli na jedno kolano naprzeciw młodzieńca na łóżku. Dafydd wciąż stał, tak jak i Aragh, ale zdjął swój stalowy hełm, który zawsze nosił od czasu, gdy Jim spotkał go w Blois. Był to hełm zbrojnego, bardzo różniący się od miękkiej, podobnej do beretu czapki, którą zazwyczaj wkładał.**

**Jim najwyraźniej trochę się spóźnił z ostrzeżeniem reszty, że podążanie za nim może być niebezpieczne. Odsunął jednak na bok tę sprawę, zajęty dość kłopotliwą kwestią etykiety. Teoretycznie on też powinien przyklęknąć. Ostatecznie był bezpośrednim wasalem króla, ojca tego młodzika. Ale przyzwyczajenie całego życia przeszkadzało mu to uczynić. – Do diabła z tym! – powiedział sobie pod nosem, i dalej stał.**

**–Kimże jesteście, szlachetni panowie? – spytał młody człowiek patrząc na Jima, Briana i Gilesa, gdy już włożył drugi but. Machnął dłonią. – Podnieście się. Wstańcie, proszę. To nie miejsce na ceremonie. Jeśli jesteście wrogami, żadnych ceremonii nie oczekuję, jeśli zaś przyjaciółmi, macie moje pozwolenie.**

**–Jesteśmy przyjaciółmi, Wasza Wysokość – odrzekł Brian wstając i występując naprzód. – I Anglikami – to znaczy trzej z nas są Anglikami. Najbliżej was stoi sir James Eckert, baron de Bois de Malencontri, lenna otrzymanego w darze od waszego królewskiego rodzica przeszłego roku, następny to sir Giles de Mer, wierny rycerz z Northumber-land. I wreszcie ja sam, który zwę się sir Brian Neville-Smythe, z młodszej gałęzi Neville'ów z Raby, proszę Waszej Wysokości. Pozostali to także przyjaciele, choć nie Anglicy. Ów wysoki mężczyzna, który nam towarzyszy, to Walińczyk zwany Dafydd ap Hywel, a z nim jest Aragh, angielski wilk.**

**Książę uśmiechnął się.**

**–Zdaje mi się, że przynajmniej czterej z was są Anglikami – powiedział – jeśli wilk jest tak opisany.**

**–Urodziłem się angielskim wilkiem i umrę angielskim wilkiem – rzekł Aragh – choć nie z twego królestwa, gdyż jestem wolnym wilkiem, a mój naród zawsze był wolnym narodem. Jednakże jestem przyjacielem i pozostanę nim dla ciebie, skoro pochodzisz z mego własnego kraju. Tylko nie spodziewaj się po mnie ludzkich**

zwyczajów. Tego nigdy się nie robiło wśród nas, wilków.

Książę mimowolnie ziewnął.

–Jesteś zwolniony ze wszelkich takich manier, sir wilku – powiedział. – Nie jestem w takim położeniu, by patrzeć krzywo na zachowanie któregokolwiek z przyjaciół, jacy tu do mnie dotarli. W istocie nigdy nie śmiałybym marzyć, że ktokolwiek, Anglik czy nie, mógłby znaleźć mnie w tym miejscu, gdzie więzi mnie Malvinne.

Uśmiechnął się do nich z łóżka.

–A teraz, skoro dotarliście do mnie – kontynuował – co dalej?

–Wydostaniemy stąd Waszą Wysokość – powiedział – Jak szybko się da.

–Ale jak mamy to zrobić, Jamesie? – spytał Brian. – W chwili gdy dotrzemy na dół schodów w towarzystwie Jego Wysokości, wszyscy tam zgromadzeni rozpoznają, kim jest. Jeśli nas wtedy natychmiast nie zaatakują, to rozbiegną się i rozniosą ostrzeżenie. A jesteśmy w samym sercu zamku czarnoksiężnika.

–Mówisz o kręconych schodach wewnątrz wieży? – upewnił się książę wstając z łóżka.

–Tak, Wasza Wysokość – odparł Jim.

–Nie jestem pewien – rzekł książę marszcząc nieco brwi – lecz sadzę, że MaMnne miał stąd inne wyjście, sekretne, znane tylko jemu. Od czasu do czasu właściwie wspominał o tym, kiedy był tu ze mną.

–Często go widywaliście? – spytał Jim.

–Zjada ze mną posiłek mniej więcej co drugi dzień – odpowiedział książę. – W samej rzeczy jego twarz jest jedyną, jaką kiedykolwiek widziałem tu, w tym przeklętym miejscu, które stało się moim więzieniem.

Jim dokonał w głowie szybkiej kalkulacji. Kiedy Bernard znalazł ich i zabrał do zamku, był dopiero wczesnowieczorny mrok. Od tego czasu do teraz nie mogło upłynąć więcej niż dwie godziny – najwyżej trzy. Nie groziło więc, żeby czarnoksiężnik pojawił się na lunchu w samym środku ich ucieczki.

–To przeklęty i zarozumiały towarzysz przy stole – ciągnął książę. – Nie mówiąc już o tym, że jadło popija tylko wodą. Muszę jednak przyznać, że wino, jak i jedzenie, które obaj spożywamy, jest dość dobre. Ale większość czasu poświęca na opowiadanie mi o swoich wielkich mocach i umiejętnościach; a jednym z tematów, które pojawiały się w rozmowach od czasu do czasu, były uwagi, że ma swoje własne, tajemne przejście w obrębie chateau.

–Lecz czy stąd może być takie wyjście? – spytał sir Giles. – Proszę mi wybaczyć, Wasza Wysokość, nie chcę zdawać się wątpić w to, co słyszeliście, ale ta wieża jest zupełnie goła, wyjąwszy te schody kręcące się w jej wnętrzu. Sam nie widzę żadnej innej drogi, którą mogłaby wymknąć się stąd choć pchła, poza tymi schodami.

–Nie jest to więcej, niż i ja widzę, mój dobry rycerzu z Northumberland – stwierdził książę. – Jednakże Malvinne o czymś takim wspomniał, czy też może powinienem powiedzieć, robił do tego aluzje. Bo nigdy nie powiedział wprost, że ma sekretne przejście do tego miejsca.

–Byłaby to niewątpliwie droga magiczna – wtrącił Brian.

–Być może... – powiedział Jim.

Myślał szybko i intensywnie. Z pewnością błyskawiczne przeniesienie się za pomocą czarów, skądkolwiek, gdzie czarnoksiężnik mógł się znajdować, do tej wysokiej wieży, byłoby dużo wygodniejszym sposobem dostania się tutaj niż wspinanie się po tym długim ciągu schodów. Z drugiej strony...

Od czasu gdy Carolinus wspomniał o rozrzutnym trybie życia Malwinne'a w porównaniu ze skromnym, jakie prowadził on sam, pewien drobiazg kołatał się Jimowi po głowie.

Niemal od pierwszej chwili ich spotkania, kiedy Jim wcielony był w smoka Gorbasha, Mag wpajał mu zasadę, że Pierwszym Prawem Magii było Prawo Zapłaty.

Każdy rodzaj Magii wymagał równej jej miarą zapłaty. Co więcej, istniał Wydział Kontroli, który miał za zadanie prowadzić rachunki i sprawdzać, czy wydatki równoważone były przez dochody. Dochody pochodziły z wykonywania aprobowanej pracy, która powiększała kredyt magicznego rachunku czarodzieja, oprócz oczywiście zwykłych sposobów, w jakie mogła mu się opłacać. Jednak zwykła opłata i opłata magiczna nie miały ze sobą nic wspólnego.

Na przykład pierwsze spotkanie Jima z Carolinusem skończyło się na tym, że Mag targował się jak druciarz na wiejskim jarmarku ze stryjecznym dziadkiem Gorbasha, Smrgolem. Dopiero za coś, co zdawało się Jimowi dość sporą sumą w złocie i klejnotach, czarodziej zgodził się pomóc mu odzyskać Angie.

Później powiedział, że gdyby zdawał sobie sprawę z tego, że było to działanie w dobrej sprawie, mogliby mieć jego pomoc za darmo. Nie żeby zwrócił kiedykolwiek złoto i klejnoty, jeśli się nad tym zastanowić. Lecz zdarzenie to wskazywało na fakt, iż Mag potrzebował zwyczajnych dochodów, aby żyć w zwyczajnym świecie. Jednocześnie potrzebował dobrego magicznego kredytu w Wydziale Kontroli, żeby wykonywać swoje czary.

Najwyraźniej Magia dokonywana na AAA+ poziomie umiejętności Carolinusa, tak samo jak na AAA poziomie Malwinne'a, była zajęciem kosztownym – w sensie bilansu magicznego, jeśli nie innym.

Wszystko sprowadzało się do tego, że czarnoksiężnik mógł mieć dobre źródła zwykłych ludzkich dochodów, ale w tym samym czasie mógł ledwie wiązać koniec z końcem, jeśli szło o jego magiczny kredyt. Wydział Kontroli niewątpliwie wiedział, jaki jest jego kredyt, ale Jim nawet bez pytania był pewien, że nie powiedzieliby czarodziejowi klasy D, takiemu jak on, jaki był kredyt czarodzieja klasy AAA. Ale gdyby przyjąć tylko, że Mahdnne był w sytuacji, w której chcąc utrzymać odpowiedni poziom życia, musiał wyczerpywać swój magiczny kredyt niemal do dopuszczalnych granic...

W tym przypadku mógł od czasu do czasu albo nawet stale szukać sposobów na robienie różnych rzeczy zwykłymi metodami, by uniknąć wykonywania ich za pomocą czarów i wyczerpywania magicznego kredytu bardziej, niż to konieczne.

W takim razie jeśli miał sekretną drogę na górę, to równie dobrze może ona nie być drogą magiczną. Może być absolutnie zwyczajna, tyle że bardzo sprytnie ukryta przed zwykłymi oczami, żeby zaoszczędzić magicznego kredytu Maga.

Pytaniem było, jak wspomniał Giles, gdzie też jakaś inna droga – z poziomów

znacznie niższych aż do tych tutaj – mogła być ukryta w gołych murach wieży. Nagle Jim podjął decyzję.

–Jak zbudowanie takiego przejścia jest możliwe, nie ma nic do rzeczy – powiedział. – Znajdźmy najpierw i wejście do niego, jeśli takie tu jest. Kiedy je znajdziemy, automatycznie dowiemy się, jak mogło zostać ukryte.

Twarze wszystkich rozjaśniły się, a on już się odwrócił i skierował ku wyjściu, zupełnie zapominając o takich sprawach jak ta, że potrzebuje pozwolenia ze strony osoby królewskiego rodu, zanim opuści pomieszczenie, w którym zdarzyło się przebywać takiej królewskiej osobistości. Przypomnił sobie o tym, kiedy był już za drzwiami. Ale wtedy zdecydował po namyśle, że najlepsze będzie zignorowanie tego tym razem, gdyż wśród trudności, które niewątpliwie pojawią się, zanim odstawią księcia z powrotem do jego armii Anglików, nie będzie czasu na etykietę. Równie dobrze mogli zacząć obywać się bez niej już teraz.

Wszyscy podążyli za nim. Jim stanął naprzeciw trojga pozostałych drzwi. Zamierzał użyć tego samego przeniesienia sygnału ostrzegawczego przy każdych drzwiach, żeby można było bezpiecznie wejść do innych pokoi i je przeszukać. Przez chwilę bawił się pomysłem jakiegoś uniwersalnego rozkazu, który otworzyłby mu wszystkie drzwi od razu. Zdecydował się jednak grać ostrożnie. Zbliżył się do pierwszych drzwi po lewej i napisał sobie wewnątrz czoła magiczne polecenie przełączenia ostrzeżenia z Malvinne'a na niego, jeśli drzwi zostaną otwarte.

Tym razem wszedł bez wahania. Komnata była zupełnie pusta. Pozostali weszli za nim, zostawił więc ich, żeby ją przeszukali, a sam poszedł sprawdzać następną. Ta też była całkowicie pusta. Ujrzał tam kamienną zewnętrzną ścianę ze szczelinami okien – zakrzywiona ściana samej wieży – i trzy boczne ściany, także z kamienia. Nigdzie nie było czerwonej barwy, która wskazywałaby, że użyto Magii, aby strzec czegoś takiego jak sekretne przejście.

Wszedł z niej i poszedł sprawdzić czwartą komnatę. Odkrył, że była prawie trzykrotnie większa niż pozostałe, włącznie z tą, w której trzymano księcia. Najwyraźniej była ona czternastowiecznym odpowiednikiem laboratorium. Pewna liczba osobliwie wyglądających przyrządów i naczyń, niemal wyłącznie ze szkła, rozstawiona była na stole i półkach przy ścianie. Na większości z tych pojemników widniały tajemnicze znaki. Jim przypuszczał, że pewnie istniał jakiś magiczny sposób odczytania tych znaków, ale naprawdę nie było teraz czasu na takie rzeczy. Cokolwiek by znalazł w tych naczyniach, pewnie i tak nie pomogłoby im w ucieczce.

Poza tymi sprzętami i stołami, na których były one rozłożone, w bałaganie komnaty nie kryło się nic żywego oprócz czegoś, co wyglądało jak spora, żółta klatka na ptaki, a w czym znajdowało się sześć dość pospolicie wyglądających domowych myszy.

Jim otworzył drzwiczki klatki, wychodząc z założenia, że przynajmniej tym myszom da szansę uwolnienia się od czarnoksiężnika. Ale myszy skryły się w kącie i w ogóle nie próbowały wyjść. Zostawił więc je w klatce z uchylonymi drzwiczkami. Wcześniej czy później, jak sądził, zbiorą się na odwagę, żeby wystawić głowy na zewnątrz, a wkrótce potem znajdą się na wolności. Reszta będzie zależeć od nich.

Wrócił na otwarty korytarz piętra łączący wejścia do czterech komnat. Pozostali zebrali się wokół niego, czekając na dalsze rozkazy. Zdziwiło go, że księżę nie stawiał żadnych pytań ani żądań. Choć częściowo już się na to przygotował. W tym społeczeństwie jeśli ktokolwiek w jakimś czasie przewodził, ten był przywódcą. Oczywiście można było rzucić mu wyzwanie, i pewnie często tak robiono, ale dopóki to się nie zdarzyło, wszyscy szli za przykładem reszty i automatycznie dostosowywali się, gotowi do posłuchu.

–Sir James jest Magiem, Wasza Wysokość – usłyszał, jak Brian wyjaśnia księciu.

– To dlatego mógł bezpiecznie otworzyć drzwi. W przeciwnym razie Magia prawdopodobnie zniszczyłaby nas i ostrzegła Malwinne'a.

–Doprawdy! – powiedział księżę spoglądając na Jima z rosnącym szacunkiem.

–Czarodziejem, ale, jak się obawiam, o wiele niższej rangi i o mniejszych zdolnościach niż Malwinne, Wasza Wysokość – dodał Jim. Nie należało pozwalać księciu tworzyć sobie jakichś fałszywych pojęć o tym, czego mógł dokonać. – Słuchajcie, tu na górze najwyraźniej nie ma żadnego przejścia. Zbadamy, jak się sprawy mają na dole, w tych, jak się zdaje, prywatnych kwaterach Maga.

Pośpieszył na dół po schodach, a pozostali ruszyli za nim. Powtarzał sobie, że najpierw powinien był rozejrzeć się na dole. Było bardziej prawdopodobne, że jakieś prywatne przejście znajdowało się w prywatnych komnatach czarnoksiężnika, a nie w jego laboratorium czy też w innych pomieszczeniach, których używał jako cel czy też dla innych potrzeb.

Piętro niżej znów zadziwiło go bogactwo umeblowania. Wszystkie meble były starannie wykonane, bogato rzeźbione i ozdobnie wykończone. Co więcej, oprócz kilku niskich stolików i stosów poduszek, które nadawały temu pomieszczeniu niemal orientalny wygląd, nie było tam żadnych zwykłych stołków czy stołów skonstruowanych wyłącznie dla użytku. Na posadzce leżały grube warstwy kobierców, a ciężkie gobeliny zwisały nieruchomo ze ścian, nawet nie poruszane przeciągami, które od czasu do czasu hulały po pustej w środku wieży.

–Sądzę, że wszyscy powinniśmy szukać, żeby jak najszybciej zbadać jak największą powierzchnię – powiedział Jim. – Także Wasza Wysokość, jeśli bylibyście tak łaskawi. Wy macie większe szansę niż któryś z nas, gdyż mogliście usłyszeć od niego coś, czego nie przypominacie sobie od razu, ale co mogłoby wam coś zasugerować, kiedy będziecie na to patrzeć. Reszta niech szuka wszystkiego, co przypomina drzwi – kasetonów, skrzyń lub czegokolwiek w tym rodzaju.

Rozproszyli się, żeby zrobić, jak powiedział. On sam ruszył na poszukiwania, wypatrując nie tyle jakichś szczególnych znaków wskazujących na istnienie przejścia, ile czegokolwiek, co miałoby czerwony kolor. Jeśli miałoby tu być sekretne wyjście, jak to sobie wyobrażali, to prawie na pewno będą go strzegły czary. Podczas gdy inni z bliska przyglądali się każdej z komnat, a Aragh w rozmaitych miejscach używał swego nosa, Jim przeszukiwał ściany, a nawet posadzkę, żeby znaleźć choć błysk czerwieni.

Cała powierzchnia zajęta tu na dole przez pokoje była tylko niewiele większa niż komnaty, które widzieli na górze, gdyż wieża mocno zwężała się od podstawy w

**kierunku szczytu. Nad najwyższym piętrzem najprawdopodobniej był dach albo też otwarta przestrzeń osłonięta murem wysokim do piersi, tak żeby wieży można było bronić zwykłym średniowiecznym sposobem przed każdym, kto chciałby ją wziąć szturmem.**

**Jim nie sądził, żeby sprawdzanie tam, na samej górze, miało sens. Każde przejście, które tam mogli znaleźć, musiałyby biec przez oba niższe piętra, aby zapewnić możliwość zejścia na dół. Przejście musiało zostać ukryte na tym poziomie, gdyż z pewnością żadne nie zostało ukryte powyżej. Wziąwszy razem wszystkie komnaty, można było zbadać od wewnątrz cały obwód wieży.**

**Przeszukanie piętra zajęło im około pół godziny. Nie trwałoby to tak długo, gdyby nie pewne szczególne meble – niektóre szafy czy kredensy, jakim trzeba było przyjrzeć się bliżej. Żadne z nich nie były strzeżone czarami, więc Jim pozwolił innym do nich zajrzeć. Zwłaszcza wilk wtykał wszędzie pysk, żeby poczuć, co mu powie nos. W każdym przypadku wynik był jednak negatywny. Prawdę mówiąc, wynik był negatywny, jeśli chodzi o całe piętro. Raz jeszcze zebrali się razem, na korytarzu, stłoczeni obok schodów i zawiedzeni.**

**–Obawiam się, sir Jamesie – powiedział książę – że ta droga, którą przybywał tu Malwinne, inna niż schody, I musiała być magiczna. Przeszukaliśmy całe to piętro i nic nie znaleźliśmy.**

**Co dziwne, właśnie ten brak sukcesów sprawił, że Jim się uparł. Im więcej o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że musiało istnieć tajemne, ale czysto fizyczne przejście stąd na najniższe piętra. Niespodziewanie wpadł mu do głowy pomysł.**

**–Posłuchajcie! – rzekł nagle. – Popatrzcie za gobelinami. Szukajcie wszystkiego, co czerwone – ale jeśli zobaczycie cokolwiek czerwonego, nie dotykajcie tego.**

**–Czerwonego, Jamesie? – spytał Brian.**

**Jim po cichu zaklął. Oczywiście był jedynym, który mógł zobaczyć wybrany przez niego ostrzegawczy kolor. W pośpiechu napisał we wnętrzu czoła nowe magiczne polecenie:**

# **WSZYSCY WIDZIEĆ -- MAGICZNE OSTRZEŻENIE NA CZERWONO, TUTAJ**

**–Tak – powiedział Jim. – Właśnie teraz zrobiłem trochę drobnych czarów, które powinny sprawić, że to tajemne przejście będzie lśnić czerwienią. Jeśli zobaczycie coś takiego, od razu mnie wołajcie. Powtarzam jeszcze raz, nie dotykajcie tego! Nawet się nie zbliżajcie, jeśli uda się tego uniknąć. Wszystko, co jest czerwone, może być śmiertelne.**

**Jeszcze raz rozbiegli się na poszukiwania, a on znów zaczął gorączkowo badać jedną ze ścian, odsuwając krawędzie gobelinów od kamienia.**

**Tym razem poszukiwania potrwały trochę dłużej, może ponad godzinę; ale także nie ujawniły niczego takiego, czego szukali.**

**Kiedy wszyscy byli znów razem, Jim zauważył, że Aragh, zamiast stać razem z nimi, najwyraźniej śpi na stercie poduszek na podłodze. Wyglądał, jakby był tam już od pewnego czasu.**

**–Araghu! – zawołał Jim. – Nie szukałeś z pozostałymi?**

**Wilk otworzył jedno oko, potem drugie, a potem wstał na nogi i otrząsnął się.**

**–Nie – odpowiedział. Wszyscy popatrzyli na niego.**

**–Dlaczego nie? – dopytywał się Jim.**

**–Sądziłbym, że ktoś taki jak ty, Jamesie, powinien to wiedzieć – odparł Aragh. – My, wilki, nie widzimy tego, co wy, dwunożni, nazywacie kolorami. Dla nas te różnice są tylko częścią zwykłego świata czerni, bieli i szarości. W istocie mam tylko słowo ludzi na potwierdzenie tego, że istnieje coś poza tymi odcieniami, które widzę. Pewnie też nie przydałbym się na wiele, nawet gdybym mógł widzieć to czerwone zabarwienie – ciągnął ziewając. – Moje oczy nie są dobre do tego rodzaju patrzenia, choć często zauważam rzeczy, których nie widzą inni. Naturalnie, gdyby ta „czerwień” miała zapach, reszta z was prawdopodobnie zostałaby daleko z tyłu za mną w poszukiwaniach.**

**–Oczywiście! Byłem głupcem! – zawołał Jim. – Aragh, przygotuj się na użycie swojego nosa.**

**–Nie masz zamiaru mnie zaczarować? – zapytał szybko wilk.**

**–Nie, nie! – zaprzeczył Jim. – Mam zamiar zaczarować to, czego szukamy tak, że oprócz koloru, będzie miało i zapach. Co sądzisz o zapachu czosnku?**

**–To – stwierdził Aragh, otwierając szczęki jakby! w uśmiechu – taki zapach, który, jak sądzę, nawet wy, j ludzie, z czasem byście znaleźli. Proszę bardzo, niech; będzie czosnek.**

**Jim napisał na wnętrzu czoła nowe magiczne polecenie:**



## MAGIA -- CZERWONE PACHNIEĆ JAK CZOSNEK

Zaledwie skończył pisać te słowa, a uszy Aragha podniosły się i wilk pobiegł truchtem w stronę podestu nad] magicznym stopniem, który pokonali z takim nakładem sił. i Powęszył tam koło paru kobierców. Potem wsadził koniec pyska pod krawędź jednego z wierzchnich dywanów i pociągnął nosem, jak się zdawało głęboko i z wyraźną satysfakcją. Wziął krawędź kobierca w zęby i odciągnął go na bok.

–No, Jamesie – sapnął, puszczając odciągnięty kobierzec i wracając, by zaatakować następny pod spodem – i co czekacie? Znalazłem to.

Jednomyślnie rzucili się w to miejsce i zaczęli odciągać na bok liczne warstwy dywanów. Kiedy je zdejmowali, zaczął wyraźnie przeblyskiwać kolor. Kolor czerwony.

–Odsuńcie się, odsuńcie się wszyscy! – polecił Jim. Ja odsłonię resztę.

Począł, aż się wycofają, a potem pochylił się i zaczął odciągać na bok kilka ostatnich dywanów. Spod nic ukazała się kłapa w posadzce, mocno błyszcząca czerwienią. Jeszcze raz Jimowi zabrzmiało w głowie magiczne ostrzeże nie. Począł, aż ucichnie, a potem odwrócił się do pozostałych.

–Mam zamiar otworzyć tę kłapę – powiedział. Powinienem móc to zrobić równie bezpiecznie, jak otworzyłem drzwi na górze. Gdyby mi się jednak nie udało i coś mi się stało, spróbujcie zrobić jakąś linę, przywiązać! do niej ciężar i pozwólcie, by spadł z podestu w taki! sposób, żeby pociągnął i otworzył kłapę. Potem niech jeden z was spróbuje zobaczyć, czy przejście jest bezpieczne. Jeśli okaże się, że tak, pozostali będą mogli iść za nim.

–Obawiasz się o swoje życie, jeśli uniesiesz tę kłapę, Jamesie? – spytał Brian.

–Istnieje pewne niebezpieczeństwo – przyznał Jim.

–W takim razie – poprosił rycerz – pozwól mi to zrobić. Jesteś bardziej potrzebny Jego Wysokości, pomagając mu wydostać się z tego przeklętego miejsca, niż ktokolwiek z nas. Jeśli więc istnieje ryzyko, pozwól mi zaryzykować pierwszemu.

–Dzięki, Brianie – powiedział Jim. Był wzruszony, bo odczytał w słowach Briana coś więcej niż tylko troskę o bezpieczeństwo księcia. Znał go zbyt dobrze. Rycerz niepokoił się też o niego, Jamesa, i jak zwykle proponował, że stanie pomiędzy niebezpieczeństwem a swoim przyjacielem. – Obawiam się jednak, że Magia, która powinna mnie chronić, nie będzie chroniła reszty was. Tak więc nie ma tu wyboru. Muszę być tym, kto pierwszy spróbuje podnieść te drzwi. Odsuńcie się.

Odwrócił się do kłapy, nie patrząc, czy zrobili tak, jak powiedział. Wyciągnąwszy rękę ujął mocno uchwyt, który nie różnił się zbyt od uchwytów drzwi na górze poza tym, że osadzony był w kłapie, która musiała mieć znaczną grubość. Pociągnął więc zań, spodziewając się, że będzie podnosił spory ciężar. Lecz kłapa musiała być w pewien sposób przeciwważona, gdyż z łatwością odskoczyła w górę przy pierwszym wysiłku. Pod nią ukazał się pusty otwór i stopnie prowadzące w dół. Czerwień nie obejmowała dolnej strony kłapy ani niczego pod podłogą, w którą była wprawiona. Przyglądając się jej dokładniej, Jim zobaczył, że czerwony kolor kłapy zniknął, jak to się pewnie działo zawsze, kiedy podnosiła ją ręka, którą rozpoznawano jako rękę Malwinne'a.

**–Proszę – odezwał się – oto rozwiązanie naszej zagadki. Widzicie, dokąd prowadzi?**

**Wskazał ręką. Stopnie biegły w dół w podporach poniżej zwykłych schodów. Miejsca było tak mało, że trzeba by iść gęsiego, a Dafydd i Jim musieliby schylić głowy, gdyż niewiele było przestrzeni między stopniami, po których by szli, a spodnią stroną schodów ponad ich głowami. Była to jednak najwyraźniej ich droga wyjścia i ucieczki z tego miejsca.**

**–Idźcie moim śladem – rozkazał Jim. – Wasza Wysokość lepiej niech idzie tuż za mną. Wszyscy uważajcie, żeby z dywanu zejść prosto na pierwszy stopień pod klapą. Nie sądzę, żeby brzegi otworu wciąż były dla was niebezpieczne, ale lepiej nie ryzykować.**

**–Świetnie się spisałeś, sir Jamesie – chwalił księżę, spoglądając na niego z odrobiną lęku – a także sir wilk. Będę o tym pamiętał, o was obydwu.**

**Rozejrzał się wokół siebie.**

**–Tak jak będę pamiętał o was wszystkich, moi wyzwolicieli – powiedział.**

**–Jeszcze się stąd nie wydostaliśmy – odparł Jim – ale przynajmniej mamy szansę.**

**Mimo tych słów było. mu lżej na sercu. Czuł, że jeśli Malvinne zadał sobie trud zrobienia sekretnego przejścia takiego jak to, mogło ono równie dobrze prowadzić tajemnymi drogami gdzieś daleko na zewnątrz zamku. Przynajmniej można by na to z powodzeniem liczyć. Zawahał się jednak przed powiedzeniem o tym pozostałym, gdyż obawiał się, że jego przewidywania mogą być błędne.**

**Ruszył w dół schodami, a inni poszli za nim. Gdy zeszli, Jim starannie zamknął za nimi klapę z dywanami na wierzchu.**

## Rozdział 27

Stopnie i ściany dookoła promieniowały jakimś niewątpliwie magicznym rodzajem oświetlenia. Gdy zeszli około dziesięciu czy piętnastu stóp poniżej poziomu podestu, wysokość przejścia zwiększyła się tak, że Jim i Dafydd mogli iść wyprostowani. Wcześniej Jim obawiał się, że będą musieli schodzić w ciemności, wymacując drogę w dół po schodach. Tego, że Malwinne zainstalował światło, należało się właściwie spodziewać i był zakłopotany, że tego nie przewidział.

Chociaż istniały też powody, by sobie pogratulować. Schodzili powoli w dół długich sekretnych schodów do mieszkalnych poziomów, gdzie te drugie schody nad nimi zaczynały kręcić się w górę. Jim odkrył pewne ułatwienie tego ich zejścia. W niektórych miejscach między stopniami a podporami pozostawiono małe szczeliny. Ich rozmieszczenie było najwyraźniej przypadkowe. Znajdowały się jednak w dość regularnych odstępach i wyglądając przez nie, można było zyskać ograniczony, ale przydatny widok tego, jak blisko byli poziomowi, z którego rozpoczęli swoją wspinaczkę.

W końcu prawie znaleźli się na poziomie wyjściowym. Jim poprowadził ich na dół po ostatnich stopniach i doszli do miejsca, gdzie sekretne przejście kończyło się. Tam, gdzie się kończyło, spotykał je korytarz, biegnący w dwóch kierunkach.

Na lewo prowadził w górę po stromych schodach aż do zakrętu, jakby wspinając się do następnej wieży. Na prawo od nich wąski korytarz o gładkiej posadzce nachylał się lekko w dół, tak jakby miał łagodnie zejść na nieco niższy poziom.

Jim przesunął się w prawo, na tę gładką posadzkę, żeby dać innym trochę miejsca, by mogli zejść i stanąć wszyscy razem. Schody na lewo miały szczeliny, przez które przedostawało się światło, kilka takich szczelin znajdowało się także w sklepieniu gładkiego korytarza, choć jego wysokość w tym miejscu uniemożliwiała Wyglądanie. Mimo to szczeliny rozjaśniały trochę półmrok światłem z zewnątrz, wystarczającym, żeby korytarz poniżej był widoczny.

–Dokąd teraz, sir Jamesie? – głos księcia odezwał się przy uchu Jima.

Jim przestał się przyglądać gładkiej posadzce słabo oświetlonego korytarza i odwrócił się, żeby spojrzeć znów na schody, a potem na swoich towarzyszy.

–Nie mam żadnego pewnego sposobu, żeby sprawdzić, którą drogę wybrać, na prawo czy lewo – stwierdził. – Czy ktoś ma jakieś powody sądzić, że jedna z nich będzie lepsza niż druga?

Ze strony pozostałych odpowiedziała mu zupełna cisza. Nawet wilk niczego nie zaproponował.

–Araghu – spytał Jim – czy twój nos nie mówi ci nic o tym, co może leżeć w górze tych schodów albo dalej w tym korytarzu?

–Wszędzie jest ten sam zapach – odrzekł wilk. – Dwunożni, jedzenie i wszystkie zapachy miejsc, w których żyjecie wy, ludzie,

Jim wziął głęboki oddech.

–No dobrze – powiedział. – W takim razie wydaje mi się, że chcemy iść wszędzie, byle nie w górę. Korytarz po prawej nachyla się trochę, jakby miał wyjść na poziomie parteru czy nawet gdzieś niżej poza zamkiem. To może znaczyć, że jeśli pójdziemy

na prawo, znajdziemy się na tajemnej drodze ucieczki, którą Malwinne zrobił dla siebie na wypadek, gdyby jego zamek zaatakowano i zdobyto. Myślę, że powinniśmy skręcić na prawo.

Po jeszcze jednej krótkiej chwili ciszy usłyszał głos księcia:

–W tej sytuacji ty prowadzisz, sir Jamesie. Nie widzę lepszego dla nas wyjścia, niż iść za tobą.

–Dziękuję, Wasza Wysokość – powiedział Jim. – Zatem idziemy.

Skręcił i ruszył zbiegającym w dół tunelem. Słyszał, że pozostali idą za nim.

Wszystko wydawało się całkiem zwykle i proste – aż nagle, bez ostrzeżenia, droga pod nim opadła stromo w dół i nogi uciekły spod niego, jakby posadzka była natłuszczona. Przewrócił się na nią i zaczął zsuwać się z coraz większą prędkością. Za sobą słyszał innych, jak też padają i ześlizgują się za nim przy akompaniamencie nieartykułowanych okrzyków przestrachu księcia i siarczystych przekleństw Briana i Gilesa.

Tempo ich zjazdu niebywale wzrosło, tak że zdawali się jechać na dół jak bobsleje na torze saneczkowym. Stało się jasne, że korytarz zbiegał na dół spiralą, tak jak schody wspinały się spiralą na szczyt wieży. Jim zobaczył nagle błysk czerwieni, rzeczywisty, ale jakby za oczami w głębi czaszki.

Podczas gdy kręciło mu się w głowie od niewiarygodnie szybkiego wirowania, zdążył zezłościć się na siebie za swój własny błąd.

Wchodząc po schodach na górę zapisał we wnętrzu czoła magiczne polecenie, które pozwalało mu zobaczyć wszystko, co magiczne, jakąkolwiek pułapkę, znajdujące się nad nim na czerwono. Ale odniósł to wyłącznie do zasadzek przed nim i powyżej.

Nie przyszło mu wcześniej do głowy, że mogli natknąć się na czary na niższym poziomie zamku. A teraz tak właśnie się stało. Coś w rodzaju magicznej pułapki zostało zastawione tam, gdzie tajne schody krzyżowały się z korytarzem. A on, idiota, sformułował swoje polecenie tak źle, że pułapka nie rozbłysła ostrzegawczym kolorem, tak jak zrobiły to poprzednie na górze. Teraz było już za późno, dali się schwytać w tę śliską, kręconą zjeżdżalnię, która niosła ich do wnętrza ziemi.

Jak długo trwał ten zjazd, nie można było stwierdzić. Jim myślał później, że w pewnej chwili musiał stracić przytomność, albo od tego, że kręciło mu się w głowie, albo z jakiegoś innego, magicznego powodu. W każdym razie doszedł do siebie raptownie, leżąc twardo na czymś pionowym i nieustępliwym, a stłoczone ciała innych opierały się o niego, przygniatając go tak, że omal się nie udusił. Otworzył usta, chcąc poprosić resztę towarzyszy, by z niego zleźli, ale już to robili. W chwilę potem mógł podnieść się na własne nogi.

Stali w kompletnych ciemnościach.

–Gdzie jesteśmy? – rozległ się głos Gilesa. – Pamięć mnie zawodzi. Przypominam sobie tylko, że przed chwilą się ocknąłem i odkryłem, że znaleźliśmy się tutaj.

Głosy Briana i księcia potwierdziły te odczucia.

–Ale gdzie jesteśmy? Sir Jamesie? – rozległ się głos księcia. – Jesteś tu, sir Jamesie?

**–Dotykam teraz Waszej Wysokości – powiedział Jim. J Poruszył ręką dowodząc tego.**

**–Więc co robimy teraz, sir Jamesie? – dopytywał się książę. – Wciąż kręci mi się w głowie, ale sądzę, że mogę j utrzymać się na nogach. Gdzie jesteśmy?**

**–Nie wiem, Wasza Wysokość – odrzekł Jim. – Jestem tuż przy jakiejś ścianie. Poczekać chwilę. Zobaczę, czy jest tu jakiegoś rodzaju wyjście albo czy ona sama się nie otwiera.**

**Odwrócił się twarzą do pionowej powierzchni, do której J został przyciśnięty, i zaczął przesuwac po niej dłońmi. Sprawiała wrażenie raczej drewnianej niż kamiennej i zaczął podejrzewac, że mogły to być jakieś drzwi. Przeszukał je w poprzek na poziomie, gdzie mogła być klamka i rzeczywiście trafił na mały uchwyt, podobny do tych, jakie znajdowały się przy innych drzwiach w zamku Malwinne'a. Popchnął drzwi, ale się nie poruszyły. Spróbował je pociągnąć i łatwo ustąpiły.**

**Nie mając wcale takiego zamiaru otworzył je szeroko i zalało ich światło, oślepiając wszystkich na chwilę. Jim, który pochylał się naprzód, na wpół potknął się, na wpół wpadł przez nie i usłyszał, jak inni ruszyli za nim. Stopniowo zaczął znów widzieć wyraźnie.**

**Stali na czymś, co wyglądało jak gęsto ogrodzony podest, zaledwie na tyle duży, żeby wszyscy zmieścili się na nim. Z podestu, na prawo od wejścia, biegły krótkie schody na dno czegoś, co wyglądało na olbrzymią kamienną jaskinię. Przynajmniej posadzka była w niej kamienna, najbliższe ściany też z kamienia, a i dalsza, odległa o jakieś trzydzieści jardów, ściana też wyglądała na kamienną. Ale ściany wznosiły się pionowo, aż ginęły w miejscu, do którego wypełniające jaskinię światło, zdające się nie mieć żadnego źródła, nie mogło dotrzeć. Wcale nie można było być pewnym, czy była to prawdziwa jaskinia i czy kamienne ściany w końcu zbiegały się razem zamykając ją, czy nie.**

**Rozsądek mówił, że gdzieś tam na górze musiało być sklepienie. Spadali tak długo, że spora warstwa skorupy ziemskiej musiała dzielić ich od powierzchni. Ponadto zalewające ich światło nie było ani światłem słońca, ani księżyca, ani gwiazd. Było ono dziwne, nienaturalne, takie, jakie można by znaleźć pod ziemią.**

**Stali więc wszyscy razem, jak więźniowie w klatce o trzech bokach, patrząc na posadzkę jaskini. Była zapełniona ludźmi, mężczyznami i kobietami, ubranymi w coś w rodzaju czarnych mundurów. W rękach mieli dziwne, pozbawione gard noże o długości niemal równej mieczom i okrągłe, podobne do strzelniczych tarcze. Doskonale było ich widać w tym dziwnym świetle, z jednym wyjątkiem.**

**Gdy Jim patrzył im wprost w twarze, nie rozpoznawał nikogo, gdy jednak wodził spojrzeniem dookoła, zdawało mu się, że kątem oka widzi, jak twarz, której się przyglądał zaledwie przed chwilą, zmienia się i staje twarzą kogoś, kogo kiedyś znał i lubił, jeśli nawet nie kochał. Jednak wszystkie te twarze zdawały się jakby zmrożone i zniekształcone uczuciem połączonej niemal szaleńczej nienawiści, strachu i grozy.**

**Tłum wypełniał całą jaskinię, jedyne wolne miejsce było dokładnie przed nimi, trzydzieści jardów od podestu i dwadzieścia od najdalej wysuniętych w przód czarno odzianych postaci. Miejsce to było puste, stały tam tylko dwa ogromne trony, na**

których siedziały dwie równie ogromne postacie.

Jedna była płci męskiej, druga żeńskiej. Nosiły luźne szaty, które zakrywały je od piersi aż za kolana. Ramiona miały wyciągnięte wzdłuż oparc trónów. Najbardziej różniło je od ludzi poza wzrostem – musiały mieć, pomyślał Jim, przynajmniej dwadzieścia stóp wysokości – to, że miały nienormalnie długie szyje, które dodawały dobre cztery czy pięć stóp do ich wzrostu. Ponad szyją zobaczyli przystojną twarz mężczyzny, o przeszywających oczach. Włosy miał czarne i gładko przylegające do okrągłej głowy. Włosy kobiety także lśniły czernią i ściśle przylegały; była piękna ciemną, mroczną urodą.

Obie twarze pozbawione były wyrazu. Jednak dopiero gdy Jim odwrócił spojrzenie od nich na czarno odziany tłum poniżej, odkrył prawdziwą osobliwość tych dwojga na tronach.

Tak jak twarze tych w czerni zdawały się zmieniać i przekształcać tuż przedtem, zanim znikły z jego pola widzenia, tak twarze mężczyzny i kobiety na tronach – jeśli można było ich tak nazwać – także się przemieniały: jej – w oblicze węża, jego – w przypominające szakala. Jednak tych zwierzęcych cech nie można było dostrzec, kiedy spojrzano się na nich wprost. Tylko kiedy patrzył na nich kątem oka, mógł zobaczyć głowy węża i szakala.

Czymkolwiek było to miejsce, nie było ono dobre dla Jima i pozostałych. Jim odwrócił się szybko do drzwi, złapał za uchwyt z ich strony i próbował je otworzyć. Teraz były jednak tak lite i nieporuszone jak otaczająca je skała. Prędko napisał na wewnętrznej stronie czoła:

## **WSZYSTKIE ZAMKI, SKOBLE -- COFNAĆ SIĘ**

Skoncentrował się na wyobrażeniu zamków i skobli wycofujących się ze swoich gniazd i uwalniających drzwi z framugi, z którą były złączone.

Drzwi nie puściły. Ale próba ta wywołała reakcję jednej z olbrzymich postaci.

–Więc tak! – potężny głos zahuczał w ich stronę. Przemówiła ta męska z dwóch postaci na tronach. – Pogwałcenie prawa za pogwałceniem! Jeden z was jest Magiem. Zgrzeszywszy już w naszych oczach pojawiając się tu za życia – jak wy wszyscy – jeden z was jest jeszcze poświęcony zabronionym sztukom. Dla twojego rodzaju miejsce to zawsze było zakazane, Magu – i jak widzisz, twoje czary tu nie działają. Tutaj rządzą tylko nasze prawa.

–Boże, ocal nas wszystkich! – wykrzyknął Giles.

–Wasz Bóg też nie może tu dla was nic zrobić – potężny głos wielkiej postaci znów zagrzmiął jak grom wśród kamiennych ścian. – Sześciu. Zwierzę z góry, czterech żywych ludzi i Mag. Wszyscy obrażą w tym miejscu. W dodatku uzbrojeni. Niech ich broń odleci od nich!

Nikt z czarnej hordy stojącej poniżej nie drgnął, ale sztylety i miecze u pasów rycerzy poruszyły się w pochwach. Tylko tyle, i już Brian i Giles mieli dłonie na rękojeściach. Brian wyrwał swój miecz z pochwy i trzymał go przed sobą rękojeścią do góry.

–Nie zabierzecie tego! – krzyknął głosem pełnym wściekłości. – To krzyż i mimo wszystkich twych przechwałek, nie tobie odbierać go chrześcijańskiemu rycerzowi! Wyrwij mi go z ręki, jeśli zdołasz!

Mężczyzna i kobieta na tronach wyglądali groźnie jak chmury przed burzą. Miecz w dłoniach Briana znów drgnął, ale nie wyrwał się z jego uścisku.

–W istocie – powiedział Dafydd, jak zawsze opanowany – ale mój nóż nie ma gardy, a mimo to nie został zabrany. Ach, już wiem, rzemień, którym go przywiązuję, tworzy krzyż na rękojeści i trzyma go teraz w pochwie. Podobnie jak sznury na osłonie mojego haku i kołczana.

Serce Jima, które w nim już zamierało, drgnęło lekko i zaczęło napępniać się słabą nadzieją.

–To Królestwo Umarłych, a my jesteśmy jego Królem i Królową! – zagrzmiąca wielka postać mężczyzny. – Choć jakieś małe rzeczy mogą nas nie słuchać, to i tak was to nie uratuje! Rozprawimy się z wami. O tak, rozprawimy się z wami!

Aragh warknął.

–Jesteście nasi – ciągnął obojętnie Król Umarłych – i rozprawimy się z wami w taki sposób, że lekcja ta zostanie zapamiętana na tysiąc lat przez tych, którzy mogliby jeszcze raz naruszyć spokój naszego miejsca swymi żywymi ciałami. Przyjmujemy tu na dole umarłych, ale żywych – nigdy! Występnii, występnii, występnii –jesteście wszyscy obrażą naszych oczu!

Myśli Jima pędziły naprzód. Powrót nadziei znów uruchomił mu silnik w mózgu. Musiało istnieć jakieś magiczne wyjście stąd, które zabrałoby ich z dala od tych dwojga długoszych potworów i ich czarno odzianej bandy. Ganił siebie za brak

rosądku. Zdał sobie sprawę, że odkąd przybył do Francji, czerpał pełną garścią ze swego rachunku, zużywając magiczny kredyt to na to, to na tamto, i nie można było stwierdzić, czy zostało go dość, żeby zrobić coś tak wielkiego i dramatycznego jak to, co zaczęło mu się teraz roić w głowie.

Kształtu tego planu, który się w nim rodził, nie potrafił jeszcze wyraźnie określić. Umykał mu, zanim mógł go całkiem objąć umysłem. Ale czuł, jak go tam cały czas łaskocze. Cokolwiek to było, było duże i mocno by uszczupliło jego konto – jeśli jeszcze zostało tam dość dużo, by to wykonać. Ale jedynym sposobem, by się o tym przekonać, było spróbować.

Tylko że najpierw powinien sobie jasno określić to, co chciał zrobić, a czas uciekał. Musiał być jakiś sposób, by używając rzeczy, które mógł sobie przedstawić, przenieść ich momentalnie czarami w jakieś bezpieczne miejsce.

Na swoim tronie Król Umarłych wciąż grzmiał, a jego niewiarygodnie potężny głos toczył się po całej jaskini.

–Spójrzcie na tych na dole – głos walił i bombardował ich, gdy tak stali na szczycie schodów. – Ci, których tam widzicie, to ci, których wskrzesiłem spośród umarłych, aby stali się naszymi strażnikami. Teraz przyprowadzą was do mnie...

Przerwał. Na dole powstało jakieś poruszenie. Król spojrział tam i podniósł jeden palec znad oparcia masywnego tronu, na którym siedział. Czarno odziane postacie pomiędzy podestem a tronami rozstąpiły się i Jim ujrzał zaszokowany, jak Giles zbliża się zdecydowanym krokiem do tronów i dwóch olbrzymich bogów na nich. Zatrzymał się i spojrział w górę na Króla Umarłych, powoli zdejmując lewą rękawicę prawą, urękawiczoną dłonią.

–Spotkał mnie ten zaszczyt – krzyknął sir Giles, a choć jego głos był silny, brzmiał jak popiskiwanie ptaszka po tym potężnym dźwięku, który dobywał się z długiego gardła stworzenia przed nim – że jestem jednym z tych, którym powierzono chwilowo opiekę nad Edwardem, księciem krwi i następcą tronu Anglii. W jego imię rzucam ci wyzwanie tu i teraz. Wzywam cię do walki w pojedynkę, abys dowiódł swoich roszczeń do mnie, jeśli tak się zdarzy, że potrafisz to uczynić! – I cisnął grubą, skórzaną rękawicę w kierunku potężnej postaci.

Doleciała w powietrzu na odległość sześciu stóp od twarzy tamtego, a potem nagle zatrzymała się – i spłynęła jak piórko powoli, miękko i cicho, w dół aż na kamienną posadzkę, zaledwie z tuzin stóp przed bogiem.

–Gilesie, ty idioto! – krzyknął Jim, rzucając się w dół po schodach, ale głos jego utonął w rozdzierającym uszy huku głosu Króla Umarłych.

–Brać go! – Król Umarłych wyciągnął palec, wskazując na Gilesa.

Natychmiast czarno ubrane szeregi zamknęły się wokół rycerza, a ten odwrócił się na pięcie twarzą do nich i wyciągnął miecz.

Zdruzgotaliby go jak czarna fala zamek z piasku zbudowany na plaży przez jakieś dziecko, ale strzały Dafyddy zbierały już wśród nich swoje żniwo, podczas gdy Brian i Jim nacierali na nich. Czarna, okryta futrem postać Aragha wyprzedziła wszystkich, rzucając się na strażników z furią i odrzucając ich na bok ruchem karku, jakby byli zabawkami.



**Wreszcie przedarli się do Gilesa, otoczyli go i walcząc szaleńczo, cofnęli się do podnóża schodów, w górę stopni i na podest.**

**Czarna fala popłynęła za nimi, lecz została powstrzymana.**

**–Stać! – zagrzmiął Król. – Zrobimy to, jak należy. Pójdziecie na górę i weźmiecie tego, którego nazwę najpierw, najbardziej występnego, potem następnego, którego nazwę, i jeszcze następnego, nie zważając, ile was to będzie kosztować.**

**Na górze, na podeście, zdyszany i w poszarpanej odzieży wśród swych zdyszanych i obszarpanych towarzyszy Jim znów pracował głową na pełnych obrotach. To, co zrobił Giles, było głupie, ale także wspaniałe i śmiałe. Takiej właśnie Magii wymagała od Jima ta chwila; jeśli miał ich stąd wszystkich wydostać, to musiał myśleć śmiało!**

**Dopiero gdy to sobie powiedział, jego umysł wystąpił wreszcie z szalonym scenariuszem, który równie dobrze obrócić można było w magiczny sposób ratunku dla nich wszystkich. Nie było czasu, żeby to sprawdzać.**

**Na wewnętrznej stronie czoła napisał:**

# MY WSZYSCY -- HOLOGRAFY -- WIEŻA

Cud nad cuda – podziałało!

Jim zobaczył, jak jego przyjaciele dookoła niego migoczą, bledną i robią się przezroczyści. Sam nic nie czuł, ale spojrzawszy w dół, zobaczył, że jego własne nogi zrobiły się na pół przezroczyste. Jego umysł przypadkowo wybrał wieżę jako pierwszą rzecz, która przyszła mu do głowy. Pomyślał o głównej komnacie w prywatnych apartamentach Malwinne'a, które jakiś czas temu z taką ulgą opuścili – dokładnie jak dawno temu, nie miał pojęcia ze względu na ten pozbawiony wymiaru czas zawrotu głowy i dezorientacji. Mogły to być sekundy albo godziny, kiedy ześlizgiwali się w dół spiralnej zjeżdżalni w ciemnościach.

Nagle znaleźli się znowu w głównej z prywatnych komnat czarnoksiężnika. Przezroczyste postacie Briana, Gilesa, księcia, Dafydda i Aragha przyjmowały wyraźniejsze kształty, wylaniając się z powietrza wokół niego.

## HOLOGRAFY -- CIAŁA

Napisał szybko na wnętrzu czoła. Byli uratowani. Byli tu. Jedyne kłopot, jak zorientował się Jim, polegał na tym, że teraz Malwinne też tam był.

## Rozdział 28

Najwyraźniej Malwinne jadł samotnie bardzo późną kolację albo bardzo wczesne śniadanie. Widać nie sprawdził jeszcze, czy wciąż ma w swej mocy księżęcego więźnia. Siedział przy małym stole, przykrytym – co dziwne – obrusem, na którym stały resztki dość skromnego posiłku oraz szklana karafka, najprawdopodobniej z wodą. Wyglądała, jakby mieściła około litra płynu, lecz teraz została w niej najwyżej szklanka.

Czarnoksiężnik wstał, gapiąc się na ich pojawiające się najpierw przezroczyste, a potem przyjmujące solidniejsze kształty postacie.

Jim nigdy przedtem go nie widział ani też nikt mu go nie opisywał. Jednak co do tego, że znajdujący się przed nim człowiek to MaMnne, nie miał zupełnie żadnych wątpliwości.

Tak jak długoletnich nauczycieli, lekarzy i ludzi wielu innych zawodów można rozpoznać pod koniec ich kariery jako praktykujących daną specjalność, tak Malwinne'a – z punktu widzenia Jima – nie można by nigdy wziąć przez pomyłkę za nikogo innego, jak tylko za Mistrza Magii.

Nie miało to nic wspólnego z jego ogólnym wyglądem czy ubraniem, jakie nosił. Wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat mniej niż Carolinus, który, jak orientował się Jim, był jego rówieśnikiem. Włosy miał kasztanowate, bez najmniejszego śladu siwizny. Kasztanowaty był także schludny wąsik nad jego górną wargą. Był niedużym, brązowookim, wróblowatym mężczyzną, pięknie odzianym, ale nie w jakieś szaty, które mogłyby sugerować, że jest Magiem, tylko raczej w najbogatszego rodzaju odzienie – czerwony, aksamitny cote-hardie i miękkie, niebieskie nogawice, do których mógłby wzdychać dworak jakiegoś monarchy. U boku wisiał mu wąski miecz, zbyt lekki jak na zwykły miecz i zbyt długi jak na pałasz – wyglądający prawie tak, jakby zapowiadał pojawienie się rapiera, włącznie z jego rękojęcią w kształcie

**koszyka.**

**Niewprawnemu czy nieprzyzwyczajonemu oku Malwinne mógłby się zdawać wszystkim, tylko nie Magiem. Ale Jim, po drugiej znajomości z Carolinusem, zauważał cechy, które czarnoksiężnik niewątpliwie dzielił z mieszkańcem domku przy Dźwięcznej Wodzie.**

**Było to to samo szybkie, bystre spojrzenie, ta sama nieokreślona atmosfera autorytetu i siły, atmosfera, która sięgała poza bogactwo jego odzieży. Dodać do tego należało wrażenie kompetencji – niemal arogancji – jakie roztaczał. Nawet teraz, mimo zaskoczenia tym nieoczekiwanym ich zjawieniem się, wszystko w nim zdawało się wskazywać, że spodziewa się zapanować nad tą sytuacją tak, jak zapanowałby nad każdą inną.**

**I zapanował, jednym słowem.**

**–Bezruch! – rzucił.**

**Natychmiast Jim i pozostali zastygli w bezruchu. Jim mocował się z tym czymś, co go trzymało, ale był jak sparaliżowany. Spojrzenie Malwinne'a, pomijając innych, utkwilo w nim.**

**–Na Bleysa, Mistrza Merlina! – powiedział. – Praktykant, gołowąsik, niedorajda, półamator rozrzucający swoje czary po moim château! Skądżeś wziął taką bezczelność...**

**Przerwał mrużąc oczy.**

**–Jesteś tym młodzieniaszkiem od Chudego – od Carolinusa? Tylko coś takiego mogło ci dać ten nieprzytomny tupet, żeby w ogóle tu się znaleźć! Czy on się za tym kryje? Odpowiedz mi! Zwracam ci wolność strun głosowych, żebyś odpowiedział.**

**–Carolinus nie ma z tym nic wspólnego – powiedział**

**Jim nagle odzyskawszy głos. – Jesteśmy tu z misją uwolnienia naszego księcia, to wszystko, i – Araghu! Pomocy!**

**Prawie w tej samej chwili Mag znalazł się na plecach na dywanie, przygnieciony na ramionach przednimi łapami wilka, z jego rozwartą paszczą przed twarzą i gorącym oddechem wachlującym mały kasztanowy wąsik.**

**–Czekałem, żeby zobaczyć, co wyjdzie z tej ładnej sztuczki, Jamesie – warknął Aragh. – Nie mogłeś pociągnąć tego dłużej?**

**–Ty młody diable! – krztusił się Malwinne, leżąc bezbronny na dywanie. – Skąd wiedziałeś, że na wilki to nie działa?**

**–Pewna bardzo wielka osoba, bardzo daleko pod nami, powiedziała coś, co poddało mi tę myśl – odrzekł Jim. – A teraz, co z naszym uwolnieniem?**

**–Prędzej zobaczę was w ogniu Belzebuba! – warknął czarnoksiężnik.**

**–Puść nas – prawie zaszeptał Aragh do leżącego – albo giń.**

**Jim poczuł, jak opuszcza go niemoc. Mógł się poruszać i zobaczył kątem oka, że jego towarzysze również są wolni.**

**–O co chodzi z tym kimś pod nami? – rzucił Mag. Rozłożony na dywanie, wciąż zachowywał postawę, jaką miał stojąc na nogach. – Tylko Carolinus mógł ci powiedzieć, że moje rozkazy mogą nie działać na – na zwierzę.**

**–Nie dowiedziałem się tego od niego – powiedział Jim. – W istocie Carolinus po**

prostu puścił mnie samopas, żebym nauczył się sam.

Przez cały czas, gdy mówił, myślał w błyskawicznym tempie. Malvinne, jak długo był dalej niż o krok od śmierci, przypominał zasadniczo laskę dynamitu, która mogła eksplodować w chwili, gdy Aragh go puści. Musiał istnieć jakiś sposób na unieszkodliwienie go. Ale zwyczajne sposoby nie podziałałyby. To znaczy zwykle związanie go nie przyniosłoby skutku. Jim jasno pojmował, że tamten uwolniłby się w sekundę ze wszelkiego rodzaju więzów.

Tak samo bezużyteczne byłoby zamykanie czarnoksiężnika w szafie czy stosowanie innych podobnych środków.

Jim chętnie założyłby się, że w istocie Mag mógłby wyzwolić się z sytuacji, w której ciało jego obciążono by ołowiem i rzucono w najgłębsze partie morza.

Raptem jeszcze jeden okruczeństwo przyszedł mu z pomocą. Wzmianka Króla Umarłych o królestwach wśród wszelkich stworzeń skłoniła go, by zaryzykował i postawił na to, że być może Królestwo Zwierząt było nieco bardziej odporne na to, co mógłby zrobić Mag-człowiek. Ludzie – i to był powód, dla którego Jimowi przyznano herb z dodatkiem czerwieni ostrzegającej wszystkich o jego zdolnościach – musieli ryzykować, stając przeciwko innym własnego rodzaju, którzy zdecydowali się zajmować studiami magicznymi.

Jedyne, co można było zrobić dla zwyczajnych mężczyzn i kobiet, to ostrzec ich, że ktoś stojący przed nimi posiadał takie moce. Zwierzęta były jednak w odmiennej sytuacji. Nie były w stanie obronić się tylko dlatego, że je ostrzeżono, iż człowiek, który je złapał w pułapkę lub osaczył, potrafi używać czarów. Dlatego też musiały być w znacznym stopniu uodpornione na czary. Tak przynajmniej rozumował Jim. Na to postawił i gra mu się opłacała.

Właśnie w tej chwili jeszcze jedno wspomnienie, które snuło mu się po głowie, wróciło do niego z całą mocą. To o Meluzynie rzucającej się w jego ramiona, wykrzykującej, jak bardzo jest samotna, i... tracącej przytomność. Szybko napisał na wewnętrznej stronie czoła:

## **WODA/ŻOŁĄDEK MALVINNE'A -- KONIAK**

Znów ryzykował w ciemno. Tym razem stawiał na to, że Malvinne nie mógł po prostu odczytać, jakie zaklęcia powstawały w głowie innego Maga, chociaż mógł być świadomy, że są rzucane. Wyszło na to, że zgadywał poprawnie.

Rozciągnięty na dywanach czarnoksiężnik roześmiał się.

–Myślisz, że rzucisz na mnie urok, szczeniaczku? – powiedział. – Cokolwiek by to było, zapewniam cię, że pójdzie na marne. W chwili, w której poznam jego naturę, czar ten stanie się jak powietrze, stanie się niczym.

–Możliwe – odrzekł Jim. – Poczekamy, zobaczymy. Na razie może byłbyś tak dobry i powiedział nam, jaka jest najprostsza i najbardziej sekretna droga wyjścia z twojego zamku.

Mag znów zaśmiał się dziko.

–Ależ to dziecko oszalało – powiedział. – Myśli, że powiem mu to, czego chce!

–Może wolałbyś umrzeć? – spytał Aragh.

–Nie, nie – rzekł Malvinne szyderczo. – To się nie uda drugi raz. Zabij mnie, bo nie odpowiem ci na to pytanie, a znajdziesz się, młodziku, w doprawdy wielkich kłopotach. W tarapatach, z których nawet twój nauczyciel nie będzie cię mógł uwolnić. Jedyne, co możesz zyskać dzięki temu wilkowi, co kruszy mi kości ramion na proszek swoim ciężarem, to powstrzymać mnie od dalszych działań przeciw wam. Wilk ma prawo do obrony, a ty jesteś z wilkiem związany, przynajmniej chwilowo. Tak więc na razie jesteście przede mną bezpieczni. Ale to się zmieni.

–Naprawdę tak sądzisz? – spytał Jim z zainteresowaniem. – Może powiesz mi, w jaki sposób?

–Ja? – Czarnoksiężnik znów się roześmiał. – To Carolinus zajmuje się twoją edukacją, nie ja. Sam to sobie wymyśl, jeśli zdołasz.

Jeszcze raz roześmiał się leżąc na dywanie.

–Faktycznie – powiedział, a Jim usłyszał, że słowo to zabrzmiało nieco niewyraźnie, coś jak „fektycznie”.

Mag był najwyraźniej abstynentem i widocznie zaczarowana woda w jego żołądku zaczynała już działać. Jedynym problemem było, czy wypił on wystarczająco dużo. Ale rozmiary karafki i niski poziom wody w niej wskazywały, iż prawdopodobnie Malvinne ma w sobie większą część litra wody w postaci koniaku. Teraz chodziło o to, żeby wciąż mówić.

–Może wyjaśnisz, czemu jesteś taki pewien siebie? – zapytał Jim.

–Jak mogłoby być inaczej? – odparł Mag. – Twój wilk nie może stać nade mną do końca świata, a skoro raz jego dotknięcie zostanie cofnięte, będę mógł tak się otoczyć materia, przez którą się nie przedostanie, że potrafię wtedy robić to, co zechcę. I wierz mi, zrobię to wtedy.

Jim czuł, że musi podtrzymywać tę jego gadaninę. Bał się, że czarnoksiężnik mógł sobie uświadomić, że wodę w jego żołądku zamieniono w napój alkoholowy. Do tej pory jakby tego nie zauważył, a ponadto, może dlatego, że zwykle pijał czystą wodę, nie rozpoznał objawów początku upojenia, które musiało go teraz ogarniać – sądząc

po niewyraźnym słowie przed chwilą.

–Co byś zrobił? – zadał pytanie Jim, próbując nadać głosowi niepewne brzmienie.

Malvinne roześmiał się ochryple. Rzeczywiście śmiał się bardzo dużo, co samo w sobie mogło być jeszcze jedną wskazówką, że alkohol już na niego działał.

–Czy Carolinus nie nauczył cię praw – to znaczy wszystkich praw – to znaczy wszy-ystkich praw Magii?

Jego mowa zaczynała już go zdradzać, lecz wciąż zdawał się zdecydowanie zbyt pełen woli i energii, żeby z całym spokojem Jim mógł pozwolić Araghowi zdjąć łapy z ramion Maga.

–Jakbyście wam podobało być łó-łokazami przybien-tymi w gabl-blocie? – powiedział Malvinne dość wolno i niewyraźnie. – Jak się to podoba? W ga-ablocie jak łokas młotyłka, khe?

Jego uwaga i spojrzenie przez moment błędziły gdzie indziej, po czym znów wrócił oczami do twarzy Jima.

–Ale zadałem ci pytanie. Płytałem, czy znasz praawa. Nie znasz praw, tak?

–Właściwie – rzekł Jim -jak mówiłem, Carolinus nie uczy mnie naprawdę, pozwala mi uczyć się samemu, a więc...

–A więc nie znasz – rzekł triumfalnie czarnoksiężnik. – Zatem pozwól, że ci powiem o jednym z nich. Jest takie prawo, które mówi, że kiedy w grupie jest Mag, jak ty, to ma ona równe szansę wobec każdego innego Maga. I klasyfikacja w Wydziale Kantoli nie ma z tym nic wspólnego!

–No, no – powiedział Jim, starając się, by zabrzmiało to obojętnie. Jednak wewnątrz był zmieszany. Uderzyło go, że Carolinus mógł być powiedzieć mu przynajmniej o tym Prawie. – To sprawia, że rzecz robi się trochę kłopotliwa, nieprawdaż?

–Zgadza się – zabelkotał Malvinne – kłopotli-li... Oczy zamknęły mu się i przez chwilę Jimowi zaczął wracać optymizm. Nagle Mag znów otworzył oczy.

–Więc nie myśl... nie myśl... nie myśl...

Głos czarnoksiężnika ucichł. Oczy znów mu się zamknęły. Wszyscy czekali w napięciu, ale już ich nie otworzył.

–Słyszę, że oddycha jak uśpiony człowiek – odezwał się w końcu Aragh.

–Dobrze – powiedział Jim. – Chyba możesz go bezpiecznie puścić. Spróbuj zejść z niego, ale bądź gotów rzucić się z powrotem, jeśli da jakieś znaki, że dochodzi do siebie. Pamiętaj, że musisz go dotykać, żeby mieć nad nim kontrolę.

Wilk powoli cofnął się, zabierając łapy z ramion czarnoksiężnika, który zaczął lekko pochrapywać.

–Myślę, że im wcześniej i szybciej wyniesiemy się stąd, tym lepiej – rzekł do pozostałych Jim. Po czym wyjaśnił im, co zrobił Magowi.

–Czy nie powinniśmy go najpierw związać i zakneblować? – spytał ksiązę.

–Nic, co byśmy zrobili w ten sposób, nie powstrzyma go naprawdę, Wasza Wysokość – powiedział Jim.

–A co potem? – spytał sir Brian. – Gdy się obudzi, rzuci się za nami ze wszystkimi, z każdym stworzeniem, każdym mężczyzną czy kobietą, którymi włada,

**czy nie tak?**

**–Możliwe – odparł Jim. – Z drugiej strony, słyszałeś go. Ten człowiek pija tylko wodę, wedle tego, co mówił Jego Wysokość. Więc nie może być przyzwyczajony do upijania się. Może nie obudzić się aż do jutra rana, a poza tym może obudzić się tak chory, że nie będzie w stanie zorganizować pogoni za nami przez całe godziny, jeśli nie cały dzień. Chociaż jedną rzecz możemy zrobić – możemy ułożyć go tak wygodnie, jak się da, żeby zachęcić go do jak najdłuższego snu.**

**–Dziwna to rzecz do zrobienia wrogowi – warknął Aragh. – Położyć go do łóżka i otulić.**

**Jednakowoż podnieśli Malvinne'a i zanieśli do pokoju, w którym stało jego okazałe łóżko. Zdjęli mu buty, poluzowali kołnierz koszuli i zostawili z głową na poduszce, lekko przykrytego. Potem skierowali się znów sekretnymi schodami w dół, do poziomu parteru.**

**Szli tak prędko, jak tylko mogli. Jednak powtórny marsz po sekretnych schodach wciąż im się dłużył.**

**Kiedy zbliżali się do ich końca, Jim nagle sobie coś przypomniał.**

**Znów użył wnętrza swego czoła, żeby poprawić wcześniejsze zaklęcie, które sprowadziło go na manowce właśnie na dole schodów.**

# **JA/WIDZIEĆ-- WSZYSTKIE MAGICZNE RZECZY WSZĘDZIE NA CZERWONO**

**Wyobraził to sobie.**

**Powinien był dokonać tej poprawki dużo wcześniej, ale na szczęście przypomniał o tym sobie teraz, zanim doszli na dół i stanęli przed tym problemem. Schodzili dalej do podnóża schodów. Będąc na miejscu, zatrzymali się jak przedtem, ale tym razem w oczach Jima i schody, i korytarz świeciły się wyraźnie ciemną czerwienią.**

**–Dlaczego się zatrzymujemy, sir Jamesie? – dobiegł go z tyłu głos księcia. – Z pewnością tym razem możemy pójść tamtymi na lewo?**

**Jim spojrział znów na spiralę stopni po swojej lewej stronie. Nie było żadnych wątpliwości, że zarówno one, jak korytarz po prawej były jednolicie czerwonej barwy.**

**–Obawiam się, Wasza Wysokość – odrzekł – że obie drogi są częścią magicznej pułapki zastawionej przez Malwinne'a. Widzę magiczne znaki, które mówią mi, że obie drogi są niebezpieczne.**

**–Obie drogi? – powtórzył księżę, a potem ucichł. Inni także milczeli.**

**Jim intensywnie myślał. Musiało być jakieś rozwiązanie. Ale jedyne, co mógł sobie wyobrazić, to to, że sam jakoś unicestwi tę pułapkę – najchętniej sprawiając, że przestanie istnieć.**

**–W tej chwili – powiedział – próbuję wciąż znaleźć jakiś sposób na to. Pozwólcie mi się zastanowić jeszcze trochę.**

**Odpowiedzieli mu uprzejmym milczeniem.**

**Im dłużej o tym myślał, tym bardziej zdawało mu się prawdopodobne, że każda droga zawiodłaby ich do jakiegoś niepożądanego końca. Być może obie poprowadziłyby ich z powrotem prosto do Królestwa Umarłych, a to by było ostatnie miejsce, w którym znów chciałby się znaleźć.**

**Przeszło mu przez myśl pełne zadumy życzenie, żeby tak mógł przekazać ten problem sir Brianowi i kazać innym znaleźć proste, praktyczne, banalne rozwiązanie.**

**Myśl ta była niczym katalizator. O mało nie walnął się w czoło grzbietem dłoni, rozgniewany własną głupotą. Dobrze, pomyślał, że Carolinus nie może go teraz widzieć. Mag wysłał go, żeby się uczył, a jedną z rzeczy, których już się nauczył, było to, że magiczne rozkazy mogły być użyte na więcej niż jeden sposób, w zależności od sytuacji. Na przykład skutecznie unieszkodliwił Malwinne'a, Mistrza Magii, dokładnie tym samym zaklęciem, którego użył do unieszkodliwienia Meluzyny.**

**Przypomniał sobie teraz, że znalazł już wcześniej zaklęcie, otwierające drzwi, które miały stać otworem tylko dla czarnoksiężnika. Nie było żadnego powodu, dla którego mała przeróbka tego polecenia nie miałaby też rozwiązać obecnego problemu. Napisał na wewnętrznej stronie czoła:**



## **JA = MALVINNE -- USUNĄĆ/PRZYWRÓCIĆ TE CZARY**

Nic się nie stało. Potem przyszło mu do głowy, że nie dokończył pełnego, koniecznego magicznego procesu. Dodał dalsze polecenie:

### **USUNĄĆ -- TO ZAKLĘCIE**

Czerwony kolor znikł, ale nie było to jedyne, co się zdarzyło. Schody nagle wygładziły się w poziomy korytarz prowadzący na lewo, a tam, gdzie był korytarz po prawej, nie widniało teraz nic, tylko kamienna ściana.

–Dobra, panowie – powiedział Jim, kierując się w stronę nowego przejścia, które zastąpiło schody. – Zaklęcie zostało uchylone. Idziemy.

Poprowadził ich kawałek korytarzem, a potem się zatrzymał.

–Czekajcie – polecił.

Okręcił się na pięcie i wrócił niewielki kawałek, ale stanął dość daleko od stóp schodów, którymi właśnie zeszli, i zapisał na wnętrzu czoła:

### **PRZYWRÓCIĆ -- ZAKLĘCIE**

Natychmiast widok schodów i tego, co było u ich podnóża, został przysłonięty wewnętrzną stroną kamiennych stopni, które prowadziły w górę, aż po strop, i wyraźnie błyszczały czerwienią.

Pozory, że wszystko jest jak zazwyczaj, nie mogły ogłupić Malvinne'a na długo. Być może potrafił on nawet zmusić korytarz do mówienia i opowiedzenia, co się stało. Lecz wrażenie, że nic się nie zmieniło, mogło nieco zwolnić pogoń Mistrza Magii.

Jim odwrócił się, dołączył do pozostałych i przesunął się do przodu.

–Możemy iść dalej – powiedział.

## **Rozdział 29**

Nowy korytarz, w którym się znaleźli, wił się i zawracał, skręcając co chwila gwałtownie to w prawo, to w lewo. Najwyraźniej zbudowany był w środku wewnętrznych murów zamku Malvinne'a. Przynajmniej jeden z powodów, dla których go zbudowano, stał się jasny, gdy nim szli.

Po jakichś dwudziestu krokach magiczne oświetlenie sekretnych schodów już do nich nie docierało. Ale teraz to nie miało znaczenia. Dość światła, by mogli iść, wpadało przez coś, co wyglądało na otwory do podglądania umieszczone w ścianach po obu stronach korytarza.

Najwyraźniej Mag był zwolennikiem trzymania wszystkich domowników na oku bez ich wiedzy. Ponadto mieszkańcy jego chateau wyraźnie przyzwyczajeni byli do działania o każdej porze dnia i nocy. Zdawało się, że nieustannie trwa coś, co można by opisać jako ogólną, obejmującą cały zamek zabawę oświetloną przez liczne kinkiety umieszczone w ścianach i wielkie pochodnie. W rezultacie powietrze wpadające przez otwory było gorętsze niż w sierpniowy dzień w pełnym słońcu.

Z punktu widzenia Jima światło, które dawały te otwory, było ich największą zaletą. Ale jego towarzysze wyglądali na wręcz zafascynowanych pomysłem podglądania przez otwory tego, co działo się po drugiej stronie muru.

Jim naprawdę ich nie obwiniął za to. W innych okolicznościach sam byłby zainteresowany tym, jak zachowują się domownicy czarnoksiężnika – chociażby w celu zebrania informacji o nim samym. To zerkanie nie było problemem aż do chwili, gdy wszyscy jego towarzysze, oprócz Aragha, zatrzymali się naraz przy otworach w jednym, szczególnym odcinku muru. Zwłaszcza Brian i Giles nie tylko spoglądali, ale i komentowali to, co widzieli, tonem pełnym zachwytu. Jim poddał się ogólnemu nastrojowi i też znalazł otwór, przez który mógł zajrzeć. Jak się okazało, znajdowała się tam komnata pełna wyłącznie kobiet w różnych stadiach ubioru i negliżu. Było to jakby połączenie gotowalni i miejsca plotek.

–A niech mnie! – mówił Brian. – Spójrz tylko na tę tam w czymś zielonym, Gilesie.

–Szlachetni panowie – powiedział Jim, cofając się od swojego otworu – jakkolwiek byłoby to interesujące, uważam, że może...

–Pamiętam, jak dwa lata temu – książę zaczął mówić dokładnie w tym samym momencie – mój wuj John, hrabia Cornwell, zabrał mnie – sir Jamesie, przerwałś mi! Cofnął się ze swojego miejsca i spojrzał wyniośle na Jima.

–Moje najpokorniejsze przeprosiny, Wasza Wysokość. – Jim uklonił się. – Zapewniam was, że było to nieumyślne. Lecz każda chwila jest cenna, jeśli mamy uciec, nim Malwinne obudzi się i będzie w dość dobrym stanie, by wysłać naszym śladem pogoń. Sądzę, że niemądrze jest tracić czas, patrząc przez te otwory do podglądania.

Dumnie wzniesiona głowa księcia nieco się pochyliła, a wyraz wyniosłości ustąpił zmarszczeniu brwi.

–Niewątpliwie masz rację, sir Jamesie – powiedział – sam powinienem był o tym pomyśleć. Ale widok tych podglądających panów skłonił mnie do czynienia tego samego.

–Dwóch z tych panów ma już swoje damy – przypomniał Jim surowo, patrząc na Briana, Dafydd i Gilesa, którzy też porzucili przyglądanie się temu, co się działo za murem. – Być może lepiej byłoby, żeby zajęli się myśleniem o tych paniach, niż przyglądaniem się teraz innym.

–Doprawdy przyjmuję reprimendę! – powiedział sir Brian. – Masz całkowitą rację, Jamesie. Nie poświęciłem pani Geronde Isabel de Chaney ani trochę tyle myśli, ile mężczyzna powinien ofiarować ukochanej, będąc w zamorskich stronach.

–A ja – dorzucił Dafydd, z twarzą ściągniętą smutkiem – doprawdy nie pragnę niczego poza moim złocistym ptaszkiem. Jak mówi sir Brian, masz rację, sir Jamesie. Powinniśmy myśleć tylko o naszych paniach.

–Żałuję – powiedział Giles i istotnie brzmiało to żałośnie – ale nie mam swojej pani. Żadna dama nie spojrzalaby na mnie dwa razy przez tę wielką bulwę, jaką mam miast nosa. I wcale ich za to nie winie.

–Ależ Gilesie – pocieszył go Brian – twój nos wcale nie jest taki wielki. Widziałem większe. Nie nazwałbym tego wielkim nosem, ale słusznym nosem.

–Zapewniam cię, sir Gilesie – dołączył się książę – masz moje królewskie słowo, że widziałem na dworze szlchetnych panów o nosach dużo bardziej wydatnych, którzy dosłownie otoczeni byli damami.

–Tak sądzicie, sir? – spytał z powątpiewaniem rycerz, trąc swój groźnie zakrzywiony nochal. – Przypuszczacie, że mógłby mieć w sobie jakiś urok, a nie odpychać damy?

Zapewnili go wszyscy, że tak właśnie było, a on znacznie się rozweselił.

–Ale jak właśnie powiedział zacny sir James – rzekł książę – musimy uciekać z całym pośpiechem. Dość już tego zaglądania przez szpary.

–Ja też tak myślę. Przysięgam na świętego Cuthberta! – powiedział z entuzjazmem sir Giles, a inni zawtórowali mu zapewnieniami popartymi imionami ich własnych ulubionych świętych.

–Ludzie! – warknął Aragh z obrzydzeniem. – Jak psy. Żaden samiec wilka nie będzie narzucał się ze swoimi atencjami samicy, chyba że jest chętna.

–Co za impertynencki wilk! – wykrzyknął z gniewem książę.

Aragh spojrział złośliwym żółtym okiem na młodego człowieka.

–Pamiętaj, że pochodzę z innego królestwa – powiedział. – Nie jestem twoim poddanym, młody książę, i mówię to, co chcę. Mówiłem i zawsze będę mówił. Ale w przeciwieństwie do innych możesz wierzyć wszystkiemu, co mówię, bo ja nie kłamię.

–To prawda, że nie jesteś Anglikiem – odezwał się po namyśle książę – ani też tym, po kim należy się spodziewać dwornych manier. Co do twojej prawdomówności, to wielka to rzecz, jeśli tak jest w istocie. Wielu ludzi miałem wokół siebie, nawet przy moich niewielu latach, i prawie nikomu nie mogłem zaufać, że powie to, co ty, i nie będzie kłamał.

–Wasza Wysokość, wy wszyscy – powiedział Jim – pamiętajcie, co mówiłem, czas ucieka. Ruszajmy prędko.

Wyruszyli niezwłocznie i nie dłużej niż po piętnastu minutach doszli do miejsca, w którym właściwy korytarz kończył się masywnym, kamiennym murem. Na lewo, w dół muru, gdyby chcieli podążać w tamtym kierunku, prowadziły schody.

–Czy może być to następna magiczna pułapka? – spytał książę, spoglądając zmartwiony na stopnie. Tam, dokąd prowadziły, było ciemno i dochodził stamtąd zapach jakby wilgotnej ziemi.

–Nie, Wasza Wysokość – rzekł Jim z pewnością w głosie, gdyż schody miały wyłącznie kolor zwykłego kamienia. Nigdzie nie było ani śladu czerwieni. Poszedł dalej. – Myślę, że doszliśmy do zewnętrznych murów zamku – kontynuował. – Te stopnie spokojnie nas poprowadzą wzdłuż nich do podwalin, a potem pewnie pod nimi do jakiegoś korytarza czy tunelu ucieczki, chyba że się mylę. Z pewnością Malwinne nie chciałby obywać się bez jakiegoś sekretnego przejścia na wszelki wypadek.

–W tym się nie mylisz, Jamesie – powiedział Brian. – Nie znam żadnego zamku, którego pan nie przysposobiłby dla siebie jakiejś ukrytej drogi za mury w razie nagłej potrzeby.

–Zatem idziemy – zakomenderował Jim. Wyczarował wiązkę gałązek, które Brian zapalił za pomocą hubki i krzesiwa ze swojej sakiewki. Zeszli na dół. Nie było to takie zejście jak w tamtej szalonej, spiralnej zjeżdżalni, która cisnęła ich w dół we włości Króla i Królowej Umarłych. Przypominało raczej schodzenie do czyjejs dawno nie

używanej piwnicy. W końcu dotarli do tunelu prowadzącego dalej zakrętami o kątach prostych, który wkrótce wywiódł ich za mury. Tunel wsparty był drewnianymi stemplami przy obu ścianach i wyłożony kamieniami. Mimo to było między nimi sporo wolnej ziemi i cała droga nią pachniała.

Śpieszyli wzdłuż jej ciemnych głębi, płomienie pochodni pochylały się w tył, a cienie rzucane przez nich drgały między belkami i na kamiennym podłożu. Zdawało się, że przeszli już spory odcinek, i nawet Jim zaczął się zastanawiać, czy nie kierują się mimo wszystko prosto w jakąś pułapkę, kiedy w końcu doszli do masywnych drewnianych drzwi, które zamykały korytarz.

Drzwi zaparte były ciężką sztabą spoczywającą na dwóch metalowych podporach w kształcie litery „L”. Sztaba nie wyglądała na trudną do uniesienia, ale Jim, kroczący wciąż na czele, zawahał się. Wokół nie było czerwonego koloru, ale on wciąż był czujny.

Odwrócił się do stojącego za nim wilka.

–Araghu – zapytał – czy czujesz coś, czego powinniśmy się wystrzegać, w tych drzwiach czy też poza nimi?

Wilk przepchnął się do drzwi i obwąchał je starannie, węsząc zwłaszcza przy bocznych i dolnych szczelinach.

–Nie ma za nimi nic, tylko ziemia i rośliny – powiedział w końcu.

–To dobrze – odetchnął Jim. – Wychodzimy. Chwyć za sztabę, żeby ją podnieść. Nie była nadzwyczaj ciężka, ale dostatecznie długo spoczywała w zaczepach, żeby cokolwiek się tam zastać. Brian wysunął się naprzód, żeby mu pomóc, i razem wyjęli ją z uchwytów. W chwili gdy została usunięta, drzwi otworzyły się do środka pod własnym ciężarem.

W górze pochyłego ziemnego wykopu zobaczyli ponad sobą wycinek nocnego nieba usiany gwiazdami i obramowany źdźbłami traw lub też gałązkami krzaków.

–Pójdę na górę i najpierw się rozejrzę – powiedział Jim. – Brianie, ty i reszta zostańcie tutaj chronić Jego Wysokość.

–W pewnych sprawach jesteś głupcem, Jamesie – rzucił Aragh. – Pozwól iść temu, kto więcej wie o takim rozglądaniu się, niż ty się kiedykolwiek nauczysz.

Wilk błyskawicznie przemknął koło nich, w górę ziemnego nasypu. Na jego szczycie zasłonił na chwilę gwiazdy, a potem zniknął.

Czekali.

–Czy sądzisz, że wpadł w jakieś kłopoty albo też zdecydował się zostawić nas na dobre? – z niepokojem szepnął Jimowi do ucha ksiązę, gdy minęło kilka minut, a Aragh nie wracał.

–Nie, Wasza Wysokość. Ani to, ani to – odszepnął Jim. – To, co powiedział, było słuszne. Jeżeli któryś z nas może tam wyjść bezpiecznie, rozejrzeć się i wrócić, to właśnie on. Nie wiem, co go zatrzymuje. Ale nie wątpię, że wróci. Musimy tylko poczekać.

Niespokojnie czekali zatem dalej. W miarę upływu czasu ich zniecierpliwienie rosnęło, nawet Jima. A jeśli wilkowi przydarzył się jakiś wypadek? Nie śmiało głośno wypowiedzieć tej myśli, bojąc się, że odbierze ducha pozostałym, ale pomyślał tak.

A potem nagle ujrzeni Aragha schodzącego z powrotem do nich po skarpie wykopu, a inna postać przesłoniła gwiazdy, stając wyprostowana na górze.

–Wszystko w porządku – warknął wilk. – Ktoś na nas nawet czekał. Zobaczycie go tam, na górze.

–Kto taki? – spytał Jim, wyężając wzrok w ciemności, żeby zdobyć jaśniejsze pojęcie o tym, kto czekał na górze nasypu.

–Przyjaciel – odpowiedział Aragh.

Jim nie mógł zobaczyć jego pyska w ciemnościach, ale z tonu głosu wywnioskował, że jest on rozwany w śmiechu, w tym bezgłośnym uśmiechu, który charakterystyczny był dla wilczego rodzaju humoru.

–Chodźcie – dodał wilk.

Jim, z obnażonym na wszelki wypadek mieczem, jako pierwszy wspiął się po stromym zboczu. Tu okazało się, że miecz jest bezużyteczny, chyba że chciałby go wbijać w ziemię, żeby pomóc sobie w drodze po pokrytym roślinnością zboczu, po którym musiał się wspiąć. Na szczycie przemówił do niego znajomy głos.

–Jak dobrze was widzieć – dało się słyszeć. – Jesteście tu, tak jak mi powiedziano, że będziecie.

Głos należał do Bernarda. Jim wytarł miecz o jakieś liście i schował go z powrotem do pochwy.

–Kto ci powiedział? – spytał. – I dlaczego czekasz na nas tutaj? Skąd wiedziałeś, że tędy właśnie wyjdziemy?

–Na te wszystkie pytania uzyskasz odpowiedź w stosownej porze – odrzekł Bernard, gdy Jim stanął z boku, żeby przepuścić innych na powierzchnię. – Jest ktoś, kto lepiej potrafi odpowiedzieć ci na nie niż ja. Moim zadaniem jest tylko zaprowadzić was do niego jak najszybciej.

–Sir Raoul? – spytał Jim na chybił trafił.

–Jest z tamtym drugim – poinformował Bernard. Jak przedtem stał plecami do poświaty księżyca, tak że górną część jego ciała skrywały ciemności. – Ale nie odpowiem już na żadne pytanie. Jeśli już wszyscy jesteście tu przy mnie, to chodźcie za mną.

Podążyli za nim. Byli w jednym z ogrodów posiadłości Malwinne'a. Bernard przeprowadził ich przezeń niemal truchtem. Po prawej stronie widniała czarna ściana otaczających zamek lasów. Nagle Bernard skręcił i skierował się w stronę wylotu jednej ze ścieżek, które przecinały masywną ścianę konarów i pni drzew. Tą wijącą się ścieżką prowadził ich, wciąż truchtem, jeszcze może ze dwie mile po udeptanej ziemi. Garstka gwiazd prześwitywała przez poplątane gałęzie ponad ich głowami, aż nagle wysunęli się na otwarte zbocze wzgórza.

–Tu możemy chwilę odpocząć – powiedział Bernard.

Wciąż dbał o to, by żadne światło nie oświetlało bezpośrednio jego twarzy i górnej części tułowia, oprócz słabego światła gwiazd, które w niczym nie mogło rozjaśnić ciemności okrywających zniekształconą połowę jego sylwetki.

Jak tylko odpoczęli, poprowadził ich dalej doliną między wzgórzami, bardzo podobną do tego zagłębienia, w którym założyli tymczasowe obozowisko, zanim

weszli do lasu. Ale ta dolinka wiła się. Nie płynęła nią woda jak w tamtym zagłębieniu, ale musiała tamtędy kiedyś przepływać, bo pod stopami nie czuli ziemi ani traw, tylko skały.

Kroki ich szurały po tych skałach przez czas jakiś i Jim próbował ocenić, jak daleko już zaszli, ale po wszystkich tych zakrętach i zwrotach dolinki zupełnie stracił nie tylko wyczucie kierunku, ale i orientację.

W końcu wyszli na inne wzgórze, otoczone wzniesieniami z rzadka zadrzewionych łąk. Na wzgórzu paliło się ognisko, oświetlając sylwetkę konia, który pasł się w pobliżu na trawie, i dwie postacie – nie, trzy – przy samym ognisku. Jim przyglądał się tej trzeciej, gdyż górowała nad pozostałymi dwiema, mimo iż z miejsca, gdzie stał, widział tylko jej zarys. Była to postać małego smoka.

Wszyscy razem podeszli bliżej, okrążając ognisko tak, by móc ujrzeć tych trzech, którzy przy nim siedzieli, a do tej pory zwróceni byli do nich plecami. Gdy obchodzili ognisko, Jim zaczął przypatrywać się tej trójce.

Jednym, owszem, był sir Raoul, o szczupłej, ironicznej twarzy, oświetlonej drgającym blaskiem skaczących płomieni. Drugim, jak odgadł po zarysie widzianej z tyłu sylwetki, był Carolinus. Było to zaskoczeniem, ale nie aż takim, jakim mogłaby być obecność tam kogoś innego. Mag potrafił za pomocą czarów przenosić się z miejsca na miejsce. Nie tylko sam to robił, wszak po ich ostatecznym zwycięstwie nad Ciemnymi Mocami pod Twierdzą Loathly, przeniósł wszystkich do gospody, w której odbyła się uczta na cześć zwycięstwa. Trzeci z tej gromadki był jednak zaskoczeniem.

–Secoh! – wykrzyknął Jim.

–Zdziwionyś, Jamesie? – Secoh się pysznił – Może byś mnie rozpoznał, gdybym się wprawdzie odezwał i to takim głosem: „Jestem francuskim smokiem”.

Słowa te natychmiast poruszyły pamięć Jima. Przypomniały na powrót chwilę, gdy układał się na noc do snu na szczycie skalnej iglicy, a mały smok okryty ciemnością przylgnął do skały jakiś tuzin stóp pod nim i zadawał mu pytania o to, dokąd się wybiera i co chce robić.

–Obniżyłem głos i zupełnie cię zmyliłem – powiedział smok.

Być może głos był niższy, ale dla ludzkich uszu Jima brzmiał niewątpliwie jak głos Secoha. Próbował wyobrazić sobie, jak brzmiał on dla smoczego słuchu, ale wciąż nie wydawał mu się o wiele niższy niż ten, jakim smok zwykle mówił. W gruncie rzeczy pewnie Secoh wcale nie mógł obniżyć czy podwyższać tonu głosu aż tak bardzo. Być może nie potrafił tego żaden ze smoków, włącznie z Jimem. Postanowił jednak wypróbować to kiedyś samemu, kiedy znajdzie się w smoczym ciele w odosobnionym miejscu, gdzie będzie mógł eksperymentować i nikt go nie usłyszy. Poza tym nie spodziewając się wówczas spotkać Secoha w żadnych możliwych do przewidzenia okolicznościach, przyjął za pewnik, że smoka, którego widział niewyraźnie na skale, nie znał. Tak więc, kiedy tamten przedstawił się jako francuski smok, Jim mu uwierzył. Ale nie było powodu, żeby ranić uczucia smoka, rozwiewając jego wiarę w to, że może zmieniać swój głos.

–Chyba masz rację. Wcale cię nie poznałem – powiedział Jim. – Ale co tam

robiłeś, nazywając się francuskim smokiem i zadając takie pytania?

–No, cóż... – zaczął przemowę Secoh, moszcząc się wygodnie, jak każdy smok, który ma wygłosić dłuższą opowieść, czy to o sobie, czy o innym smoku.

–Nie teraz, Secohu – przerwał ostro Carolinus.

–Ależ Magu, muszę mu powiedzieć, że jestem ambasadorem angielskich smoków.

–Później – powiedział Carolinus tonem, który skutecznie smoka uciszył. W przeciwieństwie do sir Raoula i Secoha czarodziej siedział na czymś w rodzaju poducho-fotela, miękkiej konstrukcji, która miała jednak oparcie i poręcze. Bystre, bladoniebieskie oczy Maga przyłapały Jima na przyglądaniu się fotelowi.

–Stare kości! – rzucił oschle. – Dożyj mojego wieku, a też będziesz miał taki fotel, Jamesie. Tymczasem siądźcie wszyscy po drugiej stronie ogniska i wyjaśnijmy sobie różne sprawy.

Jim, Brian, Giles, Dafydd i księżę usiedli. Tylko Bernard wciąż stał z tyłu, poza kręgiem światła z ogniska.

–Ty też, człowieku! – rzekł z irytacją Carolinus do Bernarda. – Kiedy zwołuję zebranie, ranga się nie liczy.

–Nie jestem człowiekiem – odpowiedziała ciemna, ukryta w cieniu postać. – Nie ranga powstrzymuje mnie od tego, by zasiąść z wami, choć i tak mogłoby może być, gdyż przy tym ognisku siedzi syn mego byłego pana. Ale wolę się nie pokazywać i mam do tego prawo, czyż nie?

–Oczywiście – powiedział szybko Jim, zanim czarodziej mógł odpowiedzieć. – Chociaż mógłbyś pomyśleć o tym, że ten oto Mag jest w stanie odwrócić to, co zrobił Malwinne, i przywrócić ci z powrotem ludzką postać.

Carolinus przyglądał się ocienionej postaci stojącej poza kręgiem światła ogniska.

–Jest to oczywiście do zrobienia... – zaczął powoli.

–Dziękuję, nie – przerwał mu Bernard. – Jeśli zostanę taki, jaki jestem, będę mógł przebywać blisko Malwinne'a i być może, pewnego dnia, tymi moimi rękoma pozbawię go życia. Po to tylko żyję. Nie wziąłbym z powrotem całego siebie, nawet gdybyś mi to dał w prezencie.

Wokół ogniska zapadła chwila niezręcznego milczenia.

–Zdaje się, że nam odpowiedziano – rzekł Mag. – Ty tam...

–Na imię ma Bernard – poinformował go sir Raoul.

–Ty tam, Bernardzie – spytał czarodziej – czy nie zmienisz swojej decyzji?

–Nie.

–No to w istocie mamy odpowiedź – rzekł Carolinus. Wrócił spojrzeniem do siedzących przy ognisku. – Pomówmy o sytuacji. Najpierw ty, Raoulu, pozwól Jimowi i reszcie nadrobić zaległości w sprawie angielskich i francuskich wojsk.

–Wszystkiego tego należało się spodziewać – powiedział Raoul. W jego głosie brzmiała nutka gorzkości. – Wasi angielscy rycerze nie mogli długo usiedzieć w bezruchu. Wkrótce zmęczeni się piciem i ulicznymi. Zachciało im się ruszyć na naszego francuskiego króla, nie czekając na resztę waszej armii, to znaczy na większość swoich zbrojnych i łuczników. Zaraz po tym, jak opuściłeś Brest, ruszyli na wschód, w kierunku Tours, Orleanu i Paryża, po drodze pałac i pustosząc naszą

piękną Francję.

–W jakiej sile? – rzucił pytanie Brian.

–Cztery tysiące koni i jakieś cztery tysiące łuczników i zbrojnych. Tak mi powiedziano –odrzekł sir Raoul.

–A ilu samych łuczników? – spytał cichym głosem Dafydd.

Francuz machnął ręką na to pytanie.

–Nie słyszałem dokładnych liczb – powiedział. – Gdzieś między tysiącem a dwoma, jak sądzę, z całej armii – głos jego zabrzmiał, jakby miał zamiar splunąć w połowie zdania – ponad połowa to oczywiście Gaskończycy!

W ciszy, która była odpowiedzią na tę uwagę, ciągnął dalej:

–Ale nasz dobry król Jean zebrał swą własną armię wiernych Francuzów, w liczbie ponad dziesięciu tysięcy, i posuwa się naprzód na spotkanie Anglikom, by wydać bitwę tym waszym intruzom. Minął już do tej pory Chateaudun i być może dotarł do Yendôme. Jeśli pragniecie zabrać swego księcia z powrotem do angielskiej armii, zanim Francuzi i Anglicy się spotkają, to musicie prędko się przemieszczać.

–A siły francuskie? – spytał znowu Brian. – Czy mają między sobą jakichś łuczników czy kuszników?

–Nie znam ich liczby – odparł sir Raoul z jeszcze jednym oddalającym pytanie machnięciem ręki. – Jest dostateczna liczba genueńskich kuszników, tak myślę. My, Francuzi, nie polegamy na piechocie tak jak wy, Anglicy.

–Ku wielkiej stracie Anglików, zwłaszcza jeśli idzie o łuczników – wtrącił jeszcze raz łagodny głos Dafydd.

–Nie będziemy o tym mówić – powiedział sir Raoul. – Pozwólcie, że wam przypomnę, iż byłbym z tą armią, gdyby nie sprawa Malwinne'a. To i tylko to łączy mnie z tą wycieczką, do której nie mam serca, bowiem wymierzona jest przeciw memu własnemu królowi i narodowi. Czarnoksiężnika trzeba za wszelką cenę powstrzymać, by poprawić los Francji, albo Francja, jaką znamy, przestanie istnieć.

–To doprawdy dziwne stwierdzenie, sir Raoulu – skomentował Brian. – Nie pojmuję, w jaki sposób jeden Mag może nabrać aż takiego znaczenia.

–To dlatego, że nic nie rozumiesz! – wybuchnął sir Raoul. – Gdybyś tylko wiedział...

–Myślę, że najlepiej będzie, jeśli od tego miejsca sam wyjaśnię sprawę – stary, ale budzący respekt głos Carolinusa przeciął wypowiedź francuskiego rycerza. – Związane są z tym pewne rzeczy, które wszyscy powinniście lepiej zrozumieć. Jak powiedziałem kiedyś Jamesowi, być może nadeszła pora jednego z moich wykładów. Wszyscy macie siedzieć cicho i słuchać – i zapamiętywać. Zwłaszcza ty, Edwardzie. Bo wszyscy powinniście wynieść z tego pewną naukę.

Jego słowa, wymawiane ponad migoczącymi płomieniami ogniska, odznaczały się dziwną powagą. Opanował ich bezruch, jak się zdawało przynajmniej Jimowi, nie całkiem z ich własnej woli. Mag nie tylko poprosił ich, żeby słuchali, ale zmuszał ich do słuchania.

Carolinus milczał przez chwilę. Podniósł mały kawałek drewna i poprawił ognisko tak, że iskry poleciały w górę i znikły w ciemnościach.



**–Są rzeczy związane z Magią, z jej Sztuką i tymi, którzy ją praktykują – powiedział powoli – których ci z was, co jej nie znają, nigdy w pełni nie rozumieją i zwykłym biegiem rzeczy nigdy nie potrzebowaliby zrozumieć. Ale teraz czas przywiódł was do punktu, w którym trzeba was zapoznać z częścią tej wiedzy.**

**Jim poczuł dreszcz biegnący w dół kręgosłupa. Oczy czarodzieja wpatrywały się w ogień, a jego głos był roztargniony, ale słowa miały dziwną moc, która zdawała się wszystkich ich jeszcze bardziej zbliżyć do siebie.**

## Rozdział 30

Chłodny wiaterek pojawił się nie wiadomo skąd i krążył wkoło grupki zgromadzonej przy ognisku. Ciemne, wygwieżdżone niebo zdawało się opuszczać coraz niżej i otaczać ich.

–Wiele jest królestw – Carolinus miał oczy utkwione w ogień, a jego głos, choć przyciszony, wyraźnie rozbrzmiewał w uszach słuchaczy – i dopiero co zapoznano was z przynajmniej dwoma z nich. Z Królestwem Umarłych i z Królestwem Wilków, z jego wolnością od mocy ludzkich Magów, takich nawet jak ja czy Malwinne. Prawem jest, że ktokolwiek rządzi takim królestwem – jeśli w ogóle ktoś nim rządzi – ma bezpośrednią władzę nad tymi, którzy doń należą. Pozostałych może dosięgnąć i kontrolować tylko za pomocą tej części Magii, która przestała być Magią, a stała się częścią zwykłego życia i powszednich zwyczajów.

–Ale Magu – wyrzucił z siebie Giles – skąd możesz wiedzieć to o Araghu i Królestwie Umarłych? Zaledwie parę godzin temu mieliśmy do czynienia z obiema tymi sprawami.

–Nie musisz wiedzieć, skąd ja to wiem – odparł czarodziej, podnosząc na chwilę wzrok na rycerza. – Są prawa poza prawami, których żaden z was, nawet James, jeszcze nie odkrył. Nie powiem wam, skąd wiem. Nie mógłbym i nie chcę. Wszystko, co może was obchodzić, to to, że wiem. A wszystko, czym możecie się teraz interesować, to to, że wiecie, iż istnieje podział na królestwa i że każde z nich ma swoje prawa i przywileje, i swoje moce – ale nic ponadto.

Znowu poszturchał ognisko i na krótką chwilę zapadła cisza, zanim zaczął mówić dalej, wciąż patrząc w płomienie.

–Istnieje Królestwo Umarłych – powiedział – i istnieje Królestwo Zwierząt. Ale wewnątrz wielu z tych królestw są jeszcze inne. W Królestwie Zwierząt są mniejsze królestwa, które rządzą się własnymi prawami. Wśród zwierząt jest to prawda i dla Królestwa Wilków, i dla Królestwa Smoków, gdyż są to więcej niż zwykłe zwierzęta. Tworzą one Wspólnoty. Nad zwykłymi zwierzętami – byłeś przy mojej rozmowie z żukiem podwórzowym, Jamesie, więc będziesz pamiętał – ludzki Mag ma pewną władzę. Lecz nie nad wilkami, smokami czy paroma innymi istotami, których teraz nie nazwę.

Znowu przerwał.

–Niektóre z tych królestw – ciągnął – zawierają byty, reszta z was nie będzie znała tego słowa, ale James tak, które nie są podobne do nikogo z nas. Nie takie jak ludzie, wilki, smoki czy Pierwotne, takie jak wróżka Meluzyna.

Na chwilę podniósł wzrok na Jima.

–Która, tak przy okazji, wciąż cię ściga, Jamesie – powiedział. – Zrobiłeś na niej większe wrażenie niż jakikolwiek inny mężczyzna i szuka cię od chwili, gdy cię straciła. Nie może cię mieć, gdyż jesteś Magiem, jakkolwiek marnym. Ale ona jeszcze tego nie wie.

Spojrzał z powrotem w ogień.

–Lecz wracając do tego, co mówiłem – kontynuował – wśród tych królestw, w których władza nie to, co w naszym rozumieniu tego słowa żyje, jest Wydział Kontroli i

## **Królestwo Ciemnych Mocy.**

**Ciemne Moce nie mogą ludziom bezpośrednio nic zrobić, bo nie należą oni do ich królestwa. Mogą tylko atakować to, co ludzkie, przy pomocy swoich sług – olbrzymów, larw, piaszczomroków...**

**Zawiesił głos na chwilę, a potem znów podjął opowieść.**

**–Lecz to nie znaczy, że jesteśmy przed nimi bezpieczni. Są zawsze zajęte wynajdywaniem między nami tych, którzy dadzą się obrócić przeciw innym osobnikom swego własnego rodzaju. Tak jak Bryagh, smok, został nastawiony przeciw współplemieńcom, smokom, i wykradł panią Angelę.**

**–Nie był złym smokiem, dopóki nie stał się renegatem – powiedział Secoh prawie jak we śnie.**

**–Być może. Jednak stał się renegatem pod wpływem Ciemnych Mocy – odparł Carolinus. – Ale nie to akurat jest dla nas teraz istotne. Tak jak istnieją królestwa w królestwach wśród zwierząt i innych, tak też istnieją królestwa w królestwach wśród rodzaju ludzkiego. Ci ludzie, którzy całkowicie poświęcili się Bogu, są całkiem poza zasięgiem Ciemnych Mocy. Nawet sługi Ciemnych Mocy stają bezradne przed tymi, którzy poświęcili się bezgranicznie czemuś innemu.**

**Niebezpieczeństwo kryje się w renegatach, których Ciemne Moce mogą przekupić i obrócić przeciwko nam. Ale żebyście zrozumieli, co to znaczy, będę musiał najpierw wytłumaczyć wam coś innego. Coś, co niewielu ludzi rozumie.**

**Znów trącił ognisko, ale zaraz odłożył patyk i przyjrzał się im wszystkim po kolei.**

**–Kiedy zwykły człowiek myśli o jakimś Magu – powiedział – myśli o czymś, co bardzo niewiele ma wspólnego z faktem bycia Magiem. Wyobraża sobie Mistrza Magii jako kogoś, kto jednym machnięciem ręki może stworzyć wszystko – bez wysiłku i nie ponosząc żadnych kosztów. Nawet gdyby było tak naprawdę, a nie jest, to nigdy nie zastanawia się nad tym, ile stanie się Mistrzem Magii w ogóle kosztuje.**

**Ci wielcy w Magii, o których się pamięta, tak jak wspomina się Merlina i jego mistrza Bleysa, nie związali się z wielką sztuką, jaką jest Magia, dla osobistych zysków, jakie miałyby im przynieść. Nie bogactwo i nie władza wezwały ich do długiej drogi, przy końcu której stali się tym, czym się stali. Wezwała ich sama praca, wspaniała rzecz, jaką jest sama Magia, wyróżniająca się i nie mająca sobie równych Sztuka i Nauka.**

**Lekko westchnął i znów gdzieś z ciemności nadleciał wietrzyk i poruszył przez chwilę wiotkie, siwe włosy jego brody. Głos Maga nie zmienił się, ale nagle zdało się wszystkim, że słyszą go wewnątrz siebie, wyraźnie, lecz jakby z bardzo daleka, z długiego i mrocznego tunelu.**

**–Trzeba, abyście wszyscy zyskali pewne pojęcie o cenie, jaką każdy, mężczyzna czy kobieta, musi zapłacić, żeby stać się Mistrzem Magii.**

**Przerwał i podniósł głowę, żeby znów przyjrzeć się ich twarzom.**

**–Zasadniczo – powiedział – ceną jest wszystko. Wszystko, co ma się w sobie do zapłacenia, jest ceną tego, czego się można nauczyć.**

**Na chwilę zatrzymał spojrzenie na wilku.**

**–Z was wszystkich – mówił dalej – tylko Aragh doceni najlepiej samotność tej**

dłuższej drogi. Znacie samotność, bo leży to w ludzkiej naturze, że każdy z nas jakkolwiek by się zbliżył do swoich bliźnich, kobiet i mężczyzn, musi żyć samotnie wewnątrz siebie. Ta samotność dla Mistrza Magii staje się jeszcze większa. Jest on jak pustelnik, który chroni się na pustynię, żeby mógł być sam tylko z tym, co go zajmuje. Czy kiedykolwiek zapytaliście sami siebie, czemu pustelnik miałby to robić?

Żaden z nich nie odpowiedział mu inaczej jak tylko milczeniem, które samo wystarczało za „nie”.

–Z miłości – powiedział Carolinus – z wielkiej miłości do tego, co go pochłonęło, co zawałdnęło jego duszą i umysłem tak, że potrzeba owa ma teraz pierwszeństwo przed wszelkimi innymi rzeczami. Wszyscy to robimy, ale na różne sposoby; my, którzy poświęcamy życie Magii i jesteśmy znani pod mianem Magów. To, co kochamy, nie zostawia nam czasu na nic innego. Tak więc znajdujemy sobie różne miejsca na świecie, ale z dala od jego zgiełku – przynajmniej większość z nas.

Znów popatrzył w dół, na ogień, wziął swój kijek i pogrzebał nim w ognisku, wysyłając w górę dziko tańczące iskry.

–I przychodzi taka chwila – ciągnął niemal łagodnym głosem – kiedy najlepsi z nas zadają sobie pytanie – czy warto? Czy to sprawiedliwe, że muszę obywać się bez wszelkich zwykłych życiowych przyjemności, żeby nauczyć się tego, czego się nauczyłem, i zrozumieć to, co teraz rozumiem? I zawsze przychodzi odpowiedź – tak, było warto. Lecz mimo to, dlatego że przede wszystkim jesteśmy ludźmi i zostaniemy nimi aż do śmierci, tęsknota za tym, co straciliśmy, nigdy nas nie opuszcza. Takich właśnie zastarzałych pragnień i głodów poszukują Ciemne Moce, by je wykorzystać dla swoich celów. Tak samo jak smocze łaknienie nigdy dość wielkiego skarbu, pragnienie nie kończącego się wina.

Spojrzał na Secoha.

–Ty wiesz, Secohu, co to głód i pragnienie – powiedział, a smok zwiesił głowę. Oczy Maga zwróciły się na Jima. – Nawet ty, Jamesie, pamiętasz, czym są takie pragnienia, z czasów kiedy byłeś smokiem.

Jim także uciekł spojrzeniem przed bladoniebieskimi oczami błyszczącymi w świetle ogniska.

–To obietnica Ciemnych Mocy, że Bryagh będzie miał swój większy skarb i całe wino, jakiego sobie kiedykolwiek zażyczy, zamieniła go w renegata – obwieścił Carolinus. – Nawet wśród naszych wielkich Mistrzów tęsknota za tym, co porzuciliśmy, płacąc za to, co zyskaliśmy, trwa i jest szczeliną, przez którą może dostać się wić zła. To może się zdarzyć najlepszym z nas. Nigdy Ciemnym Mocom nie powiodło się z naszymi prawdziwie wielkimi czarodziejami, oprócz drobnego sukcesu z Nimue, która podstępem wyłudziła od Merlina zaklęcie mające zamknąć go w pniu drzewa, użyła go przeciw niemu i uwolniła na świat jeszcze więcej zła. Ale ci, którzy są bliscy stania się wielkimi, którzy już posiadają ogromną mądrość i siłę, są najbardziej wystawieni na pokusę, gdyż mogą już tak dużo, a potrafią wyobrazić sobie, że mogliby mieć jeszcze więcej.

Popatrzył na Jima i głos jego znów złagodniał.

–Dlatego James nigdy nie stanie się prawdziwie wielkim Magiem. Jest już zbyt

**mocno związany ze światem przez uczucia, które w nim istnieją i które częściowo istniały już, zanim w ogóle poznał Magię. Głos czarodzieja znów stwardniał.**

**–Nieważne – powiedział. – Sedno sprawy tkwi w tym, że James pochodzi z innego miejsca, o którym wiele wie, i nawet małej części jego wiedzy reszta z was nigdy nie mogłaby pojąć. Związek Jamesa z naszym światem i Magią uczynił go szczególnie kłopotliwym przeciwnikiem dla Ciemnych Mocy. Nie jest to coś, do czego został przyuczony, tylko coś, co spotkało go dzięki działaniom Przypadku i Historii w tym świecie – przerwał i przez chwilę patrzył Jimowi prosto w oczy. – Pomówię z tobą na ten temat prywatnie, Jamesie, ale innym razem. To, co teraz powiedziałem, na razie wystarczy.**

**Potrzebujecie wiedzieć, że James i, co za tym idzie, ci spośród was, którzy są jego towarzyszami, stanowią zagrożenie dla tej chwili, w której Ciemne Moce znów są w natarciu i bardzo bliskie odniesienia ostatecznego zwycięstwa, po którym ciężko będzie wyrwać im to, co dzięki niemu osiągną.**

**Mag jeszcze raz popatrzył w dół, na ognisko, i długo się wahał, zanim zaczął mówić dalej.**

**–Wstyd mi, że muszę to powiedzieć – rzekł w końcu – lecz to ktoś z mego własnego rodzaju, z mego własnego królestwa, kolega Mag o wielkiej sile i mądrości został opanowany przez Ciemne Moce. Już dawno odgadliście kto – Malvinne.**

**Popatrzył na nich i głos jego przybrał na sile.**

**–Z powodów, których nie mogę teraz wyjawić – powiedział – my, prawdziwi artyści Sztuki Magicznej wystawialibyśmy sprawy na zbyt wielkie ryzyko, gdyby ktoś taki jak ja, o kredycie równym temu, jaki posiada Malvinne, lub nawet większym, wyruszył, by go powstrzymać na drodze, na którą pchnęły go Ciemne Moce. Z drugiej strony, żaden pomniejszy Mag nie miałby normalnie najmniejszych szans w walce przeciw niemu. Tylko ktoś, kto różni się od nas wszystkich, niezbyt jeszcze mocny w Magii, ale mocny w rzeczach, których nawet**

**Ciemne Moce nie mogą sobie przedstawić, byłby w stanie pokonać i powstrzymać zło. Tak więc wypadło na mnie, jako przyjaciela Jamesa, jego nauczyciela i Mistrza w Sztuce, której obaj się poświęciliśmy, by popchnąć go ku niebezpiecznej próbie wyruszenia przeciw Malvinne'owi. Na chwilę przerwał.**

**–I tak zrobiłem – spojrzał wprost na Jima. – Jeśli będziesz chciał, potęp mnie, ale tylko mnie. Sam musiałem powziąć tę decyzję i zrobiłem to, nie naradzając się z tobą ani nie dając ci sposobności odmowy. Wymagała tego powaga sprawy i tak też zrobiłem.**

**–Cz-cz-czy Ciemne Moce wiedzą o Jamesie? – wyjąkał Secoh. – Czy wie Malvinne?**

**–Ciemne Moce wiedziały w chwili, w której zdecydowałem się popchnąć go do tego – odrzekł Carolinus.**

**Nie spuszczał oczu z Jima.**

**–Napad na twój zamek, Brianie, był ich pierwszym ruchem przeciw niemu. To nie zamek był celem, tylko możliwość zabicia Jamesa w walce, do której w dużym stopniu nie był jeszcze przygotowany, i znalazł się on bliżej śmierci, niż ktokolwiek z**

was mógł przypuszczać.

–Jamesie, gdybym tylko wiedział... – zaczął Brian głosem przepelnionym wyrzutami sumienia, ale czarodziej przerwał mu.

–Nawet gdybyś wiedział, Brianie – stwierdził – nie zrobiłoby to różnicy. James sam musiał się przeciwstawić zamachowi. Od tej pory kilka razy ocierał się o śmierć wskutek knowań Ciemnych Mocy. Tylko wasza opieka, jego przyjaciel i towarzyszy, pomogła go ocalić. Żywiono nadzieję, że zabijesz go w gospodzie, Gilesie, w trakcie sprzeczki o izbę.

–Na Boga, Jamesie! – wybuchnął rycerz. – To ten mój przeklęty temperament, tylko to! Jak będziesz mógł mi teraz ufać, wiedząc o tym?

–Zawsze będę ci ufał, Gilesie – odparł Jim.

–Nie wiń sam siebie, Gilesie – powiedział Carolinus. – Tego dnia sfalszowano przeciw tobie kości w sposób, którego nie mogłeś dostrzec czy podejrzewać. Pamiętaj też, że kiedy później zostałeś przyjacielem i towarzyszem Jamesa, będąc silkie uratowałeś jego i wszystkich na pokładzie, gdy statek znalazł się na skale, na którą taki świetny żeglarz jak tamten kapitan nigdy nie powinien wpaść na wodach, które dobrze znał.

–To prawda, Gilesie – potwierdził Jim. – Ocaliłeś nas wszystkich tego dnia.

Choć blask ogniska nie był wcale takim idealnym oświetleniem, można było zauważyć, że rycerz zarumienił się i sam zapatrzył w dół, w płomienie.

–To przecież tylko tych parę pociągnąć liny – zamruczał do ognia.

–Rozkazuję ci zapomnieć o tym – odezwał się Mag i Giles podniósł głowę, a oczy miał nieco oszołomione i błędzące. – Nie jesteś ani trochę bardziej winny, niż byłaby Meluzyna, gdyby Jim nie zamienił się ze smoka w człowieka, zanim doszedł do jeziora, tak jak poradziły mu iść dwa smoki renegaty, które zabrały mu paszport.

Zwrócił się do Jima.

–Czy nigdy nie dziwiło cię, Jamesie – spytał – że tak trudno było ci znaleźć smoki we Francji, póki nie trafiłeś na tę dwójkę?

–Owszem, zastanawiało mnie to – przyznał Jim – ale myślałem, że może to mieć coś wspólnego z tym, jak zniszczony został kraj w ostatnich latach przez dwie walczące z sobą armie. Albo może po prostu z tym, że smoki we Francji zamieszkują inne okolice.

–Ani to, ani to – powiedział Carolinus. – To Ciemne Moce blokowały twoje postrzeganie prawdziwych smoków, które mijales, dopóki nie trafiłeś na małżeńską parę, której oddałeś paszport. Ale dość o tym. Pozwólcie tylko, że powiem, iż Malwinne przez wiele lat nie był upadłym Magiem. Ciemne Moce dotknęły go kiedyś we wrażliwym punkcie, o którym wam mówiłem, i zaczął tęsknić za światowym blaskiem bogactwa i sławy. Nie śmiał wyczerpać swego kredytu w Wydziale Kontroli, żeby zdobyć większość tych rzeczy, dlatego stał się ekspertem w używaniu ludzkich sposobów do obrabowywania innych ludzi.

–Takich jak mój ojciec i moja rodzina, na Boga! – przerwał mu gwałtownie sir Raoul. – Ten sam jego apetyt zrujnował tuziny innych wielkich francuskich rodów. Malwinne najpierw oczerniał ich kłamliwie przed naszym dobrym królem, a potem

atakował przy pomocy własnych wojsk. Moi dwaj starsi bracia polegli z mieczem w dłoni, broniąc zamku przed napaścią. Mego ojca uwięziono, a potem zgotowano mu okrutną śmierć.

–Tak też było – powiedział Mag. – Jednakże to już przeszłość. Teraz niepokoimy się ogromnie o przyszłość. Armie francuska i angielska maszerują sobie na spotkanie. Spotkają się w ciągu zaledwie kilku dni. A wojska angielskie cierpią na poważny niedostatek ludzi, brak im łuczników, którzy dopomogli w zwycięstwie w bitwie pod Crecy i Nouaille-Maupertuis w 1365 roku, znanej powszechnie jako bitwa pod Poitiers.

–Tak jak myślałem – mruknął cicho Dafydd do ogniska.

–Tak – powiedział czarodziej spoglądając na niego – ale co ważniejsze, do francuskich wojsk dołączy wkrótce MaMnne, który ma ze sobą fałszywego księcia Edwarda...

–Fałszywego, to znaczy szalbierza? – wybuchnął książę.

–Nie takiego szalbierza, o jakim myślisz, Edwardzie – Carolinus odwrócił się do niego. – Ten fałszywy książę jest wytworem Magii. Nie mogę powiedzieć nawet Jamesowi, jak został stworzony, nie zakłócając działania Przypadku, ale jest lustrzanym odbiciem ciebie, Edwardzie, włącznie z odzieżą, którą teraz nosisz. Ponadto zostały już rozniesione pogłoski, że zawarłeś ugodę z królem Jeanem i że będziesz z nim walczył przeciw swym własnym angielskim wojskom.

Przerwał na moment, żeby następna informacja mogła głębiej zapaść w ich umysły.

–Którakolwiek ze stron wygra – zaczął mówić powoli i z naciskiem – zauważcie, którakolwiek, w rezultacie rozpęta się krwawa, nie kończąca się wojna, która rozedrze, Francję na strzępy i dzięki której Malwinne zyska więcej i więcej doczesnej władzy, aż to on będzie panował, a nie król Jean. I wtedy przy pomocy wojsk i Magii wyrzuci Anglików zupełnie, raz na zawsze.

Odwrócił się, by spojrzeć na sir Raoula.

–Raoulu – odezwał się – myślisz może, że mile byś widział wyparcie Anglików, nawet takim kosztem, ale powiadam ci, że nie jest to ani odpowiedni czas, ani odpowiedni sposób. Co więcej, kraj pod rządami Malwinne'a nie będzie już Francją, jaką znałeś, ale ciekącym wrzodem na obliczu Europy, z którego rozprzestrzeni się zło, próbując zagarnąć nie tylko terytoria przylegające do waszego kraju, ale i ostatecznie Anglię i cały świat. A ponadto im dłużej będzie istniało to państwo, tym potężniejsze się stanie, aż nie będzie już można go powstrzymać.

–Nie potrzebujesz mi tego mówić – odparł francuski rycerz. – Wiem, dobrze wiem, że gdzie dzieje się wedle woli Malwinne'a, nic dobrego z tego nie wynika. Ale co możemy zrobić?

–Jest tylko jedna nadzieja – stwierdził Carolinus. Popatrzył znów na Jima. – I zakazane jest mi nawet doradzenie sposobu, w jaki to przeprowadzić, Jamesie. Sam jakoś musisz dotrzeć na pole bitwy; w porę, by powstrzymać wojnę; tak aby żadna strona nie wygrała; zdemaskować fałszywego księcia i sprawić, że prawdziwy, tu obecny Edward zostanie rozpoznany w swoim majestacie.

**Dopiero wstał świt, a chociaż całą noc byliście na nogach, doradzam wam wyruszyć bezzwłocznie. Powiedziałem Raoulowi, gdzie będzie miejsce spotkania, leży ono niedaleko pola tej wcześniejszej bitwy pod Poitiers, Anglicy bowiem otrzymali wieści o nadciągających Francuzach i skręcili na południe szukając lepszej pozycji obronnej.**

**Jim nagle zdał sobie sprawę, że Mag powiedział prawdę; rzeczywiście dniało. Zdawało się nieprawdopodobieństwem, że cała noc mogła przejść na ich ucieczce z zamku i wykładzie Carolinusa, ale brzask nadchodzącego dnia rozjaśnił już niebo na wschodzie, powodując, że bladły płomień ogniska, które zapadło się i wypaliło tak, iż zostały z niego tylko żarzące się węgle.**

**–Przygotowałem konie dla nas wszystkich – powiedział Raoul.**

**–Mamy własne konie i ekwipunek w obozowisku – sprzeciwił się Brian. – Nie możemy być teraz daleko od niego.**

**–Istotnie, to blisko – odezwał się Bernard. – Mogę sprowadzić je w parę minut.**

**–Tylko ekwipunek, Bernardzie – zarządził Raoul. Uśmiechnął się do nich złośliwie.**

**– Byłoby to osobliwe, gdyby francuski rycerz we Francji nie mógł was zaopatrzyć w lepsze wierzchowce niż te, o które się wystaraliście. A ja mogę.**



## Rozdział 31

„Konie dla wszystkich” odnosiło się do doprawdy bardzo dobrych zwierząt, wyekwipowanych w siodła, ogłowia i cały potrzebny sprzęt. Z konieczności wierzchowce były jednak przeznaczone wyłącznie dla ludzi. Secohowi i Araghowi nie pozostało nic innego, jak tylko podróżować własnym napędem.

Dla smoka, który potrafił latać, nie stanowiło to problemu. Co zaś się tyczy wilka, bez trudności nadążał za końmi, wyraźnie czerpiąc złośliwą uciechę z tego, że niepokoiły się, ilekroć zbliżył się do nich za bardzo. To rozmyślne straszenie koni doprowadziło do tego, że Jim musiał w końcu poprosić go, żeby przestał.

Aragh nawet nie udawał, że nie rozumie, o czym mówi Jim.

–Muszę przyznać, że miałem niezłą zabawę – wyznał wilk. – Jednak zważywszy na okoliczności i to, że mamy przed sobą ważne zadanie, zrobię, jak mówisz, Jamesie, i będę trzymał się nieco bardziej z dala. To znaczy, chyba że droga stłoczy nas razem, a wtedy, jeśli wasze duże, czworonożne gamonie będą się denerwować, że jestem za blisko, nie wiń mnie za to.

–W takim przypadku – obiecał Jim – nie będę. Secoh nie mógł dotrzymać im kroku piechotą tak jak

Aragh. Smok, człapiąc na tylnych łapach, potrafił nadążyć za końmi idącymi stępą, choć nie bez pewnego wysiłku. Jednakże Raoul wykorzystywał otwarte połacie terenu, by puszczać konie kłusem. Jimowi, który mimo rocznego pobytu w tym świecie nie stał się jeszcze prawdziwym jeźdźcem, sprawiało to nieco trudności. Ale Secohowi było jeszcze ciężiej. Mógł biec na tylnych łapach, zajęcie to pochłaniało jednak dużo energii i nie był doń odpowiednio zbudowany. Poza tym jego obecność płoszyła konie jeszcze bardziej niż obecność Aragha.

Wreszcie znaleźli rozwiązanie. Wysyłali Secoha przodem do miejsca, w którym miał się z nimi spotkać. On udawał się tam na skrzydłach, a potem czekał ich nadejścia. Sprawdzało się to całkiem niezłe; smok leciał jakieś piętnaście minut do pół godziny drogi przed nimi i dołączał do reszty, kiedy przystawali, by dać odetchnąć koniom albo zjeść coś i wypić.

Wciąż utrzymywała się słoneczna i ciepła, ale nie za ciepła pogoda. Świetnie wyrabiali się z czasem i wkrótce przekroczyli szlak francuskiej armii. Widzieli ślady i słyszeli relacje naocznych świadków spośród miejscowej ludności, do których sir Raoul mógł się zbliżyć, żeby ich przepytac. Ci sami osobnicy uciekliby przed Jimem i każdym z towarzyszy. Wszyscy potwierdzali, że armia była przynajmniej o dobre dwa dni drogi przed nimi. Trop według francuskich gospodarzy zdawał się zakręcać na zachód. Wszyscy zgodzili się, że to znaczy, iż Francuzi dowiedzieli się, że brytyjskie wojska zacierają w tym kierunku, i podążali teraz żwawo ich śladem.

–Nigdy nie udało ci się powiedzieć mi, skąd się tu wzięłeś. Powiedziałeś, że jesteś „ambasadorem”? – zapytał Jim Secoha na jednym z popasów.

Zatrzymywali się teraz częściej, pod pozorem odpoczynku dla koni albo zjedzenia czy napicia się czegoś, albo też z każdego innego powodu, jaki potrafili wymyślić. Prawda leżała w tym, że wszystkim, poza smokiem i sir Raoulem, śmiertelnie chciało się spać, a żaden nie chciał być pierwszym, który zaśnie w siodle.

–Nigdy nie udało mi się porządnie tego opowiedzieć – stwierdził nadąsany Secoh.

– Carolinus przerwał mi, zanim zacząłem.

–Wiem – odezwał się współczująco Jim – ale tyle ważnych rzeczy się dzieje...

Pozwolił słowom ucichnąć. Smok rozchmurzył się nieco i przestał się dąsać.

–Och, wiesz – zagaił – zaczęło się od tego, że Carolinus powiedział mi o tobie i o Ciemnych Mocach, i o tym, jak kierują cię w stronę tych dwóch smoków renegatów w starym chateau. Więc udałem się znów do smoków z Cliffside i zaproponowałem, żeby wysłały mnie jako ambasadora, aby dać ci znać, jakie prawa przysługują ci wśród francuskich smoków w sytuacji, gdy dwa z nich, które stały się renegatami, dostały w swoje łapy cenny paszport, za co wszystkie francuskie smoki ponosić będą zresztą odpowiedzialność. No cóż, mówiąc krótko, po wcale nie takim długim gadaniu zgodziły się mnie puścić, choć musiały wybulić kilka dodatkowych klejnotów, żeby akredytowano mnie jako ambasadora.

–To ładnie z ich strony – stwierdził Jim. – Właściwie nie sądziłem, że się tak mną przejmują.

–Cóż, prawdę mówiąc – przyznał Secoh – były istotnie dużo bardziej przejęte klejnotami, które ci dały na paszport. Swoimi klejnotami. W istocie prawdą jest – ciągnął smok w nagłym przyplywie szczerości – że i ja martwiłem się trochę o perłę, którą dołożyłem do błyskotek zbieranych na paszport. Widzisz, to jedyny klejnot, jaki mi został z rodzinnego skarbu. Został zdobyty przez mojego prapradziada w jedenastym pokoleniu, a każdy ojciec przekazując go synowi kazał mu przysięgać, że nigdy się z nim nie rozstanie. Mój ojciec zaprzysiął mnie i nigdy nie opuściłem mojej perły, niezależnie od tego, jak głodny byłem tam na bagnach. – Pojedyncza łza zebrała się w kąciku jego oka i spłynęła w dół po długim, kościstym pysku. – A teraz – powiedział – być może przepadła na zawsze.

–Secohu, byłeś niesłychanie hojny! – rzekł Jim. – Oddać coś, co tyle dla ciebie znaczyło, żeby rozpocząć zbiórkę klejnotów na mój paszport.

Łza dosięgła już końca pyska smoka i jego prawego nozdrza. Wciągnął ją nosem.

–A co tam – machnął łapą. – Od czego są przyjaciele?

Poza tym nie pozbywałem się klejnotu na zawsze. Byłem pewien, że dostanę go z powrotem.

–Dostaniesz, Secohu, dostaniesz – przyrzekł Jim stanowczo. – Albo coś równie cennego. Znajdę te dwa smoki, z którymi miałem do czynienia, i zmuszę je, żeby oddały paszport. A jeśli nie, znajdę jakiś sposób, nie wiem jeszcze jaki, ale jakiś znajdę, żeby zastąpić twój klejnot czymś równie cennym.

–To niełatwe – pociągnął nosem Secoh. – My, smoki, nie wystawiamy swej własności na ryzyko, wiesz, a w każdym razie nie tak cenne rzeczy jak klejnoty.

–I tak dostanę go dla ciebie albo czymś zastąpię – obiecał Jim. – Najpierw spróbuję zmierzyć się z tymi dwoma smokami.

–Jeśli dasz radę je odnaleźć – powątpiewał smok. – Pamiętaj, to jest Francja, a one są tutejsze. Mogą znać takie kryjówki, w których nigdy nie zdołasz ich odnaleźć.

–Tak czy inaczej zrobię to – zaczął Jim, ale Secoh mu przerwał.

–Właściwie – rzekł -.– Carolinus sądził, a ja zgodziłem się z nim, że byłoby dużo

lepiej, gdybyś wywarł nacisk na całe plemię francuskich smoków. Jeśli pozwolą, żeby twój paszport skradziony został przez jednego z ich pobratymców, i wieść o tym się rozniesie, żadne inne plemię czy gromada smocza nie będzie im ufać, niezależnie od tego, co przyniosą jako paszporty. Albo też wszystkie inne gromady będą czuć, że bez ceremonii mogą przywłaszczają sobie każdy paszport, jaki im się przedstawi. Smoki francuskie mają dużo do stracenia. Ponadto poradzą sobie dużo lepiej niż ty czy ja z odnalezieniem tych dwojga smoków renegatów i zmuszeniem ich do oddania paszportu. Musisz je tylko trochę przycisnąć, Jamesie.

–Jak mam na nie wywrzeć nacisk? – spytał Jim.

–No cóż, od tego właśnie jestem ambasadorem – powiedział Secoh. – Widzisz, mogę mówić w twoim imieniu. Mogę skontaktować się z francuskimi smokami, uzyskać posłuchanie u tych spośród nich, na których można polegać, i wyjaśnić sytuację. Możesz mnie upoważnić do wystąpienia o cokolwiek, co wymyślisz jako odszkodowanie, włącznie ze zwrotem paszportu. Odszkodowanie może być czymś, co będzie znacznie przekraczało wartość paszportu, tak że nie będą mogły się doczekać, żeby ci go zwrócić, zamiast zadośćuczynić twoim żądaniom.

–Czy to możliwe? – spytał Jim nagle bardzo zainteresowany słowami smoka.

–Czas siadać na koń i znów ruszać – głos sir Raoula wzniósł się ponad toczące się rozmaite pogawędki.

Bardziej niż trochę obolały od jazdy Jim wspiął się jeszcze raz na średniowieczne siodło o wysokim tylnym łuku, które było jego więzieniem od siedmiu czy ośmiu godzin. Jęknął cicho, gdy wewnętrzne strony jego nóg, które sprawiały wrażenie, jakby odarto z nich skórę, raz jeszcze dotknęły siodła. Ból trwał niedługo i po chwili znów miał jasny umysł. Zaczął myśleć o tym, co właśnie powiedział mu Secoh.

Gdy ruszyli, zajęty był rozmyślaniami. Pierwszym problemem było, jakiej ceny mógł zażądać za zaginiony paszport. Musiała się w tym kryć jakaś okazja. Najpierw nie udawało mu się wymyślić niczego, co mogłoby się równać z przeogromną wartością wspaniałych klejnotów, które przywiózł do Francji. Jednak nie przestawał myśleć, aż w końcu wpadł na pomysł. Na następnym postoju, w jakieś pół godziny później, znów podjął rozmowę z Secohem.

–Powiedz mi coś – poprosił błotnego smoka. – Czy francuskie smoki nie lubią francuskich Jerzych tak samo jak angielskie smoki angielskich Jerzych?

–Powiedziałbym, że tak – odrzekł natychmiast Secoh. – Och, to nie znaczy, że niektórzy Jerzy nie dają się lubić, jak ty i sir Brian, którego teraz już znam, i może ten sir Giles, skoro najwyraźniej jest półfoką, czyli silkie, i niepodobny jest do innych Jerzych. Ale prawie wszyscy Jerzy, i angielscy, i francuscy, są dokładnie tacy jak sir Hugh.

Pamiętasz sir Hugh'a de Bois de Malencontri, który władał twoim zamkiem przed tobą? On to właśnie mnie pojmał i obiecał mi życie, jeśli przywołam cię na dół, żeby mogli cię złapać. To było wtedy, kiedy zmierzałeś do Twierdzy Loathly. Przypominasz sobie? A potem, kiedy to zrobiłem i pojmał cię, tylko się roześmiał, gdy prosiłem, żeby mnie uwolnił, i powiedział, że chce mieć moją głowę na ścianę.

–No to mam pomysł – powiedział Jim. – Myślałem trochę i wydaje mi się, że trzeba

zrobić tak: zażądać od nich ceny, której zapłacenia nie mogą odmówić, ale której nie będą chciały, nie odważą się, zapłacić z tego czy innego powodu.

–Nie rozumiem, Jamesie – odparł Secoh – jak możesz zażądać takiej ceny?

–Powiem ci – rzekł Jim.

Przyszło mu do głowy, że mógłby ustrzelić dwa ptaki jednym strzałem czy raczej jedną strzałą, by to ująć językiem tego świata i epoki.

–Przypuśćmy, że powiesz im ode mnie, iż żądam, aby pojawiły się z klejnotami w ciągu trzech dni. A także, że każdy francuski smok w odpowiednim do walki wieku i kondycji musi stawić się na polu bitwy między Anglikami i Francuzami, by stworzyć formację, która podejmie walkę przeciw Francuzom po angielskiej stronie.

Secoh wytrzeszczył na niego oczy.

–Nie ro... tak, rozumiem! – zawołał nagle. – Smoki nie lubią poszczególnych Jerzych, ale muszą żyć z nimi na wspólnym terytorium, a jeśli wszyscy tutejsi Jerzy postawiliby sobie za zadanie pozbycie się smoków, to czeka je pieskie życie. A to właśnie zdarzyłoby się, gdyby ruszyły do walki po angielskiej stronie. Będą musiały oddać paszport, a jeśli im się nie uda, to worek klejnotów tyle samo wartych! Jamesie, musisz być najsprytniejszym Jerzym na świecie!

–Wątpię – westchnął Jim. – A i tak to nieważne. Zaniesiesz ode mnie dla nich tę wiadomość? Pamiętaj, użyj dokładnie moich słów. Mają stawić się zwartą formacją, żeby walczyć po stronie Anglików.

–Dlaczego poszczególne słowa są takie ważne? – spytał smok patrząc na niego dziwnie.

–Po prostu zaufaj mi – poprosił Jim. – Jak mówił Carolinus, to coś, czego nie mogę wyjaśnić. Nie mogę i nie chcę. To bardzo ważne, żebyś dokładnie powtórzył im słowa, których właśnie użyłem.

–Och, oczywiście, że to zrobię – obiecał Secoh. – Chcesz, żeby stawiły się formacją gotową do walki po stronie Anglików i z paszportem za trzy dni. To niedużo czasu.

–Tak, niedużo – zgodził się Jim. – Może lepiej zacznij ich szukać od razu. Natychmiast.

–Już lecę! – zawołał smok.

Poczłapał trochę w bok, żeby zyskać nieco miejsca do startu, lekko przykucnął i rozprostował skrzydła na całą długość w pozycji do góry. Rozległo się potworne uderzenie od pierwszego machnięcia skrzydłami, Secoh skoczył w górę i szybko wzbił się w niebo. Spętane konie zaczęły kwiczeć, rzeć i stawać dęba z przerażenia.

–Co się dzieje? – krzyknął stojący w pobliżu sir Raoul. – Sir Jamesie, co to ma znaczyć?!

Jim zdecydował, że nadszedł czas, aby francuski rycerz jasno zrozumiał, kto dowodzi ich oddziałem. Podszedł więc do miejsca, gdzie wszyscy stali.

–Sir Raoulu – zagaił – nikt z nas nie zna twojej rangi. Francuz nachmurzył się i zmarszczył brwi.

–Moje nazwisko rodowe i ranga to mój sekret, sir Jamesie – powiedział – a ty

wciąż nie odpowiedziałeś na zadane ci przed chwilą pytanie.

–Właśnie teraz ci odpowiadam – rzekł Jim. – Respektujemy twoje życzenie zachowania prawdziwej rangi i nazwiska w sekrecie. Ale inna rzecz sekretem nie jest. Ta inna sprawa to fakt, że jestem Magiem. Czy ty jesteś Magiem, sir Raoulu?

Zmarszczenie brwi rycerza przeszło w spojrzenie spode łba.

–Cóż to za nonsens? – zapytał. – Wiesz, że nie!

–Ani, jak sądzę, nie jest Magiem nikt inny z obecnych tutaj? – dodał Jim.

–Oczywiście, że nie – potwierdził sir Raoul.

–Więc chyba pojdziesz, że może tu być tylko jeden dowódca – powiedział Jim. – To znaczy rycerz, który jest także Magiem. Czyli ja sam. Powierzono ci wskazanie nam drogi do miejsca, o którym mówił Carolinus, gdyż nikt z nas nie odnajdzie go z taką łatwością jak ty. Ale ja tu dowodzę. Czy sprzeciwiasz się temu?

Przez chwilę stali mierzając się wzrokiem, po czym francuski rycerz opuścił oczy.

–Nie, sir Jamesie – powiedział cichszym głosem. – W rzeczy samej masz słuszość. Może być tylko jeden dowódca i możesz nim być tylko ty.

–Dobrze. Cieszę się, że jesteśmy zgodni – rzekł Jim. – Ten jeden raz jeszcze ci odpowiem na pytanie, ale w przyszłości nie będę nic wyjaśniał. Wysłałem Secoha ze specjalną misją. Przykro mi, że zaniepokoiło to konie i być może ciebie. Ale to wszystko, co musisz o tym wiedzieć, i wszystko, czego się dowiesz.

Sir Raoul przytaknął powoli i spojrzał na Jima.

Jim odwrócił się i popatrzył na pozostałych, którzy żwawo nadeszli na dźwięk podniesionych głosów obu mężczyzn. Przyjrzał im się uważnie. Najwyraźniej zasypiali na stojąco, wszyscy poza Araghem, który być może po prostu lepiej ukrywał swoje reakcje. Wilk leżał na brzuchu, głowę oparł na wyciągniętych przednich łapach i patrzył na niego żółtymi oczami.

To zadziwiające, pomyślał Jim, że Aragh nie okazuje ani śladu zmęczenia. Wszak musiał być tak zmęczony jak i pozostali. A może nie? Przypomniawszy sobie, jak przyłapał wilka na drzemce w czasie, gdy wszyscy poszukiwali w komnatach Malwinne'a śladów czerwonego koloru. Przez chwilę Jim odczuwał lekkie ukłucia zazdrości, ale potem odsunął to od siebie. Krótka drzemka czyniła może jakąś różnicę, ale na pewno niedużą. Właściwie od czasu gdy opuścili obozowisko w noc ich spotkania w lesie z Bernardem, Aragh był na nogach i aktywny jak pozostali.

Jeszcze raz omiół wzrokiem Briana, Gilesa, Dafyddę i księcia. Wszyscy wyglądali na wyczerpanych. Wiedział, że Brian i Giles prędzej wypadliby z siodeł, niż przyznali się, że są znużeni, zanim nie zrobi tego ktoś inny.

Księżę najwyraźniej wychowany został w podobnej szkole. Był krwi królewskiej, a zatem powinien sprawiać się lepiej niż inni we wszystkim, nawet jeśli chodziło tylko o niezaśnięcie. Jednakże była już pora położyć temu kres. Jim odwrócił się z powrotem do sir Raoula.

–Wiem, że to załedwie wczesne popołudnie – powiedział do niego – ale myślę, że trzeba nam odpocząć. Znajdziemy najbliższe osłonięte miejsce i nadrobimy zaległości w spaniu. Lepiej wyruszyć o świcie po całej przespanej nocy, niż wjechać ogłupionym ze zmęczenia prosto w jakieś tarapaty, których inaczej dałoby się

uniknąć. Czy znasz gdzieś blisko jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy odpocząć?

–Mam przyjaciół – odpowiedział z prostotą sir Raoul. – Zechciejcie wsiąść na koń i zdążyć za mną.

Prowadził ich mniej niż trzy mile, aż doszli do małego zamku. Było, jak powiedział; rozpoznali go natychmiast nie tylko właściciele, ale i straż przy bramie. Znużeni podróżni z wdzięcznością przyjęli kwatery zaoferowane im przez gospodarza, wszyscy oprócz Aragha, który jak zwykle wolał nie zatrzymywać się pod dachem.

–Ja będę spał w lesie – oświadczył i zostawił ich, zanim ktokolwiek mógł się sprzeciwić.

Jim zbudził się w szarym świetle świtu wpadającym przez szczelinę okna do komnaty, w której on, Brian, Giles i Dafydd spali na siennikach. Podejrzewał, że sir Raoulowi i księciu zaoferowano nieco lepsze pojedyncze kwatery. Poczul się dziwnie odświeżony i pełen energii. Nic nie naruszało tego dobrego samopoczucia, dopóki nie spróbował stanąć na nogi i nie odkrył, jak zeszywniał po jeździe konnej.

Zamek był na tyle mały, że nie mieli problemów ze znalezieniem drogi do wielkiej sieni i służącego, którego Jim wysłał na poszukiwanie sir Raoula. Kiedy ten nadszedł, zarządził śniadanie i wkrótce potem znów byli w siodłach, a Aragh do nich dołączył.

Jim stwierdził, że drugi dzień jazdy nie był tak męczący jak pierwszy. Do pewnego stopnia, w miarę jak rano rozjaśniał się, zdołał pozbyć się w czasie jazdy sztywności i bólu. Ponadto wykorzystał okazję noclegu, żeby opatrzyć sobie nogi w miejscach, w których ocierały się o skórę siodła.

Tego dnia znaki, że szli tropem francuskiej armii, ślady kół wozów i końskich odchodów, były bardzo świeże. W związku z tym skręcili szerokim hakiem, żeby ominąć armię, i bezpiecznie zdążali dalej w kierunku celu podanego przez Carolinusa.

Czas mieli niezły i przed północą trafili na dowody mówiące, że znaleźli się już na tropach sił angielskich. Dwie armie były bliżej siebie, niż ktokolwiek się spodziewał. Podróżowali z mniejszą liczbą postojów niż poprzedniego dnia, ale gdy słońce stanęło wysoko nad nimi, zatrzymali się na południowy posiłek. Podczas postoju Jim rozmawiał z Brianem.

–Jak możemy porozumieć się z naszymi ludźmi? – spytał. – Prawdopodobnie wciąż czekają na nas gdzieś w pobliżu zamku Malwinne'a. Myślałem, żeby wysłać po nich sir Gilesa albo ciebie, ale skoro armie są już tak blisko, nie ma po prostu czasu, żeby któryś z was wrócił tam i sprowadził ich, zanim rozpocznie się walka.

–To nie całkiem tak, Jamesie – odpowiedział Brian. – Powinni już dołączyć do angielskich sił. Zostawiłem Johna Chestera z poleceniem, aby trzymał ludzi w pobliżu zanku Malwinne'a tylko przez dwa dni. Jeśliby potem nie miał od nas wieści, miał iść dalej i dołączyć do jakichkolwiek angielskich oddziałów, żeby przynajmniej nasi ludzie mogli zadać kilka ciosów Francuzom.

Twarz rycerza na moment przybrała poważny wygląd.

–Musimy ich odnaleźć – dodał. – Czyżbyś zapomniał, Jamesie? Nasze zbroje i cały rynsztunek bojowy zostały przy nich. Żaden z nas nie jest gotów, by wziąć udział w bitwie; jesteśmy bez zbroi i bez broni. Nie mówiąc nic o tym, że brak mi

mego szlachetnego bojowego rumaka, Blancharda, bez którego nie chciałbym dostać się w nic, co przypominałoby bitwę z rycerzami w ciężkich zbrojach.

–Nie zapomniałem o tym – odrzekł Jim – ale być może mam inne, specjalne zadanie dla naszych ludzi. Zobaczymy. Zakładając, że są z wojskami angielskimi, jak myślisz, dałoby się ich odszukać?

–Z całą pewnością, Jamesie – odpowiedział Brian. – Wszyscy poznamy Johna Chestera i swoich własnych zbrojnych. Wystarczy rzut oka. A oni poznają nas. Ale zrozum, nie odnajdziemy ich w mgnieniu oka. Znalezienie ich mogłoby zająć aż ćwierć czy wręcz pół dnia, zwłaszcza wśród armii tej wielkości.

–Cóż, myślę więc, że to właśnie zrobimy – stwierdził Jim – a podczas gdy my będziemy szukać, reszta będzie się trzymać trochę z boku i spróbuje znaleźć bezpieczne schronienie dla księcia. Jeśli Carolinus nie omylił się w tym, co mówił, to Anglicy pogodzili się z faktem, iż księżę przeszedł na stronę Francuzów. Każdego ubranego i wyglądającego jak on wezmą za oszusta, z wyjątkiem tego, który będzie stał przy MaMnnie. Z drugiej strony, jeśli zdarzyłoby się, że którekolwiek z sił francuskich odkryłyby prawdziwego księcia, tym bardziej próbowałyby go pojmać. Mogą nie wiedzieć, że księżę przy czarnoksiężniku to wytwór Magii, ale będą wiedzieć, że nie może być dwóch księży. I najprawdopodobniej próbowaliby schwytać Edwarda i zabrać do francuskiego dowództwa, żeby odkryć, co się dzieje.

–Masz rację, Jamesie – rzekł poważnie rycerz – dokładnie to by się zdarzyło. Jeśli chcesz, mogę ruszyć przodem i zacząć szukać naszych ludzi wśród armii, zanim tam dotrzesz.

–Nie, nie sądzę, by to było mądre – powiedział Jim. – Powinniśmy trzymać się razem, jak długo się da. Poza tym myślę, że armie nie ruszą sobie naprzeciw w tej samej chwili, w której się zobaczą, nieprawdaż?

–Zazwyczaj przy tak wielkich siłach jak te – odrzekł Brian z namysłem – rozpoczęcie jakiegokolwiek bitwy trochę trwa. Ponadto prawie zawsze są jakieś pertraktacje między nimi, namowy do poddania się i tym podobne. Powinniśmy mieć co najmniej kilkanaście godzin po tym, jak francuska armia ukaże się w polu widzenia, ustawi się w szyku bitewnym i zacznie na nas nacierać. To znaczy, jeśli to oni będą atakować.

–Spodziewałbyś się, że Anglicy zaatakują z o tyle słabszymi siłami i, jak nam mówiono, pozbawieni zwykłego wsparcia łuczników? – spytał Jim.

–Nie – odparł powoli rycerz. – Tego bym nie przewidywał. Jednakże nigdy nie wiadomo, co się zdarzy.

–Spróbuję się zorientować, o ile się da, jak najprawdopodobniej postąpią Francuzi – stwierdził Jim i poszedł dalej, by porozmawiać z Raoulem.

Francuski rycerz, choć towarzyszył im przez całą drogę, zachowywał pewien dystans. Nie żeby naprawdę żywił wobec nich jakąś niechęć czy awersję do przebywania w bliskiej z nimi kompanii. Raczej wyglądało to tak, jakby obowiązek wymagał od niego okazywania, że nie jest jednym z nich.

–Sir Raoulu – zaczął Jim zbliżając się do niego. Raoul siedział ze skrzyżowanymi nogami na ziemi i jadł chleb i mięso, które ofiarował im ich ostatni gospodarz. Gdy

**Jim podszedł, rycerz wstał.**

**–Tak, sir Jamesie? – odparł.**

**–Będziesz miał lepsze pojęcie niż ktokolwiek z nas o tym, jak prędko mogą przemieszczać się francuskie wojska – stwierdził Jim. – Właśnie rozmawiałem z sir Brianem; są oznaki, że siły Anglików znajdują się niecały dzień drogi stąd. Jak sądzisz, jak prędko francuskie wojska je dogonią?**

**–W nie więcej niż jeden dzień, sir Jamesie – odrzekł rycerz. – Król Jean będzie gorąco pragnął zetrzeć się w bitwie z tymi intruzami. A jego rycerze nie mniej będą się do tego palić. Co prawda, gdy ujrzą przed sobą wojska angielskie, będą musieli przegrupować własne w szyk bojowy. To może potrwać około pół dnia.**

**–Sądzisz więc, że być może jutro o tej porze, koło południa – spytał James – możemy ujrzeć początek bitwy?**

**Na szczupłej twarzy sir Raoula ukazał się cierpki uśmiech.**

**–Bynajmniej bym w to nie wątpił, sir Jamesie – powiedział.**

**–Więc powiem to innym – stwierdził Jim. – Będziemy musieli podążać naprzód, jak prędko zdołamy. Jesteśmy dziś bardziej wypoczęci, a zatem dziś będziemy długo jechać!**

**I rzeczywiście jechali. Dzięki wypchanym nogawicom i dwóm dniom dodatkowych doświadczeń w siodle, Jim znalazł w sobie więcej siły, niż się spodziewał. Zakładał, że podobnie było z innymi. Ani się nie skarżyli, ani nie znać było po nich zmęczenia, jakie dało się zauważyć dnia poprzedniego. Podążali dalej.**

**Wkrótce po zapadnięciu zmroku dotarli na skraj obozowiska angielskiej armii i założyli na noc kwaterę w całkowicie zrujnowanej kamiennej kaplicy, w pewnej odległości od ognisk Anglików. Kaplica miała tak małe rozmiary, że aż trudno było uwierzyć, iż tyle pracy włożono w budowę miejsca, które mogło dać schronienie tak niewielu wiernym.**



## Rozdział 32

Przed świtem Jima obudziły głosy ludzi i odgłos kopyt koni przejeżdżających obok miejsca, w którym spał. Wyrzwał z gruzów kaplicy, wśród których znaleźli miejsce na nocleg, i zobaczył około tuzina lekkobrojnych jeźdźców. Wszystko świadczyło o tym, że był to oddział furażowy, wyruszający wcześniej rano, by zorientować się, czy da się zagarnąć w okolicy coś do jedzenia i picia dla angielskiej armii.

Konni nie zwrócili uwagi na kaplicę. Jim wywnioskował z tego, ku swojej dużej uldze, że została już przedtem przeszukana i pozostawiona w spokoju, nie zawierając niczego ciekawego. Ten brak zainteresowania był szczególnie pomyślny, gdyż konie Jima i jego towarzyszy stały spętane w lesie za kaplicą, i gdyby zdarzyło się, że oddział zaopatrzeniowy jechałby w nieco innym kierunku, mógłby się na nie natknąć. A w ten sposób i oni, i konie byli bezpieczni. Na razie.

Jim odrzucił derkę, w którą zawinął się do snu, i wstał drżąc od porannego chłodu. Wyszedł z kaplicy rozejrzeć się dokoła w pierwszym blasku dnia.

Krótką ścieżką biegnącą między drzewami wyprowadziła go na otwartą przestrzeń, gdzie obozowały angielskie wojska. Stał na niewielkim wzniesieniu, z którego mógł rozejrzeć się dość daleko. Było już na tyle jasno, by wyraźnie dojrzeć horyzont, a nowy dzień przyniósł nowe zaskoczenie.

Armia francuska już przybyła. Może jeszcze nie była ustawiona w szyku, ale już rozłożyła się obozem. Od armii angielskiej oddzielało ją może pół mili otwartych łąk.

Nie było czasu do stracenia. Jim wrócił i obudził pozostałych.

–Śniadanie! – zachrypiał Brian w chwili, gdy go obudzono. Jim pomyślał, że rycerz zareagował odruchowo, jak piszczące pisklę z otwartym dziobem, gdy rodzic ląduje na krawędzi gniazda z soczystą dżdżownicą w dziobie.

–Tylko na zimno – powiedział Jim. – Nie możemy ryzykować rozpalenia ognia, kiedy furażowi kręcą się po okolicy.

W końcu zebrał ich wszystkich na zewnątrz, gdzie Giles i Brian pochłaniali ostatnie kęsy mięsa i chleba.

–Gilesie, Brianie i Dafyddzie – zakomenderował – wszyscy będziecie musieli wyruszyć, tak jak i ja, i przeszukać angielskie linie, póki nie znajdziemy Johna Chestera i naszych ludzi. Gdy już ich znajdziemy, nakażemy im, żeby wymknęli się po cichu, dwójkami i trójkami, spośród szyku, zwracając na siebie jak najmniej uwagi, i zbrali się tu, przy kaplicy.

–A ja, sir Jamesie? – dopytywał się Edward. – Czy nie byłoby lepiej, gdybym po prostu wyjechał otwarcie naprzód i zawiadomił moich własnych ludzi?

–Nie śmiem pozwolić, by ktokolwiek zobaczył Waszą Wysokość – powiedział Jim. – Nie teraz, gdy, według Carolinusa, większość z nich wierzy, że dołączyłeś do francuskiego króla. Zostałby księżę natychmiast otoczony i być może potraktowany jak nieprzyjaciel. W każdym razie otoczyliby was tłumnie, a wojska angielskie wdałyby się w dysputę i podzieliły na tych, którzy by wam uwierzyli, i tych, którzy by nie uwierzyli, dokładnie wtedy, kiedy powinni gotować się do stawienia czoła atakowi Francuzów. Najpierw sprowadzimy tu naszych ludzi. Potem być może zaaranżuję

sytuację, w której książę będzie mógł zostać postawiony na widoku z niniejszym dla siebie niebezpieczeństwem oraz skonfrontowany z tym oszustem magicznie stworzonym przez Malwinne'a.

–Doprawdy – rzekł książę, mrużąc oczy i niemal konwulsyjnie zaciskając dłoń w pięść – nie mogę się doczekać, aż spotkam się z tym oszustem z bronią w ręku.

–Będzie tak, jeśli wszystko się powiedzie, Wasza Wysokość – odpowiedział Jim. – Lecz teraz, póki nie mamy przy sobie naszych ludzi, każda próba ujawnienia was byłaby zbyt ryzykowna.

–Co mi zatem proponujesz, sir Jamesie? – dopytywał się książę.

–Aby Wasza Wysokość pozostał tu w ukryciu – odrzekł James. – Przyjrzałem się dobrze kaplicy. Jest do niej tylko jedno wejście, szerokie zaledwie na jednego człowieka. Była to kiedyś boczna nawa, teraz kończy się stertą kamieni sięgającą całego jeszcze sklepienia. Wygląda, jakby nie było z niej żadnego wyjścia. A jednak jeden z dolnych kamieni daje się łatwo usunąć i znajdziecie za nim otwór w czymś, co kiedyś tworzyło tylny mur kaplicy. Zostańcie w głębi, przy końcu nawy, a jeśli ktokolwiek spróbuje wejść do kaplicy, łatwo będziecie mogli wymknąć się przez mur, wsuwając za sobą kamień na miejsce. Albo będziecie mogli zostać tam, gdzie jesteście, jeśli ktoś pojawi się na zewnątrz, i pozostaniecie nie zauważeni. Aragh, który lepiej, żeby nie wychodził między ludzi, i sir Raoul mogą zostać z wami jako straż.

–Myślę, że mogę znaleźć dla siebie pożyteczniejsze zajęcie niż to, sir Jamesie – odezwał się sir Raoul.

Jim, podobnie jak i pozostali, odwrócił się, by popatrzeć na francuskiego rycerza.

–Spróbuję zatoczyć koło i przedostać się między te francuskie oddziały, gdzie nie znają mnie osobiście – powiedział rycerz. – W ten sposób mogę się wiele dowiedzieć o tym, co zamierza król Jean i jego oddziały. Możecie potrzebować tych wiadomości.

–Sam nie wiem, sir Raoulu – powiedział Jim ogarnięty wątpliwościami. – Książę potrzebuje ochrony, a choć Aragh zapędzi w kozi róg kilku zwykłych lekko uzbrojonych ludzi, jak ci, których widziałem wcześniej, to łucznik lub kusznik stanowią dla niego prawdziwe zagrożenie.

–Przeżyję – odezwał się wilk. – A jeśli nie, to tylko śmierć przyjdzie po mnie tutaj, a nie gdzie indziej.

–Pozwólcie pójść sir Raoulowi – powiedział książę z odcieniem zniecierpliwienia w głosie. – Tylko w takim razie niech któryś z was da mi swój pas i miecz. To niestosowne, żeby ktoś królewskiej krwi, a w dodatku Plantagenet, chodził bez broni.

Żądanie to wywołało wśród rycerzy pewien niepokój. Żadnemu z nich nie podobał się pomysł rozstania się ze swoją podstawową bronią. Z drugiej strony, trudno było odmówić księciu, zwłaszcza Brianowi i Gilesowi. Jednak żaden z nich nie miał w tej chwili złotych rycerskich ostróg, a oprócz tychże, tylko miecz i pas wyróżniały ich jako ludzi pewnej rangi. Raoula, nawet gdyby oddał swój miecz angielskiemu księciu, pójście między francuskie szeregi tylko ze sztyletem stawiałoby w ogromnie niekorzystnej sytuacji, zwłaszcza przy zbieraniu informacji, które obiecał dla nich zdobyć. Dla Briana i Gilesa, a także dla Jima, pozbycie się miecza było mniej

niebezpieczne, ale tylko trochę mniej. Niestety nie posiadali dodatkowego miecza, by go odstąpić księciu, choć jego żądanie nie było żądaniem, któremu mogliby zwyczajnie odmówić.

–Sądzę, że mogę w tej sytuacji służyć pomocą – doszedł ich łagodny głos Dafydd. – Pójdę do moich rzeczy i zaraz wrócę.

Poszedł, zanim ktokolwiek zdążył go zapytać, co miał na myśli. Wrócił w chwilę potem z długim zawiniątkiem, które wnet rozwiązał, ukazując im nie tylko rycerski miecz, ale i pas nabijany klejnotami.

–Doprawdy to miecz i pas, jakie nosiłby tylko znaczny rycerz – powiedział podejrzliwie książę. – Ale jak go posiadał ktoś taki jak ty?

–Jeden ze strażników walijskiego pogranicza, wasal waszego królewskiego ojca – odrzekł Dafydd – nie nazwę tego pana, aby nikt wskutek tego nie ucierpiał, zdecydował się urządzać turniej. I przyszło mu na myśl, że wśród innych rozrywek mogłoby być zabawne dla angielskich widzów, a także pouczające dla Walijszyków, ujrzeć, jak trzech angielskich rycerzy, z kopiami i w pełnych zbrojach, tratuje pewnego walijskiego łuczника, o którym wszyscy słyszeli i który był podobno śmiertelnie niebezpieczny nawet dla rycerzy w płytach.

–Tym łucznikiem byłeś ty sam? – domyślił się książę.

–Nie inaczej – powiedział Dafydd. – I nie pytano mnie o zdanie co do chęci wzięcia udziału w tej zabawie. Jednakowoż poszedłem z nimi, a kiedy nadeszła pora, stanąłem na końcu szranków z łukiem i kołczanem strzał, a trzech rycerzy ruszyło na mnie.

–I co dalej?

–Nie miałem wyboru – rzekł Walijszyk. – Zabiłem ich wszystkich, każdego strzałą w serce.

–Przez płytową zbroję? – zapytał z niedowierzaniem książę. – Z jakiej odległości?

–Przez całą długość szranków – odpowiedział Dafydd – i mimo to, że specjalnie uzbroili się pod swymi zwykłymi zbrojami z płyt – mieli jeszcze kolczugi pod litym metalem. Przed turniejem poprosiłem tego strażnika tylko o jedną rzecz. Kiedy dwóch rycerzy spotyka się w szrankach, pokonany oddaje konia, broń i rynsztunek zwycięzcy, więc niech i ja mogę zatrzymać broń i rynsztunek tych, których pokonam. Strażnik, śmiejąc się, powiedział, że tak się stanie.

Przez chwilę wszyscy milczeli.

–Myślę, że był gotów zmienić zdanie i nie dotrzymać obietnicy po tym, jak zobaczył swoich trzech rycerzy leżących na ziemi, martwych – ciągnął łucznik – ale za dużo było tam patrzących, i Anglików, i Walijszyków. Jako człowiek o wysokiej pozycji, musiał wesprzeć swoje słowo pewną miarą uczciwości. Pozwolił mi wziąć, co chciałem, a ja wybrałem najlepszy z mieczy i pasów, gdyż, jak wiecie, nie miałbym żadnego pożytku ze zbroi czy rumaków bojowych.

Przestał mówić, ale wciąż nikt nie był w stanie odezwać się. Wszyscy tylko patrzyli na niego.

–To rzecz dziwna – mówił dalej, jakby zamyślony. – Powinieneś pamiętać to zdarzenie, sir Jamesie. Wtedy, w czasie sprawy z Ciemnymi Mocami i Twierdzą

Loathly, kiedy ucztowaliśmy w Zamku de Chaney, na moment porzuciłeś obowiązek uwolnienia pani Angeli. W chwili podjęcia twojej decyzji płomienie wszystkich świec pochyliły się jakby od podmuchu, choć żadnego wiatru nie było. Przypominasz sobie, że powiedziałem o tym wtedy, choć reszta z was nic nie zauważyła? Pomnę, że powiedziałem, iż w mojej rodzinie od wielu pokoleń, z ojca na syna i z matki na córkę, przechodzi zdolność odbierania ostrzegawczych znaków, dobrych i złych. Tak było i z tym mieczem. Ze smutkiem zbierałem ekwipunek, żeby ruszyć z wami, i wcale nie myślałem o tym, by go zabrać. Ale co dziwne, tego ranka, kiedy mój złocisty ptaszek, Danielle, kazała mi właściwie zejść sobie z oczu, zdawało mi się, że wszystko, czego dotykałem i chciałem ze sobą zabrać, było zimne pod moją dłońią. Jednak gdy przypadkiem dotknąłem tego miecza i pasa, były ciepłe. I wróciło do mnie to stare odczucie. Więc wziąłem pas i miecz, nie wiedziałem nawet po co. Być może obecna chwila jest powodem, dla którego je zabrałem.

Położył miecz i pas na kamieniu przed księciem.

Książę wyciągnął z wahaniem rękę w ich kierunku, a potem cofnął ją.

–To z pewnością rycerski miecz – powiedział powoli młody człowiek – ale nie życzę sobie go nosić.

Znów na chwilę zapadło milczenie. Przerwał je głos Gilesa.

–Jeśli Wasza Wysokość raczyłby nosić miecz i pas pomniejszego, lecz uczciwego rycerza – zaproponował odpinając swój pas z mieczem – to byłbym dumny, dając mu swój i nosząc w jego miejsce ten, który przyniósł Dafydd.

Podał swój miecz księciu, który przyjął go niemal ochoczo.

–Przyjmuję go z podziękowaniem, sir Gilesie – rzekł – i uważam to za zaszczyt, że będę nosić miecz człowieka, który używał go w bitwie, podczas gdy ja sam jeszcze nigdy nie walczyłem.

Edward przypiął sobie pas i miecz Gilesa, podczas gdy rycerz założył ten, który przyniósł Dafydd. Klejnoty na pasie mieniły się w porannym świetle, tak że pas razem z mieczem wydawały się dziwnie nie na miejscu u tego małego, popędliwego mężczyzny z zakrzywionym nosem i wielkimi jasnymi wąsami.

–No to załatwione – stwierdził Jim. – Aragh będzie z Waszą Wysokością i pozostaniecie w ukryciu aż do naszego powrotu.

–Nie będę ryzykował, że zostanę ujrzany, sir Jamesie – odparł Edward z odrobiną humoru. – W tym możesz na mnie liczyć.

–I możesz liczyć na to, że będę go strzegł, póki żyję – warknął Aragh.

–Oto dobry wilk – powiedział książę.

–Ani dobry, ani impertynencki – skwitował Aragh. – Oto wilk, a niewielu to może o sobie rzec. Co więcej, oto Aragh, a tylko ja mogę to powiedzieć.

Tak więc, z odrobiną zakłopotania ze strony słuchających rycerzy, narada zakończyła się. Książę wycofał się w bezpieczne zacisze zrujnowanej kaplicy, a Aragh zniknął swoim zwyczajem w lesie. Pozostali poszli do koni i dosiadłszy ich, skierowali się w różne strony.

Zbliżając się do brytyjskich szeregów rozsypali się wachlarzem. Jim zdecydował, że zbada najodleglejszy od kaplicy koniec linii, który usytuowany był z tyłu, na prawo

od jej zewnętrznej ściany. Ale chciał rozpocząć swoje poszukiwania łuczników i zbrojnych od lewego skrzydła angielskich oddziałów, dlatego że była to zwykła pozycja łuczników – na zewnątrz skrzydeł, co znane było jako formacja brony. Tam ustawiali się w szeregi do bitwy. Przed bitwą zatem angielskich łuczników można było znaleźć na krańcach obozu, gdzie szykowali się do zajęcia bojowych pozycji.

Jim dotarł do odległego końca obozowiska albo przynajmniej do tego, co uznał za kraniec obozu, bo nie dawało się dokładnie określić, gdzie w tej stronie kończyła się angielska armia. Przez cały czas ludzie to przyłączali się do szeregów, to z nich odchodzili. Zawrócił konia i pojechał wzdłuż linii wojsk w kierunku środka obozu.

Dość prędko minął łuczników, gdyż żaden z ludzi, których szukał, nie był łucznikiem i mało było prawdopodobne, by rozpoznał w tym miejscu jakąś znajomą twarz. Dafydd był już na drugim końcu brytyjskich szeregów i chodząc wolno wśród wojów, szukał każdego, kogo mogliby zwerbować do pomocy.

Minąwszy łuczników Jim dojechał do zbrojnych. Ci siedzieli małymi grupkami wokół pojedynczych ognisk, ostrzyli broń, wykonywali różne drobne naprawy lub po prostu rozłożyli się wygodnie i gawędzili.

Niewielu z nich jadło czy piło nie dlatego, że oddziały furażowe nie zostały rozesłane, jak to zwykle czyniono, lecz dlatego po prostu, że Brytyjczycy, tak jak kiedyś w bitwie pod Poitiers z historii własnego świata Jima, zostali dosłownie zaskoczeni bez prowiantów. Jim zauważył sporą liczbę wozów wyładowanych łupami, ale niedostatek strawy i napojów mógł stanowić poważny problem.

Plan poszukiwań przewidywał, że Jim i Brian zerkną tylko na łuczników na przeciwnych krańcach szyków, a potem przejadą powoli wzdłuż szeregów lekkozbrojnych oddziałów, póki nie spotkają się w środku. Tymczasem Dafydd miał pozostawić konia, przejść się wśród łuczników i porozmawiać z nimi szukając rekrutów.

Gdyby nie znalazł żadnych na prawym skrzydle, miał spróbować na lewym. Gdyby zaś powiodło mu się w miarę dobrze na prawym skrzydle, miał wrócić jak najprędzej do kaplicy i wspomóc Aragha w czuwaniu i ewentualnej obronie księcia przed każdym, kto mógłby natknąć się na jego królewską osobę.

Jim powoli przejeżdżał wśród siedzących ludzi, ledwie czasem przyciągając czyjeś spojrzenie. Wyglądał na typowego rycerza w czymś w rodzaju polowego munduru, bez zbroi, ciężkiego oręża i konia bojowego. Niestety nikogo nie rozpoznał, ani Johna Chestera, ani tych paru zbrojnych Briana, których znał z widzenia, ani też nikogo z własnych. W końcu zobaczył, że sir Brian jedzie powoli w jego stronę, i przypuszczał, że i tamten miał pecha.

Nadzieje Jima upadły. Zastanawiał się, co się stało. Najprawdopodobniej John Chester albo zgubił drogę i nie udało mu się odnaleźć angielskich wojsk, albo wpadł w ręce Francuzów. W obu tych niepomysłnych przypadkach jego ludzie nie byli do dyspozycji. Jeśli naprawdę tak się złożyło, powstałby niemały problem, gdyż te mgliste plany, które roily się w tej chwili w jego głowie, zależały od tego, czy miałby przy sobie pełen oddział gotowych do walki zbrojnych.

Zrównał się wreszcie z Brianem i odezwał doń głosem na tyle cichym, aby nikt z

siedzących w pobliżu go nie posłyszał.

–Tobie też się nie poszczęściło? – powiedział.

–Nie, niestety. Ha! – odrzekł rycerz tak samo ściszym głosem; ale potem Jim zobaczył, że w kącikach jego ust rodzi się uśmiech i prawa dłoń zaciska się na kuli siodła. Zorientował się, że Brian ma wielką ochotę złożyć dłoń w pięść i walnąć go serdecznie w ramię. – Oczywiście, że mi się poszczęściło! Znalazłem ich niecałe piętnaście minut temu. Jeden z ludzi wiedział nawet, gdzie jest kaplica, więc poszedł przodem z Johnem Chesterem, żeby go do niej zaprowadzić. Potem wróci i przeprowadzi innych, po dwóch lub trzech, kiedy zaczną wychodzić z obozu. Theoluf zostanie do końca i upewni się, że wszystko poszło dobrze i bez zamieszania. Jechałem dalej spotkać się z tobą, żeby nie zwracać większej uwagi.

Podniósł głos.

–Chodź – powiedział dość głośno, by jego głos doleciał ludzi w pobliżu – nie mamy już mięsa, ale znajdzie się jakaś flaszka wina. Chodź ze mną, stary przyjacielu!

Położył dłoń na ramieniu Jima i zawrócił konia od linii szeregów. Jim podążył za jego przykładem i odjechali, jednak nie w stronę kaplicy, ale z powrotem do lasu. Gdy znaleźli się między drzewami, skręcili i pogalopowali chyżo w kierunku kaplicy.

Zanim tam dotarli, przybyło już około tuzina ludzi. John Chester powitał ich szerokim uśmiechem.

–Dobra robota, Johnie! – wykrzyknął impulsywnie Brian przerzucając prawą nogę nad siodłem, po czym uwolnił lewą stopę ze strzemienia i ześlizgnął się z grzbietu konia. Jim, który nigdy nie nauczył się tej szczególnej sztuczki, zsiadł ze swego nieco bardziej statecznie. Brian kiwnął na jednego ze zbrojnych, żeby zabrał wierzchowca.

–Dobra robota na całej linii, Johnie. Zrobimy jeszcze z ciebie rycerza!

–Dzięki za słowa uznania, sir Brianie – powiedział John Chester. – Nie może jednak być ci niewiadome, że pozostawiony sam sobie, byłbym doprawdy kiepskim dowódcą. To Theoluf i bardziej doświadczeni zbrojni utrzymywali oddział w ryzach i dopilnowali, żeby dotarł, gdzie trzeba.

–Ale uczyłeś się, Johnie? Ha? – Brian szturchnął go w sposób bardziej brutalny, jak sądził Jim, niż przyjacielski, ale John Chester nie wydawał się niezadowolony. – To najważniejsze. Uczyłeś się. Ucz się tylko tak dalej, a sprawdzą się moje słowa. Rycerstwa nie nabywa się tylko na polu bitwy, choć i po temu będziesz miał swoją szansę, nim słońce dwa razy zajdzie, chyba że się grubo mylę!

–Wejdźmy obaj, Jamesie – powiedział odwracając się do Jima – do środka i zobaczmy, jak Jego Wysokość zniósł oczekiwanie.

Weszli razem między ruiny, gdy jednak doszli do wąskiego, zawalonego kamieniami przejścia, które kiedyś było boczną nawą, musieli iść jeden za drugim. Jim kroczył pierwszy. Na końcu nawy książę wymościł częścią swoich rzeczy powierzchnię kamiennego bloku, tak że siedział dość wygodnie. Aragh leżał przed nim. Zagłębieni byli w rozmowie.

Jim zdziwił się, gdyż mówił głównie wilk, cichym, równym, warczącym głosem. Przerwał, gdy podeszli, i obaj z księciem popatrzyli na nich.

–Sir wilk jest bardzo mądry – odezwał się Edward. – Byłby dobrym nauczycielem. Wiele się od niego dowiedziałem.

Aragh otworzył pysk w cichym uśmiechu.

–Od „zuchwałego” do „dobrego”, a teraz do „mądrego” – skomentował. – Zyskuję na wartości w oczach tego młodego człowieka.

–Doprawdy, wiele się muszę nauczyć – powiedział poważnie książę. – A będąc jeszcze młodym, często lekceważę złoto mądrości, gdy rozsypane jest przede mną na ziemi. Przynajmniej nie czynię tego w obecnej chwili. Kiedy zostanę królem, będę miał niemałe obowiązki. Wtedy wiedza i mądrość będą mi niezbędne. Gdyż zważcie, szlachetni panowie, to jest nowa epoka i nowe czasy nadchodzą z moim pokoleniem.

–Mało mnie to ucieszy, jeśli tak się stanie – warknął wilk. – Jestem całkowicie za starymi zwyczajami i przeciw zmianom w kraju, jakim go znam. Ale chętnie rozmawiam z każdym, kto chce słuchać.

–A ja słucham ochoczo – odrzekł Edward. – To dla mnie nowa rzecz słuchać kogoś, kto ani się mnie nie boi, ani nawet niespecjalnie mnie poważa. Kogoś, dla kogo nawet człowiek mojej krwi jest w niektórych sprawach kimś pomniejszym.

–Wszyscy możemy uczyć się od innych w tym czy innym czasie, Wasza Wysokość – powiedział Jim. – Obeszliśmy angielskie oddziały i znaleźliśmy naszych ludzi. Nadchodzą po dwóch, trzech, i wkrótce będziemy tu mieć trzydziestu czy pięćdziesięciu zacnych zbrojnych oraz takich łuczników, jakich Dafydd będzie mógł znaleźć i sprowadzić nam do pomocy.

–To dość szczupłe siły – stwierdził książę – lecz nie domagałem się żadnej obrony, nawet małej.

–Wybaczcie mi, Wasza Wysokość – odrzekł Jim – ale nie bezpośrednio o waszej obronie myślałem zbierając ludzi. Niektórych zostawię przy was w tym celu, ale są inne rzeczy do zrobienia. Mam nadzieję użyć ich, by osiągnąć fałszywego księcia i w końcu postawić go twarzą w twarz z wami.

–Niech Bóg ześle tę chwilę! – powiedział Edward. Oczy mu zabłysły, a palce zaczęły bawić się rękojęścią miecza.

Powrócił Giles i zebrali się już wszyscy oprócz sir Raoula, Dafyddda i tych, których łucznik zdołał być może odnaleźć. Po chwili nadjechał sir Raoul. Jim, Brian, książę i Aragh wyszli na zewnątrz, na rozkaz Briana dołączył do nich John Chester. Francuski rycerz podjechał i zsiadł z konia z bladym uśmiechem.

–Widzę, że odnaleźliście swych ludzi – zauważył, gdy jeden ze zbrojnych wziął jego konia na znak dany palcami przez Theolufa i odprowadził za kaplicę, by dołączyć go do pozostałych wierzchowców.

–Cóż, mnie także się powiodło, jeśli chodzi o informację. Planowane jest zawieszenie broni i układy. Francuzi i Anglicy dyskutować będą nad warunkami, jakie zaoferował im dobry król Jean.

–Nic nie słyszałem o rozejmie po angielskiej stronie – powiedział John Chester. Wątpliwe było, czy odezwałby się tak nonszalancko do Briana czy któregokolwiek z pozostałych angielskich rycerzy, ale fakt, iż sir Raoul był Francuzem, dał mu najwyraźniej poczucie, że dysponuje pewną swobodą.

–Być może wy, Anglicy, nie mówicie między sobą tak dużo jak Francuzi. – Raoul zbył jego uwagę ruchem ręki, nawet nie patrząc na Johna Chestera. – Do jutra żadnej bitwy nie będzie. Wykorzystają noc na rozmowy i wysyłanie tam i z powrotem posłów, gdyż pora jest już zbyt późna, żeby ustawić wojska w szyku i rozpocząć bitwę, która teraz zaczęta, musiałaby się skończyć w ciemnościach i zamęcie.

–Więc jutro? – spytał Brian. Uśmiech znikł z twarzy Francuza.

–Spodziewałbym się bitwy wkrótce po świcie – powiedział. – Gdyż król Jean i ci, co przy nim stoją, nie odstąpią od swych warunków, a z pewnością diuk Cumberland, który dowodzi angielską stroną, jest uparty jak osioł i nie wycofuje się nigdy.

–Czy wiesz, w jakiej linii walczył będzie król i jego straż przyboczna? – spytał Jim. Sir Raoul spojrział na niego.

–Wiem, że obarczyłeś mnie zadaniem znalezienia odpowiedzi zwłaszcza na to pytanie – odrzekł. – Dowiedziałem się, że król będzie sam dowodził trzecim hufcem, na tyłach trzech linii bojowych naszych oddziałów. To niepewna informacja, do rana może się łatwo zmienić, ale sądzę, że w tym przypadku dość spokojnie możecie na niej polegać. Ze względu na tę pozycję może się zdarzyć, że on i jego hufiec wcale nie będą potrzebowali włączać się do walki. Bo z pewnością pierwsze dwa hufce zupełnie wystarczą, żeby rozjechać Anglików.

–Nie jesteśmy zupełnie pozbawieni łuczników – powiedział Brian – a wcale nie było wam, Francuzom, tak łatwo strącić nas pod Crecy ani pod Poitiers. Gdyby nie przemyślność waszego króla Jeana, który zachował swoich genueńskich kuszników i wysłał ich sekretnie, żeby ostrzelali angielską prawą flankę w czasie, gdy ważyły się losy bitwy, nie zdobylibyście pola tego dnia.

–Ale on tak uczynił i wygraliśmy! – Oczy sir Raoula zabłyśły.

–Nie rozgrywajmy teraz minionych bitew – powiedział Jim. – Pamiętajcie, że zebraliśmy się tu dla jednej tylko przyczyny. To jest dla zdemaskowania fałszywego księcia stworzonego przez Malwinne'a, a moim własnym specjalnym zadaniem, zleconym mi przez Carolinusa, jest nie dopuścić do wygrania żadnej strony. Można to uczynić tylko wtedy, jeśli w ogóle zapobiegnie się bitwie.

–Masz jakiś plan? – spytał francuski rycerz.

–Żadnego solidnego planu jeszcze nie mam. – Jim pokręcił głową. – Ale mam jego początki i pewne nadzieje. Być może przybędzie dla nas odsiecz większa, niż sobie wyobrażamy.

–Co to będzie za pomoc, Jamesie? – spytał Giles.

–Tego ci teraz nie powiem – odparł Jim. – Najlepiej, żeby nikt z was na nią nie liczył. Dlatego że zamierzam dołożyć starań i tak pokierować sprawami, że jeśli nic innego się nie zdarzy, to fałsz Malwinne'a zostanie obnażony nawet przed francuskim królem. A wiele będzie osiągnięte, jeśli nawet tylko to da się zrobić.

–W każdym razie i tak nie widzę sposobu na zapobieżenie bitwie – zaczął oponować sir Raoul, gdy rozległ się szmer głosów wśród zbrojnych i ich szeregi rozstały się.

Ujrzeni Dafydd zblizającego się do nich w towarzystwie trzech mężczyzn z łukami



na ramionach i kołczanami pełnymi strzał przy pasach.

–Tylko trzech łuczników? – odezwał się Francuz niemal drwiąco. – To ci dopiero posiłki!

## Rozdział 33

Dafydd podszedł do naradzającej się grupy rycerzy.

Trzech towarzyszących mu ludzi, choć nie tak wysokich jak on, nie można było wziąć za nikogo innego jak tylko za bieżników, podobnie jak w oczach Jima Malwinne mógł być tylko i wyłącznie Magiem. Wszyscy byli wysocy, o opalonych twarzach poznaczonych przedwcześnie zmarszczkami od długiego przebywania na słońcu, chociaż, jak się zdawało, żaden z nich nie miał więcej niż trzydzieści pięć lat. Szli z łukami założonymi na plecach tak, jakby ta broń im tam wyrastała.

Łucznik podprowadził ich do rycerzy i tam się z nimi zatrzymał, a kiedy się odezwał, zwrócił się bezpośrednio do Jima.

–Przyprowadzam ci – powiedział swoim cichym głosem – Wata z Easdale, Willa z Howe i Clyma Tylera. Wszyscy są Mistrzami Łuku, przeciw którym stawałem w zawodach łuczniczych przez ładnych kilka ostatnich lat, i uważam ich za jednych z najlepszych w świecie w posługiwaniu się długim łukiem.

Zapadła niezręczna cisza, ale Jim pośpieszył przerwać ją przynajmniej paroma słowami powitania.

–Cieszymy się mając wśród nas takich ludzi, Dafyddzie – powiedział. – Jeśli niektórzy z nas nie zdają się tak rozradowani, jak powinni, to dlatego tylko, iż oczekiwaliśmy, że dłużej zabawisz wśród łuczników i powrócisz z więcej niż tylko trzema ludźmi.

–Mogłem tak zrobić – odrzekł łucznik – ale uważam, że tych trzech i ja sam aż nadto wystarczymy dla planów, o których myślę i które, jak sądzę, mile będziesz widział. Doprawdy ważne jest to, żeby byli Mistrzami Łuku, nie tylko posiadającymi umiejętność posługiwania się długimi strzałami, ale i ludźmi, którzy już przedtem stali w szeregach bitewnych i można liczyć na to, że nawet w ogniu walki zrobią to, co im się poleci.

–Na świętego Dustana! – zawołał Brian. – Nie przypominam sobie, żeby cię proszono o planowanie dla nas naszej walki!

–Posłano mnie, abym znalazł łuczników, a łuczników używa się do specjalnych zadań albo się ich marnuje – odpowiedział Walijczyk. – Będąc jedynym wśród was łucznikiem sądziłem, że muszę wziąć na siebie zaplanowanie tego, co powinni robić łucznicy, gdyż nikt z was nie jest do tego wyszkolony. Czy się w tym mylę? Czy też się myliłem?

–Nie, Dafyddzie – odrzekł Jim w imieniu całej reszty – nie myliłeś się ani się nie mylisz. Wysłuchajmy przynajmniej, co zamysłasz.

–Wiem, że to niezwykcyjne, aby jakiś łucznik mówił pasowanym rycerzom, jak ma przebiegać walka – tłumaczył Dafydd. – Ale widzicie, łucznik jest jak narzędzie. Nie ma dwóch takich samych narzędzi; a niektóre lepiej nadają się do pewnych zadań niż inne, chociaż te inne wyglądają tak podobnie, że nienawykli do narzędzi nie zauważają różnicy. Mam tutaj trzech łuczników przeznaczonych do specjalnych zadań.

Cokolwiek innego planujesz, sir Jamesie – powiedział zwracając się bezpośrednio do Jima – zamierzasz wszak najpierw sprowadzić siebie, tych oto szlachetnych panów, a zwłaszcza twego księcia, w pobliże króla Jeana i Malwinne'a. Czy nie tak?

–To prawda – odrzekł Jim.

–A twoją jedyną nadzieją jest zbliżenie się do niego w trakcie bitwy, czy się mylę?

– ciągnął Walijczyk.

–Masz rację – zgodził się Jim.

–Czy mam również rację, że w czasie bitwy król Francji będzie otoczony tak gęsto, jak się da, przez przynajmniej pięćdziesięciu doborowych rycerzy, którzy woleliby raczej zginąć na miejscu, niż pozwolić jakimukolwiek wrogowi zbliżyć się do niego?

–To sama prawda – powiedział sir Raoul – i na Lilie i Kroczące Lwy, od samego początku nie wyobrażam sobie sposobu, w jaki wasza mała grupa mogłaby przedostać się przez taką obronę. Jeżeli wymyśliłeś na to sposób, łuczniku, to z własnej woli składani przeprosiny za każdy osąd inny niż pochlebny, jaki miałem o tobie w przeszłości.

–To, co proponuję – kontynuował Dafydd tak spokojnie i cicho jak zawsze – będzie zależało od tego, czy ja i ci trzej będą doprowadzeni bezpiecznie na pewną odległość od króla Jeana i jego straży przybocznej. Od tego miejsca możemy stać się narzędziem do otwarcia tej stalowej tarczy, jaka otaczać będzie nie tylko francuskiego króla i Malvinne'a, ale i fałszywego księcia, który z pewnością tam będzie na znak dla obu armii, iż stoi po francuskiej stronie.

–Myślę, że jest dużo rozsądku w tym, co mówi ten łucznik – odezwał się niespodziewanie książę.

–Doprawdy, Wasza Wysokość ma zapewne rację – powiedział Brian. – Ale Dafyddzie, jak właściwie zaplanowałeś, żebyśmy doprowadzili was tak blisko?

–Ach, to – powiedział Walijczyk z nieznacznym uśmiechem. – To zostawiam wam, szlachetnym panom odzianym i uzbrojonym w metal. Pomyślcie, ktokolwiek poprowadzi podejście do tych rycerzy, nie może być nagim człowiekiem jak ja sam i ci trzej łucznicy, ale musi być zakuty w metal tak jak przeciwnicy. Wiecie, że w takich bitwach wasi ludzie haku są wielką siłą z pewnej odległości, ale tylko tak długo, jak długo mogą wycofać się poza ludzi w zbrojach, kiedy dochodzi do starcia wręcz z nieprzyjacielem. Z bliska jesteśmy wielką kupą mięsa do pocięcia w plasterki.

–Słusznie, Dafyddzie – przytaknął Jim, żeby zakończyć dyskusję i oddać sprawiedliwość łucznikowi. – Poczynienie planów, jak nas podprowadzić w pobliże króla, to moja sprawa. Nawet zbrojni muszą iść za nami, dowódcami odzianymi w pełne zbroje, inaczej oni także nie mogliby stawić czoła w zderzeniu z rycerzami tak odzianymi i uzbrojonymi jak my. W istocie mogą znieść takie spotkanie tylko trochę lepiej niż ty i twoi łucznicy. Tak się składa, że wiem coś o tym.

–Byłoby wielce korzystne – powiedział Brian głosem pełnym zadumy – gdybyś mógł poprzedzić nas w swoim smoczym wcieleniu i wprawić ich konie w podniecenie i przerażenie. Tak, by mieli mniejszą możliwość stawienia nam oporu, zmuszeni do uspokajania swoich rumaków. Jednak nie byłby to sposób godny szlachcica, Jamesie, jak z pewnością wiesz. Magia powinna iść w zawody tylko z Magią, inaczej jest to przypadek, jak właśnie powiedział Dafydd, nagich ludzi przeciw lepiej uzbrojonym i przygotowanym.

–Czy doprawdy potrafisz zamieniać się w smoka, kiedy zechcesz, sir Jamesie? – spytał zafascynowany książę.

–Tak, Wasza Wysokość – odpowiedział Jim – choć w innych sprawach nie jestem wielkim Magiem.

–Jest przesadnie skromny, Wasza Wysokość – powiedział Brian. – Wprowadził nas do wnętrza zamku Malvinne'a i wyprowadził nas bezpiecznie. Zwłaszcza ostatnią część sami poznaliście.

–To szczerą prawdą – potwierdził książę. – Ale ogromnie pragnąłbym zobaczyć któregoś dnia, jak zamieniasz się w smoka, sir Jamesie.

–Równie dobrze możesz sobie życzyć zobaczyć, jak ja zapuszczam się do zamku jakiegoś Maga, by ratować jakiegoś księcia – uciął oschle Aragh. – To da się zrobić, ale tylko dla specjalnych, bardzo ważnych powodów.

Rycerze dookoła księcia cofnęli się nieznacznie, jakby odruchowo, spodziewając się wybuchu królewskiego gniewu w odpowiedzi na tę przymówkę. Tymczasem, ku zdziwieniu wszystkich obecnych, włącznie z Jimem, książę tylko jakby się zamyślił.

–To także prawda, sir wilku – przyznał. – Jeszcze raz uczysz mnie myśleć, zanim coś powiem. Jestem wam wszystkim dłużny, pewien jestem, że ważne powody jak i ogromna odwaga skłoniły was do przyścia mi z pomocą tam, gdzie mnie więziono.

Znów zapadło niezręczne milczenie, lecz tym razem Brian pośpieszył je przerwać.

–Jamesie, powiedziałaś, że masz jakiś pomysł co do tego, jak moglibyśmy zbliżyć się do króla Jeana i towarzyszących mu ludzi – przypomniał. – Pamiętaj, że Raoul właśnie nam rzekł, iż król będzie z trzecim hufcem, z przeważającą częścią francuskiej armii przed sobą.

–Dokładnie – przytaknął Jim. – Dlatego planowałem przez cały czas zrobić z naszymi ludźmi okrążenie i zbliżyć się od tyłu czy też gdzieś z boku, gdzie najmniej będą się spodziewać ataku.

Brian zdawał się mieć wątpliwości, podobnie jak sir Raoul.

–Łatwiej powiedzieć niż zrobić, sir Jamesie – stwierdził Francuz. – Za trzecią linią będą wozy z dobytkiem, czeladź, koniuchowie, cała ta hałastra, która ciągnie śladem armii. Jeśli planujesz przedrzeć się przez nią, i konie, i ludzie będą zmęczeni, zanim w ogóle uderzą na grupę wokół króla, a także ci przy nim będą już ostrzeżeni, że atak nadchodzi od tyłu.

–Bez wątplenia – odparł Jim – lecz choć nie używałbym czarów w bezpośredniej bitwie, to uważam, że jest słuszne użycie ich, by pomogły nam zbliżyć się na odległość, z której szarża na coś się przyda.

Rozglądając się w koło nie dostrzegł najmniejszego braku wiary w twarzach patrzących na niego. Uderzyła go wtedy ironia sytuacji, gdyż on sam wcale nie był taki pewien jak oni, że potrafi poradzić sobie z tym, co właśnie zapowiedział. Jednak z punktu widzenia otaczających go ludzi Magia mogła dokonać cudów, a każdy Mag potrafił używać wszystkich czarów.

Spodziewał się, że zapytają przynajmniej, jakich czarów miał zamiar użyć, by umożliwić im podejście do króla i jego straży. Ale nikt nie zapytał i Jim zadowolony był, że nic nie musi wyjaśniać. Muszą mieć jakąś nadzieję na sukces, nieważne jak

nikłą. Najlepiej byłoby, żeby żaden z nich nie wiedział, iż ze wszystkich możliwości sprowadzenia ich w pobliże fałszywego księcia, które wciąż roily mu się w głowie, każda mogła się nie udać. Mogliby wszyscy zginąć na darmo. Ale niech to rozczarowanie przyjdzie jutro, jeśli tak być musi, po tym jak dadzą z siebie wszystko.

–To by było na tyle – zakończył Brian. – Jednakże odejdźmy wszyscy, ty też Dafyddzie, nieco na stronę, żebyśmy mogli porozmawiać swobodnym głosem, nie myśląc o tym, że jesteśmy podsłuchiwani, nawet przez naszych ludzi. Ale przedtem – Theolufie! Tomie Sewerze!

Nowy giermek Jima i dowódca zbrojnych Briana odłączyli od grupy zbrojnych, od których trzech łuczników wciąż trzymało się nieco z dala, i podeszli do rycerza.

–Tak, sir Brianie? – powiedzieli.

–Zajmijcie się tym, żeby tych trzech zacnych łuczników dobrze przyjęto wśród naszych ludzi. Rozumiecie mnie, Tomie, Theolufie? Są teraz jednymi z nas i tak należy ich traktować.

–Będzie tak, sir Brianie – odrzekł Theoluf. Podeszli do łuczników i przemówili do nich, potem zabrali ich dalej między zbrojnych. Tymczasem Brian poprowadził rycerzy i Dafydda za róg zrujnowanej kaplicy, do małego porośniętego trawą zakątka. Na miejscu całą swoją uwagę zwrócił na Walijczyka.

–Dafyddzie – powiedział – teraz, skoro już jesteśmy w oddaleniu nie tylko od naszych zbrojnych, ale i twoich łuczników, powiedz nam szczerze, jak twoim zdaniem was czterech może otworzyć dla nas przejście w tej ścianie rycerzy otaczających króla Jeana.

–Myślą moją było – odrzekł Walijczyk – że z długiego łuku nie można strzelać z konia sposobem pewnych wschodnich łuczników z krótszymi łukami, o których słyszałem, a którzy strzelają nawet w galopie. Jednakże konno moglibyśmy, ja i moi trzej łuczniczy, zbliżyć się do straży króla dość blisko, by posiać wielkie spustoszenie naszymi strzałami, nawet jeśli wszyscy oni będą odziani w płytowe zbroje. Dlatego musicie zaopatrzyć nas w konie. Jednym z powodów, dla których jest ze mną tylko trzech ludzi, jest to, że szukałem nie tylko Mistrzów Łuku, ale i łuczników potrafiących jeździć konno, a ci trzej to potrafią, przyuczywszy się do końskiego grzbietu, z różnych powodów, już w wieku chłopięcym.

–Rozumiem, że może to być nam pomocne – powiedział Brian – ale nie widzę dla tego specjalnego użytku.

Wciąż będziemy stali przed solidną ścianą zbroi i kopii czy innego oręża, jaki zwróci się nam na spotkanie na dźwięk naszego nadejścia.

–Masz skłonność nie doceniać tego, czego może dokonać łuk, jak większość z ludzi, którzy sami nie są łucznikami – powiedział Dafydd. – Zwłaszcza łuki w rękach takich mistrzów jak ci trzej. Pomyśl przez chwilę, sir Brianie, nasze strzały mogą opróżnić siodła tych bezpośrednio przed wami, załamując w ten sposób linię obrońców, przeciw którym będziecie szarżować. Możecie znaleźć się wśród nich, zanim zbiorą się solidnie, by stanąć naprzeciw was z końmi i orężem.

–Hmmm – zamyślił się rycerz – w tym kryją się pewne możliwości.

–Istotnie – ciągnął łucznik. – Ponadto jeśli uda nam się ustawić pod dobrym

kątem do linii ataku, to mam nadzieję, że będziemy mogli dalej strzelać do tych w pewnej odległości przed wami. A z pewnością rycerze tak się stłoczą, że jeśli będą mieć przed sobą martwego człowieka lub konia bez jeźdźca, będzie im trudno przedostać się do was, dopóki nie usunie się z drogi tej przeszkody. Mało jest prawdopodobne, żeby dało się to łatwo i szybko wykonać, gdyż wszyscy inni rycerze ze straży przybocznej będą próbowali zbliżyć się do was w tym samym czasie.

–Rozumiem – stwierdził Brian. – Bardzo ładny, choć niezbyt rycerski sposób ataku. Ale skoro znacznie przewyższają nas liczebnie i nasze szanse są mocno nierówne, to myślę, że jest on uzasadniony. Przychodzi mi na myśl i to, że wasze strzały mogłyby pomóc ochronić lżej okrytych zbrojnych, którzy będą szli za nami, rycerzami w pełnych zbrojach.

–O tym także myślałem – rzekł Dafydd.

–Co o tym sądzisz, Jamesie? – spytał Brian odwracając się do Jima.

–Świetnie pasuje do planu, który sam miałem na myśli – powiedział Jim. – Naturalnie trzeba będzie zdobyć konie dla tych trzech łuczników i, oczywiście, jednego dla Jego Wysokości, a także broń.

–I zbroję – wtrącił prędko książę – i nie zapomnij też o kopii, sir Jamesie.

Zapadło znów niezręczne milczenie. Jim wziął na siebie jego przerwanie.

–Obawiam się – powiedział do Edwarda – że Wasza Wysokość nie uświadamia sobie, jak trudno jest liczyć na tyle szczęścia, że zdołamy znaleźć kompletną zbroję, która dokładnie pasowałaby na Waszą Wysokość. Zrobimy, co się da, żeby was uzbroić, ale prawdopodobnie skończy się to na hełmie i kolczudze z płytami do przypięcia na udach i ramionach. Możecie także liczyć na tarczę. Jeśli chodzi o kopię...

–Dowiedz się, sir Jamesie – przerwał mu gwałtownie książę – że byłem instruowany przez najlepszych nauczycieli w Europie we wszelkich rodzajach broni. Nie wątpię, że mogę się równać z każdym tutaj i z każdym, kogo mogę jutro napotkać na naszej drodze do króla!

–Nikt z nas w to nie wątpi, Wasza Wysokość – tłumaczył Jim – ale...

–W takim razie znajdziesz dla mnie zbroję i kopię oraz wszelki niezbędny dla rycerza oręż! – powiedział wyniośle książę. – Rozkazuję ci!

Jim miał już tego trochę dosyć. Ci wszyscy szlachetnie urodzeni, lordowie i królowie, zawsze byli do pewnego stopnia na scenie. Największym ich zmartwieniem było nie tylko to, jak sami chcieli postępować, ale i to, jak, ich zdaniem, spodziewano się, że powinien reagować w danych okolicznościach ktoś o ich randze.

Od tego, kto miał pewną pozycję, oczekiwano nie tylko odwagi, ale i odpowiedniego temperamentu. Jako osoba krwi królewskiej, Edward prezentował teraz królewski gniew w obliczu faktu, że nie spełniono jego rozkazu bez zadawania pytań.

Był to jeden z absurdalnych, ale nieubłaganych konwenansów tego społeczeństwa.

Jim westchnął i otworzył usta, żeby odpowiedzieć. Tym razem jednak Brian przeciwstawił się królewskiemu gniewowi.

–Wybaczcie, Wasza Wysokość – odezwał się – ale obawiam się, że sir James ma rację. To nie żadna ujma dla waszej umiejętności władania bronią, ale zważcie, że w tym starciu z ciasno stłoczonymi jeźdźcami kopia byłaby skuteczna tylko w pierwszej chwili, o ile w ogóle. Zaczynam sądzić, że jeśli Dafydd będzie mógł opróżnić dla nas kilka siodła w zewnętrznym kręgu, to wyjdziemy lepiej, jeśli wcale nie użyjemy kopii i będziemy polegać wyłącznie na naszych mieczach. W istocie w tak stłoczonej walce wręcz nawet nasze miecze mniej będą użyteczne niż sztylety. Doprawdy żałuję, że nie mam ze sobą małego topora. Byłby idealny w takiej sytuacji

–Poszukamy dla was zbroi, Wasza Wysokość – obiecał Jim – w tym czasie, jaki zostanie nam na jej szukanie. Ale z całą szczerością, nie spodziewam się, żebyśmy znaleźli cokolwiek, co będzie na was pasowało. Spróbujemy, lecz to wszystko, co możemy obiecać.

Gniew księcia, gdy okazał się nie w porę, równie szybko skłonny był ulotnić się, co przedtem rozpaść.

–Wybaczcie mi, sir Jamesie, sir Brianie i wy wszyscy – rzekł – ale nigdy przedtem nie widziałem walnej bitwy oprócz Poitiers, a tam zmuszono mnie do poddania się bez jednego ciosu zadanego w moim pobliżu od początku walki aż do mego schwytania. Kim jestem, żeby doradzać tym, którzy wiedzą, jak bywa w trakcie potyczki. Pozostanę przy tym, co będziecie mogli dla mnie zrobić, szlachetni panowie, i zgodnie z tym przysposobię się i co do zbroi, i co do oręża.

–Dziękuję, Wasza Wysokość – odezwał się Jim. – Jesteście doprawdy tak samo książęcy słuchając, jak i rozkazując tym, którzy dla was walczą.

Książę zaczerwienił się.

–To lekcja, której się wciąż uczę – stwierdził nieco szorstko. Machnął dłonią. – Ale dyskutujcie dalej, a ja się będę przysłuchiwał.

–Dziękuję, Wasza Wysokość – powiedział Jim, po czym zwrócił się do pozostałych: – Jeśli chodzi o właściwy atak, szarżę na nich, mam w związku z tym pewien pomysł. Jest taka formacja...

–Formacja? – spytał Giles.

–To sposób ustawienia ludzi do ataku – wyjaśnił Jim. – Wiem, że dla was wszystkich jest bardziej normalne szarżować po prostu w jednej linii, pierś w pierś. Ale nieuchronnie linia ta staje się nierówna, gdy jeden koń przegoni inne, a tylko wtedy, kiedy wszystkie konie uderzą naraz, ciężar ataku skutkuje w ten czy inny sposób.

Przerwał czekając na sprzeciwy, ale na razie nikt się nie odzywał.

–Jest inny sposób wjeżdżania w linię nieprzyjaciela – kontynuował. – Nazywa się formacją klina i ukształtowany jest jak szerokie ostrze bojowych strzał wystrzeliwanych z długiego łuku.

Zamilkł, żeby się upewnić, czy nadążają za jego opisem formacji. Najwyraźniej tak było..

–Jej wielka zaleta polega na tym, że wszyscy jadą razem, blisko siebie, i uderzają w nieprzyjaciela ostrzeni klina, z całym ciężarem skupionym w nim tak, że impet biegu wszystkich koni razem pomaga im rozerwać linię nieprzyjaciół.

**Znów przerwał.**

**–Pomyślałem, że póki jeszcze zostało trochę światła dziennego, moglibyśmy poćwiczyć jazdę i atak w taki sposób. Jeżeli uda nam się znaleźć miejsce z tyłu za drzewami, gdzie nikt nas nie zobaczy, możemy spróbować przejechać krótki odcinek w tej formacji, koncentrując się na trzymaniu się razem, tak jak zrobimy to jutro. Ciężkozbrojni staną na czele, a lekkozbrojni z tyłu.**

**Jim spodziewał się, że będzie musiał długo namawiać swoich z natury konserwatywnych towarzyszy do wypróbowania nowej metody ataku. Jednak okazało się, że dalecy byli od zwlekania, przeciwnie – byli pełni zapału, żeby to wypróbować. Jedyne trudności pojawiły się później, gdy już wyjechali pół mili poza drzewa otaczające zrujnowaną kaplicę i znaleźli wolny kawałek łąki, na której mogli rozpędzić się i udawać, że uderzają na grupę nieprzyjaciół.**

**Sprzeciw powstał, kiedy Jim poinformował ich, że chce, aby ćwiczyli bez zbroi, gdyż obawiał się, że może to przyciągnąć niepotrzebnie uwagę kogoś, kto mógłby zobaczyć ich tak jadących; z tego samego powodu mieli trzymać w rękach kawałki gałęzi zamiast broni i tarcz.**

**Ostatnia propozycja odebrała większości z nich całą przyjemność. Zwłaszcza rycerze czuli się głupio, że będą galopować konno w ścisłym szyku i trzymać coś, co z obrzydzeniem określali jako patyki. Mimo to Jim nalegał i w końcu zgodzili się.**

**Tak jak się spodziewał, głównym problemem okazało się zmuszenie ich, żeby się trzymali razem w formacji. Znów połową radości w bitewnej szarży było dla tych ludzi ściganie się, żeby zobaczyć, kto pierwszy zetrze się z wrogiem. W końcu Jim poratował się udawaniem pewnych czarów, by wyrzucić na nich wrażenie.**

**Kazał im ustawić się konno w formacji klina, a potem sam powoli obszedł ich dookoła, mrużąc pod nosem i wymachując rękami. Wyjaśnił, że zarzucił na nich magiczną sieć, która zwiąże ich razem, ponieważ jedyną szansą na zwycięstwo będzie moc tej siatki, która utrzyma ich w formacji klina. Czary nie tylko utrzymują ich razem, obiecał, ale i potroją siłę każdego z nich swoimi mocnymi, niewidzialnymi więzami. Zatem jedynym powodem, dla którego klin może zawieść, będzie to, że ktoś z nich straci kontakt z sąsiadem i przez to utraci tę dodatkową siłę, którą daje siatka.**

**Rycerze przyjęli to wyjaśnienie tak ufnie, że aż Jim zawstydził się skrycie. Pocieszył się jednak tym, że nic innego nie zmusiłoby ich, żeby trzymali się razem, tak jak powinni, co było rzeczą najwyższej wagi.**

**Ku jego sporemu zdziwieniu wszyscy tak mocno uwierzyli w Magię, że przy następnym pozorowanym ataku trzymali się razem jak weterani pięćdziesięciu takich szarż, a potem opowiadali jeden drugiemu, jak każdy czuł, gdy trzykrotnie rosła jego siła pod wpływem czarów.**

**–To dlatego, że dzielicie się nawzajem swoją siłą dzięki Magii – wyjaśnił Jim z poważną twarzą.**

**Wystarczyło im to zupełnie, więc dodał jeszcze dla bezpieczeństwa, że ta moc działa tylko w czasie szarży w formacji klina. Nie powinni próbować zyskać dodatkowej siły pozostając blisko siebie w warunkach zwykłej bitwy. Zbytnią skłonność do dawania wiary, jak już odkrył Jim, mogła być równie niebezpieczna jak**



**zbyt wielki sceptycyzm.**

**–Teraz – powiedział, kiedy w końcu przerwał ćwiczenia – powinniśmy pomyśleć o zdobyciu dodatkowych koni.**

**Zanim to powiedział, klin podzielił się już, tak jak zazwyczaj robili to jego członkowie, na trzy grupy; jedną, składającą się z Jima, jego towarzyszy, księcia i sir Raoula; drugą, utworzoną przez zbrojnych, i trzecią, którą stanowili łucznicy Dafydd. Prawdę mówiąc, ponieważ łucznicy nie mieli koni, i tak stali z boku i tylko przyglądali się ćwiczeniom, najwyraźniej mocno zirytowani tym, że nie mogli dołączyć do reszty, choć ich zainteresowanie ćwiczeniami było widoczne.**

**Nadeszła już pora, żeby zlikwidować podobne podziały między ludźmi, i to skłoniło Jima do tego, aby wspomnieć, że najwyższy czas zdobyć dodatkowe konie nie tylko dla trzech łuczników, ale i dla księcia. Łucznikom wystarczyłyby jakiegokolwiek zdatne do jazdy zwierzęta. Niestety dla księcia trzeba było dość dobrego konia, krótko mówiąc, konia rycerskiego. Jimowi zdawało się, że jedynym sposobem na zdobycie tych koni może być przedostanie się na tyły linii francuskich i okradzenie ich. Sir Raoul mógłby pokazać im drogę. Prawdziwym problemem było jeszcze znalezienie ludzi potrafiących dokonać tej kradzieży.**

**Podjechał tam, gdzie przystanęli zbrojni. Zauważył z odrobiną irytacji, że Theoluf wciąż kręcił się wśród nich. Kiwnięciem ręki odwołał go na stronę.**

**–Theolufie! – powiedział ściszym głosem. – Jesteś teraz moim giermkim. Powinieneś być z resztą nas, którzy tu dowodzimy.**

**–Dziękuję, milordzie – odparł Theoluf. – Przyznam, że brak mi śmiałości, żeby kręcić się wśród wyższych ode mnie pozycją. Ponadto wciąż jest problem z przyjęciem łuczników przez zbrojnych, którzy z reguły skłonni są z góry patrzeć na strzelców. Właśnie się tym zajmowałem.**

**–No cóż, to dobrze – rzekł Jim – ale zacznij przyłączać się do naszych wojennych narad po tamtej stronie, żebyś po prostu wiedział, co się dzieje. Jeśli będziesz pozostawał ze zbrojnymi, dowiesz się tylko tego, co się im mówi w formie rozkazów. Przy twojej nowej randze powinieneś wiedzieć więcej niż to.**

**–Rozumiem swój błąd, milordzie – odparł giermek. – Od tej pory będę przy twoim boku.**

**–Świetnie – stwierdził Jim. – A teraz potrzebuję uwagi wszystkich zbrojnych.**

**Theoluf zawrócił konia tak, że stanął naprzeciw pozostałych zbrojnych, i krzyknął do nich.**

**–Zważcie teraz! – rozległ się jego głos. – Milord James ma coś do powiedzenia wam wszystkim!**

**Wraz z giermkim Jim podjechał do grupy. Przyjrzał się obliczom ludzi swoich i Briana. Twarze, które odwzajemniły jego spojrzenie, były twarde, doświadczone i żadna z nich nic nie zdradzała swoim wyrazem.**

**–Ludzie! – powiedział podnosząc głos. – Przyszła chwila, kiedy musimy zdobyć konie nie tylko dla trzech nowych łuczników, ale i dla księcia Edwarda. Kto wśród was ma jakieś doświadczenie w kradzieżach koni?**

**Zebrani odpowiedzieli mu głuchą ciszą. Ani jeden się nie odezwał. Nikt nie zmienił**

wyrazu twarzy.

Jim odczekał kilka chwil. Wkrótce stało się jasne, że nikt nie ma zamiaru się odezwać. Znowu zatem podniósł głos.

–Więc czy jest wśród was ktoś, kto znał koniokradów? Albo może słyszał o jakichś sposobach wykradania koni? – zapytał.

Ponownie natknął się na milczące, zamknięte twarze. Najwyraźniej wypytywanie nie miało sensu. Pochylił się na chwilę do Theolufa.

–Dołącz do mnie, kiedy będziesz mógł – powiedział ściszym głosem. Zawrócił konia i podjechał z powrotem do grupy należących do wyższych sfer.

Gdy do nich dołączył, głowę miał zajęta problemem, który się właśnie wyłonił. Był pewien, że spośród zbrojnych przynajmniej jeden, skoro wszyscy byli starymi żołnierzami, mógł mieć jakieś pojęcie o tym, jak im dostarczyć w tych warunkach konie. Ale najwyraźniej pomylił się.

Powstawało pytanie, co powinien teraz zrobić. Sir Raoul pokazałby mu drogę na tyły francuskich linii, a zmierzch i nadchodzące wkrótce ciemności umożliwiłyby kradzież. Ale on sam nie miał najmniejszego pojęcia, jak poradzić sobie ze zdobyciem koni, których potrzebował. Co więcej, był zupełnie pewien, że nikt ze znaczniejszych rangą ludzi wkoło niego nie wiedziałby, jak to przeprowadzić.

Z zamyślenia ocknął się, kiedy Brian pociągnął go za łokieć. Podniósł wzrok, a rycerz pochwycił jego spojrzenie i skłonił głowę nieco na bok. Odjechali razem na tyle daleko, żeby znaleźć się na osobności.

–Słyszałem cię tam – powiedział Brian. – Jamesie, Jamesie! Co chciałeś osiągnąć zwracając się do ludzi w ten sposób?

–Jak to co? Miałem nadzieję znaleźć przynajmniej jednego, który miałby pewne doświadczenie w kradzieży koni – odpowiedział Jim. – Dokładnie to, o co ich pytałem.

–Dokładnie... – mruknął rycerz i pokręcił głową. – Jamesie, Jamesie! Chwilami myślę, że jesteś najmądrzejszym człowiekiem na ziemi, mądrzejszym nawet od Carolinusa. W innych chwilach zdajesz się wiedzieć tak mało o najzwyklejszych życiowych sprawach jak ktoś z głębi morza czy z drugiego końca świata.

–Nie rozumiem. – Jim gapił się na niego.

–No jak to – powiedział Brian. – Spytałeś tych ludzi, gdy stali wszyscy razem, gdzie każdy mógł słyszeć twoje słowa i usłyszeć słowa tego, kto ci odpowie, który z nich jest koniokradem. Jakiej odpowiedzi spodziewałeś się od nich? Gdyby którykolwiek odpowiedział ci „tak”, to od tego dnia poczuwaj, jeśliby zdarzyło się, że będzie gdziekolwiek w pobliżu, kiedy zostanie skradziony jakiś koń, a równocześnie byłby tam w okolicy jeden z innych pamiętający, że ów stwierdził, iż potrafi także ukraść, natychmiast zostałby wymieniony jako ktoś, kto miał doświadczenie w tym złodziejskim rzemiośle.

–Rozumiem – odpowiedział powoli Jim. Dość długo żył w tym świecie, by wiedzieć, że tutaj oskarżenie równało się całkowitej pewności, że osoba taka była winna tego, o co ją oskarżano. – Ale jak mam się dowiedzieć, który spośród nich istotnie coś wie o zdobyciu koni dla naszych łuczników i księcia?

**Brian odwrócił się, nie udzielając mu prostej odpowiedzi, i krzyknął w kierunku zbrojnych:**

**–Tomie Sewerze!**

**Przywołany odłączył od grupy i podszedł.**

**–Tomie – oświadczył rycerz – potrzebujemy przynajmniej dwóch ludzi, którzy wiedzą coś o kradzieży koni. Znajdź nam paru. Poczekamy tutaj.**

**–Tak jest, sir Brianie – powiedział dowódca odwracając się w stronę zbrojnych.**

**–Czy Theoluf jest tam z wami?! – zawołał za nim rycerz. Tom zatrzymał się i wrócił.**

**–Tak, sir Brianie – odpowiedział.**

**–Być może Theoluf będzie mógł służyć ci radą i asystą. W każdym razie zajmij się tym. Przyrowadź nam zaraz dwóch właściwych ludzi.**

**–Natychmiast, sir Brianie – rzekł Tom tak zwyczajnie, jakby wyruszał przynieść dwie flaszki wina, i poszedł z powrotem do zbrojnych.**

**–Rozumiesz teraz, Jamesie? – spytał Brian. – Od tego właśnie są tacy ludzie jak Tom, wybrani na dowódców wśród innych zbrojnych. Już oni wiedzą, czy ktoś umie kraść konie. Nie będzie żadnego publicznego wypytywania ani głośnego odpowiadania, tylko porozumienie i rozkaz.**

**–Tak – powiedział Jim ze znużeniem. Zdawało się, że bez końca będzie się uczył o tym nowym świecie, w którym on i Angie zdecydowali się żyć. Wszystko, co jego mieszkańcy wiedzieli od urodzenia, prawie nie zdając sobie sprawy, jak się tego nauczyli, on musiał poznawać metodą prób i błędów.**

## Rozdział 34

W ciągu następnych pięciu minut Tom wrócił z dwoma mężczyznami. Jeden był niskim, energicznie wyglądającym młodzieńcem z wiechciem rudych włosów nad szczerą, niewinną twarzą, drugi wyższym, szczuplejszym i starszym mężczyzną o przeredzonych czarnych włosach. Obaj poruszali się i nosili broń, jak przystało na doświadczonych zbrojnych.

–Ten z rudymi włosami to Jem Wattle – wyjaśnił Tom. – Jest z nim Hal Lockerby. Sir Brian zna ich dobrze, sir Jamesie, ale sądziłem, że mógłbyś życzyć sobie poznać ich imiona, jeśli nie znałeś ich wcześniej – cyniczny uśmiech przemknął przez twarz zbrojnego. – Są właśnie takimi ludźmi, jakich potrzebujesz, by wybadać pozycje francuskie po zmierzchu.

–Dziękuję, Tomie – odparł Jim.

–Jemie, Halu! – powiedział Brian. – Macie spełniać polecenia sir Jamesa, dopóki nie odeśle was z powrotem do waszych zwykłych obowiązków. – Odwrócił się do Jima. – Czy mam z tobą zostać Jamesie, czy...

–Gdybyś zechciał, Brianie – poprosił przyjaciela Jim. – Mam zamiar porozmawiać z sir Raoulem. Nie zaszkodzi, żeby ktoś tutaj wiedział, czym się zajmujemy.

–Wiec chodźmy – stwierdził rycerz.

Zawrócił konia. Jim pojechał za nim, a obaj zbrojni w milczeniu ruszyli za nimi pieszo. Podjechali tam, gdzie Francuz stał obok swego wierzchowca.

–Sir Raoulu – rzekł Jim, gdy francuski rycerz podniósł wzrok na niego – chcielibyśmy pomówić z tobą nieco na osobności, jeśli łaska.

Francuz wskoczył na siodło i w piątkę ruszyli przez trawę łąki w kierunku wydłużającego się cienia drzew. Poza zasięgiem słuchu pozostałych na polanie Jim wstrzymał konia i zawrócił go stając naprzeciw francuskiego rycerza, a także sir Briana i obu zbrojnych.

–Sir Raoulu – powiedział – wiesz, że potrzebujemy koni dla łuczników i jeszcze jednego, niemałej wartości, dla księcia. Znalazłem dwóch ludzi, którzy mogliby być pomocni w znalezieniu dla nas takich koni. Czy zaprowadzisz nas na tyły francuskich linii?

–Oczywiście, nie angielskich, jeśli o to chodzi – stwierdził sir Raoul ironicznie. – No dobrze, spodziewałem się, że padnie na francuskie linie. Chodźcie zatem wszyscy za mną.

Było zupełnie ciemno, kiedy dotarli na tyły wrogich szeregów. Musieli zwolnić tempo marszu, gdyż wciąż otaczały ich drzewa, a chociaż słońce zaszło już zupełnie, to księżyc jeszcze nie wstał. Jednakże kiedy dotarli do najdalej stojących wozów francuskiego taboru, sierp księżycy zaczął wschodzić. Jego rosnący blask pomógł odnaleźć drogę do głównego obozowiska.

–Jesteśmy teraz w środku taboru, poza francuskimi liniami – powiedział sir Raoul. – Będą tu konie pojedynczo i w stadach, uwiązane na prawo i lewo od nas. Od tej chwili cokolwiek chcecie zrobić, to wasza sprawa. Ja tylko czekam z boku, aż przyjdzie pora poprowadzić was z powrotem do waszego obozu.

Brian mówił coś cichym głosem do swoich dwóch zbrojnych.

–No to zmykajcie, chłopcy – zakończył. – Wiecie, co jest potrzebne. Konie, siodła, zbroja i oręż dla Jego Wysokości. Pamiętajcie, żeby znaleźć to wszystko.

Dwaj zbrojni zniknęli pomiędzy wozami, a rycerz zwrócił się do Jima.

–A teraz, Jamesie – powiedział – po prostu czekajmy.

–Myślę, że wykorzystam sytuację i rozejrzę się po okolicy – stwierdził Jim. – Czy zostałbyś tu, Brianie, w razie gdyby Jem i Hal wrócili przed nami?

–Utrzymam to miejsce – odpowiedział ponuro rycerz.

–Dzięki, Brianie – powiedział Jim z wdzięcznością. – To nie potrwa długo.

Odwrócił się do Francuza.

–Raoulu – zapytał – czy pokażesz mi, gdzie twoim zdaniem najprawdopodobniej będzie miejsce, w którym król i jego straż przyboczna staną w czasie bitwy? Chciałbym nieco zapoznać się z okolicą, w której przyjdzie nam szarżować.

–Mogę tylko zgadywać, sir Jamesie – odpowiedział nieco sztywno rycerz – ale jeśli sobie tego życzysz...

–Tego właśnie sobie życzę – potwierdził Jim.

Sir Raoul ruszył. Jim dogonił go i jechali konno wokół wozów taboru i między nimi w kierunku pierwszej linii czegoś, co wyglądało na niewielki rząd pagórków.

Kiedy się zbliżyli, pagórki okazały się średniowieczną wersją namiotów. Większość z nich oświetlona była od wewnątrz, a ze środka dobiegały głosy mężczyzn zabawiających się jedzeniem i piciem, z przewagą zapewne tego ostatniego.

Francuski rycerz przejechał linię namiotów i poprowadził Jima do miejsca, gdzie grunt wznosił się nieco i mniej było na nim drzew. Byli na samym skraju otwartej przestrzeni, która dzieliła dwie armie od siebie.

–Myślę, że tutaj najprawdopodobniej Miłościwy Pan będzie chciał stanąć, by móc przyglądać się bitwie – wskazał sir Raoul. – Jeszcze raz pamiętaj, ja tylko zgaduję. Niczego nie obiecuję. Ale gdybym dowodził tą armią, wybrałbym to miejsce.

Jim pojeździł w koło, przyglądając się terenowi w kilku różnych kierunkach. Jeśli istotnie król wybrałby to miejsce, to dla celów Jima nadawało się ono doskonale. Było tu dość otwartej przestrzeni, żeby jego grupa mogła rozpędzić się do szarży, nawet po przekroczeniu linii drzew, które otaczały polanę na kształt filiżanki.

–Jeśli król wybierze to miejsce, to mamy spore szansę – powiedział do rycerza, który tylko mruknął w odpowiedzi. – A teraz powiedz mi, czy jest niedaleko stąd jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy umieścić księcia z jakąś strażą i gdzie ta straż mogłaby go obronić, gdyby ktokolwiek natknął się niego? Trzeba, żeby był blisko, jeśli przedostaniemy się do króla i Malwinne'a, ale nie za blisko, żeby go nie zoczono i nie zagarnięto, zanim będziemy mieli okazję wykonać nasze zadanie. Sir Raoul skłonił na chwilę głowę na piersi, jakby się namyślał.

–Są jeszcze jedne kamienne ruiny – powiedział po paru sekundach – niedaleko stąd, w lesie. Nie są tak duże jak to miejsce, które do tej pory służy nam za kwaterę. Mogła to być swego czasu zaledwie przydrożna kapliczka. Jednakowoż jest również z kamienia i być może w jej ruinach jest miejsce do obrony. Zabiorę cię tam.

Zebrał wodze i poprowadził. Jim pojechał za nim. W zaledwie parę minut dotarli do

ciemnej bryły wznoszącej się ponad poziom poszycia lasu. Jak powiedział rycerz, budowla ta była z kamienia i prawdopodobnie została wiele razy splądrowana.

–Jeśli mi przytrzymasz konia, Raoulu – poprosił Jim – to przyjrzę się temu z bliska.

Zsiadł i w półmroku zaczął wymacywać drogę wokół zwał kamieni. Jak mówił francuski rycerz, była to dużo mniejsza kapliczka, ale równie, a może nawet bardziej zrujnowana jak ta, w której obozowali. Jednakże Jim znalazł przejście między kamiennymi blokami, głębokie na jakieś osiem stóp. Mogła tędy przejść tylko jedna osoba naraz. Gdyby księżę był w głębi, a jeden czy więcej ludzi stałoby przed nim na straży, to ktokolwiek pragnąłby dostać się do królewskiej osoby, musiałby dojść tam dosłownie po trupach strażników. Jim wycofał się, otrzepując ręce ze skalnego pyłu i ziemi, i ponownie dosiadł konia.

–Dobrze – powiedział krótko do Francuza. – A teraz wracajmy do sir Briana.

Kiedy dotarli do Briana, Jem Wattle i Hal Lockerby byli już z powrotem nie tylko z czterema, ale z pięcioma końmi. Jeden był większy i wyglądał znacznie lepiej niż pozostałe, przynajmniej o tyle, o ile Jim mógł stwierdzić po ciemku, i obciążony był czymś, co musiało być zbroją.

Udało im się ukraść dla młodego człowieka prawdziwie rycerskiego konia, a przynajmniej takiego, na jakim chętnie jeździłby rycerz.

–Wszystko gotowe? – zapytał Jim Briana. A kiedy tamten skinął głową, zawrócił.

Droga powrotna przeszła szybko.

Księżyc wznosił się już dosyć wysoko i w jego blasku pozwolono łucznikom wypróbować konie i wykazać, że, jak powiedział Dafydd, z pewnością potrafili dobrze jeździć.

–Wszyscy kładźcie się spać i odpocznijcie – powiedział Jim. – Trzeba wystawić strażę na noc. A ostatnia straż niech zacznie budzić wszystkich o zachodzie księżyca, który powinien być dobrą godzinę czy więcej przed wschodem słońca. Chcę, byśmy byli w drodze na tyły francuskiego obozu, zanim się całkiem rozjaśni.

Jim nigdy nie odkrył, czyja ręka obudziła go wcześniej rano potrząsając za ramię. Wstał powoli na nogi, zeszywniały z zimna, mimo iż owinął się w derkę i wybrał, jak sądził, osłoniętą od wiatru niszę wśród zwalonych kamieni kaplicy. Sztywność, zimno i niewyspanie o mało go nie pokonały. Ale powiedział sobie, że jeśli wstanie i zacznie się ruszać, wszystko to minie.

Opuścił osłonę kaplicy i zaczął sprawdzać, czy wszyscy już wstali. Zdawało się, że tak, chociaż było wciąż zbyt ciemno, żeby policzyć głowy. Większość ludzi dookoła chodziła dużo zwawiej niż on. Zaczął zazdrościć tym ludziom niemal od chwili, gdy stał się mieszkańcem tego świata. Zdawało się, że prawie wszyscy potrafili spać w każdej pozycji, w każdych warunkach, obudzić się na najłżejsze dotknięcie i ignorować wszelkie odczucia, jakie teraz mu dokuczały. Skutki praktyki od czasów niemowlęcych, jak przypuszczał Jim.

Wpadł po ciemku na kilku ludzi, zanim udało mu się znaleźć Briana.

–Czy wszyscy wstali? – spytał go, bardziej żeby coś powiedzieć niż z jakiegoś innego powodu.

–Tak, tak – odpowiedział rycerz z niewielkim rozdrażnieniem, które skłonne było nawiedzać go w ranki przed jakimś działaniem. – Na litość boską, Jimie, posuń się trochę. Muszę wleźć teraz w zbroję. Ty też powinienes. Gdzie jest Theoluf? Giermek zawsze powinien być przy swoim panu w takich chwilach jak ta. Hej tam! Johnie Chesterze!

–Tutaj, sir Brianie – przemówił z ciemności głos zza łokcia Jima.

–Gdzie mój napierśnik? Idź, znajdź Theolufa i każ mu przynieść tu zbroję sir Jamesa i pomóc mu ją założyć! – powiedział rycerz. – Gdzie się podziewałeś do tej pory, gamoniu?!

–Stałem przy tobie, sir Brianie – odrzekł John Chester. – Czekałem tylko, aż sir James skończy z tobą mówić i usunie się na bok.

Jim pośpiesznie przesunął się na lewo i wpadł na kogoś innego, kto musiał być jednym ze zbrojnych, bo z przeproszającym „Wybaczcie, milordzie” zniknął w mroku.

–Gdy tylko będzie dość światła na niebie, żebyśmy się mogli nawzajem zobaczyć – powiedział Jim – chcę, żebyś odszedł ze mną nieco na bok. Potrzebuję twojej pomocy, żeby coś wypróbować.

–Z pewnością, Jamesie. Oczywiście. Johnie Chesterze, napierśnik idzie na pierś, nie na brzuch! – wykrzyknął Brian.

–Przykro mi, sir Brianie – powiedział giermek.

–Doprawdy będzie ci bardziej przykro, jeśli nie nauczysz się ubierać mnie jak należy i z większym pośpiechem! – powiedział rycerz. – Tak. Oczywiście, Jimie. Jak tylko będę ubrany. Przyjdź po mnie później. Johnie Chesterze...

Ale Jim odchodził już w ciemność. Nagle zderzył się z jeszcze jedną postacią. Rozległ się szcęk jakiegoś metalu upadającego na ziemię.

–Wybacz, milordzie – usłyszał głos Theolufa. – Właśnie niosłem ci zbroję...

–Och – powiedział Jim. Stał nieruchomo. – No cóż, jeśli widzisz dość dobrze, by to zrobić, zacznij lepiej zakładać na mnie ten złom.

Jak giermek rozpoznał go po ciemku ani jak rozpoznał go tamten drugi zbrojny, Jim nie miał pojęcia. Być może dla tych ludzi wciąż pachniał inaczej. On i Angie kąpali się często, ale w ciągu miesięcy przywykli do woni ludzi nie kąpanych, którzy koło nich pracowali i spali w tych samych ubraniach, przyzwyczaili się zwłaszcza do zapachów służby. Z drugiej strony, Jim nie kąpał się od czasu, gdy wyjechał z domu, czyli już od paru tygodni. Wciąż jednak, być może, jakaś różnica pozostała.

Teraz stał tak spokojnie, jak potrafił, znosząc cierpliwie zawiązywanie przez Theolufa fragmentów zbroi wokół nóg, ramion i tułowia. Zbroję nakładano na coś w rodzaju watowanego kaftana i nogawic, które z założenia miały przyjąć nieco ze wstrząsu przenoszonego przez metal, kiedy uderzała weń broń. Jim nigdy nie zauważył, żeby przydawały się na cokolwiek, a z reguły, kiedy musiał nosić pełną zbroję, dzień okazywał się straszliwie upalny, jasne słońce rzucało swoje promienie i gorąco od ilości ubrań było niemal nie do zniesienia. Wszyscy jednak uważali to za rzecz oczywistą, więc nauczył się zgrzytać zębami, nic nie mówić i to znosić.

Ostatecznie ubrano go w całą zbroję, włącznie z ostrogami przy butach. Jedynym fragmentem zbroi, którego giermek mu nie założył, był hełm, który wkładano dopiero

w ostatniej chwili, nie tylko ze względu na niewygodę, ale dlatego, że przyłbica opuszczana na zawiasach ograniczała widoczność.

Theoluf pieczołowicie wetknął mu hełm pod ramię.

–Czy mam podprowadzić konia milorda? – spytał cofając się o krok.

Było już dość światła, żeby gwiazdy na wschodniej połowie nieba zbladły i wszyscy dookoła mogli się nawzajem rozpoznać.

–Jeszcze nie w tej chwili – powiedział Jim. – Przyprawdź mi najpierw sir Briana. Potem przyprawdź nasze konie.

–Tak, milordzie.

Theoluf odszedł, rozplywając się właściwie w otaczającej ich szarości niewiele tylko jaśniejszej niż nieprzeniknione ciemności, w jakich się Jim obudził. Po paru chwilach wrócił, idąc tuż za sir Brianem ubranym już w kompletną zbroję, także z hełmem w ręku. Giermek kazał okiełznać i osiodłać ich konie i prowadził je właśnie za wodze.

W zbroi dużo łatwiej było jechać, niż iść. Jim, z pomocą Theolufa, wdrapał się ciężko i niezgrabnie na siodło, podczas gdy Brian wskoczył na swoje bez niczyjej pomocy. Powiesił hełm na wysokim przednim łąku. Jim zrobił to samo.

–Dokąd, Jamesie? – zapytał Brian.

–Tylko tak daleko od reszty, żeby nas nie mogli zobaczyć – odpowiedział Jim.

Odjechali na niewielką odległość i na polecenie Jima obaj zsiadli z koni. Jim rozejrzał się w koło i znalazł krzak, z którego odłamał gałązkę z kilkoma listkami. Wetknął ją w szczelinę między przyłbicą a hełmem Briana, upewniając się, że gałązka tkwiła mocno na miejscu.

–Co knujesz? – spytał najwyraźniej zaintrygowany Brian.

–Nic takiego ważnego – powiedział Jim. – Chcę tylko z twoją pomocą wypróbować pewien czar. Włóż hełm na głowę, dobrze?

Rycerz zrobił to, odruchowo podnosząc szybko przyłbicę, gdy już włożył hełm. Gałązka, zauważył z zadowoleniem Jim, wciąż tkwiła na miejscu.

–Teraz postój tam przez chwilę, jeśli łaska – poprosił – podczas gdy ja zajmę się Magią.

Poświęcił sporo czasu na rozmyślania nad tym, co miał zamiar zrobić. Niewidzialność była czymś, w co jego dwudziestowieczny umysł nie mógł uwierzyć, więc też nie potrafił sobie tego wyobrazić. Jednak w to, że ktoś patrzył na coś wprost, ale nie przyznawał się, że to widzi, mógł uwierzyć. To był zwykły trik hipnotyzerski.

Myśląc o tym, zapisywał na wnętrzu czoła:



## **KTOKOLWIEK BEZ LISTKÓW -- NIE WIDZIEĆ KOGOKOLWIEK Z LISTKAMI**

Dla oczu Jima Brian zniknął.

–Kiedy chcesz użyć tej Magii? – głos rycerza zadudnił głucho w pustce przed nim.

Jim wetknął drugą gałązkę w zawias własnego hełmu i włożył go. Nagle rycerz znów się pojawił wprost przed nim.

–Pytałem, kiedy chcesz użyć Magii? – powtórzył Brian. – Nie chciałbym narzekać, Jamesie, ale trzeba wydać rozkazy i musimy zebrać ludzi, jeśli chcemy ruszać.

–Już jest mniej więcej po wszystkim – powiedział Jim. – Jeszcze tylko jedno. Postój nieruchomo, kiedy ja zajdę cię z tyłu.

Rycerz znieruchomiał. Jim obszedł go i z tyłu wyjął gałązkę z jego hełmu, wyjął także gałązkę z własnego i wyrzucił je.

–Nic z tego nie rozumiem – powiedział Brian, gdy Jim stanął przed nim. – O co chodzi z tymi gałązkami? Kiedy masz zamiar zrobić te czary? Jak mówiłem, powinniśmy wracać.

–Możemy już iść – zgodził się Jim. – Zająłem się wszystkim. Pomógłbyś mi wsiąść na konia, zanim dosiędziesz swojego?

–A teraz mam się bawić w twojego giermka – gderał rycerz pomagając Jimowi wygodnie się usadowić. Jim zignorował to narzekanie. W ten poranek przed bitwą sir Brian miał jeszcze gorszy humor niż zazwyczaj. Przejdzie mu to jednak natychmiast, gdy już ruszą do boju.

Kiedy Jim siedział już pewnie na koniu, Brian dosiadł swojego i obaj ruszyli z powrotem do czekających ludzi. Pomimo wcześniejszego upierania się rycerza, że niezwłocznie są potrzebni z powrotem przy kaplicy, Jimowi zdawało się, że wszystko przebiega całkiem w porządku. Zbrojni przygotowali swój oręż i siedzieli już w siodłach trzymając w rękach lekkie włócznie. Tak samo gotowi byli łucznicy i pozostali rycerze. Najwyraźniej czekali tylko na powrót Jima i Briana.

Jednakże gdy Jim wrócił, podjechał do niego szczupły człowiek, bez zbroi, ubrany jak ksiązę w chwili, gdy go uwolnili. Miał on na głowie hełm, a w ręku ciężką kopię, przyłbicę zaś opuszczoną.

–Sir Jamesie! – Człowiek ów podniósł przyłbicę i ukazała się twarz księcia. Ściągnął wodze obok Jima. – Zbroja nie pasowała.

–Obawiałem się tego, Wasza Wysokość – powiedział Jim. – Jednakże sądzę, iż możemy tak sobie poradzić ze wszystkim, że nie minie was walka, jeśli nawet będziecie się musieli trzymać z boku w pierwszej części akcji.

–Liczyłem na to, że będę szarżować z pozostałymi! – narzekał ksiązę.

–Ja też, Wasza Wysokość – skłamał Jim – ale oczywiście, bez zbroi, nie chcemy, żebyście byli w klinie. Coś wam powiem, znajdziemy dla was bezpieczne miejsce, dość blisko, żebyście mogli wyjść, jak tylko przedrzemy się przez straż przyboczną i otworzymy drogę do króla Jeana, Malwinne'a i fałszywego księcia.

–Dobrze! – powiedział ksiązę. – Ale wciąż uważam to za wstyd i hańbę, że nie będę wśród was podczas szarży. Ale my, królewskiej krwi, musimy uczyć się

przyzwyczajania do rzeczy, które pewnie przeszkadzałyby naszym poddanym.

Księżę podjechał do grupy rycerzy, czekających na wymarsz, do których dołączył już Brian.

–W porządku! – powiedział Jim równocześnie podnosząc głos. – Sir Raoulu, pojedziesz przodem i poprowadzisz nas? Dobrze! No to w drogę!

## Rozdział 35

Słońce jeszcze nie wstało, gdy znaleźli się na tyłach francuskich linii. Niebo jednak rozjaśniło się już na tyle, że wszystko było widać tak jak w mocno zachmurzony dzień. Jim zatrzymał ludzi jakieś trzysta jardów przed linią taboru, na małej polance wśród drzew. Siedząc na koniu naprzeciwko nich, kazał dwóm zbrojnym zejść na ziemię i zebrać gałązki, po dwie na każdego z obecnych.

Zgodnie z poleceniem pobierali te gałązki, naturalnie na piechotę, i przynieśli mu je. Jim pochylił się z siodła, wziął dwie małe ulistnione witki i podniósł je w górę, żeby wszyscy mogli je zobaczyć.

–A teraz – powiedział – chcę, żebyście wszyscy przyglądali się uważnie mnie i mojemu koniowi.

Począł, aż upewnił się, że wszystkie oczy zwróciły się na niego, a potem pochylił się i mocno przeplótł małą zdrewniałą łodyżkę przez pasek ogłowia, tak żeby nie groziło jej wypadnięcie. Odchylił się do tyłu, siedząc prosto w siodle, i popatrzył na resztę, wciąż trzymając w dłoniach drugą gałązkę uniesioną tak, by była widoczna.

–Co widzicie?

Wśród zgromadzonych przed nim ludzi rozległ się szmer zdziwienia. Jednak nikt, jak się zdawało, nie chciał jako pierwszy udzielić bezpośredniej odpowiedzi.

–Sir Brianie – zapytał Jim – co widzisz?

–Jak to co? Siedzisz w powietrzu nad ziemią! – odpowiedział rycerz.

–No właśnie – przytaknął Jim. – Popatrzcie dalej. Mocno wetknął drugą gałązkę w zawias swojej przyłbicy, tak żeby nie mogła się wysunąć.

–A teraz co widzicie? – znów zaatakował widownię. – Brianie?

–Jamesie – spytał rycerz – jesteś tam jeszcze? Jeśli tak, to nie widzimy ani ciebie, ani twojego konia.

–Owszem, jestem tu – powiedział Jim – i zobaczycie mnie za chwilę.

Odwrócił się i spojrzał na zbrojnych, którzy stali z resztą gałązek w rękach i gapili się z otwartymi ustami na pustą przestrzeń.

–Wy dwaj – rozkazał – weźcie resztę gałązek i rozdajcie wszystkim po dwie. Każdy z was, kiedy dostanie swoje dwie gałązki, niech najpierw włoży jedną mocno pod ogłowie, tam gdzie łatwo będzie je zobaczyć z daleka. Potem zamocujcie solidnie drugą przy hełmie czy w jakimś innym miejscu, z którego na pewno przypadkowo nie wypadnie. Zróbcie to teraz.

Gdy z pustego powietrza dobiegł ich ten głos, zbrojni z drgnięciem wrócili do życia i ruszyli między jeźdźców rozdając gałązki. Kiedy każdy człowiek wziął po dwie i zrobił, co kazał Jim, rozległ się nowy szmer głosów. Wszyscy gapili się na tych, którzy pierwsi znikli, a potem znów się pojawili, gdy tylko patrzący umieścili na miejscu swoje własne gałązki.

–Nie podnośmy głosu – powiedział Jim. – Powinniśmy być dość daleko od linii taboru, by czuć się bezpiecznie, ale nie chcę, żeby nas podsłuchano. Czy teraz wszyscy macie swoje gałązki na miejscu? Jeśli tak, to czy wszyscy znów widzicie mnie i siebie nawzajem?

**Rozległ się szmer potakiwań.**

**–Cudowna rzecz, sir Jamesie! – dobiegł go wyraźnie głos księcia.**

**–Dziękuję Waszej Wysokości – powiedział Jim nie podnosząc głosu – ale, z łaski swojej, raczcie pamiętać, co mówiłem o głośnych rozmowach. Każdemu, kto nie ma gałązek, będziecie się wydawać niewidzialni. Uważajcie, żebyście nie naruszyli tej niewidzialności, czyniąc jakieś hałasy, które kazałyby wrogom myśleć, że ktoś jest obok, tyle że niewidzialny.**

**Przerwał na chwilę, by upewnić się, że dotarło to do wszystkich. Potem mówił dalej:**

**–Miejcie na uwadze, że jest to odmienny rodzaj Magii od zwykłej niewidzialności. Nie staliście się naprawdę niewidzialni. Zmieniliście się tylko tak, że każdy, kto na was patrzy, przekona sam siebie, że was nie widzi. Jeśli się odezwiecie, dźwięk może zachwiać to przekonanie, co może skończyć się tym, że mimo wszystko was zobaczą. To samo odnosi się do koni. Prowadźcie je tak cicho, jak się da, stępa.**

**Odwrócił się i spojrzał na sir Raoula.**

**–Sir Raoulu – powiedział – zabierz najpierw Jego Wysokość i rycerzy do miejsca, które wybraliśmy wczoraj, i zostaw ich tuż za drzewami. Potem wróć i poprowadź tam następnych dziesięciu ludzi, i tak dalej, aż wszyscy się zbiorą. Ja poczekam i pójdę z ostatnią grupą.**

**Poszli zgodnie z poleceniem Jima. On sam dołączył do ostatniej grupy i znalazł resztę już rozsiadającą się między drzewami na brzegu lekko wzniesionej otwartej przestrzeni pomiędzy armiami.**

**Rycerze, jak należało się spodziewać, wybrali najdogodniejsze miejsce. Była to kępa drzew, o które mogli się oprzeć plecami, na samym brzegu małego strumienia, płynącego przez las, ale nie na otwartej przestrzeni. Zszedłszy z konia Jim opróżnił bukłak, przytroczony przy siodle, a mieścił on dobrą kwartę wina, żeby móc napełnić go wodą ze strumienia.**

**–Jamesie! – zawołał Brian ze swego miejsca. – Co ty? Wylewasz zacne wino na ziemię tylko po to, żeby napełnić flaszkę wodą?**

**Wstał zatroskany i podszedł do Jima, który trzymał teraz bukłak w strumieniu, aby go napełnić, a bąbelki z pustego wnętrza wypływały na powierzchnię.**

**–Chcę mieć w tej flaszcze wodę – odpowiedział Jim rycerzowi, spoglądając nań z ukosa.**

**–Ale czysta woda nie jest zdrowa – powiedział Brian z niepokojem. – Nie miałem dotychczas powodu, żeby udzielić ci tego ostrzeżenia, Jamesie. Ale zwłaszcza francuska woda może przyprawić o krwawą biegunkę.**

**–Zobaczymy – odrzekł Jim. Flaszka była już pełna. Wyjął ją ze strumienia i zakorkował. – W każdym razie mogę ochronić się przed biegunką czarami.**

**–Och! Oczywiście. Zapomniałem – usprawiedliwiał się rycerz.**

**–To najzupełniej zrozumiałe – powiedział Jim podnosząc się na nogi, a odniósłszy flaszkę z powrotem, przypiął ją do siodła. Prawdę mówiąc, chciałby nie wątpić w to, że Magia ochroniłaby go przed czerwoną biegunką, przez którą Brian niewątpliwie pojmował dyzenterię. Przywiązał swego konia obok wierzchowców pozostałych**

rycerzy i księcia.

–Raoul mówił nam o powodach, dla których wybrałeś to miejsce – powiedział Brian, który towarzyszył Jimowi, podczas gdy ten przywiązywał konia. – Rozumiem, że teraz czekamy tylko, aż król i jego straż przyboczna ustawią się w tamtym miejscu, jakieś siedemdziesiąt pięć jardów stąd?

–Tak, zgadza się – odrzekł Jim. – Jeżeli nie pokaże się tam ze swoimi rycerzami do chwili, gdy obie armie będą w szyku, będziemy musieli go odszukać, gdziekolwiek by był. Ważne będzie, żeby nasi ludzie zachowali ciszę i żeby żaden z nich nie zgubił gałązek, które nosi.

–Niektórzy z chłopców zabawiali się, kiedy tu dotarliśmy, wyciągając po cichu gałązkę z hełmu czy ubrania kogoś z przyjaciół i zostawiając go w sytuacji, w której nie mógł zobaczyć otaczającej go reszty. Trochę odmienna ślepa babka. Położyłem temu koniec – dodał Brian.

–Dobrze – powiedział Jim. – A teraz przydałoby się nam paru czatowników na wyższych drzewach, żeby uprzedzili nas o tempie, w jakim obie armie będą formować szyki w miarę wschodu słońca, który, jak widzę, właśnie się zaczyna. Czy mamy jakiegoś człowieka szczególnie dobrze widzącego na odległość?

–Ja mam, chyba że Theoluf zna lepszego wśród twoich ludzi – powiedział Brian.

Dołączyli teraz do reszty siedzących rycerzy. John Chester i Theoluf stali niedaleko, opierając się o drzewa, ale nie śmiejąc usiąść w obecności zwierzchników. – Johnie Chesterze! Theolufie! Do nas!

Giermkowie podbiegli.

–Johnie Chesterze, który to ten chłopak o szczególnie bystrym oku wśród moich zbrojnych? Lukę Allbye? Przyrowadź go. A ty, Theolufie, czy masz kogoś między ludźmi sir Jamesa, kto mógłby równać się z Lukiem w widzeniu na odległość?

–Ja sam, sir Brianie – odpowiedział Theoluf. – Myślę, że mógłbym widzieć lepiej niż twój Lukę w jakiś jasny dzień, chociaż on może widzieć trochę lepiej, kiedy jest mgliście czy o zmroku, ale tam, gdzie on widzi na sześć kroków, ja widzę na pół tuzina.

–No to niech będzie Lukę, nie sądzisz, Jamesie? – Zwrócił się rycerz do Jima. – Lepiej, żeby giermek nie łąził nam po drzewach w zawody ze zbrojnym. Wyślemy Luke'a i zobaczymy, co będzie nam mógł powiedzieć o formowaniu się francuskich i angielskich szyków.

Po kilku chwilach pojawił się przed nimi Lukę, wysoki, chudy, smutno wyglądający zbrojny tuż po trzydziestce. Tymczasem nadszedł Dafydd z siwowłosym łuczniakiem, jednym z trzech, których przyprowadził.

–O co chodzi, Dafyddzie? – spytał sir Brian.

–Słyszałem, jak sir James właśnie mówił – odpowiedział cicho Walińczyk, który przedtem siedział niezupełnie pomiędzy rycerzami, ale blisko nich – że potrzebujecie najbystrzejszej z możliwych pary oczu, żeby obserwować formowanie się francuskich i angielskich wojsk do boju. To, jak pamiętacie, Wat z Easdale, który, jak uważam, ma naprawdę najlepszy wzrok z nas wszystkich, jeśli na dobrą sprawę nie w całej Anglii i Walii.

Lukę Allbye i John Chester spojrzeli na niego kwaśno. Sir Brian zmarszczył brwi.

–Widzicie, łucznik koniecznie musi mieć lepszy wzrok niż większość ludzi, żeby dobrze uderzyć w swój cel – ciągnął Dafydd – a Mistrz Łuku, taki jak ten oto Wat, w swojej zdolności dostrzegania tego, do czego strzela, znacznie przewyższa zwykłych ludzi. Czy nie tak, Wacie?

–W istocie, za waszym pozwoleniem, szlachetni panowie – powiedział Wat z Easdale – to prawda przed Bogiem!

–No cóż, jest z tego wszystkiego proste wyjście – stwierdził Jim. – Niech obaj wleżą na drzewa, a potem zejną i opowiedzą nam, co widzieli. Oprócz rozstrzygnięcia, który z nich jest lepszy od drugiego, głównie jesteśmy zainteresowani dowiedzeniem się, ile tylko można. Tak więc którykolwiek z nich będzie mógł powiedzieć nam więcej o tym, co widział, to i tak jesteśmy do przodu.

–Całkiem słusznie, Jamesie – powiedział Brian, choć linia jego zaciśniętych ust wskazywała, że poczuł się dotknięty tym, iż pojawił się ktoś, kto twierdził, że widzi lepiej niż najlepsza para oczu spośród jego domowników. – Obydwaj na drzewa i przyjrzeć się dokładnie temu, co zobaczycie. Potem macie wrócić i opowiedzieć nam o tym.

Jim, Brian i Dafydd usiedli oczekując na rezultaty. Tymczasem, gdy poranne słońce wspinało się po niebie, powietrze zaczęło się ocieplać, a z jego ciepłem napłynął świeży zapach otaczających ich traw i drzew. Niemal każdego dnia, od chwili gdy wylądowali we Francji, mieli dobrą pogodę, a dzień dzisiejszy najwyraźniej zamierzał dorównać poprzednim. Zapowiadał się na przepiękny, choć może trochę za ciepły dla tych w pełnej zbroi. Jim już się trochę niespokojnie wiercił pod watowaniem swego metalowego napierśnika.

Las dookoła rozbrzmiewał śpiewem ptaków. Sądząc z pozorów, trudno było o spokojniejszą chwilę. Jimowi niemal nie mieściło się to w głowie, że za parę godzin, zburzywszy ten cudowny spokój, ludzie będą zajmować się okaleczaniem i mordowaniem się nawzajem ostrą i szpiczastą bronią.

Wspomniał, co powiedział mu Carolinus o tym, że bitwy nie może wygrać żadna ze stron, jeżeli Ciemne Moce mają zostać pognębione. Nie miał pojęcia czy też tylko bardzo niejasne pojęcie, jak można to przeprowadzić. Mag najwyraźniej polegał w tej sprawie na tym, co zrobi Jim, a on niewiele wymyślił do tej pory poza sposobem przedarcia się do fałszywego księcia i zmuszeniem króla do uznania księcia prawdziwego.

Pozwolił myślom biec swoim własnym torem, próbując wynaleźć sposób, w jaki mogliby odszukać króla, gdyby ten zdecydował się nie zajmować swojego stanowiska tutaj. Niewidzialność bardzo się przydawała, ale trudno byłoby bezpiecznie przemieścić tak duży oddział ludzi wzdłuż ruchliwej linii wojowników szykujących się do walki. Jednak podzielenie go na grupy także było ryzykowne.

Musiałby zaufać im, że znowu odnajdą się nawzajem, gdziekolwiek król Jean znalazłby miejsce do obserwowania bitwy. Wiązałoby się to z ogromnym ryzykiem, że nie uda się zebrać z powrotem odpowiedniej liczby zdolnych do walki, kiedy będą potrzebni.

Rozmyślenia przerwał mu powrót Luke'a Allbye i Wata z Easdale. Wrócili razem z Johnem Chesterem i Dafyddem, którzy najwidoczniej poszli z nimi i stali pewnie u stóp drzew, na które wdrapali się ich obserwatorzy.

–W samą porę – powiedział Brian, gdy tych dwóch podeszło. – Lukę, co masz nam do powiedzenia?

Lukę, zanim odpowiedział, zdjął z szacunkiem hełm, a widząc to Wat, któremu wyraźnie nagle się to przypomniało, także zdjął hełm, który nosił zamiast tradycyjnej płaskiej czapki łuczника.

–Sir Jamesie, milordzie – odrzekł Lukę – obie armie są prawie gotowe na pozycjach. Francuzi są w trzech hufcach, jak się spodziewano, jedna linia za drugą. Ostatnia linia opiera się niemal o namioty lordów i rycerzy dziś tam obecnych. Anglicy, na ile mogłem odróżnić, rozstawili się w jednej linii, w formacji brony, tak jak byli pod Crecy i Poitiers, ze zbrojnymi w prostej linii na przedzie, zwróconymi w kierunku Francuzów, i łucznikami w dwóch ścisłych, wybiegających w przód sztykach na obu skrzydłach. Sztyki skręcają do środka przy obu końcach tak, że każdy łucznik może strzelać przez drugiego.

Wygłosił tę pierwszą porcję informacji na jednym oddechu i przerwał, żeby zaczerpnąć następny haust powietrza, zanim mówił dalej.

–O ile mogę zgadywać, sir Brianie i milordzie – powiedział – angielskich zbrojnych jest sześć tysięcy, czyli być może jedna trzecia tego, co w trzech francuskich liniach. Francuzi mają też genueńskich łuczników w szeregach przed swoją pierwszą linią, nieco rozsuniętych, tak że mogą strzelać sobie nawzajem nad głowami. Przypuszczałbym, że są tam trzy tysiące kuszników. Po stronie Anglików, w przeciwieństwie do tego, co słyszeliśmy wcześniej, zdaje się, że jest gdzieś między czterema a sześcioma tysiącami łuczników, zamiast tych dwóch tysięcy, o których mówiono.

–Dziękuję, Lukę – powiedział sir Brian. Spojrzał na Jima. – Czy chciałbyś go o coś zapytać, Jamesie?

Jim pokręcił głową.

–A ty – oczy rycerza zwróciły się na łucznika, Wata z Easdale – czy masz cokolwiek do dodania do tego, co powiedział nam Lukę?

–Tylko to, że łuczników jest nie sześć tysięcy, a najwyżej dwa – odparł sucho Wat.

Nie tylko Brian i Jim, ale i inni przysłuchujący się rycerze popatrzyli na łucznika, który wytrzymał ich spojrzenia z całkowitym opanowaniem.

–Jak możesz mówić nam coś takiego? – spytał Brian. – Łucznicy byli z pewnością zbyt daleko, by dostrzec ich pojedynczo, ale wiem, że Lukę dobrze osądza liczby.

–Z pewnością – odparł spokojnie Wat z Easdale – musiało się zdawać całkiem jasne Luke'owi, że końce brony mieszczą przynajmniej sześć tysięcy łuczników w dwóch rzędach, które widział rozciągające się z głównej formacji zbrojnych. Ale to może być tylko sztuczka naszych Anglików dla zmylenia Francuzów. W szeregach tych, co zdali się łucznikami, co najmniej dwu na trzech ludzi to wcale nie łucznicy, ale zbrojni albo nawet, o ile wiem, kucharze i piekarze spośród sług z taboru.

Trzymają kije długości drzewca haku i stoją tak, jak według nich stają łucznicy.

–Szlachetni panowie, oni wszyscy byli łucznikami! – przerwał mu gwałtownie Lukę. – Przysięgam.

–Więc narażasz swoją duszę na potępienie tak przysięgając – powiedział spokojnie Wat, nie odwracając głowy, żeby spojrzeć na Luke'a. – Mogą ustawić człowieka w szeregach i dać mu do ręki drzewce, ale tylko wieloletnie ćwiczenia tworzą łucznika i sprawiają, że stanie z nim tak jak prawdziwy łucznik. Dla mnie to jasne, ale jestem łucznikiem, wyrosłem i żyłem wśród innych, którzy także są łucznikami, że dwóch na trzech w tych szeregach to nie byli prawdziwi łucznicy.

–Jeśli nawet to, co mówisz, jest prawdą – tak Dafyddzie, wierzę, że on urnie odróżnić łucznika od zbrojnego. – Brian przerwał sam sobie, widząc, że Walińczyk miał właśnie zaprotestować przeciwko słowu jeśli. – Jednak te linie łuczników były zbyt odległe, by jakikolwiek człowiek mógł zauważyć tak niewielkie różnice w sposobie ich stania i trzymania, cokolwiek mieli tam w rękach.

–Ja mogłem – powiedział Wat – i zauważyłem. Z całym szacunkiem, sir Brianie, gdybyś spoglądał ponad ostrzeni swojej strzały na odległy o trzysta jardów znak, do którego strzelałeś, tak często jak ja, nauczyłbyś się zauważać drobne różnice, nawet z takiej odległości. Powiadani ci stanowczo, że Anglicy mają najwyżej dwa tysiące łuczników, a ci pozostali są fałszywymi, wystawionymi na postrach Francuzom.

–To może wystraszyć jakichś kilku pojedynczych Francuzów – odezwał się sir Raoul gniewnie. – Ale czy myślicie, że to ich powstrzyma od szarżowania, kiedy przyjdzie pora? A gdy już raz zbliżą się, czyż nie zauważą oszustwa i nie będą szarżować tym zacieklej?

–Istotnie, pewien jestem, że to właśnie się zdarzy, sir Raoulu – odpowiedział Wat – i w tym leży korzyść dla Anglików, jeśli mają chociaż pięciuset łuczników po każdej stronie, leżących w ukryciu w trawie albo za zasiekami, poza flankami brony. Kiedy Francuzi poznają się na tym, co wyda im się tylko sztuczką, i przyśpieszą szarżę, linia ich rozciągnie się jeszcze bardziej nierówno niż zwykle i szybsze wierzchowce zaczną wyprzedzać pozostałe. W tym momencie łucznicy ukryci po obu stronach mogą powstać i zacząć strzelać, a jeśli nie wytracą połowy francuskich koni w tej pierwszej szarży, zanim choć jeden Francuz dotrze do pierwszego fałszywego angielskiego łucznika i go zetnie, to zjem mój łuk i kołczan na dodatek.

–A jeśli nawet wytracą połowę jeźdźców w tej szarży, to co z tego?! – powiedział gwałtownie sir Raoul. – Z tyłu jest pięć razy tyle Francuzów czekających, by zająć ich miejsca.

–Myślę, że korzyść z tego jest całkiem jasna – powiedział Jim. Wszyscy spojrzeli na niego, bo do tej pory siedział cicho. – Taka niespodziewana porażka i prawdopodobieństwo, że na tych, którzy będą szarżować następnymi, mogą czekać inne pułapki, może wystarczyć, żeby Francuzi stracili cierpliwość. A sam wiesz, sir Raoulu, że kiedy twoi rodacy się wściekną, tylko jedna myśl tkwi im w głowach; jak najszybciej dopaść wroga. Więc jakikolwiek plan bitwy mają Francuzi, może on wziąć w łeb.

Sir Raoul spiorunował go wzrokiem, otworzył usta, zamknął je i w końcu nic nie



powiedział. Dalszym sprzeczkom, jakie mogły się wywiązać, przeszkodził Tom Seiver, zbliżając się do nich biegiem.

–Szlachetni panowie, wielka grupa rycerzy jedzie w tym kierunku! Wszyscy idą razem, jednym oddziałem, i jeśli się nie mylę, niosą królewski sztandar z Kroczącymi Lwami i Liliami.

–W takim razie to będzie francuski król! – zawołał sir Giles radośnie. – Mimo wszystko idzie tutaj!

Zbrojni dokoła nich byli już na nogach, tak jak rycerze, którzy kierowali się do koni.

–Jeszcze nie! – powstrzymał ich głos Jima. – Niech oni pierwsi ustawią się w pozycji i rozlokują. Niech wszyscy skryją się dobrze w lesie. Wasza Wysokość, nadszedł czas, abym o czymś z wami pomówił. Czy pójdziecie ze mną na bok?

–Bardzo proszę, sir Jamesie – powiedział książę zbliżając się do niego.

–I ty pójdz z nami także, sir Gilesie – poprosił Jim. Książę uniósł brwi, ale nic nie powiedział. Giles także o nic nie pytał, tylko podszedł do nich. Razem odeszli w głąb lasu.

–Dokąd zmierzamy, sir Jamesie? – spytał książę po paru chwilach. – Myślałem, że chcesz odejść tylko krok czy dwa na stronę, poza zasięg słuchu pozostałych. Ale ty zdajesz się zabierać mnie gdzieś dalej.

–Tak jest, Wasza Wysokość – odparł Jim. – Udajcie się za mną łaskawie. To już niedaleko.

Przeszli razem kawałek dalej, z Gilesem zamykającym tyły. Przeszli między drzewami i ukazały im się ruiny, które Jim znalazł poprzedniej nocy. Jim podprowadził księcia na ich skraj, a potem się zatrzymał.

–Wasza Wysokość – powiedział – wiem, że wolelibyście szarżować razem z nami, czy przynajmniej być w pobliżu, kiedy zaatakujemy. Ale zważcie, jeśli cokolwiek miałoby wam się przydarzyć, jeśli jakimkolwiek trafem mielibyśmy was stracić, stracimy wszystko. Obecne tu siły angielskie tracą wszystko. Anglia straci wszystko. W tych ruinach jest niewielka nisza, do której można wejść na długość człowieka, a nawet głębiej. Ma ona szerokość tylko jednej osoby. Gdy staniecie w środku, a sir Giles między wami a wejściem, nikt nie będzie mógł dostać się do was. Kamienie nie tylko was osłonią, ale i ukryją.

Książę zaczerwienił się.

–Sir Jamesie, na zbyt wiele sobie pozwalasz! – rzucił. – Nie jestem dzieckiem ani służącym, żeby kazać mi się chować, kiedy toczy się walka. Sam też sobie nie życzę tak się ukrywać. Wracam natychmiast do pozostałych i zajmuję miejsce, z którego będę się przyglądał atakowi!

Odwrócił się plecami do zwalonego stosu rzeźbionych kamieni.

–Wasza Wysokość! Stójcie! – zakrzyknął Jim nie poruszając się. – Zważcie na swój obowiązek! Zważcie na swoją powinność wobec waszego ojca i Anglii. Zatrzymajcie się przynajmniej na tak długo, żeby przemyśleć to, co wam właśnie powiedziałem!

Książę już odchodził, ale zwolnił kroku, aż w końcu się zatrzymał. Powoli odwrócił

się i znów podszedł i stanął przed Jimem.

–Nie uważam, aby niebezpieczeństwo było aż tak wielkie, jak zdajesz się sądzić, sir Jamesie – powiedział spokojnym głosem. – Zapominasz, że jestem księciem Anglii. Jestem wart nieskończenie więcej żywy niż martwy. Nawet gdyby Francuzi znaleźli mnie i otoczyli tak, że nie byłoby szans, abym uciekł, czy przebił się przez nich, to wciąż mogliby mnie najwyżej pojmać. A w należnym czasie mój ojciec wykupiłby mnie. Nie mogłoby być inaczej.

–Nie, pomyślcie! – nie ustępował Jim. – Malwinne stworzył i podstawił fałszywego księcia, którego całkowicie kontroluje. A to czarnoksiężnik faktycznie rządzi teraz Francją, a nie król Jean. Władza wciąż należy do króla, nie ma co do tego wątpliwości. Ale wola, która się za nią kryje, jest wolą Maga. Żaden Francuz nie chciałby was zabić. Jak powiadacie, ich celem byłoby pojmanie was. Dla wszystkich, poza jednym. Tym jedynym jest Malwinne. Jak długo żyjecie, jesteście zagrożeniem dla fałszywego księcia, którego stworzył. Z pewnością od pierwszej chwili, gdy uciekliśmy z jego zamku, poszukiwał was; nie żeby z powrotem was dostać, nie żeby porwać was i trzymać dla okupu, ale by was zniszczyć, w tajemnicy i całkowicie, tak aby nikt nie mógł podać w wątpliwość istoty, którą stworzył.

Jim przestał mówić, czekając, jak zareaguje książę. Ten jednak stał tylko, patrząc jakby przez niego w dal. Wreszcie westchnął, ramiona mu opadły i popatrzył z powrotem na Jima.

–Jeszcze raz, sir Jamesie – powiedział – zauważam, że słucham cię wbrew własnej woli. Masz rację. Istotnie mam obowiązek. Czy ten obowiązek jest właśnie taki, jak mówisz, nie wiem. Ale nie mogę w tej chwili wyobrazić sobie innego. Więc pójdę za twoją radą. Gdzie jest ta zawalona dziura, do której muszę się wczołgać?

–Nie będziecie musieli się czołgać, Wasza Wysokość – zaprzeczył Jim. – Możecie do niej wejść. I to zaledwie na godzinę czy dwie. Jeśli król i jego rycerze są w drodze ku nam, to trzeba nam tylko poczekać, aż rozłożą się na pozycjach i zwrócą całą swoją uwagę na bitwę, tak że nie będą zważać na to, co się dzieje za nimi. Wtedy zaatakujemy i albo zwyciężymy w ciągu paru minut, albo też całkowicie w ciągu paru minut przegramy. Nawet tutaj powinniście słyszeć szcęk broni. Jeśli ucichnie i w ciągu najwyżej półgodziny ani ja, ani nikt inny nie przyjdzie po was, żebyście stanęli twarzą w twarz z fałszywym księciem, wtedy bądźcie pewni, że przegraliśmy, i pomyślcie o swoim własnym bezpieczeństwie.

Przerwał.

–Sir Giles – mówił dalej – zostanie tu z wami, i jeśli sprawy źle się ułożą dla reszty nas, powinniście we dwóch spróbować dotrzeć do Brestu i znaleźć ochronę u Anglików, którzy tam będą, przybywszy po wyjeździe naszej armii z miasta. Jeśli Malwinne nie może ryzykować zostawienia was przy życiu, nie może też zaalarmować całego kraju tym, że poszukuje kogoś podobnego do uwięzionego księcia Anglii. Nasuwałoby to zbyt wiele pytań. Przy odrobinie szczęścia powinno wam się udać dotrzeć bezpiecznie do Brestu.

Mówiąc to Jim poprowadził księcia dookoła zrujnowanego budynku, szukając wejścia, które wcześniej odkrył. Poprzednim razem trafił na nie po ciemku i miejsce

to wyglądało inaczej w dziennym świetle. W końcu odnalazł szczelinę i wskazał wejście do niej księciu.

–Około sześciu stóp głębokości – powiedział – i nasłuchujcie odgłosów oręża.

–Dobrze, sir Jamesie – zgodził się książę. – Niechętnie, ale robię to, co mówisz. Odwrócił się i wszedł do środka.

Giles odruchowo ruszył za nim, kiedy tuż przed wejściem do niszy Jim złapał go za ramię. Niski rycerz odwrócił się i spojrzał pytająco na niego.

–Nawet nie zapytałem cię najpierw, czy wzięłbyś na siebie ten obowiązek – powiedział Jim. – Przepraszam cię, przyjacielu.

–Za co? – z uśmiechem odpowiedział sir Giles cichym głosem. – To wielki honor, Jamesie, i powinienem ci jeszcze dziękować!

Jim puścił jego ramię i patrzył, jak rycerz znika w szczelinie. Usłyszał głosy ze środka, kiedy książę i Giles przybierali wygodne pozycje na czas oczekiwania. Potem odwrócił się i pośpiesznie skierował z powrotem do miejsca, gdzie czekali pozostali rycerze i zbrojni.

Kiedy już tam dotarł, znalazł rycerzy i zbrojnych stojących w ciszy, ukrytych za drzewami i krzakami, król Jean z Malwinne'em, fałszywym księciem, królewskimi sztandarami i rycerzami właśnie wkraczał na nieduże wzniesienie.

## Rozdział 36

Wyglądają dzielnie – powiedział Brian, gdy przyglądali się, jak król i jego rycerze zajmują pozycje na niewielkim wzniesieniu przed nimi.

–W samej rzeczy! – przyznał z niejaką dumą sir Raoul stojący razem z sir Brianem u boku Jima.

Stali nieco w głębi lasu, ale w niezbyt zarośniętym miejscu, tak że mieli dobrą widoczność. Gdyby nie byli niewidzialni dla króla i jego straży przybocznej – może niezauważalni byłoby lepszym określeniem rezultatów czarów użytych przez Jima – nie mogliby nie zostać zauważeni w miejscu, w którym się znajdowali.

Król wstrzymał konia na wzniesieniu, a rycerze zatrzymali się przy nim, wszyscy siedzieli na koniach spoglądając w dal, w kierunku otwartego pola i linii angielskich oddziałów odległej o jakieś pięćset jardów. Wielki sztandar łopotał ponad głową króla w orzeźwiającym wiateryku, który zastąpił nieruchomość powietrza o świcie, zanim jeszcze żar słońca dał się we znaki.

–Radzę – powiedział Brian, osłaniając sobie oczy dłonią – przyjrzeć się nie królowi i jego rycerzom, ale formującym się w dali, po lewej i prawej stronie, francuskim szeregom – żebyśmy zaczekali, jeśli to możliwe, aż pierwsza francuska chorągiew ruszy do ataku. Jeżeli to, co mówi Wat z Easdale, jest prawdą, to nawet lepiej byłoby poczekać, aż Anglicy użyją swoich fałszywych i ukrytych łuczników, tak że uwaga królewskiego hufca będzie całkowicie skupiona na polu bitwy. Musimy na to trochę poczekać, ale może nie będzie to stracony czas.

–Dobra myśl, Brianie – powiedział Jim.

Po czym poczuł, że ktoś go ciągnie za łokieć. Odwrócił się, spodziewając się, że to Dafydd, który stał tuż za nim ze swoimi trzema łucznikami, chce zwrócić jego uwagę. Ale nie był to ani Walińczyk, ani łucznicy, ani nikt, kogo by się spodziewał. Był to Carolinus.

–Ci tutaj nie widzą mnie ani nie słyszą – rzekł Mag. – Znajdź jakąś wymówkę i chodź ze mną na bok, żebym mógł z tobą pomówić.

Jim popatrzył znów przed siebie. Obliznął wargi, zaczerpnął powietrza i nagle się odezwał.

–Ha! – powiedział. – A miałem zamiar zająć się tym wcześniej! Zostańcie tu i obserwujcie dalej. Wrócę za małą chwilę.

–Tak zrobimy – odezwał się Brian, wciąż ocieniając oczy przed porannym słońcem. – Doprawdy sędzę, że pierwsza francuska chorągiew gotowa jest do ataku.

–Będą się rwali do tego – mruknął sir Raoul.

Jim rozejrzał się dokoła i zobaczył, że nikt na niego nie patrzy. Nawet stojący za nim Dafydd i łucznicy utkwili oczy wyłącznie w polu bitwy i dwóch armiach. Carolinus stał kilka kroków z boku i kiwał na niego. Jim ruszył w jego kierunku.

Czarodziej poprowadził go między drzewa, które skryły przed ich wzrokiem pole, a także ludzi Jamesa. Potem odwrócił się i stanął naprzeciw Jima. Podchodząc bliżej, na ściągniętej i zmęczonej twarzy Maga Jim ujrzał szarość, jaka pokazuje się na twarzach starców, kiedy są wyczerpani ponad wszelką wytrzymałość.

–Jamesie – powiedział Carolinus – nawet teraz jeszcze nie znasz tego świata.

**Musisz mi więc wybaczyć to, co zrobiłem.**

**–Wybaczyć ci? – zapytał Jim. – Nigdy nie zauważyłem, żebyś zrobił coś bez powodu, Magu. Co więcej, zwykle miałeś taki powód, który przynosił tyleż korzyści innym, co służył twoim własnym celom. Czy nie mówiłeś mi kiedyś, że gdy ruszają Ciemne Moce, wszyscy musimy powstać, żeby je odepchnąć?**

**–Ja ci to mówiłem?! – zdziwił się czarodziej. – No cóż, to całkiem prawdopodobne. Ale nawiązuję do tego, Jamesie, że jeszcze nie pojąłeś w pełni, iż zwierzchnik posiada podwładnego na własność. Brian, na przykład, mógłby powiesić każdego ze zbrojnych po prostu dlatego, że tak zdecydował, i żadne prawo nie mogłoby zażądać od niego wytłumaczenia. To prawda, że gdyby zrobił coś takiego bez sensownego powodu, szybko utraciłby większość pozostałych swoich ludzi, a na pewno najlepszych spośród nich. Dlatego normalnie nie zrobiłby tego. Jednak mimo wszystko, gdyby chciał albo miał powód, mógłby i zrobiłby to.**

**–Myślę, że mnie nie doceniasz – powiedział Jim z całą powagą. – Wierzę, że już to zrozumiałem.**

**–Doprawdy? – zapytał Carolinus. – Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, jak dalece to odnosi się do układów pomiędzy tobą a mną?**

**Jim zapatrzył się na niego.**

**–Nami? – powtórzył jak echo. – Tobą i mną?**

**–Dokładnie – potwierdził Mag. – Do naszej zależności jako nauczyciela i ucznia. Kiedy wziąłem cię na swojego ucznia w Magii, stałeś się praktycznie moją własnością. Miałem cię uczyć, ale jednocześnie miałem swobodę użycia cię lub zniszczenia, gdybym chciał. To są zwyczaje tej epoki w tym świecie.**

**–Nie – powiedział powoli Jim – o tym nie pomyślałem.**

**Popatrzył w bladoniebieskie oczy Carolinusa.**

**–W każdym razie, spodziewałbym się, że nie zrobiłbyś niczego w tym stylu bez powodu – dodał – tak samo jak i Brian...**

**Czarodziej przerwał mu.**

**–Jest pewna różnica, Jamesie – ciągnął. – W twoim przypadku zewnętrzne czynniki mogłyby zmusić mnie do postąpienia z tobą w sposób, jakiego byś sobie nawet nie wyobrażał. Niestety, w tej akurat rozgrywce przeciw Ciemnym Mocom jesteś niczym pionek w szachach, pchany naprzód, aby osiągnąć jakiś cel lub zostać poświęconym. Mogłem ci pomóc tylko w ten sposób, że wysłałem Aragha i wsparłem wysłanie Dafydda. Uczyniłem jeszcze inne drobne rzeczy, ale bezpośrednio nie mogłem nic zrobić. Powinienem ci pogratulować. Sposób, w jaki zaczarowałeś siebie i swoich ludzi, żeby inni was nie dostrzegli, był bardzo sprytny.**

**–Prawdę mówiąc – powiedział Jim – nie mogłem sobie wyobrazić, jak inaczej to zrobić. A odkryłem, że czego nie mogę sobie wyobrazić, tego nie mogę zdziałać Magią. Może to jakieś prawo Magii?**

**–Nie określałbym tego tymi słowami – rzekł Carolinus – ale są bardzo bliskie prawdy. Jednakże pogratulowałem ci nie tyle znalezienia jakiegoś czaru, co znalezienia takiego, który wykorzystywał twoje wcześniejsze doświadczenia z innego świata. Dlatego też mniej obciążył twój tutejszy magiczny kredyt. Czy nie zastanowiło**

**cię nigdy, że robiłeś bardzo dużo czarów, jak na kogoś z zaledwie klasą D?**

**–Nigdy o tym nie myślałem – powiedział Jim.**

**–No to pomyśl o tym wreszcie – zwrócił mu ponuro uwagę Mag. – W gruncie rzeczy już jakiś czas temu zużyłeś całą energię, która pozwalała ci tworzyć Magię.**

**–To dlaczego mogłem robić to dalej? – spytał Jim. – Czy pożyczyleś mi trochę energii z własnego kredytu?**

**–To surowo zabronione – wyjaśnił czarodziej – i dla słuszných powodów. Inaczej nauczyciel, pozwalając uczniowi czerpać energię z nadrzędnego i dużo lepiej wypełnionego kredytu, mógłby obdarzyć go większą siłą niż ta, jaką zgodnie ze swoją rangą w Wydziale Kontroli powinien mieć. Nie, nie mógłbym ci nic pożyczyć. Za to pozwoliłem ci od kilku już dni korzystać bezpośrednio z mojego kredytu. Prawdę mówiąc, tego także nie powinienem robić i niewątpliwie, kiedy będzie już po wszystkim, Wydział Kontroli ukarze mnie grzywną. Chyba że odniesiemy wielkie zwycięstwo w starciu z Ciemnymi Mocami i w ten sposób uzupełnimy nasze kredyty ich kosztem.**

**–Nie bardzo rozumiem – powiedział Jim. – Skąd Wydział Kontroli bierze to, co wkłada na nasze rachunki? Czy ma swój własny nienaruszalny zapas, czy...**

**–Nie pytaj! – Carolinus zareagował tak gwałtownie, że Jim natychmiast zamilkł. Przez chwilę żaden z nich się nie odzywał. – Odkryjesz – powiedział Mag łagodniejszym głosem, przerywając w końcu to milczenie – że im więcej wiesz o Magii, tym lepiej orientujesz się, jak wiele rzeczy jest niemożliwych, zabronionych czy w inny sposób niedostępnych. Dowiesz się także, jak dużo pozostaje ci jeszcze do nauczenia się. Zamilkł.**

**–Ale na razie wystarczy już o tym. Niewiele więcej mogę dla ciebie uczynić – ciągnął. – Ale co mogę, to zrobię. Po pierwsze, muszę uprzedzić cię o rzeczach, o których powinieneś wiedzieć. Jedną z nich jest fakt, że twój kredyt jest wyczerpany. To znaczy, że dopóki nie zostanie do pewnego stopnia napełniony, twoje możliwości jako Maga są zerowe. Jesteś zasadniczo jak ambasador bez teki. Nic nie możesz zrobić, ale przynajmniej nie tracisz statusu Maga i za to powinieneś być wdzięczny.**

**Popatrzył na Jima niezwykle poważnie.**

**–Przede wszystkim – mówił dalej – Król Umarłych złożył poważne zażalenie do Wydziału Kontroli na Maga, który pojawił się w jego królestwie. Twoi towarzysze się nie liczyli, są ludźmi. Jeśli zawędrowali na jego terytorium, to prawnie należą do niego, chyba że uda im się uciec stamtąd, tak jak udało się tobie i przyjaciółom. Niestety do ucieczki użyłeś czarów. Użyłeś Magii w królestwie, gdzie cała Magia jest pod jego kontrolą – nawiasem mówiąc nie jest to prawdziwa Magia, ale coś do niej podobnego, szczególnie gdy chodzi o zakazy. W każdym razie użycie tam czarów jest nawet większym przestępstwem niż wasze pojawienie się na jego terytorium. Będziesz musiał wytłumaczyć się z tego.**

**–Ależ byliśmy tam tylko dlatego, że czary Malwinne'a nas zwiodły – zaprotestował Jim.**

**–Prawda – zgodził się z nim Carolinus – i Wydział Kontroli weźmie to pod uwagę, ale tylko jeżeli pokonasz i Malwinne'a, i Ciemne Moce. Wtedy to Malwinne zostanie**

pociągnięty do odpowiedzialności. Ale tylko wtedy.

–To nie wydaje się sprawiedliwe – powiedział Jim.

–A kto powiedział, że świat jest sprawiedliwy? – spytał gwałtownie Mag. – Ale posłuchaj mnie. Inny problem, którego może nie jesteś świadom, to to, że Meluzyna jest niedaleko. Chce ciebie z powrotem. Następną sprawą jest, że nie może cię dostać.

–Nie może?! – zawołał Jim odzyskując humor. – Dlaczego?

–Ponieważ, jak już mówiłem – rzekł Carolinus ze śladem swego zwykłego rozdrażnienia – nawet bez kredytu w Wydziale Kontroli pozostajesz Magiem. Prawo mówi, że między królestwami nie może być żadnego przenikania. To dlatego Król Umarłych nie ma żadnej władzy poza swoim królestwem. To dlatego nie może zdobyć władzy nad zmarłymi, którzy umierają w ludzkim kościele. Ci idą gdzie indziej, i to jest coś, z czym on ani jego konkubina, którą widziałeś tam na dole, nigdy się nie pogodzili. Dlatego jest podwójnie zawzięty w dochodzeniu swoich praw w takich przypadkach jak ten, kiedy człowiek będący Magiem wtargnął na jego terytorium, a potem uciekł używając zabronionej Magii.

–Ale co to wszystko ma wspólnego ze mną i z Meluzyna? – spytał Jim. – Czy coś z królestwami jest związane z faktem, że ona nie może mnie mieć, bo jestem Magiem?

–Zgadza się – rzekł czarodziej. – Meluzyna jest Pierwotną, a Królestwo Pierwotnych jest wydzielone, no może prawie wydzielone. Twój przyjaciel, Giles, jest połączeniem Pierwotnego i człowieka, chociaż podejrzewam, że od wczesnego dzieciństwa wstydział się swojej pierwotnej części i robił wszystko, żeby wyprzeć się jej i wszystkiego, co z nią związane. Meluzyna jest całkowicie Pierwotną.

–Wiem – powiedział Jim. – Widziałem, jak używa swoich własnych czarów.

–To, czego używali i używają Pierwotni, nie jest prawdziwą Magią – rzekł Carolinus. – Tylko ludzie używają prawdziwej Magii. Chociaż większość Pierwotnych i innych powie ci, że to, czego oni używają, to właśnie jest Magia. Ale właściwie to, co posiadają Pierwotni, to rodzaj instynktownej władzy nad kształtowaniem swojego otoczenia, przestrzeni wokół siebie. Na przykład, czy wiesz, jak Meluzyna topi smoki, które zbliżają się do jej jeziora?

–Nie – powiedział Jim.

–Sprawia, że jezioro rozszerza się tak, że pod miejscem, w którym smok wtedy stoi lub idzie, robi się głęboka woda. Smoki wpadają, topią się, a ona wciąga je na dół do tej części dna jeziora, w której chce je mieć, i zostawia do rozebrania przez rybki.

–Właściwie czemu ona tak bardzo nienawidzi smoków? – spytał Jim. – Pytałem ją kiedyś i odpowiedziała mi coś o tym, że są jak nietoperze, latają w powietrzu, i tak dalej, i tym podobne. Nie miało to wielkiego sensu.

–To jest w każdym razie nieistotne – powiedział Carolinus i tym razem był zdecydowanie starym, zgryźliwym samym sobą. – Coś w smokach, coś, co może kiedyś zrobił jakiś smok, pogłaskało ją pod włos. Prawdopodobnie do tej pory zapomniała już nawet, co to było. Mówiłem ci, że Pierwotni kierują się instynktem. Nie używają rozumu tak jak my, ludzie. Przede wszystkim, jak mówię, mają zdolność

kształtowania otoczenia. Do pewnego stopnia pozwala jej to kształtować swoje otoczenie w swoją stronę, niezależnie, gdzie jesteś. To niezupełnie takie proste, jak mówię, ale znaczy, że Meluzyna sama instynktownie podróżuje w twoim kierunku. Przemieszczałeś się, tak więc do tej pory wyprzedzałeś ją. Teraz jednak stoisz w miejscu, tu na polu bitwy, i niechybnie odnajdzie cię.

–Ale jeżeli ona nie może mnie mieć, to co to ma za znaczenie? – spytał Jim.

–Największe na świecie, ty durna pało! – wykrzyknął Mag. – Czy właśnie nie skończyłem mówić ci, że jeśli nie uda się zmusić Malwinne'a, żeby odpowiedział za twoją obecność w Królestwie Umarłych, to ty będziesz pociągnięty za to do odpowiedzialności? Podobnie z Meluzyna. Każda szkoda, jaką wyrządzi poza swoim własnym, osobistym królestwem w trakcie poszukiwania ciebie, albo w gniewie, kiedy odkryje, a tak się stanie, że nie może cię mieć, także pójdzie na twój rachunek. Ty będziesz stroną odpowiedzialną. Rozumiesz?

–Sprawiasz, że to brzmi jak część rozprawy sądowej – powiedział Jim, któremu kręciło się już w głowie.

–To jest sprawa sądowa. Kwestia prawa, nawet jeśli to prawo jest odmienne od tego, do jakiego przywykłeś! – wyjaśnił Carolinus. – Ostrzegałem cię. To wszystko, co mogę teraz zrobić, oprócz jednej jedynej rzeczy. Z tego też będę musiał się rozliczyć, ale tak jak w sprawie pozwolenia, żebyś korzystał z mojego kredytu, żeby uprawiać Magię, będzie mnie to dotyczyło w kwestii twoich wykroczeń do punktu, w którym będę musiał zapłacić grzywnę. Wedle twojej miary bardzo wysoką grzywnę. Według mojej, no cóż, da się z tym żyć. Podobnie jest z tym, co mam zamiar zrobić teraz. Teoretycznie nie powinienem nic dla ciebie robić magicznie, jak długo nie masz kredytu; choć faktycznie jesteś Magiem, to nie uważa się ciebie za praktykującego. Ale zrobię to i tak, i narażę się pewnie na następną wysoką grzywnę. Zatem przez kolejne dwadzieścia cztery godziny czynię cię odpornym na każdą Magię, jaką Malwinne może na ciebie kierować.

–To doprawdy bardzo ładnie z twojej strony! – wyjąkał Jim. – Ale jeżeli to ma cię kosztować więcej, niż możesz sobie pozwolić, to może powinienem spróbować wybrnąć z kłopotów bez tego.

–Nie miałbyś szans, chłopcze! – powiedział czarodziej. – Czy tego nie rozumiesz? W chwili kiedy przyprzesz Malwinne'a do muru, zacznie używać przeciw tobie Magii. To trochę, co wiesz o Sztuce, nie da ci więcej szans w obliczu tego Maga, niż miałby wróbel próbujący wlecieć w szpony huraganu.

–Więc powiedz mi jeszcze jeden drobiazg – poprosił Jim. – Wspomniałeś już, że muszę jakoś zapobiec temu, żeby któraś z armii na tym polu zwyciężyła, a ja nie mam zielonego pojęcia, jak się do tego zabrać. Gdybyś tylko mógł dać mi jakąś wskazówkę...

–Nie mogę ci niczego wskazywać! – rzekł Carolinus twardym głosem. – Zrobiłem już wszystko, co mogłem, a nawet więcej, niż powinienem. Wiesz, co trzeba zrobić. Zrób to, jeśli potrafisz.

Jego głos złagodniał nagle.

–Dobrą myślą i sercem będę z tobą, Jamesie – powiedział miękko. – Wybacz, ale



to wszystko, co mam ci teraz do zaoferowania. Chodź, powinieneś wracać do swoich ludzi. Pierwsza chorągiew francuskich jeźdźców zaczęła już szarżę przez pole na Anglików.

## Rozdział 37

O, cholera! Już?! – powiedział Jim i ruszył biegiem między drzewami do miejsca, gdzie stała reszta jego ludzi.

Jednakże po przebiegnięciu z ciężkim łoskotem kilku jardów zrozumiał, że odziany w zbroję, nie utrzyma tego tempa. Zwolnił więc i zaczął iść szybkim marszem. Gdy dotarł do miejsca, gdzie kończyły się drzewa i zaczynało pole, zobaczył, co się na nim działo.

Ujrzał Briana i innych rycerzy, którzy stanęli jak zauroczeni na widok pierwszej, nieco nierównej, ale potężnej linii francuskich ciężkozbrojnych jeźdźców, którzy na swych rumakach bojowych przechodzili ze stępa w kłus, zbliżając się do środka pola.

Przed linią rycerzy genueńscy kusznicy jak jeden wzniesli swój okrzyk bojowy, lecz żadna odpowiedź nie nadeszła z angielskich szeregów. Genueńczycy strzelili ze swoich kusz tak, że bełty wzniosły się jak szeroka wstęga czarnych kresek narysowanych ołówkiem na niebieskim tle nieba, a potem rozbiegli się, żeby zejść z drogi nadjeżdżającym rycerzom.

Bełty spadły między angielskie szeregi, ale działo się to zbyt daleko, żeby Jim mógł zauważyć, co się stało, mimo że już zadyszał się, śpiesząc, by dołączyć do Briana i pozostałych. Teraz z obu końców angielskich formacji, gdzie stały szeregi łuczników, zaczęły wylatywać strzały i ciąć łukiem powietrze, a francuskie konie poczęły potykać się i padać.

Jednak ci, którzy padli, nie zwolnili natarcia całej linii, która przechodziła teraz z kłusa w galop, sprawiając, że ziemia dudniła pod ciężarem ich szarży. Proporce i chorągwie dzielnie powiewały w słońcu, a kopie zaczęły się pochylać do pozycji bojowej. Widok miał wzbudzić przerażenie. Trudno było uwierzyć, że ogromny ciężar tego żelaznego szeregu może nie zmieścić wszystkiego, co przed nim stoi, a zwłaszcza cienkiej linii angielskich wojsk.

–Brianie! – sapnął Jim, wreszcie docierając do towarzyszy. – Czemu tu stoicie? Teraz w każdej chwili mogą ukazać się ci ukryci łucznicy, jeśli w ogóle tam są jacyś ukryci łucznicy. Właśnie teraz król i jego rycerze są tak samo pochłonięci tym, co widzą na polu, jak i reszta was. Każ wsiadać. Każ ludziom ustawić się z tyłu, w lesie, w pozycji klina, i niech gotują się do ruszenia. Żaden człowiek nie ma prawa zdjąć gałązek z konia czy z ubrania, dopóki nie dam rozkazu!

Rycerz i pozostali drgnęli, jakby dopiero co przemienili się z posągów w ludzi. Z Brianem na czele odbiegli w głąb lasu, dając znaki zbrojnym, żeby ruszyli razem z nimi do koni.

Jim został, wciąż próbując złapać oddech. Jedna osoba zatrzymała się obok – Dafydd.

–Nie słyszałeś, co powiedziałem, Dafyddzie? – wysapał. – Szykuj swoich ludzi, swoich łuczników. Ustaw ich na pozycjach!

–Na pozycjach stoją już od półgodziny – odrzekł łucznik nie ruszając się z miejsca. – Wat i młody Clym Tyler są na prawej flance od miejsca, gdzie będzie jechał wasz klin. Will z Howe jest na lewej flance i czeka na mnie. Dołączę do niego za chwilę. Czekam tylko na jedno słowo od ciebie. Na jaki sygnał my, łucznicy, mamy

**zdzjąć liście i stać się widzialni?**

**–Chce... – Jim wciąż musiał przerywać i łapać haustami powietrze. – Chcemy poczekać do ostatniej chwili. Rycerzom każę zdjąć zielone, zanim zaczną atak. Istnieje zbyt duże niebezpieczeństwo, że któryś z nich zapomni, jeżeli będę zwlekał. Ale chciałbym, żeby twoi łucznicy zostali niewidzialni, jak długo się da. Gdyby tak stanęli teraz w gotowości do strzału, a potem wyrzucili swoje gałązki dokładnie w chwili, gdy nasz klin was minie? Czy może to zostawi wam zbyt mało czasu?**

**–Nie – odpowiedział Dafydd. – Jeżeli założymy strzały na cięciwy w chwili, gdy wasz klin nas minie, to będziemy mieć dość czasu na wybranie celów. Tak zrobimy.**

**Odwrócił się i stawiając długie kroki, odszedł na lewo od Jima. Ani król, ani nikt przy nim obecny nie obejrzał się i nie zobaczył, jak pochylała się trawa, kiedy niewidzialna postać łuczника przesuwiała się na swoją pozycję. W miejscu, z którego miał strzelać, Dafydd stanął wyprostowany. Will z Howe podniósł się z trawy i stanął przy nim, a widząc to dwaj pozostali łucznicy także podnieśli się i stanęli w gotowości niedaleko od nich.**

**Jim odwrócił się i pośpieszył dołączyć z powrotem do pozostałych ustawiających się w klin. Ku jego uldze wszyscy byli już uzbrojeni, na koniach i gotowi, chociaż sam klin nie został jeszcze sformowany. Theoluf stał na ziemi, przytrzymując konia dla Jima. Jim wspiął się na siodło, wziął kopię, którą podał mu Theoluf, i poczekał, aż giermek dosiądzie swego konia. Potem wjechał w grupę ludzi i koni na przedzie klina, gdzie stali rycerze.**

**–Wszyscy gotowi? – zapytał ich. – Więc zajmę miejsce na ostrzu klina...**

**–Akurat zajmiesz, do ciężkiej pieprzonej cholery! – wybuchnął Brian. Opanował się, pooddychał głęboko przez chwilę i potem mówił dalej trochę tylko przyciszonym głosem: – Wybacz, jeśli cię uraziłem przed tymi szlachetnymi panami, Jamesie. Ale dobrze wiesz, że jestem świadom, jak radzisz sobie z bronią. I mówię ci otwarcie, w twarz, że nie jesteś taką kopią, jakiej potrzeba na ostrzu tego klina. Ja będę jechał na ostrzu klina. Sir Raoulu, tuszę, że jesteś człowiekiem, który widział już przedtem bitwę. Pojedziesz o pół długości konia za mną po prawej. Johnie Chesterze, ta sama pozycja po mojej lewej. Za Johnem Chesterem Theoluf, i pamiętaj dobrze, Theolufie, że twoja tarcza ma ochraniać dwóch ludzi; nie tylko ciebie, ale i sir Jamesa!**

**–Nie obawiaj się, sir Brianie – powiedział szorstko giermek. – To ostatnia rzecz, o jakiej zapomnę.**

**–Jamesie, zajmiesz środkową pozycję, twój koń dokładnie za moim, a twoja kopia skierowana poziomo na lewo przez kłęb konia Johna Chestera – kontynuował Brian. – Tomie Sewerze, będziesz jechał po prawej stronie sir Jamesa, ty też pamiętaj, że ochraniaś nie tylko siebie, ale również jego, i pochylisz swoją kopię na prawo przez kłęb konia sir Raoula, więc kiedy nastąpi starcie...**

**–Chwileczkę! – rzucił Jim. – Co ty próbujesz ze mną zrobić, Brianie? Strzec mnie tak, jak się strzeże króla Francji? Jestem tu, by walczyć razem ze wszystkimi, gdyż każda kopia, jaką mamy, będzie potrzebna!**

**–Każda kopia oprócz twojej, Jamesie – powiedział rycerz zaciskając usta w wąską linię. – Oprócz twojej, Jamesie! Zważ, że jeśli stracimy ciebie, stracimy wszystko. Na**

co przyda nam się przedarcie do króla Francji, Malwinne'a i fałszywego księcia, jeśli nie będziemy cię mieć żywego, żebyś poradził sobie z Magiem i obnażył czary, które sprawiają, że fałszywy książę zdaje się tym, kim nie jest? Cały zamysł naszego ataku pójdzie na marne, jeśli zostaniesz zabity po drodze. Tak jak jest, nie wątpię, że znajdziesz dość zajęcia, nawet otoczony przez resztę nas!

Jim skrzywił się. Tego samego argumentu użył wobec księcia Edwarda zaledwie chwilę temu. Nie mógł się teraz z tym spierać. Co więcej, chcąc być szczerym sam przed sobą, pomyślał, że to właśnie był moment, w którym Brian powinien stać się dowódcą polowym i zacząć podejmować decyzje. Gdyby Giles był tutaj, także jechałby przed nim albo obok niego, i byłoby to na miejscu, zgodnie z tym, co Brian powiedział. Jim musiał przyznać, że rycerz miał rację. Ugryzł się w język i nie sprzeczał się więcej.

–Reszta was zna swoje pozycje z naszych ćwiczeń – mówił Brian. – Na miejsca, natychmiast. Ruszycie naprzód na mój sygnał, ale bądźcie gotowi na rozkaz sir Jamesa wyrzucić wszystkie gałązki, te przy was i przy waszych koniach. Niech nikt tego nie zaniedba, bo powieszę każdego, który nie wykona rozkazu. Jamesie, kiedy czas nadejdzie, najlepiej krzyknij. Kopyta koni i zbroje będą robić sporo hałasu. Nie wątpię, że nawet gdy będą tak jak teraz zainteresowani bitwą, król i stojący przy nim posłyszają nasze zbliżanie się i zrobią, co będą mogli, żeby odwrócić się i stawić nam czoło.

Jim szybko rzucił okiem na tył klina i zobaczył, że wszyscy za nim są już na miejscach, podobnie jak ci przed nim.

–Teraz! – krzyknął. – Wyrzućcie teraz wszystkie gałązki i liście, które macie przy sobie!

Sir Brian uśmiechnął się do niego przez ramię przelotnym, srogim uśmiechem. Potem znów zwrócił głowę do przodu.

–Naprzód! – krzyknął. – I trzymać się razem! Ruszyli tak jak pierwsza linia Francuzów, stępa, ale dużo prędzej przyśpieszyli do kłusa, galopu, a potem cwału. Gdy wyłonili się spomiędzy drzew, wśród świty królewskiej rozległ się okrzyk. Gdzieś z boku, w jedynym kierunku, w którym Jim mógł cokolwiek dobrze dostrzec, po obu krańcach angielskiej brony, nowe linie ludzi rozwinęły się do przodu w kierunku Francuzów. Stawali na nogi trzymając w rękach łuki i nowy grad strzał zmącił błękit nieba.

Przez chwilę król i jego świta zwracali uwagę tylko na to, co działo się przed nimi. Potem czyjeś ucho musiało pochwycić tętent kopyt za plecami, gdyż jakiś głos zakrzyknął ponad szmerem prowadzonych rozmów:

–Atakują nas!

Jim nie mógł wyraźnie dostrzec króla i jego rycerzy, gdyż przesłaniały ich ciała podnoszące się i opadające przed nim w rytm galopu koni. Parli całą mocą w kierunku celu i zdawało mu się, że strasznie dużo czasu zabiera im dotarcie do świty otaczającej króla Francji. Potem, nagle, byli już przy niej.

Miał doświadczenie wyniesione z walki z olbrzymem, kiedy był jeszcze w ciele smoka Gorbasha, pamiętał także wstrząs, jaki poczuł, kiedy z własnymi i sir Briana

zbrojnymi wjechał w hałasę oblegającą Zamek Smythe. Nic jednak nie przygotowało go na ten potężny wstrząs, który nastąpił, gdy ciężkozbrojni rycerze na ciężkich wierzchowcach zwarli się z podobnie uzbrojonymi ludźmi i końmi z prędkością dochodzącą do dwudziestu mil na godzinę.

Wstrząs był niewiarygodny. Jim czuł dosłownie, jak nim rzuciło o twardą wewnętrzną powierzchnię jego własnej zbroi. Konie, wskutek siły, z jaką się starli, stawały dęba rżąc i wałąc kopytami. Wstrząs, w jaki nie mógł uwierzyć, przeszedł przez kopię, którą trzymał, i patrzył teraz oniemiały na odlupaną jej połowę, która została mu w ręku.

Wjechali głęboko w oddział francuskich rycerzy, ale siła zderzenia rozbiła klin. Znalazł się twarzą w twarz z nieznanym w zbroi ze skośnymi czarnymi liniami wymalowanymi w poprzek górnej części przyłbicy i hełmu. Miecz Jima – nawet nie zdawał sobie sprawy, że go wyciągnął – tkwił w jego dłoni i zderzył się w powietrzu z mieczem tamtego. Pamiętał, żeby podnieść tarczę cofając miecz, tak że drugi cios przeciwnika uderzył w nią, pochylając Jima do tyłu w siodle.

Oddał uderzenie własnym mieczem, ale trafił tylko w puste powietrze. Rycerz z czarnymi pasami namalowanymi na hełmie spadł z siodła, twarzą naprzód, a pierzasty koniec strzały sterczał ze środka naplecznika jego zbroi. Przez chwilę przed Jimem nie było nikogo. Zobaczył, jak jeszcze dwóch rycerzy spada z siodła jakby za sprawą czarów, i zrozumiał, że strzały łuczników czyniły dokładnie to, co obiecywał Dafydd; oczyszczały im drogę.

Brian wciąż był przed nim prac naprzód i Jim podążył za nim. Nagle znaleźli się na wolnej przestrzeni, otoczeni przez własnych ludzi.

Koń Jima, konie Briana i Raoula szły mniej więcej równo. Na niewielkiej przestrzeni ujrzeli przed sobą stojącego rycerza, nieco niższego niż inni, w zbroi bogato inkrustowanej złotem, najwyraźniej już wysadzonego z siodła. Trzymał w dłoni miecz, ale nie miał tarczy. Drzewce francuskiej flagi, wetknięte w ziemię za nim, wciąż podtrzymywało w górze Kroczące Lwy i Lilie, które powoli falowały i marszczyły się na lekkim wietrze.

Jakimś cudem kopia Briana była jeszcze cała. Pochylił ją teraz w kierunku rycerza w bogatej zbroi.

–Poddaj się! – powiedział.

Ale sir Raoul zeskoczył już z konia i padł na kolana przed tym samym człowiekiem, w którego mierzył kopią Brian. Próbował ująć okrytą rękawicą dłoń rycerza i przycisnąć ją do ust odsłoniętych przez podniesienie przyłbicy.

–Miłościwy Panie! – powiedział. – Wybaczcie mi! Nigdy nie działałem przeciw wam, tylko przeciw Malvinne'owi.

–A kimże ty jesteś? – spytał rycerz w bogatej zbroi, podnosząc przyłbicę i spoglądając w dół na Raoula.

–Jestem synem tego, który był hrabią d'Avronne; który wiernie i lojalnie służył Waszej Królewskiej Mości, nawet po tym, jak ten arcyczarnoksiężnik Malvinne oskarżył go kłamliwie o zdradę i pozbawił tytułu i ziemi na swoją korzyść. Pomimo to, póki życia, służył Waszej Wysokości, podobnie jak i ja. Jedynym moim celem jest

uwolnić was od tej zmory, którą wspomniałem. Całe moje wojowanie było przeciw niemu! Wybaczcie mi, jeśli ta walka sprawiła, że zdałem się sprzymierzać przeciw wam, mój królu!

–Poddajcie się, Miłościwy Panie! – powiedział znów Brian. – Jesteście otoczeni. Nie macie szans na ucieczkę.

–Poddaję się zatem – król Francji spojrzał na klęczącego Raoula i podał mu miecz, który wciąż trzymał – lecz temu szlachcicowi, który klęczy teraz przede mną i który jest zacnym Francuzem, a nie jakiemuś Anglikowi. Poddaję się pod jednym warunkiem. Odwołaj tych diabelnych łuczników. Nie chcę, żeby ich nikczemne strzały położyły więcej moich zacnych parów i rycerzy.

–Dafyddzie! – krzyknął Jim przez ramię. – Powiedz łucznikom, żeby przestali strzelać!

Poświstywanie strzał ucichło. Z kolei król Jean podniósł głos.

–Podałem się! – krzyknął. – Wszyscy moi rycerze, złożcie broń i poddajcie się tak jak ja.

Brian zszedł z konia i także przyklęknął na jedno kolano przed królem Francji. Jim niezgrabnie zsiadł i poszedł za jego przykładem, dziwiąc się nieco samemu sobie. Przypomniał sobie, że nie potrafił zmusić się, żeby uklęknąć przed swoim własnym księciem Anglii. A tu klęczał przed francuskim królem. Być może ćwiczenie czyni mistrza?

–Wybaczcie także i nam, Wasza Wysokość – powiedział Brian. – Nie radujemy się z pojmania was. Ale to powinność względem naszego własnego króla skłania nas do tego.

Podniósł się z powrotem na nogi i Jim w związku z tym uznał, że może sobie pozwolić na to samo. Król Jean ujął dłoń sir Raoula i także podniósł go z klęczek.

–A teraz, skoro mnie pokonaliście, panowie – powiedział zdejmując hełm. Był miło wyglądającym mężczyzną w średnim wieku, łysiał, a włosy, które mu jeszcze zostały, posiwiały już. – Co macie zamiar ze mną zrobić?

Popatrzył na Briana.

–Tuszę, że ty dowodzisz tą bandą angielskich zbójów? Rycerz cofnął się o pół kroku.

–Nie ja, Wasza Miłość – rzekł otwarcie – lecz sir James Eckert, ten oto mąż koło mnie. Jego sława nie dotarła może do waszego kraju, ale w naszym zwany jest od swych czynów Smoczym Rycerzem.

–Tak – powiedział król, przenosząc spojrzenie na Jima i mierząc go wzrokiem od stóp do głów. Jim poczuł, że powinien zdjąć hełm, i zrobił to. – Pewne wieści o tobie, panie, dotarły nawet do naszych uszu. Widziałem czerwień na twojej tarczy. Więc jesteś także Magiem, nieprawdaż to?

–Początkującym Magiem, Wasza Wysokość – odpowiedział Jim. – Lecz w tym właśnie charakterze przybywam tutaj, gdyż moja sprawa dotyczy również Malwinne'a, waszego ministra.

–Początkujący Mag przeciwko Malwinne'owi? – zdziwił się król. – Gdzież w tym sens? Malwinne to potężny czarnoksiężnik. Inaczej nie wyniósłbym go na to wysokie

stanowisko, które zajmuje jako mój doradca. Wysyłanie pomniejszego angielskiego Maga, by radził sobie z nim, to nie tylko śmiechu warte, ale zakrawa również na afront wobec naszej królewskiej osoby. Przy okazji, gdzie jest Malvinne i angielski książę?

Król rozejrzał się dookoła.

–Tutaj właśnie – odpowiedziało pół tuzina głosów, które zdały się Jimowi znajome. Przerwał im inny, zjadliwy głos, który Jim słyszał już przedtem w zamku, gdy uwolnili młodego księcia.

–I ręce z daleka ode mnie, chyba że chcecie, żebym je wam pozamieniał w łapska trędowatych!

Malvinne wyszedł spomiędzy koni z księciem przy boku. Jimowi zaparło na chwilę dech w piersiach. Niemal nie mógł uwierzyć, że widzi przed sobą nie tego młodego człowieka, którego zostawił w ukryciu wśród kamieni tak niedawno temu. Ten, którego widział, nie tylko wyglądał jak książę Edward, ale b y ł księciem Edwardem w każdym szczególe, włącznie z ubraniem, sposobem chodzenia i wyrazem twarzy.

–Wycofałem się, żeby zanim się pokażę, zobaczyć, co się właściwie dzieje – powiedział czarnoksiężnik zмирzając w stronę króla w towarzystwie księcia. Wskazał palcem na Jima.

–Bezruch!

Jim nie stwierdził, by coś go zmuszało do stania bez ruchu. Żeby to udowodnić, ściągnął rękawicę i zatknął kciuk za pas od miecza. Odwzajemnił spojrzenie Maga.

–Bezruch mówiłem! – rzucił znów MaMnne trzymając palec w powietrzu. Oczy mu się rozszerzyły. – Czegoś się nauczył, żeby ten rozkaz cię nie dotykał?

–Ja go uczyniłem odpornym na wszystkie twoje moce – rozległ się suchy głos Carolinusa. On sam wyszedł z za Jima i stanął obok niego wśród pomruków zdziwienia ludzi skupionych dookoła.

–Ty?! – zdziwił się czarnoksiężnik piorunując wzrokiem Carolinusa. – Kim on jest dla ciebie?

–Moim uczniem, Śmierdzielu – odpowiedział Mag swobodnym tonem pogawędki. – Pamiętasz, jak robiliśmy sobie nawzajem drobne psikusy, kiedy byliśmy razem w szkole? Dawno cię nie widziałem, Śmierdzielu.

–Zachowaj dla siebie ten swój szkolny żargon! – obruszył się Malvinne. – Plus przy stopniu nie czyni między nami aż takiej różnicy.

–Ośmielam się nie zgodzić – powiedział Carolinus. – Ten plus może cię zniszczyć. Zwrócił się do Jima.

–Nie chciałeś, żeby prawdziwy książę był tutaj i to widział? – spytał.

–O co chodzi z tym prawdziwym księciem? – spytał król Jean. Ale zanim można było odpowiedzieć na to pytanie, zadał następne. Przyjrzał się czarodziejowi. – Czy naprawdę jesteś tym Carolinusem, o którym tyle się mówi? Są tacy, którzy twierdzą, że jesteś w tym samym wieku co Merlin. Co tutaj robisz z dala od swoich zaczarowanych wysp na zachodnim oceanie?

–Wprowadzono cię w błąd, Jeanie – odpowiedział Mag. – Merlin zniknął ze świata na wiele pokoleń, przed moim urodzeniem. I nie mieszkam na zaczarowanych

zachodnich wyspach, tylko w Anglii.

–W Anglii! – Król Jean uniósł brwi i spojrzał wyniośle. – A cóż skłoniło Maga twojej sławy, aby zamieszkać w Anglii?

–Fakt, że byłem Anglikiem, zanim zostałem Magiem – odpowiedział Carolinus. – Ale to nie ma nic do rzeczy.

Jeszcze raz zwrócił się do Jima.

–Książę? – spytał.

–Tak – powiedział Jim. Odwrócił się i spojrzał na stojących za nim. Oczy rozjaśniły mu się na widok Theolufa, który wciąż siedział na swoim koniu. – Theolufie, pojedź na zachód aż do miejsca, gdzie czekaliśmy na Jego Królewską Mość, około stu jardów stąd, potem skręć w prawo i jedź prosto dalej. Dojedziesz do zwalonych kamieni, które są wszystkim, co zostało z małej przydrożnej kaplicy. Znajdziesz tam oczekujących sir Gilesa i Jego Wysokość. Weź dwa dodatkowe konie; przyprowadź tu ich obu jak najszybciej!

–Natychmiast, milordzie – odrzekł giermek. Zawrócił konia i bez ceremonii kazał zsiąść z koni dwóm stojącym obok zbrojnym. Chwycił za wodze i ruszył przez tłum, który zrobił mu przejście. Miejsce, które się otworzyło wśród zgromadzonych widzów dramatu rozgrywającego się pod wielką flagą, szybko się zapełniło.

–Co to jest za książę? – spytał król Jean.

–Edward, następca tronu Anglii – odpowiedział szorstko Brian.

–Edward? – Król przeniósł spojrzenie z rycerza na księcia przy swoim boku, z powrotem na Briana i znów na księcia.

–Co za bezsens tu się jawi? – spytał Carolinusa. – Ty, ten młody Mag, gadanie o książętach?!

–Wszystkie pytania musisz zadawać sir Jamesowi Eckertowi – odrzekł czarodziej. Król Jean długo mu się przyglądał, ale Mag nie zmienił wyrazu twarzy ani się nie poruszył. Mógłby być wyrzeźbioną w drewnie figurą samego siebie.

–O co tu chodzi? – dopytywał się król, zwracając się do Malvinne'a.

–Miłościwy Panie – odpowiedział czarnoksiężnik – wszystko to spiszek przeciwko mnie. Nie mogę wam tego wyjaśnić, bo jest on magicznej natury.

–Ty, panie! – powiedział król, odwracając się do Jima. – Czy dasz mi jakąś ludzką odpowiedź? Co tu się knuje? Nalegam, żeby mnie objaśnić!

–Wkrótce się dowiecie, Miłościwy Panie – odparł Jim. – Musicie to raczej ujrzeć, niż usłyszeć.

–Spodziewam się – odrzekł Malvinne ze złośliwym grymasem ust i tonem głosu – że przedstawią jakiegoś oszusta i będą twierdzić, że to on jest księciem Anglii, a nie tu obecny młody człowiek, którego obaj znamy i poważamy.

–Coś w tym rodzaju – zgodził się Jim – ale niezupełnie tak samo.

–Sir Jamesie! – głos Theolufa dobiegał z niewielkiego oddalenia.

W chwilę później krąg widzów dookoła flagi rozstał się i przepuścił rozpędzonego konia, tak nagle i gwałtownie ściągniętego, że aż tańczył i musiał być mocno trzymany.

–Sir Jamesie, znalazłem kamienie i jeżeli książę tam jest, to go atakują!



**Napastnicy to rycerze tacy jak ci tutaj, z czarnymi paskami w poprzek hełmów, musi ich być z tuzin! Widziałem sir Gilesa, jak walczył przy wejściu do niewielkiej dziury wśród kamieni, ale wkrótce zostanie pokonany, chyba że pomoc dotrze doń niezwłocznie!**

## Rozdział 38

Hełmy z czarnymi paskami?! – krzyknął sir Raoul, wskakując na siodło swego konia. – To rycerze Malwinne'a, wysłani, żeby zabić księcia, prawdziwego księcia, zanim będzie mógł się tu pokazać! Śpieszmy, zanim pokonają sir Gilesa!

Wszyscy, popychając się, rzucili się do koni. Gilesa lubili nie tylko ludzie z jego własnej sfery, ale i zbrojni. Pod jego gwałtownością kryła się dobroć, którą sobie wszystkich zjednywał.

Brian mimo znacznego ciężaru swojej zbroi z rozbiegu wskoczył na konia, opierając jedną stopę w strzemieniu i przerzucając drugą ponad grzbietem. Zaczął zawracać konia, kiedy się opamiętał.

–Weź dwudziestu ludzi, Theolufie! – krzyknął. – Tylko dwudziestu. Cała reszta zostanie tu, by strzec rycerzy, którzy się poddali!

Powoli zsiadł z konia.

–Więc istnieje jakiś samozwaniec? – zapytał król Jean Malwinne'a.

–Z pewnością, Miłościwy Panie – odpowiedział Mag. – Choć rycerze moi mają rozkaz tylko go schwytać, nie zabijać. Jeżeli go znajdą. Trzymałem wieść o tym w sekrecie, gdyż nie chciałem zaprzętać głowy Miłościwego Pana tym, mimo wszystko, nieistotnym drobiazgiem. Gdy zostanie tu przyprowadzony, zobaczycie, że jest zupełnie niepodobny do naszego księcia.

–Sądzę, że okaże się coś wręcz przeciwnego – powiedział Jim. Prawie ku swojemu zdziwieniu poczuł, jak rodzi się w nim wściekłość na Malwinne'a. – Co do tego, że rycerzom kazano go tylko pojmać, to kłamstwo. Mogli go poszukiwać tylko w jednym celu, żeby go zabić i ukryć przed królem Jeanem wszelką wieść o nim.

–Nazywasz to, co mówię, kłamstwem?! – Czarnoksiężnik odwrócił się gwałtownie ku niemu, znów podnosząc palec. Potem, jakby przypominając sobie o nieskuteczności tego gestu, pozwolił ręce opaść wzdłuż boku. – Zobaczymy.

Oczekiwanie trwało może piętnaście czy dwadzieścia niespokojnych minut, w czasie których po obu stronach zajęto się rannymi z taką wprawą, jaką miał do zaoferowania jeden czternastowieczny żołnierz drugiemu. Król, Brian i wszyscy, którzy nie byli zajęci, z powrotem zwrócili swoją uwagę na pole bitwy.

Pierwsza chorągiew Francuzów, zaskoczona przez ukrytych łuczników, została wystrzelana do nogi. W ciągu zeszłego roku Jim wielokrotnie widział hak w użyciu i był świadom spustoszenia, jakie mogły posiać strzały. Nigdy przedtem nie widział jednak zmasowanego rezultatu strzelania przez setki łuczników naraz. Szeregi uzbrojonych rycerzy w pełnej szarży zostały po prostu starte w proch, ich siodła opróżnione, a konie wystrzelane. To, co na początku przypominało niemal niepokonany walec toczący się przez pole, zamieniło się w plątaninę bezładnych grup jeźdźców, którzy jeszcze przeżyli.

Jak się spodziewali Anglicy, taki widok to było już zbyt wiele dla francuskich wojowników oczekujących w drugim rzucie. Rycerze i konni zbrojni rozpoczęli szarżę na drugi koniec pola nie czekając na rozkaz, tak że nie tyle linia, co nieporządna banda zwała się w ten sam śmiercionośny ogień. Teraz zaatakowała także trzecia linia, a na jej spotkanie ruszyła szarża jazdy z angielskiej strony, tak że bitwa

rozpadła się na niezliczone grupki ścierających się i walczących w indywidualnych potyczkach ludzi.

W tej właśnie chwili wśród zbrojnych skupionych wokół króla rozległ się okrzyk; później pomiędzy Anglikami utworzyło się przejście i nadjechał Theoluf, a za nim książę z odkrytą głową, bez zbroi, z mieczem w pochwie u boku. Dotarł do króla Jeana i zgromadzonych wokół królewskiego sztandaru, po czym zeskoczył z siodła.

–Kuzynie – powiedział, zbliżając się z wyciągniętymi ramionami do króla i zwracając się do niego, jak monarchowie zwykli nazywać się nawzajem.

Król Jean cofnął się i skrzyżował ręce na piersi, tak że książę przystanął i opuścił ręce.

–A kimże to jesteś, panie? – zapytał król.

–Ja? – Młody człowiek wyniośle uniósł głowę. – A kim miałbym być? Jestem Edward Plantagenet, następca tronu Anglii, pierworodny syn Edwarda, króla Anglii. Kim ty jesteś, panie?

Król zignorował to pytanie.

–Zapewne – zwrócił się do stojącego obok Malvinne'a – jest wielce podobny do naszego księcia.

–Powiedzcie raczej, że wasz książę wielce przypomina tego oto naszego królewicza Edwarda – powiedział opryskliwie Brian.

–Zobaczmy – odezwał się czarnoksiężnik. Rzucił się naprzód i niemal dźgnął palcem w nos młodego

Edwarda.

–Bezruch! – nakazał.

Książę natychmiast znieruchomiał, co nie zostawiło nikomu wątpliwości, że czary Maga podziałały. Malvinne zaśmiał się i rzucił spojrzenie Carolinusowi.

–Tak myślałem! – powiedział. – Nie byłbyś w stanie zarzucić swego ochronnego płaszcza na wszystkich. Teraz ja władam tym, którego nazywacie księciem!

Carolinus nie odpowiedział. Był tak nieruchomy jak książę, choć coś w jego wyglądzie świadczyło, że mógłby się swobodnie ruszać, gdyby chciał. Ale się nie poruszył. Wyglądało to tak, jakby czarodziej stał i przyglądał się wszystkiemu, co się działo, a czarnoksiężnik nie istniał:

–Tymczasem – odezwał się Jim, podchodząc do swego konia i odczepiając manierkę – ustalmy, kto jest kim.

–Zatrzymajcie go! – krzyknął Malvinne. – Niesie w tej flaszce magiczny płyn! Nie pozwólcie mu zbliżyć się do prawdziwego księcia!

–To tylko woda – powiedział Jim. Podeszedł do króla Jeana, wyjął korek z butelki i wylał trochę jej zawartości na swoją dłoń. Podniósł ją, żeby król mógł powąchać.

–Czy czujecie jakiś zapach, Miłościwy Panie? – spytał. – Jak mówię, to zwykła woda.

–To zaczarowana woda! – krzyczał czarnoksiężnik. Jim zignorował go, podobnie jak Carolinus. Podeszedł do prawdziwego księcia.

–Wybaczcie mi, Wasza Wysokość – powiedział – ale to absolutnie konieczne. Chlusnął garścią wody na twarz Edwarda.

Książę nie mógł się ruszyć i żaden mięsień mu nie drgnął. Oczy jednak zabłyśły mu wściekłością, a z gardeł obecnych Anglików wyrwało się coś między jękiem a warknięciem. Wszyscy, jeźdźcy i piesi, ruszyli w kierunku Jima. Potem jednak przystanęli.

–Jeszcze raz wybaczcie mi, Wasza Wysokość – Jim ukłonił się. – Gdyby istniało jakieś inne wyjście, użyłbym go.

Odwrócił się i podszedł do drugiego księcia, który stał między królem a Malwinne'em. Czarnoksiężnik próbował zastąpić Jimowi drogę, ale Brian zrobił szybki krok do przodu i odciągnął Maga na bok. Zanim ten zdołał odwrócić się do rycerza i unieruchomić go i zanim król, który ruszył się z miejsca, mógł stanąć między Jimem a księciem, Jim chlusnął drugą garścią wody na twarz księciu Malwinne'a.

Wszystkim obecnym wyrwał się okrzyk zdumienia, nawet królowi Jeanowi, który cofnął się zaskoczony i zaklął.

Opryskana wodą twarz księcia wydała lekko syczący odgłos i choć rysy twarzy mu się nie zmieniły, to jakby się zbiegły. Usta stały się węższe, nos mniejszy, a oczy osadzone bliżej siebie.

Dopiero co oblany wodą książę zdawał się nie mieć o tym wszystkim pojęcia. Wciąż spoglądał na Jima wzrokiem kogoś, kto nic z tego nie rozumie.

Jim wziął otwartą manierkę i kilkoma szybkimi ruchami ramienia oblał jej zawartością księcia tak obficie, jak się dało.

Syczący i skwierczący dźwięk nasilił się. Twarz gwałtownie się skurczyła. Sama postać straciła swój kształt i zmalala tak, że ubranie wisiało teraz na niej luźno. Pod ubraniem książę wciąż się zmniejszał, choć woda już znikła.

Jim cofnął się. Na oczach wszystkich obecnych książę stojący między Malwinne'em a królem zmniejszał się i zmniejszał, aż zniknął zupełnie, i nie zostało zeń nic oprócz sterty ubrania na ziemi.

Carolinus raptownie poruszył się, odwracając na pięcie.

–Wydział Kontroli! – rzucił sucho.

–Jestem tu – odpowiedział z powietrza zaskakujący tubalny głos około czterech stóp ponad ziemią.

–Zanotujcie dokładnie – powiedział Carolinus – pytania i odpowiedzi, które za moment usłyszycie. Jamesie?

Jim spojrzął znad sterty ubrań na Maga. Mimo że wiedział wcześniej, jaki będzie skutek tego, co uczynił, widok ten wstrząsnął nim. Nic nie mógł poradzić na to, że czuł się, jakby popełnił morderstwo. Oczy jego napotkały oczy czarodzieja.

–Jamesie – zapytał Carolinus – czy woda, której użyłeś, była na pewno tylko wodą?

–Czystą wodą – odrzekł Jim. – Zacerpnałem jej ze strumienia kilka godzin temu. Sir Brian widział, jak wylewałem wino, które było w manierce, i zastąpiłem je wodą.

–Na rękę niebios, widziałem – potwierdził rycerz drżącym głosem.

–Czemu wylałeś wodę na fałszywego księcia? – spytał Mag.

–Bo – Jim musiał przełknąć ślinę – bo wiedziałem, że od tego się rozpuści.

Wiedziałem, że takie sztuczne twory muszą być uczynione czarami ze śniegu świeżo

sprowadzonego z gór.

–A kto ci powiedział, że takie rzeczy muszą być zrobione ze śniegu? – dopytywał się czarodziej. – Kto ci powiedział, że coś w ten sposób stworzone mogłoby się rozpuścić, gdybyś wylał na nie wodę, tak jak rozpuszcza się polany wodą śnieg?

–Wspomniano o tym – powiedział Jim – kilka razy w baśniach w mojej... w miejscu, z którego pochodzę.

–Wydział Kontroli, słyszeliście wszystko? – zapytał Carolinus.

–Słyszeliśmy – odpowiedział basem Wydział. Mag odprężył się, głos jego stał się niemal łagodny.

–Zatem to na razie wszystko – zakończył. – Jimie, chodź ze mną na bok, żebym mógł z tobą pomówić.

Odwrócił się nie patrząc na Malwinne'a, a Jim nie miał serca sam spojrzeć na drugiego Mistrza Magii. Chciał pójść za Carolinusem, gdy ludzie przed nim nagle poruszyli się. Ukazało się siedmiu zbrojnych. Nieśli kogoś na pogiętej tarczy, której użyto jako prowizorycznych noszy. Jeden człowiek podtrzymywał rannemu głowę, a dwóch trzymało nogi, które sięgały poza koniec tarczy. Zanieśli swoje brzemię na wolną przestrzeń niedaleko sztandaru i złożyli je delikatnie na ziemi.

–Gilesie! – krzyknął Jim.

I wtedy dwie rzeczy wydarzyły się naraz.

–Jesteś uwolniony – rozległ się niewidzialny tubalny głos tuż ponad ziemią, a nieduża postać w niebieskim kaftanie odepchnęła Jima na bok i padła na kolana obok mężczyzny spoczywającego na tarczy.

–Mój dzielny sir Giles! – Był to prawdziwy książę; płakał. – Jakże mam ci podziękować za to i wszystko inne, co zrobiłeś, żeby ratować moje życie i mój honor?

Twarz leżącego na noszach rycerza pozbawiona była kropli krwi. Poruszał wargami, lecz Jim nie słyszał nic z tego, co mówił. Książę ujął bezwładną dłoń i przycisnął ją do ust. Zbroja, którą Giles wciąż miał na sobie, była posiekana niemal na kawałki i zdawało się, że nie było takiej jej części, której nie plamiłaby krew. Theoluf padł na kolana po drugiej stronie rycerza i zaczął wilgotnym płótnem czyścić jego rany i powstrzymywać krwawienie.

W tej chwili nowe poruszenie w gęstym kręgu otaczających ich zbrojnych znów odwróciło uwagę rycerzy. Ludzie rozstąpili się prawie jak od uderzenia tarana. Przez utworzone przejście przejechało czterech rycerzy. Ich przywódca, wielki, krzepki mężczyzna, podjechał na koniu prawie do samej flagi. Tam zsiadł i zdjął hełm, ukazując okrągłą głowę z siwiejącymi włosami i krótko przyciętą szpakowatą brodę na kwadratowej grubokościstej twarzy. Ukłękł na jedno kolano przed królem Jeanem.

–Najjaśniejszy Panie – powiedział zupełnie ignorując Jima, Briana i pozostałych – wybaczcie mi, że nie byłem tu wcześniej, ale wieść o twoim osobistym poddaniu się jakiemuś Anglikowi dopiero co doszła do moich uszu. Jestem, za waszym pozwoleniem, Robert de Clifford, hrabia Cumberland i dowódca zgromadzonych tu angielskich wojsk. Pograżył nas w smutku fakt, że taki monarcha i rycerz jak wy został zmuszony do podobnego kroku, lecz stawia to nas wobec pytania, na które

musi się znaleźć odpowiedź. Skoro sami jesteście teraz więźniem Anglików, czy jesteście gotowi, jak powinniście wedle praw wojny, poddać pole wszystkich sił francuskich Anglikom jako od tej pory zwycięzcom?

–Wstań, hrabio Robercie – powiedział sucho król Jean. – To nieporozumienie. Poddałem się, ale nie komuś z twoich Anglików, tylko Francuzowi, obecnemu tutaj hrabiemu d'Avronne, i rozkazałem złożyć broń tylko rycerzom mojej osobistej straży. Nie widzę powodu, dla którego miałbym oddać pole, gdy bitwa jest jeszcze nie rozstrzygnięta.

Znów popatrzył, jak i wszyscy inni, na pole bitwy. Rzeczywiście, jej losy wciąż się ważyły. Gdzie okiem sięgnąć trwały potyczki pomiędzy grupami i pojedynczymi wojownikami. Nie było jednak w tej walce spoistości i bitwa nie miała wyraźnie zarysowanej linii po żadnej stronie. Nie można było stwierdzić, kto wygrywa, poza przypadkami poszczególnych pojedynków.

Hrabia Cumberland, który tymczasem się podniósł, miał pochmurną minę.

–Z pewnością, Miłościwy Panie, nie możecie widzieć żadnej korzyści w tym, żeby bitwa dalej trwała – powiedział – ponieważ może się to skończyć śmiercią wielu Francuzów.

–I waszych Anglików, hrabio Robercie – rzekł król Jean. – Kto w tej chwili może powiedzieć, który z nas straci więcej ludzi? Czy na którą stronę przechyli się ostatecznie szala zwycięstwa? W końcu jedna bądź druga strona musi zepchnąć przeciwnika z pola. Do tej pory nie zdarzyło się to. Nie wiem jak wy, Anglicy, ale my, Francuzi, nie jesteśmy skłonni oddawać pola, gdy sprawy jeszcze się nie rozstrzygnęły.

–Ależ, Najjaśniejszy Panie... – mówił dalej hrabia Robert, kiedy niespodziewanie znów mu przerwano.

Pojawiła się bowiem bardzo atrakcyjna młoda dama, odziana w powiewną i przejrzystą zieloną szatę. Dama ta leciutko przebiegła przejściem, utworzonym przez żołnierzy dla hrabiego Cumberlanda, do grupy pod sztandarem. Niestety, Jim natychmiast zorientował się, że od piękności tej damy ważniejszy jest fakt, iż imię jej brzmi Meluzyna. I że zmierza prosto do niego.

Chciał się jej wymknąć, ale złapała go i otoczyła ramionami.

–O, mój ukochany! – zawołała. – Nareszcie cię odnalazłam. Jak mogłeś pomyśleć, że pozwoliłabym uciec od siebie komuś tak pięknemu! Wracamy natychmiast do mojego jeziora! Jesteś mój!

–Nie, nie jest – powiedział Carolinus. – Nie możesz go mieć.

Meluzyna odwróciła się w kierunku głosu, a oczy jej błyszczały gniewem, jednak nagle złagodniały na widok tego, z kim stanęła twarzą w twarz. Dygnęła.

–Magu – odezwała się, niemalże gruchając – to taki zaszczyt ujrzeć cię. Ty sam jesteś piękny. Ale wiem, że jesteś poza moim zasięgiem. Czemu nie mogłabym mieć mojego Jamesa?

–Dla tej samej przyczyny, dla której nie możesz mieć mnie – odpowiedział jej czarodziej. – On także jest Magiem.

–Magiem!

Meluzyna otworzyła szeroko oczy, opuściła ramiona obejmujące talię Jamesa i cofnęła się patrząc na niego.

–I przez cały ten czas nic mi nie powiedziałeś, Jamesie! Jak mogłeś mi to zrobić?

–No, cóż... – zaczął Jim, nie wiedząc doprawdy, co powiedzieć.

Meluzyna zaczęła popłakiwać cichutko w powiewną zieloną chusteczkę, którą wydobyła skądś ze swojej szaty.

–Tak mnie zwodzić, po to tylko, żeby kazać mi okrutnie się rozczarować! – łkała. – Jak mogłeś, Jamesie!

–No, cóż... – zaczął jeszcze raz Jim bezradnie.

–A, co tam – niemal dziarsko Meluzyna otarła oczy i chusteczka znikła. – Zawsze w ten sposób cierpiałam. Zdaje się, że muszę poszukać nowej miłości. Och, co za prześliczny mały człowieczek. Wezmę cię. I nigdy cię nie opuszczę!

Rzuciła się naprzód i objęła króla Jeana za napierśnik.

–Jego też nie możesz mieć – powiedział Carolinus.

–Czemu nie? – odęła wargi Meluzyna, wciąż trzymając króla w mocnym uścisku.

–Bo jestem królem, na Mękę Pańską! – wybuchnął z gniewem Jean. – Jako król i pomazaniec jestem poza wszelką Magią i sposobami takich nienaturalnych stworzeń jak ty!

–Naprawdę?

W oczach Meluzyny znów pokazały się łzy. Puściła króla. Znów pojawiła się chusteczka.

–Dwa razy tak się rozczarować! – Płakała w nią. – A ty jesteś nawet piękniejszy niż James. Zawsze będę cię kochać, mój królu. Ale skoro ty też nie jesteś dla mnie...

Rozejrzała się wokół i spojrzenie jej padło na Gilesa, przy którego boku klęczał Theoluf, próbując opatrzyć jego liczne rany kawałkami koszul, które podawali mu stojący dookoła zbrojni.

–Och, biedactwo! – wykrzyknęła podbiegając i klękając przy drugim boku rycerza. – Jest poraniony. Uleczę go!

–Czy potrafisz pani stwarzać ludzką krew? – zapytał szorstko Theoluf. – Żadna z ran nie wystarczy, by go zabić. Ma jednak tak wiele tych drobnych ran, że stracił prawie całą krew i traci prędko tę resztę, co mu jeszcze została, bo nie mogę powstrzymać krwawienia.

–Stwarzać ludzką krew? – powtórzyła zakłopotana Meluzyna. – Niestety, to jedyna rzecz, której nikt oprócz samego człowieka nie może dla niego zrobić.

–Nie dziwota, że tak krwawi – powiedział burkliwie giermek. – Naliczyłem sześciu martwych rycerzy z czarnymi znakami na przyłbicach przed tą dziurą, w której ukrył się książę.

–Czy nie mógłbyś przynajmniej przenieść go do cienia? – spytała Meluzyna.

–Chociaż tyle mogę zrobić – rzekł Theoluf. – Dobrze pomyślane, pani.

Podniósł się i zaczął wybierać zbrojnych do niesienia noszy spośród stojących poza nim, a Meluzyna pochyliła się nad Gilesem.

–Ach, jakie to smutne – zawodziła. – Jesteś taki młody i piękny. I mam takie dziwne uczucie, że mamy w sobie coś podobnego.

Wargi Gilesa poruszyły się. Nikt inny nie słyszał, co właściwie odpowiedział, ale Meluzyna najwyraźniej go usłyszała.

–Ależ twój nos jest przepiękny! – zakrzyknęła. – Nigdy nie widziałam tak wspaniałego nosa! Była to pierwsza rzecz, którą zauważyłam spojrzawszy na ciebie. Och, jest zachwycający. Mogłabym go zaraz zjeść! Pochyliła się obsypując jego nos pocałunkami.

–Podnieście go teraz, ostrożnie! – powiedział Theoluf, wracając z ludźmi, których wybrał. – Zaniesiemy go w cień tego drzewa po tamtej stronie.

Dźwignęli do góry ostrożnie, jak im kazał. Inni zbrojni zrobili im przejście. Odeszli w cień drzewa, a Meluzyna podążyła za nimi.

Tymczasem Jim stał z boku, przysłuchując się, jak hrabia Cumberland negocjuje z królem Jeanem. Mimo swojej potężnej budowy hrabia okazał się zadziwiająco przebiegłym negocjatorem. Jego argumenty już prawie ostatecznie przekonały króla, że pozwalając, by bitwa trwała dalej, nic nie mógł zyskać, a choć koszt poddania się mógł być wysoki, to było to czymś, co można by przedyskutować nieco później w lepszych warunkach. Tymczasem kwestią zdrowego rozsądku było zachowanie francuskich wielmożów od śmierci lub tego rodzaju poważnych ran, które w tych czasach łatwo mogły śmierć sprowadzić; zachowanie ich dla przyszłego pożytku przeciw Anglikom.

Właśnie wtedy Jim zauważył księcia stojącego przy hrabi i nie odwracającego stanowczego spojrzenia od tego szlachcica. Twarz księcia coraz bardziej przypominała burzową chmurę, która zrodzi za chwilę tornado. Jim ruszył pośpiesznie, żeby zrobić co się da dla uniknięcia pełnych rozmiarów eksplozji.

Przerwał hrabiemu.

–Wybacz mi, milordzie – powiedział – ale sądzę, że Jego Wysokość księżę życzyłby sobie zamienić z tobą słówko.

Hrabia odwrócił powoli głowę i spojrzał na Edwarda, którego obecności nie mógł być przecież nieświadom przez cały ten czas.

–Słucham, Wasza Wysokość? – spytał chłodno.

–A więc wiesz jednak, kim jestem, panie? – rzucił księżę.

–Znam was jako naszego następcę tronu – odpowiedział wciąż chłodno hrabia. – Chociaż poinformowano mnie, że odwróciliście się ostatnio od Anglików i kraju swego urodzenia, by ofiarować swoje wsparcie Francuzom przeciw wszystkiemu, co angielskie, i mogło się zdarzyć, że w tym czasie zyskaliście sobie inny tytuł.

–Bezczelność! – warknął księżę. – Na kolana przede mną, milordzie, albo każę ci głowę ściąć za karę, że nie uczyniłeś tego wcześniej. A mam przy sobie ludzi, którzy wykonają dla mnie to zadanie, jeśli tak im rozkażę. – Obejrzał się za siebie. – Czy nie tak?

Zbrojni dookoła niego wydali nagły okrzyk z głębi piersi. Jak zorientował się Jim, nic lepiej nie odpowiadałoby ich obecnemu nastrojowi niż ścięcie głowy jakiemuś hrabiemu na rozkaz ich prawowitego księcia.

Hrabia przybył tylko z trzema towarzyszami. Osunął się więc niezwłocznie na kolana.



–Spójrz w prawo, milordzie – ciągnął książę metalicznym głosem. – Widzisz stertę przyodziewku, który cokolwiek przypomina ten, który mam na sobie? Ubrany był weń, jeszcze przed nieodległą chwilą, fałszywy książę, stworzony ze śniegu za pomocą czarów przez złego czarnoksiężnika, który stoi za tobą i za królem Francji, jak widzę. To on dał pożywkę kłamliwej opowieści, jakobym dołączył do Francuzów. Jakże mógłbym opuścić Anglię, skoro sam jestem Anglią? Powiesz mi, że uwierzyłeś w takie kłamstwa?

–Nie powiem, że uwierzyłem w to całym sercem, Wasza Wysokość – odrzekł hrabia. Twarz mu pobladła, ale głos miał dość pewny. – Lecz doszły nas nie tylko opowieści, ale i świadectwa ludzi godnych szacunku, którzy widzieli, aczkolwiek z pewnej odległości, jak jechaliście swobodnie w kompanii Francuzów, uzbrojeni i wyglądający pod każdym względem jak jeden z nich. Niełatwo mi było dać wiarę czemuś takiemu. Ale będąc tylko człowiekiem, wahałem się. Sire, przyznaję się otwarcie do tego wahania, które ogarnęło wielu Anglików na tej wyprawie. Jeśli to wina, za którą powinienem dać głowę, to moja głowa należy do was.

–Prawda – powiedział książę trochę spokojniej. – Zostałeś zapewne nie mniej omamiony niż inni. A w istocie można rzec, że ten magiczny uzurpator był tak wierną kopią mnie samego, że trudno mi było uwierzyć, iż nie patrzę w zwierciadło i nie widzę własnego odbicia. Więc jak uważasz teraz? Czy mam dalej udowadniać ci, milordzie, kim jestem? Czy mam wziąć konia i ruszyć przeciw Francuzom tam na polu? Jeśli tak, to stoi za mną przynajmniej kilku ludzi, którzy pójdą w moje ślady. – Odwrócił głowę przez ramię. – Czyż nie tak? – wezwał rycerzy i zbrojnych. – Czyż nie tak? – powtórzył.

Odpowiedział mu żarliwy okrzyk, głębszy i mocniejszy niż poprzedni.

–Skoro tak jest – kontynuował książę – to czy wątpisz, milordzie, że gdybym ruszył na czele tych ludzi, krzycząc „Saint George-Guienne”, i zaatakował pierwszego Francuza, jakiego zobaczę, to wszyscy obecni tam Anglicy, którzy mnie dostrzegą, zbiorą się w końcu wkoło mnie, by walczyć przy mym boku? Pytam cię.

–Wasza Wysokość – powiedział hrabia z głęboką szczerością – sam byłbym wśród pierwszych, którzy poszliby za warni!

Książę przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. Potem się odprężył.

–Podnieś się, milordzie – rzekł. – Przyjmuję, że jesteś moim i mojego ojca wiernym i lojalnym wasalem. Lecz nigdy więcej nie dawaj mi powodów, by w ciebie wątpić.

–Tego nie zrobię – powiedział hrabia – póki żyję. Z powrotem wstał.

–Cieszy mnie, że to słyszę – zakończył książę. – Skoro wyjaśniliśmy już tę kwestię, możesz dalej dyskutować nad warunkami kapitulacji z naszym kuzynem królem Francji. Będę się przysłuchiwał, ale negocjacje pozostawiam tobie, gdyż, przyznaję, masz więcej w tym doświadczenia, milordzie. Po drugie, dlatego że stanowić to będzie większą gwarancję, iż bitwa zostanie zakończona najszybciej, jak można.

–Obawiam się, że się mylicie, kuzynie – powiedział król Jean. – W żadnym punkcie naszej dysputy nie zgodziłem się na to, byśmy my, Francuzi, poddali się. Albo

**będziemy toczyć dalej bitwę, jak przystało ludziom honoru, albo zaofiarujemy Anglikom tak lekkie warunki, że nie będzie w ich przyjęciu hańby. Widzę, jak marszczycie brew, młody kuzynie. Zaraz mi przypomnicie, iż jestem waszym osobistym więźniem. Pozwólcie, że skończę z tym teraz, raz na zawsze. Możecie kazać uciąć mi głowę, zamiast głowy hrabiego Cumberlanda, a nie wydam moim Francuzom rozkazu poddania walki, której jeszcze nie przegrali.**

**–W takim razie – zdecydował książę – nie mam wyboru. Konia dla mnie! Konia! Hej tam!**

**Najbliższy zbrojny zsunął się z konia i podprowadził zwierzę do księcia. Przyklęknął na jedno kolano i podał mu wodze. Książę wziął je i skoczył na siodło.**

**–Nie zostawiacie mi wyboru, kuzynie – powtórzył książę. – Od pewnego czasu wygląda mi na to, że szansę tej bitwy są bardzo zrównoważone. Zdarzyć się może, że obrócą się na korzyść Anglików, jeśli wyjadę na pole bitwy. Więc tak zrobię, i Francuzi będą mieli okazję przekonać się, czy uda im się odnieść zwycięstwo!**

**Obejrzał się znów przez ramię na pozostałych jeźdźców.**

**–Wszyscy za mną! – rozkazał, dobywając miecza z pochwy. Wzniósł go w górę i zawrócił konia w kierunku pola bitwy.**

## Rozdział 39

Czekajcie! – krzyknął król Jean. Wyraz twarzy nie zmienił mu się, ale stojącemu blisko niego Jimowi zdało się, że widzi lekki połysk na królewskim czole, który mógł oznaczać ślad potu. – Czekajcie, młody kuzynie! Szanuję waszą chęć poprowadzenia Anglików do zwycięstwa. Zastanówcie się jednak chwilę. Wielu zacnych rycerzy po obu stronach umrze, jeśli ruszycie, gdyż z pewnością i Anglicy, i Francuzi walczyć będą do ostatniej kropli krwi, skoro tylko ujrzą was na polu, w środku bitwy...

Fakt, że dokładnie tych samych argumentów używał przedtem hrabia wobec króla, zdawał się nie przeszkadzać królowi w użyciu ich teraz wobec księcia.

–Zważcie, kuzynie – kontynuował król Jean – dla wielu spraw ten dzień potoczył się na opak. Nie ryzykujemy nagromadzenia błędu na błędzie. Sprawę tę niezawodnie należy przedyskutować. Jeśli to wystarczy, by powstrzymać was, księżę, z dala od pola, to gotów jestem dyskutować nie tylko o poddaniu się Anglików Francuzom, ale i o możliwości poddania się Francuzów Anglikom. Choć podsuwam to jedynie jako temat do dyskusji, sami rozumiecie.

–Wasza Wysokość? – powiedział hrabia Cumberland prędko i z nadzieją w głosie. Przez chwilę księżę siedział w milczeniu na swoim koniu, najwyraźniej głęboko się namyślając. Potem spojrzał prosto na hrabiego.

–Milordzie – powiedział – jesteś doświadczony w takich sprawach. Czy radziłbyś, abym odłożył mój wyjazd w pole, podczas gdy wy porozmawiacie jeszcze chwilę dłużej?

–Radziłbym, Wasza Wysokość – odrzekł prędko hrabia. – Radziłbym, z całym przekonaniem. Nie widzę w tym żadnego dyshonoru i myślę o waszym znaczeniu dla Anglii nie tylko teraz, ale i w przyszłości, w razie gdyby spotkać was miał jakiś wypadek na polu bitwy.

–Strach o samego siebie nie powstrzymałby mnie przed ruszeniem w pole! – Księżę popatrzył gniewnie.

–Nie, nie, jestem pewien, że Wasza Wysokość nie zrobiłby tego – rzekł pośpiesznie hrabia. – Jednakże zalecałbym i radził usilnie, żebyśmy porozmawiali jeszcze z Jego Królewską Mością Francji.

Edward zsiadł z konia.

–Dobrze – powiedział. – Pójdę za twą radą. Zatem diskutujcie dalej. Będę się uważnie przysłuchiwał.

Podszedł i stanął jako trzeci obok hrabiego i króla.

Od tej chwili, również dla przysłuchującego się z boku Jima, rozmowy przybrały całkiem nowy obrót. Od razu sprawą oczywistą stało się, że zarówno hrabia, jak i król próbowali znaleźć jakieś wyjście, w którym żadna ze stron nie byłaby przegrana ani wygrana. Najwyraźniej problem leżał w znalezieniu właściwych słów, które by do tego rozwiązania pasowały, gdyż wszelkie dyskusje tego rodzaju z reguły ściśle trzymały się określeń „wygrana” – „przegrana”, gdzie tylko jedna strona była zwycięska, a druga zwyciężona.

Wyglądało to prawie tak, jakby zadanie postawione Jimowi przez Carolinusa rozwiązywało się samo. Było to niespodzianką, gdyż Jim nigdy przedtem nie

pomyślał o psychologicznych skutkach poprowadzenia Anglików przez ich młodego księcia do walki na pole bitwy ze względnie podobną liczbą Francuzów, którzy jeszcze zostali. Anglików naturalnie ogromnie podniosłaby na duchu obecność księcia jasno opowiadającego się po ich stronie. Francuzi z kolei niechybnie poczuli się opuszczeni w krytycznej chwili, gdyż ich as w rękawie, jakim był książę opowiadający się po ich stronie, już nie istniał.

Był to ten czynnik psychologiczny, który mógł zmienić wynik bitwy, i najwyraźniej nie tylko książę i hrabia, ale i sam król Jean zdawali sobie z tego sprawę.

Tymczasem usiłowano znaleźć w dyskusji stosowne słowa, by opisać odpowiednie dla obu stron rozwiązanie. Trudno było po prostu ogłosić rozejm, gdyż nie istniały tu zwykłe warunki, w których rozejm ogłaszano, czyli te, w których dwie armie nie wypróbowały jeszcze swych sił, co mogłoby usprawiedliwić ugodę. W chwili obecnej właśnie odbywało się owo próbowanie sił.

Ostatecznym rozwiązaniem, co do którego się zgodzono, było natychmiastowe, choć tymczasowe, zawieszenie broni. W teorii miały po nim nastąpić rozmowy, ale ustalenie tego, kto właściwie wygrał, odkładano by i odkładano, aż bitwa przeszłaby do zamierzchłej historii. To rozwiązanie z pewnością odpowiadało królowi Jeanowi i hrabiemu i zdawało się nie wywoływać sprzeciwu księcia.

Zgodzono się zatem na nie. Niestety ugoda spowodowała powstanie pewnej zawilej kwestii – jak mianowicie ogłosić zawieszenie broni i zmusić obie armie do zaprzestania walki.

Procedura była jasna. Należało rozesłać po polu królewskich trębaczy i ogłosić przez francuskich i angielskich heroldów, że zostało zawarte bezzwłoczne zawieszenie broni, gdyż młody następca tronu Anglii został przywrócony stronie angielskiej i trzeba uzgodnić pewne dyplomatyczne szczegóły, zanim sprawa będzie znów mogła zostać rozstrzygnięta przez bitwę. Fakt, iż nikt nie miał zamiaru rozstrzygać tej sprawy w ponownej bitwie, przynajmniej nikt z tych, którzy w tej chwili ugodę zawierali, zostałby przemilczany.

Kłopot wynikał z tego, co przewidzieli wszyscy, oprócz Jima, że łatwiej było to powiedzieć, niż zrobić.

–Ale na czym polega problem? – Jim spytał Briana na ucho, żeby nikt inny nie pochwycił pytania.

Brian odwrócił głowę tak, żeby jego odpowiedzi również nie słyszano.

–Rycerze nie zawsze zaprzestają walki tylko dlatego, że im się każe – powiedział. – Rozkaz może ich powstrzymać od ruszenia do walki, póki nie przyjdzie na to pora, ale skoro już zaczną, nie przestają tak łatwo. Nie przestają zwłaszcza, jeśli jedna czy druga strona czuje, że wygrywa, i jeszcze tylko niewielki wysiłek, a będzie mieć w rękę zwycięstwo.

Jim był zmuszony w to uwierzyć, gdy tak stał i patrzył, jak król Jean i hrabia wysyłali posłańców do królewskich heroldów obu stron, by roznieśli po polu wieści o zawieszeniu broni. Zaczął rozumieć, co Brian mógł mieć na myśli.

I rzeczywiście to, co powiedział rycerz, okazało się aż nazbyt prawdziwe. Heroldowie galopowali z jednego krańca pola na drugi, dmąc w trąby i wykrzykując

obwieszczenia po angielsku i po francusku. Jednak rycerze wciąż gorąco zajęci walką wykazywali zupełny brak reakcji.

Powoli Jim zaczął i to pojmować. Taki średniowieczny rycerz nie po to szedł na wojnę, żeby przerywać walkę. Szedł na wojnę wygrywać bitwy i zabijać ludzi. Być może także, ale tylko być może, żeby samemu zginąć. Zdarzyć się mogło, jeśli fortuna mu nie poszczęściła, że walkę przegrywał. Ale nigdy nie wybierał się na wojnę, żeby nagle przestać wojować. To fakt, ci rycerze bezwstydnie lubili walczyć. Słyszał ich narzekania przez całą zimę, nawet w czasie wielu uczt, w jakich wziął udział, a które wydawał każdy spośród szlachty, kto miał zamek i sień dość duże, żeby przyjmować gości. Zima była porą niecierpliwego zabijania czasu, dopóki nadejście wiosny nie umożliwiło jedynej rzeczy, która czyniła życie coś wartym – walki.

Słyszał niejednokrotnie od wielu mężczyzn szlacheckiego stanu, że da się zjeść tylko pewną liczbą posiłków, wypić tylko pewną ilość wina i zabawić się tylko z pewną liczbą godnych tego kobiet. Wszystkim tym człowiek dość prędko się nużył, a potem zostawało mu tylko kręcić młynka palcami, aż wreszcie zniknął z ziemi śnieg i można było podjąć prawdziwe zajęcia stanu rycerskiego.

–Jamesie.

Jim odwrócił się i stanął naprzeciw Carolinusa. Nagle poczuł się głupio. Przypomniał sobie, że parę minut temu Mag mówił mu, iż chce z nim porozmawiać na osobności, a on w nawale wydarzeń zupełnie o tym zapomniał.

–Chodź ze mną – powiedział czarodziej. – Nikt nie zauważy, że odchodzisz, oprócz Malvinne'a. A on i tak spodziewa się, że odejdziemy i porozmawiamy.

Carolinus odwrócił się, nie czekając na odpowiedź, i przepchnął się przez zbrojnych. Jim poszedł za nim. Z zaciekawieniem zauważył, że choć żaden ze zbrojnych nie wydawał się świadomy ich obecności ani też umyślnie ustępować im z drogi, to wielu z nich robiło im trochę miejsca, poszerzając przejście dla Maga. Wysunęli się na zewnątrz kręgu i odeszli kawałek między drzewa, na tyle daleko, że nie widzieli stojących na polanie ludzi i nie słyszeli ich rozmów.

U stóp wielkiego drzewa, które ocieniało ich przed jasnymi promieniami słońca stojącego w zenicie, czarodziej zatrzymał się i stanął twarzą do Jima. Jim także przystanął i spotkali się oczyma.

–Będziesz musiał zdecydować, co zrobić z Malvinne'em, Jamesie – powiedział Carolinus. – Czas już, żebyś podjął decyzję.

–Zrobić? – zdziwił się Jim. – Sprawy zdają się nieźle układać. Już po jego fałszywym księciu, osiągnięto też porozumienie między hrabią a królem Jeanem. Teraz to tylko kwestia powstrzymania żołnierzy na polu od walki.

–Jak zauważyłeś – rzekł sucho Mag – sprawa nie rozwiązuje się sama zbyt dobrze.

–Nie – przyznał Jim – ale wydaje mi się, że Malvinne już się teraz właściwie nie liczy.

–Tak, nie liczy się w zwykłym, doczesnym sensie – powiedział czarodziej. – Pozostaje pytanie, co z nim zrobić, jeśli chodzi o Królestwo Magii.

–Ale decydowanie, co z nim zrobić, to nie mój obowiązek, prawda? – spytał Jim, czując się bardzo niezręcznie. – Z pewnością są inni ludzie czy inne reguły, czy coś podobnego, co zajmie się nim.

–Są w pewnym sensie – powiedział Carolinus. – Przede wszystkim Wydział Kontroli. Jednakże to, co robi Wydział Kontroli, zależy od działań, jakie ty zdecydujesz się przedsięwziąć.

–Dlaczego? Jakie działania powinienem przedsięwziąć? – zapytał Jim.

–To, jak mówię, jest coś, o czym sam musisz zdecydować – odpowiedział czarodziej. – Nie więcej mogę ci w tym teraz pomóc, niż mogłem to wcześniej. Malwinne musiał zostać powstrzymany i wezwany do rozliczenia się i to nie przez takiego Maga jak ja, ale przez kogoś takiego jak ty, o znacznie mniejszej randze. To część reguł, które rządzą wszystkimi zajmującymi się Magią. Ma to źródło w potrzebie stworzenia systemu, który powstrzymywałby potężnych Magów od walki między sobą, co mogłoby stworzyć niebezpieczeństwo dla innych królestw leżących w tym świecie, oraz przestrzeni ponad nim i poniżej jego powierzchni. Część z tego mogłem ci wyjaśnić. Przeprowadziłem cię tu, żeby dokładnie ci powiedzieć, jak wygląda twoje obecne położenie.

–Więc mów – powiedział Jim.

–Proszę bardzo – rzekł Carolinus. – Po pierwsze, powinieneś zrozumieć, że spośród wszystkich Magów tego świata jesteś jedynym przedstawicielem naszego rzemiosła i sztuki, który miał możliwość w jakikolwiek sposób poradzić sobie z Malwinne'em. Jak mówiłem, trzeba było, aby do upadku doprowadził go podrzędny Mag. Ale z założenia, żadnemu podrzédnemu Magowi nie mogło się to udać. Wyjątkiem od tej reguły był Mag podrzędny, który otrzymał wykształcenie, jakiego nie miał żaden inny Mag w tym świecie, zwłaszcza wykształcenie w czymś, co nazywasz tym jakimś imieniem, a co całkowicie ukształtowało twój świat z przyszłości w miejscu, z którego pochodzisz.

Jim zaczął rozumieć.

–Chcesz powiedzieć w technologii? – zapytał.

–Jeśli tak to się nazywa, to owszem – odpowiedział czarodziej. – Było to potrzebne, ponieważ nie wolno mi było w żaden sposób ci pomagać, włącznie z tym, że nie mogłem nauczyć cię rzeczy, które trzeba ci było wiedzieć, żeby przetrwać to, co Malwinne mógł ci zgotować w zakresie Magii. Co więcej, nie wiedziałem, czym mógłby w ciebie uderzyć, a żeby cię ochronić przeciwko wszelkim możliwościom, musiałbym nauczyć cię dość, aby cię wznieść do rangi równej jemu. Nawet gdyby było to dozwolone, nie mielibyśmy czasu. Sama nauka zajęłaby lata.

–Ale jak się do tego ma technologia? – spytał Jim.

–Ponieważ z tą swoją szczególną przeszłością, sam mogłeś się nauczyć, w sposób niemożliwy dla jakiegokolwiek adepta Magii w tym świecie – powiedział Carolinus dziwnie cierpliwym głosem. – Po pierwsze, nie jesteś związany przez nieświadome nawyki i odruchy, jakich nabywają ludzie dorastający w tym świecie, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że je posiadają. Wiele lat studiów nad Magią zajmuje oduczenie się nawyków i odruchów, zanim można przejść na wyższe

poziomy. Na przykład jedną z rzeczy, której oduczenie się zajmuje młodemu Magowi zwykle całe lata, jest niezaprzeczone poczucie grozy, gdy chodzi o działanie Magii i inne sprawy, jak: umiejętności Pierwotnych, takich jak Meluzyna, czy moce Króla i Królowej Umarłych wewnątrz ich królestwa.

–Nie wiedziałem o tym – powiedział Jim. – Dlaczego ja akurat jestem od tego wolny?

–Dlatego – odpowiedział Mag – że ty, ze względu na swoją znajomość rzeczy, którą nazywasz technologią, jesteś przyzwyczajony do radzenia sobie z sytuacjami czy też przyrządami takimi, które umożliwiają ci doświadczanie niezwykłych przeżyć lub zdarzeń, a których bezpośredniego działania nie rozumiesz wprost. W twoim świecie są inni ludzie, którzy rozumieją, czemu takie rzeczy działają, i mogą nawet to wyjaśnić, ale tobie zupełnie wystarczy przyjąć ich działanie na wiarę. W rzeczywistości twój stosunek do nich jest bardzo powszedni. Traktujesz je, mimo cudów, jakie czynią, jak nie bardziej niezwykle niż łopata czy topór.

–Tak sądzisz? – zapytał Jim. Trudno mu było w to uwierzyć. Potem pomyślał o samochodach i telewizorach.

–Dam ci przykład – rzekł czarodziej. – Kiedy opuszczałeś te dwa smoki, do których zostałeś pokierowany, jeden z nich specjalnie wysłał cię obok jeziora Meluzyny, żeby mogła cię złapać w pułapkę i utopić.

–Tak – zamyślił się Jim. – Ale czemu to ma być przykładem, że jestem inny?

–Dlatego – odparł Carolinus – że ze względu na pewną liczbę czynników zależących od wczesnego uwarunkowania w tym świecie, raz już będąc w smoczej skórze, młody Mag taki jak ty nigdy by się nie zamienił z powrotem w człowieka tylko dlatego, że mu było niewygodnie. Z twojego punktu widzenia była to jednak rzecz naturalna. W rezultacie do jeziora podszedłeś jako człowiek i Meluzyna zareagowała całkiem odmiennie, niż gdybyś wciąż był smokiem. Podobnie, kiedy prowadziłeś swoich towarzyszy w zamku Malvinne'a, nigdy nie przyszło ci do głowy, że nie mógłbyś znaleźć wyjścia z magicznych pułapek, jakie zastawił. Ani razu nie powiedziałeś sobie: „Wszystkie pułapki, jakie tu są, zostały zastawione przez większego niż ja Maga, więc nie ma nadziei, abym potrafił odkryć, jak można je unieszkodliwić czy obejść”.

–No cóż, prawda – przytaknął Jim. – Ale co to ma wspólnego z moją obecną sytuacją, co się tyczy Malvinne'a?

–W chwili obecnej – powiedział czarodziej – Malvinne stoi przed koniecznością odpowiedzi na zarzuty Króla Umarłych, iż dopuścił, aby jakiś Mag wszedł do jego królestwa. To oskarżenie może on oddalić, przyznając się jedynie do współwiny i po prostu płacąc Królowi Umarłych ze swego kredytu w Wydziale Kontroli dość okazały procent tego, co posiada, ale nie tyle, by spętało mu to ręce i nogi. Poza tym Wydział Kontroli nie ma żadnych skarg przeciw niemu.

–A co z upozorowaniem, z tym fałszywym księciem? – spytał zaskoczony Jim.

–Mylisz się w sposób dość naturalny – powiedział oschle Carolinus. – Myślisz, że Wydział Kontroli zajmuje się moralnością czy etyką. Nie zajmuje się ani jednym, ani drugim. Zajmuje się tylko bilansem energii, za którą jest odpowiedzialny. Skarga

Króla Umarłych ma dla nich wagę, gdyż implikuje zakłócenie bilansu tejże energii pomiędzy Królestwem Umarłych a ludzkim światem, do którego Malvinne, mimo że jest Magiem, wciąż jeszcze należy. Jednakże księżę ze śniegu Malvinne'a jest czymś, co wywiera skutek tylko w ludzkim świecie, i fakt, że tu zaistniał, nie wpływa na bilans energii.

Czarodziej położył na ostatnich słowach szczególny nacisk, co sprawiło, że Jim przyjrzał mu się badawczo.

–Sugerujesz, że jest coś innego, co mogłoby ich zainteresować? – zapytał.

–Możliwe – powiedział Carolinus. – Jeśli jakiś inny Mag wskazałby, że zrobiono to, by wspomóc Ciemne Moce w odmianieniu kształtu rzeczy przyszłych. Rzeczy przyszłych nie wolno przewidywać nawet Wydziałowi Kontroli. Magom jest surowo zabronione stymulowanie jakichkolwiek w nich zakłóceń. To, przy okazji, bardzo poważne oskarżenie. Gdyby to zostało dowiedzione, mogłoby pozbawić Malvinne'a nie tylko całego kredytu w Wydziale Kontroli, ale i pozycji, do której uprawnia go jego ranga AAA. To ostatnie jest bardzo istotne w szeregach Królestwa Magów. Znaczy to, że odarto by go ze wszystkiego, poza jego doczesnymi siłami, których powinieś się dalej strzec, gdyż nawet samo jego ziemskie bogactwo czyni go wciąż niebezpiecznym.

–Ale jeśli on wciąż będzie niebezpieczny – sprzeciwił się Jim – to jaki sens ma odbieranie mu jego mocy? Po co to wszystko zrobiliśmy?

–Pozbawia go to jakiegokolwiek przydatności dla Ciemnych Mocy, gdyż one nigdy nie używają dwukrotnie tego samego narzędzia. Jeśli się go jednak tych sił nie pozbawi, użyją go znowu.

–No to czemu nic nie zrobisz? – przerwał Jim przyglądając się Magowi. – Chodzi ci o to, że sam powinienem wnieść to oskarżenie przeciw Malvinne'owi do Wydziału Kontroli?

–O nic mi nie chodzi – powiedział Carolinus. – Ja w żadnym wypadku nie mogę wkroczyć w tę sprawę ze względu na to prawo, które zabrania mi pomagać ci w jakikolwiek sposób i które naruszyłem na szczęście tylko w niewielkim stopniu, czyniąc cię dziś odpornym na czary Malvinne'a. Przy okazji, kiedy skończą się te dwadzieścia cztery godziny ochrony, jakie ci dałem, stracisz tę odporność. Potem Malvinne będzie mógł użyć sił pozostałych na jego kredycie, żeby wyrównać z tobą porachunki.

Jim przyjrzał się czarodziejowi. Jego oczy spotkały oczy Maga wypełnione mnóstwem znaczeń.

–Mówisz mi zatem, że mam mniej niż dwadzieścia cztery godziny na złożenie oskarżenia przeciw Malvinne'owi?

–Powtarzam – rzekł Carolinus – że nic nie sugeruję. Jakie wnioski zechcesz wyciągnąć ze stwierdzeń, które zrobiłem, stwierdzeń na temat tego, jak rzeczy stoją, będą to tylko twoje wnioski.

–Czy możesz mi odpowiedzieć na jedno pytanie? – spytał Jim.

–Być może – rzekł krótko Mag.

–Jeśli nie wniosę tych oskarżeń i skończą się te dwadzieścia cztery godziny, i



**Małdnne zostanie uwolniony od tego, co na niego założyłeś...**

**–I za co będę musiał zapłacić słoną grzywnę, jak wyjaśniałem – przerwał czarodziej. Skrzywił się. – I tak to będzie kosztowne. Wiesz, niełatwo jest zebrać to, co składa się na kredyt w Wydziale Kontroli.**

**–Tak, tak – powiedział Jim. – Wiem. Rzecz w tym ile z tego, co Malwinne stracił, będzie mógł odzyskać, jeżeli poczekam do następnego wschodu słońca i nic nie zrobię.**

**–Moja sytuacja nie pozwala mi wypowiadać się na temat tego, co mógłby zrobić kolega-Mag – wyjaśnił**

**Carolinus. – W przypadku takiej hipotetycznej sytuacji Mag taki jak ten, o którym mówisz, mógłby prawdopodobnie odzyskać wszystko, co stracił, a nawet jeszcze więcej!**

**–Innymi słowy, jeśli ma zostać powstrzymany, musi być powstrzymany teraz – podsumował Jim.**

**–Jeśli to wniosek z mojej hipotetycznej sytuacji, to musiałbym się z tym zgodzić – powiedział czarodziej. – Zważ, że pomniejszy Mag, wnoszący takie oskarżenie przeciw starszemu Magowi klasy AA A, może się spodziewać, że jeśli jego oskarżenie nie będzie dowiedzione, zostanie pozbawiony wszystkich swoich mocy i być może zupełnie wyrzucony poza Królestwo Magów. Malwinne'owi, nawet w najgorszym razie, to nie grozi.**

**–Ale ja nawet nie jestem pewien rodzaju oskarżeń, jakie mógłbym wnieść! – zakrzyknął zrozpaczony Jim.**

**–W ramach instruowania cię jako ucznia mógłbym ci doradzić – powiedział Carolinus – że w takim hipotetycznym przypadku można by wnieść oskarżenie o stworzenie sytuacji, która ostatecznie mogłaby skończyć się tym, że większość energii weryfikowanej przez Wydział Kontroli na zawsze zniknęłaby, zmniejszając w ten sposób władzę Wydziału i pozbawiając go zdolności sprawowania kontroli nad Królestwem Magów.**

**Jim wpatrywał się w stojącą przed nim niewysoką postać z rzadkimi wąsami i brodą.**

**–Chcesz mi powiedzieć – rzekł w końcu – że taki mógł być ostateczny skutek tego, co zrobił Malwinne?**

**–W tymże samym hipotetycznym przypadku. Oczywiście, o tej sprawie musi zdecydować Wydział Kontroli. Moim własnym zdaniem, nieistotnym zresztą, oskarżenie to jest absolutnie niezbite. Przeciw hipotetycznemu Magowi trzeba by przedsięwziąć działanie, o którym mówimy, to znaczy, przeciw Magowi, o którym mówimy, trzeba by przedsięwziąć działanie! – zakończył gniewnie Carolinus, sam siebie poprawiając. – Moja gramatyka staje się z latami coraz bardziej skandaliczna – gderał. – Jednakże, pominąwszy to wszystko, powinieneś mieć teraz pojęcie o tym, co związane jest z sytuacją, o której właśnie mówiliśmy. Tu się kończy mój obowiązek. Decyzja, czy wnosić skargę do Wydziału Kontroli, czy nie, należy do ciebie.**

**–I nie ma żadnego pośredniego wyjścia? – spytał Jim. – Jeżeli wniosę oskarżenie,**

**ten hipotetyczny Mag, o którym mówiłeś, zostanie zupełnie zniszczony?**

**–Tak – odparł czarodziej – a nawiasem mówiąc, nie znam żadnego innego hipotetycznego Maga, któremu by się to bardziej należało! Zwłaszcza temu, który od lat obrażał wielką sztukę i rzemiosło magiczne. Temu, który na poziomie czysto ludzkim spowodował wiele nieszczęść.**

**Na długą chwilę zapadło między nimi milczenie.**

**–Cóż – powiedział Carolinus – wracajmy lepiej do pozostałych. Powiedziałem ci już wszystko.**

**Odwrócił się i odszedł. Jim poszedł za nim. Gdy dotarli obaj do kręgu ludzi, Theoluf pośpieszył do Jima.**

**–Sir Jamesie! – powiedział. – Nie mogłem cię odnaleźć. Sir Giles jest już bardzo blisko końca i prosił ciebie.**

## Rozdział 40

Kiedy Jim zbliżył się do drzewa, w cieniu którego spoczywał sir Giles, zobaczył, że ułożono go trochę wygodniej. Ze zwiniętego kaftana któregoś ze zbrojnych zrobiono mu poduszkę pod głowę, a hełm i te części zbroi, które można było usunąć bez zbytecznego podrażniania jego ran, zostały zdjęte. Meluzyna wciąż klęczała obok rycerza, trzymając jego bezwładną, białą dłoń i mówiąc do niego, chociaż zdawało się, że on nie jest w stanie jej odpowiadać. Kiedy Jim podszedł, Meluzyna przestała mówić i spojrzała na niego.

–Dobrze! – powiedziała. – Szybko, szybko! Chce z tobą mówić, a ledwie ma na to siłę. Musisz przyłożyć mu ucho do ust!

Jim ukląkł obok rycerza, ujmując jego drugą dłoń, która, całkiem bezkrwista, wydała mu się dziwnie zimna.

–Wolałbym stracić wszystko, ale nie ciebie, Gilesie – powiedział.

Zobaczył, że oczy rannego skupiły się na nim i pojawiło się w nich nieco życia.

–Posłucham teraz tego, co mi masz do powiedzenia – rzekł Jim – przyłożę ucho do twoich warg.

Pochylił się na klęczkach i przyłożył ucho do chłodnych ust, a po chwili odsunął je na ułamek cala, żeby rycerz mógł mówić swobodnie. Wytężył słuch.

–W morzu... – wyszeptał z wielkim wysiłkiem Giles -...pochowajcie...

–Daję ci moje słowo, Gilesie – obiecał Jim ściskając jego dłoń. – Zaufaj mi. Zostaniesz pochowany w morzu, przysięgam ci to!

Być może rycerz westchnął albo tylko przez chwilę oddech wychodzący z jego ust wydał leciutki dźwięk. Lecz jego oczy zamknęły się, a twarz odprężyła.

–Och, biedaczek – powiedziała Meluzyna wciąż ściskając go za rękę.

Jednak Giles nie umarł jeszcze. Jego pierś poruszała się lekko wraz z oddechem.

–To wody pragnie... – szepnęła Meluzyna wpatrując się w rycerza. – Tak jak ja właśnie w wodzie pragnie spocząć po śmierci.

Jim podniósł się na nogi i zorientował się, że półkolem otaczają go zbrojni, stojący tuż za księciem, który przez cały ten czas obserwował jego i Gilesa. Księżę, podobnie jak zbrojni, miał w oczach utkwionych w Jimie nadzieję, że będzie on mógł zrobić coś, co nie dopuści do śmierci rycerza.

Jim powoli pokręcił głową.

–Chciał mi powiedzieć, że pragnie być pochowany w morzu – rzekł. – Obiecałem mu, że tak się stanie.

Bardziej poruszony, niż myślałby, że to możliwe, odwrócił się od Gilesa.

Odchrząkując przeszedł wśród ludzi do miejsca pod flagą, gdzie hrabia Cumberland i król Francji, Jean, wciąż dyskutowali nad warunkami rozejmu, który, sądząc z widoku wciąż walczących wojowników rozproszonych po polu, daleki był od wprowadzenia w życie. Gdy Jim zbliżył się, rozmawiali o pochówku zmarłych.

–Tak – mówił król Jean. – Podoba mi się ten pomysł, mój panie hrabio. Sam ufunduję i wyoszczędzę kaplicę, gdzie odprawiać się będzie modły za Francuzów, którzy dziś padli na tym polu.

–A król Edward bez wątpienia uczyni to samo – powiedział hrabia – dla tych

Anglików, którzy tutaj zginęli. Samo pole bitwy zostanie poświęcone, a wszyscy Anglicy, którzy dziś polegli, zostaną pochowani razem.

–W jednej mogile. Tak, zrobimy też tak samo z naszymi francuskimi zmarłymi – kontynuował król Jean. – Godnie uczcimy to zdarzenie i zgodnie z naszymi celami, przyciągniemy uwagę całego świata do miejsca, a nie do faktu, że sprawa rozejmu pozostała nie rozwiązana. Nasi zmarli, śpiąc razem, lecz w dwóch osobnych mogiłach, przypieczętują tę sprawę w sposób, który uciszy pytania.

–Musimy przeszukać pole, żeby się upewnić, iż żadne z ciał angielskich rycerzy nie zostanie pominięte. Niższe szarże, ci, którzy nie są szlacheckich rodów – hrabia machnął ręką – mogą być pochowani w lesie, żeby nie umniejszać powagi faktu, iż nasza szlachta tu leży.

–Podobnie nasi francuscy szlacheccy panowie – powiedział król Jean. – Pomniejsze rangi, zwłaszcza zaś Genuieńczycy, muszą zostać pochowani z osobna, poza polem bitwy. Nie będzie to kłopot...

–Proszę mi wybaczyć... – przerwał im Jim.

Przez chwilę wydawało się, że tych dwóch albo go nie słyszało, albo zdecydowało się zupełnie zignorować. Potem obaj powoli odwrócili głowy w jego kierunku i spiorunowali go wzrokiem.

–To jeden z twoich Anglików, jak sądzę, milordzie – mruknął król Jean.

–Przyznaję to ze wstydem! – powiedział sucho hrabia, nie spuszczając oczu z Jima. – Panie, czy nie nauczono cię żadnych manier w miejscu, skąd pochodzisz? Król Francji i ja rozmawiamy ze sobą.

Ton hrabiego podziałał Jimowi na nerwy, ale postarał się zachować spokój i uprzejmość w głosie.

–Wiem -.skłonił się – proszę mi wybaczyć, że przeszkadzam, milordzie, Wasza Królewska Mość. W ogóle bym się nie odzywał, lecz usłyszałem mimochodem o waszych planach wspólnych mogił dla rycerzy obu stron i kaplic przeznaczonych na modły za ich dusze. To świetny pomysł. Chciałbym tylko zaznaczyć, że jeden z rycerzy angielskich, którzy dziś tutaj padli, życzył sobie być pochowany gdzie indziej.

Hrabia Cumberland przyglądał mu się, a jego krótko przycięta siwawa broda i wąsy zjeżyły się.

–A cóż może znaczyć życzenie jakiegoś tam rycerza? – uciął hrabia. – Oczywiście, że będzie spoczywał ze wszystkimi! Inaczej nie ma sensu cała sprawa z założeniem Bractwa Kaplicy i opowiadania światu, że wszyscy polegli Anglicy tu leżą.

–Obawiam się – powiedział Jim, z trudem utrzymując spokojny ton swej prośby – że to niemożliwe...

–Na psy piekieł! – wybuchnął hrabia. – Ty mi mówisz, że coś jest niemożliwe? Skąd bierzesz podobną impertynencję? Mówię ci, że będzie pochowany z całą resztą i sprawa jest zamknięta! A teraz odejdz!

–Nie rozumiesz, hrabio – upierał się desperacko Jim. – Mówię o sir Gilesie de Mer. Rycerzu, który obronił księcia, kiedy rycerze Malwinne'a chcieli go zabić, podczas gdy my prowadziliśmy tu rozmowy. Z pewnością zasłużył sobie na prawo do

tego, by pochować go kiedy, gdzie i jak sobie tego życzył.

–Będzie pochowany z innymi! – warknął hrabia. – Odejdź! Zanim każę cię stąd odwlec.

–Ty mnie każesz odciągnąć, milordzie? – po raz pierwszy trochę z powstrzymywanego z trudem, lecz rosnącego gniewu wkradło się w głos Jima. – Masz ze sobą czterech ludzi...

Nie dopowiedział tego, że on sam ma pięćdziesięciu, ale nie umknęło to uwagi hrabiego.

–Odejdź! – powtórzył szlachcic.

Jima cechował pewien upór, jakkolwiek rzadko objawiany, ale w tej chwili odzywał się w nim coraz żywiej.

–Odejdę po tym, jak zostanie jasno zrozumiane, że sir Giles zostanie pochowany w morzu, tak jak o to przed chwilą prosił – powiedział. – Dałem mu słowo, że tak się stanie.

–A co mnie obchodzi twoje słowo? – burknął hrabia. – Myślisz, że mnie wystraszysz czerwienią na swojej tarczy albo czymkolwiek innym? Myślisz, że mnie zmusisz, bo masz tę garstkę ludzi, gdy ja jestem sam? Tacy jak ty nie decydują o podobnych sprawach. Decydują o nich tacy jak ja i Jego Królewska Wysokość. Zostanie pochowany z pozostałymi i nic tego nie zmieni. Powiedziałem!

Upór zawładnął już Jimem zupełnie.

–W takim razie traciłeś słowa, milordzie, na coś, co się nie zdarzy – powiedział. – Pójdę. Ale odchodzę, oświadczając ci stanowczo, że sir Giles nie zostanie pochowany tu, na tym polu. Pochowany będzie tam, gdzie sobie tego życzył, w morzu. Z wściekłości twarz hrabiego stała się ceglastoczerwona.

–Nie spotkałem się nigdy z podobną bezczelnością! – krzyknął. – Na wszystkich świętych w niebie, możesz sobie mówić, że ten twój rycerz-szlachetka będzie pogrzebany w morzu. Możesz nawet próbować zabrać tam jego ciało. Ale w chwili gdy rozejm będzie przypieczętowany, co z pewnością nastąpi w ciągu dwudziestu czterech godzin, jeśli nie wcześniej, wyślę twoim śladem takie siły, że wytropią cię jak królika i sprowadzą te jego kości i resztki śmierdzącego ścierwa tutaj, gdzie ich miejsce!

–Wasza Lordowska Mość nie będzie musiał czekać więcej niż dwadzieścia cztery godziny – rozległ się zza króla Jeana zjadliwy głos Malvinne'a. – Ja, minister Francji, to ci obiecuję.

–No to spróbuj! – uciął Jim i odwrócił się, żeby pójść, zabrać Gilesa, jeśli już umarł, i wyruszyć z nim w kierunku odległych wód Kanału Angielskiego, którymi obaj przybyli do tych ziem.

–Chwileczkę – odezwał się głos Carolinusa.

Jim zobaczył, że sędziwy Mag znów pojawił się jakby znikąd. Ale czarodziej nie patrzył na Jima ani nie do niego się zwracał. Mówił do hrabiego.

–Jeśli Wasza Lordowska Mość wysłuchałby moich słów...

–A niech was wszystkich, czarnoksiężnicy! – wściekał się hrabia. – Nikogo nie będę słuchał w tej sprawie. Jest już zamknięta. Słyszysz?! Zamknięta! Ja tu decyduję

**i ja mówię, że tak będzie. To wszystko, co ci trzeba wiedzieć.**

**Odwrócił się z powrotem do króla jakby po to, żeby dalej prowadzić z nim rozmowę. Carolinus wyciągnął rękę i chwycił Jima za ramię.**

**–Poczekaj tu – powiedział patrząc na niego surowo. Jim pozostał w miejscu. Mag odmaszerował zadziwiająco długimi krokami w kierunku ludzi stłoczonych wokół miejsca, gdzie leżał sir Giles. Zniknął wśród nich. Jim czekał, ale ponieważ nic się nie działo, odwrócił się z powrotem do hrabiego i króla, którzy znów dyskutowali o kaplicach, jakie miały zostać wzniesione, aby można było odprawiać modły za pochowanych w tych dwóch masowych grobach rycerzy.**

**Ignorowali go w dalszym ciągu, a on nie miał nic do powiedzenia. Stał więc tylko i słuchał zaledwie jednym uchem. Niewiele zwracał na nich uwagi, gdyż był już tak stanowczo zdecydowany jak nigdy przedtem. Zabierze ciało Gilesa do morza, niezależnie od wszystkiego. To już nie była chęć, to był fakt.**

**Nagle błysnął błękitny cote-hardie i Jim obejrzał się. Spostrzegł koło siebie księcia Edwarda. Twarz młodego księcia była zarumieniona.**

**–Co ja słyszę, milordzie? – zwrócił się do hrabiego Cumberland. – Memu dzielnemu sir Gilesowi nie zezwoli się na spoczynek w wybranym przez niego miejscu?**

**Z wyraźnym wysiłkiem hrabia Cumberland opanował emocje, jakie obudził w nim Jim. Spróbował rozsądnie przemówić do księcia.**

**–To tylko kwestia ustaleń potrzebnych dla rozejmu, który układam między nami, Anglikami, i królem Jeanem – powiedział. – Chcąc pomóc w uczynieniu rozejmu skutecznym i zadowalającym, i dla Francuzów, i dla Anglików, zdecydowaliśmy, że postawi się w tym miejscu dwie kaplice i wykopie dwie wielkie mogiły, jedną dla wszystkich francuskich szlachciców, którzy padli na tym polu, a drugą dla angielskich szlachciców, którzy podobnie skończyli. Wielkim zaszczytem będzie taki pochówek, nie mówiąc nic o tym, że dusze ich zyskają na modlitwach odmawianych w kaplicy.**

**Oczy księcia zabłyśły.**

**–Uchylasz się od odpowiedzi, hrabio! Pytałem, czy sir Giles może zostać pochowany tam, gdzie chciał, czy nie.**

**–Trzeba koniecznie, Wasza Wysokość – odrzekł hrabia – żeby leżał z innymi angielskimi rycerzami, którzy tutaj polegli.**

**–Mimo swego życzenia?**

**–Żałuję, Wasza Wysokość – powiedział poważnie hrabia – ale tak.**

**–Mimo mojego życzenia?**

**Hrabia z pewnością był dzielnym człowiekiem. Zaryzykował teraz jednak jedno krótkie spojrzenie na króla Jeana. Król Francji obserwował pole bitwy i najwyraźniej nie chciał się mieszać do sporu. Cumberland zwrócił się twarzą do swego rozmówcy. Gdy to zrobił, twarz zaczęła mu ponownie ciemnieć od gniewu i Jim zobaczył, że upór hrabiego zaczął się wzmacniać.**

**–Zwykle w niczym nie sprzeciwiałbym się życzeniom Waszej Wysokości – powiedział – ale, wybaczcie mi, wciąż jesteście młodzieńcem i choć wiecie co nieco o**

**świecie, to są takie rzeczy w polityce między narodami, o których...**

**–Powiedziałem, mojego życzenia! – uciał księżę.**

**–Cóż, Wasza Wysokość – upierał się hrabia, a twarz mu pociemniała jeszcze o ton. – Jeśli się upieracie! Jestem tu dowódcą angielskich sił, a armia może mieć jednego tylko dowódcę. Jako ten dowódca, sam muszę ocenić, co jest najlepsze dla wszystkich, zgodnie z moim honorem i powinnością wobec waszego królewskiego ojca. To konieczne. Na pewno sami to widzicie.**

**–Widzę hrabiego, który w uniesieniu zamierza stanąć na zawadzie swemu księciu! – głos księcia przybrał na sile. – Zapominasz o tym, że sir Giles nie był pod twoim dowództwem ani w twoim wojsku. Należał do innej grupy, razem z tym zacnym rycerzem obok mnie został wysłany, aby uwolnić mnie z wielce smutnej niewoli, i zadanie swe dobrze wypełnił! Jest pod moją komendą, nie twoją. Mówię, że zostanie pochowany, gdzie życzy sobie być pochowany, w morzu, nie zaś gdzie indziej!**

**–Z niezmiernym żalem, Wasza Wysokość – powiedział uparcie hrabia – nie mogę zgodzić się ze stwierdzeniem, że on nie pozostaje pod moją komendą. Wszyscy Anglicy, którzy tu walczyli i zginęli, byli pod moim dowództwem. On musi spocząć z innymi.**

**Stojący obok księcia Jim skrzywił się. Nie wiedział, co ma zrobić w takiej sytuacji. Znów była to ta sama kwestia publicznego zachowania twarzy, którą zaobserwował wśród szlachty tego świata. Hrabia odgrywał rolę, którą jak mu się zdawało, należało odegrać. Zachowywał się tak, jak hrabia zachowywać się powinien. Upierał się przy swoim prawie rozkazywania nawet w obliczu czegoś, co musiało wzbudzić śmiertelną wrogość w członku rodziny królewskiej, następnym w kolejce do angielskiego tronu.**

**Jeśli księżę dożyłby wstąpienia na tron po swym ojcu, to hrabia mógłby się spodziewać tylko ruiny. A być może księżę mógłby zrujnować go, jeśli nie kazać stracić, nawet zanim odziedziczyłby tron. Będąc jednak rycerzem i hrabią, nie mógł się on ugiąć.**

**Podobnie księżę czuł, że rzucono mu wyzwanie. Nie do pomyslenia było, aby jakiś zwykły hrabia mógł sprzeciwić się w czymkolwiek następcy tronu Anglii. Jim desperacko zastanawiał się nad jakąś wymówką, żeby przerwać tę wymianę zdań, kiedy księżę sam rozwiązał problem.**

**–Bardzo dobrze, dumny panie hrabio! – rzucił księżę. – Zdecydowałeś za mnie! Miałem rację od początku. Wezmę konia i wyjadę na pole zebrać wokół siebie tylu Anglików, ilu się da, i zobaczymy, czy nie uda nam się i tak dziś zwyciężyć!**

**–Mój młody kuzynie... – powiedział król Jean, rzucając się do przodu i wyciągając rękę, aby zatrzymać chłopaka.**

**Ale księżę już się odwrócił na pięcie.**

**–Mojego konia! – zażądał. – I gotujcie się ruszyć za mną. na pole... – Zawiesił głos.**

**Wszyscy stojący za nim patrzyli na niebo. On także odwrócił się i zaczął przyglądać się niebu na zachodzie, ponad liniami Anglików. Jim podszedł do niego.**

**W polu widzenia ukazała się szeroka wstęga szybko zbliżających się czarnych plamek, z których najbliższe przybierały już smocze kształty.**

Widok ten mógł odebrać odwagę każdemu. Jim, który lepiej znał się na tych sprawach dzięki swoim własnym doświadczeniom jako smok, po pierwszej chwili zaskoczenia powściągnął swoją rozgorączkowaną wyobraźnię i powiedział sobie, że tam wysoko, w powietrzu, zbliżało się ku nim nie więcej niż dwie setki smoków. Na pierwszy rzut oka wyglądało to jednak, i musiało tak wyglądać dla wszystkich obecnych tu ludzi, jakby całe niebo wypełniło się smokami. Jakby były ich dosłownie tysiące.

Gdy pierwsza linia wielkich cielsk nadleciała nad angielskie szeregi, wystrzelono w ich kierunku trochę strzał. Smoki leciały jednak o wiele za wysoko, żeby strzały mogły im jakkolwiek zaszkodzić. Zbliżały się i zaczęły już rzucać cień na pole bitwy; a na samym polu zaprzestano wszelkich walk. Przeciwnicy, którzy przed chwilą okładali się wzajemnie, siedzieli teraz na swych koniach, trzymając w dłoniach znieruchomiałe miecze i tarcze i patrząc razem w górę na zbliżanie się smoków.

Jim pozwolił sobie na długie westchnienie ulgi. Na szczęście nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby je usłyszeć. No – pomyślał, gotów niemal uśmiechnąć się w swoim odprężeniu. – Lepiej późno niż wcale.

Smoki nadlatywały. Kiedy znalazły się nad samym polem walki, przestały posuwać się naprzód i łapiąc prądy ciepłego powietrza, zaczęły krążyć nad nim pojedynczo. Nie było ich na tyle dużo, żeby istotnie zaćmić światło słońca, ale wydawało się, że ten tłum mógł ocienić całą ziemię pod nimi.

Na polu bitwy nareszcie usłyszano heroldów. Broń chowano do pochew albo zawieszano u siodła. Opuszczano tarcze. Poniżej ciemnych smoczycy ciała pole wyglądało niemalże tak, jakby Francuzi i Anglicy stanowili jedną kompanię. Teraz nareszcie wszyscy słuchali wieści o rozejmie, rozgłaszanych przez francuskich i angielskich heroldów.

–Co je tutaj sprowadza? – spytał za plecami Jima łamiącym się głosem król Jean.  
– Po co tu przybyły?

Jim odwrócił się i stanął twarzą w twarz z królem i hrabią.

–Są tu, żeby wspomóc angielską sprawę, Wasza Miłość – odpowiedział szorstko.  
– Jako Smoczy Rycerz jakiś czas temu zawarłem z nimi taką umowę. Spóźniły się trochę z przybyciem, ale są tu nareszcie.

Król zagapił się na niego. Wpatrywał się też w niego hrabia, który jednak jako pierwszy z nich dwóch doszedł do siebie. Odwracając się do króla powiedział:

–Być może zechcielibyście jednak przedyskutować warunki poddania się, Wasza Królewska Mość?

–Nie – odezwał się ostro Jim.

W równie gwałtownym odruchu hrabia zwrócił się ku niemu. Potem, zdając sobie nagle sprawę z tego, że sytuacja się zmieniła, przełknął z powrotem wszystkie gniewne słowa, które cisnęły mu się na usta.

–Czy mogę spytać czemu, panie Smoczy Rycerzu? – odezwał się w końcu, starając się, by jego głos zabrzmiał równo i uprzejmie.

–Dlatego, że przeznaczeniem tego dnia jest zakończyć się rozejmem – powiedział Jim – dla większego dobra i większej chwały nie tylko Anglii, ale i Francji. Musicie mi



w tym zaufać, milordzie, i wy, Wasza Królewska Mość Tak musi być.

Jeszcze raz hrabia i król wymienili spojrzenia, po czym popatrzyli z powrotem na Jima, bez słów. W istocie nie było w tym nic dziwnego, gdyż teraz nic im nie zostało do powiedzenia.

## Rozdział 41

Jak na Kanał Angielski wody morza były spokojne. Statek, który wiozł Jima, Briana, Dafydd i Aragha oraz wszystkich ich ludzi i konie, był znacznie większy niż ten, na którym Jim, Brian i Giles przybyli do Francji.

Jednakże gdy zatrzymano statek, by odprawić ceremonię pochowania sir Gilesa, pokład kołysał się niespokojnie i, jak podejrzewał Jim, niejeden ze zbrojnych i łuczników, którzy dołączyli do ich kompanii, chciał mieć całą tę sprawę jak najszybciej z głowy i płynąć już dalej. Nie żeby ruch statku podczas żeglugi działał kojąco na podrażnione żołądki, ale chociaż byliby coraz bliżej suchego lądu i Anglii.

Mimo to Jim, Brian i Dafydd nie mieli zamiaru przyspieszać złożenia ciała Gilesa w wodach morza. Nie mogli zabrać ze sobą na statek księdza dla tej ostatniej posługi, więc Jim wyrecytował z żałobnej ceremonii tyle, ile mógł sobie przypomnieć, mając nadzieję, że nieznajomość łaciny wśród otaczających go ludzi sprawi, że nie zauważą jego pomyłek i przeoczeń.

Zanosilo się w tym dniu na deszcz, ale jeszcze nie padało. Szare chmury i szare morze zdawały się zamykać wokół nich, gdy tak stali przy otwartej części nadburcia, gdzie ciało sir Gilesa, odziane w zbroję, z bronią, leżało na paru deskach, gotowych do podniesienia, by mogło się zsunąć do swego miejsca wiecznego spoczynku.

Jim zakończył modlitwę. Odwrócił się i skinął głową

Tomowi Seiverowi i innym zbrojnym, którzy stali przy deskach, gotowi je unieść.

Podnieśli je i sir Giles ześlizgnął się po nich do morza odległego zaledwie o kilka stóp. Pozostali ludzie odwrócili w ostatniej chwili oczy, ale Jim, Brian i Dafydd wychylili się przez nadburcie, by po raz ostatni spojrzeć na swego towarzysza.

I dobrze zrobili.

Gdy sir Giles ześlizgnął się do wody, zdarzyło się coś, co przeraziłoby straszliwie większość obserwatorów, ale dla trojga przyjaciół było najradośniejszym widokiem, o jakim mogli zamarzyć.

Kiedy odziane w zbroję ciało znalazło się w wodzie, zdało się, że zdarzył się cud. Zbroja wręcz eksplodowała, tak jak zbroja Jima, kiedy zamienił się w smoka w drodze do Carolinusa. Tym razem jednak ukazała się szara foka, która nim zanurkowała i znikła im na zawsze z oczu w ciemnych wodach kanału, spojrzała na nich wesołym, pełnym życia okiem. Trzech przyjaciół cofnęło się od burty.

–Wiedziałaś, że to się zdarzy? – spytał Jima przejęty Brian.

Jim pokręcił głową i uśmiechnął się.

–Nie – odpowiedział cichym głosem, słyszalnym tylko dla Briana i Dafydd. – Ale nie jestem zaskoczony.

–Czy on już na zawsze pozostanie foką? – spytał Dafydd podobnie przyciszonym tonem.

–Nie wiem – odparł Jim. – Może. Chociaż... Odwrócił się od nadburcia kręcąc głową i pytanie pozostało bez odpowiedzi. Od owego wieczoru po bitwie Jim był niezmiernie przygnębiony. Wtedy to wezwał Wydział Kontroli i wniósł oskarżenie przeciw Malwinne'owi. Do tej chwili nie był pewien, czy to, co zrobił, będzie najlepszym wyjściem dla wszystkich zainteresowanych. Teraz jednak ten jasny,

krótki błysk oka foki jakoś go upewnił.

–Hej tam, kapitanie! – zawołał Brian do właściciela statku. – Skończyliśmy. Do Anglii!

Minęło około półtora tygodnia, nim trzej towarzysze, wraz ze swoimi konnymi zbrojnymi i łucznikami, których liczba jakoś wzrosła w drodze powrotnej z Francji, ciągnącymi za nimi długim sznurem wzdłuż leśnego traktu, zbliżyli się ponownie do Malencontri.

W końcu byli już mniej niż milę od domu Jima, a pogoda pasowała tym razem do ich powrotu do domu. Był jasny, gorący dzień u schyłku sierpnia i cień leśnych drzew miły był wszystkim noszącym zbroje czy choćby ciężkie ochronne kaftany z garbowanej skóry, które preferowali łucznicy i niektórzy zbrojni.

Jim, Brian i Dafydd jechali pierś w pierś na czele oddziału. Aragh opuścił ich natychmiast po wylądowaniu, mówiąc, że zbyt wolno podróżują i nie ma zamiaru wlec się z nimi. Tymczasem wszelkie różnice rangi między trzema przyjaciółmi zatarły się, nie tylko pod wpływem tego, co wspólnie przeszli, ale i z powodu śmierci i morskiej przemiany sir Gilesa.

Żalność Briana po śmierci rycerza była znacznie większa, niż spodziewał się tego Jim; ale z drugiej strony on nigdy nie doceniał nagłości i głębi uczuć, które mogły zrodzić się w tych ludziach, wśród których teraz żył. Ostatecznie jednak smutek ten rozwiął się zupełnie, wypędzony częściowo przez morską przemianę Gilesa, a częściowo przez inne nastawienie, które Jim odkrył jako część tego świata, że rzeczy dokonane należało zaakceptować i zapomnieć.

Teraz Brian niepokoił się tylko o Malencontri i o to, czy dama jego serca wciąż jeszcze przebywa tam z wizytą. Dafydd nie mówił na ten temat nic, ale Jim podejrzewał, że myśli walijskiego łuczника także przepojone były nadzieją, że jego żona również będzie w Malencontri, kiedy tam dotrą. Jednakże, najwyraźniej po to, żeby przestać zastanawiać się nad tym, Dafydd gawędził o innych sprawach.

–Czy widziałeś lub wyczułeś jeszcze Malwinne'a, chociażby tak, jak tylko Mag mógłby? – pytał teraz Jima. – Zauważyłeś, że najwyraźniej zniknął niemal dokładnie w tej chwili, kiedy pojawiły się smoki? Powinieneś był wcześniej powiedzieć mi o ostrzeżeniu Carolinusa, że po dwudziestu czterech godzinach jego moc ochraniająca cię przed tym francuskim czarnoksiężnikiem zniknie.

–To nie miało znaczenia – powiedział Jim prawie nieobecny głosem. – Do tego czasu wniosłem już swoje oskarżenie do Wydziału Kontroli.

–Oskarżenie? – spytał Brian.

Jim w porę się powstrzymał. Była to wewnętrzna sprawa Królestwa Magów.

–Zbyt trudno to wyjaśnić – rzekł. – Po prostu uwierzcie mi na słowo. Malwinne nie będzie mógł zaszkodzić nikomu swoimi czarami przez długi, długi czas, jeśli w ogóle kiedykolwiek znowu będzie mógł.

–Jesteś czymś zaniepokojony – powiedział jadący po jego drugiej stronie Dafydd.

Jim zerknął na łucznika. Ciemnobrązowe oczy ponad szlachetnym prostym nosem wypełniała troska.

–Co nieco – przyznał.

**–Zaniepokojony? – powtórzył czujnie Brian. – Czym jesteś zaniepokojony, Jamesie?**

**–Myślę, że on sam nie wie – rzekł Walińczyk. – Ale wciąż nad wszystkim unosi się czarny cień. Najciemniejszy jest zawsze tam, gdzie jest Malyinne. Ja też to odczuwam, ale pojmuję to nie więcej niż Jim.**

**Jim przygryzał przez chwilę dolną wargę, zastanawiając się, czy spróbować to wyjaśnić. Zdecydował, że nie. Zbyt to poplątane.**

**–Dafydd ma rację – przytaknął. – Istnieje ten ciemny cień i ja go nie rozumiem. Nie pytaj mnie o to, Brianie, proszę. Kiedy zrozumiem to w jakimkolwiek stopniu, sam ci o tym opowiem.**

**–Jak sobie życzysz, Jamesie – powiedział rycerz – ale w razie potrzeby nie zapomnisz o mnie?**

**Jim musiał się do niego uśmiechnąć.**

**–W razie potrzeby – obiecał – jesteś ostatnią osobą, o której bym zapomniał.**

**–No cóż, niech sobie przychodzą kłopoty – powiedział Brian. – Kłopoty są tak powszechne w tym świecie jak pchły. I nie sposób pozbyć się ich wszystkich. Nic nie da się zrobić, trzeba tylko czekać, aż przylezie coś takiego pod palce, i wtedy się z tym rozprawić.**

**Nie wiadomo czemu, ta niefrasobliwa filozofia podziałała na Jima uspokajająco. Nie rozproszyła jednak tego cienia, który wyczuła nad nim wrażliwość Dafyddda na rzeczy ponadnormalne. Wciąż coś było nie w porządku. O czymś wciąż zapominał.**

**Już kilkaset razy rozpatrywał w myślach tę sytuację. Teoretycznie nie mogło być lepiej. Udało mu się postąpić zgodnie ze wskazówkami Carolinusa. Anglia i Francja zawarły teraz rozejm, który co prawda żadnego z krajów nie zadowalał, ale żaden z nich nie mógł także znaleźć wystarczającego powodu, by go zerwać.**

**Króla Jeana wypuszczono z niewoli, z powrotem na właściwe mu miejsce na tronie Francji, zgodnie z cichym kodycylem do rozejmu. Jim zaś odzyskał swój paszport.**

**Przyniósł mu go dosłownie promieniejący radością Secoh, który zstąpił na ziemię spośród hordy smoków krążących ponad polem bitwy. Przy tej okazji o mało nie został przedziurawiony nie jedną, a kilkoma strzałami wystrzelonymi przez trzech łuczników zwerbowanych przez Dafyddda. Tylko głos Jima i rozkaz Dafyddda w porę uratowały smoka przed bezlitosnym ukatrupieniem.**

**W gruncie rzeczy na ziemi nie byłby o wiele bezpieczniejszy niż w powietrzu. Każdy z obecnych tam i uzbrojonych ludzi, to znaczy wszyscy gotowi byli odeprzeć jego atak, atakując go jako pierwsi. Interwencja Jima i Briana uratowała Secohowi życie.**

**Wobec groźby Edwarda bitwa zakończyła się bez zwycięstwa którejkolwiek ze stron, a Jim z powrotem połknął swój paszport. Miał trochę kłopotów z przypomnieniem sobie dokładnej procedury służącej zmniejszeniu go, ale udało mu się odnaleźć właściwe słowa zaklęcia i dawno już pokonał uczucie ogromnego nasycenia, jakie go opanowało po połknięciu paszportu. Teraz z niecierpliwością wyglądał chwili jego zwrotu smokom z Cliffside i nie chciał już więcej mieć nic**

wspólnego z niczym do niego podobnym.

Wciąż jednak czuł jakieś zagrożenie, niepokój, którego nie potrafił określić. Nie umiał też stwierdzić, z której strony zagrożenie to mogło nadejść. Nawet gdyby zresztą przyszło, miał znakomite wsparcie w zbrojnych i łucznicach jadących za nim. Brian miał słuszość. Najlepiej było poczekać, aż kłopoty same przyjdą, a nie zamartwiać się nimi na zapas.

Brian zadawał właśnie jakieś pytanie Dafyddowi, a że tamten jechał po drugiej stronie Jima, rycerz mówił właściwie przez niego, gdy tak zdążali naprzód we trzech.

–Miałem zamiar już wcześniej zapytać cię o to – mówił Brian do łuczника. – Nie uważam bynajmniej siebie za przystojnego. Ani też, mówiąc całą prawdę, nie umiem powiedzieć, czy jakiś mężczyzna jest przystojny, czy nie dla kobiecych oczu. Chociaż jeśli idzie o damy czy nawet zwykłe niewiasty, to pochlebiam sobie, iż niezły ze mnie sędzia ich uroków. Lecz to moja własna pani zwróciła moją uwagę na to, iż uważa się, że ty, Dafyddzie, posiadasz wygląd wysoce atrakcyjny dla każdej właściwie kobiety. Zastanowiło mnie to wtedy i później, kiedy Meluzyna narzucała się ludziom ze swoją sympatią, po tym, jak odebrano jej Jima i króla Jeana, że nie natrafiła na ciebie, który stałeś wtedy przy nas, a wszak płeć piękna uważa cię za tak godnego pożądanego.

–Nie sądzę, aby to było wielce prawdziwe – odrzekł Walińczyk. – Chociaż, po prawdzie, mnie samemu mówiono, że podobam się trochę niektórym niewiastom. Za nic w świecie nie chciałbym jednak, żeby mówiono o mnie cokolwiek, co mogłoby dotrzeć, jak to bywa z obmową, do uszu mego złotego ptaszka, o jakiejś domniemanej sympatii między mną a inną panią. Dlatego też, gdy zdałem sobie sprawę ze skłonności Meluzyny do mężczyzn, zerwałem kawałek ulistnionej gałązki i wetknąłem ją za czapkę. Czy mnie to uczyniło niewidzialnym, czy nie, tego nie wiem, lecz z pewnością jej spojrzenie nie padło na mnie ani też nie poskutkowało jej...

Nagle przerwał i rzuciwszy się naprzód, ściągnął wodze konia niemal natychmiast, jakieś pięć jardów przed nimi.

–Stójcie! – krzyknął, podnosząc w górę dłoń. Rozkaz ten, wydany przez kogoś, kto zwykle nigdy nie rozkazywał, spowodował nagle zatrzymanie się całej kolumny. Jim i Brian ujrzeni, jak Dafydd pochylił się mocno w siodle i spomiędzy kępy krzaków z boku drogi podniósł coś, co rozpoznali jako strzałę.

Łucznik wyprostował się w siodle i zaczął się jej badawczo przyglądać. Jim i Brian podjechali do niego.

–Cóż ci się stało? – dopytywał się Brian. – To tylko strzała. Mógł ją zgubić jakikolwiek łucznik polujący tu na dziką zwierzynę.

Dafydd odwrócił ku niemu twarz tak srogą, że rycerz zeszytniał w swoim siodle.

–To strzała mego złocistego ptaszka! – powiedział łucznik. – I może być tutaj tylko jako wiadomość, że jest ona w kłopotach, a my powinniśmy mieć się na baczności!

–Ale jak możesz odczytać to wszystko ze zwykłej strzały? – spytał Brian.

–Czyż nie znam strzał mego złocistego ptaszka równie dobrze jak własnych? – rzekł do niego sucho Walińczyk. – Więcej nawet, nie znalazłaby się tutaj inaczej,

**gdyby nie miała mnie o czymś zawiadomić. Wiadomość ta dotyczy nas wszystkich, lecz odczytanie jej wymaga uważnych oczu.**

**–Bóg wie – zaklinał się Brian – że nie potrafię czytać z drzewc strzał. Odczytaj nam więc tę wieść, jeśli zawiera coś, co powinniśmy usłyszeć.**

**–Obawiam się, że tak – powiedział łucznik. – Zauważcie na początek, że jesteśmy teraz w miejscu, dokąd najdalej Danielle mogłaby wysłać strzałę z wysoka, z wieży Malencontri. Jest to też najdalszy chyba zakręt drogi, jaki można zobaczyć przez drzewa z tej wysokości. Jeżeli rozejrzycie się dokoła, to zauważycie, że nie ma w pobliżu drogi żadnych drzew. Danielle dobrze zna tę drogę, wiedziała więc o tym miejscu na niej. Wystrzeliła strzałę z całych sił w tym kierunku.**

**–Jesteś tego pewien? – spytał Jim. – Skąd możesz wiedzieć, że nie jest to strzała, którą zgubiła na polowaniu choćby parę tygodni temu?**

**–Popatrz – przekonywał ich wciąż ponury Dafydd spoglądając na Jima – tkwiła w ziemi niemal pionowo, zatem została wystrzelona wysoko w powietrze, żeby osiągnąć możliwie największą odległość. Drzewce było wydane na pastwę pogody najwyżej dzień czy dwa, umiałbym poznać gdyby tak nie było. Ponadto, jakby to powiedzieć, mój złocisty ptaszek nie gubi swoich strzał. Jak wszyscy dobrzy łucznicy, kiedy mierzy w cel, patrzy także poza cel, w miejsce gdzie strzała mogłaby upaść, żeby móc ją odnaleźć, gdyby chybiła, a wiecie dobrze, że nie chybia ona często. Właściwie to nie pamiętam, aby choć raz chybiła, choć to prawda, że nie strzela nigdy na takie odległości i do takich celów jak ja.**

**–Dobrze. Rozumiem, co masz na myśli – powiedział Jim. – Strzałę wystrzelono wysoko, ale skąd wiesz, że z zamku, by nas ostrzec?**

**–A z jakiegoż to powodu Danielle wystrzeliłaby strzałę w powietrze na chybił trafił? – zapytał Walijczyk. – Nie, nie, myśleć, że wystrzeliła ją bez powodu, to głupota. Jeśli zaś nie strzelała bez powodu, to jedynym prawdopodobnym miejscem, z którego taka strzała mogła nadlecieć, jest zamek. Poza tym w ogóle jedynym powodem dla jej wystrzelenia mogło być to, żebyśmy znaleźli strzałę po drodze do zamku. Najwyraźniej jest to wiadomość i ostrzeżenie.**

**–Ale równie dobrze mogłeś jej nie zauważyć przejeżdżając – zauważył Brian. – Sam przysięgam, że wcale jej nie widziałem, póki nie wyciągnąłeś jej z zarośli i trawy.**

**–Miałem nie zauważyć strzały z łuku kogoś, kogo kocham? – zdziwił się łucznik. – Czy mógłbyś nie zauważyć oddartego kawałka materii z sukni, którą, jak dobrze wiedziałbyś, twoja pani nosiła często, zaczepionego o krzak jeżyn w lesie?**

**–No cóż, nie – powiedział rycerz – ale czy nie jest to pewna różnica...**

**–Nie ma żadnej różnicy. Nie będę więcej tego powtarzał – odrzekł Dafydd. – W istocie dość tego gadania o tym, jak i skąd się tu wzięła ta strzała. Uwierzcie mi na słowo, że została wystrzelona, żeby nas ostrzec, i że niesie pewną wiadomość. To ta wiadomość jest ważna.**

**–Więc co z niej możesz wyczytać? – spytał Brian.**

**–Że Danielle, a zatem pewnie i wszyscy inni w zamku są tam teraz uwięzieni – odrzekł łucznik. – Strzałę wystrzelono albo wczesnym świtem, albo późno o zmierzchu, coby wyjaśnialoby, czemu nie trafiła w samą ścieżkę. Inaczej znaleźlibyśmy**

ją dokładnie w środku drogi. Jest w niewoli, wszyscy są w niewoli kogoś, kto jest naszym wrogiem. Ta strzała ma nas ostrzec przed wjechaniem bez przygotowania w zastawioną na nas zasadzkę.

–Ależ my nie mamy żadnych wrogów – powiedział rycerz. – Pomijając tę bandę, którą odparliśmy przed odjazdem do Francji, wszyscy sąsiedzi są naszymi dobrymi przyjaciółmi. Mało też prawdopodobne, żeby morscy rabusie tak wcześnie dotarli tak daleko w głąb lądu.

–Pomyśl raz jeszcze – przekonywał Walijczyk, przyglądając się strzale i nie podnosząc nawet głowy, żeby odpowiedzieć rycerzowi. – Uwięził ich ktoś, kto jest oznaczony czernią, czterema czarnymi znakami.

–Skąd to wiesz? – spytał Brian.

–Cztery z lotek zostały dotknięte inkaustem w głębi, blisko drzewca strzały, tak że oznaczenie nie rzuca się w oczy. Czy znamy kogoś, kto oznacza siebie i swoich ludzi czterema czarnymi liniami?

–Malvinne'a – powiedział Jim. Wypowiedział głośno to słowo, choć jasne było, że Brian skojarzył to sobie równie szybko, a łucznik połapał się w tym jeszcze wcześniej.

–Nie mogę w to uwierzyć – ciągnął Jim na poły do siebie. – Malvinne tutaj? I zdołał wyprzedzić nas na tyle, żeby wziąć mój zamek i zastawić na nas zasadzkę?

–Jesteś głupi, skoro zadajesz takie pytania, Jamesie – odezwał się jakiś chrapliwy głos i nagle obok nich znalazł się Aragh.

Popatrzyli na niego w dół, ze swoich siodeł.

–Araghu – spytał Jim – jak długo tu jesteś? Czy Dafydd nie myli się w tym wszystkim?

–Nie mógłby bardziej mieć racji – odparł wilk – a jeśli ty sam nie spodziewałeś się czegoś takiego, Jamesie, to tym mniej będę miał szacunku dla twego konceptu. Malvinne być może, zgodnie z tym, co mówiłeś w dzień po tym, jak opuściliśmy pole bitwy, pozbawiony został możliwości czynienia czarów. Lecz czy nie zauważyłeś, że odjechał wcześniej niż ktokolwiek inny, że oddalił się, zanim skończył się dzień, a minęła cała noc i pół dnia, a my sami udaliśmy się w drogę?

–To prawda – powiedział posępnie Jim. – Masz rację, Aragh. Powinienem był myśleć.

–Przydałoby ci się to, Jamesie – burknął wilk. – Szczerze ci to polecam. Czarnoksiężnik najwyraźniej jechał tak szybko w stronę wybrzeża, jak mógł, po drodze zbierając jakoś pieniądze i swoich ludzi, tak że pewnie dostał się na statek na długo przed nami. Mógł więc mieć mnóstwo czasu na dotarcie do Malencontri i odebranie go tej garstce, która go broniła, jeśli nie udało mu się zawładnąć nim podstępem. I od tamtej pory czeka na was. Miał też pewnie kogoś w Hastings i każdym innym z Pięciu Portów, kto czekał z rozkazem, by pośpieszyć do niego co siłą, jeśli ujrzy cię zstępującego na angielską ziemię. Ostrzeżony w ten sposób, niewiele miał kłopotu z obliczeniem czasu, jaki zajęłoby ci dotarcie tutaj, i z rozpoczęciem codziennego zastawiania zasadzki wystarczająco długo przed spodziewaną porą twego nadejścia. Nie pomyślałeś o niczym takim?

–Nie. Wstyd mi, ale nie – powiedział Jim, po części zasmucony, a po części wściekły. – Czułem tylko, że z tego czy innego źródła grozi nam niebezpieczeństwo.

–Ilu ludzi i jak uzbrojonych czai się w zasadzce zastawionej na nas przez Malwinne'a w Malencontri? – spytał praktycznie Brian.

–Wiedziano, że przybędziecie tą ścieżką, jeśli nie będziecie się niczego spodziewać – odrzekł Aragh. – Za zamkiem jest osiemdziesięciu konnych w dwóch grupach. Są dobrze ukryci i czekają na was. Nie są jak twoi zbrojni z lekką bronią i w lekkim rynsztunku. Wszyscy to ciężkozbrojni, gotowi, żeby wypaść zza obu stron zamku, skoro tylko wyjedziecie zza drzew na otwartą przestrzeń. Czekają na sygnał z zamku. Jak tylko ktoś tam na blankach zobaczy, że nadchodzicie, przekaże wieść o tym poniżej, za zamek, tym, którzy już tam czekają odziani w zbroje i z gotową bronią. Wtedy obie grupy siądą na koń i zaatakują was razem spoza skrzydeł zamku.

–Ilu mają strzelców, zarówno od długiego łuku, jak i od kuszy czy też od obu broni? – dopytywał się Dafydd.

–Naliczyłem osiemnastu – odrzekł wilk. – Powiedzmy dwudziestu do dwudziestu pięciu, dla większej pewności.

Łucznik powoli przetarł oczy i czoło wierzchem dłoni. Kiedy odjął rękę, oczy miał przymknięte. Otworzył je i odwrócił się w stronę stojących za nim ludzi.

–Kto zna każdy kąt w promieniu dwudziestu mil stąd? – zapytał podnosząc głos.

Odezwało się paru ludzi, ale tylko jeden przepchnął się naprzód. Był to już starszy zbrojny, spod krawędzi hełmu wystawały mu niechlujne kępkі siwych włosów, a policzki i brodę porastała lekko szara szczecina.

–Wychowałem się tutaj – powiedział, kiedy podszedł do wysokiego Walińczyka.

–Potrzebny mi będzie przewodnik – wyjaśnił Dafydd. Odwrócił się w inną stronę i dostrzegł Wata z Easdale, Clyma Tylera i Willa z Howe stojących niedaleko. Gestem przywołał do siebie Wata. – Ilu łuczników mamy teraz?

–Sześciu – odrzekł Wat. Twarz jego pozbawiona była wyrazu. – Włącznie z tobą.

–A w zamku jest dwudziestu do dwudziestu pięciu. Ilu z nich to łuczniczy, a ilu kusznicy, tego nie wiemy – powiedział Dafydd. – Ty koło mnie, jak cię zwą?

–Rób Aleward – odpowiedział zbrojny.

–Rób Aleward będzie twoim przewodnikiem, Wacie – rzekł Dafydd. – Chcę, żebyś przeszukał okolicę, obchodząc najbliższe osady, i sprowadził każdego mężczyznę, który kiedykolwiek naciągał luk. Nieważne, co będą twierdzić na temat swych umiejętności czy ich braku. Mają przyjść i strzelać dla lorda Jamesa. Powinni przyjść o choczko, lecz jeśli nie, to mają przyjść tak czy inaczej. Mogę ci w tym zaufać?

–Możesz mi ufać – rzekł Wat. Zwrócił się do Alewarda: – Zaprowadź mnie do najbliższego miejsca, gdzie będzie jakiś łucznik.

Odeszli we dwóch.

Walińczyk z powrotem odwrócił się do Jima i Briana.

–Słuchajcie, tylko tyle mogę zrobić – powiedział. – Chętnie szturmowałbym zamek w pojedynkę, jeśliby to coś pomogło, ale nie pomoże. Reszta należy do was, sir Brianie, i ciebie, milordzie.

Powrót Dafydda do używania tytułów podkreślił powagę chwili. Nie była to pora



na przyjaźń, uprzejmości czy w ogóle cokolwiek poza tym, kto najlepiej nadawał się do jakiego zadania. Jim odczuwał to równie wyraźnie jak łucznik. Zwrócił się do Briana.

–Brianie – powiedział – więcej masz z czymś podobnym doświadczenia, niż ja pewnie będę miał kiedykolwiek. Co proponujesz?

## Rozdział 42

Brian zmarszczył brwi w głębokim namyśle.

–Jedno, czego nie chcemy – rzekł – to wyjechać tam i pozwolić im się wyłapać jak rybom polującym na muchy. Przewyższają nas liczbą. Po sprawiedliwości, żeby wyrównać szansę, to my powinniśmy zasadzić się na nich, a nie odwrotnie. A to, Jamesie – popatrzył na Jima – jest właśnie odpowiedź, której sobie życzysz – powiedział. – Zasadzić się na nich. Ale niech mnie szlag, jeśli wiem, jak to urządzić. Jamesie, będziesz musiał wysilić koncept, żeby wykorzystać nasze środki.

Rycerz ma sporo racji, pomyślał Jim. Nie była to sytuacja wojenna, która pasowałaby do jego prostych, bezpośrednich rozwiązań. Z jego strony to było nie fair zwać wszystko na Briana i spodziewać się, że dostarczy mu ładnie i zgrabnie opakowane rozwiązanie.

–No cóż, pomyślimy – powiedział. – Za zamkiem siedzi osiemdziesięciu ludzi. Na pewno rozwalają się tam beczynn timer przez cały dzień, czekając na rozkaz, który każe im dosiąść koni i rozpocząć szarżę na nas zza zamku...

Rozmyślał głośno, ale była to jedyna rzecz, która przyszła mu do głowy w tej chwili.

–Jak się nad tym zastanowić, to przecież nie mogą zostawać tam na noc – kontynuował. – Muszą wychodzić z zamku rano i wchodzić do środka wieczorem. A kiedy są najbardziej bezbronni? Wcześniej rano, kiedy dopiero co się obudzili i wychodzą z zamku? Czy pod koniec dnia, po tym jak są zupełnie znudzeni, znużeni i gorąco im od siedzenia przez cały dzień w zbrojach i czekania na coś, co się nie wydarzyło?

–Sądziłbym, że pod koniec dnia – powiedział Brian. – Człowiek może być nieco sztywny i zziębnięty rano, ale rozgrzewa się dość prędko, gdy zacznie się coś dziać. Z drugiej strony, wieczorem, powiedzmy po posiłku, kiedy są wymęczeni nicnierobieniem. Najprawdopodobniej będą mieli ze sobą trochę na pieńku, jeden z drugim zacznie się nieco sprzeczać. Tuzin rozmaitych drobiazgów wytrąci ich z nastroju, w którym natychmiast i ochoczo ruszyliby pospołu do walki. Dodać do tego należy nagły zwrot okoliczności, co odbierze im animusz i popłacze rozeznanie tak, że zdawać się może, iż wszystko idzie na opak. I będziemy mieć oto grupę mocno zdezorientowaną, a zatem dużo łatwiejszą do pokonania i pobicia.

–Wiesz – przyznał Jim – masz rację, Brianie. Trafieś w samo sedno. Najlepiej, żeby zdarzyło się coś, czego się najmniej spodziewają. To my musimy ich zaatakować, nie oni nas. I nie tylko powinniśmy zrobić to w chwili, w której najmniej się tego spodziewają, ale i wymyślić coś, co naprawdę wprowadzi między nich popłoch.

Pomyślał o otwartej przestrzeni za swoim zamkiem. Tak jak w przypadku przestrzeni przed każdym zamkiem oczyszczono ją głównie w ten sposób, że ścięto drzewa, zostawiając zaledwie parę pieńków – pozwolono odrosnąć tylko trawie i innym drobnym roślinom, nie dającym teraz cienia. O tej porze roku trawa była uschnięta, a ziemia twarda. Dobre warunki, pomijając te kilka pniaków, do ataku jazdy na nieruchomego przeciwnika. Zaczął pracować głową, jakby umysł na nowo

się w nim ocknął.

– Jest w tym jeszcze inna sprawa – powiedział, znów myśląc głośno. – Po co Malwinne to robi?

– Dla zemsty – mruknął Brian – na tobie, Jamesie. Jaki inny mógłby mieć powód?

– To wystarczający powód, jak sądzę – powiedział Jim. – Kosztowałem go wszystko, co posiadał, i przyłożyłem rękę do zniweczenia jego najlepiej przemyślanego planu, a także do rozczarowania, jakie sprawił Ciemnym Mocom.

Wydaje mi się jednak, że ktoś taki jak Mahdne zaatakowałby dla czegoś więcej niż tylko dla zemsty. Tak, próbowałby się zemścić, ale próbowałby przy tym osiągnąć jakąś korzyść, która pozwoliłaby mu z powrotem dojść do władzy i pozycji, jakie poprzednio posiadał.

– Oczywiście – zgodził się rycerz – jeśli wziąłby cię żywcem, mógłby zabrać cię z powrotem do Francji, albo żeby trzymać cię tam dla okupu, albo nawet żeby cię wzięto pod sąd za jakieś przewinienie wobec francuskiego prawa. Coś, co by sprawiło, że straciłbyś to, co zyskałeś w oczach Francuzów i Anglików, kończąc bitwę zawieszeniem broni. Być może ma nadzieję pojednać się z królem Jeanem.

– Tak – powiedział Jim w zamyśleniu. – Musiał to wszystko przygotować, żeby mnie pojmać i uwięzić, a być może także ciebie i Dafydd, nie zaś zabijać. Nawet moja skarga na niego do Wydziału Kontroli będzie wyglądać słabiej, jeśli nadejdzie od kogoś, kto jest w niewoli właśnie u tego, kogo oskarża.

– Z pewnością nie osądziliby przeciw tobie – odezwał się Dafydd, który do tej pory nie wtrącał się do rozmowy. – Na pewno będą podejmować decyzję na podstawie faktów dotyczących tej sprawy, a nie tego, jak rzeczy pozornie wyglądają.

– Nie, nie sądzę – powiedział Jim. – Lecz jeśli już o tym mowa, jest to coś, o co chciałbym zapytać Carolinusa, gdyby tu był. Jednakże mówiłeś o wtrąceniu w konfuzję rycerzy Malwinne'a, czy kim tam oni są, przez coś niespodziewanego. Są przyodziani i uzbrojeni do walki z konia i niewątpliwie będą mieć przy sobie wierzchowce. Zgoda, są dużo ciężiej uzbrojeni i lepiej chronieni niż nasi ludzie. A gdyby tak musieli walczyć na piechotę, a nasi ludzie byłiby wciąż konno, z lekkimi włócznikami? Jak sądzisz, czy nasi ludzie mogliby wtedy działać coś przeciw tamtym?

Jim popatrzył na Briana. W oczach rycerza zamigotał złośliwy błysk.

– Z całą pewnością, Jamesie – potwierdził. – Same zbroje ludzi Maga wystarczą, żeby im skrępować ruchy, gdy będą na piechotę, podczas gdy nasi lekkozbrojni jeźdźcy ze swoimi lancami mogliby ich rozjechać bez większego trudu. Ale jak zamierzasz pozbawić tych ludzi koni?

– Właśnie wpadłem na pewną myśl – powiedział Jim. – W każdym razie nie chcemy już dzisiaj podróżować dalej do zamku, prawda? – Nie czekał na odpowiedź, bo pewien był potwierdzenia. – Jeśli ukryjemy się na krawędzi lasu, ale dość dobrze, to możemy zobaczyć dziś wieczorem, czyli zaledwie za kilka godzin, jak będą wracali do zamku. Możemy ich dokładnie policzyć, a zarazem zorientować się nieco, z jakim zmierzmy się przeciwnikiem. Tymczasem Wat niech dalej przeszukuje okolicę. Nie mam pojęcia, czy znajdzie jakichś łuczników, czy kogokolwiek, kto mógłby razem z

nami walczyć, ani czy...

–Nie myśl tak – przerwał mu Brian – jesteś już znany jako dobry pan w swoim domostwie i we wszystkich swoich ziemiach. Doszły mnie takie słowa. Odważyłbym się rzec, iż stawi się przynajmniej pół setki ludzi wszelkiego wieku i postawy, choć ilu z nich przyda się nam, nie wiem. Czy masz jednak jeszcze jakieś pomysły, Jamesie?

–Tak – powiedział Jim – zobaczymy, co powiesz na to. Pozostaniemy w ukryciu przez dzisiejsze popołudnie i noc. W nocy z pomocą miejscowych ludzi, którzy wiedzą, jak poruszać się po lesie, przejdziemy lasem za zamek, gdzie rozstawimy naszych ludzi półkolem, tak że będą mogli wypaść na ludzi Malwinne'a naraz z wielu stron. W nocy zbadamy też, w jaki sposób powiązane są ich konie, podczas gdy oni czekają w ciągu dnia. Być może coś da się zrobić, żeby poluzować trzymające je więzy w taki sposób, by ludzie czarnoksiężnika nie zorientowali się jutro rano, że pęta ich koni zostały osłabione.

–To dobry pomysł – skomentował rycerz.

–Następnie – ciągnął Jim – jutro, w pewnej chwili, zrobimy coś, co wystraszy ich konie. Potem uczynimy, co się da, żeby zapędzić je do lasu, a przynajmniej daleko od ludzi Malwinne'a. Wtedy pozostali z nas uderzą konno z lasu i zobaczymy, co się da zrobić przeciw rycerzom bez koni.

–To dobry plan, Jamesie! – powiedział Brian. – Świetny doprawdy. Ale jak zamierzasz wystraszyć ich konie, żeby zerwały się i uciekły? Myślałeś może o tym, żeby zamienić się w smoka i nadlecieć na nie niespodziewanie? To by zmusiło do ucieczki każde stado.

–Obawiam się, że nie możemy użyć tego sposobu – powiedział Jim. – Nie wyraziłem tego może jasno, ale Malwinne nie jest jedynym Magiem pozbawionym możliwości czynienia czarów. Ja jestem drugim. Od początku byłem tylko Magiem klasy D z niewielkim kredytem w Wydziale Kontroli. Zużyłem go we Francji, i to dość prędko.

–Ależ – rycerz spojrział na niego zdziwiony – te czary w zamku, niewidzialność...

–Dzięki Carolinusowi – powiedział Jim. – Pozwolił mi tymczasowo obciążyć wydatkami jego własny kredyt.

–To znaczy – dopytywał się Brian – że nie możesz teraz robić zupełnie żadnych czarów, Jamesie?

–Mogę robić czary – powiedział Jim – ale nic się nie stanie, bo nie mam nic na koncie w Wydziale Kontroli, dzięki czemu mogłyby zadziałać. Tak, że przynajmniej na razie to niemożliwe, żebym zamienił się w smoka. Nie mogę uczynić nic więcej jak tylko to, co może zrobić każdy z nas w swym zwykłym, normalnym wcieleniu.

–To diablo niepomysłny stan rzeczy! – powiedział zamyślony rycerz, trąc sztywną, jasnobrązową szczecinę, która zakiełkowała mu na szczęce. – Nie potrafię w tej chwili wymyślić innego sposobu, żeby wystraszyć te konie tak mocno, że pozrywają pęta i uciekną.

–Wszystkie konie boją się ognia – powiedział Jim – zwłaszcza te, które są związane i nie mogą od niego uciec. A gdybyśmy zaczęli całą sprawę od tego, że kilku z naszych ludzi kazalibyśmy wylecieć galopem z lasu blisko jednego skrzydła

zamku i ciągnąć za sobą pęki płonących gałęzi? Gdyby pojawili się znienacka i jechali szybko, ludzie w zbrojach nie mieliby czasu, żeby ich powstrzymać. Same palące się gałęzie wystraszyłyby konie, a trawa o tej porze roku jest tam wysoka i sucha. Niemal na pewno mogliby ją w ten sposób podpalić, a przynajmniej zaczęłyby się tlić.

To by nie tylko wystraszyło konie, ale i dało nieco do myślenia ludziom Malwinne'a.

–Na świętego Dustana! – zakrzyknął rycerz. – Myślę, że wpadłeś na coś, co mogłoby ich wszystkich rozproszyć właśnie wtedy, kiedy rozpoczniemy szarżę, Jamesie!

Przez chwilę spoglądał w kierunku słońca.

–Do zachodu są przynajmniej trzy godziny – ciągnął – ze swej strony nie mogę się doczekać, aż dostaniemy się za ten twój zamek i odkryjemy, jak przywiązane są ich konie. Najlepiej jednak, jeżeli poczekamy tu, gdzie jesteśmy, póki nie zobaczymy, że wracają do zamku, policzymy ich szeregi i dowiemy się z ich wyglądu, czego się da. Klnę się, że nie będzie to łatwe oczekiwanie.

–Dla mnie – powiedział Dafydd – dość będzie roboty z nowymi łucznikami i tymi, których Wat może znaleźć.

Tak się złożyło, że ochotnicy z okolicznych sadyb zaczęli nadchodzić niemal w chwili, gdy łucznik to powiedział. Wat najwyraźniej postąpił według rozsądnego zwyczaju, zakładając kwaterę w pierwszym miejscu, przy którym się zatrzymał, i stamtąd wysyłając posłańców we wszystkich kierunkach.

Jim był zdumiony ich liczbą, a wciąż nadchodzili nowi. Zmuszony był jeszcze raz zdać sobie sprawę z czegoś, czego wcześniej nie doceniał w pełni w tym świecie, który był teraz jego domem.

Całkiem obznajomiony był z faktem, iż rycerze uwielbiali walczyć i że zbrojni oraz łucznicy nie pozostawali za nimi daleko w tyle. Raz się uniósłszy, niełatwo dawali się powstrzymać. Nigdy jednak naprawdę nie dotarło do niego to, że przyjaźni i pokorni oracze, drwale i wyrobnicy z ziem, które posiadał jako lord Malencontri, będą dzielić tę samą beztroską radość, mając na widoku coś, co łatwo mogło stać się śmiertelną walką.

Przychodzili młodzi i starzy, od chłopców liczących nie więcej niż osiem czy dziesięć lat do białobrodych pochylonych starców, sztywnych od artretyzmu, z nożami u pasa, niosących kosy, oskardy, siekiery – a jeśli nie było nic „innego – to zwykle drewniane pałki.

Większość z nich nie przydałaby się na wiele przeciw ubranym w pełne zbroje i doświadczonym wojownikom, nawet jeśli ci ostatni walczyliby na piechotę, a nie z konia. Jednakże serce Jima dziwnie rosło, a duch się w nim rozgrzewał dzięki temu ochoczemu odzewowi jego włości. Należało to częściowo przypisać, jak przypuszczał, faktowi, iż uważano, że jest on takim dobrym panem, choć sam nigdy nie sądził, że czymś się tu wyróżnia.

Najwyraźniej już samo to, że nie traktował ich źle, wystarczało, żeby zaczęli uważać go za dobrego. Ale ważniejsze nawet było to, że dosłownie nie mogli się

doczekać, kiedy pójdą do walki. Dla kogoś z dwudziestego wieku było to zagadką. Najwidoczniej każda bitwa stanowiła taką rozrywkę jak współcześnie cyrk czy parady – a jakiegokolwiek rozrywki były rzadkimi, jasnymi chwilami w życiu większości z nich.

Ludzie ci, razem ze zbrojnymi i łucznikami, rozłożyli się wśród drzew okalających zamek, dość głęboko w ich cieniu, żeby nie zauważono, że stamtąd obserwują. Słońce się zniżyło i dokładnie o zachodzie pierwszych dwóch spośród ciężkozbrojnej jazdy Malwinne'a ukazało się zza przeciwległych skrzydeł zamku i zbliżyło się do opuszczonego zwodzonego mostu. Przejechali po nim wśród stukotu kopyt i przez bramę wjechali na zamkowy dziedziniec.

–Osiemdziesięciu ludzi, dokładnie – powiedział Brian, gdy ostatni zniknął w cieniu bramy.

–Czy nie mówiłem? – warknął Aragh.

–Istotnie, mówiłeś, panie wilku – rzekł rycerz – i nie szło o to, żebym nie ufał twoim rachunkom, tylko sam musiałem zobaczyć – nie tyle, ilu ich jest, co jakie mają zbroje i broń i jak jadą. Ten oddział to nie żadna zbieranina, Jamesie. To wszystko weterani, nawykli do siodła. Będą równie nawykli do swego oręża, gdy nadejdzie czas.

–Niewielką miałem nadzieję, że będzie inaczej – stwierdził ponuro Jim.

–Ja też – powiedział Brian. – Ale patrząc na to z jaśniejszej strony, czy zauważyłeś, że choć jechali razem, to w niespecjalnie przyjacielski sposób? Albo mają dla siebie nawzajem niewiele sympatii, albo całodniowe oczekiwanie, jak przypuszczałem, znużyło ich tak, że będą musieli podjąć sobie i popić, żeby powrócił im dobry nastrój. Most zwodzony podniesiono.

–Teraz – powiedział rycerz – im szybciej dostaniemy się na tyły zamku, kiedy jest jeszcze dość widno, żeby się przyjrzeć polu, tym lepiej. Będziemy pozostawać w cieniu samego zamku, co pomoże nas osłonić, ale może także ukryć przed nami pewne właściwości gruntu.

Przesunęli się zatem do drzew otaczających oczyszczony teren zamku. Tutaj nie tylko większość pola pozostawała w cieniu zamku, ale ogólnie mówiąc, Malencontri stanowiło jedną litą ścianę z kamienia, z niewielką liczbą punktów obserwacyjnych, nie licząc blanków na szczycie.

Jim, Brian i Dafydd, pozbywszy się zbroi i broni, i wyglądając, o ile się dało, jak miejscowi ludzie, wysunęli się naprzód, by zbadać miejsce, w którym kryło się wojsko Malwinne'a w ciągu dnia. Nie chodzili w jakiś specjalnie ustalony sposób, ale dokładnie przyjrzeni się gruntowi. W ich obecności nie było nic dziwnego, nawet gdyby dostrzeżono ich z zamku, gdyż należało wręcz spodziewać się, że niektórzy z biedniejszej części gminy będą przeczesywali grunt tam, gdzie lepsi od nich spędzili dzień, w nadziei znalezienia czegoś wartościowego czy przydatnego, co mogło zostać zgubione lub wyrzucone.

Cichy gwizd Briana przyciągnął uwagę Jima. Podniósł głowę, a widząc, że rycerz ukradkiem go do siebie przyzywa, dołączył do niego.

Brian pochylał się nad polacją stratowanej trawy, gdzie najwyraźniej były wcześniej konie.

–Popatrz – powiedział do Jima po cichu – ich konie są przywiązane tylko do kołków wbitych w ziemię. Można by chyba odgarnąć trochę ziemi, tam gdzie kołek jest wbity, przeciąć go częściowo, a potem z powrotem nagarnąć ziemię. W ten sposób kołek powinien wytrzymać każde normalne szarpnięcie, ale łatwo go będzie wyłamać, jeśli zwierzę naprawdę się przerazi. Poczekajmy, aż zapadną głębsze ciemności, i spędźmy ten czas oznaczając miejsca kołków. Potem możemy nad nimi popracować, kiedy przez całą noc będziemy osłonięci przed wzrokiem każdego strażnika.

Zrobili tak i jakieś pół godziny później około piętnastu kryjących się postaci – Jim, Brian, Dafydd i nowi ochotnicy – zajętych było przecinaniem kołków nożami, raczej na wyczucie niż w jakiś inny sposób, i zakrywaniem nacięć cienką warstwą ziemi.

Skończyli i wycofali się do lasu, zanim światło księżyca mogło ich tam przyłapać. Nie było zwyczajem gminu pozostawanie poza domem po zapadnięciu ciemności w równym stopniu dla potrzeby zbudzenia się o wschodzie słońca i rozpoczęcia pracy, co z zabobonnych obaw przed tym, czym mogła im grozić noc.

Miejscowi zabrali do swych małych domostw łuczników i zbrojnych. Brian, Jim i Dafydd zdecydowali obozować na powietrzu, wokół ogniska rozpalonego w lesie, w bezpiecznej odległości i pod wystarczającą osłoną drzew, żeby płomieni nie zauważono z zamku. Żadna z niewielkich chat, które przyjęły tych niższych rangą, nie posiadała kwater, jakie Brian uważał za dość porządne dla rycerza, a poza tym, w ten sposób odosobnieni, mogli przedyskutować swoje plany.

Jim miał osobiste powody, żeby nie wstępować do jednej z chat swoich własnych włości. Chaty te roily się od pcheł, wszy i innego robactwa. Niezupełnie udało mu się uchronić przed nimi w czasie podróży do Francji i z powrotem, chciał jednak utrzymać, w miarę możliwości, czystość, dopóki nie dostanie się do zamku, każe porządnie wygotować i wyczyścić swoje ubranie i weźmie kąpiel w zaciszu jego i Angie kwatery.

Wieczór wciąż był pełen zajęć, ludzie się krzątali tam i z powrotem. Trzeba było przygotować wiązki gałęzi, które miały zostać podpalone. Dafydd miał też szczegółowe instrukcje do wydania łucznikom. Udało mu się wybrać przynajmniej tuzin potencjalnych strzelców z trzydziestu czy czterdziestu, którzy się stawili. Zadaniem ich miało być głównie powstrzymanie każdego łucznika czy kusznika na blankach od strzelania w tłum na dole, gdy już atak się rozpocznie. Przynajmniej mogli zachęcić dobrych strzelców na górze, żeby głowy trzymali nisko. Dowódcy zbrojnych także należało wydać szczegółowe rozkazy.

Niemniej, według oceny Jima, około godziny dziesiątej wszyscy się rozeszli. Ogień się dopalał, bliski już stania się kupką żarzących się węgli. Wszyscy owinęli się w swoje derki od siodeł, a Brian i Dafydd zasnęli, jakby dzień jutrzejszy miał nie różnić się niczym od każdego innego dnia. Umiejętność tę Jim zauważył i zazdrościł im jej już wcześniej.

On sam jakiś czas leżał bez snu, myśląc nie tyle o walce, co o warunkach, w jakich uwięziono Angie w zamku. Pocieszając się ostatecznie wiarą, że nie opłacałoby się Malwinne'owi dręczyć tych trzech kobiet w zamku, póki nie upewni się, że trzyma

**Jim i jego dwóch towarzyszy mocno w garści, zapadł w końcu w sen.**

**Obudził się, jak i pozostali, o świcie. Zaledwie rozpalili swoje obozowe ognisko, żeby się rozgrzać, gdy kilku z włościan Jima przyniosło im jedzenie i domowej roboty piwo na śniadanie. Jim, ku swemu własnemu zaskoczeniu, głodny był jak wilk, podobnie jak zresztą Dafydd i sir Brian. Powiedział sobie, że być może zaczyna mimo wszystko przyzwyczajać się do tutejszych warunków.**

**Napełnili swoje bukłaki piwem i zrobili pakuneczki z części jedzenia, które nie zepsułyby się zbyt szybko, przywiązali je do siodła i zajęli się rozstawianiem swoich sił na pozycjach. Trzeba to było, jak powtarzał Brian, zrobić, zanim zbrojni jeźdźcy wyjadą z zamku, żeby żaden hałas ani ruch nie przyciągnął ich uwagi czy też uwagi kogoś z zamku.**

**O zwykłej porze niczego się nie spodziewający wrogowie nadjechali, zsiadli z koni, przywiązali je do tkwiących w ziemi kołków i rozsiedli się do rozmaitych gier, począwszy od gry w kości, a skończywszy na jakiejś grze podobnej do szachów.**

**Teraz rozpoczęła się część trudniejsza.**

**Jak poprzedniego wieczora podkreślał Brian, muszą teraz czekać, aż rycerze, zbrojni, czy czym tam byli wojownicy Malvinne'a, porozsiadają się, spodziewając się kolejnego długiego dnia oczekiwania. Czekanie było tym razem prawie tak samo trudne dla ludzi ukrytych w lesie dookoła jak i dla samych ciężkozbrojnych.**

**Prawie, ale niezupełnie. Przede wszystkim ludzie wyczekujący w lesie byli w cieniu i mieli względną swobodę ruchów. Ludzie rozstawieni na tyłach zamku głośno przeklinali światło słońca i polowali na niewielkie połacie cienia, gdy słońce wznosiło się, a cień rzucany przez zamek małał.**

**Potem nadszedł w końcu moment, na który czekał Brian. W południe z zamku wyszła służba, niosąc posiłek dla żołnierzy. Ku satysfakcji wszystkich patrzących tamci podjedli sobie obficie. Nie tylko dlatego, że nie było powodu, aby sobie żałować, ale wyraźnie nie spodziewali się, że Jim, Brian, Dafydd i reszta ukażą się przed południem czy nawet końcem dnia.**

**Wreszcie nasyceni wyciągnęli się dookoła na trawie, zbyt napchani, żeby choć kontynuować gry, którymi zabijali czas. Brian – który był naturalnie dowódcą polowym, zaakceptowanym w tej roli przez wszystkich od Jima począwszy w dół – rozesłał słowo wśród ludzi ukrytych półkolem w otaczającym zamek lesie, aby byli gotowi.**



## Rozdział 43

Gdy ciężkozbrojni objedzeni drzemali w słońcu, które nie zostawiało już ani skrawka cienia na tyłach zamku, w lesie za prawym jego skrzydłem rozległ się chrapliwy okrzyk bażanta. Odpowiedział mu niemal natychmiast drugi okrzyk z lasu koło zachodniego skrzydła.

Nagle z obu krańców otaczającego pole lasu wypadły galopem po trzy konie, których biegu raczej nie hamowały wiązki płonących gałęzi, jakie każdy z nich ciągnął za sobą, i rzuciły się całym pędem przez otwartą przestrzeń, zmierzając w kierunku siebie nawzajem i przywiązanych do palików wierzchowców.

Drzemiący w słońcu wojownicy Malvinne'a wsparli się na łokciach, a potem zaczęli niezgrabnie podnosić się na nogi. Zanim udało się to większości z nich, sześciu jeźdźców minęło się, a brązowa, sucha trawa, po której ciągnęli płonące gałęzie, zapłonęła. Przywiązane konie rżały z przerażenia, uwalniając się od kołków i rozbiegając we wszystkich kierunkach.

Tymczasem galopujący jeźdźcy zniknęli wśród drzew, nie zapominając jednak o odcięciu i pozostawieniu palących się gałęzi. Spętane wcześniej konie również znikły.

Sucha trawa paliła się wesoło, dając sporo dymu, nie tyle, by zasłonić pole, ale wystarczająco dużo, żeby dostać się do nosów i oczu wojowników i sprawić, że ciekło im z obydwu tych miejsc. Podczas gdy próbowali oni wprowadzić w swoje szeregi jakiś ład, uwagę ich przyciągnął na nowo grzmot końskich kopyt. Z lasu ze wszystkich stron wypadli na nich jeźdźcy. Lecz nie byli to nie uzbrojeni miejscowi, tak jak jeźdźcy na pierwszych sześciu koniach. Byli to zbrojni w lekkim rynsztunku, z włóczniami, zmierzający prosto do celu. A celem ich byli ci, którzy dopiero co stracili własne wierzchowce. Mimo że próbowali schodzić na boki i dobyć mieczy, to w ciągu paru minut dwie trzecie z wojowników Malvinne'a leżało na ziemi, widząc ostrza noży w otworach przyłbic i słysząc żądanie poddania się.

Piętnastu czy dwudziestu wciąż jeszcze trzymało się na nogach. Zbili się w ciasną grupę, wznosząc tarcze i broń w gotowości w groźnej obronnej formacji w kształcie jeża, która nie powinna dać się tak szybko rozgromić jak pojedynczy ludzie. Mimo to uderzenie lancy trzymanej przez jeźdźca w lekkiej zbroi na stosunkowo lekkim koniu okazało się skuteczne. Ci w zewnętrznym kręgu jeża zostali powaleni albo podtrzymywały ich tylko ramiona towarzyszy.

Ostatecznie jeź został podzielony na części. W tym momencie Jim i Brian przestali być dowódcami polowymi i sami wkroczyli do boju. Pozbawieni odwagi ludzie, których napotykali szarżując konno, nie byli w stanie stawić im oporu. Po niedługim czasie żaden z wojowników Malvinne'a już nie stał. Tymczasem z góry, z murów, zaczęli strzelać kusznicy, ale łucznicy na zewnątrz zamku także oddawali im strzały.

Szybko położono kres tej wymianie, bardziej dzięki niemal czarodziejskim zdolnościom Dafydda i jego trzech wspaniałych kompanów niż umiejętnościom łuczników, którzy dołączyli do nich w drodze powrotnej, czy tych amatorów, którzy w większości nigdy przedtem nie strzelali do czegoś większego niż królik. Ci z zamku zostali szybko albo ranieni, albo zabici, albo też strach zmusił ich do zaprzestania

strzelania.

Brian rozejrzał się po polu pełnym leżących strzał.

–Kto tu dowodzi? – krzyknął.

Jedna z postaci w ciężkiej zbroi z trudem podniosła się na nogi.

–Ja, Charles Bracy du Mont – wychrypiał.

–Czy ty i twoi ludzie poddajecie się wszyscy, czy mamy zacząć podryzać gardła?! – krzyknął rycerz.

I nie była to czcza pogroźka. Włóścianie, którzy zebrali się na pomoc Jimowi, wyszli właśnie z lasu w liczbie stu czy więcej, każdy z nożem i pełnym zapału wyrazem twarzy.

–Ja... poddam się – powiedział Bracy du Mont.

–A twoi ludzie? – tym razem to Jim odezwał się ostro.

–I wszyscy, którzy są ze mną – odpowiedział tamten i nogi ugięły się pod nim z wyczerpania.

–Rozbroić ich i związać im ręce za plecami! – rozkazał Brian.

Bracy du Mont podniósł gwałtownie głowę.

–Jak to? – krzyknął. – Wiazać nas? Ja i większość tu obecnych jesteśmy pasowanymi rycerzami! Daliśmy swój parol!

–Rycerze, którzy walczą w służbie Ciemnych Mocy, nie mają parolu – powiedział Brian. – Związać ich wszystkich!

–Co teraz? – spytał Jim Briana, gdy wszyscy pojmani ludzie zdolni do chodzenia zostali zebrani i skrupowani razem.

–Teraz zaprowadzimy ich związanych przed wejście do zamku – odpowiedział z powagą rycerz. – Zgaduję, że była to większa część sił Malwinne'a, a łucznicy Dafydd uciszyli tych na górze na blankach. Zobaczmy teraz, czy czarnoksiężnik ma dość rozsądku, żeby poddać zamek...

Słowa Briana zostały nagle przerwane przez pewną przeszkodę. Przeszkoda ta spowodowałaby na pewno spore zamieszanie na polu, gdyby większość ludzi nie była zbyt zajęta, by zaobserwować jej zbliżanie się. To Secoh wyładował ciężko jakieś piętnaście stóp przed Jimem.

–Jim! – wykrzyknął radośnie, a kilka strzał wymierzonych przez mniej wprawnych miejscowych łuczników przeleciało obok niego, na szczęście w takiej odległości, że Secoh mógł ich nie zauważyć. – Dobrze cię znów widzieć! W imieniu smoków błotnych przynoszę ci oficjalnie ich słowa powitania!

–No cóż... podziękuj im – powiedział Jim, dochodząc do siebie po wstrząsie, jakim było niespodziewane zjawienie się Secoha. – Musiały być doprawdy poruszone, jeśli zdołały się zebrać i podjąć taką uchwałę w tak krótkim czasie od mojego powrotu.

–No – potwierdził Secoh. – Właściwie to nie miały jeszcze na to czasu, więc tak czy inaczej wziąłem na siebie przekazanie ci tej wiadomości. A smoki z Cliffside chcą się dowiedzieć, czemu jesteś w okolicy od przeszło dwudziestu godzin i wciąż nie oddałeś im paszportu.

–Czy one poszalały, smoku? – wybuchnął Brian. – Byliśmy za bardzo zajęci, żeby myśleć o paszportach!

–Dokładnie to samo im powiedziałem – odrzekł Secoh. – Ale wiecie, jak to jest, ulubiony klejnot każdego smoka, i tak dalej... Gdybyś dał mi teraz paszport, Jimie, to mógłbym polecieć z nim do nich bez żadnej dalszej zwłoki.

–Nie uczyni nic podobnego – zaczął rycerz z czymś, co wyglądało na niezłą furię, ale Jim położył mu dłoń na ramieniu, żeby przerwać jego słowa.

–Myślę, że tak będzie lepiej, Brianie – powiedział. – To zajmie tylko kilka minut. – Wybaczcie – rzekł do rycerza, Dafydd i wszystkich innych, którzy mogli go słyszeć. – Będę potrzebował trochę świętego spokoju, to znaczy muszę побыć trochę na stronie. Widzicie, to dlatego, że jest to związane z Magią.

–Ależ, Jimie – powiedział Brian – mówiłeś nam przecież, że twoje czary...

Tym razem sam się powstrzymał, i to zdaniem Jima, w samą porę.

–To szczególny przypadek, Brianie – odparł Jim. – Wrócę za chwilę.

Odszedł między drzewa. Właściwie sam się zastanawiał wieczorem po rozmowie z Carolinusem na polu bitwy we Francji, czemu -jeśli czarodziej nie mylił się, mówiąc, że Jim tylko korzysta z jego kredytu, żeby rzucać swoje czary – miał jeszcze dość możliwości, żeby zmniejszyć paszport do rozmiarów nadających się do połknięcia. Jedynym rozwiązaniem, jakie potrafił wymyślić, było to, że w tym jednym przypadku wciąż wolno mu było używać kredytu Carolinusa.

Teraz, w cieniu drzew, po kilku chwilach prób przypomnienia sobie właściwej procedury udało mu się wykaszleć paszport w formie pigułki. Sam z siebie powrócił on do swoich zwykłych rozmiarów worka pełnego klejnotów i Jim zaniósł go w obu rękach z powrotem Secohowi.

–Myślę, że to mądrze z twojej strony, Jamesie, że zwracasz mi teraz ten paszport – powiedział smok odbierając go z wdzięcznością. – Zaniosę go prosto do Cliffsides... ee, chwileczkę. Wiesz, mój własny wkład w te klejnoty...

Postawił worek na ziemi, rozwiązał go i sięgnął do środka. Przez kilka chwil grzebał w nim z mocno zaniepokojonym wyrazem pyska, który raptownie ustąpił miejsca promiennej radości. Wyciągnął z worka łapę ze szponami zaciśniętymi na perle, którą na początku ofiarował na paszport.

–Wspaniale! – powiedział spoglądając na nią. Wetknął ją do pyska, ukrywając w policzku, i pośpiesznie zawiązał worek i rozpostarł skrzydła. – Wkrótce się zobaczymy, Jamesie!

Wystartował i szybko poleciał w górę, aż złapał wysoki prąd termiczny i poszybował w dal, w kierunku Cliffsides.

–No dobrze – odezwał się Brian tonem dalekim od zadowolenia. – Jeśli to mamy z głowy, może moglibyśmy zaprowadzić tych więźniów przed wejście do zamku?

–Ależ oczywiście – odrzekł spiesznie Jim. Rozpoczęli swój marsz dookoła zamku. Oczywistym prawem Jim, Brian i Dafydd prowadzili. Za nimi oddział doświadczonych zbrojnych i łuczników poprzedzał więźniów, którzy szli nierówną kolumną czwórek, za nimi podążała bezładna czereda miejscowych ochotników z wyciągniętymi i gotowymi, na wszelki wypadek, nożami.

Obeszli północno-wschodnie skrzydło zamku. Zwodzony most był opuszczony, a Malyinne stał na ziemi przed nim w towarzystwie zakutej w pełną zbroję postaci, z

opuszczoną przyłbicą, tarczą na ramieniu i maczugą w ręce. Za tymi dwoma, rozciągając się wzdłuż mostu i bramy na wewnętrzny dziedziniec, stało jeszcze kilka szeregów wojowników o podobnym rynsztunku i broni jak u tych, których dopiero co pokonano na tyłach zamku. Wydawało się, że po prostu czekają na nadejście Jima, Briana, Dafydd i pozostałych.

Cała scena przybrała wygląd niemal zorganizowany, jeśli nie sformalizowany. Na swych wierzchowcach trzech przyjaciół poprowadziło resztę ludzi powoli, odchodząc nieco od murów, zakręcając i wracając, aż przystanęli z całą kolumną za nimi. Zatrzymali się około dziesięciu stóp przed Magiem i złowrogo milczącą uzbrojoną postacią.

Choć niebo nie było tego popołudnia całkiem zachmurzone, to pojawiło się kilka obłoków i słońce nie oświetlało bezpośrednio tej sceny. Blade światło dawało zakutej w metal nieruchomej postaci obok Malwinne'a ciężkie, metalowe lśnienie.

–Jamesie – powiedział Brian cicho, utkwivszy spojrzenie prosto przed sobą w czarnoksiężniku – obawiam się, że od tej pory ty musisz dowodzić i przemawiać.

–Tak też zamierzałem – odrzekł szorstko Jim, nie próbując wcale zniżyć głosu. Myślał o Angie i innych uwięzionych gdzieś w zamku.

Zsiadł z konia. Idąc za jego przykładem Brian i Dafydd także zsiadli i postąpili z nim do przodu.

–Co zamierzasz, Jamesie? – zapytał Malwinne, gdy Jim zatrzymał się o dwa kroki od niego.

–Zamierzam szybko wyrzucić cię z mojego zamku – powiedział Jim. Teraz, gdy stał twarzą w twarz z czarnoksiężnikiem, czuł, że ogarnia go zimny gniew. Jakim prawem ten pozbawiony różdżki Mag klasy AAA zachowywał się dalej tak, jakby to on ustalał reguły gry?

–Twojego zamku, Jamesie? – spytał Malwinne wyciągając głowę w jego kierunku jak zaciekawiony ptak. – Zdaje mi się, że mieszkałeś w nim niedługo.

–Jednakże – powiedział Jim – jest mój z nadania króla Edwarda.

–Hmmm – rzekł w zamyśleniu Mag. – Czy nie zainteresuje cię wieść, iż istnieje drugi dokument, który ci go odbiera? Właśnie czeka w Londynie tylko na podpis króla. Wiesz, że w pewnych sytuacjach podpisze on właściwie wszystko, żeby tylko dano mu spokój?

–Czemu niby miałbym w to wierzyć? – zaperzył się Jim. – A nawet gdyby, to co to ma wspólnego z sytuacją, jaka tu panuje? Okupujesz mój zamek i życzę sobie, żebyś się wyniósł. Wynocha, a za każdą szkodę, jaką w nim uczyniłeś, czy krzywdę wyrządzoną przebywającym w zamku ludziom pociągnę cię do odpowiedzialności!

–Myślisz może o naszym spotkaniu, wkrótce, na życzenie Wydziału Kontroli? – powiedział Malwinne. – Mógłbyś się zastanowić nad tym, że oskarżenia, jakie wniosłeś, będą wyglądały nieco słabo, gdy okaże się, że wnosi je człowiek, który jest moim więźniem.

–Nie jestem twoim więźniem.

–Och, wkrótce jednak będziesz – odrzekł czarnoksiężnik. – Jak mówiłem, być może oskarżenia będą brzmieć jak próba obrony bardzo kiepskiego, młodego Maga

w kiepskiej sytuacji, polegająca na oskarżeniu starszego praktyka w Sztuce w celu odwrócenia uwagi od własnego położenia.

–Nie wierzę, że Wydział Kontroli działa w taki sposób – mówił Jim, znudzony trochę tą pogawędką. – W każdym razie, jak powiedziałem, nie jestem twoim więźniem.

–Ale jak ja powiedziałem, wkrótce będziesz – rzekł Malwinne. Jego głos przybrał uroczyste tony. – Teraz przed zgromadzonymi tu ludźmi oskarżam cię o kłamstwa na mój temat, zarówno co się tyczy twoich ostatnich oskarżeń, jak i wielu innych okazji.

Jim poczuł nagle, że coś jest nie w porządku, coś odsunęło od niego poprzedni zimny gniew. To, co zrobił właśnie czarnoksiężnik, było w kategoriach tego świata rzuceniem osobistego wyzwania przez jednego rycerza drugiemu. Jim był oczywiście rycerzem i niewątpliwie także tamten był kiedyś pasowany, czy przynajmniej zyskał szlachectwo, więc w sensie doraźnym zaliczał się do warstwy szlacheckiej.

–Wyzywasz mnie? – zapytał, mając nadzieję, że skłoni tamtego do powiedzenia czegoś więcej.

–Tak – powiedział Mahdnne. – No cóż, niezupełnie ja sam, gdyż jestem już stary. Skorzystam więc z faktu, że jestem Magiem, a zatem należę do sfery, która ma prawo wybierać sobie walczącego zamiast nich Orędownika. Mój Orędownik stoi obok mnie.

Odwrócił się do milczącej, metalicznej postaci z opuszczoną przyłbicą, stojącej obok niego.

–Czyż nie jesteś po mojej stronie, mój Orędowniku? – zapytał.

Postać powoli podniosła przyłbicę i Jim oniemiał.

Była to twarz, którą widział tylko raz przedtem, ale której nigdy nie zapomniał. Twarz człowieka, który, jak sądził, wciąż ucieka i ukrywa się gdzieś na kontynencie. Twarz sir Hugh'a de Bois de Malencontri, któremu stawiał czoło na grobli prowadzącej do Twierdzy Loathly ponad rok temu, po tym, jak sir Hugh zmusił podstępnie Secoha do przywołania Jima w dół, gdzie jego kusznicy mogli mieć go w zasięgu swoich bełtów.

–Jestem tu i jestem twoim Orędownikiem – odezwało się kwadratowe, grubokościste oblicze spod odsłoniętej przyłbicy. Uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Nie jestem też czymś zrobionym ze śniegu, jak mógłbyś myśleć, sir Jamesie. To ja, we własnej osobie, stoję przed zamkiem, który należał do mnie i wkrótce z podpisem króla na tym dokumencie w Londynie znów stanie się moją własnością, gdy raz się okaże, że jesteś więźniem Malwinne'a. Gdyż będziemy mieć próbę walki i będzie to z bożej – słowo to zabrzmiało gorzko w ustach sir Hugh'a – woli, że okażesz się rycerzem kłamliwym i tchórzliwym, bez praw do swoich ostróg, a także tej ziemi i zamku!

Mówiąc to ściągnął jedną ze swych rękawic i gdy skończył, rzucił ją Jimowi w twarz.

Jim zrobił niespodziewane odkrycie. To dlatego ludzie, którym rzucono w twarz rękawicę jako wyzwanie, skłonni byli potem natychmiast ją podjąć. Wzmocniona metalem rękawica uderzyła go w twarz jak jakaś broń. Nagle krwawił mu nos,

krwawiło mu brzydkie rozcięcie na wardze i czuł, jak obluzował się jeden z zębów. Jediną rzeczą, która powstała mu teraz w głowie, było dorwać się do sir Hugh'a jak najprędzej.

Rękawica opadła z jego twarzy na ziemię, lecz zanim mógł ją podnieść, Brian złapał go za ramię i odciągnął parę kroków do tyłu, żeby móc przemówić cichym głosem, którego czarnoksiężnik ani sir Hugh nie mogli posłyszeć.

–Jamesie! – głos rycerza brzmiał tak, jakby chciał wytrącić Jima z jego obecnego wybuchu emocji. – Jamesie!

Posłuchaj mnie! Nie możesz walczyć z sir Hughem! Słyszysz, nie możesz z nim walczyć. Sam też jesteś Magiem, jeśli nawet niższym rangą niż Malwinne, to masz jednak równe prawo, żeby wybrać Orędownika. Będę twoim Orędownikiem. Muszę podjąć za ciebie tę rękawicę. Nie dotykaj jej sam!

–Do diabła z tym orędownianiem! – powiedział Jim, nieco niewyraźnie, z powodu puchnącej już górnej wargi. – Potnę tego sukinsyna na tyle kawałeczków...

–Jeślibyś umiał, byłbym za tym całym sercem! – rzekł rycerz wciąż tym samym cichym, nagłym głosem. – Ale posłuchajże mnie, Jimie! To ja, Brian, który całą minioną zimę uczyłem cię walczyć, mówię ci, że nie masz więcej szans naprzeciw sir Hugh'a niż jakieś dziecię przeciw samemu Lancelotowi z legend. Jest rycerzem wielkiego doświadczenia. Zgadzasz się z tobą, to psi pomiot. Ale mimo to ten sukinsyn jest jednym z najlepszych wojowników, jakich znam. Ufam Bogu ponad wszystko, ale tym razem nie będę Go kusił, pozwalając, żebyś walczył z Hughem. Próba walki, toż to farsa! Słyszysz mnie, Jimie?

–Słyszę – warknął Jim, oblizując krew z pęknięcia na wardze – ale posłuchaj ty mnie, Brianie. Ja i nikt inny, tylko ja będę z nim walczył!

–Jamesie, jeśli przez sympatię dla mnie... – zaczął rycerz, gdy Jim odsunął go na bok, ruszył naprzód i pochylił się, żeby zgarnąć rękawicę. Trzymając ją mocno w dłoni, wyszczerzył zęby w krwawym uśmiechu do sir Hugh'a.

–Przyjmuję to wyzwanie osobiście, w imię Boże! – powiedział, używając formuły, której nauczył się od sir Briana całe miesiące temu.

## Rozdział 44

Gmin był zachwycony. Mimo wszystko będą mieli cyrk. Czy też, jeśli nie cyrk, to coś bardzo doń zbliżonego, czyli oficjalny pojedynek między dwoma rycerzami, z których jeden, sir James, był ich własnym panem i cieszył się u nich gorącą sympatią.

Zazwyczaj ludzie ich rodzaju nigdy nie mieli okazji oglądać prawdziwego pojedynku. O takich zdarzeniach opowiada się potem wnukom, mimo że w obecnych warunkach brakowało większości ze zwykłego w podobnych przypadkach ceremoniału.

Pozostał jednak element najistotniejszy, czyli to, że dwaj rycerze mieli się tłuc nawzajem na śmierć i życie przed wszystkimi zgromadzonymi widzami, a zwycięzca zostanie uznany za tego, który z boskiego wyboru miał słuszość po swej stronie.

Wzniesiono dwa prowizoryczne namioty, nie tyle dla przygotowań mających się potykać rycerzy czy zapewnienia każdemu miejsca do jakiejś szybkiej pomocy medycznej, ale po to, żeby postąpić w zgodzie z obyczajem.

W rezultacie Brian miał Jima dla siebie tylko przez chwilę i przez ten czas w namiocie zajęty był wydawaniem mu instrukcji co do prowadzenia walki.

–Byłeś durniem, Jamesie, podnosząc tę rękawicę – powiedział. – Ale cóż, mówi się trudno. Najwyraźniej była to wola boska, żebyś tym razem ty sam walczył z sir Hughem, a nie ja. – Rycerz przeżegnał się. – Nikt nie ma większej ode mnie wiary w wolę boską – mówił – ale będzie ci potrzebne coś w rodzaju cudu, żeby wygrać ten pojedynek z sir Hughem. A teraz słuchaj mnie uważnie.

Początkowa wściekłość Jima już wygasła. Pozostała zimna determinacja, by wyjść i dać z siebie wszystko, żeby posiekać sir Hugh'a na kawałeczki, ale teraz był na tyle spokojny, by dostrzec zdrowy rozsądek w tym, co mówił Brian i być gotowym wysłuchać go.

Sam był aż nadto świadom swoich niedociągnięć w umiejętności władania czternastowieczną bronią i jak najbardziej wierzył Brianowi, kiedy tamten mu mówił, że sir Hugh jest wielce utalentowanym przeciwnikiem.

–Mów, Brianie – poprosił, wytarłszy sobie twarz wilgotnym płótnem. Ząb nie był aż tak obłuzowany, jak mu się wydawało. Miał nadzieję, że znów mocno wrośnie w dziąsło. – Jestem gotów wysłuchać wszystkiego, co masz mi do powiedzenia. Mów zatem. Jakim sposobem mógłbym najlepiej go pokonać?

–Dobrze, Jamesie – zgodził się rycerz. – Najgorszym na to sposobem jest ruszyć do walki będąc wściekłym i bezmyślnym. Sir Hugh na pewno nie będzie zapalczywy, kiedy wystąpi, i ty też nie powinienes. Popatrzmy teraz, jaka jest sytuacja. Jesteś nowicjuszem, mimo kilku małych potyczek, jak ta przy wyzwaniu mego zamku. Praktycznie biorąc, w rękach Hugh'a powinienes być zabawką. Jednakże on też ma swoje niedoskonałości, które możesz wykorzystać.

–Na przykład? – spytał Jim.

–Właśnie miałem je wyliczyć – stwierdził Brian. – Popatrzmy najpierw na to, co mamy. Niewielką posiadasz umiejętność we władaniu orężem, ale jesteś młody i silny. Sir Hugh doskonale posługuje się bronią, i też jest silny, lecz cokolwiek

starszy. Jest też dwadzieścia pięć do trzydziestu funtów cięższy. Wiele z tego to mięśnie, co jest przyczyną, dla której powinieneś, o ile to tylko możliwe, unikać jego ciosów, ale po części to tłuszcz. A w końcu mamy twoją główną przewagę, którą jest twoja niezwykła szybkość ruchów. Jamesie, samymi unikami możesz umknąć większości jego ciosów, czy nawet wciągnąć sir Hugh'a w pułapkę, kiedy jego miecz nie będzie uniesiony, a ty będziesz ustawiony do zadania ciosu.

–Mów dalej – zachęcił go Jim.

–Będzie wolał używać maczugi, którą przed chwilą nosił – powiedział rycerz. – W połączeniu z ciężarem jego ramienia uczyni go to bardzo niebezpiecznym, nawet dla zbroi płytowej, jeśli udałoby mu się doprowadzić cios do celu. Tarcza długo nie wytrzyma przeciw maczudze. Ponadto twój hełm nie jest tak dobrze wyściełany, żeby solidny cios maczugi nie mógł cię zabić. Nie wybrali jeszcze mistrza ceremonii, który poniesie laskę i rzuci ją, kiedy walka będzie miała zostać zakończona. Jednakże z pewnością tak uczynią, skoro rozgłoszonym zamiarem Malwinne'a jest wziąć cię raczej jako więźnia, niż zabić. To ci daje jeszcze jedną, niewielką przewagę. Wolno ci zabić sir Hugh'a, jeśli będziesz miał po temu okazję. On jednak będzie próbował uniknąć zabicia ciebie, to jest, chyba że w ogniu walki da się ponieść własnym emocjom.

–I to są wszystkie przewagi, jakie mam? – dopytywał się Jim.

–Cierpliwości, Jamesie – rzekł rycerz. – Miałem właśnie wymienić dalsze z nich. Mówiąc krótko, zaletami sir Hugh'a są jego masa i doświadczenie, twoje to młodość, szybkość i zwinność. Nigdy nie opanowałeś sztuki wskakiwania na konia. Ale widziałem już, jak wyskakujesz w górę wyżej, niż mnie się to kiedykolwiek uda. Tak więc, powinieneś toczyć ten pojedynek w taki sposób, aby umknąć ciosom sir Hugh'a, zmusić go do ciągłego podążania za tobą, zmęczyć go i wtedy na niego uderzyć.

–Tylko ta maczuga – zaczął Jim, ale Brian mu przerwał.

–Spróbujemy sprawić, żeby zamienił maczugę na inną broń. Pozwól mi ogłosić, że będziesz nosił mój długi, dwuręczny miecz.

–Co? – spytał z niedowierzaniem Jim.

Nigdy nie lubił ćwiczeń z dwuręcznym mieczem. Jak dla niego był za wielki i niewygodny. Poza tym sir Brian był zwolennikiem takiej wyjściowej pozycji, która wydawała się Jimowi doprawdy wielce pokraczna.

Trzymało się rękojeść miecza obiema dłońmi, jakby się miało zamiar rąbać nim jak siekierą. Zamiast jednak zbliżać się do przeciwnika z mieczem wyciągniętym prosto przed siebie, trzymało się go mocno w dłoniach uniesionych na wysokości czoła, z brzeszczotem skierowanym ostrzem do dołu, praktycznie równoległe do ciała.

Brian przysięgał, że ta szczególna pozycja, mimo niezgrabnego wyglądu, pozwalała szybko odpierać ciosy z każdego kierunku, a także uderzyć w nogę lub głowę przeciwnika bez ostrzeżenia. Jim ćwiczył ją i musiał przyznać, że w tym, co mówił rycerz, tkwiło trochę prawdy. Wciąż jednak myślał, że musi istnieć jakiś lepszy sposób użycia tej broni.

–Dlaczego dwuręczny? – spytał Briana.



–Dlatego, że znacznie powiększa zasięg twoich rąk, a już i tak twoje ręce mają kilka cali przewagi nad Hughem de Bois – rzekł rycerz. – W rezultacie gdybyś miał używać dwuręcznego, a on pozostał przy swojej maczudze, miałby trudności z osiągnięciem ciebie. Ty mógłbyś go uderzyć, choć sam byłbyś wciąż poza jego zasięgiem. Ponadto oszczędza ci to ciężaru tarczy, co, skoro celem jest zmęczenie go, będzie znaczącą korzyścią.

–W porządku, rozumiem to – powiedział Jim, wciąż niezdecydowany.

–Ale on nie pozostanie przy swojej maczudze, kiedy cię zobaczy – ciągnął Brian, jakby Jim się w ogóle nie odzywał. – On także zmieni broń na dwuręczny miecz.

–Aha. – Jim zaczął dostrzegać w tym wszystkim cień szansy.

–Końcowym efektem – powiedział rycerz – będzie to, że przejdzie z terenu własnej siły na twój teren.

–Aha – powiedział znów Jim.

–Czy jest on równie dobrze wyszkolony w dwuręcznym mieczu, nie możemy stwierdzić – ciągnął Brian. – W każdym razie twoim zadaniem jest trzymanie się z dala od niego i atakowanie swoim mieczem jego ramienia od miecza i nogi. Dwuręczny nie jest taki jak zwykły miecz, który można przerzucić do drugiej ręki, jeśli człowiek zostanie ranny w ramię. Będziesz bez tarczy. Pamiętaj więc, polegaj na swojej szybkości i zwinności, Jamesie, a będziesz miał przynajmniej szansę!

Jim zaczął podnosić się na duchu. Na początku był tylko opętany wściekłością. Potem, gdy Brian zaczął mówić, wkradło się w jego duszę wątpliwość. Teraz wątpliwości te go opuściły. Istotnie wierzył w możliwości swoich nóg, bardziej nawet, niż to wiedział Brian.

–Teraz odziejemy cię w zbroję, Jamesie, uzbroimy i przygotujemy – powiedział rycerz.

Dwadzieścia minut później wyszli z namiotu i dowiedzieli się, że Theoluf i jeden z ciężkozbrojnych zostali obwołani strażnikami szranków. Trzymali obaj nieduże kije ze świeżo ściętego drzewa jako buławy. Spoglądali na siebie spode łba z przeciwległych stron turniejowego pola odgrodzonego sznurami od ciżby.

W normalnych okolicznościach wzniesiono by trybunę z siedzeniami dla dostojników i notabli przyglądających się walce. Skoro jednak nic podobnego nie było do dyspozycji w Malencontri, w centrum pola, przy boku bliższym zamkowi, wkoło Carolinusa tłoczyło się kilku ludzi. Czarodziej pojawił się wraz ze swoją różdżką równie wysoką jak on sam, a w wolnej ręce trzymał trzecią buławę.

Jim i Brian podeszli do niego. Był już tam sir Hugh. Mag zjawił się i po prostu wziął na siebie sędziowanie nie proszony przez nikogo. Gdy zbliżyli się, Malwinne wciąż protestował przeciw temu.

–Nie ufasz koledze-Magowi, Malvinnie? – spytał Carolinus.

Czarnoksiężnik zabełkotał coś.

–Wiesz, o co mi chodzi! – mówił. – Jesteś tak samo stronniczy w tej sprawie jak ja!

–Nie rozumiem, czemu miałbym być stronniczy, Śmierdzielu – powiedział całkiem spokojnie Carolinus. – To prawda, że jeden z zawodników jest moim uczniem, ale

dobrze imię Maga mojej klasy z pewnością pozwala to zlekceważyć. Poza tym skąd weźmiesz kogoś innego do pełnienia tej roli? Ktoś pod wpływem Ciemnych Mocy byłby nie do przyjęcia w takiej próbie przed Bogiem, a żadna zacna osoba nie pełniłaby tej funkcji dla ciebie, tym bardziej że w Wydziale Kontroli są przeciw tobie oskarżenia.

–Proszę bardzo! – powiedział niechętnie Malwinne. – Ale kiedy odpowiem na stawiane mi zarzuty, nie omieszkać donieść o każdym twoim stronnictwym zagraniu.

–Donoś sobie, Śmierdzielu – skwitował czarodziej – a tymczasem mógłbyś się odsunąć, żebym widział pole i zawodnika, który się zbliża ze swoim towarzyszem.

W rezultacie jego ostatnich słów uwaga wszystkich skierowała się na podchodzących Jima i Briana.. Nadeszła pora na zwyczajowe pytania i odpowiedzi. Jim odpowiadał poprawnie.

–Będę niósł tylko dwuręczny miecz – oznajmił.

–Proszę bardzo – powiedział Carolinus. – Akceptujemy to. Twój przeciwnik zażyczył sobie, aby nie było żadnej walki konnej. Zgadzasz się na to?

Jim przystał na to z wielką gotowością i wiedział, że stojący obok Brian czuje dokładnie to samo. Najślabszą stroną Jima były potyczki konne. Wiedział też, czemu Malwinne to zaproponował. Pieszko sir Hugh miał możliwość ogłuszyć go uderzeniem albo zmusić do poddania się. Z kopią jednak i konno nie było sposobu, w jaki sir Hugh mógłby wybrać między takim użyciem broni, które by zabiło, a takim, które by tylko obezwładniło. A jak Brian przypominał Jimowi, czarnoksiężnik chciał mieć go jako więźnia.

–Zgadzam się – rzekł Jim. Carolinus zwrócił się do sir Hugh.

–Jak rozumiem, będziesz nosił maczugę i tarczę? – spytał poprzedniego pana na Malencontri.

–Nie – powiedział sir Hugh, uśmiechając się ponuro do Jima. – Żeby się nie zdawało, że mam jakąkolwiek przewagę, odrzucę moją tarczę i będę nosił jak on tylko dwuręczny miecz.

–Wspaniale. – Mag mówił tym samym chłodnym, urzędowym tonem. – Możecie teraz udać się do przeciwległych krańców szranków. Strażnicy zostaną poinformowani, by unieśli swe buławy. Kiedy pozwolą ramionom trzymającym je opaść, możecie zacząć zbliżać się do siebie. Potem, niech Bóg chroni sprawiedliwego!

Jim odwrócił się i z Brianem przy boku ruszył do wschodniego krańca szranków. Skręcił w tę stronę zupełnie automatycznie, nie zastanawiając się, i dobrze, że tak zrobił. Krótka chwila, na którą zatrzymał się sir Hugh pozbywając się maczugi i zastępując ją dwuręcznym mieczem, dała Jimowi szansę wybrania tego krańca szranków, w którym słońce miałyby za plecami.

Co prawda wkrótce słońce byłoby i tak dokładnie nad ich głowami i niewielka to różnica, kto z której strony stał. Poza tym, kiedy będą chodzić dokoła, Jim równie dobrze mógłby stać twarzą do wschodu, czy tego chciał, czy nie. Jednak w tej chwili była to jeszcze jedna drobna przewaga.

Mimo chmur dzień był ciepły.

Z jakichś dziwnych przyczyn mieli dobrą pogodę nie tylko w Anglii, ale i w czasie przeprawy przez kanał, a także, kiedy byli we Francji. Teraz, gdy powrócili do Anglii, pogoda wciąż była dobra. Jim zastanawiał się leniwie, gdy szedł ciężkim krokiem ku odległemu krańcowi szranków, czy Ciemne Moce miały z tym coś wspólnego. A może coś tak potężnego jak pogoda było poza ich zasięgiem?

Doszedł do końca szranków i odwrócił się. Sir Hugh jeszcze szedł do swojego końca. W chwilę potem dotarł do niego i odwrócił się, stając twarzą w kierunku Jima. Stali teraz w odległości około pięćdziesięciu jardów. Strażnicy jednocześnie podnieśli ręce tak, że trzymali buławy ponad głowami. Potem, na znak Carolinusa, opuścili je.

Jim rozpoczął długi marsz w stronę swego przeciwnika.

Sir Hugh także zbliżał się do niego. Niósł, jak zobaczył Jim, swój dwuręczny miecz w tej samej pozycji gotowości co on.

Wielki, miecz nie wyglądał niezgrabnie trzymany, w tej pozycji przez sir Hugh'a. Odnosiło się wrażenie, jakby dzięki długiej praktyce tamtemu było wygodnie tak go nieść. Przez chwilę Jim obawiał się, że sam sposób, w jaki trzyma swój miecz, zdradzi przeciwnikowi jego brak doświadczenia. Potem wyrzucił z głowy tę myśl i skoncentrował się na rzeczach istotnych.

Zaczął myśleć o różnych krokach, które pamiętał ze swych dwudziestowiecznych dni z gry w kosza i siatkówkę. Stworzony był do obydwu gier. W tej chwili próbował określić, które manewry, jeśli w ogóle jakieś, mogłyby mu się przydać w tym nadchodzącym starciu.

Jedno, co mu się przyda, pomyślał, to fakt, że nauczył się zwodzić przeciwnika ruchem ciała, ale bez przemieszczania stóp. Ponadto sir Hughowi może być nie znane zejście w bok, z nagłym obrotem, które go ustawiało nieco z boku przeciwnika, zanim tamten mógł się zorientować, co się stało. Spojrzał przed siebie.

Widziana przez przyłbicę postać sir Hugh'a znacznie urosła. Byli już bardzo blisko siebie. Teraz dzieliło ich tylko kilka kroków. Gdy znaleźli się w zasięgu swoich broni, rycerz bez ostrzeżenia puścił rękojeść, wypuścił z rąk swoją broń, potem przykucnął i złapał ją znowu dobre osiem cali niżej. Z ostrzem tuż ponad ziemią rzucił się w górę, mierząc w stronę hełmu Jima.

Jedyną rzeczą, która ocaliła Jima w tej chwili, było to, że zdecydował się już zrobić unik ciałem w prawo, ale nie zmieniając pozycji stóp, a potem wykonać szybkie zejście z obrotem podobne do koszykarskiego manewru, o jakim myślał. W rezultacie był już w ruchu, kiedy sir Hugh rozpoczął swój wypad, i ostrze długiego miecza przecięło tylko powietrze. Sądząc, że tamten odsłonił się szeroko na cios, Jim z rozmachu ciął własnym ostrzem w kierunku bliższego ramienia przeciwnika.

Lecz sir Hugh, wciąż pochylony, zdołał się odwrócić i podnosząc swój miecz do gardy z ostrzem w górę, odparował większość siły tego ciosu, tak że tylko czubek ostrza Jima otarł się o metal na jego ramieniu. Podniosły się okrzyki wśród miejscowych, którzy wyraźnie wzięli to za skuteczne uderzenie. Jim sam jednak wiedział, że takie nie było. Cofnął się prędko, gdy ostrze rycerza ześlizgnęło się po jego własnym i z pozycji gardy zostało znów pchnięte w stronę hełmu Jima.

Jeszcze raz przeciwnik sięgnął tylko powietrza, bo Jim był poza jego zasięgiem.

Sir Hugh wyprostował kolana w czymś, co było niemal skokiem, żeby znów znaleźć się w odległości umożliwiającej mu uderzenie. Ponownie trzymał swój wielki miecz w pozycji ostrzem na dół i tym razem wyrzucił go naprzód, żeby ciąć Jima w nogę, lecz w połowie ataku zmienił kierunek cięcia, tnąc jeszcze raz w bark czy głowę Jima.

Jim odwrócił się w prawo i ostrze chybiło. Zaczynał jednak widzieć pewien cel tego, co robił przeciwnik. Rycerz ten miał nadzieję obezwładnić Jima bez zabijania go jakimś rodzajem uderzenia w głowę, najchętniej takim, które przesunęłoby mu hełm na ramionach w ten sposób, że Jim nic by nie widział przez otwór w przyłbicy. Jim zablokował ostrze rycerza i był niemile zdziwiony kryjącą się za nim siłą. Brian nie przesadził mówiąc, że sir Hugh ma silną górną połowę ciała.

Walczyli dalej, przeciwnik nacierał, a Jim cofał się i robił uniki. Stopniowo taktyka obu rycerzy stała się jasna dla widzów i zbrojnych Malwinne'a, siedzących rzędami na trawie na wprost szranków, z rękami wciąż związanymi na plecach.

Zaczęli oni szydzić i gwizdać. Jim nie miał czasu, żeby zwracać na to uwagę, ale kątem oka ujrzał, jak jego i Briana zbrojni chodzą wzdłuż szeregów siedzących ludzi. Drwiny się skończyły, przecięte w jednym przypadku dość gwałtownie.

Pojedynek trwał. Jim wyglądał oznak świadczących o zmęczeniu sir Hugh'a, lecz żadnych nie widział. Niestety, jednocześnie uświadomił sobie, że on sam już się męczy. Te ciągle szybkie zwroty w słońcu rozgrzewającym im zbroje odbierały mu siłę.

Przyszło mu do głowy, że może nieco przesadził z tymi zwrotami i unikami, zużywając energię, podczas gdy rycerz zachowywał swoją.

Próbował wymyślić, co by zrobił, gdyby przyszło mu porzucić dotychczasową strategię. Nie przychodziło mu jednak do głowy żadne rozwiązanie. Miał dość dowodów, po kilku ześlizgujących się, lecz bardzo godnych uwagi ciosach przeciwnika, by pojąć, że tamten znacznie go przewyższał w bliskim zwarciu.

Nogi Jima trzymały się nieźle. Nie wątpił zresztą nigdy, że tak będzie. Jednak ramiona i barki męczyły mu się od wymachiwania ciężkim mieczem.

Prości ludzie z włości Jima, którzy się przyglądali walce, nie drwili, ale wygląd mieli ponury. Najwyraźniej tak jak wojownicy Malwinne'a oni też doszli do wniosku, że Jim boi się swego przeciwnika i robi, co może, żeby go unikać.

Cóż, pomyślał kwaśno Jim, mają rację, przynajmniej częściowo.

Ale uniki nie mogły trwać wiecznie. Wcześniej czy później dojdzie między nimi do wymiany ciosów i Jimowi nie spodobała się myśl o tym, co mu się zdarzy, kiedy do tego dojdzie.

Myśl ta utkwiała mu w głowie tak, że dopiero po otrzymaniu kolejnego z ześlizgujących się ciosów sir Hugh'a, tym razem w bok, gdy jeszcze raz odsunął się skrętem ciała, zorientował się, że cios ten nie był taki mocny jak niektóre z tych, jakie rycerz wymierzał mu wcześniej.

Nie przyszło mu wcześniej do głowy, że ramiona przeciwnika także mogą się zmęczyć. Spodziewał się tego po swoich własnych, ale podświadomie przyjmował, że tamten będzie tak mocny w tułowiu jak on w nogach. Ostrożnie przyjął cięcie, które mógł przynajmniej częściowo zablokować. Istotnie wydało mu się, że sir Hugh nie

uderza z taką siłą, z jaką przedtem zadawał ciosy.

Jak Jim wiedział, rzeczą zwykłą dla bokserów jest stopniowe zmęczenie ramion w trakcie walki. Zwiększało się ono często, jeśli przeciwnik okładał pięściami mięśnie tego samego ramienia. Te kilka ciosów Jima rycerz przyjął na ręce. Istniał cień prawdopodobieństwa, że to właśnie teraz przynosiło skutki.

Jednak, kiedy skupił się na tym zmęczeniu ramion, stawał się coraz bardziej świadomy rosnącej słabości swoich własnych rąk. W końcu doprowadzi to do tego, że nie będzie w stanie wymierzyć sir Hughowi skutecznego pchnięcia, które mogłoby coś mu zrobić przez zbroję. Krótka mówiąc, jego czas był ograniczony. Znaczyło to, że niedługo będzie musiał przejąć inicjatywę i natrzeć na przeciwnika. Wtedy będą to osłabione ręce tamtego przeciw jego własnym.

Tymczasem robił, co mógł, żeby zmęczyć nogi sir Hugh'a. Okręcał się teraz prawie całkowicie dokoła tamtego rycerza i uderzał nań niemalże prosto z tyłu. Pod hełmem po czole Jima spływał pot i kapał mu na oczy. Cała jego zbroja sprawiała wrażenie, jakby wyściółka nasiąkła całkiem wodą. Zastanawiał się, czy przeciwnikowi doskwierają podobne trudności i następnym razem, kiedy przewinął się blisko niego, specjalnie nasłuchiwał.

Tak, wewnątrz własnego hełmu sir Hugh chrapliwie dyszał.

Teraz ręce Jima były już bardzo zmęczone. Pora była zaryzykować. Zaczął kolejny ze zwykłych uników i obrotów, ale tym razem nie dokończył go. Stał nieruchomo i przyjął cały rozmach miecza rycerza na swój miecz.

Wstrząs szarpnął jego rękoma aż do łokci. Zdawał się jednak nie mieć śmiercionośnej siły wcześniejszych uderzeń sir Hugh'a. Nagle rozbudziła się w Jimie nadzieja. I tak jego ramiona doszły już niemal do kresu możliwości wymierzania skutecznych ciosów. Stojąc w miejscu odparował następny cios przeciwnika i oddał go bez robienia uniku.

Żaden z nich nie przyjmował już pozycji z ostrzem skierowanym w dół. Obaj trzymali miecze prosto, ostrzem naprzód, i zadawali sobie na zmianę ciosy. Od tego nowego, pozycyjnego sposobu walki Jima zaczęło ogarniać upojenie. Skończył z walką z cieniem i ulgą było po prostu przyjmować i oddawać uderzenia. Rósł w nim entuzjazm, gdy nawet poprzez własne chwyty powietrza słyszał w swoim hełmie ciężkie sapanie sir Hugh'a. Przez chwilę bawił się myślą, iż rycerz jest już tak zmęczony, że są sobie równi. Wszystko, co musi zrobić, to dalej tak rąbać, a wkrótce zwycięstwo będzie jego.

Wciąż o tym myślał, kiedy klinga przeciwnika, nadchodząca, jak się zdało, znikąd, rąbnęła pełną siłą w przód jego hełmu i obróciła mu go częściowo na ramionach. Zdarzyło się to, czego się obawiał, ale jeszcze nie całkiem. Wciąż prawym okiem widział przez lewą stronę otworu w przyłbicy.

Jednoczynny pozbawiony był wyczucia głębi i co za tym idzie, oceny odległości. Ogarnęła go taka wściekłość, jakby otwarto drzwi rozpalonego do białości paleniska. Zrobił właśnie to, czego obiecywał sobie nie robić, a przed czym ostrzegwał go Brian. Próbował zmierzyć się z sir Hugh'em tam, gdzie ów był od niego silniejszy. Obaj ledwie trzymali się na nogach, ale jeden decydujący cios któregośkolwiek

rozstrzygnąłby walkę. Niewiele już pozostało w nich siły, by uderzać. Zachwiał się nagle od wstrząsu po pełnym uderzeniu miecza rycerza o zbroję osłaniającą jego prawe ramię, po stronie, z której był ślepy.

–Mam cię... ty psi pomociu! – sapnął tamten.

Zdał sobie sprawę, że byli już obaj poza etapem brania jeńców. Zwłaszcza Hugh zdecydowany był go zabić i zdawało się, że ma teraz dobrą po temu sposobność. Następne ześlizgujące się uderzenie przesunęło hełm Jima jeszcze bardziej. Teraz już w ogóle ledwie widział swego przeciwnika. W każdej chwili Hugh mógł wybrać miejsce, w którym wylądowałaby krawędź jego miecza, i byłby to początek końca dla Jima.

Następny cios będzie rozstrzygający. Jim pomyślał nagle o swoim pojedynku z wodzeni piratów, kiedy on i Brian, z garstką zbrojnych, ruszyli na odsiecz Zamku Smythe. Nogi miał wciąż w porządku.

Wyskoczył w górę. Wyskok wyniósł jego talię niemal na wysokość ramion rycerza. Była to ostatnia rzecz, jakiej rycerz ten się spodziewał, toteż zawahał się na małą chwilę przed wymierzeniem ciosu, który miał właśnie zadać.

W tym momencie silne nogi Jima wyrzuciły jego stopy w podwójnym kopnięciu na osłonięte zbroją ramiona, które okładał swoim mieczem przez cały czas trwania walki.

Sir Hugh runął do tyłu, na plecy. W sekundę później Jim stanął na ramieniu tamtego, które wciąż trzymało rękojeść dwuręcznego miecza. Przyłożył czubek swego miecza do szczeliny w jego hełmie.

–Poddajesz się? – wysapał.

–Poddaję – doszedł do niego chrapliwy głos rycerza. Jednocześnie okrzyki „stać!” dobiegły z obu końców pola. Jim podniósł oczy i ujrzał obydwu strażników, jak biegli ku niemu odrzuciwszy buławy. Buława Carolinusa leżała też na ziemi. Wyraźnie myśleli, że jest tak przepelniony żądzą mordy jak przedtem sir Hugh, i właściwie, to chyba był. Ale w każdym razie teraz już mu przeszło.

Cofnął się, zabierając stopę z dłoni, z której przeciwnik wypuścił już teraz miecz.

Jim kopnął miecz poza zasięg ręki powalonego rycerza i stał przez chwilę, kołysząc się na nogach ze znużenia, zanim gorąco jego zbroi, wyczerpanie walką i reakcja na zwycięstwo nie sprzysięgły się przeciw niemu. Świat zawirował wkoło niego i Jim upadł.

## Rozdział 45

Jim był nieprzytomny nie dłużej niż parę sekund. Ocknął się słysząc wołanie Carolinusa.

Kiedy z wielkim wysiłkiem powstał znów na nogi, na pozór nic dookoła niego nie zdawało się odmienne niż przedtem. A jednak coś się zmieniło. Chmury spiętrzyły się formując nad nimi jednolitą, ciężką, ciemną zasłonę. Wiatr zerwał się znikąd i wiał we wszystkich naraz kierunkach. To z prawej, to z lewej, to znów, zdawało się, prosto z góry na dół. Różdżka w dłoniach Carolinusa urosła o połowę swojej długości i Mag trzymał ją teraz wyżej.

Brian i Dafydd stali obok czarodzieja i także trzymali różdżkę obiema rękami. Co dziwniejsze, nawet Aragh pojawił się znikąd i chwycił zębami różdżkę blisko jej dolnego końca. Nawet stąd, gdzie stał, James widział, że potężne szczęki wilka są zamknięte, zupełnie zaciśnięte. Złowrogie, żółte zębiska musiały na wylot przejść przez drewno.

Wszyscy oni zdawali się próbować utrzymać różdżkę w pionie mimo szarpania przez wiatr, który ciągle narastał. Pozostali ludzie uciekali przed nim bezładnie jak owce w czasie burzy, przywierając do zwodzonego mostu albo cisnąc się do masywnego muru zamku, jakby miał on ich podtrzymać.

–Jamesie! – był to znowu głos Carolinusa. – Prędko! Chodź!

Jim skierował się w jego stronę.

–Chwyć za różdżkę! – krzyknął Mag. – Zrzuć rękawicę i pomóż trzymać różdżkę gołymi rękami. Szybko!

Jim usłuchał. W chwili, w której jego palce zacisnęły się wokół drewnianej laski, zdało mu się, że we wszystkim, co go otaczało, zaszła dalsza przemiana. Jakby zdjął ciemne okulary i nareszcie mógł widzieć wyraźnie.

Zobaczył, że pod kątem prostym od pionowego drzewca różdżki promieniowały niewielkie błyskawice. Błyskawice te wybiegały z niej po obu stronach, obejmując ludzi za nimi i tych na polu. Dalej błyskawice biegły wkoło zaniku, po jego szarych kamiennych krawędziach i blankach na szczycie, zamykając go w obramowaniu postrzępionego i oślepiającego światła, rozbłyskującego i migającego nieprzerwanym życiem.

–Pomóż trzymać, Jamesie!

Wiatr wydarł te słowa Carolinusowi z ust. Ledwie dotarły do uszu Jima, mimo że Mag stał nie dalej niż o stopę od niego. Jego biała broda powiewała to w tę, to w tamtą stronę, jakby miała odlecieć od jego twarzy wyrwana siłą wichury.

–Wytężcie wszystkie siły! – zawołał czarodziej. – Musimy ją utrzymać! Dla dobra twych ludzi i twego zamku, i wszystkiego, co ci drogie. Trzymaj!

Chmury były teraz grube, ciężkie i niskie. Było tak ciemno, że Jim ledwie widział drzewa za pustym polem przed zamkiem. Sir Hugh wciąż leżał i nie ruszał się, tak jak leżał wtedy, gdy kilka chwil temu poddał się mu. Wyżej na niebie i trochę z boku, bezpośrednio nad polem i zamkiem, Jim zobaczył przejaśnienie wśród chmur, jakby wydrążono w nich dziurę, która świeciła własnym światłem. W jej wnętrzu ujrzał na tle chmur postacie duchów, Króla i Królową Umarłych, zasiadających na swych

tronach, a poniżej nich hordę tych, których nazywali swoją strażą. Spoglądali razem z chmur.

Wiatr wzmógł się. Daleko w lesie, na prawo od siebie, Jim usłyszał skrzypiący odgłos, jakby kilka wielkich drzew padło naraz od młócaącego w dół uderzenia wichru. W chwilę później rozległ się drugi trzask nieco bliżej, a potem trzeci jeszcze bliższy. Jima przebiegł lodowaty dreszcz.

Brzmiało to tak, jakby jakiś wielki, niewidzialny olbrzym zmierzał w kierunku zamku, deptając po drodze drzewa jak trawę.

–Wydział Kontroli! – rozległ się tłumiony przez wiatr głos Carolinusa. – Dajcie nam siłę! Oni atakują bariery, które dzielą królestwa! Dajcie nam siłę!

Wiatr łopotał, uderzał i targał za różdżkę, próbując usilnie wyrwać ją z uścisku ich rąk i zębów Aragha. Był bardzo bliski zwycięstwa. Potem Jim poczuł, jak z miejsca, które było jednocześnie w nim i poza nim, wlewa się w niego nowa energia. Nie miała żadnej formy ani ciężaru, nie dawała się wyczuć jako coś stałego czy gazowego. Po prostu napływała.

Gdy się zgromadziła, zdało mu się, że rośnie nie fizycznie czy nawet duchowo, ale w jakiś dziwny sposób, którego nie potrafił opisać. Nawet wzrok bardziej mu się wyostrzył. Tym razem było to jednak widzenie duchowe. Z dodatkową energią poczuł, że rozumie i widzi więcej, niż widział i pojmował kiedykolwiek przedtem.

Zdawało mu się, że spogląda na obszary wiedzy, z których istnienia nie zdawał sobie nigdy sprawy. Mógł niemal jakby przez szereg różnych, lekko zabarwionych tafli szkła dostrzec swój własny, dwudziestowieczny świat, opuszczony przez niego i Angie przed rokiem. Jego uchwyt na różdżce wzmógł się. Spojrzał na czarodzieja i zobaczył, że ten uśmiecha się do niego poprzez rozwianą wiatrem brodę.

Trzymali teraz mocno wyprostowaną różdżkę mimo wszelkich wysiłków wiatru, a błyskawice, jakie z niej wyskakiwały, były grubsze i silniejsze, rysując ochronne linie wokół ludzi i zamku.

Jednak to, co brzmiało jak kroki niewidzialnego olbrzyma, zbliżało się coraz bardziej.

Nagle Malvinne, który stał wewnątrz jasnej, ochronnej linii, wyrwał się i wybiegł na pole, przemierzając przynajmniej pół drogi od miejsca, gdzie wciąż leżała nieruchoma postać sir Hugh'a w zbroi. Mag padł na kolana wznosząc ręce do ciemniejących w górze chmur.

–Śmierdzielu, ty idioto! Wracaj! – krzyknął Carolinus.

Głos jego był teraz mocny i wznosił się nawet ponad wiatr. Malvinne nie mógł go nie usłyszeć, ale nie zwrócił na to uwagi.

Podniósł ręce jeszcze wyżej w stronę chmur, wyciągając je w błagalnym geście.

–Pomóżcie mi! – krzyknął do nich. – Pomóżcie mi teraz! Byłem wam wierny!

–Śmierdzielu! – krzyknął czarodziej, z nutą bólu w głosie. – Posłuchaj mnie...

Malvinne jednak zignorował go, wznosząc ramiona ku chmurom. Cała jego uwaga skupiała się teraz na nich.

Kroki olbrzyma brzmiały bardzo blisko. Jim widział, czy też czuł lub słyszał, było to wszystko naraz, coś jakby strunę naciągniętą aż do pęknięcia, strunę, która



rozbrzmiewała pojedynczą nutą swego napięcia. Potem nagle pękła i przestała dźwięczeć.

–Byłem wierny... – głos czarnoksiężnika znów dobiegł słabo poprzez ryk wichru.

W chmurach ponad miejscem, gdzie klęczał Malvinne, powstało nagle zawirowanie. Nieco dalej Król i Królowa Umarłych bledli już w swej enklawie. Jim poczuł, że nowa energia, która na niego spłynęła, znika, a choć chmury nie rozstąpiły się, zaczęła przez nie przeświecać jasność, jakby rzedyły od góry.

Zobaczył wtedy po raz ostatni bezwładną postać Malvinne'a wiszącą jak martwa na końcu liny wciąganej w górę, w górę i w górę, w kierunku niknących duchów Króla i Królowej Umarłych. Im wyżej był, tym trudniej było go zobaczyć, jakby się stawał niemal przezroczysty jak oni, aż w końcu i oni, i chmury stali się jednym, i czarnoksiężnik też stał się jednością z chmurami, nie do odróżnienia od nich. Wtedy chmury rozstąpiły się ostatecznie. Słońce rozlało się przez nie, oświetlając zamek i otaczające go ziemie. Wiatr ucichł, a pozostałości energii, która nagle nadeszła i wypełniła Jima, opuściły go. Wraz z nimi odeszły resztki jego siły i znów zapadł w ciemność.

Nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, że upadł. Jednak znów ocknął się po paru chwilach. Dafydd i Brian podtrzymywali go i zdejmowali z niego zbroję. Carolinus stał z boku z laską, która nie była już-większa niż na początku.

Twarz miał białą i wyglądał, jakby miał tysiąc lat. Laska jednak zdawała się go podtrzymywać i kiedy zdjęto już z Jima resztę zbroi, wyciągnął do niego zadziwiająco silne ramię i złapał go za rękę pomagając mu wstać.

–Idźcie – powiedział do Briana i Dafydda – do tych, które na was czekają.

Dafydd i Brian zawahali się przez chwilę, a potem odwrócili się i pobiegli razem w stronę zamku. Podtrzymywany przez czarodzieja Jim szedł za nimi. Teraz z nagle opustoszałej, otwartej bramy za zwodzonym mostem wybiegły trzy postacie. Były to Geronde Isabel de Chaney, Danielle, w bardzo już zaawansowanej ciąży, i Angie.

–Angie! – krzyknął Jim i w przypiływie sił, z których posiadania nie zdawał sobie sprawy, wyrwał się Carolinusowi i objął ramionami Angie, gdy do niego podbiegła.

Kilka kroków dalej Brian także tulił mocno swoją panią, a po lewej stronie Dafydd oplótł długimi ramionami Danielle, która naraz śmiała się i płakała.

–Mój złocisty ptaszku, mój złocisty ptaszku – mówił łucznik, wtulając policzek w jej włosy i łagodnie kołysząc ją w ramionach.

–Cóż ze mnie za złocisty ptaszek? – odrzekła Danielle wśród łez i śmiechu. – Spójrz na mnie! Spójrz na mnie!

–Patrzę – powiedział Walijczyk, odsuwając ją na tyle, żeby móc sięgnąć ręką i pogłaskać wielką wypukłość jej brzucha. – Na tę najwspanialszą rzecz, którą mój złocisty ptaszek mógł mi ofiarować. Czegóż więcej mógłbym jeszcze pragnąć, chyba że więcej tego samego?

Padli sobie w ramiona, znów się obejmując, a Dafydd sam śmiał się, ale oczy błyszczały mu od łez.

Jim i Angela obejmowali się długą chwilę bez słów. Potem głos Angie zabrzmiał Jimowi łagodnie w lewym uchu.

**–Jesteś z powrotem – szepnęła. – W domu, nareszcie.**

**–Tak – powiedział Jim.**

**–I zostaniesz – cieszyła się Angie.**

**–Tak – powtórzył Jim.**

**I wiedział, że kłamie. I wiedział, że Angie wie, że skłamał. Ale w tej chwili słowa te były wystarczająco prawdziwe.**

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-10-29

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*